

**Luigi Micuno**

**Zorro - jeździec  
w masce**

## Krwawa litera

Wielkorządca Aragonii, książę don Ramido y Carvalho, wydał bal z okazji dwudziestopięciolecia panowania królowej Izabelii Hiszpańskiej.

Działo się to w roku 1858. Lud się burzył przeciwko wielkorządcy. Ostatnie rozporządzenie księcia było nieludzkie; podwyższył podatki od konia, pług i od każdego okna w chacie wieśniaczej.

Egzekutorzy księcia zabierali ostatnią krowę, stołek, poduszkę... Bywały wypadki pobicia przez żołnierzy i puszczania z dymem niewypłacalnych dłużników...

Lud groził, burzył się i przeklinał..

Wówczas ogłoszone zostało, przy biciu w bębny, nowe rozporządzenie:

Kto podczas przejazdu wielkorządcy nie zdejmie kapelusza i nie okaże przy tym największej czci dla osoby książęcej, ukarany zostanie chłostą i więzieniem. Należną cześć okazywać należy również wszystkim dworzanom i członkom całej świty.

Więżenia były przepelnione. Coraz więcej żebraków ukazywało się na drogach publicznych, kobiety zaś modliły się o nagłą śmierć dla tyrana....

Olbrzymie sale pałacu książęcego oświetlone były rzęsiście. Orkiestra pałacowa przygrywała rażno. Tańce jeszcze się nie rozpoczęły.

Widok ogólny na zebrane tłumy był bardzo malowniczy. Szamerowane mundury; zielone, niebieskie i czerwone fraki; panie z arystokracji: zjawiskowo piękne i obwieszone brylantami - wszystko to iskrzyło się, mieniło i przelewało w obszernych salach.

Nieustanne wybuchy śmiechu w jednym z kątów sali świadczyły o tym, iż zebrane tu liczne towarzystwo bawiło się wyśmienicie.

- Co się tam dzieje? Cóż ich tak śmieszy? - odezwał się książę don Ramido, zwracając się do jednej z dam. - Po raz pierwszy słyszę w mym domu podobne kaskady beztroskiego śmiechu.

- Nic dziwnego, gości książę - odrzekła składając mu ukłon dworski. - Zefirio znajduje się pomiędzy paniami.

Książę uniósł swe krzaczaste brwi:

- Zefirio? - rzekł z namysłem. - Ach tak, przypominam sobie. Głupi Zefirio, chybiony synalek tego właściciela ziemskiego, jakżeż on się nazywa?.. Aha... Corti!

Po chwili zaś dodał zwracając się do kilku dworaków:

- Chodźmy również posłuchać tego durnia!

Zbliżyli się ku miejscu w rogu sali, gdzie Zefirio stał otoczony gromadą roześmianych twarzy.

- A więc, Zefirio, opowiadaj, jak to było z tym kozłem? - śmiejąc się zawołała piękna Dolores, siostrzenica księcia.

Usta Zefiria rozciągnęły się w głupkowskim uśmiechu.

Dziwny był to młodzieniec: wysoki, piękny, nawet zbyt piękny jak na mężczyznę przystało. Dodatkowo wrażenie, jakie wywierał w pierwszej chwili, psuły jednak oczy, ładne co prawda, lecz zupełnie bez wyrazu, oraz uśmiech bezdennie głupi.

Wszystko było w nim powolne i gnuśne; ruchy zniewieściałe i mowa, której człowiek o zdrowych nerwach nie mógł spokojnie słuchać przez czas dłuższy, rozciągał bowiem każde słowo do niemożliwości.

W całej okolicy opowiadano sobie kawały na temat jego głupoty i niezaradności:

- Opowiedz, opowiedz, Zefirio - wołano zewsząd - jak to było z tym kozłem.

- Dobrze, opowiem - rzekł ociągając się Zefirio. - Tylko nie śmiecie się, proszę... był to wypadek zbyt smutny dla mnie... Otóż postanowiłem pewnego dnia nauczyć się konnej jazdy. Wicie przecież, iż w Madrycie, ucząc się na uniwersytecie, nie miałem nigdy okazji dosiadania rumaka... Jako słuchacz teologii i filozofii... - Przerwał mu wybuch śmiechu. - Czego się śmiejecie? Tu nie ma nic śmiesznego! Otóż, przyjechałem tutaj przed pięcioma miesiącami i postanowiłem jeździć konno... Wsiadłem na konia z boku, jak należy, a zsiadłem z tyłu. Właściwie to nie ja zsiadłem, tylko on mnie zszadził, ten koń... Leżę więc, wypoczywam i wreszcie chcę wstać, aż tu widzę, że nade mną stoi koziół... Olbrzymi, straszny koziół z długą brodą... Straszny, mówię wam, podobny zupełnie, no zupełnie...

Zefirio zatrzymał się na chwilę i wodził baraniami oczami po zebranych, szukając porównania. Wtem wzrok jego zatrzymał się na księciu, który również, z uśmiechem na ustach, przysłuchiwał się jego opowiadaniu:

Zefirio roześmiał się radośnie:

- Mam, mam! - zawołał wskazując na księcia. - Straszny koziół podobny był zupełnie do tego brodacza...

Księżę zbladł i ściągnął brwi.

Zebranych ogarnęło przerażenie. Nastąpiła śmiertelna cisza. Wreszcie don Pedro, dworzanin księcia, otrząsnął się z osłupienia.

Pociągnął Zefiria za rękaw i rzekł:

- Szaleńcze, przecież to księżę pan!

- Świetnie! Otóż moi drodzy, ów kozioł był zupełnie podobny do księcia pana. Nie wiadomo jak ta scena by się zakończyła, gdyż głupiec wcale nie chciał zrozumieć, na co się naraża, gdyby nie nagle zamieszanie powstałe przy wejściu do sali.

Poblądły oficer torował sobie drogę wśród zebranych.

Dwaj żołnierze trzymali pod ręce pokrwawionego, słaniającego się człowieka.

Był to komisarz książęcy. Poprzez dziury w mundurze widniały długie, krwawe pręgi na rękach, nogach i na piersi tego mężczyzny.

Były to ślady uderzeń długiego bicia z bawolej skóry. Lecz najstraszniejszą rzeczą był znak na twarzy rannego. Na lewym policzku krwawiły trzy pręgi w kształcie litery „Z”.

- Znalazłem. go w lesie na wielkiej drodze, mości książę! - raportował oficer.

- Pienią... dze... księcia... zra... bowane! - wyszeptał komisarz i ponownie stracił przytomność.

I podczas gdy żołnierze, nie wiedząc na razie co mają czynić z ciałem zemdlonego, przytrzymywali go w pozycji stojącej, wszyscy zebrani z przerażeniem wpatrywali się w złowrogie trzy pręgi na lewym policzku.

- Litera „Z”! - szeptano dookoła. - Czy widzicie?.. Litera „Z”.

- Cha, cha! - rozległ się nagle głupkowaty śmiech. - To ci heca! Toż to znak Zorry!

Dreszcz zgrozy przeszedł dworaków i tych wszystkich, co żyli na łasce księcia.

Zefirio pękał ze śmiechu.

## Mściciel w masce

Kareta pocztowa stanęła na drodze. Woźnica zaklął. W poprzek drogi przeciągnięta była długa lina. Mercedes wychyliła swą piękną twarzyczkę przez okno karety. - Co się stało? - zapytała. - Dlaczego nie jedziemy? Żołnierz z eskorty; galopującej obok, nie zdążył odpowiedzieć. - Rzucić broń! Ręce do góry! - zagrzmiął metaliczny głos. Nieco na uboczu stał jeździec w masce. Czarny rumak nie ruszał się z miejsca. Człowiek w masce nie nosił kapelusza o szerokim rondzie, zwanym sombrero, głowę miał owiązaną czarną chustką jedwabną, której końce spadały na lewe ramię. Miał na sobie obcisłe spodnie z czarnego weluru i lekką, czarną koszulę ściągniętą w talii pasem wyszywanym złotem.

Siedział na koniu, dumnie wyprostowany, lewą rękę opartą miał na biodrze.

Mercedes cofnęła głowę, blada z przerażenia. Ojciec jej, stary generał don Borrigo, zaniemówił.

Bandyta! Przemknęło przez myśl dziewczynie. W następnej sekundzie jednak odetchnęła z ulgą. Bandyta nie miał broni, jeśli nie liczyć szpady wiszącej u siodła. Żadnego pistoletu, nic absolutnie w ręku.

Ale dlaczego żołnierze z eskorty stoją jakby zdrętwiali? pomyślała. Podli tchórze, uzbrojeni od stóp do głów!

- Czyście poszaleli?! - krzyknęła przez okno. - Boicie się jednego bandyty? Strzelajcie, na miłość boską. Strzelajcie!

Stary sierżant usłuchał. Szybko podniósł strzelbę do oka i wycelował.

Stała się jednak rzecz niespodziewana. W prawym ręku zamaskowanego jeźdźca pojawił się bicz jakiego używają hiszpańscy poganiacze mułów - o krótkiej rękojeści i bardzo długim rzemieniu z bawolej skóry.

Rzemień opisał łuk w powietrzu, po czym owinął się dookoła strzelby doń wycelowanej. Krótkie szarpnięcie i strzelba. znalazła się w krzakach przydrożnych. Następnie rzemień opisał powtórnie łuk w powietrzu, owinął się dookoła szyi woźnicy, znów ostre szarpnięcie i biedny pocztylion znalazł się na ziemi.

Zdumiona do najwyższego stopnia Mercedes, mimo wszystko musiała podziwiać nieprawdopodobną zręczność bandyty, graniczącą wprost z cudem. Z tak wielkiej odległości manewrować w ten sposób zwykłym biczyskiem z bawolej skóry? Nic dziwnego, że niepotrzebna mu była inna broń.

- Podziękuj Bogu, sierzancie, że znajduje się tutaj seniorita, otrzymałbyś porządną

porcję batów! - zawołał jeździec, zbliżając się do karety. - A teraz moje panie i panowie, niczego się nie obawiajcie. Nie tknę nikogo, nikomu z obecnych nic nie zabiorę! Z wyjątkiem...

Tu uczynił pauzę i Mercedes znów musiała podziwiać jego piękne oczy widoczne poprzez otwory w masce.

- Z wyjątkiem pieniędzy zabranych niesprawiedliwie biednym ludziom przez komisarzy księcia pana - dodał ostro.

- Żywo! Żywo! - wołał niecierpliwie. - Dawać tu pieniądze!... A gdy go usłuchano, przytroczył ciężki worek do siodła i zawołał wesoło, spinając konia: - Adios, senioritas e senores!... Biedni otrzymają swe pieniądze z powrotem. Przydadzą się na zbliżającą się Wielkanoc.

Rumak dał potężnego szczupaka i po chwili znikł w zaroślach. Długo jeszcze w uszach obecnych dźwięczał młody śmiech i powtarzający się okrzyk, którym rabuś zachęcał konia do szybkiego biegu:

- Zorro!... Zorro!... Zorro!...

## Głupi Zefirio

Kareta pocztowa stanęła nie opodal domu należącego do Anzelma Cortiego... Mercedes wysiadła z karety i podała rękę staremu generałowi, który z trudem schodził ze stopni. - Pamiętaj - szepnął generał do córki - bądź uprzejma dla twego dalekiego krewnego, syna Anzelma Cortiego, z którym się umówiłem, że was zaręczymy, gdy tylko się poznacie... Sądzę, że ci się spodoba. Jest to spokojny, stateczny młodzieniec i jedyny spadkobierca bogatego ojca. Mercedes nic nie odpowiedziała. Myśli jej były zaprzątnięte tajemniczą postacią z długim biczem. - Witamy, witamy z radością! - zawołał senor Corti, przystępując do generała. Uściskali się serdecznie. Nadbiegła służba i zajęła się bagażem przybyłych. Gospodarz wprowadził gości do swego patia. Po pewnym czasie wszyscy siedzieli za suto zastawionym stołem. - Gdzież jest Zefirio? - zapytał generał, rozglądając się na wszystkie strony. Corti był nieco zażenowany, gdy odpowiedział: - Syn mój nic nie wie o waszym przybyciu! Sądzę, że zjawi się niebawem! Rzeczywiście, w głębi domu rozległ się głos mężczyzny: - Aa więc droogi Baatisto! - dolatywały słowa wypowiedziane z wielką powolnością. - Pokażę ci sztuczkę z moonetą... Wspaniała, mówię ci! Co, są goście?.. No to niech sobie będą, a ja ci pokażę tę sztuczkę!...

Corti wstał i rzekł z uśmiechem: - Bardzo przepraszam moich kochanych gości, wybaczcie mi, że oddalę się na chwilę... Idę po syna.

Wyszedł. - Jeśli ten głos należy do Zefiria - rzekła Mercedes – to winszuję ojcu wyboru! Musi to być kompletny idiota!

Corti zjawił się z powrotem. Za nim podążał jego syn, który oznajmił swe pojawienie się potężnym ziewnięciem.

Był to poważny nietakt, Mercedes pogardliwie skrzywiła dumne usta. Ładny chłopiec, pomyślała, lecz bezdennie głupi i nietaktowny. Rzeczywiście Zefirio sprawował się nie szczególnie. Przelał zupę, wywrócił solniczkę, kawał pieczeni, który niósł do ust, spadł mu na kolana, a z kolan na podłogę.

Nie zadał sobie trudu, by spojrzeć na współbiesiadników. Uśmiechał się przez cały czas sam do siebie.

- Cóż to kuzynek taki milczący? - zagadnęła go Mercedes. Spojrzał na nią niby przebudzony ze snu.

- Aaa... bo... jak by tu powiedzieć? Obmyśliłem wspaniałą sztuczkę - rzekł.- Sztuczkę z chusteczką do nosa. Wyciągnął chustkę z kieszeni:

- Chce kuzynka, to jej pokażę!... Zwinął chustkę w mały kłębek i dmuchnął. W rękę zjawiły się dwie chustki. Zwinął je w dwa kłębki. Dmuchał po raz drugi i rozwinął kłębki. Trzymał już cztery chustki w rękach. Zgniół je razem, dmuchnął po raz trzeci i chustki znikły. Po prostu ulotniły się w jakiś niewytłumaczalny sposób.

- Cha, cha! - zarżał jak młody źrebak. - Wspaniałe, co? Milczenie zaległo przy stole. Nie! pomyślała Mercedes, prędzej śmierć niż taki małżonek! Wstali od stołu. Goście udali się do swych komnat, by wypocząć po trudach podróży. Mercedes otrzymała piękny buduarowy pokój, okno którego wychodziło na sad. Wychylając głowę, mogła widzieć, nieco na lewo, altankę oplecioną dzikim winem.

Upał tego dnia był nieznośny. Toteż wszystko w domu wypoczywało. Panowała kompletna cisza przerywana od czasu do czasu brzęczeniem muchy.

Dzień miał się ku schyłkowi.

Nagle w oddali, na drodze wiodącej obok hacjendy, uniósł się tuman kurzu.

Spoza tej chmury wyłonił się orszak uzbrojonych jeźdźców.

Corti wyszedł na dziedziniec i patrzył zaciekawiony na zbliżających się kawalerzystów. Obok niego stał Zefirio, bawiąc się małą piłeczką, którą wyjmował kolejno z nosa, z kolana i ze słupa przy płocie... Była to jego najnowsza sztuka magiczna.

Jeźdźcy zbliżyli się tymczasem i zsiadli z koni. Było ich około czterdziestu.

Oficer, butny, młody człowiek, szeroki w barach i o ruchach świadczących o wielkiej zręczności i sile fizycznej zbliżył się ku stojącym:

- Witaj, senor Anzelmo Corti!

- Witaj, don Alvarez y Gonzano!

- Rad jestem widzieć was w dobrym zdrowiu!

- I ja również!..

- Przybywam, senor, w pewnej misji!

- Słucham!

- Doniesiono nam, że w tej okolicy krąży od niedawna Zorro. Mamy rozkaz księcia, aby zakwaterować się tutaj, w twojej hacjendzie, na kilka dni. Będziemy lustrować okolicę i czynić wypadki! Proszę więc, senor, o łaskawe przydzielenie nam kwatery!

Corti skrzywił się nieznacznie. Czterdziestu ludzi - żarty!... Przewidywał spustoszenia w spiżarniach, jakie poczynią ci butni i rozwydrzeni żołdacy księcia... Nie śmiał jednak oponować. Nic by to nie pomogło, a naraziłby się niepotrzebnie na gniew tyranicznego wielkorządcy.

Przywołał więc swego majordoma i wydał odpowiednie rozkazy, zapraszając



jednocześnie oficera na kolację.

Przy stole don Alvarez y Gonzano był niezwykle wesół. Działała nań podniecająco obecność pięknej Mercedes, która z uśmiechem odpowiadała na jego komplementy.

Zefirio próbował kilkakrotnie wtrącić się do rozmowy, lecz skarcony surowym spojrzeniem oficera, milkł.

Rozmowa zesłała na Zorrę.

- Dostanie się wreszcie w moje ręce! - zawołał don Alvarez. - Biada mu, pozna mnie wówczas!

- Nic dziwnego - wtrącił Zefirio - gdy jest was czterdziestu...

Oficer rzucił nań pogardliwe spojrzenie:

- Mam nadzieję - rzekł - że gdybyśmy się spotkali bez świadków nawet, sam na sam, poczułby z całą pewnością moją rękę na swym kołnierzu!

- Co pan mówi, oficerze? - zdumiał się Zefirio. - Przecież on ma bat, taki długi bicz z bawolej skóry!...

- Bicze istnieją tylko dla takich głupców jak pan, senor Zefirio - rzekł ostro don Alvarez. - I radzę, patrz lepiej w swój talerz, zamiast wypowiadać głupie uwagi.

Wszyscy zamilkli. Mercedes z trudem powstrzymywała się, by nie parsknąć śmiechem,.

Zefirio nie przejął się zbytnio obelgą. Spoglądał baraniami oczami przed siebie i kładł coraz większe kawałki jedzenia do ust.

## Nocna wizyta

Wszyscy spali w hacjendzie, tylko Mercedes stała oparta o framugę okna i marzyła. Myślami wracała do przygody podczas podróży i obraz Zorri stawał jej przed oczami.

- Zbyt jestem romantyczna - rzekła do siebie wreszcie. - Ciągłe myślę o tajemniczym rabusiu... A jednak... a jednak ciekawa jestem... jak wygląda w rzeczywistości. Maska przesłaniała jego rysy, widziałam tylko płonące oczy...

Wtem rozmyślania jej przerwał cichy dźwięk gitary. Tęskna i rzewna melodia płynęła z altanki w pobliżu okna. Mercedes wychyliła się nadsluchując ciekawie. Serce zaczęło walić w piersiach jak młotem. Z altanki, oświetlonej srebrzystym promieniem księżyca, wyszedł... Zorro! Tak, poznała jego gibką, wysmukłą postać w obcisłym stroju i chustkę związaną na głowie. Przebierając cicho struny gitary, zbliżył się do okna.

- Och, seniorito! - zabrzmiał melodyjny głos. - Nie śpisz jeszcze?.. Marzysz?.. Czy marzysz o dalekim kochanku... co...

Urwał i tęskna pieśń popłynęła, śpiewana głębokim i pięknym głosem.

Mercedes nie wierzyła własnym oczom, wydawało jej się, że śni. Zorro tutaj, pod jej oknem, wzdycha ku niej i śpiewa smętne piosenki hiszpańskie... Zorro - postrach południowej Hiszpanii, samotny jeździec, tajemnicza, żywa zagadka.

Tymczasem Zorro umilkł, spojrzał w górę, chwycił za wystający w murze kamień i w ciągu jednej sekundy był już u framugi okna. Zanim Mercedes zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, uczuła dotknięcie jedwabnej maski na swej twarzy- i gorące usta wpiły się w jej wargi! W tej samej chwili rozległ się strzał. Kula świsnęła tuż obok i utkwiała w ścianie pokoju.

Zorro już był na dole. Słał ręką czułe całusy, ukazując przy tym dwa rzędy białych zębów w szerokim uśmiechu.

Podniesiono alarm. Zaspani żołnierze wysypali się z obór i stajen, Rozległ się okrzyk: - Zorro koło domu! - I żołnierze otoczyli dom.

- Uciekaj senior, na litość boską! - szepnęła Mercedes. - Żołnierze otaczają dom.

- Obawiasz się o mnie? - zawołał śmiejąc się. - A więc mnie kochasz!

- Uciekaj... uciekaj...

- A kazałaś strzelać do mnie wczoraj! - rzekł z wyrzutem.

- Boże... jesteś schwytany!

Kilku żołnierzy skoczyło nań. Otrzymali kilka błyskawicznych uderzeń pięścią i potoczyli się na ziemię.

Świsnął bat raz i drugi.

Księżyc chował się za chmury.

Rozległy się przekleństwa i jęki.

Gdy po chwili księżyc znów się ukazał, pięciu żołnierzy wilo się na murawie, inni stali rzędem z szablami w ręku, gotowi do ataku. .

Zorro znikł.

- Ukrył się w domu! - zagrzemiał głos don Alvareza. - Piętnastu żołnierzy stanie pod oknami z pistoletem w ręku, a reszta za mną!... Przeszukamy dom od piwnicy do strychu.

Rzucili się ku drzwiom.

Wszyscy mieszkańcy byli już na nogach, wyrwani ze snu piekielnym hałasem. Zapalono lampy i rozpoczęły się poszukiwania.

Spenetrowano wszystkie zakamarki, don Alvarez się wściekał, lecz wszelkie wysiłki żołnierzy były daremne...

Wtem rozległo się potężne ziewnięcie. Do jasno oświetlonego salonu, gdzie byli zebrani wszyscy domownicy i gdzie pienieł się 'oficer, wszedł przeciągając się leniwie Zefirio. Spojrzał sennymi oczami na zebranych i wybuchnął głośnym śmiechem, gdy wzrok jego padł na oficera:

- Ha, ha! A to ci heca! Bicz jest tylko dla głupich, tak pan powiedział, senor?

Teraz dopiero wszyscy zauważyli, że lewy policzek don Alvareza krwawił. Widniały na nim trzy pręgi... Znak Zorry - litera „Z”.

Oficer skoczył” blady jak trup:

- Ty durniu! Śmiesz kpić z oficera królewskiego?... Oto masz... Trzasnął go pięścią w piersi i biedny Zefirio legł jak długi na podłogę.

Mercedes ze wstrętem spojrzała na leżącego niedołągę. Wychowana w środowisku wojskowym, miała kult dla bohaterów, ludzi śmiałych - nienawidziła tchórzy.

Zefirio, leżąc na podłodze, zaczął się śmiać głupio i rozgłośnie, szczerząc białe; równe zęby.

- Boże - szepnęła Mercedes. - Ten śmiech! Ten śmiech i te dwa rzędy białych, lśniących zębów! Nagle przypomniała sobie: dwa rzędy śnieżnobiałych zębów Zorry, lśniących w poświacie księżyca. Musiała się głośno roześmiać, tak śmieszne wydało jej się to porównanie.

Don Alvarez spojrzał z pogardą na leżącego, odwrócił się doń plecami i wyszedł trzaskając drzwiami.

Zefirio wstał z podłogi, otrzepał starannie ubranie i rzekł:

- Śmiejesz się, kuzynko? Masz rację! Taki brutal, ten Alvarez, ale co dostał, to dostał, cha, cha! Pięknie wygląda z tym znakiem na policzku! Obalił mnie na ziemię uderzeniem pięści, ten impetyk! Jego szczęście, że byłaś przy tym, moja kuzynko, bo gdybym mu się odplacił pięknym za nadobne, nosiłby znaki na całym ciele! Lecz go nie tknąłem, gdyż mam co do niego pewien projekt... Cha, cha!

I wyszedł śmiejąc się na całe gardło..

Człowiek bez honoru, dotknięty na umyśle! pomyślała Mercedes.

Wiele by dała, żeby wiedzieć, co w obecnej chwili porabia Zorro...

## Zefirio kontra Zorro

- Mam już tego dosyć! - rzekł Zefirio do Mercedes, zdobywając się na ton stanowczy.  
- Wszyscy kpią ze mnie, popychają, pomiatają! Nawet taki don Alvarez, brutalny żołdak, śmiał mnie uderzyć! Dotąd piersi mnie bołą od uderzenia. Nie, naprawdę, położę temu kres!

- Mój biedny kuzynku - rzekła Mercedes ze współczuciem. Natura nie była dla ciebie zbyt hojna. Obdarzając cię piękną postawą i urodą, nie dała ci nic więcej!

Kobiety, które nie kochają, potrafią być okrutne.

- To znaczy - westchnął Zefirio - że jestem niedołągą, niedorajdą i kompletnym głupcem!

- No, nie przesadzajmy! - próbowała go pocieszyć. - Nie każdy może być tak dzielny, waleczny, nieustraszony jak, dajmy na to, Zorro!

- Och, Zorro! Ten bandyta!

- Nieprawda! - oburzyła się Mercedes. - Zorro nie jest bandytą... Zorro walczy przeciwko tyranii wielkorządcy Aragonii. Nie tknie nigdy prywatnej własności. Zabiera tylko to, co tyran zagrabił biednym ludziom. I oddaje ludowi pieniądze.

- A więc to maniak!

- Nie! To bohater, mściciel pokrzywdzonych!

Twarz jej, gdy to mówiła, rozogniła się. Zefirio spoglądał na nią z nie ukrywaną ciekawością. Mercedes była piękna w tym podnieceniu.

Milczał chwilę, wreszcie rzekł:

- Bohater czy mściciel, wszystko mi jedno. Pokażę światu, że nie jestem znów takim niedołągą, za jakiego mnie uważają. Muszę Zorrę schwytać żywcem.

Mercedes zaniemówiła w pierwszej chwili, wreszcie wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

- Cha, cha! Och, Zefirio, ubawiłeś mnie! Chcesz schwytać Zorrę? To wspaniałe!

- Tak, to będzie wspaniałe! - rzekł Zefirio, usiłując przybrać dumną postawę. - A gdy go schwytam - dodał - poproszę cię o rękę, Mercedes.

- Możesz prosić, kochany Zefirio, ile razy ci się żywnie spodoba, ale dopiero po schwyтaniu Zorry;

Zefirio popadł w zadumę, Po chwili ocknął się i rzekł:

- Nie, rozmyśliłem się!

- Co? Już zrezygnowałeś z Zorry?

- Nie, nie zrezygnowałem! Przyszła mi jednak myśl, że powinienem właściwie oświadczyć się przedtem. Gdy się pobierzemy, sama myśl, że mam tak piękną żonę, doda mi sił w walce z Zorrą.

Mercedes zbladła. Co też temu idiocie przyszło do głowy, pomyślała, a głośno zaś rzekła:

- Nie, mój drogi Zefirio, nie chcę mieć męża, o którym cała okolica mówi, że nie jest zbyt odważny. Pokonaj najpierw Zorrę, a potem zobaczymy:

Lecz Zefirio uparł się:

- Tak powiadasz? Nie wierzę ci, że w okolicy źle o mnie mówią! Będiesz moją żoną, i basta! Poskarżę się na ciebie generałowi i memu ojcu! Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Mercedes złożyła błagalnie ręce: - Drogi, kochany Zefirio, nie uczynisz tego! - Właśnie, że uczynię! - Kiedy ja cię nie kocham... jeszcze! - Pokochasz! - Nigdy! - Cooo? Nigdy?.. Czyżbyś kochała innego? - Tak! - To wikła sprawę!... Do diabła!... Przedkładasz innego mężczyznę nade mnie?.. Czy może być piękniejszy, postawniejszy, dowcipniejszy niż Zefirio? A te sztuczki magiczne? Czy i ten inny pokaże ci podobne z monetą i chusteczką do nosa? Nie, prawda? A więc jestem więcej wart od niego! W moim towarzystwie nie będziesz się nigdy nudziła. O, nigdy! Zresztą ustąpię ci pod pewnym względem! Przyrzeknij mi, że zostaniesz moją żoną, gdy pokonam Zorrę lub gdy ten uzna się za pokonanego, a wówczas zaczekam z weselem!

- Przyrzekam ci! - zawołała Mercedes uradowana. - Przyrzekam ci, o śmiały i nieustraszony Zefirio, chlubo wszystkich młodych bohaterów...

- Zorro, biada ci! - ryknął Zefirio, klękając na jednym kolanie i wznosząc ruchem teatralnym prawą rękę ku niebu.

## Zabawa w ciuciubabkę

Dolores, siostrzenica księcia, podróżowała karocą zaprzęgniętą w cztery konie. Odwiedziła swych krewnych w Madrycie, a obecnie wracała do domu swego wujka, księcia Ramida y Carvalha. Liczny oddział kawalerzystów eskortował karetę. Zbliżyli się do małego miasteczka Colidad. Mieścina ta znajdowała się w okręgu podlegającym władzy don Ramida. Widać to było zresztą po mieszkańcach. Ludzie wynędzniali, dzieci obdarte, domostwa zaniedbane, brudne. Nędza wyczerała z każdego zakątka.

Dolores zbyt była młodą, lekkomyślną i pustą dziewczyną, by spostrzec i zrozumieć nędzę i rozpacz mieszkańców. Z uśmiechem przyglądała się biegnącym obok dzieciom.

Karoca posuwała się powoli. Młoda dama rzucała cukierki i drobne miedziaki i bawiła się widokiem bijących się pomiędzy sobą dzieciaków.

Ludzie wychodzili z zaułków i stawali na drodze. Wychodzili z domów, sklepików, porzucali swą pracę przy warsztatach. Obojętni byli na wdzięk pięknej, młodej twarzyczki Dolores. Oczy ich gorzały nienawiścią, pięści zaciskały się na widok książęcej karety, która stawała się dla nich symbolem ucisku i niesprawiedliwości. Tłum powiększał się z każdą chwilą, stawał się coraz groźniejszy. Lud zaczął podchodzić do karety ze wszystkich stron.

Oficer, dowodzący eskortą, zbliżył się do okna karety i rzekł nachylając się ku Dolores.

- Senorita, musimy jechać prędzej!
- Dlaczego? Wcale mi nie śpieszno!
- Grozi niebezpieczeństwo, seniorito!
- Niebezpieczeństwo? - zdziwiła się Dolores. - Jakie?
- Ludzie, którzy otaczają karocę, gotowi są lada chwila rzucić się na nas. Jest nas zbyt mała garstka, byśmy mogli oprzeć się rozjuszzonej tłuszczy!
- Nie rozumiem! W jakim celu mieszkańcy tego spokojnego miasteczka mieliby na nas napadać?

Oficer zachnął się niecierpliwie.

- Trudno teraz wytłumaczyć, seniorito, dlaczego tłum chce nas poszarpać na kawałki. Dość, że sam widok karety z książęcymi herbami na drzwiczkach wprawia ich w szał! Dałby Bóg, byśmy uszli bez szwanku!

- Wierzę ci, kapitanie! Trudno, niech stangret popędzi konie! Niestety, było już za późno. Tłum, groźnie pomrukując, otoczył karetę.

Żołnierze eskorty dobyli broń. Rozległy się zewsząd okrzyki: - Precz z tyranem! - Śmierć krzywdzicielowi! - Na latarnię dworaków książęcych! - Na śmierć!... Bij, zabij!... Bierzemy karety! Ostatni ten okrzyk był decydujący. Dziesiątki par rąk chwyciły za cugle. Po obu stronach karety ukazały się groźne twarze.

Żołnierze zaczęli płazować tłum. Dolores, blada z przerażenia, wtuliła się w poduszki karety.

Nie wiadomo, jak by się ta scena zakończyła, gdyby coś innego nagle nie odwróciło uwagi rozjuszonych tłumów.

- Zorro! - padł nagle radosny okrzyk.

- Zorro pędzi ku nam!...

- Niech żyje Zorro! Hurra!...

W pewnej odległości rozległ się tętent galopującego konia. Zorro stał w strzemionach i w pełnym galopie strzelał z bata.

Na rozhukanym koniu, wywijając długim biczyskiem, w czarnej masce na twarzy wyglądał jak szatan, lecz szatan wesoły, śmiejący się całą gębą..

- Dzień dobry, chłopcy! - huknął. - Będziecie mieli wesołą Wielkanoc. Uwijajcie się, tylko żywo... Mam dla was dwa wory pełne złota!

Stanął na siodle. Koń jak z kamienia wykuty. Zorro wołał dalej:

- Uwaga chłopcy! Nie będę, niestety, dawał pieniędzy każdemu z osobna. Zbyt mało mam czasu na to... Pędzi w pogoni za mną większy oddział żandarmerii i wojska. Za chwilę tu będą... Nie martwcie się jednak; będę rzucał złoto, każdy niech łapie...

Dolores, która była świadkiem tej sceny, przyglądała się postaci Zorry szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Zapomniała o niebezpieczeństwie, jakie przed chwilą jej zagrażało, zapomniała o wszystkim na świecie, chłonąc obraz i słowa tajemniczego jeźdźca.

Widziała go po raz pierwszy w życiu, tego zamaskowanego młodzieńca, o którym krążyły w kraju legendy. Widziała po raz pierwszy tego płomiennego mężczyznę tryskającego radością życia, humorem i beztroską. I po raz pierwszy w swym życiu - młodej, pięknej arystokratki - uczuła gwałtowne bicie serca, które przyprawiło ją o silny zawrót głowy. Nie zdawała sobie sprawy z przyczyny wzruszenia, jakie ją ogarnęło, nie był to przestach ani zgroza, o nie! Raczej jakieś niepokojące, a jednak słodkie uczucie zawładnęło jej sercem.

Wtem okrzyk przestachu wyrwał się mimo woli z jej piersi. Liczny oddział wojska wpadł z impetem na rynek, gdzie Zorro, otoczony tłumem, rozrzucał pełną garścią złoto.

Żołnierze zaczęli płazować tłum, torując sobie drogę do Zorry. I oto rozegrała się



scena niewiarygodna, dziwna, a jednak komiczna. Plac rynkowy podobny był w tej chwili do olbrzymiej szachownicy, na której poruszają się pomieszane z sobą białe i czarne pionki.

Żołnierze w rozsypce, każdy na własną rękę, uganiaли się za młodzieńcem w czarnej masce.

Tłum przewijał się pomiędzy żołnierzami, chwytając monety, które Zorro w galopie rzucał hojną ręką, przemykając się zwinnie pomiędzy żołnierzami.

I tak gonili się nawzajem: żołnierze za jeźdźcem i biedni ludzie za złotem, nie zwracając na siebie najmniejszej uwagi.

Niejednokrotnie koń wojskowy obalił na ziemię nieuważnego człowieka ludu, niejednokrotnie też Zorro omal nie wpadł w ręce jednego z prześladowców, zawsze jednak bicz z bawolej skóry ściągał w porę śmiałka z siodła na ziemię.

Zabawa, jaką sobie urządził Zorro, była jakby ciuciubabką na olbrzymią skalę, z tą tylko różnicą, że główna postać nie miała zawiązanych oczu, żołnierze zaś sprawiali wrażenie gromady ślepców czyniących rozpaczliwe wysiłki, by pochwycić węgorza.

Gdy ostatnia moneta padła na ziemię, Zorro uniósł się na siodle i zawołał:

- Adios, moje zuchy! Do zobaczenia w niedalekiej przyszłości...

Odpowiedziały mu okrzyki: „Hurra, Zorro!” oraz wściekły ryk żołnierzy książących.

Zorro smagnął konia, zrzucił z siodła jeszcze dwóch żołnierzy, którzy mu zastępowali drogę, i pognął przed siebie.

Droga jego prowadziła obok karety. Mijając jak wichur Dolores, ukazał zęby śnieżnej białości i rzucił głośno:

- Adios, senorita Dolores...

Dolores zadrżała:

- Zna moje imię!... Zorro zna mnie!

## Wyzwanie Zorry

Po wsiach, miasteczkach i osiedlach Aragonii ludzie pękali ze śmiechu. Jedna nowina była na wszystkich ustach! - Zefirio wyzwał Zorrę! Dwie przeciwności: głupiec, niedołęga i tchórz oraz tajemniczy jeździec, człowiek o diabelskiej zręczności, sile i odwadze. Było się z czego śmiać. Do hacjendy Anzelma Cortiego zjeżdżali się ludzie ze wszystkich stron, by popatrzeć na to dziwo.

Lecz Zefirio znikł z domu.

Księżę Ramido był pewnego rana w bardzo złym humorze. Straty, jakie mu wyrządził Zorro swymi napadami, były znaczne. Ten szatan pojawiał się wszędzie. Najsilniejsza eskorta wojskowa nie peszyła go. Zdawał się szydzić z niebezpieczeństwa. Zjawiał się, zabierał pieniądze, jakby swoje, i znikał... Co tu robić? Jak unieszkodliwić niebezpiecznego opryszka? Księżę chwycił się wszystkich możliwych środków: sprowadził dodatkowe oddziały policji i żandarmów, wyznaczył cenę za głowę rabusia, szpiedzy krążyli po wszystkich zakamarkach.

Wszystko było na próżno. Bezcelność Zorry przekroczyła dziś wszelkie granice. Księżę otrzymał list następującej treści:

*Senor Ramido y Carvalho! Po raz ostatni zwracam się do Ciebie: daj spokój pracującemu ludowi. Podatki, które ściągasz w sposób tak brutalny, pogłębiają nędzę ludu Aragonii. Niewinni jęczą w więzieniach - sam nawet nie wiesz, za co ich więzisz! Wypuść biedaków na wolność, wymierzaj podatki sprawiedliwie, a wybaczę Ci wszystkie Twe przewinienia. Nastąpi między nami zgoda! Widzisz, że wyciągam do Ciebie przyjazną dłoń. Jest to ostatnia Twoja szansa! Jeśli trwać będziesz nadal w swym głupim uporze - wiesz co zrobię? Osmagam Cię jak zwykłego poganiacza mułów, podpale pałac i zabiorę Ci wszystko, co tylko masz cennego! Więc wybieraj, co wolisz? Przyjaźń czy też walkę bez pardonu?*

*Uniżony Twój sługa*

*Zorro*

- Liano - rzekł księżę do swego sekretarza. - Poleć natychmiast, by ogłoszono w całej Aragonii, że potrajam cenę za głowę Zorry.

Mówił na pozór spokojnie, lecz drżał wewnątrz z hamowanej wściekłości.

Sekretarz zanotował polecenie księcia, uklonił się i wyszedł, lecz wrócił niebawem:

- Wasza wysokość - rzekł. - Zefirio Corti pragnie mówić z waszą wysokością.

Księżę zachmurzył się. Przez głowę przemknęło wspomnienie owego wieczoru, gdy

Zefirio porównał go do brodatego kozła. Lecz księżę rozpogodził się prawie natychmiast. Śmieszne gniewać się na głupca, pomyślał. Zresztą rozmowa z nim rozweseli mnie cokolwiek i pozwoli zapomnieć o tym przeklętym opryszku.

- Wpuść go - rzekł do sekretarza.

Zefirio wszedł zginając się w przesadnie głębokim ukłonie. Gdy się wyprostował, księżę dostrzegł na jego obliczu wyraz dumy, wskutek czego wyglądał na głupszego niż zwykle.

- Witaj mi, senor Zefirio! - rzekł księżę z udaną powagą. - Czemu mam zaszczyt zawdzięczać twą wizytę?

- Przede wszystkim, mości księżę, zanim wyłuszczę swą sprawę, pragnę przeprosić waszą wysokość!

- Przeprosić?

- Tak, mości księżę! Wy tłumaczono mi, że postąpiłem w sposób obraźliwy porównując waszą wysokość do brodatego kozła! Przyszedłem błagać o przebaczenie mi tego nietaktu! Rzeczywiście konstatuje z zadowoleniem, że wasza wysokość nie jest podobny do kozła. Kozioł miał brodę szarej barwy, wasza wysokość zaś ma brodę czarną jak smoła. Brałem wówczas pod uwagę pewne podobieństwa rysów waszej wysokości i owego brzydko pachnącego zwierzęcia, gdybym porównał wówczas obie brody, nie...

- Dosyć! - krzyknął zdenerwowany księżę. - Dosyć tego wałkowania historii o czarnym kozle... Wybaczam chętnie, senor, i nie chcę więcej o tym słyszeć!...

- Według życzenia waszej wysokości! - rzekł kłaniając się nisko Zefirio. - A teraz druga sprawa.

Przysunął fotel i usiadł.

- Mości księżę - rozpoczął - nie będę się rozwodził nad tym, co mam zakomunikować. Otóż postanowiłem schwytać żywcem Zorrę.

- Słyszałem! - rzekł księżę, powstrzymując się od śmiechu. - Taak? - zdziwił się Zefirio. - A to skąd?

- Wszyscy mówią o tym, podziwiając twą odwagę, senor!

- Słusznie! Bo też jestem szalenie odważny! Lew, w porównaniu ze mną, to zajac, to królik, to... - Przerwał, albowiem księżę nie mógł powstrzymać się od śmiechu. - Jaki jest powód wesołości mości księcia, jeśli wolno zapytać?

- Głupstwo, młodzieńcze! Nie zwracaj uwagi - pośpieszył z wyjaśnieniem księżę. - To u mnie nerwowe! Od czasu do czasu okazuję swe zadowolenie w ten sposób!

- Wszyscy mniemali dotychczas - ciągnął dalej Zefirio - że jestem tchórzem i

głupcem. Jakże się mylili! Dowiodę, że to były pozory tylko, bo w rzeczywistości jestem dzielny, dumny, wzniosły!... - Wybuch śmiechu przerwał znów natchnioną przemowę Zefiria. Zaczekał cierpliwie, aż książę skończył się śmiać i dokończył: - ... i zakochany!

- Zakochany?

- Tak, bez pamięci, do utraty. tchu...

- Czyżby? Aż do takiego stopnia?

- Tak! Do tego stopnia! I dlatego też oświadczam, mości książę: uwolnię cię od twojego najbardziej zawziętego wroga pod warunkiem, że po ujęciu Zorry...

- Słucham...

- Wydasz za mnie piękną Dolores, swą siostrzenicę.

Tym razem książę pokładał się wprost ze śmiechu. Minęło sporo czasu, zanim się uspokoił.

- Okazałem w ten sposób moje najwyższe zadowolenie - rzekł. - Ziściło się bowiem to, o czym marzyłem dla swej siostrzenicy od dawna. Pragnąłem zawsze, by wzięła sobie za męża takiego właśnie jak ty, dzielnego i rozumnego młodzieńca! - Dodał uśmiechając się chytrze: - I wiesz co, senor? Powiem ci w tajemnicy: Dolores wyznała mi, że jest zakochana po uszy właśnie w tobie. Teraz tylko od ciebie zależy, byście się porozumieli co do dnia ślubu! Oto moje błogosławieństwo! Idź do niej, znajduje się w swych pokojach!

Zefirio uklonił się głęboko i wyszedł.

Gdy drzwi zamknęły się za wychodzącym, książę znów dał upust swej, wesołości:

- Cha, cha! - śmiał się. - Toż dopiero zabawa rozpocznie się za chwilę. Zemściłem się za tego kozła. Nie jestem księciem Ramidem y Carvalhem, jeśli ten dureń wyjdzie z pałacu cały po konferencji z senoritą Dolores, moją „łagodną” siostrzenicą.

## Zefirio bliski zwycięstwa

Od dłuższego czasu widziano Zefiria, jak przebiegał ze strzelbą na ramieniu stepy i lasy okoliczne. Widziano również, jak zaplątawszy się w wysokiej trawie lub przeskakując przez wąski strumyk padał nosem na ziemię.

Zorro nie ukazywał się od dłuższego czasu. Zefirio opowiadał z dumą, że Zorro się złąkł.

Spotkała go też nieraz niemiła przygoda. Napotykanymi wieśniacy, dla których Zorro był bohaterem, słysząc przechwałki Zefiria, rzucali się nań z pięściami lub kijem, usiłując wpoić weń szacunek dla dobroczyńcy ciemniejszego ludu Aragonii.

Zefirio brał zazwyczaj nogi za pas, a uciekał tak prędko, że trudno go było dogonić.

Pewnego dnia księżę spostrzegł głupca kręcącego się koło pałacu. Kazał go przywołać.

- Cóż Zefirio! - kręcisz się w pobliżu swej bogdanki?

- Nie, mości księżę! - szepnął Zefirio tajemniczo. - Widziałem Zorrę koło pałacu!

Dreszcz przeszedł księcia.

- Widziałeś Zorrę? - zapytał gorączkowo. - Nosił maskę?

- Nie! Był bez maski!

- Poznałeś go?

- Tak jakbym poznał samego siebie w lustrze! - rzekł kłaniając się nisko.

Gdy Zefirio odszedł, księżę rozkazał podwoić straż wokół pałacu. Nie wierzył zbyt temu, co mówił Zefirio, lecz wolał mieć się na baczności.

Wieczorem pałac jednak został podpalony z czterech stron. Daremnie straż przyboczna i wojsko walczyli z ogniem – pałac spłonął do szczętu nad ranem.

Najbardziej gorliwy przy gaszeniu pożaru był Zefirio. Prawdę mówiąc, więcej przeszkadzał, niż pomagał. Nazajutrz księżę otrzymał list następującej treści:

*Mości Księżę! Pałac spłonął! Na tym poprzestaną na razie, jeśli wsadzisz Zefiria do więzienia! Jest on jedynym człowiekiem, który widział mnie bez maski!*

*Twój uniżony sługa*

*Zorro*

Don Alvarez triumfował. Raport wysłany do Madrytu odniósł skutek. Niebawem nadeszła odpowiedź w formie rozkazu:

*Do wszystkich oddziałów wojska, żandarmerii i policji. Ja, królowa Hiszpanii, Kastylii, Indii itd. rozkazuję, by niezwłocznie oddać się do dyspozycji kapitana don Alvareza y Gonzano celem schwytania bandyty przezwiskiem Zorro.*

*Podpisano: Ja, królowa Izabella II.*

W tym rozkazie pominięty został don Ramido y Carvalho, gdyż jako wielkorządca nie mógł dać sobie rady z człowiekiem w czarnej masce. Więc don Alvarez triumfował. W swej rozognionej wyobraźni widział siebie prowadzącego Zorrę na łańcuchu. Widział siebie na miejscu don Ramida, wielkorządcy. Nie zwlekając wydał odpowiednie rozkazy i kampania rozpoczęła się.

Wszystkie transporty pieniędzy skarbowych otrzymały niewielką eskortę. Lecz była to tylko pułapka dla Zorry. Nieco dalej postępowały silne oddziały wojska, policja zaś i żandarmeria - poprzebierana za chłopów - krążyła niezmordowanie w pobliżu.

Don Alvarez przeprowadzał systematyczne obławy i niespodziewane rewizje w hacjendach, chatach wiejskich i podejrzanych domach miasteczek Aragonii. Saragossa, stolica Aragonii i miejsce pobytu księcia, nie była wyłączona spod kontroli Alvareza.

Na drogach publicznych rewidowano wszystkich napotkanych młodych 'ludzi, których wygląd przypominał Zorrę.

Silny oddział dążył drogą prowadzącą do Huesco. Był pogodny poranek i powietrze nie straciło jeszcze swej nocnej świeżości.

Oddziałem tym dowodził sam don Alvarez. Jechał konno na przedzie, niewyspany i nachmurzony.

Tej nocy w okolicy Huesco, korzystając z ciemności, Zorro zrabował pieniądze wysłane królowej. Nikt z eskorty nie wiedział, jak to właściwie się stało. Wyrósł jak spod ziemi koło wozu, powalił uderzeniem pięści strażników i zrabował złoto - nie krępując się wcale obecnością licznych żołnierzy. Stało się to tak cicho, że dopiero wszczęto alarm, gdy strażnicy odzyskali przytomność.

Jechali w milczeniu. Mijając zagajnik, jeden z sierżantów dojrzał postać ludzką znikającą pomiędzy drzewami.

Kilku żołnierzy puściło się w pogoń. Trzymając broń w pogotowiu, wpadli w zagajnik.

Jeden z nich wyprzedził pozostałych. Nagle do uszu jego dobiegł okrzyk:

- Zorro, poddaj się, bo strzelam!

Ujrzał spomiędzy zarośli wystającą lufę, rzucił broń i podniósł ręce do góry, wołając:

- Ależ señor, ja nie jestem Zorro!

Nadbiegli inni trzej żołnierze i pod groźbą wycelowanej lufy, musieli również rzucić broń i podnieść ręce do góry.

- Ha! trzymam was również, pomocnicy Zorry.

- W tył zwrot i marsz przed siebie! - rozległ się surowy głos niewidzialnej postaci.

Jakież było zdumienie don Alvaraza i całego oddziału, gdy ujrzeli wyłaniających się z zagajnika czterech żołnierzy z podniesionymi do góry rękami. Za nimi, trzymając strzelbę w pogotowiu, ukazał się... Zefirio!

Don Alvarez smagnął konia i dopadł dziwnej grupy.

- Co to wszystko znaczy? - zawołał gniewnie.

Twarz Zefiria rozjaśniła się uśmiechem radości.

- Aaa, señor Alvarez! Witaj mi, przyjacielu! Oddaję ci Zorrę i jego trzech sojuszników!

- Czyś oszalał, człowieku? - krzyknął don Alvarez. – Czy jesteś ślepy? Przecież to nasi żołnierze, nie widzisz mundurów?

- Rzeczywiście... - przyznał Zefirio. - A jednak Zorro i jego szajka mogli się przecież przebrać! Trudno się nie pomylić, jeśli jeden z żołnierzy swym wyglądem tak przypomina Zorrę. - Wskazał na żołnierza, który był szczupły i smagły na twarzy i rzeczywiście nieco podobny do ściganego młodzieńca w masce.

Cały oddział nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Wszystkim Zefirio był znany i wiedzieli, co mają o nim sądzić. Don Alvarez rozchmurzył się. Ten Zefirio był naprawdę rozbrajający.

- Potrójny głupcze! - zawołał. - Jeśli mamy brać do niewoli każdego, kto ma podbródek lub wzrost Zorry, to musiałbym chyba i ciebie wpakować do więzienia, bo ty i Zorro jesteście podobni do siebie jak dwie krople wody.

- Tak, wiem o tym - rzekł z dumą Zefirio. - Mówiono mi już nieraz, że podobny jestem do niego!... Ale ja jestem dzielniejszy...

Ogólny wybuch śmiechu był odpowiedzią. Żołnierze omal nie pospadali z koni.

Don Alvarez odwrócił się na siodle i huknął groźnie:

- Cicho tam w szeregach!

- Pozwól im, kapitanie, niech się śmieją! Jest to przejaw uznania dla mnie. Waleczni wojacy zawsze darzą sympatią takich ludzi jak ja, ludzi nieustraszonych!...

Teraz i don Alvarez nie mógł utrzymać należytej powagi. Gdy się przestał śmiać,

Zefirio rzekł z wdzięcznością:

- Dziękuję ci, kapitanie! Byliśmy w niezgodzie, lecz zawsze wiedziałem, że poznasz się na mnie wreszcie... A teraz mam do ciebie jedną prośbę, kapitanie...

- Pułkowniku, zostałem bowiem mianowany pułkownikiem!

- Ach... wieszuję z całego serca! A więc pułkowniku, mam do ciebie wielką prośbę...

- Słucham!

- Pozwól, bym ci towarzyszył... chcę wziąć udział w wyprawie.

- Niemożliwe! Nie mamy zapasowych koni.

- Mam swego rumaka!

- Masz? Gdzie?

- W tym zagajniku. Uwiązałem go.

- Sprowadź więc!

Zefirio znikł pomiędzy drzewami i wkrótce zjawił się ciągnąc za sobą zwierzę.

Nowy wybuch śmiechu powitał „rumaka” Zefiria.

Był to muł.

- Na Boga, człowieku! Nie chcesz chyba na mule podążać wraz z oddziałem? - Dlaczego? Przecież on jest ładny! Podobny zupełnie do konia! - Tak, lecz muł jest zbyt powolny. Nie nadąży za oddziałem... - Nie nadąży? - Nie! Pozostanie daleko w tyle! - Mam na to radę! - Jaką? - Rozkaż twym żołnierzom, by poczekał tutaj, ja zaś pojedę przodem co koń wyskoczy, przepraszam, co muł wyskoczy. Otóż gdy ujadę jakieś dziesięć mil, będziecie mnie doganiać. Gdy mnie już dogonicie, zatrzymacie się znów na jakąś godzinę, a ja znów pognam, co muł wyskoczy. W ten sposób nie pozostanę w tyle. - I dodał z dumą: - No co? Zły pomysł?

Noc zapadła. Wóz wiozący złoto stanął. Żołnierze zsiadli z koni i rozłożyli obóz w polu.. Wóz został wzięty w środek. Don Alvarez rozstawił wartę. Wszyscy pokładli się na rozesłanych derkach i po pewnym czasie zasnęli, z wyjątkiem wartowników.

Jakiś cień poruszył się w pobliżu wozu. Był to Zorro, który czołgał się po ziemi. Dotknął ręką koła i wstał. Ostrożnie rozchylił płótno zasłaniające tył budy i zwinnie wślizgnął się do środka.

Rozległy się dwa tępe uderzenia, po czym nastąpiła cisza. Płótno znów się rozchyliło i Zorro bezszelestnie wylazł z wozu. Poprawił chustkę na głowie oraz maskę na twarzy i wyciągnął z wozu ciężki worek. Następnie wyciągnął szeroki nóż zza pasa ukląkł i zaczął rycić ziemię. Po chwili zagłębienie zostało wykopane.



Ujął worek, rzucił do środka i przysypał ziemią, uklepując starannie.

Praca została skończona. Zorro, sunąc twarzą przy ziemi, oddalił się od wozu.

Minął czas pewien. Wtem rozległ się strzał wśród ciszy nocnej i głośny okrzyk:

- Do broni!... Zorro!...

Żołnierze skoczyli na nogi, chwytając za broń.

Don Alvarez, z pistoletem w ręku, pobiegł w stronę, skąd dochodził krzyk.

Zefirio stał na skraju obozu, ze strzelbą w ręku i krzyczał na całe gardło:

- Do broni!... Zorro!... Zorro!... Do broni!...

- Gdzie Zorro? - zawołał don Alvarez potrząsając silnie Zefirio. - Gdzie go widzisz?

- Pobiegł w tym kierunku!

- Skąd wiesz, że to był Zorro?

- Leżałem z otwartymi oczami, nie mogąc zasnąć. Nagle ujrzałem cień skradający się w stronę wartowników. Na razie zaniemówiłem, lecz gdy odzyskałem głos, chwyciłem za strzelbę i wypaliłem. Cień skoczył i pognął w tę oto stronę.

Don Alvarez był wściekły:

- Budzisz cały obóz niepotrzebnie! Przecież rozstawiłem gęsto wartowników, wąż by się nie przemknął. Prócz tego żołnierze śpią dookoła wozu z pieniędzmi. Zorro nie jest duchem... Daj spać ludziom, przywidzenia i halucynacje zostaw dla siebie, w przeciwnym bowiem razie, będę zmuszony przepędzić cię na cztery wiatry.

- A jednak widziałem Zorrę - upierał się Zefirio. – Skradał się od strony wozu.

Don Alvarez szedł już do swego namiotu, lecz ostatnia uwaga Zefiria zatrzymała go w pół drogi.

- Dowiodę ci, Zefirio, żeś głupiec! - rzekł.- Chodź ze mną do wozu, sprawdzimy, czy wszystko w porządku.

Wziął latarnię od żołnierza i poszli.

Po chwili rozległy się okrzyki pełne wściekłości i przerażenia.

Dwaj strażnicy, pilnujący złota, leżeli bez przytomności na dnie wozu. Worek znikł. Na płótnie budy wycięte zostały trzy podłużne otwory w kształcie litery „Z”.

## Senor Pablo Ravales

Było pochmurne popołudnie. Deszcz lał przez całą noc i ziemia całkiem rozmiękła. Tu i ówdzie woda tworzyła olbrzymie kałuże nie do przebycia.

Anzelmo Corti wyszedł z patia, kazał zaprząć wózek dwukołowy i pojechał obejrzyć plantacje. Wszystko było w porządku, ulewa nie wyrządziła żadnych szkód. Wracał do domu w dobrym humorze. W oddali za nim na drodze uniósł się tuman kurzu. Kareta podróżna, zaprzęzona w sześć koni, sunęła dość szybko.

Po chwili zrównała się z pojazdem, w którym siedział Corti.

- Hej, senor! - rozległ się okrzyk tuż za nim. - Wskaż mi, proszę, gdzie tu mieszka Anzelmo Corti?

Senor Anzelmo odwrócił głowę. Z okna karety patrzył na jakiś jegomość ubrany po miejsku; akcent wskazywał mieszkańca Madrytu. Mógł mieć około lat pięćdziesięciu pięciu. Siwizna mocno przyprószyła jego skronie. Oczy prawie nieruchome, kłujące, natarczywe, wywierały niemiłe wrażenie.

Wraz z nim w karecie byli jeszcze dwaj mężczyźni. Twarzy ich nie można było dojrzeć, siedzieli bowiem w głębi.

- To ja nim jestem! - odpowiedział uprzejmie Anzelmo.

- Ach, co za szczęśliwy traf! - zawołał nieznajomy. - Woźnica, zatrzymać konie!

Karoca zatrzymała się i ów jegomość lekko zeskoczył na ziemię. Trzymał się doskonale jak na swój wiek i jego wysoka, barczysta postać znamionowała niepospolitą siłę fizyczną.

Szybkim krokiem zbliżył się do wózka Cortiego i rzekł wyciągając rękę na przywitanie..

- Nazywam się Pablo Ravales, handel dobrami ziemskimi, kupno i sprzedaż!

Corti ujął podaną dłoń i rzekł: - Sądzę, iż macie jakiś interes do mnie, senor. Nie będziemy rozmawiali na drodze, nieprawdaż? Proszę, siadźcie, senor, razem ze mną, podwiozę was.

Pablo Ravales usiadł na ławeczce obok Cortiego i wózek ruszył. Karoca podążała za nimi.

Po drodze Pablo Ravales ciekawie rozglądał się w obie strony, wreszcie rzekł:

- Czyje to plantacje, te z lewej strony drogi?

- Moje!

- A te z prawej?
- Również moje!
- Ten gaj przed nami?
- Wszystko tutaj należy do mnie!

Pablo Ravales ziewnął ostentacyjnie:

- Nno tak! - rzekł od niechcienia. - Szmata ziemi, ale grunt tutaj nie szczególny.

Widziałem lepszy w Andaluzji, Estramadurze...

- Taki jaki jest, wystarczy mi najzupełniej.

- Dlaczego tak mówicie, senor? Człowiek dzielny i przedsiębiorczy nie powinien nigdy zadowalać się tym, co ma, ale zawsze musi szukać lepszego.

- Zależy od charakteru! Co do mnie, nie uskarżam się!

Dojechali do domu.

Karoca stanęła również, drzwiczki się otworzyły i wysiedli z niej dwaj mężczyźni.

Corti na ich widok zmarszczył czoło, lecz uprzejmość hiszpańskiego hidalga wzięła górę. Uśmiechnął się przyjaźnie i wyciągnął rękę na powitanie ku przybyszom.

Rzeczywiście, wygląd obu tych panów nie budził zbyt dużego zaufania. Wysocy, muskularni, odziani z wyszukaną elegancją, oblicza mieli desperadosów - zbójców!

Szamerowane złotem kurtki, obcisłe, jedwabne spodnie, szerokie, czerwone pasy z cienkiego materiału, czarne hiszpańskie kapelusze ci la torrero w cywilu - ostatni krzyk ówczesnej mody - nie zdołały zatuszować ordynarnych ruchów i bestialskich twarzy.

- Mój sekretarz - rzekł senor Pablo, wskazując draba o jednym oku... - A to mój mierniczy.

Obaj skłonili się w milczeniu.

Anzelmo zaprosił wszystkich do środka. Po chwili siedzieli w gabinecie pana domu, paląc długie cygaretki.

Ravales przystąpił do sprawy.

- Jak wam już mówiłem, senor, jestem kupcem, handluję dobrami ziemskimi. Staram się zawsze zadowolić moich klientów, choćbym nawet sam miał przy tym stracić. Opinia firmy to grunt, do tysiąca diabłów! Otóż przed tygodniem zgłosił się do mnie stały mój klient, wielki dziwak, mówiąc między nami, i oświadczył mi, że pragnie nabyć posiadłość ziemską w Aragonii, pomiędzy Huesco a Saragossą. Teren jest bardzo biedny, jałowy, rzekłem do niego. To nic, odparł, nie chodzi mi o zysk, ot, strzeliło mi do głowy, że osiedlę się w tamtych stronach. Bardzo mi się podobała posiadłość senora Anzelma Cortiego. Wpłyn na niego, by mi ją sprzedał. O cenę nie dbam - zapłacę, ile zażąda. Proponowałem mu grunty w innej

provincji, olbrzymie, żyzne obszary, które mógłby kupić za bezcen, ale nie chce słyszeć nawet. No, co pan na to, senor Anzelmo?

- Hm, to bardzo ciekawe.

- Nieprawdaż? Otóż wystarałem się o informacje. Pańskie posiadłości, wszystko razem wzięte, warte są z górą milion peso, czy tak?

- Nie więcej, rzeczywiście.

- A więc mój klient proponuje półtora miliona, słyszy pan, senor Corti?

- Hm, piękna suma...

- Więc zgoda? Podpiszemy cesję...

- Hola, powoli mój panie. Nie mówiłem przecież, że sprzedam...

- Senor Corti... Półtora miliona, mój klient da nawet dwa miliony! Za te pieniądze zobowiązuję się dostarczyć ci dwa razy większą posiadłość w żyznej okolicy...

- Na próżno, senor Pablo Ravales! Ziemia ta należała do mych dziadów i pradziadów, nie mogę jej sprzedać, gdyż tak jak mi ją przekazał mój ojciec, muszę przekazać ją memu synowi.

- Brednie. Dwa: miliony, powiedzmy dwa i pół miliona, to już nie do pogardzenia. Pański syn; sądzę, byłby rozsądniejszy.

- Mój syn? Możliwe. Jeśli chce pan wiedzieć, senor Pablo, to syn mój miałby tu więcej do powiedzenia niż ja. Jestem już stary, pożyję może jeszcze kilka lat, mój syn zaś całe życie ma przed sobą. Gdy zechce po mojej śmierci...

- Nie obchodzi mnie daleka przyszłość, senor - rzekł Pablo Ravales, wstając. - Polecono mi kupić posiadłość dzisiaj, więc tylko dzień dzisiejszy mnie interesuje.

- Ha, trudno! Nic na to nie poradzę.

Senor Pablo nachmurzył się, dwaj inni spojrzeli na siebie.

- Senor Corti, ziemię tę muszę mieć, honor mej firmy jest najważniejszy. - Podniósł głos: - Czy chcesz, czy nie chcesz pan, zmuszę cię do sprzedaży, lecz wówczas ja będę dyktował warunki!

Anzelmo Corti wstał również.

- Cóż to, grozisz mi, senor? Chybiłeś celu, pogróżek się nie ulękne...

Wtem w drzwiach rozległ się zaspany głos:

- Ojczy, dlaczego mówisz o pogróżkach? Czy oni ci grożą?

Był to Zefirio. Wstał dopiero z łóżka, kołnierz koszuli miał rozpięty i włosy w nieładzie. - Ziewnął przeciągle raz i drugi. Anzelmo w krótkich słowach wyłuszczył mu całą sprawę.

Zefirio uśmiechnął się głupekowato, wlepił w obcych swe baranie oczy i rzekł:

- Dziwię się, ojczecze, że odrzucasz tak pończną propozycję. Dwa i pół miliona peso, ho, ho! Wobec takiej sumy, o Madonno de l Pilar, można zapomnieć o dziadach, pradziadach i wszystkich przodkach od Adama i Ewy poczynając.

- Więć radzisz? - zapytał Anzelmo zdumiony.

- Ależ tak, mój ojczecze! Przeniesiemy się w lepsze okolice. Ród nasz rozpocznie nowy żywot na nowym miejscu, gdzie i ty zostaniesz swoim własnym przodkiem, takimże samym pradziadem rodu Cortich za jakieś sto lat.

Pablo Ravales słysząc te słowa, z trudem ukrył swą radość. Towarzysze jego uśmiechnęli się szeroko.

Zefirio ciągnął dalej:

- Tylko że taka przeprowadzka wymaga wiele, bardzo wiele pieniędzy! Senor, daj dziesięć milionów i bierz ziemię.

Pablo podskoczył jak oparzony.

- Czyś oszalał, młody człowieku? Dziesięć milionów, ależ to szaleństwo! - Wobec tego nie sprzedajemy! - uparł się Zefirio. Pablo Ravales stracił panowanie nad sobą. - Sprzedacie, mówię wam! I sprzedacie poniżej ceny! Już ja was do tego zmuszę! Zobaczycie, z kim macie do czynienia! Kupię ją za pół miliona i będziecie mi jeszcze dziękować.

- Chodźmy - zwrócił się do swych towarzyszy.

- Chwileczkę, senor! - rzekł Zefirio. - Sprzedamy ci całą posiadłość za pół miliona!

- Cooo?

Pablo osłupiał, sądząc, że Zefirio dostał pomieszania zmysłów... Anzelmo poruszył się niespokojnie, Zefirio uspokoił go jednak nieznacznym ściśnięciem ręki.

- Tak, sprzedamy ziemię, ale pod jednym warunkiem. Czy umiesz grać w morę, senor?

Wszyscy trzej spojrzeli na siebie zdumieni w najwyższym stopniu.

Mora - to prastara gra hiszpańska. Wymaga bystrego oka, zimnej krwi i zręczności partnerów. Dwaj grający siadają za stołem naprzeciw siebie. Każdy z nich chowa prawą rękę, zaciśniętą w pięść, pod stołem. Na dany sygnał obaj wyciągają błyskawicznie pięść przed siebie i prostują palce. Sztuka polega na tym, że gdy partner prowadzący grę prostuje dwa palce, drugi błyskawicznie musi odpowiedzieć prostując trzy palce, gdy jeden prostuje cztery, drugi partner prostuje natychmiast jeden palec, uzupełniając ogólną liczbę pięć.

Gra odbywa się z błyskawiczną szybkością i trzeba mieć szaloną wprawę, by się nie pomylić. Omyłka - to przegrany punkt, opieszłość w odpowiedzi - również strata punktu.

Prowadzi grę ten, który wygrywa punkt.

- A więc zgoda? - rzekł Zefirio. - Zagramy w morę o te pół miliona. Jeśli wygram, zabieram pieniądze; jeśli zaś przegram, bierzesz ziemię.

- Dobrze! - rzekł Pablo, siadając. - Gramy do stu punktów.

Kto prowadzi?

- Ustępuję ci ten zaszczyt, senor! - rzekł Zefirio. - Zrobię jeszcze to ustępstwo: pomimo przegranych punktów, cały czas będziesz ty prowadził.

Był to warunek niesłychanie ciężki dla Zefiria. Nadawanie liczby nie jest rzeczą trudną - odpowiadanie zaś wymaga żelaznych nerwów i bystrości nie lada.

Teraz wszyscy trzej uważali go za skończonego wariata. Tylko Anzełmo Corti uśmiechał się tajemniczo.

- Rozpoczynamy! - rzekł Pablo.

- W tej chwili! - odparł Zefirio. - Ale nie wszystko jeszcze zostało załatwione! A gdzie jest stawka?

Pablo Ravales wyciągnął z kieszeni asygnatę i położył na stole.

Zefirio sprawdził starannie pieczęć i podpis bankiera.

- W porządku! - rzekł. - Zaczynamy!

Gra się rozpoczęła. Pablo szybko prostował trzy, dwa, cztery palce - Zefirio błyskawicznie uzupełniał do pięciu.

- Trzy! - krzyknął Pablo.

- Dwa! - odpowiedział jednocześnie Zefirio.

- Jeden!

- Cztery!

- Pięć!

- Nic!

- Dwa!

- Trzy!

Grali w coraz szybszym tempie. Pot perlisty występował na czoło Ravalesa.

Zefirio przybladł nieco, lecz spokojnie na pozór, rzekłbyś bezmyślnie, patrzył w oczy przeciwnika.

- Basta! - rzekł Zefirio, biorąc asygnatę. - Wygrałem! Jeśli chcecie ujrzeć inne sztuczki, w których jestem mistrzem, to wam, służę! Znam doskonale sztuki z chusteczką do nosa, monetami, kamykami i innymi przedmiotami... Hop! Stój! Co to?

Dwaj towarzysze Ravalesa skoczyli nań. Jeden wydarł mu asygnatę z ręki, drugi zaś

pchnął go tak silnie w piersi, że biedny Zefirio zatoczył się i usiadł aż pod ścianą.

- Ratunku, ojcze! Zrabowali mi pół miliona! – zawołał płacząco.

Mężczyźni pchnęli również Anzelma, który im zagrażał drogę, i wyszli.

Wychodząc ostatni, Pablo Ravales rzekł do Anzelma:

- Jeszcze się policzymy, senor!

## Wyrównany rachunek

*O Mercedes - moje serce  
Krwawi, cierpi i zamiera,  
Gardzisz, trzymasz w poniewierce  
Dumne serce caballera.  
Cabellero się zbuntuje  
I odrzuci precz pokorę.  
Piękne usta ucałuje  
O Mercedes, mio amore.*

Słowa pieśni odbijały się echem od pobliskich skał. Teren był nagi, pustynny, spalony żarem słonecznym.

Rumak sunął jak strzała. Jeździec śpiewał na całe gardło, skandując strofy strzelaniem z długiego bicia z bawolej skóry.

Maska z czarnego jedwabiu przesłaniała górną połowę oblicza, sięgając prawie do ust. Końce czarnej chusty powiewały na wietrze. Szpada wisiała u boku.

Zorro, w pełnym swym rynsztunku, śpiewając głośno smętną piosenkę, gnał jak wichur. Pędził na przełaj przez piachy i ugory i dopadł traktu w chwili, gdy karoca zaprzężona w sześć koni, minęła zakręt i mknęła wprost na niego.

Zorro spał konia pośrodku drogi.

Woźnica, na widok niesamowitego jeźdźcy, zaciął konie. Zorro szarpnął swego rumaka, by nie wpaść pod karete. Rozległ się świst bicia i woźnica zleciał na ziemię.

Rozhukane konie poniosły.

Zorro uderzył ostrogą i zrównał się z rozszałymi zwierzętami. Jeden skok - Zorro siedział już na jednym z koni zaprzęgniętych do karety i ujął lejce w swe ręce. Krótkie dwa szarpnięcia i konie stanęły. Wtem rozległ się strzał i kula przeleciała tuż nad jego głową. Zorro zeskoczył na ziemię i rzekł, oddając głęboki ukłon, w stronę karety:

- O, panowie! Co za niewdzięczność. Ratuję wam życie, wy zaś dybiecie na moje?

Zbliżył się do karocy:

- Fe, senior. Nie spodziewałem się tego po was. Wyglądacie na szlachetnych grandów, a postępujecie jak poganiacze mułów!

W oknie ukazała się blada i wykrzywiona twarz Pabla Ravalesa.

- Czego chcesz od nas?! - zawołał. - Jesteśmy spokojnymi kupcami, nie czyniącymi



zła nikomu.

- I nie płacącymi rachunków! - uzupełnił Zorro.

- Jak? Co?..

- Może się mylę! Senor - ty jesteś Pablo Ravales?

- Tak... ja....

- A więc wszystko w porządku. Mam do zainkasowania pół miliona peso, które zabraliście temu biednemu Zefirio. Dotąd nie może się pocieszyć. Aż serce się kraje, tak płacze.

Rozległy się stłumione okrzyki i nagle żyłasta ręka, uzbrojona w pistolet, wysunęła się przez okno, celując w głowę Zorry. Ten schylił się błyskawicznie i wyciągnął szpadę z pochwy. Kula przeleciała tuż nad nim, po czym nastąpiło krótkie pchnięcie i Pablo Ravales ryknął z bólu. Ostra stal przebiła mu rękę.

Zorro szarpnął drzwiczki karocy i otworzył je szeroko.

- Wyłazić! - rzucił krótko, trzymając szpadę w pogotowiu. Pasażerowie wysiedli. Było ich trzech.

- Senor Ravales - rzekł Zorro - proszę o pieniądze. Zwrócę je wierzycielowi, możecie mi zaufać. Zorro nie ograbia ludzi, lecz broni pokrzywdzonych. W danym wypadku bronię interesów biednego chłopca, którego jedyną wadą jest to, że wam powierzył taką sumę...

- Nieprawda! - ryknął Ravales. - To są moje pieniądze. Oszukiwał w morze.

- To już wasza osobista sprawa! Ja w to nie wchodzę. Mam podjąć pół miliona peso, i to wszystko. Nic mnie więcej nie obchodzi...

Ujął bicz w rękę. Ten argument poskutkował.

Ravales, pniąc się z wściekłości, włożył zdrową rękę do kieszeni i wyciągnął asygnatę...

- O nie, dziękuję! - zawołał Zorro. - Asygnata nie ma żadnej wartości w obecnych warunkach. Łatwo bowiem udowodnicie, że ją wam zrabowano. Banknotami i złotem proszę.

- Nie mamy złota ani banknotów! - mruknął Ravales.

- Czy mam poszukać?

Klnąc i wzdychając ciężko, Ravales zaczął wyciągać banknoty, jeden za drugim.

Wysypał wszystkie złote monety z sakwy i zbierał zaledwie czterysta tysięcy peso.

- Brakuje jeszcze sto tysięcy - rzekł Zorro, pakując pieniądze do kieszeni -lecz je wam daruję... I jeszcze mała uwaga. Pomiędzy mną i Zefiriem doszło do małego nieporozumienia. Stroną pokrzywdzoną jestem ja... Ten chłopiec prześladowuje mnie od pewnego czasu... Zobowiązałem się jednak wobec niego, że podejmę należne mu pieniądze i

wręczę mu całą sumę. Gdy jednak znajdzie się w ich posiadaniu, odbiorę mu je, by rozdać biednym. W ten sposób nasz rachunek zostanie wyrównany...

Urwał, gdyż dostrzegł podejrzany manewr jednookiego draba, który kryjąc się za plecami Ravalesa, ostrożnie sięgnął do kieszeni po pistolet.

Rozległ się świst bicia. Rzemień owinał się dookoła draba, wyrócił go na ziemię i zaczął ciąć niemiłosiernie.

- Oto mój podpis! - zawołał Zorro, puszczając konia galopem.

Na lewym policzku jednookiego widniały trzy pręgi w kształcie litery „Z”.

## Don Herminio Candida

W odległości pięciu zaledwie kilometrów od Leridy, tam gdzie droga biegnie zygzakowato na południe, pomiędzy stromymi zbo czarni skał mieściła się w głębi kotliny niewielka osada składająca się z kilkudziesięciu nędznych domostw. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie mieszkał w niej don Herminio Candida, słynny zawadiaka, awanturnik i człowiek o tak złej reputacji, że mieszkańcy sąsiednich osad podróżując, umyślnie nakładali drogi, byle tylko nie spotkać się z niebezpiecznym opryszkiem.

Drab o złośliwej fizjonomii, szybkich, kocich ruchach był zakałą całej okolicy w promieniu czterdziestu mil. Jeśli się weźmie pod uwagę ognisty temperament Hiszpanów, to należy przyznać, że ów Herminio musiał być zuchem nie lada, skoro zdołał napędzić strachu swym ziomkom jedynie dzięki sile swej pięści i buta oraz celności strzałów..

Wszystkie jego występki i zuchwalstwa uchodziły bezkarnie. Ani razu żandarmeria don Alvareza nie zainteresowała się jego wyczynami, choćby nawet niewinna krew została przelana. Szeptano zatem powszechnie, że Herminio jest szpiegiem na usługach wielkorządcy, jednym z wielu szpiegów, od których roilo się po wsiach i miasteczkach.

Wystarczyło bowiem, gdy którykolwiek z wieśniaków kupił sobie krowę lub sprawił żonie kosztowny prezent, a już zjawiał się u nieszczęśliwca komisarz książęcy i z całą bezwzględnością ściągał podatek. I działo się to zawsze, gdy Herminio dowiedział się o kupnie krowy lub prezentu.

Wystarczyło, by ktokolwiek wypowiedział w obecności Herminia lub jednego z jego przybocznych satelitów jakieś niepoehlebne słówko dotyczące księcia wielkorządcy, a już wkrótce zbiry książęce zakuwały biedaka w kajdany, zabierały dobytek i paliły chatę.

A don Herminio pił, hulał, trwonił pieniądze i czynił wypadki do sąsiednich osad i wiosek, pobierając haracz, na własną rękę, od struchlałych okolicznych mieszkańców.

Awanturnik nie bał się na świecie nikogo prócz Zorry. Stawał się niespokojny, gdy w jego obecności wymawiano imię tego zamaskowanego pogromcy łupieżców, ale nadrabiał miną i zapewniał wszystkich z głośnym śmiechem, że Zorro nigdy nie odważy się zagłębić w okolice, które stanowią królestwo Herminia Candidy.

- On sobie, a ja sobie - mawiał. - On łupi w okolicy Huesco, a ja w okolicy Leridy. I dawał do zrozumienia słuchaczom, że pomiędzy nim a Zorzą zawarty został tajemny układ. W głębi duszy liczył jednak na to, że Zorro nigdy nie trafi do tej okolicy znajdującej się zupełnie na uboczu.

Pewnego dnia, kiedy osmagał do krwi Bogu ducha winnego kowala i porwał jego narzeczoną, usłyszał złowrogie słowa:

- Zobaczysz, Herminio, że Zorro policzy się z tobą!...

- Zorro? - ryknął drab, smagając z całych sił nieszczęśliwca.

- Ja pluję na niego. Słyszysz?.. Możesz mu powtórzyć, że jeśli odważy się przyjechać w te strony, nie pozostanie z niego nic prócz maski!...

Słowa te zostały powitane głośnym śmiechem przez jego popleczników, ale sam Herminio naprawdę zląkł się swych słów.

Na szatana, pomyślał, ten kowal gotów jest odnaleźć Zorrę i powtórzyć mu moje słowa...

I oto następnego ranka znaleziono martwe ciało biednego kowala, leżące nie opodal jego kuźni.

Herminio był jednak nadal niespokojny. Wiedział, że jego zła sława rozeszła się daleko poza granice okręgu. Postanowił więc, iż uspokoi się na pewien czas i powstrzyma od burd i bójek.

Tak też postąpił. Zaszły się w swej osadzie, ale jego burzliwa natura cierpiała z powodu przymusowej bezczynności. Nie bardzo pasowała doń skóra baranka.

Ale oto rozeszła się z błyskawiczną szybkością niewiarygodna wieść, że głupi Zefirio, syn Anzelma Cortiego, wyzwiał Zorrę. Herminio parsknął śmiechem prosto w nos człowiekowi, który mu o tym doniósł.

- Zefirio, ten tchórzliwy błazen, wyzwiał Zorrę? - zawołał wśród wybuchów śmiechu.

- Człowieku, czyś ty oszalał, czy też stroisz sobie głupca ze mnie?.. Zefirio ośmielił się na coś podobnego wobec mego przyjaciela Zorry?

Ale dalsze wieści, które nadchodziły, były jeszcze bardziej nieprawdopodobne. Opowiadano bowiem, że Zorro nie tylko, że nie ukarał głupca, ale nawet wyraźnie go unika.

Zorro zląkł się głupiego Zefiria!... To nie do wiary!

Don Herminio Candida wpadł na genialny pomysł. Jeśli Zorro rzeczywiście unikał spotkania z głupcem, więc on, Herminio, pokaże zamaskowanemu jeźdźcy, co potrafi. Schwyta Zefiria i osmaga go biczem do krwi. Niech Zorro przekona się, że ma w nim przyjaciela, który mści jego zniewagę, a gdy przekona się o tym, to kto wie? - może wyciągnie doń rękę i staną się prawdziwymi przyjaciółmi, po czym Herminio będzie mógł bezkarnie hulać, łupić i krzywdzić swych rodaków, nie obawiając się wstawiennictwa Zorry.

Jako człowiek czynu, nie zwlekał z wykonaniem swego postanowienia. Zwołał więc swą szajkę i powiedział:

- Słuchajcie, chłopcy, obmyśliłem dla was świetną zabawę. Od dwóch tygodni gnijecie w beczynności, czas więc rozruszać się nieco...

Awanturnicy zamienili się w słuch. Ze sposobu w jaki Herminio przemawiał, wyczuli, że ma dla nich w zanadru nie lada okazję do śmiechu i wesołości.

- Czy znacie historię głupiego Zefiria? Czy wiecie, na co odważył się ten tchórzliwy bałwan, którego nawet zając się nie złąknie? .

- Wiemy, wiemy! - rozległy się zewsząd okrzyki. – Zefirio wyzwiał Zorrę na pojedynek!...

- A więc słuchajcież, moje dzieci! - zawołał Herminio z triumfem. - My mu urządzimy taki pojedynek, że nie zapomni o nas i wtedy, kiedy już będzie miał długą i siwą brodę!...

- Cha, cha!... Wspaniale, wybornie, per Bacco, per Jovo, per Satanio - zagrzmiął huczny śmiech z kilkunastu gardzieli.

- No i cóż! - wołał Herminio. - Czy nie wspaniała zabawa?.. Zastanówcie się tylko: Zefirio ubliża facetowi w masce; Zorro puszcza zniewagę płazem, ale Herminio ujmuje się za nim i karci przykładowie śmiałka...

- Rozbierzemy go do naga...

- Oćwiczymy go biczem...

- Wypiszemy na całym jego ciele literę „Z”.

- Nie, nie!... Wypiszemy raczej literę „H”. - Cha, cha!... wspaniale, cudownie, wyrzeźbimy na nim literę „H”. - Herminio... Olle, Herminio!... Zapanował hałas nie do opisania. Jeden starał się przekrzyczeć drugiego. Wiwatowano wśród wybuchów śmiechu i podrzucano sonbrerra w powietrze.

Wreszcie grzmiący głos Herminia zapanował nad wrzawą:

- Bądźcie cicho, chłopcy. Nie traćmy czasu na próżno. Wszyscy na koń, opatrzeć broń i w drogę.

## Przygody głupca

Zefirio był w błogim nastroju człowieka, który jest w idealnej zgodzie z sobą samym i swymi bliźnimi. Pogodnie uśmiechnięty napawał się aureolą sławy, jaka otoczyła ostatnio jego osobę. W związku z wyzwaniem Zorry.

Ale ten jego błogi stan duszy miał być niebawem zakłócony. Otóż pewnego pięknego poranka do hacjendy przybiegł zdyszany chłopiec, oznajmiając wszystkim obecnym, iż słynny zawadiaka i awanturnik don Herminio Candida ruszył w te strony, by porachować kości młodemu seniorowi Zefirio Cortiemu.

Senor Anzelmo zląkł się o swego syna. Również Mercedes w głębi duszy uczuła litość i współczucie dla biedaka, jeden tylko generał Borrigo zbliżył się ku niemu i poklepał go po ramieniu, wołając dobrodusznie:

- Ho, ho, trafiła kosa na kamień. Cóż dla naszego Zefiria, który nie uląkł się Zorry, znaczy taki marny Herminio Candida? Ręczę, że nasz zuch połknie go jak szczupak płótkę...

- Albo jak Don Kichot wiatraki - wtrącił ni w pięć, ni w dziesięć Zefirio, sam nie wiedząc, co mówi.

Biedak nadrabiał miną, jak mógł. Oglądał się dumnym wzrokiem dookoła, wypinał pierś i wysuwał dolną wargę, usiłując nadać sobie postawę nieustraszonego rycerza. Od czasu do czasu rzucał z ukosa spojrzenie na Mercedes, jakby chcąc przekonać się, jakie wrażenie wywrze na pięknej kuzynce jego bohaterska postawa. I pomimo współczucia Mercedes spostrzegła ten manewr, zagryzła usta, by nie roześmiać się w tej pełnej powagi godzinie niebezpieczeństwa.

- Synku mój - odezwał się stary Anzelmo. - Siła złego na jednego... Ty nie opuścisz domu, mój chłopcze...

Ale Zefirio poczuł się dotknięty do żywego.

- O, mój ojczy! - zawołał z bolesnym przejęciem i uniół rękę gestem Cezara oskarżającego Brutusa. - I ty również uważasz, że ja się boję?.. Czyż nie wystarczyły ci niezbite dowody mej odwagi złożone ostatnio?.. Czyż może obawiać się kogokolwiek człowiek, który wyzwiał samego Zorrę? - Skrzyżował ręce na piersi i wydał pogardliwie wargi. - Ha, niech przybędzie tutaj ten Herminio Candida! - krzyknął donośnie. - A ja udowodnię mu, kto to jest Zefirio. Śmiać przekona się osobiście, co znaczy chcieć wygarbować mi skórę.

Zawołał do przechodzącego służącego:

- Dać mi natychmiast mój najpiękniejszy, złotem szamerowany strój i przyprowadzić najlepszego wierzchowca.

Po upływie pół godziny zebrana służba oraz domownicy z szeroko otwartymi ustami podziwiali lśniącego rycerza, który pędził, o dziwo! w stronę traktu Leridańskiego.

- Oszalał, doprawdy oszalał - pukali się w głowy robotnicy folwarczni. - Patrzcie, głupi Zefirio pędzi na spotkanie opryszka.

A Zefirio poganiał tymczasem swoją niemrawą, opasłą kobyłę. Co pewien czas sięgał do boku, gdzie wisiał jego olbrzymi rapier, oraz obmacywał zdobione srebrem pistolety.

I w ten sposób zniknął z oczu gapiom, wśród tumanu przydrożnej kurzawy.

Wszędzie, gdzie tylko się ukazał, napotkani ludzie stawali olśnieni, z trudem poznając głupiego Zefiria w tej suto szamerowanej powłoce. A Zefirio tymczasem gnał naprzód. Godziny uciekały, południe już minęło i słońce przypiekało mocno.

Nagle na trakcie Leridańskim otoczyła go banda groźnie wyglądających wyrostków. Przewodził im muskularny mężczyzna o twarzy buldoga, czyli sam Herminio Candida.

- Hej, nieszczęsna kreaturo w złocistej oprawie! - ryknął Herminio. - Wyglądasz mi na wspaniałego kretyna... Aż chęć bierze obłuskać cię z tej złoczonej skórki...

Zefirio wyprostował się na siodle i wrzasnął, jak mógł najgłośniejsz: - Precz stąd, kanalio!...

Banda osłupiała.

- Hej, co? - wyjąkał Herminio zaskoczony. - Czy mnie słuch nie myli?.. Jak nazwałeś nas, złotko?

Zefirio wypiął pierś i oznajmił grzmiącym głosem:

- Biada wam, łajdaki... Czy zdajecie sobie sprawę, że napadliście na pułkownika Alvareza y Gonzano?

Członkowie bandy, mieszkańcy zapadłych wiosek, nigdy nie widzieli na oczy wszechmocnego pułkownika, nie wyłączając nawet samego Herminia, który pomimo że był na usługach księcia, miał jednak do czynienia tylko z książęcym komisarzem.

Szef bandy zadrżał.

- Precz, łajdaki! - krzyknął zwracając się do swych ludzi. - Precz od osoby czcigodnego senora Alvareza y Goniano!

I nie zwlekając zaczął płazować zapamiętane swych „podwładnych”.

- Wybacz nam, senor, tę niefortunną pomyłkę - rzekł po chwili zdyszany głosem i kłaniając się nisko. Nie otrzymał jednak odpowiedzi, więc wyprostował się i ujrzał domnianego pułkownika oddalającego się klusem.

Banda stała w miejscu i spoglądała na malejącą w oddali postać jeźdźca.

Widzieli, że wspaniały ten jeździec zatrzymał po drodze jakiegoś przechodzącego wieśniaka i długo z nim rozmawiał, po czym spiął swą kobyłę ostrogami i znikł pomiędzy skałami.

- Ciekaw jestem, o czym pułkownik rozmawiał z tym człowiekiem? - mruknął Herminio, kręcąc się niespokojnie na siodle.

Pognał konia w kierunku wieśniaka, który tymczasem spokojnie szedł ku nim.

A kiedy wieśniak zbliżył się już na tyle, że Herminio mógł rozróżnić rysy jego twarzy, spostrzegł ze zdumieniem, że ten człowiek pokładał się wprost ze śmiechu.

- Z czego się tak śmiejesz, trutniu?.. Chcesz, to cię połaskoczę końcem mej szabli, byś śmiał się jeszcze mocniej.

Uśmiech zniknął z twarzy wieśniaka. Cofnął się przestraszony i odrzekł:

- Wybacz mi, senor, ale doprawdy nie mogłem się powstrzymać od śmiechu, widząc głupiego Zefiria w pozłacanym stroju...

Herminio nie zrozumiał od razu. Ale w następnej sekundzie, gdy wreszcie pojawił, zbladł i ryknął wściekle:

- Co ty wygadujesz, człowieku? - Jaki głupi Zefirio? Gdzie go widziałeś?

- Przed chwilą, senor! Jechał na koniu. Zatrzymał mnie i dał mi pewne polecenie.

Głuche milczenie zaległo wśród bandy. Wszyscy zrozumieli, że trzymali Zefiria w rękę, a on wystrychnął ich na dudków.

Herminio Candida skierował swego konia wprost na wieśniaka i chwycił go za kołnierz:

- Gadaj, nędzniku! - krzyknął siny z wściekłości. – Jakie polecenie dał ci Zefirio?.

- Jeśli spotkam na swej drodze Herminia Candidę - odpowiedział wieśniak drżącym głosem - mam mu coś oznajmić!...

- Co, co masz mu oznajmić? - pytał awanturnik. – Mów prędzej, do tysiąca diabłów, to ja jestem Herminio Candida...

Na dźwięk tego groźnego imienia nogi ugięły się pod biedakiem.

- O... senor... senor...

- Mów, do licha. Głowy ci nie utnę!...

- Zefirio... kazał powiedzieć ci... senor, że ciebie się nie boi i będzie na ciebie czekał o zmroku przy wejściu do wąwozu Sierra Madre...

Don Herminio odtrącił wieśniaka i krzyknął do swych ludzi:

- Za mną! Musimy go schwytać za wszelką cenę!



Jak lawina cała banda rzuciła się w stronę, gdzie parę minut temu Zefirio zniknął im z oczu.

Ziemia dudniła pod kopytami koni, skały i drzewa migały w pędzie. Pomimo to nie zdołali odszukać zbiega. W szelki ślad po nim zaginął...

## Spotkanie w Sierra Madre

A tymczasem Zefirio galopował na swej kobyle w zupełnie odwrotnym kierunku. Z chwilą gdy zniknął z oczu bandy, okrążył skały i zawrócił na północ.

Jadąc pogwizdywał beztrosko. Dzienna spiekota nie nużyła go bynajmniej, na kobyle siedziało się jak w wygodnym fotelu, więc Zefirio zadowolony był z siebie, ze swego konia i całego świata. Droga była daleka. Słońce wreszcie zaczęło chylić się ku zachodowi.

Wieczór się zbliżał.

W oddali ukazał się tuman kurzu.

Zefirio wyteżył wzrok i zatrzymał konia. Jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu zadowolenia. Z kłębow kurzu wyłonił się oddział wojska, a na jego czele galopował sam don Alvarez y Gonzano.

- Czy mnie wzrok nie myli? Toć to senor Zefirio we własnej osobie! - zawołał pułkownik i wybuchnął głośnym śmiechem na widok kapiącego od złota stroju. - Senor, cha, cha! A toś się wystroił!...

Żołnierze zagryzali wargi, powstrzymując się od śmiechu. Zefirio wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem, co cię tak śmieszy, senor - rzekł z godnością.

- Ten strój i ten potop złota... - śmiał się don Alvarez.

- Śmieszy cię mój ubiór? - zdziwił się Zefirio. - Raczej powinieneś go podziwiać, gdyż jest to strój godny bohatera. Czyż nie wiesz, że każdy bohater powinien odpowiednio się prezentować?

- Czyżbyś stał się bohaterem? - zapytał ciekawie don Alvarez. - Nie słyszałem ostatnio o żadnym twym bohaterskim wyczynie, senor Zefirio!...

Młody Corti uniósł dumnie głowę.

- Nie słyszałeś - odparł - ale niebawem usłyszysz. Umówiłem się z szlachetnym don Herminiem Candidą, że spotkamy się dziś o zmroku, nie opodal wąwozu Sierra Madre!...

Don Alvarez się zdziwił.

- Spotkasz się z don Herminiem? - zapytał. - Ależ, młodzieńcze, przecież wszyscy wiedzą o tym, że on obedrze cię żywcem ze skóry!

- Nie wiadomo - odparł Zefirio nieco wzruszonym tonem. - Nie wiadomo, co najbliższa przyszłość pokaże. Ja muszę pokazać światu, że w zupełności zasługuję na miano nieustraszonego Zefiria...

- A więc będziecie się bić! - don Alvarez poklepał Zefiria po ramieniu, z trudem ukrywając wesołość. - Chciałbym to widzieć na własne oczy!

- To nie jest trudne - odparł Zefirio. - Wystarczy udać się ze mną i ukryć się przy wejściu do wąwozu!

- Per Satanio! - krzyknął oficer. - Przysięgam, że to dobra myśl. Tak też uczynię. Ukryję się wraz z moim oddziałem w wąwozie i stamtąd będę obserwował przebieg waszego pojedynku. Proszę cię jednak, byś nie oddalał się zbyt z pola mego widzenia!

- Nie obawiaj się, senor - rzekł Zefirio. - Będziesz wszystko widział, ale proszę cię, ukryj dobrze swych żołnierzy, gdyż ich widok może onieśmielić dzielnego don Herminia.

- A więc, w drogę!...

Don Alvarez wydał rozkaz swym żołnierzom i cały oddział pogalopował w kierunku gór Sierra Madre.

Przybyli na miejsce o zmroku. Zgodnie ze wskazówkami Zefiria, pułkownik ukrył swych żołnierzy w głębi wąwozu, a sam ulokował się przy wejściu.

- Żegnaj, senor! - zawołał Zefirio, uderzając konia ostrogą i wydobywając pistolet. - Zobaczysz, co potrafi dzielny Zefirio Corti.

To mówiąc pogalopował przed siebie. Po chwili rozległ się huk wystrzału. W ten sposób młodzieniec oznajmił, iż znajduje się na miejscu i gotów jest do spotkania z don Candidą.

Rezultat tego wystrzału nie dał zbyt długo na siebie czekać. Ciszę nocną rozdarł nagle tętent licznych kopyt końskich. Banda Herminia Candidy nadjeżdżała galopem.

- Zefirio nie oszukał nas! - zawołał herszt do swych ludzi. - Jest tutaj!... Wpatrzył się w gęstniejące mroki i dostrzegł u wejścia do wąwozu nieruchomą postać jeźdźca na koniu.

- Jest, jest tutaj! - krzyknął z radością. - Przybył zgodnie z zapowiedzią. Chłopy, żeby się poważyć na coś podobnego, trzeba być tylko prawdziwym głupcem, takim jak Zefirio. Naprzód!...

I po chwili cała banda dopadła wejścia wąwozu i otoczyła samotnego jeźdźca.

- Mamy cię, Zefirio! - zawołał z triumfem Herminio.

- Precz stąd, kanalie! - rozległ się gniewny głos wśród ciemności. - Zefirio czeka na was pośrodku polany.

Herminio odrzekł słodkim głosem:

- Słuchaj, bałwanie- już po raz drugi nazywasz nas kanaliami...

- Biada wam, łajdaki! - ryczał samotny jeździec. - Czy zdajecie sobie sprawę, że napadliście na pułkownika Alvareza y Gonzano?

Herminio wybuchnął szyderczym śmiechem.

- Nie, tego już za wiele! - zawołał. - Czy rzeczywiście uważasz nas za takich osłów, że damy się nabrać po raz drugi na ten sam kawał?..

I zawołał do swych ludzi:

- Dajcie mu porządną nauczkę, chłopcy!

Tego rozkazu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Cała banda rzuciła się na nieszczęsnego don Alvareza. Posypały się tęgie razy. Zwalono go z konia i okrutna zabawa rozkręciła się na dobre.

- Ratunku, zabijają mnie! - ryczał don Alvarez. - Żołnierze, na pomoc!...

W głębi wąwozu rozległ się tętent pędzących koni, albowiem żołnierze usłyszeli krzyk swego dowódcy i śpiesznie jechali do mego.

Zanim Herminio i jego banda zdolali się spostrzec, zostali otoczeni przez żołnierzy.

Za wrzała dzika walka. Nie trwała jednak zbyt długo. Żołnierze mieli liczebną przewagę, a przy tym bandyci byli zaskoczeni tym niespodziewanym atakiem.

Wreszcie Herminio Candida zorientował się w sytuacji.

- Stać, stać! - ryknął pokrywając swym głosem wrzawę bitwy. - Tutaj zaszła pomyłka. Ludzie, zatrzymajcie się, carramba!...

A gdy przerwano wreszcie walkę, zapalono pochodnię, don Herminio Candida przekonał się, ku swemu największemu przerażeniu, że człowiek, na którego napadł, nie był Zefirem.

Pokrwawiony, pokryty sińcami, w podartym mundurze stał przed nim pułkownik Alvarez y Gonzano.

## Ostatnia nauczka

Don Herminio Candida oraz kilku ocalałych członków bandy powracało drogą wiodącą do Leridy. Posępnie zwieszane głowy oraz wzrok utkwiony w piasku przydrożnym były niezawodną oznaką przygnębienia.

- Jestem zgubiony - szeptał. - Nie mogę teraz powrócić do swego domu, gdyż tam na pewno dosięgnie mnie ręka mściwego don Alvarosa...

Nagle zatrzymał się. Jakaś niespodziewana myśl zaświtała mu w głowie.

- Musimy ratować nasz honor, chłopcy, a jest tylko jeden sposób na to: schwytać Zefiria i powiesić na pierwszym lepszym drzewie

- Ale gdzie go szukać? - zapytał jeden z drabów.

- Gdzie go szukać? Czy nie wiesz, gdzie znajduje się hacjenda jego ojca, Anzelm Cortiego?

Banda zawróciła z miejsca, nie ujechała jednak daleko.

- Buen Dios, senores! - rozległ się nagle metaliczny głos i oto na drogę spokojnie wyjechał jeździec w masce. - Dokąd tak śpieszycie?

- Zorro, Zorro - rozległy się trwożne szepty i banda zatrzymała się, nie pewna zamiarów zamaskowanego mężczyzny.

Najbardziej jednak zląkł się don Herminio. Miał tyle niecznych sprawek na sumieniu, tylu biedaków skrzywdził, że słusznie mógł się obawiać gniewu Zorry. Ale w porę przypomniał sobie, że wszyscy uważają go za jego osobistego przyjaciela.

Zdecydował się.

Zbierając całą swą odwagę, wyciągnął rękę i kierując swego konia w stronę zamaskowanego jeźdźca, zawołał głośno:

- Buen Dios, seiiior. Jakże się cieszę na twój widok... Witaj mi, witaj, dobry przyjacielu!

Zorro zatrzymał go ruchem ręki.

- Czekaaj, don Herminio - rzekł spokojnie. - Nie zbliżaj się zbyt do mnie... Nawet moi najlepsi przyjaciele winni trzymać się w pewnej odległości. Taka jest moja zasada.

Herminio się zatrzymał.

- Poznałeś mnie? - zawołał. - Wiesz kim jestem?

- Dawno wybierałem się do ciebie - odrzekł Zorro tonem, który przejął tamtego dreszczem. - Ale zawsze brakło mi czasu. Słyszałem, że mienisz się moim przyjacielem...

-I jestem nim, carramba, jestem nim - pośpieszył Herminio z zapewnieniem. - Możesz mi wierzyć, senor Zorro, że serce moje otwarte jest dla ciebie.

Zorro milczał rozważając jakąś myśl. Wreszcie odezwał się:

- Słuchaj, senor Herminio. By zostać mym przyjacielem, trzeba na to zasłużyć. A nie mogę powiedzieć, byś dotychczas zachowywał się, jak przystało na mego przyjaciela. Ograbiasz biednych ludzi, a przecież ja nigdy tego nie czynię. Wysługujesz się księciu, jako jego szpieg...

- O, senor - przerwał mu Herminio - jakże możesz tak mówić?.. Czemu wypominasz mi rzeczy nieistotne, a zapominasz o przysłudze, jaką chciałem ci oddać?

- Chciałeś wyświadczyć mi przysługę?

- Tak, senor Zorro! - zawołał Herminio, kładąc rękę na sercu. - Gdyby nie nieszczęśliwy przypadek, ten głupiec, Zefirio, który śmiał ci ubliżyć, nie byłby pomiędzy żywymi... Niestety, wśród ciemności pomyliliśmy się i zamiast Zefiria, wpadliśmy na don Alvareza z jego żołnierzami...

Zorro potrząsnął głową.

- Tak, to co innego - rzekł. - Muszę więc uznać, że jesteś szczerze mi przyjazny... Ale uprzedzam cię, nie zbliżaj się zbyt blisko - dodał widząc, że Herminio nieznacznie zbliża się doń. - Uprzedziłem cię przecież, że tego nie lubię.

- Czemu nie mogę rozmawiać z bliska, senor Zorro? - zapytał podstępnie awanturnik.  
- Czy żywisz jakąś nieufność wobec mnie?

- Uwierzę ci zupełnie, jeśli mi udowodnisz, że zasługujesz w całej pełni na moje zaufanie - odparł Zorro.

- Cóż więc mam uczynić, by zasłużyć na nie?

- Powiem ci zaraz. Główną drogą do Saragossy podążać będzie wspaniała karoca z książęcymi herbami. Ale te herby służą tylko do odstraszenia ewentualnych napastników. W rzeczywistości karoca ta wiezie skarb: milion peso w złocie...

- Milion peso w złocie - wyszeptał Herminio. - Do licha, ładna fortunka...

- Skarb ten znajduje się pod opieką pewnego urzędnika bankowego z Madrytu. Jest to brodacz, tchórz nie lada, ale ma pewną słabość: lubi udawać generałów, książąt i tak dalej...

- O, ja wyleczyłbym go z tej słabości - westchnął Herminio.

- O to właśnie chodzi - rzekł Zorro. - Uwierzę, żeś godny mej przyjaźni, gdy oduczysz go tego... A najlepiej, gdy napadniesz na tę karocę, gdy przejeżdżać będzie drogą wśród gęstego lasu. Jeśli eskortować ją będzie kilku ludzi, uderz na nich i rozprosz ich. Nie chcę jednak, by cię poznano. Bierz to i włóż na siebie.

To mówiąc wyjął z siodła zapasową, jedwabną maskę oraz czarną chustkę i rzucił je awanturnikowi.

Tamten pochwycił skwapliwie. Założył maskę i okręcił głowę chustą.

Księżę Ramido powracał do Saragossy. Nie był w najlepszym humorze, gdyż w jego okręgu nie wszystko szło po myśli.

Jego karoce eskortował cały regiment kawalerii. Żołnierze jechali z tyłu i z przodu, a po bokach trzymali się oficerowie.

Nagle wśród żołnierzy rozległy się okrzyki: - Jeździec w masce, jeździec w masce!... Księżę zadrzał i wychylił głowę przez okno karocy. - Co się stało? - zapytał jednego z oficerów. - Co to za hałasy? - Wasza książęca mość - odpowiedział oficer podnieconym głosem i wskazał na drogę. - Spłoszyliśmy człowieka w masce... Patrz, księżę, jak śpiesznie ucieka przed nami!...

- Do tysiąca diabłów, bando niedołęgów! - wrzasnął księżę Ramido. - Gdzie wy macie oczy? Czy nie widzicie, że to Zorro we własnej osobie? Cudem wpada nam w ręce, a wy pozwalacie mu ujść? Za nim, za nim, wszyscy bez wyjątku!...

Rozkaz księcia został wykonany. Cały regiment rzucił się w ślad za umykającym jeźdźcem w masce.

Kareta potoczyła się leśną drogą, ale już bez eskorty. Nie ujechała jednak zbyt daleko. Z gąszczu wyłonił się mały oddział jeźdźców, którym dowodził Herminio w masce.

- Przybyliśmy w porę - zawołał Herminio z triumfem. - Oto karoce. Dalej chłopcy, zabierzmy się do tego brodacza!...

Księżę Ramido wychylił się przez okno i nadjeżdżający bandyci ujrzeli jego generalski strój suto ozdobiony orderami i gwiazdami.

- Zgadza się -:- zawołał Herminio ze śmiechem. - Są ordery i medale, tak jak nas uprzedził Zorro!... Gdyby nie brak licznej eskorty, doprawdy pomyślałbym, że to sam księżę wielkorządca!...

Bandyci otoczyli karoce.

- Dawaj skarb, brodaczu! - zwrócił się doń Herminio, mierząc z pistoletu. - Dawaj skarb albo...

- Precz stąd, szaleńcy! - krzyknął księżę Ramido, siny z wściekłości. - Czy wiecie na kogo ośmielacie się podnieść rękę?

- Wiemy, wiemy, staruszkule, nie unoś się!... Wiemy z góry, co nam powiesz....

- Jestem księżę wielkorządca Aragonii, don Ramido y Carvalho!... - pinił się księżę.

W odpowiedzi rozległ się wśród bandy głośny śmiech.

- Zgadza się jako żywo! - wołał Herminio. - No, zatracony kasjerze, wyłaź z karocy, nas nie oszukasz. Wyłaź z karocy, bo zdejmemy ci twój mundur i wsypimy dwadzieścia pięć odznaczeń honorowych...

Wyciągnięto księcia. Jedni zbójcy zaczęli ściągać zeń złocisty mundur, a inni przeszukiwali karocę. W tej sytuacji zastali ich powracający żołnierze z eskorty, którym Zorro zniknął nagle z oczu.

Wyratowano księcia z opresji, włożono nań mundur z powrotem, a Herminio i jego banda powędrowali w kajdanach do więzienia w Saragossie.

I długie, długie lata w samotnej celi zastanawiał się don Herminio Candida nad zagadką: czy Zorro zakpił sobie z niego w okrutny sposób, czy też po prostu był to nieszczęśliwy zbieg okoliczności.



## Porfirio i Malibran

*Kochany druhu i przyjacielu!*

*Co tu dużo pisać - stęskniliśmy się za Tobą i jedziemy do Ciebie. Pogościmy pewien czas w Twej hacjendzie - musimy bowiem uciekać i z Madrytu, dopóki tu się nie uspokoi.*

*Twoi przyjaciele z uniwersytetu Porfirio i Malibran*

*Ps. Przywozimy nowe sztuczki magiczne.*

Zefirio odłożył list, który otrzymał przed chwilą, i zamyślił się. Porfirio i Malibran przybywają, to dopiero będzie wesoło. Przewidywał pogawędki i wspólne rozrywki.

- Muszę jechać na spotkanie - rzekł do siebie i wyszedł z pokoju.

W salonie wpadł na Mercedes.

- Przepraszam, kuzynko... bardzo się śpieszę! Przybywają tutaj dwaj moi koledzy z ławy szkolnej, Porfirio i Malibran. Wspaniałe chłopaki, tylko że kawalarze czystej wody! Biegnę zaprząć konie.

- Bardzo mnie to cieszy - rzekła Mercedes z uśmiechem. - Czy są to młodzieńcy tego samego pokroju co ty, kuzynie?

- O, zupełnie tego samego! Mamy podobne usposobienie! Są waleczni, rycersey, dowcipni, prawie w tym samym stopniu co ja!

- Rzeczywiście! Widzę, że będzie wesoło w tym domu - odparła Mercedes ze źle ukrytą ironią.

Lecz Zefirio nie dosłyszał odpowiedzi, bo wybiegł na dwór, wyprowadził konie i zaczął je zaprzęgać do powozika.

Mercedes westchnęła i udała się do pokoju swego ojca.

- No i cóż, ojcze! - rzekła. - Długo tu jeszcze zabawimy? Nie należy przecież do dobrego tonu nadużywać gościny szlachetnego Anzelma.

Generał odłożył „Żywoty sławnych ludzi” Plutarcha i zmarszczył siwe brwi:

- Od kiedy to moja córka prawi mi morały?.. Pozostaniemy tutaj tak długo, dopóki nie ustalimy, ja i don Anzelmo, terminu twoich zaręczyn z Zefiriem. A teraz daj mi czytać...

- Ależ ja go nie kocham! - wykrzyknęła ze łzami w oczach Mercedes. - Przecież to kompletny bałwan...

- Tak się tylko wydaje! Jest skromny, uczciwy, nie pije, nie hula, nie ugania się za spódnicami, jest bogaty i piękny. Cóż ci więcej potrzeba?

Mercedes chciała powiedzieć, że kocha innego, że kocha Zorrę, tajemniczego rycerza w masce, mistrza szpady i bicia, odważnego, zręcznego, romantycznego...

W porę ugryzła się w język. Bała się, że ojciec pod wpływem jej wyznania dostanie ataku apopleksji.

Nie rzekła więc ani słowa i wyszła z pokoju.

Piaszczystym traktem włókł się wóz chłopski. Stary, głuchy wieśniak leniwie poganiał muły. Spiekota słoneczna powodowała dookolną senność.

Na podściółce ze słomy leżeli leniwie wyciągnięci dwaj młodzieńcy. Jeden z nich wysoki, a raczej długi i przeraźliwie chudy, z dziecinną twarzyczką na długiej i cienkiej szyi, ziewał głośno, szeroko otwierając usta. Długi, haczykowaty nos czynił go podobnym do papugi.

Drugi młodzieniec - również wysoki, lecz niezmiernie otyły - stanowił całkowite przeciwieństwo swego towarzysza. Tamten miał długie ręce; ten małe, króciutkie rączki; tamten był ospały, bezbarwny, flegmatyczny; ten zaś żywy, wesoły, ruchliwy.

- No i cóż Malibran - rzekł chudy młodzieniec. - Daleko jeszcze do tego przekłętego domu?

- O nie! Jeszcze dwie mile, no najwyżej pięć lub sześć mil!

- Siedem lub osiem! - rzekł ze złością chudy. - Dlaczego od razu nie powiesz piętnaście?

- Może i piętnaście - zgodził się grubas. - Ostatecznie nie mam najmniejszego pojęcia. Cóż to, czy jestem geografem, do licha?.. Wiesz co? Wymyśliłem doskonałą rozrywkę...

- Ciekaw jestem!...

- Urządzimy sobie polowanie, tutaj na tym wozie!

- Hm!

- Widzisz, oto pistolet! Celuję przed siebie i walę we wszystko, co tylko się porusza o własnych siłach...

- Na przykład te woły, które nas ciągną lub woźnica... - Głupiś! Należą przecież do ekipy myśliwskiej.

- No tak, ale jednak poruszają się.

- Ty też się poruszasz, powinienem więc kropnąć do ciebie. - Strzelaj sobie, choćby do źdźbeł trawy, nic mnie to nie obchodzi. Jestem zbyt znużony tą przekłętą podróżą, ażeby trudzić się strzelaniem do celu! Zabrakło mi sił, by nawet podnieść pistolet...

Kuropatwa uniosła się ciężko w powietrzu. Malibran strzelił i ptak upadł na ziemię.

- Jeden punkt! - rzekł..

Jakiś jeździec jechał powoli stepem. Malibran wycelował i kula zrzuciła czarny kapelusz z głowy jeźdźca.

Napadnięty w ten sposób, szarpnął konia, zawrócił i wydobywając pistolet, pognął wprost na wóz.

- Obudź się, śpiochu - trącił chudeusza Malibran. – Petent jedzie ze skargą!

Porfirio ziewnął.

- Przedziurawiłeś mu kapelusz? - zapytał. - Na taki upał otwory się przydadzą. Jeździec dopadł wozu. Był uzbrojony od stóp do głowy. Twarz desperadosa, o końskiej szczęce, nie wróżyła nic dobrego.

- Hej tam, żółtodzioby! - ryknął wściekle. - A to co za zabawa?

- Zabawa jak zabawa! - rzekł Malibran niewinnie.

- Kto strzelał?

- Ja! Stało się coś złego?

- Masz, oto odpowiedź!

Skierował pistolet w pierś Malibrana, lecz długa i chuda noga podbiła broń do góry.

To Porfirio, nie otwierając wcale zaspanych oczu i nie ruszając się z miejsca, wyciągnął nogę i zadał cios.

Rozległ się wystrzał i pistolet, strzaskany, wyleciał z ręki jeźdźca.

To Malibran strzelił po raz drugi, wytrącając celną kulą broń z ręki napastnika.

Uczynili to obaj tak spokojnie i bez pośpiechu, jakby tu chodziło o zwykłe wytarcie nosa.

Jeździec z przekleństwem na ustach wydobył zza szerokiego pasa długi sztylet andaluzyjski i ze swego siodła wykonał skok do środka wozu, padając całym ciężarem na obu młodzieńców. Lecz jak szybko znalazł się w wozie, tak samo szybko wylądował na piachu przydrożnym, ale już bez noża.

Sztylet został w ręku Porfiria.

Obaj przez cały czas uśmiechali się: Porfirio znużonym uśmiechem, Malibran jakby nieco zażenowany tak nagłą porażką przeciwnika.

- Jedź swoją drogą, człowieku - rzekł z godnością Malibrano - Jedź w spokoju i nie zaczepiaj nas!

Mężczyzna wstał, chwycił swego konia, podniósł z ziemi przedziurawiony kapelusz i w milczeniu odjechał.

Porfirio i Malibran nie wiedzieli, że człowiek ten to znany awanturnik i zabijaka,

postrach całej okolicy, Medina Diaz, a zresztą gdyby nawet wiedzieli, niczego to nie zmieniliby w ich zachowaniu.

## Dobrana trójka

- Olle, Zefirio! - Olle, Porfirio! Olle, Malibran! Wóz stanął. Zefirio zeskoczył z siodła i przyjaciele ucałowali się serdecznie. A potem wzajemnym pytaniom nie było końca. Niebawem przybyli na miejsce. Była czwarta po południu. Zefirio wprowadził przyjaciół do patia i przedstawił ich ojcu i generałowi. Mercedes była nieobecna.

Porfirio i Malibran wykąpali się, posilili i udali się do swego pokoju na wypoczynek.

Wieczorem wszyscy domownicy siedzieli już za stołem, gdy Zefirio wprowadził przyjaciół.

Mercedes ciekawie przyjrzała się nowo przybyłym. Dobrana trójka, pomyślała, te same oczy bez wyrazu i głupkowate miny.

Podano do stołu, Porfirio, aczkolwiek chudy, pochłaniał pokarmy w ilościach wprost nieprawdopodobnych. Malibran jadł umiarkowanie, rzekłbyś: ledwie dotykał jadła, pił natomiast jak dziurawy worek.

- A teraz pozwólcie, moi kochani - rzekł Zefirio, odsuwając pusty talerz - że przyjaciel mój, Porfirio, pokaże kilka nowych sztuk magicznych, które przywiózł z Madrytu.

Porfirio uklonił się, chrząknął i wziął jajko ze stołu.!

- Mam zaszczyt zaprezentować, czcigodni senores i piękna seniorito, zwykłe jajo kurze. Nie jest to jajko Kolumba, a jednak teraz, w mych rękach będzie miało nie mniejszą wartość. Uwaga!

Jajko, bez niczyjej pomocy, zaczęło się toczyć po stole, zawracać i podskakiwać. Wreszcie zatrzymało się przed Porfiriem.

- Powiedz mi, o ty, który siedzisz w tej skorupie, jak ci na imię - zapytał Porfirio, patrząc na jajko.

- Kurczę! - odpowiedział cienki głosik wydobywający się z jajka.

Obecni zdumieni się. Mercedes zrozumiała, że była to zręczna sztuczka brzuchomówcy Porfiria.

- Nieprawda! - rzekł Zefirio poważnie. - Istota siedząca w jajku kłamie! Nic nie jest warta ta sztuka z Madrytu!

- Skąd wiesz, że kłamie? - zaciekawiał się Porfirio. - Zaraz się przekonasz... Uważaj... Wziął jajko, położył na stole przed sobą i nakrył kraciastą chustką do nosa. - Wyłaż kłamco! - zawołał zdejmując chustkę. Na stole stała żywa kura. - A widzisz! - rzekł Zefirio. - To nie było kurczę, tylko kura! - Nic dziwnego - odparł Porfirio z przekbnaniem. - Damy zawsze

ukrywają swój prawdziwy wiek. Oświadczenie Porfiria zostało powitane ogólnym wybuchem śmiechu. Było już dość późno. Wszyscy wstali od stołu, Anzelmo odmówił krótki pacierz i niebawem udano się na spoczynek.

Zefirio zajmował prawe skrzydło pawilonu. Do jego sypialni przylegał obszerny pokój, w którym spali Porfirio i Malibran.

Nieco po północy rozległo się w przyległym ogrodzie krótkie szczekanie. Szczekanie zamieniło się w cichy skowyt i znów cisza zaległa dookoła.

Ucho Zefiria dosłyszało cichy trzask pod jego oknem. Ktoś stąpał rozgniatając pod stopami małe kamyki i gałązki. Po chwili rozległ się ledwie dosłyszalny szept.

Zefirio wyslizgnął się z łóżka i poczołgał pod okno. Usłyszał następujące słowa:

- Mylisz się, Sebastiana, to nie jest sypialnia ojca! Prędzej syn tutaj śpi...

- Więc niech będzie syn! Nudzisz mnie swą drobiazgowością. Szeff mówił, że na razie należy wykończyć starego, ale nie wskazał, gdzie śpi, w lewym czy w prawym skrzydle... Jeśli natrafimy na kogoś innego... no to uprzątniemy go i będziemy mieli spokój!

- Ale że nie śpi w tym pokoju, za to ręczę moją głową!

- Niewiele ona warta, ta twoja głowa... Przejdźmy się jeszcze pod innymi oknami...

Zefirio nie słuchał dłużej, wycofał się spod okna i skoczył do sypialni swych przyjaciół.

- Hej, Porfirio, hej, Malibran. Wstawać prędko!

Dwaj przyjaciele usiedli jednocześnie na swych łóżkach.

- Nocny napad - szeptem wyjaśnił Zefirio. - Jacyś dwaj skradają się pod oknami...

Szukają pokoju, gdzie śpi mój ojciec... Chcą go zabić.

Porfirio ziewnął i otworzył szeroko oczy:

- Urządzimy kłótnię? - zapytał zagadkowo.

- Tak - odpowiedział Zefirio. - Ja będę ofiarą! – Tylko prędko, bierzcie trzciny i za mną... Nie zapomnijcie włożyć spodni!

Rozpoczęła się dziwna wędrówka trojga ludzi poprzez pokoje w amfiladzie.

Tam, pod oknami, dwaj mężczyźni skradali się wzdłuż fasady domu.

Wewnątrz trzej młodzieńcy stąpali równie ostrożnie przez komnaty, starając się nie budzić śpiących, dając pilne baczenie na okna.

Księżyc oświetlał tę niesamowitą scenę.

W ten sposób po przejściu przez szereg pokoi, znaleźli się w lewym skrzydle.

Wreszcie dwa cienie pod oknami zatrzymały się.

- Sądzę, że się nie mylę! To musi być tutaj - rozległ się szept pod oknem.

Zefirio, Porfirio i Malibran spojrzeli sobie w oczy. W pokoju tym spała Mercedes.

- Jeśli krzyknie - szepnął Zefirio - będzie po zabawie. Malibran mrugnął znacząco.

Księżyc oświecał ich swymi promieniami, lecz ludzie stojący pod oknem nie mogli ich widzieć.

Porfirio i Malibran na palcach zbliżyli się do łóżka.

Zefirio dłonią przycisnął usta śpiącej Mercedes, dwaj jego przyjaciele chwycili za łóżko z dwóch stron i wynieśli wraz ze śpiącą do drugiego pokoju.

Stało się to błyskawicznie. Mercedes obudziła się i przerażona chciała krzyczeć, wołać o pomoc, lecz silna dłoń przesłoniła jej usta...

- Leż spokojnie, kuzynko - rozległ się cichy szepot nad jej uchem. - To ja, Zefirio. W twoim pokoju grozi ci niebezpieczeństwo...

Tymczasem dwaj nocni; goście przeleźli ostrożnie przez okno. W rękach ich połyskiwały noże. Wtem głuchy trzask dobiegł ich uszu. Czym prędzej wcisnęli się w ciemny kąt pokoju i czekali. Do pokoju wpadł Zefirio. Na twarzy jego malował się przestach. - Przyjaciele drodzy! - wołał błagalnie w stronę otwartych drzwi. - Nie zabijajcie mnie, darujcie mi życie...

Do pokoju wpadł Porfirio i Malibran uzbrojeni w grube trzciny.

- Ha, łajdaku! - ryczał Malibran z wściekłością. - Nie ujdiesz nam...

- Wszystkie gnaty ci połamiemy - wtórował Porfirio, wywijając trzciną.

Rozpoczęła się dzika pogoń po pokoju. Zefirio uciekał, błagał, jęczał, a trzciny ostro cięły powietrze.

Rzecz dziwna: Zefirio zdołał zawsze uskoczyć przed ciosem, trzciny zaś z rozmachem padały na dwa cienie przyczajone w kącie.

Mercedes wstała z łóżka i, owinięta w kołdrę, stanęła w otwartych drzwiach.

Przed jej zdumionym wzrokiem rozgrywała się w poświacie księżyca niezwykła scena. W pokoju znajdowało się pięciu kotłujących się ludzi. Zefirio uskakiwał przed ciosami trzciny, wydając okrzyki przerażenia. Trzciny spadały na grzbiety i głowy dwóch nieznanym ludzi, którzy zataczali się pod ciosami. Lecz co najdziwniejsze - ciosy te nie były przeznaczone dla tych dwojga nieznanym. Porfirio i Malibran, z przekleństwem na ustach, starali się dosięgnąć tylko Zefiria. Jeśli uderzenia obrywał ktoś inny, nie była to niczyja wina, lecz tylko owych nocnych gości, którzy zupełnie niepotrzebnie plątali się pomiędzy „skłóconymi” przyjaciółmi.

Porfirio i Malibran nie zwracali najmniejszej uwagi na obcych, którzy daremnie usiłowali się wymknąć, uwaga ich była pochłonięta tym „łajdakiem” Zefirem, który tak

zręcznie uskakiwał przed ciosami.

Jeden z nieznajomych zwał się z głuchym jękiem. Była to pierwsza „niewinna” ofiara „kłótni” przyjaciół. Po chwili również i drugi nocny intruz upadł obok.

Byli zbici, skrwawieni, sztylety dawno poleciały gdzieś w kącie.

- Wiesz co, Zefirio - rzekł pojednawczo Malibran. - Gniew nasz minął.

- Darujemy ci i niech będzie zgoda pomiędzy nami. Przyjaciele uściskali się serdecznie i nie zwracając najmniejszej uwagi na leżących, wyszli trzymając się pod rękę.

Gdy znaleźli się w pokoju, gdzie znajdowała się Mercedes, zamknęli drzwi za sobą.

- W bójkę poraniliście niewinnych ludzi - rzekła Mercedes. gniewnie. - I pozostawiacie w ten sposób ofiary waszych niesnasek? Niegodziwcy!

Wszyscy trzej wybuchnęli głośnym śmiechem.

Mercedes zrozumiała wówczas, że cała scena kłótni była zręcznie zainscenizowanym kawałem.

- Ach! - szepnęła. - Pojmuję! Ci dwaj...

- No tak, kuzynko - rzekł Zefirio, przeciągając się sennie. - Ci dwaj wleźli z nożami przez okno. Gdyby nie kije mych przyjaciół, kto wie...

W ogrodzie jakiś cień oderwał się od drzewa, dopadł furtki i wybiegł na drogę. Nie opodal, u skraju drogi, stały trzy konie. Człowiek skoczył w siodło i pognął przed siebie.

Był to czcigodny Pablo Ravales.



## Zorro osaczony

- Hej ho! Hej ho! Olle, olle! - rozlegały się wesołe okrzyki. Zabawa wrzała w całej pełni. Huesco przybrane lampionami, papierowymi chorągiewkami, świątecznie wystrojone - szalało.

Lud zapomniał o swoich troskach, kłopotach i bawił się wesoło. Tłumy przelewały się przez ulice - mężczyźni w strojach wyszywanych złotem, kobiety w mantylach, z ozdobnymi grzebieniami we włosach.

Gdzieniedzie tańczono, rozlegała się muzyka, wesoły śmiech wybuchał wszędzie.

Hiszpania obchodziła Zielone Świątki. Największy tłok jednak panował na Wielkim Placu. Cisnąc się pomiędzy budami jarmarczными, ludzie ryczeli i wyli: Olle, olle!..

Co było przyczyną ich entuzjazmu? Oto wśród tłumu, torując sobie drogę, spokojnie szedł wysoki, zamaskowany mężczyzna.

- Olle, Zorro!.. Niech żyje Zorro! - rozlegały się okrzyki. Zorro nie zwracał najmniejszej uwagi na otaczających go ludzi. Spokojnie szedł naprzód: ludzie rozstępowali się przed nim z szacunkiem połączonym z trwogą.

Za nim, w pewnej odległości, torowało sobie drogę kilku mężczyzn. Wpatrywali się uporczywie w kroczącą przed nimi zamaskowaną postać. Porozumiewali się pomiędzy sobą oczami i nie odstępowali na krok od Zorry. Wyglądali na myśliwych idących śladem zwierzyny. W obejściu ich było coś wojskowego, przebiegłe oczy i okrutne oblicza miały coś w sobie z psów gończych.

Byli to szpiedzy księcia, krążący wśród rozbawionych ludzi.

Zwietrzyli dawno poszukiwaną zwierzynę, nie ośmielali się jednak zaczepiać Zorry wśród rozentuzjasmowanego tłumu, ale czekali tylko na odpowiedni moment.

Dotarł do miejsca na placu, gdzie tańczono narodowe tańce hiszpańskie, bolero i fandango.

Tańce hiszpańskie mają w sobie coś tygrysięgo, namiętnego, wulkanicznego. Niepodobna spokojnie patrzeć na tańczących, szalony rytm tańca porywa wreszcie i widzów.

Zorro stanął i przyglądał się wirującym parom.

Dolores, siostrzenica księcia, nie poznana przez nikogo, tańczyła bolero z jakimś wysokim mężczyzną w cywilnym ubraniu.

W pierwszej chwili Zorro nie mógł dojrzeć twarzy mężczyzny, był bowiem odwrócony doń plecami. Gdy partner Dolores wykręcił się w tańcu twarzą ku niemu, Zorro

poznał don Alvareza. Pręgi na jego lewym policzku, zadane biczem z bawolej skóry, zagoiły się, lecz różowy ślad pozostał.

Wzrok pięknej Dolores padł nagle na Zorrę stojącego wśród tłumu.

Zbladła.

- Co się stało, seniorito? - zapytał don Alvarez.

Dolores nie odpowiedziała. Wzrok miała utkwiony w jeden punkt: tam gdzie stał Zorro.

Zorro rozgarnął ciżbę i wszedł pomiędzy tańczących.

Szedł prosto ku niej.

Gdy stanął tuż obok, don Alvarez ujrzał Zorrę.

Ledwie zdołał powstrzymać okrzyk dzikiej radości, wszak zwierzyzna sama szła mu w ręce.

- Chcesz zatańczyć ze mną, seniorito? - zapytał Zorro, nie zwracając najmniejszej uwagi na don Alvareza.

Dolores milczała. Jak zahipnotyzowana opuściła swego dotychczasowego partnera i bez słowa podała rękę młodzieńcowi w masce.

Wszystkie oczy zwróciły się ku nim.'

Zorro zaczął tańczyć z Dolores.

Koło opustoszało. Nikt nie ośmielał się tańczyć tam, gdzie tańczył Zorro.

Ludzie dookoła przyglądali się w milczeniu - nie mogli oprzeć się zachwytowi.

Zorro tańczył niezwykle pięknie, porywająco, z oszłamiającym temperamentem.

Dolores czuła, że ją ogarnia coraz większy zawrót głowy. Cały świat zniknął dla niej - został tylko Zorro, ten bandyta i mściciel ludu. Zorro i ona, siostrzenica księcia don Ramida y Carvalha, wielkorządcy Aragonii.

Tymczasem don Alvarez wycofał się z koła. Rozpoznał w tłumie szpiegów książęcych. Przywołał kilku skinieniem, a gdy zbliżyli się, szepnął:

- Ściągnijcie tutaj wszystkich naszych ludzi. Tylko działajcie szybko, bo Zorro może się nam wymknąć. Zmieszani z tłumem, na dany przeze mnie sygnał, rzucicie się na niego i zerwiecie mu maskę z twarzy. Możliwe, że tłum ujmie się za nim. Lecz będzie już za późno - ujrzymy twarz bandyty i jeśli lud będzie usiłował wyrwać go z naszych rąk, liczę na was, że nie wyjdzie żywy. Sądzę, że wszyscy macie sztylety przy sobie... A teraz do dzieła...

Ludzie księcia rozbiegli się na wszystkie strony.

Wkrótce tłum widzów dookoła Zorry zaczął się powiększać. Przybywali zewsząd nowi ludzie, o zdecydowanym wyrazie twarzy i ostrym spojrzeniu.

Don Alvarez czekał w napięciu.

Stwierdził wreszcie z zadowoleniem, iż Zorro został już otoczony przez jego żandarmów..

- Czas najwyższy - szepnął.- Zorro, teraz my porozmawiamy...

Zorro tańczył beztrąsko. Ukazywał zęby śnieżnej białości w uśmiechu, patrząc na płonąca twarz Dolores.

- A więc, seniorito - rzekł półgłosem - jakże się czujesz w towarzystwie takiego partnera? Czy nie znużył cię taniec?

- Och, senior! - brzmiała cicha jak westchnienie odpowiedź.

- Jestem szczęśliwy, że tańczę z tobą, seniorito - rzekł Zorro. - Gdym cię ujrzał, świat cały wydał mi się taki piękny...

- Och, senior! - rzekła znów Dolores bez tchu.

Zorro nachylił się nad nią i nie krępując się bynajmniej gapiów, z prawdziwym hiszpańskim „sans gene” złożył gorący pocałunek na pięknych ustach Dolores.

- Brawo Zorro! - ryknął rozweselony tłum.

Wówczas don Alvarez dał znak swym ludziom.

Kilkunastu mężczyzn przedarło się przez tłum i ze wszystkich stron runęli na Zorrę.

Gdy na ziemi utworzyło się kłębowisko zmagających się z sobą ludzi, niektórzy z widzów rzucili się w wir walki, pragnąc wydobyć Zorrę z opresji. Po chwili nie można było odróżnić, gdzie są przyjaciele Zorry, a gdzie jego wrogowie. Wszystko się pomieszało w homeryckich zapasach.

Don Alvarez miotał się gryząc palce z wściekłości.

Do tysiąca szatanów! klął w duchu. Zorro może się wymknąć korzystając z zamieszania. Nie, to niemożliwe, leży na samym spodzie pod moimi ludźmi... Trzymają go za ręce i za nogi...

Hałas bitwy zwabił policję i żołnierzy krążących w pobliżu. Don Alvarez na widok niespodziewanych posiłków zaczął wołać:

- Prędeż, prędeż! Otoczyć walczących. Nikt nie powinien się wymknąć.

Policjanci i żołnierze otoczyli zwartym kołem walczących, rozpraszając jednocześnie resztę tłumu.

Don Alvarez odetchnął swobodnie. Nie, teraz nawet mysz się nie przemknie.

Grzmiący głos jego pokrył ogólną wrzawę:

- Ludzie księcia wielkorządcy... Bacność! Puścić Zorrę! Zaprzestać walki!

Dyscyplina wzięła górę. Zbiry księcia stanęły nieruchomo, dysząc ciężko. Na

pobojowisku pozostało kilku poturbowanych ludzi z tłumu.

A jednak Zorro znikł bez śladu. Jakim cudem wymknął się żołnierzom? Don Alvarez nie chciał wierzyć własnym oczom. Możliwe, że jeden z tych obcych ludzi, którzy wmieszali się w bójkę, to właśnie Zorro bez maski. Zaczął więc uważnie przyglądać się twarzom tych ludzi. Kilku z nich natychmiast rozkazał wypuścić. Wygląd ich i budowa ciała nie odpowiadały wizerunkowi Zorry. Kilku kazał zaarrestować.

Nagle wzrok jego padł na znajomą twarz. Zefirio siedział jeszcze na ziemi. Twarz miał skrzywioną płaczliwie. Ubranie wisiało na nim w strzępach. Obok niego siedzieli, mocno poturbowani, Porfirio i Malibran.

- Hola, Zefirio! - zawołał don Alvarez. - A ty co tutaj robisz? - To samo mógłbym i ciebie zapytać, sefior!

- Jestem tutaj urzędowo!...

- Więc jeśli jesteś urzędowo, to wytłumacz mi, proszę, co to za bałwan kazał tym ludziom rzucić się na Zorrę! Przecież ja, wraz z moimi przyjaciółmi: Porfiriem i Malibranem, mieliśmy go już prawie w ręku. Jeszcze sekunda, a zostałby związany jak baran! Ten idiota, co kazał dwudziestu ludziom czynić zamieszanie, ułatwił bandycie ucieczkę!

Don Alvarez zatrzęsł się z wściekłości:

- Uważaj, Zefirio, na swój język! - rzekł doń. - Ten idiota, co wydał ten rozkaz, to jestem ja!

- Ach tak? Bardzo się cieszę, że sam się przyznałeś, sefior! Patrz, oto rezultat...

Wskazał na leżące obok na ziemi czarne, podeptane gałgany:

- Rezultat twego rozkazu! Maski i zawój, które zbój porzucił w ucieczce!

I dodał po chwili głębokiego namysłu:

- Będę zmuszony donieść księciu panu, że danego mu przyrzeczenia nie mogę dotrzymać! Gdy mnie zapyta o powód, poproszę go, by zapytał don Alvareza, który mi włązi w paradę w chwili, gdy prawie trzymam Zorrę w garści!

Don Alvarez wzruszył ramionami i odszedł.

Co tu gadać z głupim! pomyślał. Osioł jest święcie przekonany, że ująłby Zorrę przy pomocy dwóch wymoczków...

## Zefirio przemawia

Po pewnym czasie plac przybrał swój codzienny wygląd. Don Alvarez gdzieś znikł. Ludzie się rozeszli rozprawiając z ożywieniem.

Po tym cudownym zniknięciu Zorry legenda o jego nieuchwytności rozrosła się do niebywałych rozmiarów.

Wieść o zaszłych wypadkach lotem błyskawicy rozniosła się po całym mieście. Wszyscy, od małego do dużego, łamali sobie na próżno głowy nad zagadką: w jaki sposób Zorro, napadnięty przez dwudziestu zbirów księcia, otoczony podwójnym murem policji i wojska, zdołał się wymknąć?

Wszędzie utworzyły się grupy ludzi żywo rozprawiających z sobą.

- Hej, Pedro, słyszałeś, co zrobił Zorro?
- Tak Solito, podobno leżał pod setką policjantów i zapadł się nagle w ziemię.
- To graniczy z cudem!
- Zorro jest chyba czarownikiem!

Zabobonni wyciągali przed siebie rozczapierzone palce, co miało chronić od złego oka i od czarów.

- Wiesz, Giacopo, nie chciałbym za nic w świecie mieć Zorrę przeciwko sobie!
- Jest bardzo dobry dla nas, biednych ludzi!
- Naraża się dla ludu!... Niech żyje bohater!
- Olle, Zorro!...

Podobne zdania i okrzyki rozlegały się wszędzie. Mieszkańcy Huesco i okolic dawali upust swemu podziwowi i entuzjazmowali się wykrzykując imię swego bohatera.

Tymczasem Zefirio z trudem wstał z ziemi, wspomagany przez swych dwóch przyjaciół. Miał przy tym taką nieszczęśliwą minę, że gapie przyglądający się tej scenie, nie mogli powstrzymać się od śmiechu i złośliwych żarcików.

- ŚmieJCie się, śmieJCie, dobrzy ludzie - zwrócił się Zefirio do tłumu. - ' Ciekawy jestem, jak każdy z was wyglądałby pod ciężarem pięciuset rozszalałych mężczyzn.

- Cha, cha! - rozległ się ogólny śmiech. - Pięciuset mężczyzn! Cha, cha!

Jeden z obecnych zawołał:

- Czy nie mylisz się, sefior Zefirio? Było ich całe pięć tysięcy.
- Pół miliona - ryknął jakiś brzuchaty obywatel.
- Cisza - zawołał Zefirio. - Dajcie mi mówić. Proszę o głos. - Cicho, cicho, sefior

Zefirio chce mówić - zewsząd odzywały się głosy rozbawionych ludzi.

- Wyżej, wyżej go! - wołali inni z tylnych szeregów. - Chcemy go widzieć.

Kilka par ramion uniosło go w górę. Dwaj krzepcy mężczyźni posadzili go na swych barkach i Zefirio rozpoczął przemowę:

- Dziękuję wam, zacni moi współobywatele. Pragnę powiedzieć tylko kilka słów, nie chcę bowiem byście zrozumieli fałszywie sytuację, w jakiej się znalazłem przed niespełna dwiema minutami... Rozumiecie dobrze, że sądząc z pozorów...

- Do rzeczy... do rzeczy! - rozległy się zewsząd niecierpliwe okrzyki.

- Dobrze, a więc przystępuję do rzeczy... Otóż, drodzy moi rodacy, zacznę od początku. Jak wiadomo, Hiszpanie krew mają gorącą. A dlaczego? Bo pochodzimy z ludów południa. Płynie w nas krew Maurów, Latynów, Żydów i Berberów.

- Dosyć, dosyć. O ziemię go! - rozległy się okrzyki. - O ziemię mówcę!

- Dlaczego nie wywodzisz nas również od Murzynów i Chińczyków? - wrzasnął jakiś drab. - Na ziemię głupca!

Dwaj mężczyźni, którzy dźwigali go na swych ramionach, nie dali sobie dwa razy powtarzać i biedny Zefirio znalazł się powtórnie na Ziemi.

Tłum zaczął się rozchodzić. Ludzie machnęli ręką na głupca, uwaga ich została skierowana w inną stronę.

- Nie znają się na krasomównie - mruknął Zefirio. - Szkoda fatygi dla nich. Porfirio i Malibran dźwignęli go wspólnie z ziemi. Trójka nierozłącznych przyjaciół, podpierając się nawzajem, oddaliła się wreszcie z pola walki. W miarę jak oddalali się od miasta, kroki stawały się coraz pewniejsze, sylwetki prostowały się, na ustach zjawił się uśmiech. Obecnie nikt by nie poznał, że przed kwadranssem opuścili plac ledwie żywi, pobici, zmaltratowani.

I oto nagle Porfirio wykonał koziołka w powietrzu, a Zefirio i Malibran roześmieli się wesoło.

## Znak na drzwiach

Pokój, w którym znajdował się Pablo Ravales, miał dziwny wygląd. Puste butelki leżały pod stołem, na łóżku i w kącie na podłodze. Stół zarzucony był papierami, na których widniały Wykresy i cyfry. Obok papierów leżała para pistoletów oraz stos naboji. Ravales siedział obok stołu. Sombrero miał na głowie, na butach ostrogi.

Na dwóch innych krzesłach siedzieli dwaj jego nieodłączni towarzysze. Wyglądali nader dziwnie: głowy mieli obandażowane, twarze zaklejone plastrami. Był to ślad pałek Porfiria i Malibrana od czasu owej niefortunnej nocnej wyprawy do domu Anzelma Cortiego.

Pablo Ravales odezwał się po długim milczeniu:

- Nie przychodzi..
- Powinien już być - brzmiała odpowiedź jednookiego.
- Szósta dochodzi - rzekł trzeci mężczyzna..
- Nie jest zbyt punktualny. Czekamy przeszło godzinę.
- A oto jest!

Drzwi się otworzyły i stanął w nich don Alvarez.

- Witajcie, senores - rzekł wchodząc.
- Witaj, senior Alvarez - rzekł Ravales, wyciągając doń rękę. - Czekamy, jak widzisz.

Don Alvarez zajął wolne krzesło.

- Nie mogłem przyjść wcześniej. Zarządziłem obławę w okolicy. Czas, byśmy wreszcie ujęli Zorrę...

Ravales zapalił długie cygaro.

- I ja odczułem na swej skórze, do czego jest zdolny - rzekł. - Ale przystąpmy do rzeczy. Nie po to zebraliśmy się w hotelowym pokoju, by rozprawiać o tym zbójcu.

Don Alvarez przysunął krzesło.

- Dobrze, przystąpmy do rzeczy - rzekł półgłosem. - Jeśli pamięć mnie nie myli, pragniecie nabyć posiadłość Anzelma Cortiego.

- Tak.
- I ten nie chce wam jej sprzedać?
- Niestety!
- Jaką sumę proponowaliście?
- Milion!
- Ejże! Słyszałem, że dawaliście więcej!

- Nieprawda.

- Coś ze trzy czy cztery miliony.

- Tylko dwa i pół.

- Więcej to niż milion.

- Proponowaliśmy, ot tak dla żartów.

- Nie kłam, senior Ravales. Dalibyście tę sumę, gdyby Corti się zgodził.

- Posiadłość nie jest warta tyle.

- Możliwe, nie przeczę. Lecz zależy wam na niej z jakichś powodów, których nie znam.

- Żądanie klienta...

- Nie mówcie głupstw! Tyle was obchodzi klient, co mnie prababka. Zresztą nie wchodzi w to. Powiedz mi tylko, senior Ravales, ile na tym zarobię...

- Pół miliona, jeśli się uda. - Uda się na pewno, albowiem książę robi wszystko, co mu każę. Pół miliona to jednak niewiele. - Nie możemy więcej. - Milion... i zaczynam działać. Ravales podrapał się w głowę. Tym razem żal mu było miliona. Widząc jednak stanowczą postawę don Alvareza, uległ.

- Dobrze. Damy milion, ale sprawa musi zostać szybko załatwiona.

- W ciągu miesiąca Anzelmo Corti zostanie wywłaszczony. Odbierzemy mu ziemię, by ją wam oddać.

- Załatwicie tę sprawę za zgodą królowej?

- Tak! Tylko jaką mam gwarancję, że mi wypłacicie ten milion? W tej samej chwili, zanim Ravales zdążył odpowiedzieć, rozległo się trzykrotne pukanie do drzwi.

Jednooki wstał, zbliżył się ku drzwiom i otworzył je. Za drzwiami nikogo nie było.

Wyjrzał na korytarz. Korytarz był pusty.

Jednooki zamknął drzwi i usiadł na swym miejscu.

- Nie było nikogo za drzwiami - rzekł.

Obecni spojrzeli po sobie.

Po chwili don Alvarez powtórzył poprzednie pytanie:

- Jaką gwarancję dajecie mi, że otrzymam ten milion? Sprawę załatwię pomyślnie, Cortiemu zabierzemy posiadłość, a później, gdy przyjdę po odbiór pieniędzy, pokażecie mi drzwi. Po was mogę się tego spodziewać.

Ravales zamyślił się i rzekł:

- Gotów jestem...

Wtem po raz drugi rozległo się trzykrotne pukanie.



Wszyscy czterej rzucili się ku drzwiom. Na korytarzu nie było żywej duszy.

Don Alvarez spojrział przypadkiem na zewnętrzną stronę drzwi i cofnął się przerażony.

Na drzwiach od strony korytarza widniały trzy czerwone kreski w kształcie litery „Z”.

## Znak na biurku

- Zorro kręci się koło posiadłości Anzelma Cortiego. Większość napadów odbywa się w pobliżu majątku należącego do niego. Pewnej nocy omal nie wpadł w moje ręce i gdzie? W ogrodzie Anzelma, tuż koło domu. Jestem przekonany, że stary hacjendero porozumiewa się z Zorzą. Może nawet mu pomaga. Pewne poszlaki wskazują, iż Anzelmo Corti jest naszym wrogiem, wrogiem partii królewskiej...

Don Alvarez urwał i zaciągnął się dymem cygara, śledząc spod oka wrażenie wywołane opowieścią.

Księżę siedział zamyślony. Po chwili odezwał się:

- Nie może mi się pomieścić w głowie, że poczciwy Corti, który poza uprawą roli i hodowlą bydła niczym się nie interesuje, knuje przeciwko władzy.

- A jednak...

- Gdyby nawet tak było, jakież dowody mamy przeciwko niemu? Żadnych. A bez dowodów nie mogę uwięzić człowieka szanowanego w całej okolicy...

- Jest na to inna rada.

- Jaka?

- Możemy pozbawić go ziemi. Gdy będzie zmuszony porzucić te strony, rękę głową, że schwytny Zorro. Możliwe jednak, że wraz z odejściem Cortiego zniknie również i Zorro.

Don Alvarez mówił na chybił trafił. Chodziło mu jedynie o to, by przekonać księcia.

- Dobrze, senor Alvarez!. - rzekł księżę. - Nie mam nic przeciwko temu, by przepędzić stąd Cortiego. Tylko nie wiem, w jaki sposób! Poradź, jak mam się do tego zabrać.

- Bardzo prosto...

Don Alvarez przysunął krzesło i zaczął mówić szeptem. Księżę kiwał głową na znak zgody, wreszcie wstał i rzekł: - Zgoda! Zrobię tak, jak mi radzisz!

Było już dość późno. Don Alvarez pożegnał się i wyszedł z gabinetu księcia. Księżę zamknął drzwi za nim i powrócił do biurka. Wtem drgnął, oczy wpatrzony w papiery rozszerzyły się niezmiernie pod wpływem przestachu. Na rozrzuconych papierach leżała kartka, a na niej widniały skreślone wielkimi literami słowa:

*Zostawcie Cortiego w spokoju. Nie jest mym współnikiem ani pomocnikiem.*

*U dołu kartki wielka litera „Z”.*

Don Alvarez wyszedł z siedziby księżęcej uradowany. Czuł, że milion ma już w ręku. Jeszcze dwa, najwyżej trzy tygodnie, a zgłosi się do Ravalesa i przedłoży mu zobowiązanie przez tegoż podpisane. Następnie zostawi Aragonię, porzuci służbę wojskową i jecha do Madrytu. Tam na dworze królowej Izabelli czeka go daleko lepsza kariera.

Snując różowe myśli, zbliżył się do swej kwatery. Przed wejściem pełnili wartę żołnierze, którzy na jego widok prezentowali broń.

W przedsionku, na korytarzu, wszędzie zresztą pełno było oficerów i podoficerów, którzy mimo spóźnionej pory czekali na rozkazy pułkownika.

Nie zatrzymując się przeszedł przez wszystkie pokoje w drodze do swego gabinetu.

Przed drzwiami stanął zdziwiony. Poprzez uchylone drzwi sączyło się światło.

- Kto zapalił tu światło? - zapytał sam siebie i pchnął drzwi.

Na krawędzi biurka siedział Zorro, trzymając w ręku zobowiązanie podpisane przez Ravalesa.

Jak się tutaj znalazł? Którędy dostał się do tego pokoju, skoro wszędzie tylu uzbrojonych ludzi? Myśli te błyskawicznie przebiegły przez głowę don Alvaraza.

Chciał się cofnąć i wezwać ludzi, lecz wycelowana lufa przykuła go do miejsca.

- Prosimy do środka, senor Alvarez! - rzekł uprzejmie Zorro, nie przestając weń celować. - Bardzo będziemy radzi pogawędzić z panem pułkownikiem.

Don Alvarez postąpił krok naprzód..

- Zamknij drzwi, pułkowniku - rzekł Zorro. - Zamknij drzwi i zbliż się, proszę!

Don Alvarez usłuchał, czując w całej swej istocie lodowaty podmuch strachu.

Stanął przed Zorram, który uśmiechał się swobodnie pod maską. Białe jak śnieg zęby lśniły w świetle świec umieszczonych w kandelabrach.

Pułkownik rzucił okiem na wycelowaną lufę i zzieleniał. Nie był to wcale pistolet, lecz cybuch jego własnej fajki. Zorro wywiódł go w pole.

- Tak, to rozumiem - rzekł Zorro. - Posłuch i dyscyplina! Teraz możemy spokojnie porozmawiać...

Uniósł kartkę papieru.

- Poznajesz, senor? Jest to liścik daleko cenniejszy od najczulszego listu miłosnego, albowiem zamiast słów miłości jest w nim mowa o milionie..

Don Alvarez milczał.

- Gdyby poczciwy książe wiedział - ciągnął dalej Zorro - że wszystkie przekonujące argumenty, jakimi go przed godziną oszołomiłeś, gdyby książe przeczuwał, że wszystko co powiedziałeś, o biednym, Bogu ducha winnym starcu, że wszystkie twe intrygi powodowane

są tym oto świstkiem, który trzymam w ręku, gdyby książę siędomyślił, jak sądzisz, co by uczynił? Ukaral cię? Nie! Zażądałby na pewno tego miliona do podziału. Ale ty wolisz zatrzymać sprytnie zarobiony milion dla siebie, nieprawdaż? Otóż nie! Muszę cię ukarać za twój egoizm! Zobowiązanie Ravalesa powędruje do mej kieszeni. Sądzę, że jej królewska mość ucieszy się, gdy na widok tej karteczki uświadomi sobie, jakich zabiegliwych ma oficerów.

Wszystko zawirowało przed oczami don Alvarosa. Rzucił się na Zorzę, by wydrzeć mu kompromitujący dokument.

Zorro nie ruszając się z miejsca, uniósł nogę i don Alvarez poleciał w kąt pokoju. Otrzymał potężne pchnięcie w piersi. Padł pod ścianą, a właściwie usiadł. Przez chwilę nie mógł złapać oddechu, wreszcie spróbował się dźwignąć. Nagle zbawienna myśl zaświtała w jego mózgu. Błyskawicznie dobył pistolet, który miał przy sobie i strzelił.

Zorro nachylił się i kula przeleciała tuż nad jego głową.

Za drzwiami rozległ się tupot biegnących ludzi. Drzwi zostały pchnięte gwałtownie i uzbrojeni żołnierze wpadli do pokoju.

Zorro jednym susem był przy oknie.

Zanim obecni zdolali ogarnąć sytuację, Zorro wyskoczył. Okno znajdowało się na znacznej wysokości i Zorro spadł na bruk dziedzińca.

W oknie ukazały się głowy ludzkie.

- Trzymaj, łap Zorzę! - rozległy się dzikie okrzyki. Żołnierze znajdujący się na dziedzińcu, rzucili się ku człowiekowi w masce.

Droga ucieczki była odcięta.

Zorro zawrócił ku domowi. Dopadł ściany i począł wspinać się po niej, chwytając się załomów muru i wystających ozdób architektonicznych. Wnet znalazł się na poziomie pierwszego piętra. Okno, obok którego się zatrzymał, nie było oświetlone. Zorro wybił szybę i wskoczył do pokoju. Przebiegł po omacku kilka pustych pokoi, wywracając krzesła po drodze, i znalazł się wreszcie na korytarzu.

Lecz ludzie biegli już w jego stronę. Zorro zawrócił i wpadł do sąsiedniej sali. Również i tutaj droga była odcięta. Drugimi drzwiami wpadł tłum z latarniami i pochodniami. Sala miała tylko dwa wyjścia. Jedno wyjście na korytarz, który zapełnił się ludźmi, i owe drzwi z przeciwległej strony, którymi wbiegł drugi oddział prześladowców.

Zorro został otoczony ze wszystkich stron.

Na ułamek sekundy wszystko znieruchomiało.

Osaczony rozglądał się dookoła jak tygrys w matni. Pośrodku sali wisiał olbrzymi,

wspaniały żyrandol.

Wzrok Zorry padł na niego. Została mu tylko ta droga ratunku. Dał potężnego susa w górę i uchwycił się żyrandola. Pod wpływem skoku żyrandol wraz z mężczyzną zaczął się kołysać.

Ludzie pod nim czynili rozpaczliwe wysiłki, chcąc go uchwycić za nogi i ściągnąć na dół. Zorro jednak kołysząc się coraz szybciej, rozdawał potężne kopnięcia na prawo i lewo.

Żyrandol kołysał się coraz gwałtowniej.

W pewnej chwili Zorro rozluźnił palce. Ciało jego opisało wielki łuk w powietrzu i uderzyło z rozpędu w okno.

Rama okienna została wysadzona. Rozległ się brzęk rozbitego szkła.

Zorro spadł na miękką murawę.

- Strzelać!... Strzelać!... - rozległ się rozpaczliwy krzyk don Alvareza, który wychylił się przez okno. - Tam na ziemi... celujcie dobrze... Pal, pal!...

Inni żołnierze okrążali dom, biegnąc w stronę ogrodu.

W kilku oknach ukazały się lufy pistoletów, błysnęły płomienie i rozległa się salwa.

Cała ta scena trwała zaledwie parę sekund. Kilku śmiazków skoczyło z okien. w ślad za Zorrrą, lecz na próżno. Czarny cień mignął ponad płotem okalającym ogród.

Zorro znikł bez śladu.

## Popis

Don Alvarez zsiadł z konia i oddał wodze żołnierzowi. Oddział stanął przed domem Anzelma Cortiego.

Don Alvarez wszedł do środka.

- Witaj mi, oficerze! - rzekł uprzejmie Anzelmo Corti, wskazując krzesło.

Don Alvarez usiadł.

- Senor Corti - rozpoczął. - Przybywam do ciebie w sprawie urzędowej.

- Zamieniam się cały w słuch!

- Chodzi o Zorrę! Musisz nam udzielić o nim szczegółowych informacji.

- Zorro? - zdziwił się Corti. - Cóż mogę wiedzieć o nim? - Jesteśmy przekonani, że wiesz, senor, więcej, niż chcesz powiedzieć.

Szczere zdumienie odbiło się na obliczu Anzelma. Don Alvarez nie zwracał jednak uwagi na wywołane wrażenie i ciągnął dalej:

- Ostatnio przeglądaliśmy wraz z księciem wielkorządcą listę zaległych podatków. Pomiędzy dłużnikami znajduje się również nazwisko Anzelma Cortiego.

Corti zerwał się ze swego miejsca, wołając:

- To nieprawda!

- Mniejsza o to. W danym wypadku obchodzi nas inna sprawa, a mianowicie: Zorro ujął się za tobą i po raz pierwszy wystąpił czynnie w obronie prywatnej osoby. Daje nam to wiele do myślenia.

Anzelmo spoglądał przez chwilę na swego rozmówcę, wreszcie rzekł:

- Przyznam się, senor Alvarez, że nic nie rozumiem! O co wam chodzi? Że nie zapłaciłem podatków za ostatnie lata? Mam pokwitowanie wystawione przez urząd, że wszystkie podatki są uiszczone. Następnie dziwi was, że Zorro ujął się za mną? Zaręczam pod słowem honoru, że nie znam go, nie rozmawiałem nigdy, a tym bardziej nie mogłem prosić Zorrę o jakąkolwiek obronę, bowiem nie wiem o tym, by mnie napastowano! Chyba wystarczy słowo szlachcica.

- Wystarczy, senor Corti! Niestety, księżę jest uparty i mściwy. Wstawiennictwo Zorry obudziło w nim niechęć do ciebie, senor. Nie ustanie, dopóki cię nie zrujnuje, nie uczyni z ciebie nędzarza i nie puści w świat o kiju zebraczym.

- Ha, trudno - westchnął Corti z rezygnacją. - Niech się dzieje wola boska.

- Rozumiesz więc teraz, senor, że przybywam tutaj jako przyjaciel, pragnę cię

bowiem ostrzec przed nieszczęściem.

Zamilkł na chwilę, po czym ciągnął dalej:

- Wysłuchaj więc przyjacielskiej rady. Sprzedaj posiadłość i porzuć Aragonię.

- Nigdy nie uczynię tego! - zawołał Corti. - Wolę zginąć.

- Zostaniesz zrujnowany.

- Zobaczymy! Wierzę w sprawiedliwość. Sumienie mam czyste, to mi wystarczy.

- Dobrze - rzekł Alvarez, kryjąc złość. - Zobaczymy, spełniłem swoją powinność wobec człowieka, do którego żywię sympatię. Reszta mnie nie obchodzi. Obawiam się jednak, że tutaj nawet Zorro nie pomoże.

Nagle w drzwiach rozległ się ślamazarny głos.

- Kto tu mówi o Zorro?

Do pokoju wszedł Zefirio, w rękę trzymał kopertę.

- Aa... dzień dobry, senor Alvarez! - zawołał. - Cieszę się, że was widzę! Co się tyczy Zorry, możecie się go już nie obawiać!

- Co takiego? - skoczył na równe nogi don Alvarez.

- Biada mu, gdy go przyłapię - ciągnął Zefirio swym flegmatycznym głosem. - Biada mu, bo władam obecnie biczem z bawolej skóry lepiej od niego. Niech go tylko spotkam, popamięta Zefiria.

Don Alvarez usiadł z powrotem rozczarowany. Spodziewał się, że Zorro został schwytyany, zabity lub coś w tym rodzaju. Wydawało mu się przez moment, że Zefirio przynosi tę radosną nowinę, niestety zapomniał, że młody Corti to skończony głupiec, który rzadko mówi do rzeczy.

- A propos! - zawołał Zefirio. - Zapomniałbym. Jakiś mały chłopiec wręczył mi ten list zaadresowany do ciebie, senor Alvarez.

Don Alvarez rozerwał kopertę i wyjął kartkę papieru:

Senor Alvarez, ostrzegam Cię po raz ostatni, zaniechaj Twych intryg. Zobowiązanie na milion mam przy sobie.

Podpisane: "Z".

Don Alvarez zbladł i podarł list w drobne kawałki. Ten Zorro zna każdy mój krok - pomyślał. Czyżby był duchem?

- Skończyłeś, senor? - zapytał Zefirio, który czekał, aż oficer przeczyta kartkę.

- Skończyłem - rzekł don Alvarez.

- A więc poproszę cię, senor, byś wyszedł na dziedziniec. Chcę ci zaprezentować moją nową

umiejętność.

- Kochany senor Zefirio, odłóżmy popis na inny dzień. Dziś naprawdę nie mam ochoty ani czasu na oglądanie sztuczek. Możesz mi wierzyć, caballero, że mam daleko ważniejsze sprawy na głowie.

- Wierzę ci, pułkowniku, i zaiste szanuję twój czas i spokój, lecz proszę cię, zanim odjedziesz, racz mnie wysłuchać. Zadam ci kilka pytań, nie zajmie to zbyt wiele czasu... Dobrze?

- Pytaj!

- A więc słuchaj, senor Alvarez. Pierwsze pytanie: Kto jest naszym wspólnym wrogiem, czy nie Zorro?

- Tak!

- Dobrze! Teraz drugie pytanie: Dlaczego Zorro jest niezwyciężony? Czy nie dlatego, że jest mistrzem we władaniu biczem i pistoletem?

- Możliwe.

- Świetnie! A teraz trzecie i ostatnie pytanie: Senor Alvarez, odpowiedz szczerze, jeśli się znajdzie człowiek, który zna Zorrę z twarzy i włada biczem i pistoletem nie gorzej od niego i jeśli ten człowiek zmierzy się z Zorram, czy ma szansę na zwycięstwo?

- Hm...

Zefirio przybrał dumną postawę.

- Pułkowniku, popatrz na mnie dobrze!... Czy widzisz mnie?

- Widzę - rzekł don Alvarez i zagryzł wargi, by nie parsknąć śmiechem.

- Widzisz mnie, to prawda, lecz nie wiesz, że ja jestem tym człowiekiem, który ma szansę na zwycięstwo! Ha, co ty na to, pułkowniku?

- Podziwiam...

- A więc chodźmy na dziedziniec, senor... Za chwilę ocenisz, czy jestem godnym przeciwnikiem bandyty.

Don Alvarez wstał i wyszedł za nim.

Oddział rozlokował się na dziedzińcu, lecz po prawej stronie placu miejsce było wolne. Słupek, wysokości ludzkiego wzroku, stał pośrodku, wbity w ziemię.

Zefirio ujął bicz z bawolej skóry.

- Uwaga! - zawołał przybierając teatralną, pełną dumy pozę. - Rozpoczynamy pokaz a la Zorro. Ręczę, że sam Zorro mógłby się uczyć u mnie, jak należy z precyzją władać biczem.



Po czym dodał, zwracając się ku licznym widzom:

- Kładę jabłko na tym oto słupku! Zestrzelić je pistoletem, nie jest sztuką. Natomiast zrzucić jabłko końcem bicza, z odległości dziesięciu prawie kroków, to sztuka nie lada. - Wypiął dumnie pierś. - Nikt tego nie potrafi, tylko ja, Zefirio Corti! Wszyscy, którzy jesteście tutaj obecni, rozgłosicie po całej Hiszpanii, że Zefirio Corti włada biczem z bawolej skóry jak nikt na świecie, nie wyłączając nawet Zorry... A teraz uwaga!

Bicz strzelił. Rzemień opisał ze świstem łuk w powietrzu.

Jabłko nie ruszyło się z miejsca, natomiast rozległ się przeraźliwy krzyk. Biedny wieprzek, który wałęsał się w pobliżu otrzymał niezasłużone cięgi.

- To nic - rzekł nie zrażony Zefirio. - Za pierwszym razem może się nie udać! Zobaczycie teraz.

Bicz przeciął powietrze po raz wtóry.

Jabłko leżało nadal spokojnie na swym miejscu.

Wówczas Zefirio, pragnąc za wszelką cenę strącić jabłko, zapalił się do gry.

Rzemień świstał coraz szybciej.

Rozległy się jęki i przekleństwa. Trafione konie stawały dęba. Ludzie chwyтали się za twarze i uciekali, gdzie pieprz rośnie, przed straszliwym rzemieniem.

Don Alvarez, który stał w pobliżu Zefiria, nie zdążył odskoczyć. Smagnięty w twarz, upadł na ziemię.

Zefirio był głuchy i ślepy. Nie zważał na spustoszenie, jakie siał dookoła jego bicz. Wpatrzony w jabłko, wymachiwał rozpaczliwie biczem, nie widząc, że nieposłuszny rzemień trafia swym końcem zupełnie gdzie indziej.

Wreszcie Zefirio się zmęczył. Otarł pot z czoła i obejrzał się. Zdumienie odmalowało się na jego głupkowskim obliczu. Nie opodał ludzie leżeli jęcząc.

Inni chwyтали rozszalałe konie. Za jego plecami, w odległości dziesięciu kroków, don Alvarez z trudem dźwigał się z ziemi. Na jego obliczu widniała długa, czerwona pręga.

Na ganku stali Porfirio i Malibrán, trzymając się za brzuchy od śmiechu.

## Dolores i Mercedes

Księżący powóz sunął drogą. Dolores niecierpliwie wyglądała przez okno. Udawała się do Madrytu, lecz po drodze chciała się zobaczyć ze swą przyjaciółką Mercedes, była koleżanką z klasztoru.

Było piękne popołudnie czerwcowe. Słońce tego dnia nie przypiekało zbyt mocno, świeży powiew wiatru z północy muskał policzki Dolores.

Wreszcie oczom dziewczyny ukazał się w oddali dom Anzelma Cortiego.

Niebawem powóz zatrzymał się. Dolores wysiadła i udała się do hacjendy.

Mercedes, która przez okno dostrzegła zbliżającą się przyjaciółkę, wybiegła na spotkanie. Dziewczyny ucałowały się serdecznie i Mercedes zaprowadziła przyjaciółkę do gościnnego pokoju.

Usiadły na sofie i zaczęły rozmawiać.

- Ach, moja kochana Mercedes - mówiła Dolores - jakże się cieszę, że widzę cię nareszcie, po tylu latach rozłąki...

- No, nie przesadzaj - odparła Mercedes z uśmiechem - dopiero dwa lata minęły od chwili, gdy opuściłyśmy klasztor.

- Możliwe. Czas ten wydał mi się szalenie długi. Bo też nudzę się u wuja okropnie. Saragossa, nie wyobrażasz sobie, co to za dziura. Wprawdzie jest uniwersytet, lecz jak wiesz, studenci mnie nie interesują.

- Sądzę, że nie brak wojskowych w świecie twego wuja.

- Owszem! Ale są tacy nudni! Zresztą i oni mnie nie interesują...

- Ciekawe. Czyżbyś była zakochana?

Dolores zarumieniła się, milczała chwilę, wreszcie rzekła z wahaniem:

- Zdaje się, że zgadłaś!

- Jesteś zakochana? .

- Tak sądzą.

- A w kim?

- O, tego ci powiedzieć nie mogę. Wybacz, ale to tajemnica. - Nie nalegam. ,Zresztą i ja... nie mogę powiedzieć, by me serce było wolne.

- Ach, to ciekawe. Kochasz również?

- Niestety.

- Dlaczego Niestety?

- I ja powiem, że to tajemnica.

- A więc obie mamy swe tajemnice. Mój Boże, jaka szkoda, że nie będę mogła pozostać tutaj dłużej, choćby do wieczora.

- Śpieszysz się?

- Tak. Jadę do Madrytu. Matka mnie wzywa. Jest trochę niezdrowa i chce mnie mieć przy sobie. Myślę jednak, że to niezbyt długo potrwa i niebawem powrócę do Saragossy. Wówczas musisz do mnie zawitać. Nagadamy się do woli.

Nagle drzwi wiodące do gościnnego pokoju otworzyły się i Zefirio przestąpił próg. Wzrok jego padł na dziewczyny siedzące obok siebie.

Zefirio cofnął się raptownie i zamknął drzwi. Obie jednak zdążyły go zauważyć.

Dolores roześmiała się.

- Zgaduję - zawołała - kochasz Zefiria.

- Ależ co ty wygadujesz? - oburzyła się Mercedes. - Złe masz o mnie wyobrażenie. Przecież to skończony głupiec i niedołęga.

Dolores śmiała się na dobre.

- Wybacz mi, moja kochana! - zawołała śmiejąc się. - Nie chciałam cię obrazić.

- Nie przeczę, że ojciec nakłaniał mnie, bym za niego wyszła. Sam Zefirio oświadczył mi się nawet...

- Jak to? - zawołała zdumiona Dolores. - Zefirio ci się oświadczył?

- Tak. Czy cię to dziwi?

- Wyobraź sobie, że ten młody człowiek oświadczył mi się również.

- To niemożliwe. Tobie również?

- Wpadł do mnie jak bomba, padł na kolana i zawołał wielkim głosem: O, Dolores, pani mego serca, kocham cię od dawna i kładę me dzielne, nieustraszone serce u twych stópek! Aby jednak ci dowieść, jaki jestem waleczny, zobowiązuję się schwytać Zorrę, jeśli mi przyrzekniesz swą rękę. Wybuchnęłam śmiechem i przyrzekłam.

Mercedes słuchała zdumiona, nie wierząc własnym uszom.

- Ach, ten nicpoń! - rzekła. - W ten sam mniej więcej sposób oświadczył się o moją rękę.

- Przyrzekłaś również?

- Tak!

Zaledwie przebrzmiały ostatnie słowa, od strony okna odezwał się męski głos:

- Wart jest, by mu wygarbować skórę, ten Zefirio. Odwróciły się przestraszone w stronę okna.

Na parapecie siedział Zorro.

- Boże! - wyrwało się obu dziewczętom.

Zorro mówił dalej, uśmiechając się szeroko:

- Zbyt wiele sobie pozwala ten nędznik. Muszę mu dać nauczkę.

Obie siedziały nieruchomo, bez tchu w piersiach. Dolores była blada. Mercedes cała w pąsach.

- Chwilka cierpliwości - ciągnął dalej Zorro - a usłyszycie niebawem, moje piękne panie, jaką nauczkę daję temu zarozumialcowi. - Przełożył nogę i stanął w pokoju.

Obie patrzyły nań jak urzeczone.

Zorro pochylił się przed dziewczętami, kłaniając, się wytwornie i jednym susem znalazł się za drzwiami.

Dolores i Mercedes siedziały w milczeniu. Każda obawiała się wyrzec słówko, by ta druga nie domyśliła się, że znajdował się tutaj przed chwilą. mężczyzna, w którym jest zakochana.

Zaledwie Zorro znikł za drzwiami, drugie drzwi prowadzące do pokoju, gdzie obie siedziały, otworzyły się. Wbiegł nimi Zefirio. Przerazenie malowało się na jego twarzy. Nie odzywając się ani słowem, przebiegł przez salon i znikł za przeciwległymi drzwiami. Po chwili Zorro wbiegł do pokoju.

- Tędy uciekał Zefirio, nieprawdaż? Ucieka jak zając, ten bohater!

Skoczył w ślad za Zefiriem.

Nagle w oddali rozległ się rozpaczliwy krzyk Zefiria.

- Porfirio, Malibran. Na pomoc...

Rozległ się tupot nóg obu przyjaciół, którzy biegli na wołanie. Po chwili wszyscy trzej wpadli do salonu, trzymając w ręku pistolety.

- Gdzie Zorro? - zapytał zdyszczonym głosem Zefirio.

Obie milczały.

Zaledwie zniknęli za drzwiami, przez inne drzwi wpadł Zorro.

- Uciekaj, senor! - zawołała Dolores. - Jest ich trzech, mają pistolety.

- Czy sądzisz, o piękna senorito, że ulęknę się trzech pistoletów? - odparł Zorro. - Nie znasz mnie, jak widzę.

Wybiegł z salonu przez drzwi, za którymi przed chwilą znikli trzej przyjaciele.

Wtem w odległym pokoju rozległ się radosny okrzyk przerywany hałasem przewracanych mebli.

- Mamy go, mamy! Trzymaj Zorrę!

Zerwały się obie z sofy i pobiegły w kierunku, skąd dobiegał głos. Zefirio, Porfirio i Malibrán trzymali z całych sił szamoczącego się człowieka, który leżał twarzą do podłogi.

- Puście go! - zawołała Mercedes z rozpaczą w głosie. - Przecież go udusicie!

Zefirio, Porfirio i Malibrán puścili swą ofiarę, która z trudem podniosła się z podłogi.

Był to don Alvarez.

Widząc przed chwilą karetę książęcą przed domem, wszedł do środka. Zaledwie jednak zdążył przejść przez korytarz, został napadnięty z tyłu i powalony na ziemię.

Trzej przyjaciele patrzyli z głupowatymi minami na don Alvaręza podnoszącego się z trudem z podłogi.

Dolores i Mercedes wybuchnęły głośnym śmiechem.

- Omyliliśmy się - skostatował Zefirio. - Niestety!

## Złodzieje bydła

Nad ranem pasterz wpadł do domu Cortich i zaczął budzić gospodarza: - Senor, senor, nieszczęście! Anzelmo Corti zerwał się z łóżka, przecierając zaspane oczy. - Co się stało, Pedro? - Brakuje w stadzie sześćdziesiąt sztuk bydła. Szukaliśmy wszędzie. Zginęło bez śladu. Anzelmo Corti zaczął się szybko ubierać. Cios był dla niego dotkliwy. Zbliżając się ku ogrodzeniu, gdzie wpędzano bydło na noc, rozpoznał sylwetki Zefiria i jego przyjaciół. Zefirio zwrócił się do ojca. - No i cóż ojcze? Ograbiono nas. -Tak sądzisz? - Rozumie się. Przecież wczoraj wieczorem liczono bydło, wpędzając je na noc. Krowy nie dostały chyba skrzydeł? Cha, cha!

Anzelmo Corti oburzył się.

- Śmiejesz się, mój synu? Przecież to okropna strata dla nas. Najlepsze sztuki bydła!

Malibran wtrącił się do rozmowy:

- Nie należy poddawać się rozpacz, senor Anzelmo! Zabierzemy się do dzieła we trzech i z całą pewnością odzyskamy zrabowane bydło.

Anzelmo Corti machnął ręką. Niezbyt wierzył w policyjne zdolności trojga przyjaciół...

- Najlepiej będzie, jeśli zawiadomię władze - rzekł.

- Nie czyn tego, ojcze - odparł Zefirio. - Policja naszej królowej ściągnie z ciebie olbrzymi haracz pod pozorem, że poszukiwania są kosztowne i w rezultacie nic nie odzyskasz.

- Więc jak mam postąpić?

- Iść spać, gdyż sen uspokaja najbardziej wzburzone nerwy. My zaś zajmiemy się tą sprawą.

Cortiemu nie pozostało nic innego, jak tylko posłuchać rady syna.

W odległości dnia jazdy od Huesco, jak gdyby oddzielona od górskiego pasma Pirenejów, wśród piaszczystych, nieurodzajnych terenów znajduje się grupa skał. Rzadko podróżny zajrzy w te strony, rzadko jakieś zwierzę zapędzi się tutaj w poszukiwaniu pożywienia. Czasami tylko orzeł zabłąka się polatując nad skałami lub koza górską przeskoczy z wierzchołka na wierzchołek.

Skały te rozczepiają się pośrodku, tworząc głęboki, ciemny wąwóz. Na wiosnę, gdy śniegi stopnieją, dnem biegnie rwący potok. Później zaś, około czerwca, łożysko wysycha i dno rzeczne zamienia się w gościniec.

Pewnego upalnego dnia w wąwozie tym głośnym echem rozległy się strzelania z batów, pokrzykiwania ludzi i ryk bydła.

Woły i krowy zostały wpędzone do wąwozu. Ludzi było dziesięciu. Siedzieli na małych andaluzyjskich koniach, uzbrojeni w bicze i pistolety, sombrero mieli głęboko nasunięte na oczy.

- Uff - westchnął jeden z nich. - Zasłużyliśmy na odpoczynek.

- Dowódca powiada - rzekł drugi - że możemy tutaj pozostać choćby do wieczora.

Nic nam tutaj nie grozi.

Do rozmawiających zbliżył się człowiek, który nimi dowodził. Był to jednooki pomocnik Pabla Ravalesa.

- No i cóż, chłopcy? - zawołał wesoło. - Napijemy się wina?

Mężczyźni skoczyli do siodeł. Butelki zostały wydobyte i wszyscy łykali napój łapczywie. Przez chwilę nic nie było słychać prócz bulgotania płynu lejącego się z butelek.

- Senor Ravales przybędzie niebawem - rzekł jednooki, ocierając usta. - Wynagrodzi was i wskaże, co macie dalej robić.

- Rozkaże pędzić bydło do Saragossy na jarmark!

- Nie sądzę. Nie zależy mu wcale na spieniężeniu wołów. Tutaj chodzi o co innego. Możliwe, że ubijemy wszystkie zwierzęta i pozostawimy na miejscu.

- Aha, rozumiem! Zemsta!

- Zgadłeś!

- Jeśli tak, to co innego - wtrącił się trzeci mężczyzna do rozmowy. - Jeśli chodzi o zemstę, będzie musiał zapłacić nam drożej za usługę.

- Dlaczego?

- Zemsta to rzecz kosztowna. Jeśli kradniemy bydło, by je następnie sprzedać, zadowolić się musimy mniejszym zyskiem, bo przedsiębiorca również musi zarobić. Człowiek, który może sobie pozwolić na wynajem dziesięciu tęgich zuchów nie dla zarobku, lecz dla dokonania zemsty, jest bogaty, niech więc płaci.

Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem, potakując mówiącemu.

- Wątpię, czy da wam więcej, niż przyrzekł – oświadczył jednooki. - Pięćdziesiąt peso na człowieka wystarczy.

- O, nie, kochany dowódco! Obecnie nie wystarczy - odparł tenże mężczyzna. - Jeśli się nie zgodzi, weźmiemy co nam się należy oraz bydło.

- Tak, tak. Masz rację - rozległy się okrzyki aprobaty. Jednooki spojrział z nienawiścią na mówiącego:

- Dobrze - rzekł. - Pomówcie z szefem. Ja umyvam ręce. Mężczyźni rozłożyli się dookoła na ziemi.

Wtem nad ich głowami przeleciało z głośnym krakaniem stado wron.

- Zła przepowiednia - rzekł jeden z leżących.

- Dla ciebie chyba, nie dla mnie - odparł ten, który domagał się zapłaty.

U wylotu wąwozu rozległ się nagle tętent galopującego konia. Mężczyźni zerwali się ze swych miejsc, trzymając pistolety w pogotowiu.

Do wąwozu wpadł na spienionym rumaku senior Pablo Ravales.

- Dzień dobry, hultaje! - zawołał wesoło. - Spisaliście się nieźle, jak widzę! Zapłacę wam, co się należy.

Zeskoczył z konia i odwiązał worek z pieniędzmi.

- Płacę srebrem! - rzekł rozwiązując worek. - Oto pięćdziesiąt peso dla każdego z was.

- Nie - rzekł jeden z rabusiów.

- Jak to nie? - zapytał Ravales, marszcząc brwi. - Co to znaczy?

- Nie weźmiemy pięćdziesięciu peso. Należy nam się więcej.

- Żartujecie chyba. Umówiłem się z wami i płacę podług umowy.

Ludzie jednak milczeli posępnie, nie biorąc pieniędzy.

Pablo Ravales dumiał chwilę i wreszcie zapytał cedząc słowa powoli:

Więc ile chcecie?

- Sto pięćdziesiąt na człowieka lub też pięćdziesiąt peso i bydło dla nas! - odpowiedział ten, który podburzył innych.

- Sto pięćdziesiąt peso? - powtórzył wolno Ravales. - Lub pięćdziesiąt i bydło?

- Tak. Nie inaczej.

Ravales wyciągnął błyskawicznie pistolet, wołając:

- Masz zapłatę, łotrze. Starczy ci na całe życie!

Rozległ się strzał, odbijając się wielokrotnym echem o ściany wąwozu.

Człowiek zwałił się na ziemię. Nastąpiło głucho milczenie.

Jednooki stanął obok szefa, z pistoletem w ręku.

- Kto tu jeszcze domaga się zapłaty? - ryknął Ravales.

- Ja - rozległ się miękki i pieszczotliwy głos tuż za nimi.

Siedząc na ognistym rumaku, w odległości kilku kroków uśmiechał się Zorro. - Cóż widzę, chłopackowie? - mówił dalej łagodnym głosem Zorro. - Zabijacie się nawzajem? O, nierozsądni, gdy wyginiecie wszyscy, kto będzie pilnował bydła? - Zorro bawił się niedbale



rękojeścią swego bata. Rzemień jak wąż falował po ziemi. - Chyba że poprosicie mnie grzecznie - ciągnął dalej - i ja będę pilnował bydelko. Żądam jednak tej samej zapłaty: pięćdziesiąt peso i bydło!

Ravales, blady jak płótno, zwrócił się ku niemu.

- Czego chcesz od nas? Bydło należy do mnie! Jedź dalej, caballero! Zapłaciłem już daninę: czterysta tysięcy peso. Chyba wystarczy!

- Nie, señor! Tamto to był dług honorowy. Obecnie co innego. Pozostałeś mi winien sto tysięcy, sądzę, że nie zapomniałeś. Dasz mi więc te woły i krowy, a należność będzie uregulowana...

Nie dokończył jednak zdania, bo Ravales szybko uniósł rękę, w której trzymał pistolet. Prawie jednocześnie rozległ się suchy trzask bicia i pistolet poleciał daleko na piasek. Ravales zaś, krzywiąc się z bólu, trzymał się za rękę, na której wystąpiła czerwona pręga.

- Jesteś zatwardziałym dłużnikiem, señor Ravales - rzekł Zorro. - Zmuszasz mnie, bym cię okładał batem. Fe, wstydziłbyś się. Postępujesz jak mały chłopiec, którego ojciec musi karcić. Nie spodziewałem się tego po takim statecznym człowieku w podeszłych latach.

Głos jego stał się surowy, gdy zwrócił się do reszty ludzi.

- A wy, panowie, którzy gonicie bydło nie pytając nawet o pozwolenie prawego właściciela, powiedzcie, jak mam was ukarać?

Złodzieje bydła to byli ludzie gminu. Wieści o tajemniczym, zamaskowanym mężczyźnie były im doskonale znane. Nie próbowali nawet opierać się, napawał ich bowiem zabobonnym strachem.

Jeden z nich wystąpił i rzekł do Zorry, trzymając sombrero w rękę:

- Wybacz nam, señor Zorro. Jesteśmy biednymi wieśniakami żyjącymi z pracy najemnej. Ten oto jednooki skusił nas obietnicą sówitej zapłaty. Postąpiliśmy bardzo źle, przyznaję, lecz bieda zmusiła nas do tego.

- Bieda nie zmusi uczciwego człowieka do rabunku.

- Przysięgam, że nie jesteśmy zawodowymi złodziejami. Było to po raz pierwszy i ostatni w życiu. Jednooki nas zwerbował, uzbroił i zaprowadził na miejsce.

- Chcę wierzyć - rzekł wspaniałomyślnie Zorro. - Nie wyglądacie mi na zbójów. Niech to wam będzie nauczka na przyszłość. Daruję wam tym razem, lecz pamiętajcie: żebyśmy więcej o was nie słyszał!

- A ty - dodał zwracając się do Ravalesa - zabiłeś człowieka za kilka pistoli, pomimo że masz miliony! Słuchaj dobrze, señor. Nie jestem świętym, pobłażliwość moja nie jest

bezgraniczna. Tracę już cierpliwość... Dziś znów ujdzie ci na sucho kradzież i morderstwo. Nie jestem sędzią, nie ja będę cię karał, uprzedzam jednak po raz ostatni: uchodź stąd, pókiś żywy i żebym cię już nigdy w życiu nie oglądał. Jeśli jeszcze raz wpadniesz mi w ręce, biada ci. Pożegnasz się z życiem! A teraz uciekajcie wszyscy.

Po chwili Zorro został sam.

Stado stało spokojnie w pobliżu. Zorro smagnął konia i pognął w odwrotnym kierunku, pozostawiając zwierzęta w wąwozie.

Poganiacze mułów i okoliczni wieśniacy dążyli do pobliskiego miasteczka na jarmark. Szli i jechali większą grupą, rozmawiając wesoło i śmiejąc się. Zwyczajem przyjętym w Hiszpanii każdy muł czy koń dźwigał na swym grzbiecie dwoje ludzi. Mąż siedział w siodle, zaś jego połowica tuż za nim.

Karawana posuwała się powoli w pobliżu skał. Nagle rozległ się tętent i trzech jeźdźcy zrównali się z nią. Dwaj z nich siedzieli na koniach, trzeci zaś poganiał muła, na którym siedział.

- Witajcie mi, dobrzy ludzie! - zawołał ten na mule.

- Dzień dobry, senor Zefirio - odpowiedziano mu chórem. - Jedziecie na jarmark? - zapytał Zefirio.

- Tak - odpowiedział jeden z wieśniaków. - A dokąd to senor tak spieszy, jeśli wolno zapytać?

- Skradziono nam tej nocy sześćdziesiąt sztuk bydła. Dążymy śladem racic.

Kradzież bydła zawsze interesuje wieśniaka. Koń i byk to nieraz cały jego dobytek, toteż współczuje szczerze okradzionemu.

Zatrzymali swe konie i muły i otoczyli Zefiria, wypytując o szczegóły. Młodzieniec opowiedział pokrótce i, kończąc dodał:

- Ślady prowadzą przez skały. Sądzę, że niebawem dogonimy złodziei. - Jedziemy z wami! - zawołało kilku wieśniaków. Jarmark nam nie ucieknie. Przydamy się może w walce ze złodziejami.

Zefirio przyjął propozycję z wdzięcznością. Kilkunastu jeźdźców oddzieliło się od karawany i przyłączyło do trzech przyjaciół.

Skęcili z drogi i niebawem znaleźli się pomiędzy skałami.

- Ach! - rozległ się jednogłośnie okrzyk.

Przed nimi w wąwozie stały spokojnie woły i krowy. Żadnej ludzkiej duszy nie było w pobliżu.

Nad ciałem zabitego krążyły kruki.



## Trzy kule

W całej Hiszpanii istnieje specjalna klasa ludzi. Są to pistolero, czyli najemni mordercy. Pistolero, dla poczęstunku i niewielkiej zapłaty, sprzątnie każdego, kogo mu wskażą..

Książę Ramido sam miał duszę pistolera. Gdy wyczyny zbrodniarzy stały się nazbyt częste, tracił cierpliwość. Nie chciał mieć konkurentów pod bokiem. Toteż zabrał się z dziką energią do oczyszczania miasta. Uzbrojeni szpiedzy krążyli wszędzie, dokonywano obław masowych w biednej dzielnicy. Podejrzanych wieszano, wtrącano do lochów i katowano. Zbójce na żołdzie księżęcym działali tak sprawnie, że niebawem Saragossa stała się za ciasna dla prywatnych zbójców.

W mieście zapanował spokój, lecz za to ponure wieści zaczęły napływać z prowincji.

Pistolero, zebrani w bandy, napadali na okoliczne hacjendy, zagrody wieśniacze, uprowadzali bydło, podpalali domostwa, napadali na karety pocztowe i na zwykłych podróżnych. Słowem, pistolero z Saragossy zamienili się w desperadosów, czyli bandytów wielkich dróg.

Na początku rabowali w okolicy Saragossy, następnie przenieśli się bliżej Huesco.

Krzyki mordowanych, ryki uprowadzonego bydła i trzask palących się domów rozlegały się coraz częściej. Mieszkańcy okoliczni byli zrozpaczeni - znikąd nie mogli się spodziewać ratunku.

Książę Ramido był obojętny na to, co się działo z dala od Saragossy.

Don Alvarez, który go tutaj zastępował, nie mógł nic zdziałać zaprzątnięty jedną myślą: jak schwytać Zorrę?

I oto cała okolica odetchnęła z ulgą.

Lotem błyskawicy rozniosła się wieść, że Zorro, zamaskowany obrońca ludu, rabuś, który nigdy nie brał nic dla siebie, Zorro wypowiedział bezwzględną wojnę pistolerom.

Rozpoczęły się trwożne dni. Po każdym napadzie jednej z band znajdowano w lesie lub na drodze trupa z przestrzeloną czaszką i znakiem „Z” na policzku.

Nieraz zabłąkany podróżny dostrzegał w oddali przemykającego się jeźdźca w masce.

Widziano go coraz częściej to tu, to tam. Przebiegał okolicę we wszystkich kierunkach. Bat zwinięty spoczywał u siodła, natomiast pistolety trzymał w pogotowiu. Sprawa musiała być poważna, skoro zmienił rodzaj broni.

Krążył niby jastrząb wypatrujący zdobyczy.

Od pewnego czasu Zefirio miał nową namiętność. Stał się zagorzałym botanikiem. Został sam. Porfirio i Malibrán opuścili go, udając się do Madrytu na miesiąc. Ciotka Malibrána umarła, musiał jechać po spuściznę, Porfirio towarzyszył mu w drodze.

Sprawił sobie skrzynkę, którą trzymał przewieszoną na rzemieniu, i ginął całymi dniami bez wieści, w poszukiwaniu jakiegoś kwiatka lub roślinki.

Pewnego dnia don Alvarez jadąc na czele oddziału, spotkał Zefiria wylaniającego się z pobliskiego gaju.

- Ach, señor Zefirio! - zawołał. - Cóż tutaj robimy? Zefirio przymrużył tajemniczo oko:

- Jestem na drodze do sławy, señor Alvarez - rzekł z prostotą. - Jeszcze kilka dni, a zakasuję Linneusza i Buffona!

- Buffona i Linneusza? Kto są ci dwaj?

- Geniusze nauki, sławni botanicy.

- Aha, zbieracze kwiatków! - Coś w tym rodzaju! Otóż udało mi się odnaleźć rodzaj rośliny nieznaną dotąd nauce. Jeśli masz ochotę posłuchać historii tego kwiatka, chętnie ci służyć, lecz wpierw pokażę ci ten okaz.

I Zefirio, łącząc czyn ze słowami, zabrał się do otwierania skrzynki, którą zdjął z ramienia.

- o nie, dziękuję! - zawołał śpiesznie don Alvarez, który nie miał najmniejszej chęci słuchać wykładu z botaniki. - Opowiesz mi innym razem, señor Zefirio! Śpieszę się, bo desperadosi krążą podobno gdzieś w pobliżu.

- Desperadosi? - rzekł Zefirio, uśmiechając się głupkowato. - Zdaje się, iż jeden z nich leży w tym gaju z przestrelonym czołem. Gdy przechodziłem, był jeszcze ciepły.

Poza granicami dóbr Anzelma Cortiego rozpoczynał się gęsty las poprzecinany gdzieniegdzie ścieżkami i drogami dla pojazdów.

Na uboczu od głównego traktu drzewa rosły niemal jedno przy drugim. Panował tutaj wieczny półmrok, nieraz przebiegał leśny zwierz, wśród gałęzi polatywało liczne ptactwo. Zwalone drzewa leżały tu i ówdzie, zagradzając drogę śmiałkowi, który chciałby w te strony się zapuścić.

W pewnej odległości od zakrętu drogi, pośród drzew znajdowała się mała polanka. Niewielka chata, na pół zapadła, stała tuż przy skraju. Unosił się tutaj stale zapach palonego drewna.

W okolicy wszyscy znali starego Alonsa, węglarza, i obawiali go się po trosze. Uważano go za czarownika i unikano polanki, gdzie wypalał drewno na węgiel. Stary to był Hiszpan, może raczej Bask, przybyły tutaj w czasach tak odległych, że nawet naj starsi w okolicy nie mogli' sobie przypomnieć daty jego przybycia. Pomimo to trzymał się zadziwiająco krzepko. Gdy rąbał stuletnie pnie drzew, nikt by nie powiedział, że jest taki stary.

Nikt go nigdy nie odwiedzał, z wyjątkiem poganiaczy osłów i mułów, którzy zatrzymywali się na skraju lasu, by zabrać węgiel drzewny, który następnie rozwozili po całej Hiszpanii, sprzedając na wagę.

Pewnego dnia jakiś cień szybko przemykał się pomiędzy drzewami. Zwinny jak ryś, przeskakując jednym susem leżące pnie, cień ten, acz smukły i sprężysty jak pantera, nie należał do zwierzęcia. Był to człowiek, lecz o ruchach i zwinności drapieznika. W półmroku twarzy jego nie można było dojrzeć. Obcisła odzież podkreślała zgrabną sylwetkę. Ostatni skok poprzez zwalone drzewo i człowiek-pantera znalazł się na polance.

Stary węglarz odłożył topór i podniósł głowę.

- Konia i broń żywo, Alonso!

Węglarz, z szybkością zadziwiającą u starego człowieka, rzucił się w stronę swojej chaty, okrążył ją i niebawem wyprowadził, ciągnąc za uzdę, niecierpliwie szamocącego się konia.

- Pistolety są w olstrach. Oto szpada i bat! - rzekł Alonso, podając je przybyszowi.

-Maska i zawój?

- Tu jest.

- Dobrze - rzekł człowiek, wciągając maskę i okręcając głowę czarną chustą.

- Nowa robota? - spytał stary.

- Desperadosi...

- Nalazło tego robactwa do naszej okolicy! - zawołał węglarz gniewnie. - Mało to mamy kłopotu z jednym bandytą w książęcej skórce?

- Nie przejmuj się, Alonso - rzekł śpiesznie człowiek w masce. - Wyprzątniemy ich, zanim nastąpi nów księżyca.

- Dałby Bóg! Ludzie tutejsi cierpią zanadto.

Człowiek w masce spiął konia i skierował zwierzę w stronę rzadziej rosnących drzew.

Po chwili Zorro w pełnym rynsztunku sunął wielką drogą.

Łuna pożaru biła wysoko pod niebo. Paliły się zabudowania folwarczne i zboże. Bydło ryczało w oborach. Krzyki przerażenia, bólu i jęki mordowanych rozlegały się wokoło.

Dwudziestu jeźdźców, ze strzelbami u siodła, pełniło straż. Reszta uwijała się pieszo pomiędzy płonącymi budynkami, wynosząc dobytek, wypędzając bydło lub też dobijając nieszczęsne ofiary z okrucieństwem właściwym bandytom hiszpańskim.

W ciągu pół godziny wszystko było ukończone. Dobytek zrabowany, cenniejsze rzeczy załadowane, bydło spędzone w stado i banda ruszyła w drogę, pozostawiając za sobą ruinę i śmierć.

Dowódca, mały, nerwowy mężczyzna, który kazał siebie tytułować don Pedro, a w rzeczywistości był synem przewoźnika, odróżniał się od innych przywódców band rozbójniczych małym wzrostem. Zazwyczaj bandyci obierają sobie na wodza tego, kto przewyższa ich siłą fizyczną, odwagą i okrucieństwem.

Don Pedro nie był silny fizycznie, nie wiadomo czy był odważny, okrutny jednak był z całą pewnością. Natomiast miał inną zaletę, która go stawiała na piedestale w oczach desperadosów. Zaletą jego było to, że zawsze strzelał pierwszy.

Okoliczność tę należy wytłumaczyć.

W życiu pełnym zasadzek i śmiertelnych niebezpieczeństw wszystko nieraz zależy od ułamka sekundy. Każdy widząc wymierzoną w siebie lufę strzelby czy pistoletu, uniesie na pewno ręce do góry. Każdy, lecz nie don Pedro. Człowiek ten miał nadludzki dar błyskawicznego wyciągnięcia pistoletów z kabur i nie omylnego strzelania, zanim przeciwnik, który doń mierzył, zdążył nacisnąć kurek. Podobnie jak magik lub szuler karciany wykonuje szybkie ruchy, których ludzkie oko nie jest zdolne uchwycić, tak ręka don Pedra wędrowała do pochwy i unosiła nabity pistolet. Tak więc nikt nie był w stanie zaskoczyć don Pedra.

Miał również niezwykle węż, rzekłbyś szósty zmysł. Wyczuwał zaczajonego nieprzyjaciela.

Będąc jeszcze w Saragossie, zdarzało mu się nieraz, podczas spokojnej przechadzki ulicą miasta, wykonać niespodziany zwrot w tył i strzelić. Ofiarą padał zazwyczaj pistolero z bandy konkurencyjnej, który znalazł się poza jego plecami, z wydobytym pistoletem w ręku.

- Hop, Dorrio! - zawołał don Pedro galopując. - Osiemdziesiąt tysięcy peso w złocie. Nieźle, co?

- Jeśli nie liczyć srebrnych łyżek, noży i widelców, kandelabrow, rozmaitej broni, inkrustowanych złotem pistoletów...

- I bydła rozmaitego rodzaju - dokończył don Pedro z zadowoleniem - oraz wina i prowiantu.

- Schowamy to wszystko w kryjówce?

- Nie, rozdamy to wszystko między ubogich, tak jak to czyni Zorro! - odpowiedział

szyderczo don Pedro.

Rozległ się głośny śmiech dookoła. Bandytów żart ten ubawił.

Roślinność stawała się coraz rzadsza w miarę zbliżania się w stronę gór. Niebawem konie stąpały po piasku spalonym żarem słonecznym. Odłamy skał sterczały tu i ówdzie. W trakcie posuwania się bandy naprzód, teren szedł w górę i pojawiały się skały coraz większe, częstsze, tworząc miejscami całe pasma.

Bandyty bacznie rozglądali się dookoła. Nie wiadomo jaka zasadzka może kryć się za tymi głazami.

Karawana rozciągnęła się na dość znacznej przestrzeni. Przodem kilku desperadosów gnało bydło. Za nimi podążały konie obładowane zdobyczą, wreszcie pochód zamykała ariergarda zbrojnych jeźdźców.

Konie były zmęczone. Za oddziałem ciągnęli pojedynczy jeźdźcy, którzy nie mogli nadążyć za oddziałem.

W pewnej chwili don Pedro, tknięty jakimś dziwnym przecuciem, odwrócił się na siodle. Daremnie wyteżał wzrok. Spoza zakrętu pomiędzy skałami nie wylaniał się żaden z opóźnionych jeźdźców.

- Słuchaj, Dorrio!- rzekł zwracając się do desperadosa, który nie odstępował od jego boku. - Zawróć i przekonaj się, co oni tam robią. Nawymyślaj im porządnie, by nie odłączali się zbyt od towarzyszy.

Dorrio spiął konia i niebawem znikł za wielkim odłamek skały.

Nagle rozległ się wystrzał z pistoletu, odbity echem o skały.

- Za mną! - krzyknął don Pedro, zawracając konia.

Trzydziestu jeźdźców rzuciło się za nim. Reszta pozostała przy obładowanych koniach i trzodzie.

Wyminęli dwie grupy skał i ujrzeli straszny widok. Koń biegł bez jeźdźca. Nie opodal leżał Dorrio nieżywy, twarzą do góry. Ręce miał rozkrzyżowane. Na czole jego, tuż u nasady nosa, widniała dziura. Bandyty nie zatrzymali się dłużej przy trupie. Pognali dalej.

Wkrótce oczom ich ukazywały się ciała leżące wzdłuż całej drogi.

Otwarte rany świadczyły, że powalono ostrzem szpady każdego z nich z osobna. Każdy został napadnięty zupełnie niespodziewanie, bo najmniejszym nawet okrzykiem nie zdołał nikt z nich uprzedzić pozostałych o niebezpieczeństwie. Na policzku każdego z nich widniał znak „Z”.

- Pierwszy poległ ten, który włókł się na samym końcu – rzekł don Pedro. - Napastnik ukryty za odłamek skały, w chwili gdy nasz człowiek go mijał, wyskakiwał z nienacka i



przebijał go szpada.

Pięć razy powtarzał ten manewr. Pięć razy zabił człowieka tuż pod naszym nosem - Wtem zawołał wodząc krwią nabiegłymi oczyma: - I krąży dookoła nas Jak sęp nad padliną! - Spiął koma i zawracając ryknął: - Do obozu, chłopcy! Mamy Zorrę na karku. Dopadli reszty oddziału, który rozłożył się tymczasem obozem w oczekiwaniu powrotu herszta.

- Do broni! - krzyknął don Pedro, wpadając pomiędzy oczekujących. - Zorro krąży koło nas! - Do broni!

Bandyci sprawdzili strzelby i pistolety. Oddział ruszył ostrożnie naprzód. Ludzie bacznie rozglądali się dookoła.

- Kilku z was ruszy przodem! - rozkazał don Pedro. - Trzymajcie broń w pogotowiu!

Trzej jeźdźcy pognali przodem. Trzymali się jeden przy drugim, wiedząc z doświadczenia, że każdemu z osobna grozi śmierć. Nie oddalali się też zbyt, pozostając na oczach oddziału. Droga wciąż biegła wśród olbrzymich głazów. Odległość pomiędzy nimi a bandą nie wynosiła więcej niż trzysta do czterystu kroków. Cisza panowała dookoła, przerywana od czasu do czasu rykiem pędzonego bydła. Wtem stała się rzecz niespodziewana. Straż przednia, złożona z owych trzech jeźdźców, wymijała dwa znajdujące się po prawej stronie drogi głazy leżące tak, że tworzyły wąską lukę. Z luki tej wyskoczyło coś czarnego i mignęło przed oczami ludzi podążających za strażą. Kilka krótkich błysków stali i trzej jeźdźcy zwalili się na ziemię na oczach oddziału. Czarny cień skoczył z powrotem w lukę pomiędzy skałami i w następnej sekundzie rozległ się tętent galopującego konia.

- To Zorro! - rozległ się dziki okrzyk.

Wszystko co żyło, rzuciło się w ślad za napastnikiem. Nawet ci, którzy pilnowali bydła, przyłączyli się do pościgu. Obladowane zdobyczą konie również pozostały bez dozoru.

Jedni rzucili się ku przejściu w skałach, gdzie znikł czarny cień, drudzy okrążyli skały z prawej strony, starając się zająć drogę swemu prześladowcy.

Don Pedro gnał śladem pozostawionym na piasku przez konia Zorry. Ślad wiódł labiryntem wśród głazów, piął się pod górę, biegł w dół, okrążał drogę i wreszcie zawiódł w miejsce, gdzie bandyci przed chwilą pozostawili w pośpiechu zdobycz i bydło.

Miejsce to było puste, bydło i konie zginęły. Don Pedro i jego towarzysze stanęli w miejscu i ze zdumieniem rozglądali się dookoła. Olbrzymie stado nie jest przecież szpilką i nie może zginąć bez śladu w ciągu kilku zaledwie minut. W następnej chwili mieli rozwiązanie zagadki. Korzystając z tego, iż wszyscy rzucili się w ślad za nim, Zorro zakreślił wielkie koło, wpadł pomiędzy bydło i rozpędził je na cztery wiatry.

Rzeczywiście, w oddali, to tu, to tam, można było dostrzec pojedynczą krowę lub

konia. Desperadosi, zapominając o niebezpieczeństwie, rzucili się hurmem spędzać rozproszone zwierzęta.

Lecz i Zorro nie próżnował. Wiedząc, iż banda poszła w rozsypkę, zabijał jednego bandytę za drugim, sam pozostając nieuchwytny.

Pracował szpadą szybko i bez hałasu; rozległ się wprawdzie dwa razy huk wystrzału, lecz było to w tych tylko wypadkach, gdy szpada nie mogła w porę dosięgnąć desperadosa.

Pobojowisko stawało się straszne. Za każdym prawie załamem leżał trup.

Reszta spostrzegła wreszcie, że sytuacja staje się rozpaczliwa. Strach przewyciężył chciwość, więc porzucili rozproszoną zdobycz i ze wszystkich stron, nawołując się wzajemnie, zaczęli się zbierać do kupy.

Zostało ich tylko dwudziestu siedmiu. Z czterdziestu ośmiu ludzi, pięciu zginęło na samym początku, trzech padło idąc przodem jako straż, reszta została sprzątnięta pojedynczo podczas pościgu za rozproszonym stadem.

Zmierzch zapadał.

Wśród złowrogiej ciszy, paniczny lęk przed ciemnością ogarnął desperadosów. Ci okrutni ludzie, którzy tak hojnie szafowali śmiercią, bali się teraz ciemności jak małe dzieci...

- Wyginiemy wszyscy po kolei, jeśli ruszymy z miejsca! – rzekł jeden z bandytów.

- Musimy poczekać tutaj do świtu - odezwał się drugi.

- Nie mamy nawet czym rozpalić ogniska - rozległ się głos trzeciego.

Don Pedro namyślał się przez chwilę.

- Miejsce tutaj jest dość bezpieczne - rzekł. - Skały otaczają nas w dość znacznej odległości. Usiądziemy na ziemi jeden koło drugiego, tworząc krąg plecami do środka, a twarzą w stronę otaczających nas skał. Każdy z nas będzie trzymał broń w pogotowiu. Musimy dobrze uważać strzelając za każdym razem, gdy coś podejrzanego poruszy się w ciemnościach.

Desperadosi usłuchali rozkazu. Usiedli kołem na ziemi. Głuche milczenie zaległo wśród otaczających ciemności.

Noc była księżycowa. Miliardy gwiazd świeciły na niebie, lecz w ich świetle niewiele można było dojrzeć.

Banda czuwała w nerwowym napięciu.

Nieraz strzał przeszył ciszę nocną. To zbyt naprężone nerwy wyolbrzymiały każdy podejrzaný szelest i rozgorączkowana wyobraźnia ukazywała zmęczonym oczom miraż zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Tak minęło kilka godzin.

Znużenie zaczęło ogarniać czuwających. Nikt z bandytów nie odczuwał potrzeby snu, lecz w wytrzeszczonych oczach już się dwoiło i troiło.

Jeden z bandytów westchnął i padł na wznak.

Don Pedro siedział obok. Sięgnął ręką i uczył ciepłą krew na palcach.

- Uwaga! - zawołał zduszonym głosem. - Strzelać wszyscy przed siebie. Zorro zarżnął jednego z nas.

Rozległa się salwa. Ogniste koło zabłysło dookoła siedzących.

Ludzie strzelali gorączkowo w otaczające ich ciemności, celując nisko, by trafić pełzającego po ziemi, według ich mniemania, Zorrę.

Siedzieli w ten sposób, że plecy tworzyły wewnętrzną stronę koła, nie mogli więc widzieć czarnego cienia poruszającego się w samym środku, poza ich plecami.

Zorro skorzystał z luki, jaka powstała w kole. Gdy przebił jednego z bandytów, przeskoczył przez leżące ciało i znalazł się w ten sposób poza obrębem strzałów.

Desperadosi nabijali strzelby i strzelali na oślep bez przerwy, nie zwracając uwagi jeden na drugiego wśród huku wystrzałów.

Zorro mógł teraz sprzątać siedzących dookoła ludzi, co też nie omieszkał uczynić.

Co chwila jedna ze strzelb milkła i siedząca postać pochylała się ku przodowi, opuszczając głowę na pierś.

Zorro działał metodycznie, przechodząc od jednego do drugiego bandyty... Wreszcie zostało ich tylko jedenastu.

Musieli dostrzec, co się święci, gdyż skoczyli z rykiem przerażenia na nogi i pobiegli na oślep naprzód, porzucając strzelby i nie oglądając się nawet poza siebie.

Zorro wyciągnął pistolet i nacisnął kurek jeden raz i drugi. Nie odpowiedział mu huk wystrzału.

Pistolet był pusty.

- Szkoda - rzekł Zorro, chowając broń. - Szkoda, że zabrałem z sobą tylko trzy kule.

## Skrzynka botanika

Oddział żandarmerii pod dowództwem don Alvareza przybył zbyt późno na miejsce. Człowiek niosący hiobową wieść, dotarł do Huescopóźnym wieczorem. Pułkownik jadł kolację, gdy wprowadzono doń zmęczonego szybką jazdą wieśniaka. - Senor! - zawołał dopadając stołu, za którym siedział don Alvarez. - Łuna pożaru unosi się nad hacjendą don Fernanda Izarra. Desperadosi, w liczbie około pięćdziesięciu, rabują i mordują ludzi w hacjendzie. Mieszkańcy okolicznych wiosek drżą z przerażenia...

Don Alvarez zerwał się pozostawiając nie dokończoną kolację.

- Gdzie to jest?

Wieśniak wymienił miejscowość.

Don Alvarez skoczył ku drzwiom, wołając:

- Do broni! Na koń!

Nie, upłynęły dwie minuty, gdy liczny oddział ruszył galopem. Niestety, przybyli zbyt późno na miejsce. Zastali tylko pogorzeliśko oraz trupy właścicieli i służby.

Zapalono latarnie i przy świetle szli śladem wydeptanym przez uprowadzone stado.

Oddział posuwał się powoli i żołnierze zdawali sobie sprawę, że nigdy im się nie uda dogonić desperadosów, chociaż i oni również nie mogli uchodzić zbyt szybko ze względu na pędzone bydło. Świt zastał don Alvareza w górzystej okolicy.

Ślady prowadziły pomiędzy skały.

Ludzie zdjęli broń z ramienia i podnieśli kurki.

Don Alvarez galopował na przedzie. Wtem wzrok jego padł na jakiś podłużny przedmiot leżący na ziemi w pewnym oddaleniu. Uderzył konia ostrogą i po chwili znalazł się nad trupem mężczyzny w stroju wyszywanym srebrem. Człowiek ten miał ranę na piersi, na policzku czerniły się w zapiekłej krwi trzy cięcia w kształcie litery „Z”.

- Karta wizytowa Zorry - szepnął jeden z żandarmów. Inni spojrzeli sobie pytająco w oczy. Co tu robił Zorro? Kiedy zabił desperadosa?

W miarę jak oddział posuwał się naprzód, zdumienie wszystkich rosło. Na drodze leżał człowiek mający na twarzy również trzy cięcia szpadą... potem trzeci... czwarty... piąty... Dalej droga była pusta.

Po pewnym czasie żandarmi zauważyli błakające się samopas woły, krowy i osiodłane konie.

Nikt nie wiedział, co o tym myśleć.

Spędzono jednak zwierzęta i zabrano je z sobą.

To co ujrzeli wkrótce, było tak niesamowite, że niektórzy z żandarmów przeżegnali się ukradkiem: na drodze pomiędzy skałami, niemal za każdym zakrętem, leżał zabity człowiek.

Wprawne oko rozpoznawało z łatwością, że uczyniła to spustoszenie jedna i ta sama ręka.

Leżeli w pewnej odległości jeden od drugiego, pozycja zaś każdego i układ ciała świadczyły; że zostali powaleni zniemacka - pokonani bez walki.

- Czysta robota! - mruknął przez zęby don Alvarez. - Ten Zorro to wcielony szatan. Jakim cudem zdołał tego dokonać? Nie uspił ich chyba.

Zdumienie całego oddziału zamieniło się w uczucie zgrozy, gdy wylaniająca się spoza skał przestrzeń ukazała ich oczom nowy widok, przerastający wszystko co poprzednio widzieli. Półkolem, ramieniem przy ramieniu, siedziało kilkunastu ludzi. Głowy mieli pochylone ku kolanom i wszyscy, co do jednego, byli martwi. Obok lub na kolanach każdego leżała strzelba gotowa do strzału. Każdy z nich otrzymał pchnięcie w plecy, w okolicy lewej łopatki.

- Zorro nie żartuje tym razem! - szepnął jeden z żandarmów.

- Bo to są bandyci, ci ludzie - odpowiedział drugi. - Zorro dotychczas nie pozbawił życia ani jednego żołnierza. Najwyżej osmaga batem.

- I to w wypadku, gdy widzi wymierzoną lufę lub szablę wzniesioną do ciosu.

- Tak, tak! - wtrącił się trzeci. - Trzeba to przyznać. Zorro jest godnym przeciwnikiem. Po raz pierwszy widzę zabitych przez niego ludzi, dotąd nie splamił rąk krwią.

- Tak, ale każdy z nich ma dziesiątki zbrodni na sumieniu. Tym razem Zorro pomścił zabite kobiety, starców i dzieci... popalone domostwa...

- Cicho tam w szeregach! - krzyknął surowo don Alvarez. - Co to za rozprawy? Wracamy!

Rzeczywiście żandarmi nie mieli już co robić tutaj.

Bydło i rzeczy odzyskano; śmierć desperadosów została skonstatowana, nie pozostawało więc nic innego, jak ruszyć z powrotem do Huesco.

Minęli pustynię i wkroczyli w pas zieleni.

Drzewa rosły coraz gęściej, trawa unosiła się coraz wyżej.

Nagle jadący przodem dostrzegli pochyloną ku ziemi postać ludzką. Człowiek, odwrócony tyłem, stał na drodze, którą podążał oddział, i skubał coś rękami przy ziemi.

Don Alvarez zbliżył się wraz z oddziałem..

- Na bok! - krzyknął don Alvarez zatrzymując konia. - Człowieku, czyś głuchy? Chcesz, by cię konie stratowały?

Człowiek usłyszał wreszcie, że do niego mówiono i uniósł głowę. Był to Zefirio.

- He, co? - zapytał roztargniony.

- Oczywiście, że tylko senor Zefirio nie dostrzega stu czterdziestu koni pędzących nań w pełnym galopie - rzekł don Alvarez, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu. - No, co znów za kwiatek złowiłeś, młody człowieku?

Zefirio spojrział na mówiącego, zbierając rozproszone myśli.

- Desperadosi spalili wczoraj hacjendę don Fernanda Izarra - odezwał się ni stąd, ni zowąd. - Biedni ludzie!

- Kto biedni ludzie? - zdumiał się don Alvarez. - Desperadosi?

- Nie, ci co zginęli w płomieniach.

- Ach, tak to co innego! Myślałem, że żałujesz desperadosów.

- Tych też żałuję.

- Co? Jak?

- Albowiem poszli drogą zbrodni i występku.

- Hm, rzeczywiście! Z tego punktu widzenia godni są politowania. Nie zginęliby tak marnie.

Zefirio uniósł skrzynkę, która stała obok.

- Chcesz obejrzeć nowe roślinki, które zdobyłem? - rzekł uchylając wieko. - Opowiem ci historię niezwykłego kwiatka znalezionej przed godziną!

- Opowiesz mi następnym razem - rzekł don Alvarez. - Teraz nie mam czasu.

- Zaczekaj chwileczkę, senor! - zawołał z przejęciem Zefirio, chwytając za uzdę konia Alvareza. - Musisz rozstrzygnąć moją wątpliwość co do tej dzikiej różyczki, którą znalazłem w tym oto parowie. Jest to dziwny gatunek, czerwono nakrapiany...

- Okaz rzadki, rzeczywiście - rzekł don Alvarez, przyglądając się róży. - Na płatkach widnieją czerwone cętki.

- A widzisz! - zawołał Zefirio z triumfem. - Moja skrzynka zawiera drogocenny skarb, za który amator zapłaciłby dużo pieniędzy. Wracajmy do rzeczy! Co do tej róży mam pewne wątpliwości, które ty powinieneś rozwiązać.

- Słucham - rzekł don Alvarez, wzdychając z rezygnacją.

- Byłem świadkiem dziwnej sceny, która rozegrała się przed godziną w tym oto parowie. Szukałem jakiejś roślinki w zaroślach na skraju parowu, gdy wtem odgłos ludzkich

kroków zwrócił moją uwagę. Nie opodał, środkiem parowu, szedł człowiek niewielkiego wzrostu. Sombrero miał głęboko nasunięte na oczy, rękę trzymał na głównej pistoletu. Szedł cicho i ostrożnie jak skradający się tygrys.

Drugi człowiek, w czarnym zawoju na głowie, stał nie opodał, odwrócony doń plecami i oparty o drzewo. Przypatrywał się koniowi, który pasł się obok. Widocznie wypoczywał w tej pozycji. Był odwrócony plecami do mnie i do skradającego się człowieka. Palił, beztrosko cygaro. Widziałem dym unoszący się do góry. W pewnej chwili zaczął pogwizdywać jakąś melodię. Skradający się, błyskawicznie wyciągnął pistolet zza pasa, lecz człowiek w zawoju odwrócił się szybciej i bat świsnął w powietrzu. Człowiek w sombrero chwycił się za rękę. Pistolet poleciał w krzaki.

Trwało to jednak tylko sekundę.

Człowiek w sombrero miał przy sobie drugi pistolet. Jakimś cudem pistolet ten znalazł się w jego dłoni, choć mógłbym przysiąc, że nie sięgnął powtórnie do pasa. Musiał to uczynić niezwykle szybko. Strzelił, ale nie w człowieka w czarnej chustce, lecz prosto w niebo. Dlaczego? Bo w tej samej chwili, gdy wyciągnął rękę, by strzelić, został przebity szpadą, nacisnął kurek, gdy leżał już plecami na Ziemi.

Poznałem człowieka w czarnej chuście. Był to Zorro. Gdy człowiek w sombrero upadł, Zorro rzekł: Nie zdążyłeś strzelić pierwszy, mój biedny don Pedro.

Otóż gdy Zorro dosiadł konia i odjechał, wylazłem ze swego ukrycia i zbliżyłem się ku zabitemu. Obok leżącego ciała rosła ta oto różyczka. Chciałem właśnie zapytać ciebie, don Alvarez, ciebie, którego uważam za światłego męża, powiedz mi proszę, czy ta cętkowana różyczka jest rzeczywiście rzadkim okazem kwiatka, czy też została po prostu opryskana krwią don Pedra?

## Piętnaście monet

- Nie mogę, nie mogę, ojcze! Nigdy nie wyjdę za niego. Byłabym najniezszczęśliwszą z kobiet pod słońcem. Chyba nie chcesz, by twoja córka wylewała łzy przez całe życie?

- Kwestię twego szczęścia, pozwolisz moje dziecko, że ja rozstrzygnę. Jestem stary, widziałem świat i ludzi, znam życie lepiej i wiem, gdzie znajdziesz swe szczęście...

- Wydając mnie za bałwana...

- Nie jest taki głupi, jak ci się zdaje. Po prostu chłopak z nikogo nic sobie nie robi, mówi co mu ślina na język przyniesie. Nie widzę w tym nic złego. Jest wykształcony, bogaty, charakter ma równy, spokojny, muchy nie potrafiłyby skrzywdzić. Poza tym jest synem mego przyjaciela, pochodzi więc z dobrej, szlacheckiej rodziny. Cóż więcej chcesz? Mówisz, że nie jest mądry? Przecież nie można wymagać od człowieka, by posiadał wszystkie zalety i ani jednej wady!

- Ojcze! Ty, który walczyłeś za ojczyznę, byłeś chlubą armii hiszpańskiej, stawiano cię zawsze jako wzór waleczności i odwagi, ty ojcze sam żądasz, bym miała męża tchórza i niedołęgę! Nie mogę tego zrozumieć.

Stary generał uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Istnieje odwaga a odwaga. Na polu bitwy to zupełnie co innego, moje dziecko. Widziałem człowieka, który pod huraganowym ogniem artylerii szedł samotnie na pozycje nieprzyjacielskie, a jednak w cywilu, napadnięty przez zwykłego rzeźmieszka, zląkł się sztyletu. Skąd wiesz, jak by się zachował Zefirio na polu bitwy? Skąd wiesz, że jest tchórzem? Że don Alvarez rozciągnął go jednym uderzeniem. na podłodze i Zefirio nie zemścił się na nim za zniewagę? Młoda jeszcze jesteś, moja córko, i nie nauczyłaś się patrzeć z pobłażaniem na drobne wady ludzkie. Co do mnie, powody jakie podajesz, nie wystarczają mi, by odrzucać kandydaturę tego miłego i spokojnego młodzieńca.

Łzy napłynęły do oczu Mercedes. Nie wiedziała, w jaki sposób przekonać upartego starca. Nie mogła przecież wyznać mu, że kocha Zorrę. Byłby to Cios zbyt gwałtowny i generał na pewno doznałby wstrząsu. Pozostawiła więc ojca w pokoju i wyszła ocierając oczy chusteczką.

W salonie minęła się z Anzelmem Cortim, który wrócił właśnie z inspekcji.

- Cóż to, Mercedes? - zapytał widząc zapłakane dziewczę. - Masz czerwone oczy! Czyżbyś płakała?

Mercedes chciała się wyprzeć, lecz wpadło jej na myśl w tej samej chwili, że jeśli nie



Anzelmo Corti, to nikt jej nie pomoże.

- Senor Anzelmo! - rzekła z wahaniem. - Mam do was zaufanie i dlatego nie biorę pod uwagę, że jesteś ojcem tego, o którym chcę mówić. Nie bierzcie mi za złe, senor, jeśli pomimo woli was urażę, możliwe, że ucierpi wasza duma ojcowska, lecz:.. lecz... nie mam na to rady... doprawdy.

I łzy znów trysnęły z jej oczu.

Senor Anzelmo zaczął ją łagodnie uspokajać.

- Otrzyj łezki, moje biedne dziecko - rzekł wzruszony. - Powiedz szczerze o co chodzi! Daję słowo honoru, że nie będę żywił urazy do ciebie, bez względu na to co powiesz.

- A więc dobrze! - zaczęła Mercedes. - Powiem wszystko...

Nie dokończyła jednak, gdyż przez okno dojrzeli oboje zajeżdżającą przed dom karetę. Drzwi uchyliły się i wysiadł z niej Pablo Ravales, tym razem sam.

- Do licha! - zawołał Anzelmo niezadowolony. - Cóż ten człowiek znów chce ode mnie?.. Przepraszam cię, moje dziecko, ale muszę się dowiedzieć, jaki ma do mnie interes ten człowiek. Opowiesz mi później, co ci leży na sercu.

Wyszedł pozostawiając Mercedes.

Pablo Ravales wyciągnął rękę do don Anzelma; uśmiechnął się szeroko, zupełnie jak gdyby nic pomiędzy nimi nie zaszło.

- Witajcie, senor! - zawołał. - Cieszę się, że was widzę przy dobrym zdrowiu. Jakże synek się miewa?

- Czemu mam przypisać zaszczyt... - zaczął sucho Anzelmo, lecz don Ravales przerwał:

- Nie tak oficjalnie, na Jowisza, senor! Przywożę dobrą nowinę. Trzymajcie się tylko dobrze, by nie zemdleć!

- Słucham!

- Mój klient zgodził się na dziesięć milionów peso.

Don Anzelmo zbladł i rzeczywiście omal nie osunął się na ziemię.

Przyczyna jednak była całkiem inna. Ravales mylił się, jeśli przypuszczał, że zawrotna suma dziesięciu milionów była przyczyną bladości, jaka okryła oblicze starego szlachcica. Anzelmo przeraził się, gdy uprzytomnił sobie, iż Zefirio zobowiązał się w swoim i jego imieniu odstąpić ziemię za dziesięć milionów. Nikt wówczas nie przypuszczał, że za posiadłość, której wartość nie przekracza pięciuset tysięcy peso w złocie, ktokolwiek zaofiaruje więcej niż pół miliona, a jednak znalazł się taki szaleniec i Anzelmo, który nie chciał za żadne pieniądze pozbywać się ziemi, został przyparty do muru.

- Senor Ravales, muszę przyznać, że zaskoczyłeś mnie swoją propozycją - wyjął Anzelmo zmieszany. - Wyznam ci, że nie jestem skłonny sprzedawać dziedzictwa mych przodków!

- Nie rozumiem, don Anzelmo! - rzekł Ravales zdziwiony. - Mam słowo twego syna, które potwierdziłeś. Zażądał w twoim imieniu i w twojej obecności fantastycznej sumy dziesięciu milionów, więc o co chodzi? Wycofujesz dane mi słowo?

- Muszę porozumieć się z synem - odpowiedział wymijająco Anzelmo.

- To co innego. Nie mam nic przeciwko temu.

- Ale teraz nie ma go w domu.

- Mogę poczekać. Mam czas.

Anzelmo Corti nie mogąc pozbyć się natręta, zaprosił go do salonu.

Mercedes czekała w salonie na powrót don Anzelma. Postanowiła wyznać wszystko, a mianowicie, że nie kocha jego syna, że kocha innego, nie wymieniając imienia tego, któremu oddała swe serce.

Don Anzelmo wrócił w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, którego wprowadził do salonu, mówiąc:

- Mercedes, przedstawiam ci senior Pabla Ravalesa. Muszę odnaleźć Zefiria, dlatego też proszę cię, weź na siebie rolę gospodyni domu i postaraj się zabawić gościa, zanim wrócę.

Wyszedł pozostawiając ich w salonie.

Pablo Ravales zgiął się w niskim ukłonie i usiadł na wskazanym miejscu.

Mercedes była roztargniona. Lecz pomimo to zarumieniła się gwałtownie, gdy spostrzegła, że przybysz pożera ją wzrokiem.

Uroda Mercedes wywarła na Ravalesie głębokie wrażenie. Uczuł nagle, że dla tej dziewczyny gotów jest na wszystko. Ciemne interesy, złoto - wszystko uleciało z głowy w jednej chwili. Ujrzał tę dziewczynę i zakochał się bez pamięci.

Rozpoczął rozmowę tonem obojętnym i po pewnym czasie już wiedział, że jest córką generała, że korzysta wraz z ojcem z gościnności don Anzelma oraz że ma dziewiętnaście lat.

Mercedes odpowiadała na stawiane jej pytania w roztargnieniu, sama nie zdając sobie zbyt dobrze sprawy, co mówi.

- Seniorita, jesteś młoda i piękna - mówił pieszczotliwym głosem Ravales. - Czy nie żał ci, że musisz tkwić w tym pustkowiu, podczas gdy właściwym miejscem dla twej urody jest tylko wesoły, rozbawiony Madryt lub elegancka i romantyczna Barcelona. Jestem oburzony na samą myśl, że rodzic twój trzyma cię tutaj, gdzie się nudzisz i więdniesz.

Mercedes milczała, nie wiedząc co ma odpowiedzieć. Ravales przysunął swój fotel

bliżej:

- Muszę ci wyznać, piękna seniorito - ciągnął dalej - że zrobiłaś na mnie duże wrażenie. Czuję, że nie potrafiłbym żyć bez ciebie. Jestem człowiekiem bogatym, otoczę cię zbytkiem i nie będzie ci nic brakowało przy moim boku. Don Pablo Ravales znany jest w stolicy Hiszpanii, nie masz więc do czynienia z pierwszym lepszym przybłędą. Zbuduję dla ciebie przepiękny pałac z różowego marmuru i obwieszę cię diamentami. Seniorito Mercedes, zostań moją żoną.

Zapalił się wygłaszając swą przemowę miłosną. Mercedes wstała i rzekła sucho:

- Senior Ravales, zdaje się, że jesteś szalony. Nie chcę słuchać dalej. Żegnam!

Don Ravales skoczył na równe nogi i schwycił ją za rękę.

- Posłuchaj, seniorito! Nie odrzucaj mnie, kocham cię nad życie i wszystko zrobię, by...

- Proszę puścić moją rękę - przerwała Mercedes.

Lecz Pablo Ravales stracił panowanie nad sobą i przyciągnął nagle dziewczynę ku sobie, szepcząc namiętnie:

- Rozmówię się z twym ojcem, dam mu tyle milionów, ile zechce. Musisz być moja.

Mercedes zaczęła rozpaczliwie wrywać się z objęć rozszalałego mężczyzny.

- Oszalałeś, senior! - wołała oburzona w najwyższym stopniu. - Proszę mnie puścić, gdyż zawołam o pomoc!

Pablo Ravales objął jedną ręką jej kibić, drugą zaś przyciągnął głowę dziewczęcia ku sobie, chcąc ją gwałtem pocałować w usta.

Wtem poza jego plecami rozległ się głos Zefiria:

- Doskonale spędzasz czas, senior! Świetny sposób na nudy wyczekiwania.

Pablo Ravales puścił dziewczynę i odwrócił się ciężko dysząc.

- Niestety - ciągnął dalej Zefirio - seniorita nie należy ani do żywego, ani też do martwego inwentarza mego ojca, nie rozumiem więc, z jakiego tytułu tak się nią interesujesz!

- Pomówię z ojcem Mercedes - rzekł Ravales, odzyskując przytomność umysłu. - Poproszę go o rękę córki!

- Hm, to już do mnie nie należy. Co do mnie, nie oddałbym ci Mercedes za nic w świecie.

- Dlaczego?

- Nie płacisz długów honorowych. Przegrałeś w morę pięćset tysięcy peso i uciekłeś nie uiszczając przegranej. Honorowy człowiek nie postępuje w ten sposób.

- Powściągnij swój język, młody człowieku - rzekł gniewnie Ravales. - Przede

wszystkim nie uciekłem, następnie zwróciłem pieniądze za pośrednictwem Zorry.

- Czteryście tysięcy tylko! - rzekł Zefirio. - Lecz Zorro wręczył mi je po to, by następnie odebrać!

- Nie obchodzi mnie to! Zresztą sprawę uważam za załatwioną i niezbyt mi się podoba, że powracasz do niej, by mnie oczernić przed senioritą.

- Jaką senioritą?.

Teraz dopiero Ravales zauważył nieobecność Mercedes.

- Mniejsza o to! - rzekł. - Tamto załatwię później. Teraz chcę pomówić o interesach.

- Ach tak! Ojciec mi mówił przed chwilą!

- Bardzo się cieszę, że zgodziłeś się, senior, na tę cenę. Gdzie jest don Anzelmo Corti?

- Nie może na razie opuścić korralu.

- Wolałbym pertraktować z właścicielem.

- To obojętne! Ojciec zrobi wszystko, co powiem.

- Zgoda! A więc: zażądałeś za posiadłość dziesięć milionów, czy tak?

- Dokładnie.

- Suma ta wydała mi się na początku nierealna. Prawdę mówiąc, byłem oburzony na ciebie, sądziłem, że kpisz sobie ze mnie, senior Zefirio. Mój klient uparł się jednak. Rozgniewał się nawet na mnie. Jak to - wołał - powiedziałem ci wyraźnie, że o cenę mi nie chodzi. Proszę dziesięć milionów, trzeba je było dać natychmiast!

- Miał rację. Należało je dać natychmiast!..

- Nie rozumiem.

- Wyzначyłem cenę... propozycja została odrzucona z oburzeniem. Dobrze. Trafił się drugi kupiec, który zaofiarował więcej. Świetnie. Ceny na ziemię tymczasem poszły w górę - weź gazetę do ręki, a przekonasz się. Doskonale. Wobec tego wszystkiego uważam się za zwolnionego z danego ci słowa, chyba... chyba...

- Chyba? - zapytał Ravales, któremu pot wystąpił na czoło.

- Chyba że dasz piętnaście milionów...

- Daję! - wrzasnął doprowadzony do rozpaczony Ravales.

- Czekaj, senior - rzekł spokojnie Zefirio. - Nie skończyłem jeszcze, piętnaście milionów i połowa zysków...

- Zysków? Z czego?

- Z kopalni srebra, którego złoża znajdują się na gruntach mego ojca! Sądzisz, że nikt nie wie o tym? Że tylko twój klient dobroczyńca zna tę tajemnicę! Niestety, jeszcze dwoje ludzi wie o tym dobrze. Pierwszy to unizony twój sługa Zefirio, drugi...

- Drugi....

- Drugi to Zorro, ten bandyta.

Do pokoju wszedł Anzelmo Corti.

Zefirio siedział w bujającym się fotelu i uśmiechał się szeroko i jak zwykle głupkowato.

Pablo Ravales stał przed nim. Żyły na jego czole nabrzmiały, pot spływał po policzkach. Ledwie opanowywał ogarniającą go wściekłość. Nie mówił na razie nic - walczył z sobą.

Anzelmo spojrzał nań ciekawie i zapytał:

- No i cóż, porozumieliście się?

- Niezupełnie! - odpowiedział Zefirio. - Klient seiiora Ravalesa jest zbyt chciwy, chce sam zagarniać zyski, a nam pozostawia okruchy z pańskiego stołu.

- Nie rozumiem - rzekł Anzelmo zdumiony.

- Na razie jest to tajemnica, ojczy. Dowiesz się z czasem! Sądzę, że wystarczy nam na utrzymanie to, co posiadamy.

- Piętnaście milionów! - powtórzył machinalnie Ravales.

- Piękna sumka! - rzekł Zefirio. - Niestety, pieniądze nie kuszą nas. Co do mnie, nie lubię spokojnego żywota spędzanego na wylegiwaniu się na workach ze złotem. Nadmierny dobrobyt ogłupia. Emocja, ryzyko, hazard to co innego... - Przerwał na chwilę jakby namyślając się, wreszcie rzekł: - Uwielbiam hazard. Dla ryzyka gotów jestem poświęcić miliony. Toteż mam dla ciebie pewną propozycję, która może uczynić cię tanim kosztem właścicielem całej posiadłości. Sądzę, że ojciec mój zgodzi się na to z góry.

Anzelmo skinął głową, uśmiechając się. Miał zaufanie do swego syna, ślepą wiarę ojca, który kocha swego jedynaka. Czuł instynktownie, że wszystko, co syn przedsięwzięmie, choćby to miało wyglądać na niedorzeczność lub czyste szaleństwo - nie wyjdzie mu na złe.

- Jaką propozycję masz dla mnie? - zapytał nieufnie Ravales.

- Proponujesz piętnaście milionów. Odmawiasz jednak udziału w zyskach, które urosłyby przypuszczalnie do pięciu milionów peso. Jest to chciwość niewybaczalna. Mniejsza o to, nie żywię do ciebie urazy, senior. Przeciwnie, dam ci szansę nabycia całej posiadłości za jeden milion.

Ravales podskoczył nie wierząc własnym uszom.

- Za milion? Żartujesz chyba, caballero?

- Mówię zupełnie poważnie! Zagramy o tę sumę.

- Nie nabierzesz mnie znowu, senior Zefirio - rzekł. - Poznałem się już na twej

zdolności do wszelkich sztuczek i gier. Nie mam miliona peso do stracenia.

- Krzywdzisz mnie, senor Ravales, nie chcąc mnie wysłuchać. Nie wiesz nawet o czym mówię!

- Więc słucham!

- Na to czekałem! Nie będziemy grali w morę ani też w inną grę wymagającą zręczności lub przytomności umysłu. W piętnaście monet grać może nawet dziecko. Jest to gra prosta, trzeba tylko umieć liczyć do piętnastu! Czy umiesz liczyć do piętnastu?

- Hm! - mruknął Ravales, który miał się na baczności.

- Doskonale! Przeczuwałem, że jesteś dobrym rachmistrzem. Nie każdy potrafi liczyć do piętnastu.

Wydobył z kieszeni garść drobnych monet i ułożył je szeregiem na stole. - Uważaj, senor Ravales! - rzekł. - Gra polega na tym, że każdy z nas kolejno odejmuje od górnej liczby jedną do trzech monet. Rozumiesz? Jeśli na przykład ja odejmę jedną, dwie lub trzy monety - ty z kolei odejmujesz tyle, ile ci się podoba, lecz nie więcej niż trzy monety za każdym razem.

- Rozumiem!

- Doskonale! Otóż ten, dla którego pozostanie ostatnia moneta - przegrywa! Szanse są równe, ponieważ każdy z partnerów odejmuje według własnych obliczeń jedną, dwie lub trzy monety.

- Kto rozpoczyna grę?

- To obojętne. Jeśli chcesz, możesz sam rozpocząć, możesz też mi dać pierwszeństwo. Wybór pozostawiam tobie.

- Gra wydaje się uczciwa.

- Dziecinnie prosta! Daję ci jednak szansę. Zagramy dziesięć razy. Jeśli wygrasz choćby trzykrotnie, zabierasz posiadłość, jeśli przegrasz, zabieram milion. Zgoda?

Pablo Ravales zamyślił się. Jakieś wewnętrzne uczucie wołało: nie graj, nie graj, z drugiej zaś strony nie byłby Hiszpanem, gdyby nie miał w sobie żyłki hazardzisty.

- Zgoda odparł.

- Pieniądze na stół! - Asygnata na bank Moreno w Madrycie? - Dobrze. - Oto jest. Zefirio wziął ze stołu asygnatę, złożył i schował do kieszeni. - Co czynisz? - zawołał Ravales niespokojnie. - Zabezpieczam się - rzekł Zefirio. - W razie przegranej wolę, by pieniądze leżały u mnie w kieszeni, niżby Zorro musiał je siłą odebrać.

- Zaczynamy! - rzekł Ravales niecierpliwie i dodał: - Liczę na twą obietnicę.

- Jeśli przegram, posiadłość należy do ciebie!

Rozpoczęli grę. Ravales ujął dwie monety, Zefirio jedną. Pozostało na stole

dwanaście monet. Ravales ujął trzy. Zefirio - dwie. Ravales namyślał się chwilę i ujął dwie monety. Pozostało pięć sztuk. Zefirio ujął jedną, Ravales trzy i Zefirio przegrał, gdyż pozostała dlań jedna moneta..

- Przegrałem - rzekł. - Gramy jeszcze dziewięć razy.

Rozpoczęli grę po raz drugi. I tym razem Ravales obliczał, namyślał się i Zefirio znów przegrał.

- Nie mam szczęścia dzisiaj - rzekł Zefirio. - Gramy dalej.

Anzelmo Corti, który z zapartym tchem przyglądał się grze, otarł perlisty pot występujący mu na czoło. Jeszcze jedna wygrana, a posiadłość przechodzi na własność Pabla.

Lecz szczęście odwróciło się od Ravalesa. Zefirio zaczął wygrywać.

Rozpoczęła się ostatnia gra.

- Ujmuję dwie monety! - rzekł Ravales, dysząc ciężko. - Jedną.

- Również jedną!

- Dwie!

- Jedną!

- Trzy!

- Jedną!

- Trzy i ostatnia moneta pozostaje na stole dla ciebie - rzekł Zefirio. - Przegrałeś!

Anzelmo odetchnął, Ravales wstał i dziko potoczył oczami. Wyglądał jak gdyby dostał ataku furii. Nie mówiąc ani słowa, zaczął rozglądać się za swym sombrero.

Zefirio zgarnął spokojnie monety ze stołu i bawiąc się nimi, rzekł:

- Nie przejmuj się zbytnio stratą miliona, senor! Nie wahałeś się przecież ofiarować don Alvarezowi milion peso, by postarał się, ażeby nas ksiązę Ramido przepędził z naszej ziemi. Don Alvarez nie zdołał tego dokonać, a więc zaoszczędziłeś milion.

Ravales nie słyszał dalej. Schwycił kapelusz i wypadł z pokoju jak oparzony.

Po chwili turkot kół powozu oznajmił, że sprytny handlarz dóbr ziemskich opuścił niegościnnie progi.

Zefirio siedział w bujającym się fotelu i śmiał się wesoło.

- Uf! - odetchnął z ulgą Anzelmo. - Nastraszyłeś mnie porządnie, chłopcze. Przegrałeś dwa razy. Jeszcze jeden raz, a bylibyśmy zmuszeni opuścić rodzinne strony.

- Płonne obawy, ojczel! - rzekł Zefirio. - Przegrałem umyślnie dwa razy, by mu dostarczyć trochę emocji. Nie przegrałbym ani razu, gdybym nie zechciał.

- Niemożliwe! - zawołał Anzelmo. - Obserwowałem grę uważnie, nie było tutaj

żadnej sztuczki.

- Bo źle uważałeś! Cała sztuka polega na tym, by na samym początku gry pozostawić przeciwnikowi dziewięć monet. Mając dziewięć monet przed sobą, z góry przegrywa. Biorę więc dwie sztuki, jeśli ujęto już cztery, lub też. biorę jedną monetę, jeśli poprzednio ujęto pięć. Zawsze tak manipuluję, by dziewięć, a następnie pięć sztuk pozostawało partnerowi. Wówczas musi przegrać.

- A więc szulerska sztuczka?

- Niekoniecznie. Nie chowam kart w rękawie, wszystko leży na stole, biada tylko graczowi, który nie jest spostrzegawczy. Zresztą należała się nauczka temu hultajowi, który nasyła nocą morderców do domu i przekupuje don Alvareza, by mu dopomógł wyzuć bezprawnie właściciela z jego posiadłości.

- Co uczynisz z pieniędzmi?

- Namyślę się jeszcze - rzekł Zefirio zagadkowo.



## Przyjaciel

Powóz pozostawił Huesco daleko za sobą. Słońce chyliło się ku zachodowi. Dookoła panował ponury krajobraz pustkowi północnej Hiszpanii. Nieszczęściem tego kraju jest przyroda, która nierównomiernie rozmieściła, niby oazy, roślinność żyznych okolic wśród bezpłodnych piasków, gór i skał.

Pablo Ravales siedział w powozie nieprzytomny z wściekłości. Nigdy nie będzie mógł wyznać nawet najbliższemu przyjacielowi, że dwukrotnie padł ofiarą młodzieńca, którego cała okolica uważa za durnia. Wystawiłby się tylko na pośmiewisko ludzkie. On, jeden z najbardziej sprytnych i przebiegłych spekulantów, jakich tylko znała Hiszpania. Nie miał równego sobie w oszukiwaniu bliźniego, nigdy nie przebierał w środkach, gdy chodziło o dopięcie celu.

I nagle zjawia się żółtodziób, młokos; ogrywa go w morę, grę, którą znał świetnie i w której celował jeszcze za czasów, gdy włóczył się po spelunkach Barcelony i Madrytu.

Nauczony doświadczeniem nie powinien dać się wciągnąć w drugą grę. Uległ i kosztowało go to okrągły milion.

- Nie daruję! - warknął zgrzytając zębami z wściekłości połączonej z rozpaczą. - Puszczę z dymem, zamorduję obydwu, ojca i syna! Nie będę sobą, jeśli tego nie uczynię.

Knując plany zemsty, Pablo Ravales oddalał się tymczasem coraz bardziej od ludnych okolic. Powóz posuwał się po kamienistym terenie. Turkot kół rozdzierał ciszę panującą dookoła. Nagle rozległ się groźny okrzyk: stój! poparty wystrzałem. Powóz stanął i woźnica uniósł ręce do góry. Dwudziestu kilku jeźdźców w szerokich sombreroach otoczyło powóz ze wszystkich stron, trzymając strzelby wycelowane w stronę okna powozu i w pierś woźnicy.

Była to banda desperadosów.

Herszt bandy zatoczył koło na koniu i zatrzymał się przed oknem powozu.

- Hej pasażer, wyłazić, ale żywo! - zawołał mierząc z pistoletu. Pablo Ravales wysadził głowę przez okno. - Cóż tam znowu? - zapytał.

Herszt opuścił pistolet, zdumiony.

- Pablo, do diabła! - zawołał. - Skąd się tu wzięłeś?

- A ty, Galena, rozbijasz się na wielkich drogach, jak widzę? Despeldo schował pistolet i rzekł ponuro:

- Cóż robić? Ten przekłety Ramido, który jest większym zbrojcem niż my wszyscy razem wzięci, wziął się na nas. Musieliśmy uchodzić z Saragossy. Wielu z nas wybił Zorro,

szatan z piekła rodem. My tutaj jesteśmy niedobitkami. Podróżnych teraz mało, a ci którzy są, jadą pod silną eskortą. Nie napadamy teraz na folwarki, by nie ściągać Zorry, tego piekielnika, sobie na kark. Słowem, jak widzisz, interesy idą nieszczególnie.

- Widzę, mój biedny Galena - rzekł Pablo Ravales ze współczuciem - że macie miny nader wygłodzone.

- Słuchaj, Pablo - rzekł desperado nachylając się do okienka powozu - byliśmy ongiś wiernymi przyjaciółmi. Braliśmy udział w niejednej wspólnej wyprawie. Dobry był z ciebie przed laty pistolero. Słyszałem, że teraz wiedzie ci się nieźle. Ze względu na naszą dawniejszą przyjaźń, powiedz Pablo, czy nie można by coś zarobić przy tobie?

- Sądzę, że tak! - rzekł Ravales. - Mam, zdaje się, dla ciebie robotę...

- Naprawdę? - ucieszył się bandyta. - Masz robotę?

- Siadaj przy mnie! Pogadamy!

Galena rzucił cugle jednemu z desperadosów i wlaźł do powozu, który ruszył powoli naprzód.

- A więc, słucham! Jaka to robota? Rabunek, podpalenie, morderstwo czy porwanie?

Na słowo „porwanie”, Pablo Ravales drgnął. Pewna myśl zabłysła w jego mózgu. Przypomniał sobie piękną Mercedes, jej opór wobec niego i krew zaczęła mu się burzyć w żyłach.

- Przedsięwzięcie nie jest zbyt trudne - rzekł. Chodzi tylko o to, żeby zabrać się zręcznie do roboty. Musicie porwać dziewczynę, sprzątnąć właścicieli, ojca i syna, oraz podpalić wszystkie zabudowania.

- Folwark?

- Tak! AnzeImo Corti, dwadzieścia trzy mile na południowy zachód od Huesco.

Galena podrapał się w głowę. - Wahasz się? - zapytał Ravales. - Ten przeklęty Zorro krąży w tamtych stronach. . - Więc cóż! Jest was dwudziestu! Boicie się jednego człowieka? - Poznać, żeś przybył z daleka. Nie zdajesz sobie sprawy, do czego ten człowiek jest zdolny. I Galena opowiedział szczegółowo, jak Zorro, sam jeden, wyciął prawie całą bandę, wśród ciemności nocy.

- To była straszna noc! - zakończył. - Tam zbiełały mi pierwsze włosy. Nie możesz sobie wyobrazić jaki okropny lęk nas wszystkich ogarnął. Strzelaliśmy na oślep, we wszystkich możliwych kierunkach, a on krążył pomiędzy nami jak jaguar i ciął bez miłosierdzia. Wiesz dobrze, że byłem już nieraz w opresjach. Życie pistolera i desperadosa obfituje we wszelkiego rodzaju niebezpieczne przygody, ale tak straszliwej nocy, póki żyję, nie zaznałem i do samej śmierci nie zapomnę. Teraz rozumiesz, dlaczego waham się, gdy

chodzi o napad na folwark.

Ravales słuchał w najgłębszym zdumieniu. Widział, jak na twarzy herszta, na samo wspomnienie, malowała się zgroza. Winszował więc sobie, że uszedł cały ze spotkania ze strasznym przeciwnikiem.

- Rozumiem cię bardzo dobrze! - rzekł, gdy Galena dokończył swe opowiadanie. - Niestety, nie mogę odstąpić od swego żądania. Jeśli nie podejmiesz się tej roboty, wyszukam odpowiednich ludzi w Madrycie i przyślę ich tutaj. Nie będą mieli podobnych skrupułów.

Bandyta pomyślał chwilę, wreszcie odezwał się wzdychając:

- Ha, cóż robić! Zaryzykujemy, skoro inaczej być nie może. Przeniesiemy się potem do innej prowincji. Aragonię pozostawimy daleko za sobą: Będziemy jednak musieli umykać co tchu.

- Co uczynicie później, nie interesuje mnie wcale! Grunt to wykonać zadanie jak się należy. Płacę gotówką. Daję dwadzieścia tysięcy peso.

- Mało! Jest nas dwudziestu trzech. Co najmniej trzy tysiące na głowę!

- Zgoda! Nie targuję się, zależy mi bowiem na wykonaniu tej roboty.

- Pieniądze z góry.

- Nie! Połowa zaraz, a reszta gdy mi dostarczycie dziewczynę.

Galena musiał się zgodzić widząc stanowczość Ravalesa.

- Podaj mi szczegóły - rzekł bandyta, biorąc pieniądze. - Muszę wiedzieć dokładnie, kogo mamy porwać, kogo sprzątnąć i co podpalić.

Ravales wytłumaczył mu wszystko dokładnie - opisał położenie domu i rozkład pokoi.

Galena zanotował szczegóły w pamięci.

Po chwili siedział już na swym koniu. Banda oddaliła się galopem i skryła się w tumanie kurzu.

Pablo Ravales zatarł ręce, zadowolony z siebie.

- Na Galenie mogę polegać - szepnął. - Wziął pieniądze, więc zadanie wykona, choćby miał życie postradać.

## Postrach Aragonii

Ulicą Saragossy szli dwaj mężczyźni rozmawiając z ożywieniem. Jeden z nich, z miną hiszpańskiego granda, wysoki, chudy, ubrany był z wyszukaną elegancją. Drugi - szeroki, okrągły, o twarzy lśniącej jak tarcza księżycy, miał na sobie ubranie szlachcica z prowincji. Uśmiechał się przez cały czas trwania rozmowy, mrużąc swe maleńkie, rzekłbyś świńskie oczka. Obaj nie mieli wyglądu zbyt dobrodusznego, lecz mały grubasek, pomimo swego wiecznego uśmiechu, wywierał gorsze wrażenie niż jego towarzysz.

Idąc mówili:

- Daleko jeszcze, senor Antonio? - zapytał grubas. - Nogi mi się wykręcają na tych wybojach.

- Cierpliwości, senor Sebastiano! Jeszcze dwie uliczki i będziemy na miejscu.

- Szedłbym chętnie jeszcze ze dwie godziny, gdybym był pewny, że sława tego... tego....

- Josego Cardilli...

- Właśnie! Sława tego Josego Cardilli nie jest przesadzona.

Gdybym był tego pewny, szedłbym tak do wieczora, choćby mi nogi miały wleść w ciało po kolana.

- Nie, senor Sebastiano! Zapewniam cię, że to co o nim mówię, nie jest przesadą. Spędził cztery lata na galerach i dwa lata w domu dla obłąkanych w Barcelonie. To ostatnie uratowało go od dożywotniego więzienia!

- Ładny ptaszek!

- Unikat! Kocha się w niebezpieczeństwie, morduje dla przyjemności i nie jest przy tym zbyt wymagający.

- Nie chodzi mi o sumę, jakiej zażąda. Gotów jestem dać dwa razy więcej, niż wymieni, byleby zabrał się do rzeczy energicznie!

Wątpię tylko, czy podola.

- Głowę dam, że podola. Nie ma w całej Hiszpanii drugiego takiego.

Włada batem?

- Lepiej niż...

- Tsss! Nie wymieniamy nazwiska.

- Chwyta pistolety w powietrzu i strzela do trzech podrzuconych w górę monet. Trafia w każdą.

- Pięknie!

- Ciska nożem ze zręcznością nadzwyczajną! Włada szpadą jak fechtmistrz florenetyński z siedemnastego stulecia!

- Ależ to cud!

- A co jest w nim najlepsze? Otóż działa szybko, sprawnie, cicho i dokładnie. Słowem, tygrys w ludzkim ciele. Przy tym jest ubogi i nie ceni pieniędzy. Przepija natychmiast wszystko, co zarobi.

- Dziwne, że don Ramido nie wymiółł go z innymi desperadosami.

- Jose Cardilla nie jest bandytą! Pogardza nimi! Jest to samotny zbój, który chadza własnymi drogami. Żaden żandarm ani szpieg księcia nie zagląda w te strony, gdyż wie dobrze, że nie uszedłby z życiem. A oto jesteśmy.

Stanęli w ciasnej uliczce. Nad głowami idących gęsto powiewała rozwieszona bielizna. Zaduch bił ze wszystkich okien i drzwi. Pełno było wszędzie obdartych dzieciaków.

Mężczyźni wałęsali się spoglądając nieufnie i chciwie zarazem na dwóch obcych.

Wysoki jegomość, o minie granda, zadarł głowę i zawołał głośno:

- Frasquita, hej Frasquita!

W małym okienku na drugim piętrze ukazała się rozczochrana głowa młodej kobiety:

-Co tam?

- Można na górę?

- Zaraz.

Głowa kobiety znikła i po chwili zjawiała się znów.

- Chodźcie!

Na drugim piętrze drzwi były otwarte. Stała w nich kobieta, której ciało ledwie okrywał brudny, podarty szlafrok.

Dwaj mężczyźni weszli do środka.

- Kto tam? - rozległ się męski głos z drugiego pokoju. To ty, senor Antonio?

- Tak, to ja! - odezwał się chudy mężczyzna. - Przeprowadziłem interesanta. Czy można wejść?

- Proszę.

Weszli do drugiego pokoju.

Na szerokim barłogu spoczywał mężczyzna w ubraniu. Obok stało krzesło, na którym leżał długi nóż. Mężczyzna, leżąc na plecach, trzymał pomiędzy zgiętymi kolanami oselkę, na której toczył wąski sztylet, co chwila próbując ostrza palcami.

- Sładźcie, proszę! - rzekł Jose Cardilla, szlifując sztylet.

Lecz w pokoju nie było wolnego krzesła i przybysze stali w dalszym ciągu.

Don Antonio chrząknął i rzekł:

- Słuchaj, Jose! Przyprowadziłem tutaj przyjaciela. Ma dobrze płatne zajęcie dla ciebie!

- Wszyscy tak mówicie! - mruknął Jose. - Dobrze płatne zajęcie, a jak przyjdzie do płacenia, szkoda wam każdego peso.

- Mylisz się w tym wypadku - rzekł don Antonio. - Senor Sebastiano ofiaruje ci dziesięć tysięcy. Jose ożywił się nieco. Usta jego rozchyliły się w uprzejmym uśmiechu, który był raczej grymasem. - Tak, to co innego! - rzekł odkładając sztylet i osełkę. - Co powinienem zrobić za te pieniądze? Wyciąć w pień pułk kirasjerów?

- Żarty na bok, Jose! - rzekł don Antonio. - Chodzi tutaj tylko o jednego człowieka.

Jose zdumiał się. Za sprzątnięcie jednego człowieka dają mu tak wiele pieniędzy? Tu coś się kryje!

Z wyjątkiem królowej i księcia wielkorządcy podejmują się za te pieniądze przenieść na tamten świat każdego człowieka na kuli ziemskiej.

Sebastiano przystąpił do rzeczy.

- Dużo słyszałem o was, senor Jose, i dlatego też nie zwróciłem się do nikogo innego. Wiem, że jesteś szalenie odważny, zuchwały nawet, wiem, że jesteś najzręczniejszym strzelcem i szermierzem na Półwyspie Pirenejskim, toteż jestem przekonany, że nie ulękniecie się Zorry.

Jose Cardilla usiadł od razu. Oczy jego zabłyśły. Odpowiedział cicho:

- Zorro? Więc tutaj chodzi o Zorrę?

Don Antonio i Sebastiano spojrzeli na siebie. W oczach grubasa malował się niepokój. Zląkł się Zorry, przeleciało mu błyskawicznie przez głowę. Cała sprawa na nic!

Wyjąkał tonem pojednawczym:

- Ostatecznie, jeśli ten interes nie odpowiada ci, senor Jose, nie będę zbytnio nalegał...

- Głupiec z ciebie, senor! - mruknął Jose. - Jestem gotów podjąć się zadania, nawet bezpłatnie!

Obecni spojrzeli znów na siebie ze zdumieniem.

- Dziwicie się, co? - zauważył Jose, wstając z łóżka. - Wytłumaczę wam zaraz, dlaczego ta sprawa leży mi na sercu.

Gdy wstał, don Antonio i Sebastiano mogli podziwiać jego muskularne ciało, uwydatniające się poprzez obcisłą odzież. Był szczupły, wysoki i miał ruchy niezwykle

spężyste. Z postawy bardziej przypominał akrobatę lub tancerza niż rozbójnika.

- Wyjaśnię wam w czym rzecz - rzekł. - Zorro jest jedynym człowiekiem na świecie, o którym mógłbym powiedzieć, że mi dorównuje pod wielu względami. Włada biczem z bawolej skóry ze zręcznością, która prawie dorównuje mojej. Strzela dobrze, jest zręczny i zuchwały. Wybaczyłbym mu to wszystko, gdyby nie przynosiło to uszczerbku mej sławie. Każdy wiedział, że tylko Jose Cardilla pokonał całą uzbrojoną bandę złożoną z wrogich mu pistolerów. Pokonał jedynie nożem, który trzymał w ręku. Było ich dziewięciu. Zorro jednak usunął mnie w cień. Słyszeliście o tej historii w okolicy Huesco? Wyciął bandę desperadosów! Pomiędzy zabitymi znalazł się również ich szef, najlepszy pistolero w kraju i mój najwierniejszy przyjaciel...

- Rozumiem! - rzekł Sebastiano. - Chcesz się zemścić. - Nie tylko! Chcę pokazać, że prócz mnie nikt nie może rościć sobie prawa do tytułu: postrach Aragonii.

- Rzeczywiście, tak nazywają Zorrę - rzekł Sebastiano. - Otóż postrachem Aragonii jestem tylko ja, Jose Cardilla.

- Podobaś? - zapytał krótko Sebastiano.

- Zaraz zobaczysz!

Wyszedł do drugiego pokoju i przyniósł bat. Rzemień zwinięty był w kółko.

Zbliżył się do okna i rzekł odwracając się do obu:

- Chodźcie tutaj, senores! Pokażę wam coś.

Wychylił się z okna i zawołał:

- Hej, Miguel, podrzuć kamyk w górę.

Obdarty chłopiec, stojący nie opodal na ulicy, posłuchał, podniósł mały kamyk i podrzucił.

Bicz trzasnął i koniec rzemienia ugodził w kamyk, który poleciał wyżej i padł na dach przeciwległego domu.

- No i cóż? - rzekł Jose. - Podoba się wam ta sztuczka? Zwróćcie uwagę na to, że stojąc w oknie, jestem skrępowany w ruchach, nie mogę nabrać rozmachu! A teraz pokażę wam co innego.

Odłożył bat i wyszedł do drugiego pokoju. Po chwili wrócił trzymając pistolety w obu rękach. Zbliżył się znów ku oknu i rzekł:

- Widzicie to stado gołębi, które krąży wysoko nad nami? Uważajcie!

Podrzucił dwa pistolety, które zawirowały i padając znalazły się ponownie w dłoniach Cardilli. W tej samej sekundzie padły jednocześnie dwa strzały i dwa gołębie runęły w dół. Znów pistolety zakręciły się w powietrzu i znów padły dwa strzały, dwa gołębie padły

martwe..

- No i cóż, senores! - zapytał spokojnie. - Jak się wam podobają me latające pistolety? Obaj nie rzekli ani słowa.

- Na tym nie koniec! - kontynuował Jose, który zawział się, by wprawić, swych gości w osłupienie. Wziął sztylet i nóż, które leżały dotychczas na krześle. - Przejdźcie się, proszę, po pokoju, ja zaś odwrócę się plecami..

Uczynili, jak prosił.

Jose szybko przegiął się w tył, tak że gibkie jego ciało tworzyło teraz łuk, i cisnął noże trzymane w rękach.

Sztylet świsnął koło ucha don Antonia i utkwiał w drzwiach. Nóż przeleciał tuż obok głowy Sebastiana i utkwiał ostrzem w komodzie.

- Mógłbym popisywać się w cyrku! - chwalił się Jose, prostując się i odwracając się do gości. - Czy Zorro dokaże tego samego?

- Wątpię - odezwał się don Antonio.

Sebastiano sięgnął do kieszeni i wyjął sakiewkę.

- Oto dwadzieścia pięć tysięcy peso - rzekł kładąc pieniądze na krześle. - Płacę z góry i więcej niż podwójnie.



## Oświadczyzny don Alvareza

Dolores stała przed klatką wiszącą na oknie i karmiła kanarka. Promienie słoneczne wpadały do pokoju, tworząc na podłodze jasną plamę.

Dziewczyna była zatopiona w myślach. Jak żywy stawał przed jej oczyma obraz święta ludowego. Ona i Zorro tańczą. Jest upojona. Cały świat przestaje istnieć. I nagle brutalni ludzie odpychają ją na bok i rzucają się na Zorrę. Wymknął się, to prawda, lecz od tego czasu nie widziała go więcej.

Na próżno walczyła później z uczuciem, które ją ogarnęło, na próżno tłumaczyła sobie, że jest szalona, że Zorro to zwykły rozbójnik, a ona jest księżniczką.

Starła się nie myśleć o nim. Flirtowała z młodymi mężczyznami z najlepszych rodów, bawiła się na balach, tańczyła nieraz do rana, budząc zgorszenie wśród najlepszej socjety - wszystko na próżno. Myśl uparcie powracała do Zorry.

Westchnęła zdając sobie jasno sprawę, że go kocha.

- Cóż mogę zrobić? - szepnęła. - Nikt nie może być panem swego serca.

Odeszła od okna i usiadła przy pianinie.

Popłynęły piękne tony nokturnu Chopina. Smętna melodia ulatywała przez okno. Słychać było w niej szum wichru i odgłos kropel deszczowych.

Don Alvarez przechodził obok rezydencji księżęcej. Do uszu jego doleciały dźwięki melodii. Przystanął nadsluchując.

Dolores skończyła grać i zbliżyła się do okna.

- Buen Dios, seniorito! - zawołał don Alvarez z najmiłym uśmiechem, na jaki potrafił się zdobyć. - Pięknie grasz, doprawdy, seniorito Dolores. Jakaż to melodia?

- Nokturn Chopina - odpowiedziała.

- Chopin, ach tak, kompozytor niemiecki.

- Nie, don Alvarez! Kompozytor polski. Polacco!

- Polacco? - zdziwił się don Alvarez.

- Powinieneś znać ten naród. Przy boku Napoleona zdobyli niegdyś Somosierrę i miasto, gdzie obecnie się znajdujemy, Saragossę. Dziwi mnie to, że jako wojskowy nic o tym nie wiesz!

Don Alvarez skrzywił się, nie bardzo było mu przyjemnie, że Dolores wypominała mu omyłkę z lekką ironią.

- Ach tak. Przypominam sobie. Bardzo waleczny naród.

Był nieco zażenowany swym brakiem wiedzy. Historia, której się uczył będąc chłopcem, wyleciała mu z głowy zupełnie, a nigdy nie interesował się podaniami i legendami, które krążyły wśród ludu. Z trudem przypominał sobie fakty historyczne.

Potem pomyślał: Jakaż ona piękna, a zarazem wykształcona. Wymarzona małżonka dla dzielnego oficera. Dolores zapewniłaby mu karierę.

Uniósł głowę i zawołał:

- Księżniczko! Czy pozwolisz, bym zawitał do niej nieco później!. Chciałbym z nią pomówić.

- Nie mam nic przeciwko temu, pułkowniku! – odpowiedziała Dolores i zamknęła okno.

Don Alvarez zamyślony okrążył pałac i wszedł przez główne drzwi, obok których żołnierze pełnili straż. Minął olbrzymią salę wysłaną czerwonym dywanem, witając się po drodze z dworzanami księcia, i zapukał do drzwi gabinetu don Ramida.

Księżę siedział przy biurku. Uniósł głowę i spojrzał pytająco na wchodzącego.

- Mam nowinę - rzekł don Alvarez. - Zorro osmagał batem don Sebastiana Hioro, właściciela dóbr na zachód od Huesco.

- Znam don Sebastiana! Poważam go, umie bowiem trzymać swych ludzi w ryzach.

- Właśnie dlatego też Zorro go osmagał. Podobno wyrzucił całą rodzinę składającą się z ojca, matki i czworga dzieci. Pozbawił ich dachu nad głową z błażej przyczyny, a wszystko dlatego, że rodzice nie chcieli przysłać swej córki Marquity do jego dworu.

- I ten bandyta śmiał unieść rękę na tak szacownego hacjendero? To przechodzi ludzkie pojęcie. Co robią żołnierze i policja?.. Mam wrażenie czasami, że Aragonia to pustynny kraj, gdzie bezczelny osobnik hula bezkarnie, nie napotykając żywej duszy, która by mu stawiała opór. I powiadasz, że osmagał go za to, że don Sebastiano wydalili jednego ze swych ludzi?

- Tak, z całą rodziną. Zorro podjął się naprawienia rzekomej krzywdy.

- Hm!

- Zorro obił go, a następnie zabrał wszystkie pieniądze, jakie don Sebastiano miał przy sobie, i dał je tej rodzinie.

- Co dalej?

- Posłałem żandarmów! Odebrali z powrotem pieniądze...

- I zwróciłeś je don Sebastianowi...

- Nie, bo Zorro zaatakował żandarmów i odebrał złoto, które wieźli!

- Bronili się?

- Oddali bez oporu.
- Należy ich surowo ukarać.
- Już zrobione.
- To wszystko?
- Nie! Mam jeszcze jedną nowinę.
- Słucham.
- Znam kryjówkę Zorry.

Księżę skoczył na równe nogi.

- Znasz kryjówkę Zorry? - zawołał. - Nie żartujesz?
- Trzyma tam konia i broń.
- W jaki sposób dowiedziałeś się, pułkowniku?

- Doniósł mi jeden ze szpiegów. Ukryty w zaroślach widział starego węglarza, który wyprowadził konia Zorry przed swą chatę.

- Zorro tam był?

- Tak. I to bez maski. Niestety, było już zbyt ciemno i mój człowiek nie mógł dojrzeć rysów twarzy.

- Szkoda! Cóż zamierzasz uczynić?

- Przede wszystkim unieszkodliwię węglarza. Następnie rozmieszczę dookoła swych ludzi. Ukryję ich w zaroślach i w chacie. Gdy Zorro się zjawi, a będzie bez broni, gdyż znajduje się ona u węglarza, zaatakujemy go jednocześnie ze wszystkich stron. Bez bata, bez szpady i bez pistoletów - wątpię, czy się nam wymknie.

- Świetnie! - ucieszył się don Ramido, zacierając ręce. - Jeśli się uda postaram się dla ciebie o najwyższe odznaczenie. Kariera twoja jest zapewniona.

- Uda się na pewno. Uważam, że trzymam Zorrę mocno w garści. Pozwolisz jeszcze, mości księżę, że wystosuję doń pewną prośbę.

- Słucham!

- Mam zaszczyt prosić o rękę księżniczki Dolores.

Księżę siedział w milczeniu. W głębi duszy nienawidził don Alvareza, który dzielił z nim władzę wojskową na mocy rozkazu królowej Izabelli. Uważał go za intryganta i karierowicza. Nie dał jednak poznać po sobie, jakie uczucie żywi wobec niego i rzekł ostrożnie:

- Nie mam nic przeciwko temu, byś pojął Dolores za żonę. Cieszę się na samą myśl, że w rodzinie będzie tak dzielny oficer. Muszę cię jednak uprzedzić, pułkowniku, że jesteś już dziewiątym z kolei mężczyzną, który oświadcza się o rękę Dolores w ciągu ostatnich dwóch

miesiący. Odrzuca jednak wszystkich. Nie mam pojęcia, co jej się stało. Zapytałem kiedyś i wiesz co mi ze śmiechem odpowiedziała? “Nudzą mnie ci wszyscy dobrze urodzeni młodzieńcy, mam chętkę zakochać się w zwykłym rozbójniku!” Uważam jednak, że możesz popробować szczęścia i oświadczyć się wprost mej siostrzenicy. Co do mnie, masz moje błogosławieństwo. Ślub jednak odłożymy, aż do ujęcia Zorry, gdyż tylko wówczas kariera twoja byłaby zapewniona.

Don Alvarez podziękował, uklonił się i wyszedł. Gdy był już na korytarzu, pomyślał: chytry lis!

Minął salę posiedzeń, dwie przyległe komnaty, skręcił długim korytarzem w prawo i kazał się zameldować senoricie Dolares. Pokojówka wróciła po chwili:

- Księżniczka prosi! - rzekła.

Don Alvarez, przechodząc obok niej, uszczypnął ją w policzek.

Dziewczyna uśmiechnęła się ukazując równe ząbki.

- Jak ci na imię, moje dziecko? - zapytał don Alvarez.

- Pepita! - brzmiała odpowiedź subretki.

- A więc Pepito, śliczne moje dziewczątko, podobasz mi się!

- Och, senor pułkownik żartuje sobie ze mnie! - odpowiedziała pokojówka, opuszczając niby skromnie oczy.

- Wcale nie żartuję - rzekł don Alvarez, przyciągając ją ku: sobie i składając pocałunek na jej ustach. - Rad byłbym, gdybyś złożyła wizytę w mej kwaterze dziś około północy!

- Ach! - szepnęła dziewczyna, czyniąc wysiłek, by się zarumienić.

- No więc, dziewczątko, przyjdiesz czy nie?

- Nie wiem, czy będę mogła - szepnęła Pepita. - Nie mogę odejść od księżniczki!

- Postaraj się! Ręczę ci, że nie pożałujesz! Dla dziewczyny, która mi się podoba, nie jestem skąpy! Ładny naszyjnik ozdobiłby II twą śliczną szyjkę, a pierścionek twój zgrabny paluszek. No co, przyjdiesz?

- Przyjdę! - szepnęła pokojówka.

- A więc czekam na ciebie, moje dziecko.

Złożył jeszcze jeden pocałunek na jej ustach, wypuścił ją z objęcia i wszedł do pokoju, gdzie czekała nań Dolores.

- Oto jestem! - rzekł. - Pozwolisz księżniczko, że usiądę? Dolores wskazała mu krzesło.

Don Alvarez usiadł, wygładził starannie fałdy swego munduru, poprawił szablę i

rozpoczął:

- Zawsze byłem pełen podziwu dla twojej osoby, księżniczko. Nie śmiałem jednak nigdy ci tego wyrazić, toteż milczałem. Na dworze królowej uważają mnie za bardzo dobrego oficera, odwadze mojej nikt nie może nic zarzucić, a jednak wobec ciebie, seniorito, przyznaję, że nigdy nie miałem odwagi.

Dzisiaj przechodząc pod twymi oknami usłyszałem przypadkowo piękną melodię tego Chopnino...

- Chopina - poprawiła Dolores.

- Chopina. Cudowne dźwięki obudziły w mej duszy śpiącą strunę. I ja również ubóstwiam muzykę. Melodie Calderona...

- Calderon nie był muzykiem, lecz poetą.

- Ach tak, przepraszam! Pomyliłem z Casablanką! Otóż melodie Casablanki...

- Casablanka również nie był muzykiem, lecz marynarzem francuskim, pochodzącym z Korsyki.

- Ale zdaje się, że będąc na łodzi komponował piękne utwory muzyczne.

- Casablanka był korsarzem, francuskim bohaterem morskim i nic nie miał wspólnego z muzyką.

- A więc coś mi się pomieszało z innym muzykiem o podobnym nazwisku. Don Alvarez uczynił wysiłek myślowy. - Ach tak, przypomniałem sobie. Teraz już wiem na pewno. To był Stradivario. - Stradivarius chyba - ironicznie odparła Dolores. - No, ten to już prędzej miał coś wspólnego z muzyką. Był twórcą skrzypiec.

- Głupstwo, pomińmy to - zachnął się Alvarez. - Nie chodzi mi tutaj o autora, lecz o samą muzykę. Słyszałem, jak grałaś, księżniczko, i tęsknota obudziła się w mym sercu. Rzekłem więc do siebie: odwagi Pedro, jesteś dzielnym wojakiem, pochodzisz z dobrej, szlacheckiej rodziny, droga do awansu stoi przed tobą otworem, zostaniesz generałem w krótkim czasie, kochasz piękną Dolores ponad życie, więc czego się boisz? Naprzód, śmiało i odważnie do ataku.

Don Alvarez odetchnął i rzekł uroczyście, wstając:

- A więc księżniczko, mam zaszczyt prosić cię o rękę!

- Bardzo mi pochlebia uczucie, jakim mnie obdarzasz - odpowiedziała ze śmiechem Dolores. - Niestety, nie mogę przyjąć zaoferowanego mi serca. Nie dlatego bym miała coś przeciwko tobie, senior, o nie! Lecz po prostu dlatego, że kocham innego.

Don Alvarez zbladł i zacisnął palce.

- Domyślam się, seniorito, kto jest obiektem twego uczucia. Dolores spojrzała

pytająco.

- Słyszałem przed półgodziną - ciągnął dalej - z ust księcia słowa, które mnie zastanowiły. Na pytanie księcia, za kogo wreszcie masz zamiar wyjść za mąż, odpowiedziałaś, że chcesz zakochać się w rozbójniku...

Dolores spojrzała niespokojnie na mówiącego.

- Przypuszczam, piękna księżniczko, że życzenie tve spełniło się. Byłem świadkiem waszego bolera. Nie zapomnę nigdy wyrazu twych oczu, gdy tańczyłaś z Zorzą. Nie przypisywałem temu wówczas żadnego znaczenia. Niestety, widzę teraz, że nie miałem racji. Seniorito, kochasz Zorrę?

Dolores siedziała blada i milcząca. Serce tłukło się w jej piersi. Nie była w stanie wyrzec ani jednego słowa.

Don Alvarez wstał odsuwając z hałasem krzesło.

- Przysięgam, seniorito, że Zorro dostanie się w me ręce, a wówczas odpokutuje za wszystko. Ścigam go od dawna, lecz nigdy jeszcze nie odczuwałem takiej nienawiści i nie pragnąłem zemsty jak obecnie. Choćbym miał głowę położyć, musi zawisnąć na szubienicy.

Odwrócił się i wyszedł bez pożegnania.

Otwierając drzwi, uczuł pchnięcie.

Pepita odskoczyła od dziurki od klucza, pocierając czerwone czoło.

Don Alvarez ujął ją za podbródek i rzekł:

- Cóż to, podsłuchujesz, moje dziecko? To nieładnie. Jesteś zbyt ciekawa, kochana Pepito.

Pokojówka coś bąknęła w odpowiedzi.

- Chodź, dziewczyno! - rzekł don Alvarez. - Dam ci pewne polecenie. Jeśli je wykonasz, zarobisz trochę pieniędzy.

Odeszli na bok i w zagłębieniu korytarza don Alvarez szeptał jej coś na ucho.

## Porwanie

Galena jechał w milczeniu na czele swych ludzi. Rozważał polecenie Pabla Ravalesa. Niezbyt mu się podobało zadanie, jakie miał wykonać.

Wtem pewna myśl przyszła mu do głowy. Porwanie dziewczyny, owszem, lecz nigdy podpalenie domu i zabójstwo właścicieli. Wszystko odbędzie się w najgłębszej ciszy, żadna łuna pożaru nie rozświetli nieba. Zanim Zorro się dowie, będziemy już daleko. Zresztą wątpię, by Zorro zaprzętał sobie umysł porwaną dziewczyną. Będzie sądził, że to jakiś gach porwał swą ukochaną. Dostarczę Ravalesowi dziewczynę, odbiorę resztę pieniędzy, a zanim się spostrzeże, będziemy daleko, na drugim krańcu półwyspu.

Plan ten dodał mu otuchy.

Przyśpieszył konia, ludzie jego podążyli za nim.

Niebawem jechali wśród gęstniejących drzew.

W końcu w oddali zamajaczyły zabudowania należące do Anzelma Cortiego. Wieczór się zbliżał. Galena i jego ludzie zsiadli z koni, które ukryli starannie. Desperado przywołał jednego ze swych ludzi.

- Odłóż broń, Pedro. Masz wygląd wieśniaka, przybierz nieco pokorniejszą postawę. Pójdiesz do Anzelma Cortiego i poprosisz o pracę. Jeśli cię przyjmie, wszystko będzie w porządku, jeśli zaś nie, poprosisz, by ci pozwolił odpocząć i przenocować w oborze lub stajni. Nie trać czasu. Rozejrzyj się dobrze dookoła, szczególną uwagę zwróć na senioritę. Dowiedz się, gdzie śpi i czy nie przebywa ktoś w pobliżu. O północy usłyszysz cichy skowyt psa podwórzowego. Będziemy czekali nie opodal na ciebie. Zrozumiałeś?

- Tak jest, szefie! - rzekł Pedro.

Wyjął pistolety, odpasął szablę i podał Galenie. Wyglądał teraz jak wiejski parobek.

Anzelmo Corti stał przed stajnią i dawał rozporządzenia służbie. Okryty kurzem wieśniak zbliżał się ku niemu, trzymając sombrero w ręku. Przystanął w pewnej odległości od właściciela, w postawie pełnej szacunku.

- Czego chcesz, mój zuchu? - zapytał Corti, dostrzegając przybysza.

- Szukam pracy, senior! Umiem wszystko. Ujeżdżam konie, nawożę pola, doję krowy, strzygę barany.

- Gdzie pracowałeś poprzednio?

- W tej okolicy jeszcze nie pracowałem. Pochodzę ze starej Kastylii, wioska moja znajduje się nie opodal Valladolid.

- I nie mogłeś znaleźć dotychczas pracy?

- Nie, señor!

- Dobrze. Zgłosisz się jutro rano. Tymczasem idź do kuchni, tam cię nakarmią.

Prześpisz się w budynku dla służby.

Pedro uklonił się nisko i uradowany udał się we wskazanym kierunku. Po drodze bystre jego oczy obserwowały wszystko dookoła. Nie uszło jego uwagi miejsce, gdzie znajdowały się psy ani też okna zawieszane firankami.

- Źle ci z oczu patrzy, mój człowieku - rozległ się głos obok niego.

Desperado drgnął przerażony. Obok niego stał Zefirio, uśmiechając się przyjaźnie. Pedro domyślił się, na podstawie ubioru, że jest to syn właściciela. Skłonił się unizienie, zdejmując sombrero z głowy, i rzekł:

- Jestem spokojnym człowiekiem, señor. Pracuję w polu...

- I rozglądam się bacznie dookoła - dokończył Zefirio.

- Och, señor, wybacz mi, proszę. Wioska, z której pochodzę, jest biedna. Nigdy jeszcze nie pracowałem przy dworze wielkopańskim. Toteż podziwiam tutaj wszystko.

- Ojciec przyjął cię do pracy?

- Tak jest, señor. Będę nareszcie mógł zarobić na chleb dla mych dzieciak.

Zefirio sięgnął do kieszeni i wyjął kilka złotych monet, mówiąc:

- Masz, prześlij to swej rodzinie.

Desperado podziękował gorąco, błogosławiąc swego dobroczyńcę.

Zefirio nie słuchał słów podziękacji, odwrócił się i poszedł w kierunku domu.

Pedro schował pieniądze i mruknął:

- Dobrze i to! Przyda się jako zadatek. A teraz do dzieła.

Słońce skryło się na horyzoncie. Noc zapadła. Zamiast udać się do kuchni, Pedro przeskoczył niskie ogrodzenie i skradając się jak kot, zbliżył się ku oknu, gdzie zajaśniało światło. Zajrzał ostrożnie przez szybę. Młoda kobieta siedziała w pokoju przy niewielkim stoliku i czytała książkę. W głębi, pod baldachimem z muślinu, stało szerokie łóżko.

- W porządku - szepnął desperado, oddalając się od okna. - A teraz przyjrzyjmy się psom. Na szczęście mam trutkę przy sobie...



## Zmowa przyjaciół

Don Sebastiano uściskał rękę don Antonia. - Dziękuję ci, przyjacielu - rzekł. - Dziękuję ci za pomoc, jaką - mi okazałeś. Czuję, że będę pomszczony i raduję się niezmiernie, zupełnie jak gdyby już było po fakcie dokonanym. A teraz chodźmy się napić. Weszli do oberży. Don Sebastiano zamówił najlepsze wino. Niebawem obaj byli w świetnych humorach. Siedzieli przy stoliku w kącie sali. Don Antonio dolewał ciągle, a grubas nie wylewał wina za kołnierz. Toteż oblicze jego z różowego stało się czerwone, po czym nabrało sinego odcienia.

Był zupełnie pijany.

Don Antonio pił również, lecz cera jego pod wpływem wina nie zmieniła się. Została, jak była, sucha i blada.

- Gdy kwestia zemsty została załatwiona - mówił Sebastiano - jeszcze jedna sprawa leży mi na sercu i wiem, przyjacielu, że mi szczerze poradzisz.

- Mów - odezwał się don Antonio.

- Czy wiesz, dlaczego zostałem osmagany jak pies przez tego... zbója?

- Wyrzuciłeś rządcę z majątku.

- Tak. Przepędziłem na cztery wiatry, odbierając mu mieszkanie i nie płacąc zaległej gaży.

- Okradał cię?

- Nie. Był zawsze wzorem uczciwości.

Więc dlaczego?

- Historia sentymentalna. Zakochałem się na zabój w Marquicie, jego córce.

- Odmówił ci jej ręki?

- Nie prosiłem o rękę! Rządca, który je mój chleb, który zawdzięcza mi dach nad głową, okazał się zbyt hardy. Zaproponowałem mu podwyżkę gaży, lepsze mieszkanie, gratyfikację w wysokości pięćdziesięciu tysięcy - wszystko odrzucił.

- Czego żądałeś w zamian?

- By przysłał córkę swą, Marquitę, do mego dworu.

- Odmówił?

- Tak. Nie mam córek na sprzedaż, odpowiedział.

- Jak zareagowałeś?

- Pokazałem mu drzwi. Następnie posłałem ludzi, którzy wyrzucili całą rodzinę i

wszystkie meble na dziedziniec, po czym zamknęli mieszkanie na kłódkę.

- Doskonale zrobili! Tak powinien postępować prawdziwy mężczyzna.

- Dziękuję za uznanie! Lecz nie pociesza mnie to bynajmniej. Serce moje wyje z rozpacz jak pies na cmentarzu. Brak mi małej, słodkiej Marquity. Zatapiam tęsknotę w winie, ale i to nie pomaga.

- Hm, to smutne.

- Poradź towarzyszu, przyjacielu, bracie. Życ bez niej nie mogę! - wołał Sebastiano, ócierając łzy płynące z jego sinej twarzy pijaka.

- Jest na to jedna tylko rada! Odebrać ją gwałtem rodzicom. Książę Ramido jest w dobrej komitywie z tobą - będzie więc patrzył przez palce.

- Powiadasz?

- Jestem tego pewny. Don Alvareza łatwo przekupisz. Znam tego człowieka, jest chciwy i sprzedajny.

- Człowieku! Ratujesz mnie! Czym ci się odwdzięczę?

- Bardzo łatwo! Masz koło rzeczki kawałek gruntu sąsiadującego z posiadłością Anzelma Cortiego. Sprzedaj mi go!

- Skrzywdziłbym cię, don Antonio. Nie chcę oszukiwać przyjaciela! Ten kawałek ziemi nic nie jest wart. Pełen głazów i kamieni, leży ugorem. Sprzedam ci ziemię urodzajną...

- Dziękuję! Chodzi właśnie o ten ugór.

- Przyjacielu, po co ci to?

- To mój sekret. - Ha, trudno! Lecz pozwolisz, że nic nie wezmę za te kamienie. Daję ci darmo. Winienem ci przecież wdzięczność.

- Przyjmuję.

Dopili wino i wyszli z gospody, podpierając się nawzajem, zadowoleni z siebie.

I tak rozmawiając doszli do domu don Antonia. Była to okazała rezydencja i nikt by nie uwierzył, że człowiek, który niedawno gościł u bandyty, mieszka w jednym z pałaców arystokratycznej dzielnicy Saragossy.

- Chodź, Sebastiano, wypoczniesz nieco u mnie - rzekł don Antonio.

- Nie mogę, mój przyjacielu. Muszę wracać. Podróż trwa osiem godzin, jeśli konie dobrze ciągną. Muszę ruszyć w drogę natychmiast, jeśli chcę przed wieczorem być w domu. Wybacz mi, don Antonio.

- Zawitam do ciebie w tym tygodniu.

- Będę oczekiwać z niecierpliwością.

Don Antonio przywołał koniuszego i polecił mu wyprowadzić powóz don Sebastiana.

Niebawem karetę ruszyła, uwożąc pogrążonego w zadumie właściciela.

Powóz sunął drogą wśród pól, łąk i lasów.

Don Sebastian o zasnął ciężkim snem pijaka i obudził się dopiero wtedy, gdy już znalazł się przed swoim domem.

Wylazł z karety, przeszedł do umywalni i orzeźwił wodą spoconą twarz. Następnie przywołał służącego.

- Poszukaj Fernanda i powiedz mu, że go wzywam.

Służący uklonił się i wyszedł.

Po pewnym czasie zapukano do drzwi gabinetu don Sebastiana. - Wejść!

Fernando, powiernik don Sebastiana, wszedł do pokoju. Był to żyłasty mężczyzna, o twarzy ospowatej i cynicznej.

- Sefior mnie wzywał?

- Tak, Fernando! Mam dla ciebie polecenie, lecz musi ono pozostać w najgłębszej tajemnicy. Ani pary z ust o tym co ci powiem.

- Sefior może polegać na mej dyskrecji. Niejednokrotnie wykonywałem różne zadania i jeszcze nikt nie usłyszał słowa ode mnie.

- Wiem! Toteż nie jestem niewdzięczny. Peso, które przeszły z mej kieszeni do twojej, świadczą o tym najlepiej.

Zbliżył się do Fernanda i zaczął mówić zniżonym głosem. -. Gdzie się znajduje obecnie mój były rządcą?

- Zorro dał mu pieniądze, za które stary wydzierżawił młyn. - Dzieci są przy nim?

- Rozumie się!

- Doskonale!

I Sebastian o zaczął szeptać na ucho Fernandowi.

W miarę jak Sebastiano mówił, twarz powiernika rozciągała się w cynicznym uśmiechu.

- Zrobione, senor! - rzekł. - Nikt się niczego nie domyśli. Należy tylko dobrze ukryć ptaszynę, gdy ją będziemy już mieli w ręku.

- Moja w tym głowa. Bezpieczne miejsce się znajdzie.

- Przystępuję do dzieła jeszcze dziś - zapewnił Fernando, biorąc sombrero.

Sebastiano sięgnął do kieszeni.

- Masz, oto. zadatek.

Wręczył mu garść peso, które tamten skwapliwie schował i poszedł zwołać kompanów.

Zebrali się na uboczu. Było ich czterech. Draby o odpychających obliczach, gotowi za pieniądze zrobić wszystko.

- Musimy porwać córkę rządcy, Marquitę - wyjaśniał Fernando. - Obłowicie się niezgorzej przy tej robocie.

I wyłożył plan działania, którego wszyscy czterej wysłuchali uważnie.

## Skowyt psa

Wszystko umilkło w okolicy, pogrążone w głębokim śnie. W ogólnej izbie przeznaczonej dla służby folwarcznej Anzelma Cortiego panowała cisza przerywana chrapaniem kilku śpiących mężczyzn. Na jednym z posłań uniosła się czyjaś głowa. Mężczyzna przez moment nadłuchiwał, wreszcie wysunął jedną nogę, potem drugą i stanął na podłodze. Był w ubraniu. Cicho i ostrożnie podążył ku drzwiom. Przystanął na chwilę. Nikt ze śpiących nie poruszył się. Pchnął drzwi i znalazł się na podwórku. Ani jeden pies nie zaszczeakał. Leżały wszystkie potrute. Człowiek przesadził ogrodzenie i znalazł się w ogrodzie. Zbliżył się do okna i wyczuł słuch.

Pociągnął za ramę okienną. Okno nie było zamknięte. Oddalił się od domu, przesadził znów ogrodzenie i ukryty za rogiem składu narzędzi gospodarskich, czekał niecierpliwie.

Wtem rozległ się w pobliżu cichy skowyt psa. Ukryty człowiek odpowiedział podobnym skowytem.

- Czy to ty, Pedro? - rozległ się po chwili szept obok niego. - Tak, to ja.

- Okno?

- Uchylone.

- Psy potrute?

- Wszystkie.

- Ludzie?..

- Śpią jak zabici.

- Doskonale. Za mną.

Kilka sylwetek wyłoniło się z ciemności.

- Jest knebel i sznur?

- Tak.

- Trzymać w pogotowiu!

Mercedes spała spokojnie w swym panieńskim łóżku. Śniła o pięknym salonie w pałacu królowej. Dookoła ludzie tańczą, a ona stoi przytulona do człowieka w masce. Zorro bierze ją w swe objęcia, przyciska mocno, coraz mocniej... i unosi w powietrze. Składa pocałunek na jej ustach. Lecz co to? Pocałunek jest brutalny - brak jej tchu, chce krzyknąć i... budzi się.

Jest skrępowana powrozami. W ustach jej tkwi knebel. Jacyś ludzie zanoszą ją do okna i podają innym, stojącym na zewnątrz. Przerazona chce krzyknąć, wołać pomocy i nie

może.

- Ostrożnie, ostrożnie! - mówi Galena. - Musimy dostarczyć senioritę zdrową i całą.

Odebrał ją byndytom i wziął na ręce. Wydostali się poza obręb zabudowań i skierowali się w kierunku lasu.

Pochód trwał dość długo.

Wtem rozległo się końskie rzenie.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł Galena. - Na koń i w drogę. Posadził związaną Mercedes przed sobą na siodle i cała banda puściła się galopem.

Dziewczyna zemdląła. Galena, któremu było to zupełnie obojętne, liczył w myślach pieniądze, które otrzyma i które rozdzieli pomiędzy kompanów, zatrzymując lwią część dla siebie.

Gnali tak dość długo. Przed świtaniem dopiero przystanęli pomiędzy skałami.

Nie opodal, za zakrętem czekał powóz. Woźnica spał na koźle.

Z wnętrza powozu dobiegało chrapanie.

Galena zsiadł z konia, przekazał Mercedes swym ludziom i zbliżył się do karety.

- Hola, Ravales! - zawołał. - Sen zostaw na później.

Pablo Ravales otworzył oczy.

- To ty Galena? - zapytał ziewając.

- Tak, to ja, we własnej osobie. Przyszedłem po pieniądze.

Ravales zerwał się ze swego miejsca.

- Jak to? - zawołał. - Wykonałeś zadanie?

- Od początku do końca. - Podpaliłeś dom? - Tak, z czterech stron! - skłamał bandyta.

- Zabiłeś właścicieli? - Zrobione. - A gdzie dziewczyna? - Mam ją tutaj. Ravales wyskoczył z powozu. - Gdzie ona? - W rękach mych ludzi. - Dawaj ją. Bandyci wnieśli Mercedes do powozu i złożyli na poduszkach. Pablo Ravales wyciągnął sakiewkę i wręczył ją Galenie. - Bierz! - rzekł doń. - Możesz sprawdzić. - Wierzę ci, Pablo - odparł Galena, kładąc woreczek do kieszeni. - Nie potrzebuję sprawdzać zawartości. Między starymi przyjaciółmi oszukaństwo nie może istnieć.

Dwaj godni przyjaciele pożegnali się i każdy z nich ruszył w swoją stronę.

Bandyci puścili konie w kierunku Starej Kastyli. Powóz Ravalesa pomknął w stronę Saragossy.

Nie dojeżdżając do samego miasta, woźnica skręcił z głównej drogi w lewo.

Ravales przyglądał się związanej dziewczynie z nie ukrywaną radością. - Jesteś w

mych rękach, dumna seniorito. Jesteś w mej mocy i żadna siła ludzka nie zdoła cię uratować. Chciałem pojąć cię za żonę, odrzuciłaś mnie ze wzgardą, dobrze. Teraz zgodzisz się zostać moją kochanką. Ptasiego mleka nie będzie ci brakowało. Pablo Ravales jest hojny do czasu, aż mu się znudzisz.

Mercedes otworzyła oczy. Białe światło poranka rozjaśniało wnętrze karety. Spojrzała przed siebie i zrozumiała wszystko. Przed nią siedział Pablo Ravales, krzywiąc twarz w uśmiechu.

Łzy trysnęły z oczu dziewczyny. Była w mocy człowieka bez czci i mogła spodziewać się najgorszego. W jednej chwili uświadomiła sobie, że nikt nie wie, co się z nią stało i gdzie się obecnie znajduje.

Ravales wyjrzał przez okno.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł. Będę mógł ci ulżyć wyjmując knebel z ust.

Odwiązał chustkę, którą przewiązано jej twarz, by nie mogła wypchnąć knebla językiem.

Mercedes zaczęła krzyczeć rozdzierającym głosem, wołając o pomoc.

- Krzycz, moje dziecko, krzycz, ile ci się żywnie podoba – rzekł spokojnie Ravales. -

I tak nikt cię tu nie usłyszy.

Powóz stanął przed niewielkim domem.

Dookoła było pustkowię. Mur z cegieł odgradzał budynek od reszty świata.

Ravales wylazł z karety i otworzył kluczem żelazną bramę. Powóz wjechał na dziedziniec.

Dwoje ludzi wyszło z domu na spotkanie. Zapewne małżeństwo. On tęgi, wysoki, o ponurym, a zarazem bezmyślnym spojrzeniu. Ona mała, chuda, nerwowa, z czarnym wąsikiem na górnej wardze. Miała chytre, latające oczy i nos zagięty jak u jastrzębia.

Sklonili się unieźenie przed Ravalesem.

- Przenieście dziewczynę z powozu do górnego pokoju, tego z kratą w oknie - rozkazał Ravales. - I baczcie pilnie, by nie uciekła, odpowiadacie za nią.

- Czy więzy można zdjąć? - zapytała kobieta.

- Tak, lecz dopiero na górze - odpowiedział Ravales.

Mercedes teraz milczała. Zdawała sobie sprawę, że protest wobec tych ludzi na nic się nie przyda. Woląa więc milczeć, rozglądając się ukradkiem dookoła.

Drab wniósł ją na pierwsze piętro. Jego żona otworzyła drzwi przed nim i Mercedes została wniesiona do jasnego pokoiku gustownie umeblowanego. Od razu też zauważyła grube, żelazne pręty w oknie.

Kobieta zamknęła starannie drzwi za sobą, po czym, z pomocą męża, zabrała się do zdejmowania więzów.

- Nie będzie ci tutaj źle, kochanie - mówiła. - Bądź tylko grzeczna, nie hałasuj zbyt wiele i nie łam sprzętów. Dostaniesz najpiękniejsze suknie i największe diamenty. O, senor Ravales jest bardzo hojny.

Lecz Mercedes milczała wciąż zawzięcie.

Gadatliwa kobieta wzruszyła ramionami i wyszła. Mąż jej wycofał się za nią. Klucz zgrzytnął w zamku.

Zaledwie drzwi się zamknęły, Mercedes skoczyła do okna. Grube pręty były mocno osadzone. Przez okno widziała kawałek trawnika i mur odgradzający dziedziniec od lasu.

- Ucieczka jest niemożliwa! - szepnęła z rozpaczą, czepiając się kraty rękami. - Boże, Boże, jak się stąd wymknąć?

Znów zgrzytnął klucz i w drzwiach ukazał się Pablo Ravales.

Mercedes przylgnęła do okna i patrzyła nań szeroko rozwartymi z przerażenia oczami.

- Dzień dobry, moja piękna seiiorito - rzekł Ravales. - Przyszedłem oświadczyć ci się powtórnie.

Oczami, w których płonęły dziwne ogniki, pochłaniał wysmukłą kibić dziewczęcia. W tej samej chwili Mercedes zrozumiała ze zgrozą, że jest zgubiona.



## Powrót Porfiria i Malibrana

Wóz, zaprzężony w dwa konie, włókł się drogą. W wozie tym, na posłaniu ze słomy, leżeli dwaj młodzieńcy: chudy jak tyczka Porfirio i gruby Malibran.

- Szkoda, że nie uprzedziłeś Zefiria o naszym przybyciu – rzekł Malibran. - Wyjechałby na nasze spotkanie.

- Chciałem mu zrobić niespodziankę - odparł Porfirio, przeciągając się. - Ucieszy się chłop, gdy nas zobaczy.

- Byłoby weselej w jego towarzystwie, gdyby tu przybył - upierał się Malibran. - Reszta podróży zeszlaby rażniej.

- Cóż to, niewdzięczniku, nie jest ci wesoło w mym towarzystwie? - z udaną obrażą rzekł Porfirio. - Mało to bawisz się mym kosztem?

Malibran coś mruknął w odpowiedzi i jechali dalej w milczeniu.

Droga prowadziła teraz przez gęsty las.

- Stój I - rozległ się nagle groźny okrzyk zza drzew.

Woźnica zatrzymał konie.

Na drogę wyjechał jeździec. Głowa okręcona była czarną chustką, twarz osłonięta maską. W rękę trzymał bicz z bawolej skóry. Porfirio i Malibran spojrzeli po sobie z uśmiechem.

- Buen Dios, señor Zorro! - rzekł Porfirio.

Jeździec w masce zatrzymał konia nie opodal wozu.

- Nie gadać zbyt wiele! - krzyknął ostro. – Wypróżnić kieszenie i dawać tu pieniądze.

Porfirio i Malibran usłuchali rozkazu, uśmiechając się ciągle.

Znaleźli przy sobie sześć peso.

- Tylko tyle? - wrzasnął jeździec. - Biada wam, jeśli mnie oszukujecie.

Malibran mrugnął w stronę Porfiria i rzekł złącząc powoli z wozu:

- Wierz nam, señor Zorro, że jesteśmy zbyt biedni, by mieć więcej przy sobie.

Skoczył błyskawicznie na jeźdźca, lecz otrzymał potężne pchnięcie pięścią w pierś i upadł na ziemię.

Porfirio przyglądał się tej scenie, pękając ze śmiechu. W następnej jednak chwili śmiech zamarł na jego ustach, ustępując miejsca najwyższemu zdumieniu.

Zorro nie żartował, świsnął bat raz, drugi i trzeci i Malibran zaczął się wić na piasku pod uderzeniami rzemienia.

Po dokonanej egzekucji jeździec w masce zawrócił konia i znikł pomiędzy drzewami.

Porfirio zeskoczył z wozu i pomógł jęczącemu przyjacielowi wgramolić się na wóz. Ruszyli naprzód. Porfirio milczał, zmieszany w najwyższym stopniu, Malibran jęczał i przeklinał.

W ten sposób dotarli wreszcie do domu Anzelma Cortiego. - Porfirio, Malibran! - rozległ się radosny krzyk i Zefirio rzucił się ku przybyłym. Zamiast jednak powitania Porfirio ujął jęczącego Malibrana i powoli wysadzał go z wozu. Zefirio stanął zdumiony. - Mój biedny Malibran. Kto cię tak urządził? - zawołał ze współczuciem. - Cały jesteś we krwi. Porfirio z wściekłością odpowiedział za Malibrana. - Kto jak nie Zorro! To są jego głupie żarty. - Zorro? - zapytał Zefirio blednąc. - Coś powiedział? - Zorro? - Czemu się dziwisz? Tak, Zorro! Upił się widocznie i napadł na drodze na dwóch mieszczuchów, żądając pieniędzy.

- Ależ człowieku, zastanów się, co mówisz? - zawołał Zefirio. - Przecież Zorro nie napada na ludzi, którzy nie uczynili nikomu nic złego! Chyba wy powinniście wiedzieć o tym dobrze.

- Więc jak to wytłumaczyć? - zapytał Porfirio, podtrzymując ślaniającego się Malibrana. - Patrz, nawet trzy pręgi w kształcie litery "Z" ma na policzku.

- Moi biedni przyjaciele! - rzekł Zefirio. - To nie był Zorro... Patrz, pręgi widnieją na prawym policzku. Zorro pozostawia swój znak na lewym.

Teraz i Malibran, zapominając o swym bólu, uniósł głowę.

Spoglądali tak na siebie w milczeniu, wreszcie Zefirio odezwał się pierwszy:

- Dopomogę ci, mój przyjacielu. Podeprę cię z drugiej strony.

Weszli do domu. Minęli kilka pokoi w amfiladzie i znaleźli się w komnacie zajmowanej poprzednio przez Porfiria i Malibrana.

- Zajmij się nim tymczasem! - rzekł Zefirio. - Będziesz miał niebawem pomoc w doskonałej pielęgnowarce. Obudzę Mercedes, śpi dzisiaj zbyt długo.

Wyszedł udając się do apartamentu Mercedes.

W korytarzu natknął się na generała.

- Widziałeś Mercedes, Zefirio? - zapytał z niepokojem. - Szukam jej wszędzie od pół godziny.

- Nie widziałem jej nigdzie - rzekł Zefirio, również tknięty złym przecuciem.

Wpadł do pokoju kuzynki: kołdra leżała na podłodze, obok okna widniały grudki ziemi. Zefirio nachylił się.

- Ślady butów! - mruknął. - Włazono przez okno i naniesiono ziemi z ogrodu.

Wyjrzał przez okno. Trawa w ogrodzie była stratowana, kwiaty rosnące tuż koło

domu, wygniecione.

Zefirio wyskoczył przez okno do ogrodu. Liczne ślady prowadziły do płotu. Za ogrodzeniem ślady ginęły, zatarte przez ludzi Anzelma, którzy krzatali się przy swych zajęciach.

Zatrzymał się zastanawiając, komu zależało na porwaniu Mercedes?

Nagle uderzył się w czoło.

- Mam! - zawołał. - Nikt inny tylko czcigodny senor Ravales, odrzucony konkurent do jej ręki. Tylko on zdolny jest do tego. Jak mogłem zapomnieć ową pamiętną noc, kiedy to dwaj jego pomocnicy wleźli przez okno do naszego mieszkania. Dokąd ją zawiózł? Na pewno nie do Saragossy! Zbyt wiele ludzi kręci się w mieście. Musi mieć jakiś schowek w pobliżu.

Zapomniał o swych przyjaciółach, których pozostawił w domu, i wybiegł, tak jak stał, na drogę.

- Hola, Zefirio! Dokąd tak śpieszno? - rozległ się ironiczny głos tuż za nim. Zefirio obejrzał się i ujrzał don Alvareza na koniu.

- Porwano Mercedes tej nocy - rzekł młodzieniec.

- Hę?

- Jacyś ludzie wynieśli ją przez okno!

- Może sama uciekła.

- Wolne żarty, senor! - zawołał Zefirio. - Mercedes nie uciekła, wszystkie ślady wskazują, że ją porwano.

- Tak sądzisz? Komu zależałoby na porwaniu seniority?

- Podejrzewam Ravalesa.

- Podejrzewać Ravalesa, człowieka ze wszech miar czcigodnego, może tylko taki mędrzec i filozof jak ty, Zefirio.

- Sefior Alvarez! Sprawujesz tutaj, w tej prowincji urząd alkada, dowodzisz policją, wojskiem i zandarmerią. Zwracam się do ciebie o pomoc. Wyślij natychmiast ludzi, by ścigali porywaczy.

- Powoli, powoli! - rzekł uspokajająco don Alvarez. - Nie bądź w gorącej wodzie kąpany, młodzieńcze. Znajdziemy twoją Mercedes, lecz pozostaw mi nieco wolnego czasu. Mam głowę obecnie czym innym zajętą. Jest to sprawa tysiącokrotnie ważniejsza dla mnie i dla kraju. Za godzinę - za dwie, w każdym razie dzisiaj jeszcze Zorro dostanie się w me ręce. - Dodał wskazując ręką drzewa rosnące po lewej stronie drogi: - Widzisz ten las? Zorro nie wyjdzie z niego inaczej, niż w kajdanach.

- Możliwe! - rzekł Zefirio. - Lecz los Mercedes interesuje mnie bardziej niż los

tysiąca Zorro! Nie widząc znikąd pomocy, sam muszę, niestety, zająć się odszukaniem seniority. Nie mam czasu wracać do domu. Jeśli będziesz przejeżdżał tamtędy, uprzedź, proszę cię, senior, ojca lub kogokolwiek, że dzisiaj nie wrócę do domu.

Don Alvarez ruszył dalej, a Zefirio pobiegł w innym kierunku. Dopiero po chwili przyszło pułkownikowi do głowy, że powinien był zapytać, dokąd Zefirio tak biegnie.

## Zorro w opalach

Don Alvarez galopował w stronę domu Anzelma Cortiego. Już z daleka można było dojrzeć, że w domu panowało zamieszanie. Ludzie biegali tam i z powrotem, nawołując się głośno. Niektórzy z nich dojrżeli zbliżającego się jeźdźca i wybiegli na spotkanie.

- Senor! - wołali z daleka. - Porwano senioritę.

- Wiem! - rzucił don Alvarez, nie zatrzymując konia. - Znajdziemy waszą senioritę, nie obawiajcie się. Uprowadźcie senora Anzelma, że Zefirio poszukuje zaginionej i nie powróci dzisiaj do domu.

Koń pogalopował naprzód. Ćwierć mili dalej obozował liczny oddział żołnierzy.

Don Alvarez ściągnął konia.

- Za mną! - zawołał. - Będziemy mieli Zorrę.

Zawrócił konia i oddział pomknął za nim.

Minęli znów posiadłość Anzelma Cortiego i nie zatrzymali się, aż dopiero pod lasem. Na rozkaz pułkownika zsiadli z koni i zagłębili się pomiędzy gęsto rosnące drzewa. Tymczasem inni ludzie don Alvareza byli już ukryci w kępach zarośli, na gałęziach drzew, dookoła polanki; czekali z zapartym tchem, ściskając strzelby w rękach.

W chacie węglarza zaczęło się dwudziestu ludzi. Starzec leżał związany na podłodze. Nie mógł krzyczeć, miał bowiem knebel w ustach. Przewracał tylko dziko oczami.

Głęboka cisza panowała dookoła.

Wtem rozległo się ciche ćwierkanie ptaka, powtórzyło się dwa razy. Nastąpiła cisza. Widocznie Zorro, nie otrzymując odpowiedzi na swój sygnał - zawahał się. Po chwili gałązki z lewej strony polanki poruszyły się.

Ludziom zaczajonym dookoła, dech zamarł w piersi. Sprężyli się do skoku.

Na polance ukazała się wysmukła postać w masce. Był to Zorro. Rozległ się wystrzał z pistoletu. Ludzie wyskoczyli z zarośli, wysypali się z chaty węglarza i otoczyli polankę zwartym kołem, trzymając strzelby gotowe do strzału.

Zorro wpadł w pułapkę.

## Sobowtór Zorry

Mercedes wiedziała, że nie ma wyjścia z rozpaczliwej sytuacji: olbrzymi Pablo Ravales z muskularnymi ramionami, mały, okratowany pokoik i ona, słaba, trwożliwa dziewczyna.

Ravales mówił coś do niej, lecz nie słuchała. Widziała tylko te zwierzęce oczy pałające niesamowitym blaskiem. Mówiąc, nieznacznie zbliżał się ku niej.

- Nie dotykaj mnie, senior - krzyknęła Mercedes. - Jeśli mnie ruszysz, stanie się nieszczęście.

Lecz Ravales nie słyszał. Krew uderzyła mu do głowy, skoczył i chwycił dziewczynę za talię.

Mercedes broniła się z całych sił. Wtem ręka jej uderzyła o coś twardego. Była to głownia olbrzymiego pistoletu, który wisiał u pasa.

W tej samej chwili zaszła w Mercedes dziwna zmiana pod wpływem niebezpieczeństwa. Była córką generała, który za młodu wslawił się na całą Hiszpanię swą odwagą i nieustraszoną. Pochodziła z rodu sławnych wojowników Kastylii. Przodkowie jej brali udział w wyprawach krzyżowych, przelewali krew w walce z Maurami i zawsze zdumiewali współczesnych swą brawurą.

Trzeba było prawdziwego niebezpieczeństwa, by wszystkie, odziedziczone instynkty odżyły nagle.

- Aa! - zawołała prosto w twarz mężczyźnie. - Nie chcesz mnie puścić? Dobrze! Poczekaj, senior!

Zdumienie odbiło się na twarzy Ravalesa, który przyciskając ją do piersi, obserwował grę jej twarzyczki. Nie zdążył jednak wypuścić Mercedes z rąk.. Pistolet został błyskawicznie wyciągnięty z pochwy i dziewczyna z całej siły trzasnęła nim pomiędzy oczy napastnika. Mężczyzna bez jęku zwałił się na podłogę. W upadku uderzył tyłem głowy o brzeg łóżka i legł nieruchomo. Krew lała się z czoła i ze zmiażdżonego nosa.

Mercedes przyglądała się leżącemu jak osłupiała.

Wreszcie otrząsnęła się. Niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze. Ravales wchodząc zamknął za sobą drzwi na klucz.

Mercedes uklękła i zaczęła gorączkowo przeszukiwać bezwładne ciało. Odrzuciła sakiewkę pełną złota. Odrzuciła również portfel. Wreszcie, w bocznej kieszeni kurtki, palce jej natrafiły na zwitek papieru i klucz. W pośpiechu wyciągnęła papier wraz z kluczem. Miała

zamiar wyrzucić niepotrzebny świstek, gdy wtem wzrok jej padł na słowa wypisane wielkimi literami: Tereny Anzelma Cortiego. W obec tego schowała karteczkę za gors.

Skoczyła ku drzwiom. Do uszu jej dobiegł odgłos ciężkich kroków. To dozorca jej więzienia, zaniepokojony głuchym łoskotem, szedł na górę, by przekonać się, czy nic złego nie zaszło.

Mercedes przekręciła klucz w zamku i stanęła za drzwiami przyciskając się do ściany.

Dozorca nacisnął klamkę. Drzwi się poddały i olbrzym wszedł do środka.

Oczy jego padły na leżące ciało. Stał jak skamieniały, wybałuszając oczy. Ta chwila bezruchu stała się jego zgubą.

Otrzymał potężne uderzenie ciężką rękojeścią pistoletu i runął na ciało swego pana.

W ślad za nim podążała jego godna połowica. Zatrzymała się przed otwartymi drzwiami, wzrok jej padł na dwa leżące ciała.

Pojęła w lot sytuację i z przeraźliwym krzykiem zaczęła uciekać na dół po schodach. Mercedes rzuciła się za nią. Długa suknia przeszkadzała jej. Odruchowo podciągnęła ją w górę i tak biegła po stopniach w ślad za uciekającą kobietą, potrząsając po drodze pistoletem.

Dopadła wreszcie uciekającej kobiety. Chwyciła ją za włosy i szarpnęła z całej siły w tył. Kobieta upadła - uderzyła głową o stopień schodów i zamilkła.

Mercedes wybiegła na dziedziniec.

Woźnica siedział na kozle i spokojnie jadł śniadanie złożone z chleba i kawałka szynki. Nagle chleb i szynka potoczyły się na ziemię. Oslupiały woźnica spoglądał jak urzeczony na wymierzoną doń lufę pistoletu.

- Żywo złaź z kozła i otwórz bramę! - zawołała Mercedes. - Śpiesz się, staruszk, bo ci tak samo głowę roztrzaskam, jak tym co leżą tam na górze.

Bez słowa oporu woźnica zlaźł z kozła i otworzył ciężkie wrota. Mercedes siedziała już na jego miejscu, trzymając lejce w ręku. Pistolet położyła obok. Ujęła bat, smagnęła konie i powóz całym pędem wypadł poprzez wrota popędzała konie bezlitośnie. Powóz przechylał się niebezpiecznie, podskakiwał na wybojach, a Mercedes, z włosiem rozwianym na wietrze, stojąc smagała i smagała rozszalałe zwierzęta.

Jakaś dziwna radość rozpierała jej piersi. Gdy tak niosła się rozhukana, miała chęć śpiewać i krzyczeć na całe gardło.

Nie, nie zwariowała. Obudziło się w niej coś, co dotąd w niej drzemało. - uczucie, o którym nic miała pojęcia dotychczas: pragnienie dzikiej swobody.

Rycerska krew przodków odezwała się w ostatnim żeńskim potomku prastarego rodu.

Był to istny cud, że dotąd nie spadła z kozła. Stała bowiem bez żadnego oparcia w

podskakującym gwałtownie powozie, bat zaś w jej rękach cały czas ciął powietrze ze świstem.

Wreszcie spostrzegła, iż oddaliła się znacznie od domu Ravalesa i żal jej się zrobiło zwierząt. Cisnęła bat i ujęła lejce w obie ręce. W tej samej chwili spoza zakrętu drogi ukazał się jeździec, który gnał jak wicher w odwrotnym kierunku. Gdy mijając powóz ujrzał dziwnego woźnicę, szarpnął tak gwałtownie wodze, że koń aż przysiadł na zadzie.

Jeździec miał maskę na twarzy.

Polanka przedstawiała niesamowity widok. Dookoła, ramię przy ramieniu, stali ludzie trzymając strzelby w pogotowiu. Pośrodku stał Zorro i jak osaczony zwierz rozglądał się na wszystkie strony.

Rozrośnięte konary drzew jakby zieloną kopułką przykrywały polankę.

- Poddaj się, Zorro! - rozległ się zdyszany głos don Alvareza, który przybył w ostatniej chwili.

Za nim widniały twarze ludzi, którzy zjawili się wraz z nim.

- Chcecie mnie mieć? - rzekł Zorro - więc mnie bierzcie.

Zgiął kolana i z całej siły odepchnął się od ziemi. Gibkie ciało uniosło się w górę w niesamowitym skoku wzwyż. Chwycił rękami za gałąź zwisającą nad polanką. Rozhuśtane ciało zawadziło o sąsiedni konar. Zorro chwycił się go kolanami, poderwał się wyżej i stanął na konarze. Następnie ciało jego opisało łuk w powietrzu, opadając na wyższą gałąź.

Stało się to wszystko tak błyskawicznie, że zdumieni ludzie nie zdążyli wystrzelić. Ani jeden z kilkadziesiątu obecnych nie zdołał nacisnąć kurka w porę. Gdy rozległa się strzelanina, było już za późno. Postać Zorry mignęła gdzieś hen, przy wierzchołku drzewa, przefrunęła na sąsiedni wierzchołek, który aż się ugiął pod ciężarem ciała, i znikła z oczu napastnikom..

- Tędy, tędy ucieka! - rozległy się w lesie gorączkowe okrzyki. Żołnierze pędzili pomiędzy drzewami, strzelając w górę na oślep.

- Nie schwytemy go dzisiaj! - rzekł don Alvarez, zniechęcony, do sierżanta, powracając na polankę. - Mielśmy pecha. Należało strzelać od razu.

- Na pocieszenie został jego koń oraz kompletny rynsztunek - odezwał się sierżant.

- Mamy również jego współnika, starego węglarza.

- Przywiążę go do konia Zorry i wyprowadzę z lasu.

- Dobrze! Pistolety, szpadę i bicz możesz pozostawić przy siodle.

Oddział zaczął się zbierać. Ludzie mieli miny obitych psów.

Sierżant prowadził konia Zorry i przywiązał doń węglarza. Don Alvarez jechał obok,



niecو przodem. Oddział podążał za nimi.

Drzewa zaczęły rzednąć.

Prócz odgłosu końskiego stąpania i poszumu wiatru w listowiu, nic nie mąciło ciszy. W oddali odzywała się kukułka, lecz i ta wreszcie zamilkła.

Nagle coś mignęło w powietrzu.. Jakieś wielkie, czarne ciało spadło z konaru na sierżanta, który jechał przodem. Sierżant potoczył się na ziemię.

Zorro, to on bowiem skoczył z drzewa na jadącego konno sierżanta, chwycił cugle i trzymając drugiego konia na wodzy, puścił go galopem. Po drodze, uderzeniem pięści, wytrącił z siodła jadącego przed nim don Alvareza.

Żołnierze nie zareagowali w pierwszej chwili. Byli zbyt wyczerpani wypadkami dnia. Zanim podnieśli don Alvareza z ziemi i rzucili się w pogoń za Zorrrą, ten był już hen daleko. Dwa konie przemykały się pomiędzy drzewami, kierowane jego wprawną ręką.

W pełnym biegu Zorro przeciął więzy węglarza.

- Dzięki! - zawołał węglarz. - I szczęśliwej podróży!

Zsunął się z siodła, skoczył na bok i zaszył się w gęstwinie leśnej.

- Bądź zdrow, przyjacielu! - zawołał Zorro. - Nie zapomnę o tobie. Spotkamy się jeszcze.

Przeskoczył w biegu z siodła na siodło i puścił luzem drugiego konia. Teraz siedział na swym rumaku. Przy siodle znalazł swoje pistolety, szpadę i bicz.

- Hej ho, koniku! - zawołał radośnie, zwracając się do swego wierzchowca. - Nie tak łatwo nas pokonać co? Ty koński łbie, dlaczego nie odpowiadasz?

Koń strzygł tylko uszami, słysząc głos swego pana, i gnał jak wichur przez pagórki i doły, przeskakiwał strumyki i wielkie kamienie przydrożne.

Zorro zatoczył w ten sposób wielki łuk, kierując się ku drodze wiodącej do Saragossy. Obejrzał się - pościgu ani śladu.

W oddali młyn odcinał się na lazurze nieba. Wielkie skrzydła obracały się powoli.

Zorro uśmiechnął się i szepnął:

- Podarek don Sebastiana dla byłego rządcy! Wspaniały młyn, na Jowisza!

Wtem uwagę jego zwróciło kilku konnych oddalających się galopem od młyna.

Zatrzymał konia i stanął w strzemionach, przypatrując się uważnie jadącym.

Jeźdźcy, a było ich ośmiu, zbliżali się do niego.

Zorro mógł teraz rozróżnić twarze.

Na czele oddziału jechał Fernando. Przez siodło trzymał przewieszony jakiś pakiet podłużnego kształtu.

- Ciekawe - mruknął Zorro - co oni tam wiozą?

Nagle jeźdźcy spostrzegli zagradzającą im drogę konną postać.

- Z drogi, senor! - rozległ się gniewny krzyk. Z drogi, jeśli dbasz o ojca skórę.

Umykaj nie odwracając głowy.

Dopiero teraz spostrzegli maskę na twarzy jeźdźca. Zmieszali się.

- Zorro, Zorro - rozległy się trwożliwe szepty. – Ukryjmy dziewczynę.

Fernando cofnął konia. Inni okrążyli go, biorąc do środka wierzchowca niosącego na grzbiecie kompromitujący pakiet.

- Co wy tam macie, chłopcy? - zapytał Zorro, wskazując ręką bicia na podłużny przedmiot obciążony płótnem.

- To... to mąka z młyna - wyjąkał Fernando.

- Mąka z młyna? - szyderczo powtórzył Zorro. - Dziwny ma kształt ten worek.

Przysiągłbym, że tam leży człowiek.

Mężczyźni zbledli. Jeden z nich odruchowo sięgnął do pasa.

- Hej, ty! - zawołał Zorro. - Zostaw pistolet w spokoju.

- Senor Zorro - mówił Fernando. - W tym worku jest mąka, klnę się na wszystko.

- Mąka, która ma łokcie i kolana? Przyjrzyj się, nie widzisz, że wypycha płótno?

Wściekłość ogarnęła Fernanda.

- Ostatecznie, to nasza sprawa! - zawołał. - Nie mamy potrzeby spowiadać się...

- Zdejm kapelusz, gdy do mnie mówisz, parobku! – krzyknął Zorro. Świsnął bat.

Kapelusz poleciał na ziemię.

- A teraz żywo! - wołał dalej. - Nie mam czasu na pogawędkę. Rozwiązać worek, jeśli wam całość waszej skóry miła!

Bat świsnął powtórnie, ściągając na ziemię jednego z mężczyzn, który ostrożnie sięgnął po pistolet.

Worek został rozwiązany. Oczom Zorrego ukazała się dziewczyna.

Była skrępowana grubymi powrozami, w ustach tkwił knebel.

- Cóż to! - zdziwił się Zorro. - Same porwania dzisiaj! To już druga z rzędu! Jesteście na służbie u don Sebastiana?

- Tak jest, czcigodny senor - rzekł Fernando.

- I podejmujecie się tak niegodnej sprawy, jaką jest kradzież kobiety? Macie za to. Zanieście don Sebastianowi pozdrowienie.

Długi bicz zaczął ciąć powietrze we wszystkich kierunkach. Smagani ludzie próbowali ucieczki, lecz złowrogi rzemień zawsze ich dosięgał, w ostatniej chwili ściągając z

siodła. Ani jeden nie zdołał uciec. Ośmiu mężczyzn rzucało się na oślep we wszystkie strony, rycząc z bólu. Wreszcie gdy już wszyscy otrzymali porządne cięgi, Zorro wypisał swój znak końcem rzemienia na lewym policzku Fernanda.

Dziewczyna, uwolniona z więzów, stała nie opodal, przyglądając się okrutnej scenie egzekucji.

Zorro puścił wolno jęczących ludzi i skierował konia ku dziewczynie:

- Buen Dios, Marquito - rzekł. - Porwano cię w biały dzień, biedaczko!

- Napadli mnie koło studni, za młynem. Zacisnęli mi usta, związali. Nie zdążyłam nawet krzyknąć.

- Dostali za swoje. Powinnaś być zadowolona.

Dziewczę splonęło i opuściło oczy. Szepnęła nieśmiało:

- Nic jestem zadowolona. - Nie? - zdziwił się Zorro. - A dlaczego to, jeśli łaska? -

Widok karuszy, jakie im zadałeś, był zbyt okrutny. - Musiałem ich nauczyć rozumu. - Tak, lecz nie należało ich torturować. - Wróciliby nazajutrz i ponowili napad. Uprowadziłabym ojca i ludzi pracujących w młynie. Mieliby się na baczności. - Nie współczuj tym ludziom, Marquito! Pojęczą trochę, a po dwóch, trzech dniach nie pozostanie ni śladu po otrzymanych cięgach. Nie zapomną jednak nigdy nauczki, która przyda im się na przyszłość. Kara im się słusznie należała!

- Nic do nas należy karanie winnych, senior.

Zorro ujął podbródek dziewczęcia i rzekł:

- Dobrze masz serduszko, Marquito! Idź do domu i nie wychodź bez opieki.

Uderzył konia ostrogami i pomknął dalej.

Dziewczyna stała na miejscu i patrzyła za nim.

Mercedes zatrzymała powóz. Serce waliło jej jak młotem. Zorro zdumiony przyglądał się dziewczęciu w milczeniu. Wreszcie przemówił, a w głosie jego zabrzmiała nuta uznania.

- Buen Dios, seniorito Mercedes. Od kiedyż to stałaś się woźnicą? Nieźle powozisz, jak widzę?

Mercedes roześmiała się wesoło:

- Potrzeba jest matką wszelkich umiejętności. Porwano mnie tej nocy. Udało mi się wyrwać ze szponów senora Ravalesa. Nie miałam nic innego pod ręką jak oto ten powóz, skorzystałam więc z okazji, by uciec.

- Senior Ravales! - rzekł Zorro. - Byłem tego pewny. Jadę właśnie, by mu złożyć wizytę.

- Wątpię, czy będzie mógł mówić z tobą, senior! - rzekła Mercedes, opuszczając

wzrok. - Dostał cios między oczy ręką pistoletu.

Zorro zagwizdał z podziwu:

- Spisałaś się, senioro Mercedes - rzekł. - Nigdy bym się nie spodziewał tego po takim trwożnym dziewczątku.

Oczy Mercedes zabłysły dumą. Powóz ruszył powoli. Zorro towarzyszył jej konno.

- To dziwne, senior Zorro - mówiła Mercedes - lecz nie przypuszczałabym nigdy, że tkwi we mnie żyłka awanturicza. Porwała mnie żądza przygód.

- Dosyć, seniorito! - przerwał jej Zorro. - Żądza przygód hartuje i doskonali mężczyznę, lecz kobietę sprowadza na manowce....

- Zależy o jakich przygodach mówisz, senior – zaczerwieniła się Mercedes.

Zorro nie odpowiedział od razu.

- Wybacz mi, seniorito - rzekł po chwili łagodnym tonem. - Zawsze wyobrażałem sobie kobietę jako łagodne, nieśmiałe stworzenie potrzebujące męskiej opieki. Podziwiam twą odwagę, seniorito. Proszę cię jednak, wobec tego, że przygoda dzisiejsza zakończyła się szczęśliwie, siądź przy robótce w domu i postaraj się zapomnieć o wszystkim. Słyszałem, że masz narzeczonego - zajmij się nim.

Mercedes zbladła i zapytała drżącym głosem:

- Czyżbyś zapomniał, senior?

- ???

- Ową noc kwietniową...

- Ach tak. Gitara, romanza, don Alvarez, żołnierze...

- Nie zapomniałam jeszcze...

Zorro przysunął konia bliżej i spojrzał w oczy dziewczęcia.

- Posłuchaj dobrej rady, senioro Mercedes, jestem człowiekiem wyjętym spod prawa. Żyję w ostępach leśnych jak dziki zwierz, broniąc tych, co obrony potrzebują. Nie jestem mężczyzną, który by mógł przyrzekać cokolwiek kobiecie. Masz obok siebie poczciwego młodzieńca, który możliwe, że cię kocha. Odpowiedz mu miłością zgódź się zostać żoną Zefiria. Ręczę ci, że nie będziesz żałowała.

- Nienawidzę tego osła! - zawołała Mercedes rozpaczliwie. - Jest przystojny, nawet piękny. - Cóż z tego. Nie mogę patrzeć nań bez uczucia pogardy. - Źle czynisz, senioro, oceniając go tak powierzchownie. Mówię bezstronnie, choć Zefirio jest moim wrogiem. Przyjdzie czas, gdy pokochasz tego, jak nazywasz, osła, lecz wówczas on nie zechce pięknej Mercedes!

- Krajesz mi serce, Zorro! - wyjąkała Mercedes. - Kocham tylko ciebie.

Lecz Zorro nie odpowiedział. Smagnął konia i po chwili był już daleko.

Mercedes patrzyła za nim i łzy spływały po jej policzkach.

Zorro skręcił w boczną drogę i puścił konia stępa. Dookoła nie było żywej duszy. Step rozpościerał się, aż het do lasu, który czernił się na widnokręgu. Słońce chyliło się na zachód. Na zachód też skierował Zorro swego konia. I zaczął śpiewać głębokim, melodyjnym głosem:

*Rozpacz serce moje chwyta*

*Mnie nie kocha seniorita*

*Puszczę konia mego w cwał*

*Świat mi wrogiem, wpadnę w szal,*

*Zacznie szaleć caballero*

*Wciśnie głębiej swe sombrero*

*Bij, zabijaj - śmierć pomoże*

*Gdy już głowę swą położę...*

Urwał nagle wpatrując się w dal. Na skraju lasu stał powóz. Coś się obok tego powozu poruszało. - Co się tam dzieje? - mruknął Zorro. - Dlaczego powóz stoi na tym pustkowiu? Spiał konia ostrogami i pocwałował naprzód. Gdy zbliżył się dostatecznie, ujrzał dziwną scenę. Przed powozem stali dwaj mężczyźni trzymający ręce wzniesione ponad głowę. Jeździec, odwrócony plecami do Zorry, coś mówił do przerażonych podróżnych. Zorro zbliżył się jeszcze i omal nie krzyknął ze zdumienia ujrzał bowiem siebie samego. Tak, ów jeździec miał czarny zawój na głowie, długi bicz wisiał po prawej stronie siodła i choć Zorro nie mógł tego widzieć, domyślał się, że jego sobowtór nosi również czarną, welurową przepaskę na twarzy. Przysunął się ostrożnie jeszcze, bliżej. Do uszu jego' doleciały słowa jeźdźca w masce:

- Nie kłamcie! Dziesięć tysięcy peso to zbyt mała sumka dla ludzi jadących kareta. Dawać tutaj pieniądze albo zapoznacie się z batem Zorry.

Wtem za jego plecami rozległ się spokojny głos:

- Zorry mówisz? Ale Zorro nie ma najmniejszego zamiaru obijać tych pocziwców! Zorro nie tknie pieniędzy należących do pocziwych ludzi.

Tajemniczy jeździec odwrócił się gwałtownie.

Dwaj jeźdźcy w maskach stanęli oko w oko. Obaj zewnętrznie podobni do siebie, z tą tylko różnicą, że jeden miał piwne oczy a drugi zielononiebieskie.

Dwaj Zorro! Który z nich prawdziwy?

Podróżni nie mieli odwagi ani chęci przyglądać się tej scenie. Korzystając z tego, iż uwaga była od nich odwrócona, skoczyli do karety, woźnica zaciął konie, które ruszyły z kopyta. Dwaj jeźdźcy pozostali sami.

Zorro numer jeden uśmiechnął się ironicznie.

Zorro numer dwa zacisnął zęby i sięgnął błyskawicznie po pistolet. Lecz Zorro numer jeden był szybszy. Świsnął bicz i wyrwał tamtemu pistolet z ręki.

Zorro numer drugi chwycił również za bicz.

- Szkoda koni, senor - rozległ się głos spokojny. - Biedne zwierzęta ucierpią tylko w czasie walki. Zsiądźmy z koni!

- Zgoda! - odpowiedział drugi jeździec. - Od dawna już szukam ciebie, senor. Mam cię wreszcie i godzę się na wszystko, byleby zmierzyć się z tobą. Dwóch takich jak my nie może istnieć na świecie.

Zsiedli z koni, każdy trzymał bicz w ręku.

- Pojedynek w kole? - zapytał Zorro numer jeden.

- Tak!

Zorro zakreślił obcasem wielkie koło na murawie.

- Obnażeni do pasa?

- Tak! Który z nas znajdzie się poza kołem, uważany będzie za pokonanego.

Zdjęli kurtki i koszule, po czym stanęli naprzeciw siebie.

- Zaczynamy!

Świsnęły dwa bicze jednocześnie.

Drogą wiodącą z Saragossy do Huesco podążali czterej jeźdźcy. Pomimo że mieli ostrogi na butach i płaskie sombrero na głowach, wyglądali na mieszczan. Na czele jechał wysoki i chudy jegomość o minie wielkopańskiej. Jeden z jeźdźców zrównał się z jego koniem i zapytał:

- Daleko jeszcze do posiadłości don Sebastiana, senor Antonio?

- Pozostała zaledwie godzina jazdy! - odpowiedział don Antonio. - Śpieszy ci się?

- Ręce mnie swędzą. Chciałbym już przystąpić do dzieła.

- Nieco zimnej krwi i cierpliwości, Esteban!

Esteban cofnął konia, nic nie mówiąc. Na pierwszy rzut oka był to człowiek o wręcz odpychającym wyglądzie - niski, rozrośnięty w barach, o niebywalej wprost objętości, czynił wrażenie człowieka bardziej szerokiego niż wysokiego. Mała głowa na karku, który był prawie dwa razy od niej szerszy. Długie, małe ręce wisały po obu stronach siodła. Potężne

muskęły uwydatniały się pod rękawami kurtki, krótkie, muskularne nogi ścisnęły boki końskie. Miało się wrażenie, że to nie człowiek, lecz jeden kłębek stalowych mięśni.

Wygląd dwu jego towarzyszy był również niepokojący. Zaciśnięte kurczowo szczęki i ponury wyraz oczu nie zapowiadał nic dobrego dla przygodnego wędrowca.

Jechali stępa w głębokim milczeniu.

Nagle w oddali wzniósł się tuman kurzu, który rósł i zbliżał się w szybkim tempie. Spoza chmury wyłonił się galopujący oddział jeźdźców. Na czele mknął don Alvarez.

- Senor Antonio? - zawołał zdumiony, gdy znalazł się w odległości kilkuset kroków. - Co za spotkanie!

- Don Alvarez! - zawołał człowiek o wielkopańskiej minie. - Cieszę się, że cię widzę, senor! Wskaż mi siedzibę don Sebastiana, gdyż do niego udaje się w pewnej sprawie.

- Jeszcze cztery mile, senor, cały czas prosto. Sam bym chętnie odwiedził mego przyjaciela z Saragossy, niestety czas mnie nagli, sygnalizowano mi bowiem przed niespełną godziną, że Zorro napada przejezdnych w tej okolicy. Czy nie dostrzegłeś, senor, nic podejrzanego po drodze?

- Nie, nic!

- Żadnego samotnego jeźdźca w oddali?

- Nie dostrzegłem żywej duszy na przestrzeni dwudziestu mil.

- To znaczy, że w tym kierunku nie ma czego szukać? Musze skręcić na zachód!

Zegnaj, senor Antonio. Do zobaczenia.

Padł rozkaz i oddział pomknął na zachód.

Don Antonio i jego ludzie spojrzeli na siebie.

- Jeszcze nigdy nie słyszałem, a żeby Zorro napadał na prywatnych podróżnych - rzekł Esteban.

- To nie Zorro! - rzekł don Antonio z uśmiechem na ustach.

- Nie Zorro? A więc któż?

- Jose Cardilla.

- Jose Cardilla? - zdumiał się Esteban. - Przecież siedzi w Saragossie!

- Mylisz się! Don Sebastiano zlecił mu pewne zadanie, krąży więc w tej okolicy.

- I nie traci, jak widać, czasu nadaremnie!

- Cóż chcesz, natura ciągnie wilka do lasu. Prócz tego pragnie widocznie ściągnąć na siebie uwagę Zorry.

- Rozumiem! Udając Zorre i obdzierając podróżnych w jego imieniu.

- Zgadłeś! Domyśliłem się tego od razu, gdy mi doniesiono w Saragossie, że Zorro

zmienił się nie do poznania, stając się zwykłym desperadosem.

W oddali zamajaczyły budynki.

- Jesteśmy u celu!- rzekł don Antonio. - A teraz, chłopcy, uwaga! Gęby na kłódkę i ani pary z ust. Możliwe, że będą was wypytywać. Jesteście zwykłymi murarzami, waszym zadaniem jest wybudowanie domku dla don Antonia. Poza tym nic nie wiecie.

Zorro i jego zamaskowany przeciwnik stali w odległości ośmiu kroków od siebie. Rzemienie świsnęły jednocześnie, lecz zaden z nich nie został ugodzony, gdyż bicz skrzyżowały się z sobą i opadły splatane na ziemię. Po chwili znów świsnęły. Zorro uskoczył na bok i poderwał biczysko. Na nagim ciele przeciwnika, w okolicy szyi, ukazała się krwawa pręga. Przeciwnik Zorry ryknął z wściekłości i bólu.

Świsnął rzemień i owinął się końcem dookoła łokcia Zorry. Ten ani drgnął. W tej samej sekundzie, gdy rzemień przeciwnika werznął się w jego ramię, bicz jego jakby oszalał. Niby długi waz wił się, syczał, skręcał, unosił w górę i chłostał bez przerwy.

Ciosy przeciwnika Zorry straciły na celności. Machał teraz biczyskiem na oślep. Ciało jego w ciągu jednej chwili pokryło się krwawiącymi pręgami. Pot i krew okryły ciało obnażone do pasa.

Teraz już nie dwa bicz przecinały powietrze, lecz tylko jeden, bowiem przeciwnik Zorry upadł na ziemię. Natomiast Zorro stał, a bicz jego smagał ciało leżącego. Ten uczul, że umiera pod ciosami.

Ostatnim wysiłkiem woli doczołgał się do granicy koła i tracąc nieledwie przytomność, wywlókł się na łokciach poza obręb narysowany na ziemi.

Zorro opuścił rękę: przeciwnik poza kołem był nietykalny.

Obejrzał swe ciało. Jedna czerwona pręga biegła wokół łokcia, druga widniała na obojczyku i wreszcie trzecia zajechała końcem aż na plecy, pod lewa łopatkę.

Włożył bez pośpiechu koszulę i kurtkę. Zbliżył się do zemdłego i pociągnął go za barki, odwracając na plecy. Uchylił jego maskę i przyjrzał się uważnie twarzy. Następnie wciągnął nań koszulę i kurtkę, zarzucił bezwładne ciało na plecy i zaniósł do lasu. Konia przywiązał do drzewa obok leżącego.

Potem galopował dalej, kończąc urwana piosenkę:

*I rozdziobią sępy ciało*

*I zasypie piach gorący*

*Z caballera nie zostało*

*Nic prócz kości bielejących...*



## Zwyciestwo Zefiria

Pułkownik Gonzano gnał na czele swego oddziału na zachód. Mijali właśnie pustkowie usiane głazami, gdy wtem w oddali zamajaczyła jakąś nieruchoma a postać ludzka pochylona nad czymś. Dowódca przyśpieszył konia. Zdawało mu się, że poznaje sylwetkę. Gdy zbliżył się dostatecznie, okazało się, iż rzeczywiście był to Zefirio. Nie miał zwykłej skrzynki botanicznej przy sobie, natomiast za pasem lśnił olbrzymi pistolet. - Hej, Zefirio! - zawołał zbliżając się don Alvarez. - No i cóż, znalazłeś seniorite Mercedes? Zefirio uniósł głowę i położył palec na ustach. - Tss! Nie tak głośno. Zdaje się, że mam go. - Kogo? - Zorre! - Czyżby? - zapytał ironicznie don Alvarez. - Siedzi na pewno w ziemi jak kret, skoro tak się wpatrujesz w murawę.

- Nie, przyglądam się temu kołu nakreślonemu na ziemi.

- Widzę to koło! Cóż z tego wnioskujesz?

- Ze odbyła się tutaj walka.

- Tak?... - Pełno krwi dookoła... Don Alvarez zeskoczył z siodła. - Rzeczywiście! - rzekł. - Trawa zdeptana i grudy ziemi wyrwane. Co się tutaj działo? - Zapewne walka poganiaczy mułów, tak zwany pojedynek w kole! - A więc mamy wytłumaczenie. Dlaczego mówiłeś przed chwila, że masz Zorre w ręku? - Dlatego! - odpowiedział Zefirio. - To jest odpowiedź godna senior Zefiria! - zadrwił don Alvarez. - Poczekaj, senior, momencik - rzekł Zefirio, kierując się w stronę lasu. - Zaraz wrócę. Szedł ostrożnie na palcach, trzymając pistolet gotowy do strzału i wpatrując się bacznie w ślady na ziemi. Niebawem znikł pomiędzy drzewami.

Don Alvarez wzruszył ramionami i wsiadł na konia. Nie dam się chyba okpić idiocie, pomyślał, a głośno zaś rzucił:

- W drogę!

Oddział ruszył, nie zdążył jednak odjechać daleko, gdy spośród drzew ukazał się Zefirio, wlokąc po ziemi coś ciężkiego.

- Don Alvarez, stój!- krzyczał rozpaczliwie.- Mam go, mam go! Stój!

Gdyby niebo zawaliło się w tej chwili na głowę don Alvareza, nie byłby bardziej zdumiony.

Oddział zawrócił.

Don Alvarez dopadł zdyszanego Zefiria.

Na ziemi leżał nieruchomo mężczyzna w czarnym ubraniu.

Głowa jego okręcona była czarna chusta, twarz przesłonięta maską. W prawym ręku tkwił kurczowo zaciśnięty trzon bata.

Don Alvarez zeskoczył z siodła, rozpiął koszulę na piersi człowieka i przyłożył ucho.

- Żyje! - rzekł. - Stracił tylko przytomność.

Zerwał maskę i chustę i spojrzał ciekawie na twarz leżącego. Była blada, pociągła; usta wąskie, zaciśnięte; włosy krótko przystrzyżone.

- Toż to jest Jose Cardilla! - rozległ się okrzyk jednego z żandarmów.

- Aaa! - wyrwało się z piersi obecnych.

Wszystko wyjaśniło się od razu. Bandyta był znany jako niezrównany mistrz bata, noża i pistoletu. Teraz wyczyny Zorry znalazły pełne wytłumaczenie w osobie Josego Cardilli.

- Nie zapominaj, senor, że ja uczyniłem to odkrycie, że ja ująłem Zorre! Wszyscy powinni wiedzieć, do czego jestem zdolny! - mówił Zefirio, wkładając pistolet do pochwy. - Maja Zefiria za głupca, uważają go za niedołęgę, a tymczasem Zefirio dotrzymał przyrzeczenia i dostarczył Zorre żywcem.

## Dwa złamane serca

Wieść o ujęciu Zorry obleciała lotem błyskawicy cała prowincja. Niemało przyczynił się do tego sam Zefirio, który obchodził wszystkich sąsiadów w towarzystwie swych dwóch przyjaciół, Porfiria i Malibrana, opowiadając długo i szeroko o swym wyczynie.

Z całej okolicy zjeżdżali się ludzie. Nieprzeliczone tłumy stały przed wiezieniem, a pomiędzy nimi uwijał się Zefirio, nadęty jak paw. Wszyscy go znali, słuchali więc z uśmiechem jego wynurzeń.

Byli jednak i tacy, którzy tracili cierpliwość.

- Wielka sztuka znaleźć nieprzytomnego człowieka! – mówili mu wprost w oczy. - Każdy bałwan to potrafi.

- W takich wypadkach Zefirio usuwał się w cień, na jego miejscu wyrastali groźni jego obrońcy, Porfirio i Malibran.

- Obrażasz naszego przyjaciela! - zaczynał zwykle Malibrana

- Czy wiesz, czym to pachnie?

- To pachnie waszym głupim Zefirkiem!- brzmiała odpowiedź.

Wówczas rozpoczynała się bójka, która niebawem wciągała większą liczbę gapiów. I gdy ludzie kotłowali się, Porfirio, Zefirio i Malibran byli już daleko.

- Oni jeszcze tam się bija! - mówił Porfirio.

- E, chyba nie! Na pewno spostrzegli, że nas już nie ma pomiędzy nimi. - Założmy się, iż nie wiedza jeszcze, że się wymknęliśmy. - Dobrze!

Powracali więc, by zobaczyć, jak żandarmi rozpędzają walczących. - Kto wygrał, rozsądź nas, Zefirio.

- Obydwaj wygraliście, wobec tego pójdziemy napić się wina. W ten mniej więcej sposób bawili się trzej przyjaciele.

Po powrocie do domu Zefirio najpierw udał się do pokoju Mercedes. Generał drzemał w swym fotelu. Dziewczyna siedziała przy oknie, trzymając chusteczkę w rękach. - Dzień dobry, seniorito! - rzekł Zefirio, wchodząc. - Słyszałaś nowinę? - Słyszałam! - rzekła bezdzwięcznym głosem. - Słyszałaś i nie radujesz się? - zapytał Zefirio zdziwionym tonem. - Nie wiem, dlaczego mam się radować? - Zapomniałaś o danym mi przyrzeczeniu, kuzynko? Mercedes drgnęła. - O jakim przyrzeczeniu mówisz? - zapytała. - Ze się pobierzemy, gdy schwytam Zorrę. - Nie schwytałeś go! - Jak to nie schwytałem? Cała Hiszpania tylko o tym mówi! - Znalazłeś go w lesie, nieprzytomnego. - To na jedno wychodzi! Nie było mowy o

tym, że muszę Zorre złowić, gdy będzie w najlepszym zdrowiu i przy wszelkich zmysłach. Nie znalazł go ani don Alvarez, ani księżę Ramido, ani też moi przyjaciele Porfirio i Malibran. Ja, tylko ja, wpakowałem go do więzienia i przychodzę po obiecaną mi zapłatę.

- I otrzymasz ja, na honor! - rozległ się tubalny głos generała, który obudził się i słyszał prawie całą rozmowę. – Otrzymasz nagrodę w postaci ręki mej córki Mercedes! Niech mnie kartacze rozniosą w tym miejscu, jeśli kłamię.

Zefirio skłonił się nisko przed generałem, rzucił triumfujące spojrzenie na bladą dziewczynę i wyszedł.

- Słuchaj, moja córko! - mówił dalej generał, drżąc z hamowanego gniewu. - W naszym rodzie nikt jeszcze nie złamał danego słowa, ty nie będziesz pierwsza, która to uczyni.

Lecz Mercedes nie słuchała słów ojca. Myśl jej była zaprzątnięta czymś innym.

- Musze go uwolnić z więzienia!- szepnęła. - Musze go uwolnić, choćbym miała sama zginąć.

Tymczasem Zefirio wszedł do pokoju Porfiria i Malibrana.

- Idziecie spać? - zapytał. - Tak wcześnie?

- Dlaczego pytasz? - odpowiedział pytaniem na pytanie Porfirio.

- Jadę do Saragossy!

- Teraz? W nocy?

- Prześpię się w powozie. Nie jesteście mi potrzebni. Pojadę sam!

Porfirio wstał z łóżka i rzekł:

- Jadę z tobą!

- Ja również! - dodał Malibran.

- Dobrze! Ubierajcie się!

Po pewnym czasie turkot kół powozu oznajmił, że trzej przyjaciele udali się w drogę.

Zefirio nie chciał budzić woźnicy, który spał znużony całodzienną pracą. Wiek podzielili się jego obowiązkami. Pierwszy zasiadł na koźle Malibran.

- Obudzisz mnie za trzy godziny. Zastąpię cię!

Minęły dwie godziny. Zefirio i Porfirio spali głębokim snem, jaki daje czyste sumienie.

Nagle w powozie rozległ się cichy stuk.

- Co się stało? - zapytał Zefirio. - Minęły już trzy godziny?

- Jacyś jeźdźcy zbliżają się do karety - rozległ się przyciszony głos Malibrana. Zefirio wyrzwał przez okno. Księżyc był w pełni, oświetlał dolinę, która mknęła karoca. Sześć koni

gnało naprzeciw nim. - Szykuj pistolety, Porfirio - rzekł Zefirio. - Ci nocni jeźdźcy wydają mi się podejrzani. W powozie rozległ się szcęk odwodzonych kurków. - Stój! - rozległ się dziki okrzyk. - Stój, jeśli ci życie mile! - Desperadosi... - szepnął Zefirio. - Porfirio, uwaga! - Co mam zrobić? - zapytał Malibran., - Zatrzymać się - odpowiedział Zefirio. Jeźdźcy otoczyli karecię. W poświęcie księżycy połyskiwały wycelowane lufy strzelb. - Wyłazić z powozu! - zabrzmiał powtórny okrzyk. Zefirio i Porfirio schowali pistolety i wysiedli z karety. - Uwaga, Porfirio, będzie rewizja! - szepnął Zefirio. - Hm! - mruknął Porfirio ze zrozumieniem. - Ręce do góry! - padł rozkaz. Dwaj jeźdźcy zsiadli z koni i zbliżyli się do podróżnych, którzy stali nieruchomo, trzymając ręce wzniesione do góry.

- Nie ruszać się! - zawołał znów desperado. Był to widocznie dowódca.

Dwaj bandyci wyciągnęli ręce, by przeszukać kieszenie Zefiria i Porfiria.

- Teraz! - szepnął Zefirio.

Wzniesione do góry ręce spadły jednocześnie. Każdy z nich przyciągnął lewą ręką swego bandytę do piersi, prawa zaś sięgnął po pistolet.

Błysnęły dwa ognie i odezwały się dwa strzały. Dwaj jeźdźcy spadli z koni. Niemal jednocześnie huknął trzeci wystrzał. To Malibran wtrącił się do rozprawy.

Pozostał tylko jeden desperado na koniu, lecz ten nie mógł strzelać, gdyż trafiłby w swych kamratów, których dwaj napadnięci przyciskali jako tarcze do piersi. Zawrócił więc konia i umknął.

Powyższa scena rozegrała się tak błyskawicznie, że zanim dwaj bandyci ochłonęli i wydarli się z uścisku Porfiria i Zefiria, było już po wszystkim.

Teraz oni z kolei stanęli nieruchomo, unosząc ręce do góry.

- Możecie opuścić raczki, mili braciszku! - rzekł Zefirio, chowając pistolet. - Nie mamy najmniejszego zamiaru was ograbić.

Bandyci opuścili ręce.

- Dużo jeszcze wałęsa się waszych kamratów w okolicy? - zapytał Zefirio.

Bandyci milczeli.

- Wasze milczenie uważam za osobista zniewagę - rzekł Zefirio. - Porfirio, powiedz, jak postępujemy z tymi, którzy nas znieważają?

- Ucinamy im głowy! - odpowiedział Porfirio grobowym głosem.

- Słyszycie? Na ładnych ptaszków wpadliście, co? Nie poszczęściło się wam, biedacy. Myśleliście zapewne, że to spokojni podróżni jada w nocy, aby jak najprędzej złożyć w banku zarobione na handlu pieniądze. - Zrobił przerwę i dodał groźnym głosem: - Czekam na odpowiedź! Wielu was wałęsa się jeszcze w tej okolicy?

- Jesteśmy ostatni, senor! - odpowiedział jeden z bandytów.

- Gdzie reszta?

- Większość wyciął Zorro. Pozostali uciekli do innej prowincji. Mieliśmy zamiar również przenieść się gdzie indziej...

- Tylko że nie mogliście oprzeć się pokusie zdobycia kilku peso. Nie poszczyściło się, niestety! Będziecie mieli na przyszłość nauczkę, by nie zapędzać się do Aragonii. Powietrze nie jest tu zdrowe dla takich jak wy zuchów. Zresztą nie życzę wam źle, pomimo wszystko, i dlatego dam wam ojcowska radę: chłopcy, porzućcie ten zawód! Krwawy to i twardy kawałek chleba. Przeciwno Bogu, ludziom i prawu! Zbrodnia nie przynosi szczęścia.

Zadowolony ze swego kazania Zefirio zakończył wspaniałomyślnie:

- A teraz umykajcie stąd żywo! Żebym was tutaj nigdy nie widział. Nie zapomnijcie zostawić broni! - I dodał zwracając się do Porfiria: - Niegodziwcy! Wyrwali mnie ze snu. Chodź kontynuować drzemkę, Porfirio.

- Nie ma tak dobrze! - zahuczał głos z kozła. - Teraz twoja kolej. Trzy godziny minęły.

Mrucząc coś pod nosem, wdrapał się Zefirio na wysokie siedzenie.

Malibran wsiadł do powozu, który ruszył z miejsca.

Zaczął świtać, kiedy Porfirio zmienił Zefiria. Słońce stało nad horyzontem. Świeżość poranka działała orzeźwiająco przystępie dobrego humoru Porfirio zaczął pogwizdywać.

- Może byś już skończył - rozległ się gniewny głos Zefiria. Nie dajesz spać znużonym podróżnym.

- Turkot kół nie budzi cię jednak! - zaprotestował Porfirio.

- Turkot kół brzmi w moich uszach prawidłowo, ty zaś gwizdziesz fałszywie.

- Nie wiedziałem, żeś taki muzykalny. Po powrocie do Madrytu nie omieszkam brać lekcji śpiewu i muzyki. Będziesz miał jeszcze ze mnie pociechę.

Zefirio coś mruknął i wycofał głowę z okienka.

Było już blisko południa, gdy powóz wjechał na ulicę Saragossy.

- Jesteśmy w mieście? - zapytał Malibran przez okno.

- Nie, wśród ostępów leśnych - odpowiedział Porfirio, który wpadł w zły humor.

- Przecież widzę domy i ludzi!

- Widzisz, rzeczywiście? Ha, jeśli tak, to w takim razie znajdujemy się w mieście! - kpił Porfirio.

Teraz Zefirio wysunął głowę.

- Hej, Porfirio! - zawołał. - Czy wiesz, gdzie się znajduje rezydencja księcia wielkorządcy?

- Mniej więcej!

- Zatrzymasz się przed nowym pałacem!

- Dlaczego przed nowym?

- Bo stary został spalony.

- Czy nie ręką Zorry?

- Ręką Zorry!

- Kawał łobuza z tego Zorry! Niszczyć dzieło sztuki. Obciąłbym mu uszy, gdyby dostał się w me ręce.

- Bredzisz! - rzekł Zefirio. - Jakie tam dzieło sztuki. Zwyczajna buda bez smaku, w której wisały obrazy wątpliwej wartości.

- Ach, to co innego. W takim razie Zorro spełnił dobry uczynek. Wybaczam mu z całego serca! Nowy pałac jest zapewne w lepszym guście?

- Jeszcze gorsza buda!

Porfirio westchnął:

- Szkoda, że Zorro siedzi w więzieniu. Spaliłby i tę. Powóz zatrzymał się przed pałacem księżęcym.

- Zaczekajcie na mnie tutaj - rzekł wysiadając. - Niebawem powrócę.

Udał się do pałacu. Przed wejściem został zatrzymany przez żołnierzy pełniących wartę.

- Dokąd? - zapytał jeden z żołnierzy.

- Do księcia Ramida y Carvalha!

- Jego książęca mość nie przyjmuje.

- Mnie przyjmie! Zameldujcie jego książęcej mości, że Zefirio Corti pragnie go widzieć.

Zefirio czekał dość długo. Wreszcie żołnierz wrócił.

- Możesz wejść, senor! - rzekł. - Jego książęca mość wzywa cię do siebie.

Zaledwie wszedł, na obliczu księcia ukazał się przychylny uśmiech.

- Witam, senor Zefirio - rzekł wyciągając doń rękę. - Gratuluję. Zawdzięczam ci spokój w okolicy. Kto by się spodziewał, że to właśnie ty wydasz Zorrę w me ręce.

- Przecież przyrzekłem waszej książęcej mości, że to uczynię. Zastrzegłem sobie nawet nagrodę.

- Ach tak, przypominam sobie - skrzywił się książę. - Zastrzegłeś sobie prawo do ręki

księżniczki Dolores. .

- Nie inaczej. Przychodzę właśnie w tym celu.

Książe był wyraźnie zakłopotany. Milczał przez chwilę, wreszcie rzekł:

- Udaj się do Dolores. Wiesz przecież, że od niej wszystko zależy. Zefirio skłonił się i zawrócił ku drzwiom. Przypomniał sobie coś widocznie, gdyż odwrócił się mówiąc:

- Okropne formalności wprowadziłeś, wasza książęca mość. Żołnierze nie chcieli mnie wpuścić, zanim nie zameldowali waszej książęcej mości.

- Musiałem, senor Zefirio. Od czasu zamachu na mnie...

- Zamachu? - zdziwił się Zefirio. - Nic o tym nie słyszałem.

- Schwymano człowieka, który dostał się do pałacu z zamiarem popełnienia mordu na mej osobie.

- Kto to był?

- Człowiek z gminu... oświadczył, że krzywdzę lud i chciał dokonać na mnie zemsty.

- To okropne! - rzekł Zefirio. - Wśród ludu zanika wszelki szacunek dla koronowanych głów.

- Siedzi w więzieniu, czekając na egzekucję. Zwlekam z procedurą, bo Zorro niebawem zostanie przeniesiony tutaj, z więzienia w Huesco. Będziemy mieli widowisko podwójnej egzekucji.

- Oby jak najprędzej - rzekł Zefirio i wyszedł z gabinetu księcia.

Będąc już za drzwiami, szepnął:

- Człowiek z gminu! Jak się nazywa? Muszę się dowiedzieć. Udał się do apartamentów, które zajmowała Dolores.

Przed drzwiami jej pokoju zastał piękną subretkę.

- Jak ci na imię, moja ślicznotko? - zapytał Zefirio.

- Pepita.

- Otóż Pepito, powiedz księżniczce, że Zefirio Corti pragnie z nią mówić.

Pokojówka zniknęła za drzwiami. Po chwili wróciła.

- Wejdz, senor! - rzekła.

Dolores siedziała przy oknie, trzymając chusteczkę w ręku. Podniosła na przybyłego zapłakane oczy.

Stanowczo wszystkie dziewczęta dziś płaczą, pomyślał Zefirio, to już druga, którą zastaję z chusteczką w ręku.

- Dzień dobry, księżniczko! - rzekł. - Czy słyszałaś nowinę?

- Słyszałam - odpowiedziała ponuro.



- Jak to? Słyszałaś, że schwytałem Zorrę i nie radujesz się? zdziwił się Zefirio.

- Bardzo się cieszę, senor - odpowiedziała smutnym głosem.

- Wiesz po co przychodzę?

Dolores zbladła i spojrzała pytająco na Zefiria.

- Nie wiem.

- Zapomniałaś o danym mi przyrzeczeniu, księżniczko?

- O jakim przyrzeczeniu mówisz?

- Że zgodzisz się zostać moją żoną, gdy schwytam Zorrę.

- Przecież nie schwytałeś go. Powiedz raczej, że go odnalazłeś na pół martwego w lesie. Zasluga twoja polega na tym, że go wyniosłeś na plecach i oddałeś senorowi Alvarezowi.

- To na jedno wychodzi. Nie było mowy o tym, że tylko wówczas powinienem Zorrę pojmać, gdy będzie całkiem przytomny. Grunt, że go miałem w swych rękach. Przecież nie znalazł go ani don Alvarez, ani twój książęcy wujaszek, tylko ja, Zefirio Corti. Jasne jak na dłoni. Teraz kolej na ciebie, księżniczko, dotrzymać obietnicy.

Dolores milczała. Była niezmiernie zakłopotana.

Zefirio czekał spokojnie na odpowiedź, bawiąc się swym sombrero.

Milczenie przedłużało się i stawało się nieznośne.

- A więc? - zapytał Zefirio.

- Cóż ci mam odpowiedzieć, senor? - rzekła Dolores. - Wpadłam w pułapkę. Dałam słowo, gdyż sądziłam, że nigdy Zorro nie dostanie się w twe ręce. Obecnie jestem w rozterce, gdyż ciebie nie kocham, trudno więc, bym zgodziła się zostać twą żoną.

- Pokochasz z całą pewnością! - zawołał Zefirio i padł na kolana przed księżniczką. - Będziesz musiała mnie pokochać, kiedy się przekonasz, jakiego dzielnego, walecznego, mądrego i dowcipnego masz małżonka.

- Wstań, senor Zefirio - rzekła smutnie Dolores. - Wstań i pozostaw mnie samą. Głowa mnie dziś boli okropnie.

Jakąż więc odpowiedź dajesz mi, księżniczko?

- Pomówimy o tym po egzekucji Zorry.

- Dobrze - zgodził się Zefirio. Zaczekam.

Uklonił się nisko, westchnął i wyszedł.

Zaledwie drzwi zamknęły się za nim, Dolores szepnęła:

- Muszę go ratować za wszelką cenę. Nie przeżyłabym tej egzekucji. Biedny Zorro...

Dolores pomoże ci, choćby miała sama zginąć.



## Murarze don Antonia

- Witam cię, don Sebastian o - rzekł don Antonio, wyciągając rękę do gospodarza. - Witam cię, don Antonio. - Coś taki skrzywiony, przyjacielu? - Chodź do mego gabinetu, opowiem ci, co się stało. Poszli do gabinetu don Sebastiana. Grubas wyjął pudełko z cygarami i poczęstował przyjaciela. - Pamiętasz, C' O ci opowiadałem o Marquicie? - Pamiętam. - Posłuchałem twej rady. Posłałem ludzi, by ją sprowadzili. - No i cóż, udało się? - Wszystko prawie poszło jak z płatka. Schwytali ją przy studni, związali, wpakowali w worek i przrzucili przez siodło. Fernando jest nieoceniony w podobnych wypadkach. Sprawił się tak cicho i ostrożnie, że w młynie nikt się nawet nie poruszył.

- Powinieneś być zadowolony...

- Zaczekaj - przerwał mu don Sebastiano. - To jeszcze nie wszystko. Moi ludzie ruszyli z powrotem. Nagle zastąpił im drogę Zorro.

- Ten prawdziwy czy ten drugi?

- Ten prawdziwy.

- Domyślam się reszty.

- Zbił ich na kwaśne jabłko, odebrał Marquitę, po czym puścił ich wolno, przesyłając pozdrowienie dla mnie.

-Hm!

- Od tego czasu nie wysadzam nosa poza próg mego domu. - Nie przejmuj się zbytnio, don Sebastiano. Jose załatwi się z nim lada dzień.

- Dałby Bóg - westchnął gospodarz.

- Marquita nie jest dla ciebie stracona. Postaram się, byś ją odzyskał.

- Naprawdę? - ucieszył się don Sebastiano. - Byłbym ci wdzięczny aż do grobu.

- Licz na mnie. A teraz przejdziemy do mojej sprawy. Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę?

- Mniej więcej.

- Prosiłem cię, byś mi odstąpił kawałek nieużytku.

- Przypominam sobie. Cóż, bierz...

- Mogę więc rozpocząć budowę mego domu?

- Budujesz dom?

- Tak, rezydencję letnią dla mej córki Chiquity.

- Dziwne, że właśnie ten kawałek ziemi upodobałeś sobie. Przecież to jest ziemia

zupełnie jałowa.

- Niech cię o to głowa nie boli. Krajobraz jest piękny i to jej wystarczy. Chcesz bym sporządził akt cesji? Lub akt kupna, jak wolisz!

- Nie, don Sebastiano nie cofa. danego słowa. Powiedziałem, że od ciebie nie wezmę ani jednego peso za kamienie. Kiedy rozpoczynasz budowę?

- Dziś jeszcze.

- Dziś? Masz cieśli?

- Przywiozłem trzech murarzy z sobą. - A więc to będzie dom murowany. - Brak mi tylko cegieł. - Cegiel mam pod dostatkiem. - Doskonale! Kupuję cały zapas. Pożegnali się szybko i don Antonio wyszedł z domu. - Zabieramy się do roboty, chłopcy! - zawołał zbliżając się do swych ludzi, którzy czekali nań na podwórzu. Posilcie się teraz nieco i wypocznijcie.

Ludzie udali się do wyznaczonej izby. Don Antonio oddalił się powolnym krokiem, kierując się w stronę, gdzie posiadłość don Sebastiana graniczyła z dobrami należącymi do Anzelma Cortiego.

Stanął na pagórku. Kawał ziemi darowany mu przez don Sebastiana nie obchodził go wcale. Wzrok swój skierował w stronę posiadłości sąsiednich.

Wyjął z kieszeni arkusik papieru, na którym widniał jakiś plan. Spojrzał na rysunek, przeniósł wzrok na okolicę i mruknął: - Zgadza się co do joty.

Niebawem powrócił do domu. Przeszedł do pokoju, gdzie odpoczywali trzej mężczyźni i, rzekł:

- Zgadza się z planem. Śmiało możemy zabrać się do roboty.

- Jak przystąpić do pracy, nie zwracając na siebie uwagi? - zapytał Esteban.

- Będziecie oczyszczać teren z kamieni. Gdy zmierzch zapadnie zastanowimy się, co robić dalej.

## Wyprawa Zefiria

Zefirio opuścił pałac. Powolnym krokiem przeszedł przez olbrzymi dziedziniec pałacowy, kierując się ku miejscu, gdzie pozostawił powóz. Gdy zbliżał się, uderzył go niebywały widok. Powóz otoczony był gromadą żołnierzy. W środku ciżby coś się kotłowało, uszu jego doleciały gniewne okrzyki i przekleństwa. Zbiegowisko falowało, ścieśniało się i cofało na przemian.

- Kochani moi przyjaciele już coś nabroili - mruknął Zefirio. - Nie powinienem był zostawić ich przed pałacem... Trudno, muszę ich wybawić z opresji.

Rzucił się pomiędzy żołnierzy, wołając:

- Rozstąpcie się... W imieniu księcia, rozstąpcie się! Napastnicy odruchowo cofnęli się przepuszczając Zefiria, który korzystając z chwilowej konsternacji przedarł się do powozu.

Porfirio stał plecami oparty o drzwiczki. W rękę trzymał halabardę, którą wyrwał zapewne z rąk jednego z żołnierzy. Malibran stał obok i wywijał młyńca rapierem.

Żołnierze atakowali ich zaciekle, prąc ze wszystkich stron.

- Stój, stój! - zawołał Zefirio. - Czy chcecie, by księżę pan wszystkich was powiesił? Co to za bójki przed siedzibą księżęcą?

Słowa Zefiria podziałały na atakujących jak kubeł zimnej wody. Zatrzymali się na chwilę, z czego skorzystał Zefirio.

- Co to ma znaczyć?! - zawołał. - Wychodzę z pałacu, gdzie miałem rozmowę z jego księżęcą mością i zastaję żołnierzy atakujących mój powóz. Czy chcecie bym zawrócił i złożył na was skargę? Wytłumaczcie mi, co to wszystko znaczy?

- Zapytaj się, senior, tych dwóch, co stoją przy powozie - odezwał się jeden z żołnierzy.

- Porfirio, Malibran, co to znaczy? - zwrócił się ku swym przyjaciołom.

- Zapytaj się raczej tych żołnierzy - odpowiedział Porfirio.

- Do tysiąca szatanów! - zaklął Zefirio. - Powiedzcie mi wreszcie, co się tu dzieje?

Żołnierze zaczęli mówić, wszyscy naraz.

- Cisza tam! - wrzasnął Zefirio zniecierpliwiony. - Niech mówi jeden.

Żołnierze chętnie by go rozszarpali na kawałki, wraz z jego przyjaciółmi, lecz fakt, że Zefirio wyszedł z pałacu, gdzie rozmawiał z samym księciem, powstrzymywał ich zapędy.

- Wszystko ci wyłożę jak na talerzu, senior - odezwał się tęgi strażnik. - Powóz wasz

stoi przed samą bramą wyjazdową. Jest to sprzeczne z przepisem, lecz mniejsza o to. Nie zwracalibyśmy najmniejszej uwagi na powóz, gdyby nie ci dwaj. Za każdym razem, gdy któryś z nas przechodził obok powozu, padały uszczypliwe uwagi. Do mnie na przykład, gdy przechodziłem, zawołał ten długi i chudy, bym uważał, bo mi spodnie spadają. Sprawdziłem garderobę i widzę, że jest w najzupełniejszym porządku. Dlaczego kpicie, pytam, ze strażnika jego książęcej mości? To, mówię, jest obraza majestatu, a oni w śmiech. Wasza wielmożność, wołają portki ci na pewno spadną. Dlaczego? pytam. Tyle masz sadła na sobie, odrzekli, że ci się po tym sadle na pewno ześlizgną Połknąłem obelgę i poszedłem dalej. - Przerwał na chwilę i wskazał na swego sąsiada, chudego mężczyznę o żółtawej cerze. - Ten oto kolega przechodził obok nich najspokojniej w świecie, gdy doń zawołali: Hej, człowieku, dlaczego nie sprawisz sobie okularów? Na co mi okulary przecież mam dobry wzrok, odpowiedział mój kolega, Gdyby miał dobry wzrok, mój ty biedaku, prawi ten chudy, nie wpadłbyś do dołu na uboczu. Patrz, jaki jesteś żółty.

Grubas odetchnął i spojrzał z nienawiścią na Porfirię i Malibrana, którzy z ostentacyjnym lekceważeniem przysłuchiwali się opowiadaniu.

- Rozsądź sam, senor, czy to nie jest ubliżające w najwyższym stopniu - ciągnął dalej gruby strażnik - kpić z mych spodni i z żółtej cery kolegi?

Zefirio zamyślił się głęboko. Wreszcie rzekł:

- Mój biedny przyjacielu. Jeśli to były kpiny, to przyznaję, że żarty tego rodzaju są wysoce nie smaczne i kara nie powinna ominąć złośliwych dowcipnisiów...

- Więc zgadzasz się, senor, że powinniśmy zabrać ich do aresztu?

- Tak, jeśli to były kpiny. Kto mi jednak zaręczy, że to nie była prawda? Skąd mam tę pewność, że twa garderoba jest w porządku, a ten żółtolicy nie wpadł rzeczywiście do dołu?

Strażnicy książęcy zaniemówili na chwilę, słysząc ten wyrok salomonowy.

Skorzystał z tego Zefirio, wepchnął Porfirię do powozu i zawołał do Malibrana:

- Marsz na kozioł i w drogę!

W następnej chwili powóz toczył się po ulicy. Żołnierze patrzyli za odjeżdżającymi.

Zefirio długo nie odzywał się pogrążony w swych myślach. Powziął widać jakieś postanowienie, gdyż wychylił się przez okno i zawołał do Malibrana:

- Widzisz uliczkę tam na lewo?

- Widzę.

- Skręć w nią.

Powóz skręcił w lewo. Ulica biegła zygzakowato i Malibran musiał dobrze uważać, by nie wjechać na ścianę jakiegoś domu.

- W którą teraz stronę, Zefirio? - zapytał Malibran. – Ulica już się kończy.
- Skręć w prawo.
- Nie mogę. Powóz nie zmieści się. Uliczka zbyt wąska.

Zefirio wysiadł. z powozu.

- Zaczekajcie na mnie tutaj. Tylko nie wdawajcie się w żadną bójkę.
- Nie ma obawy - rzekł Porftrio. - Bić się lubimy tylko ze strażnikami księcia.

Zefirio zagłębił się w wąskiej ulicy.

Mieszkała tutaj sama biedota Saragossy. Słońce ledwie tu docierało, żaden ze spotkanych ludzi nie miał całego ubrania na sobie. Dzieci były w łachmanach, kobiety rozczochrane i krzykliwe.

Zefirio zatrzymał się przed oberwańcem, który leniwie oparty o ścianę domu, ćmił długie cigarillo.

- Gdzie tu mieszka Jose Cardilla? - zapytał.

Obdartus wypuścił kłąb dymu.

- Cardilla nie mieszka już tutaj. Siedzi w więzieniu.
- Wiem, że siedzi. Ma jednak żonę, jeśli się nie mylę.
- Frasquita jest jego przyjaciółką.
- Wszystko jedno; gdzie ona przebywa?
- Gdzie jak nie w jego mieszkaniu.
- Więc gdzież jest to mieszkanie?
- Przed twym nosem, senor. Na górze.
- Dziękuję! - rzekł Zefirio, udając się we wskazanym kierunku.
- Ej, senor! - zawołał obdartus. - Zaczekaj chwileczkę.

Zefirio zatrzymał się.

- Pożycz mi jedno peso. Zjem obiad na twą intencję. Zefirio wyjął sakiewkę i wydobył dwa peso. - Masz, napijesz się również wina. - Mille gracias, senor - podziękował obdartus i położył rękę na sakiewce Zefiria, dodając: - Pozwól, że wezmę wszystko, senor, przyda się na cigarillos i na pończochy dla mej narzeczonej. Zefirio uśmiechnął się i rzekł nie wypuszczając sakiewki z ręki. - Ejże, mój zuchu! Czyżbyś miał taki apetyt? - Ja mam zawsze apetyt, senor, gdy widzę dobre pożywienie. - Masz solidny żołądek, ale możesz zachorować na niestrawność. - Puść sakiewkę, senor, w przeciwnym bowiem razie wyniknie z tego ,nieprzyjemna dla ciebie historia.

- Jaka?
- Nie słyszałeś nic o Motelu?

- Nie słyszałem.
- Szkoda! Wiedziałbyś, że lepiej oddać mu sakiewkę bez targu. - Więc Motelo...
- To ja jestem.
- Bardzo mi przyjemnie.
- Wypuścisz sakiewkę?
- Dlaczego?

Rzezimieszek wyciągnął nóż z kieszeni.

Zefirio uśmiechając się ciągle, dał mu potężnego kuksańca w bok.

Obdartus pochylił się ku przodowi, wypuszczając nóż z ręki i chwytając się oburącz za brzuch. Zefirio dał mu jeszcze szcztka w nos, schował sakiewkę do kieszeni i nastąpił nogą na nóż leżący na ziemi.

- A teraz, mój zuchu, oddaj mi te dwa peso.

- Wybacz, senor - rzekł błagalnie rzezimieszek, obcierając krew, która mu ciekła z nosa. Nie wiedziałem, z kim mam do czynienia. Bardzo cię przepraszam, senor.

- Oddaj te dwa peso.

Obdartus wzdychając ciężko, wyciągnął monety z kieszeni i podał je mówiąc prosząco:

- Pozostaw je u mnie, senor, przecież muszę z czegoś żyć. - Pracuj.

- Nie umiem, senor! Nigdy tego nie robiłem.

Zefirio się zamyślił.

- Słuchaj, Motelo - rzekł po chwili. - Mógłbyś zarobić nieco pieniędzy u mnie, nie wiem tylko, czy jesteś zręczny i odważny.

- Jedno i drugie, senor. Jestem zręczny jak wąż i odważny jak lew.

- A jednak prosiłeś o przebaczenie, gdy tylko wytrąciłem ci nóż z ręki.

- To co innego, senor. Wyczułem od razu swojego. Nie będę się sprzeczać z człowiekiem, który załatwia się ze swym przeciwnikiem, zanim tamten zdąży powiedzieć uf!

- Zaczekaj więc tutaj na mnie. Pomówimy.

Obdartus został sam. Obmacywał obolały bok i obtarł krew z nosa, po czym podniósł nóż z ziemi i długo mu się przyglądał, jak gdyby nie wierząc własnym oczom, że to ten sam.

Scenę powyższą obserwowały obojętnie dzieciaki i kobiety z okien. Nikt się zbytnio nie dziwił, wszyscy byli tutaj przyzwyczajeni do podobnych widowisk grabieży w biały dzień.

Zefirio zapukał do drzwi.

- Wejdz, Motelo - rozległ się kobiecy głos.



Zefirio wszedł do środka.

Frasquita siedziała przy kuchence i naprawiała łańcuchy. - Przyniosłeś pończochy? - zapytała nie podnosząc głowy. - Nie przyniosłem - odpowiedział Zefirio - lecz poproszę Josego, to może ci przyśle z więzienia.

Frasquita podniosła głowę i widząc nieznanego zbladła: - Kto jesteś, senor? - zapytała z niepokojem w głosie.

- Przychodzę w sprawie Cardilli. Widzę jednak, że oczekujesz Motela z pończochami. Bardzo cię przepraszam, moja piękna senorito.

I Zefirio ruszył ku drzwiom.

- Czekaj, czekaj senor! - zawołała Frasquita, zrywając się ze swego miejsca. Zefirio przystanął. - Mówiłeś coś o Cardilli. Mów, co wiesz o nim. - Tyle co i ty, senorito. Nie powinno to cię obchodzić zresztą, skoro Motelo zajął miejsce przy twym boku.

- Och, Motelo, to jest drobna płotka w porównaniu z tamtym! Cóż robić senor, przecież nie mogę być sama, umarłabym z głodu.

- Ciekaw jestem, co powie Jose, gdy znajdzie się na wolności. Frasquita zatrzęsa się z przerażenia.

- Litości, senor, nie mów mu o tym. Zabiłby mnie i jego. Jest okropnie zazdrosny.

-Hm!

- Gdyby powrócił, nie spojrzalabym nawet na innego. Przecież ja go kocham, mego biednego Josego.

- Dziwna to miłość, skoro pocieszasz się tak prędko. Ale mniejsza o to. Obiecuję ci absolutne milczenie z mej strony, ale pod jednym warunkiem.

- Jakiż to warunek?

- Że będziesz mi ślepo posłuszna. Nie zapominaj, że trzymam cię w ręku.

- Rozkazuj, senor. Uczynię, co zechcesz!

- Więc słuchaj. Jose Cardilla ucieknie z więzienia. Zechce zapewne powrócić do Saragossy lub też kontynuować swe wyczyny jako Zorro. Musisz mu w tym przeszkodzić.

- W jaki sposób?

- Otrzymasz ode mnie pieniądze na wyjazd. Udasz się do Madrytu lub do Portugalii, wszystko jedno gdzie, byleby jak najdalej stąd. Chodzi mi o to, by nie wpadł powtórnie w ręce księcia. Wówczas nic już nie poradzę, życie jego nie będzie warte wypalanej świecy. Pozostawisz mu krótki liścik mniej więcej takiej treści: Kochany Jose! To ja ułatwiłam ci ucieczkę. Jestem w Lizbonie albo w Madrycie. Jeśli nie chcesz mnie utracić, przybywaj natychmiast.

Zefirio sięgnął do kieszeni.

- Oto tysiąc peso... Sądzę, że wystarczy wam na trzy miesiące dostatniego życia. A schowaj to przed Motelem, bo gotów jest podzielić się z tobą. Znam tego zucha, gdy on się z kimś dzieli, u tamtego nic nie zostaje. Wyjedziesz jutro i ani słowa komukolwiek o tym, dokąd. Nawet Motelo nie powinien wiedzieć.

Frasquita schwyciła pieniądze. Twarz jej jaśniała. Nigdy w życiu nie miała takiej sumy w ręku. Kobieta jednak w niej się odezwała:

- Wybacz mi, senior... czy... czy ja mogę ująć nieco pieniędzy dla siebie? Chciałabym się przyodziać.

Zefirio uśmiechnął się i rzucił na stół garść monet.

- Bierz, seniorito. Kupisz sobie pończochy.

## Dwie oswobodzicielki

Cardilla został przewieziony pod silną eskortą do Saragossy. Wsadzono go do lochu w podziemiach fortecy. Nogi i ręce miał zakute w ciężkie kajdany. Cela jego była bez okna, woda ściekała ze ścian i tworzyła kałużę na ziemi. Nieco zgniłej słomy leżało w kącie. Kilka godzin dziennie palił się kaganek, resztę doby zalegała celę zupełna ciemność. Cardilla spędzał czas leżąc na słomie, oddany ponurym rozmyślaniom. Cierpię za cudze grzechy. Gdybym nawet wyjawiał, że nie jestem Zorrą, nie uwierzyliby mi. Gdyby nawet uwierzyli, nic mi to nie pomoże. Tak czy owak zawisnę na szubienicy... Do licha! W ładną kabałę się wpakowałem. Ten przeklęty don Sebastiano przyniósł mi pecha wraz ze swymi pieniędzmi. Chciałbym dostać go w swe ręce, pokrajałbym go na drobne paski...

Poruszył się niecierpliwie. Kajdany zadzwoniły.

Zawziętem się na Zorrę, przeżuwał dalej swe gorzkie myśli. Kto by mógł się spodziewać, że to zuch nie lada. Myślałem, że w zręczności nikt mnie nie przewyższy... Ha, trudno, trafiła kosa na kamień.

Gdybym wyszedł jakimś cudem z tej dziury, ofiarowałbym za wszystkie pieniądze, które ukryłem w domu, świece i kwiaty Madonnie dei Pilar... Rozumie się, jeśli Frasquita pieniędzy tych nie znalazła i nie roztrwonila.

Coś przebiegło po jego ciele. - Szczur! - niemal krzyknął. - Tego jeszcze brakowało! Szczur znów przebiegł po jego ciele. Cardilla leżał nieruchomo. Nagle poczuł ukąszenie w lewym udzie. Wyciągnął błyskawicznie rękę i chwycił zwierzątko. Rozległ się przeraźliwy pisk. Cardilla miętosił szczura przez chwilę tak jak kot, który bawi się myszą, po czym ukręcił mu kark.

To przyniosło mu chwilową ulgę. Mógł nasycić swój zmysł okrucieństwa.

Za pierwszym szczurem przyszedł niebawem drugi.

Cardilla był nawet rad tym odwiedzinom. Miał teraz rozrywkę, mógł walczyć i zabijać. Zapomniał w ten sposób o swym losie, o straszliwych warunkach, w jakich się znalazł.

Nagle polowanie na szczury zostało przerwane odgłosem kroków na korytarzu.

Jose usiadł i nasłuchiwał.

Kroki zbliżały się do jego celi. Klucz zgrzytnął w zamku, drzwi się uchyliły.

Za drzwiami rozległy się przyciszone głosy, po czym brzęknęły monety. Po chwili do celi wskoczyła jakaś postać owinięta w szeroki płaszcz.

- Zorro! - rozległ się cichy i drżący głos kobiecy.

- He! - odezwał się Cardilla.

- Zorro, to ja, Dolores. Mój biedny Zorro, w jakim strasznym miejscu cię zastaję. Od chwili gdy dowiedziałam się o twym uwięzieniu, nie śpię nocami i przeżywam straszliwe katusze.

Dolores umilkła na chwilę, by opanować wzruszenie.

Cardilla na próżno łamał sobie głowę: Dolores? Do licha, co to za jedna? Znałem niegdyś jedną Dolores, ale tamta miała ochrypli głos i była kulawa.

Dolores ciągnęła dalej:

- Słuchaj, Zorro. Przekupiłam strażnika i od jutra otrzymasz oświetlenie oraz najlepsze pożywienie. Nie będę żałować złota, byleby cię stąd wydobyć. Ufaj mi, Zorro, nie opuszczę cię w nieszczęściu. Przygotowuję twą ucieczkę...

Jose milczał bojąc się spłoszyć niespodziewanego gościa.

- Nie mogę zapomnieć tego bolera, które tańczyliśmy wówczas i... i... ten pocałunek pali mnie jeszcze. Widzisz, że korzystam z ciemności, jakie tu panują, by ci wyznać, że cię kocham.

- He, co? - zdziwił się Jose.

- I że gotowa jestem oddać ci ten pocałunek. Będzie ci pociechą w twojej niedoli...

Jose przestraszył się. Tego jeszcze brakowało, by się spostrzegła, że nie jestem Zorrrą, pomyślał, a głośno rzekł w najbardziej wytwornej formie, na jaką go było stać:

- Wybacz mi o, seniorito! Uczucie delikatności i wrodzone poczucie szlachetności nie pozwala, bym całował senioritę w tym ohydny miejscu. Nie myłem się od tygodnia, a podbródek mój przypomina jeża. Boleję całą mą duszą i błagam cię, seniorito, zaczekaj, aż stąd wyjdę... I ja pamiętam nasze bolero, pamiętam te niebiańskie chwile. Błagam cię, uczyn wszystko, co jest w twoich siłach, bym mógł rzucić się do twoich stóp zaraz po wyjściu na wolność.

Uczucie niepewności ogarnęło Dolores, podczas gdy mówił. Biedny Zorro, pomyślała, jakże się zmienił w tym więzieniu.

Nigdy nie przemawiał w ten sposób. Pod wpływem niewoli coś się zmieniło w jego charakterze, dobiiera słowa jak aktor. Ogarnęły ją litość i wzruszenie.

- Bądź dobrej myśli, Zorro - szepnęła. - Nie pozwolę księciu, by podpisał wyrok na ciebie, dopóki nie ułatwię ci ucieczki.

- Czyż księżę zechce cię wysłuchać, seniorito? - zapytał ze zwątpieniem w głosie Jose.  
- Czy cię dopuści do siebie?

- Co? - oburzyła się Dolores. - Wujaszek miałby mnie nie dopuścić do siebie?.. Tego jeszcze brakowało. Musiałby najpierw sam uciekać z pałacu!

Gdyby powała zwała się na głowę Josego, nie byłby bardziej zdumiony. Otworzył szeroko usta, nie mogąc na razie złapać tchu...

Dolores dawno już opuściła celę, a on wciąż powtarzał ogłupiały:

- Jej wujaszek... księżę! Księżę... jej wujaszek. Do licha, Jose, póki żyjesz, nie śniło ci się o takiej protektorce... Kocha mnie, chciała mnie całować. Nie... chyba dostanę kręćka...

Długo jeszcze rozmyślał w ten sposób na ten temat.

Wreszcie gdy się już nieco uspokoił, rozpoczął w najlepsze swe polowanie na szczury. Uduślił właśnie czwartego, gdy kroki ponownie rozległy się na korytarzu. Klucz zazgrzytał w zamku. Ciche szepty rozległy się za drzwiami, po czym Jose usłyszał brzęk złota.

Wraca moja księżniczka - pomyślał.

W celi zjawiała się postać otulona szczelnie płaszczem.

- Mój biedny Zorro - rozległ się cichy szept tuż nad nim. Ileż to łez wylała twa nieszczęśliwa Mercedes!

Jose dostał zawrotu głowy. Ha, pomyślał, księżniczka już była, sądzę więc, że ta druga to na pewno jakaś królewna. Ten Zorro, do licha, szczęściarz nie lada. Niech mnie spała, jeśli kiedykolwiek wyznam, że nie jestem prawdziwym Zorram.

Mercedes mówiła dalej gorączkowym szeptem, tłumiąc łzy:

- Kochany mój! Zajęłam się przygotowaniem twojej ucieczki. Przekupiłam dozorcę.

Jose słuchał milcząc. Łajdak dozorca porządnie się obłowi, pomyślał. Chciałbym być na jego miejscu.

Lecz to nie wystarczy - ciągnęła dalej Mercedes. - Należy przekupić wartowników i klucznika. Otrzymasz podrobiony klucz i na dany sygnał wymkniesz się z celi.

- Czy długo potrwać przygotowania?

- Muszę działać ostrożnie. By jednak księżę nie przyśpieszył wykonania wyroku, poproszę mego ojca, by pod jakimkolwiek pozorem wyjednał u królowej zwłokę.

Zaczyna się, pomyślał Jose, teraz będzie królowa; głośno zaś rzekł:

- Wątpię, czy królowa zechce wysłuchać twego ojca.

- Nie wątp, Zorro! - zawołała Mercedes. - Królowa nie odmówi swemu wiernemu generałowi, hrabiemu d' Artad.

Dobre i to, pomyślał Jose, który zaczynał być wybredny, po księżniczce hrabianka

ubiega się o mą wolność. Jeśli tak dalej pójdzie, cała żeńska arystokracja Hiszpanii z triumfem wyniesie mnie stąd na rękach.

- Bądź dobrej myśli, Zorro - ciągnęła dalej Mercedes. - Nie dopuszczę do tego, byś miał zginąć marnie. Mogę ci wyznać w tej tragicznej sytuacji, że cię kocham. Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy ukazałeś mi się nocą w ogrodzie, ani romancy, którą śpiewałeś. Ilekroć pomyślę o niej, łzy stają mi w oczach.

To dobre, pomyślał Jose przestraszony, zechce bym jej zaśpiewał, a ja mam głos do złudzenia przypominający skrzywienie zardzewiałych zawiasów.

- Senorito Mercedes - wyjąkał obolałym głosem. - Chętnie zaśpiewałbym ci tę romancę, ale ze wzruszenia głos mi zupełnie ochrypl.

- Ależ ja wcale nie chcę, byś tutaj śpiewał - zaprzeczyła żywo Mercedes. - W obecnej sytuacji byłoby ponad moje siły słuchać twego śpiewu...

Dzięki Bogu! ucieszył się w duchu Jose. Gdy ucieknę stąd, przysięgam, że ogolę i umyję się dla księżniczki oraz wezmę kilka lekcji śpiewu dla hrabianki.

Długo jeszcze rozmawiali. Wreszcie Mercedes pożegnała się z więźniem i znikła za drzwiami.

Jose długo myślał o tych odwiedzinach. Był tak zatopiony w-myślach, że nie czuł nawet szczerów, które swobodnie harcowały po jego ciele. Dopiero mocniejsze ukąszenie kazało mu rozpocząć polowanie ze zdwojonym zapalem.

Zajęcie to trwało dość długo. Widocznie nastał wieczór, gdyż klucznik przyniósł mu kolację, którą postawił na ziemi. Na ścianie umocował olbrzymią świecę łojową, zapalił ją i cofnął się ku drzwiom.

- Powiedz strażnikowi... - zaczął Jose, lecz ów położył palec na ustach, mrugnął porozumiewawczo i wyszedł z celi, zamykając drzwi za sobą.

Złoto Dolores i Mercedes zaczęło wydawać owoce.

Jose siedział na swym posłaniu. Spojrzał na przyniesione jedzenie i nie wierzył własnym oczom. Na olbrzymim półmisku spoczywała pieczona gęś. Obok stały dwie butelki wina i bochenek chleba; wielki tort i owoce uzupełniały kolację.

Skoczył na równe nogi i chwycił tacę w ręce. Był najwyższy czas po temu, wygłodzone szczury, przestraszone początkowo światłem świecy, wysunęły się teraz ze swych nor, zerkając łapczywie w stronę jadła.

Zaledwie Jose uporał się z połową gęsi, gdy znów rozległy się kroki na korytarzu. Nadstawił uszu. Jacyś ludzie zatrzymali się przed jego drzwiami.

- Na wolności nie miałem tylu wizyt w ciągu tygodnia, ile tutaj w ciągu jednego dnia

- rzekł do siebie Jose. - Więzienie moje zmienia się w salę przyjęć. - Prosimy! - zawołał głośno, słysząc zgrzyt klucza w zamku.

Do celi wszedł jakiś mężczyzna otulony w czarny płaszcz. A to co znowu za monarcha? zapytał w duchu Jose. Przybysz zdjął sombrero z głowy.

To był przyjaciel Frasquity - Motelo.

- Witaj, Motelo! - zawołał Jose. - Powiedz, widziałeś Frasquitę?.. Co ona porabia?.. Jak sobie daje radę beze mnie?..

- Powoli, powoli - odparł Motelo. - Na wszystko ci odpowiem po kolei. Frasquita jest zdrowa, nic nie robi, daje sobie świetnie radę bez ciebie i przesyła ci karteczkę.

Wyjął świstek z zanadrza i podał go więźniowi.

Kochany mój Tygrysku

- czytał Jose. -

Przesyłam Ci przez Motela pozdrowienie.

Tutaj Jose przerwał czytanie i spojrzał groźnie na Motela: - Słuchaj towarzyszu - rzekł - czy ty nie kręcisz się czasem znowu koło Frasquity?

- Ależ co znowu! - zaprzeczył Motelo, starając się ukryć zmieszanie. - Co ci strzeliło do głowy? Czytaj dalej list, to się dowiesz, dlaczego tu przychodzę.

Jose czytał:

U dało mi się zebrać pięćset peso wśród Twych przyjaciół, odszukałam więc Motela i poprosiłam go, by ułatwił Ci ucieczkę. Poczciwiec zgodził się chętnie. Plan ucieczki ułożycie wspólnie. Czekam na Ciebie z utęsknieniem, Twoja kochająca cię Mysz.

Jose podniósł wzrok i rzekł wskazując półmisek, który postawił na ziemi. - Widzisz tę połowę gęsi, wino i tort? - Widzę. - Wiesz, kto mi przysłał te smakołyki? Skąd mogę wiedzieć? - Siostrzenica księcia y Carvalha oraz córka hrabiego d' Arta. - Do diabła! - zaklął z podziwu Motelo.

- Tak, mój drogi. Obie pomogą mi uciec. Nawet księżę i sama królowa wezmą w tym udział.

- Biedny Jose - rzekł Motelo ze współczuciem. - Nabawiłeś się końskiej febry w tym lochu.

- Sądzisz, że bredzę? Jesteś w grubym błędzie. Nigdy nie byłem bardziej przytomny

niż dzisiaj.

- Cóż więc mam powiedzieć Frasquicie?

- Że bardzo jej dziękuję za wierność i oddanie, lecz pomoc jej nie jest mi potrzebna.

Ucieczkę ułatwią mi hrabianka z księżniczką. To wszystko, co masz jej zanieść.

- Dobrze - rzekł Motelo. - Powtórzę to Frasquicie.

Zbliżył się ku drzwiom, w ostatniej jednak chwili odwrócił się i rzekł:

- Jakieś przeczucie mi mówi, że pomimo wszystko będę ci potrzebny!



## Zdrada

Z mniejszej sali, w lewym skrzydle pałacu, prowadził do apartamentu Dolores obszerny korytarz wykładany miękkim dywanem. Apartament ten składał się z czterech komnat. Wejście z korytarza wiodło do saloniku-poczekalni, potem był salon właściwy, buduar i sypialnia.

Pewnego popołudnia w apartamentach Dolores miała miejsce dziwna scena, o której mieszkanka tych komnat nie miała najmniejszego pojęcia.

Wysoki, barczysty oficer, czyli don Alvarez, zapukał do drzwi w głębi korytarza. Nie otrzymując odpowiedzi na pukanie, stał przez chwilę, wahając się czy ma odejść, czy też wejść do środka. Postanowił to drugie. Uchylił drzwi i wszedł do saloniku. Nikogo tutaj nie było. Począł chwilę, chrząknął, dając w ten sposób znać o swej obecności.

Nikt się nie odezwał.

Nie ma nikogo w komnatach Dolores! Księżniczka w ostatnich czasach mało przebywa w domu. Dokąd się udaje, co robi, pozostaje dla mnie zagadką... Może jakaś miłostka lub intryga? Skierował się do buduaru.

W jej sekretarzyku znajdę zapewne jakiś list lub skrawek papieru, który mi to wyjaśni! Trzeba działać szybko, by mnie nikt nie zastał. Jeśli się pragnie mieć żonę z książęcego rodu, należy dobrze uważać, by mi jej ktoś nie sprzątnął sprzed nosa.

Wszedł na palcach do buduaru i znieruchomiał. Przed sekretarzykiem siedziała odwrócona plecami do niego jakaś kobieta, której uwaga pochłonięta była listem trzymanym w ręku.

Don Alvarez zbliżył się, odgłos jego kroków głużył puszysty dywan, i dotknął ręką ramienia czytającej.

- Ach! - krzyknęła przestraszona i odwróciła głowę.

Była to Pepita, niedyskretna pokojówka Dolores.

Westchnienie ulgi wyrwało się z jej piersi. Położyła palec na ustach i wskazała na sypialnię. Don Alvarez zrozumiał, że tam znajduje się Dolores.

Pepita włożyła kartkę papieru do szuflady, po czym wstała i pociągnęła don Alvarę za sobą. Przeszli w ten sposób dwie komnaty i znaleźli się na korytarzu.

Wychodząc nie zauważyli człowieka, który cofnął się na ich widok i ukrył się w niszy obok Wenus z brązu, trzymającej we wzniesionej ręce kandelabr. Człowiekiem tym był Zefirio.

Pepita i don Alvarez przystanęli w pobliżu.

- Co czytałaś? - zapytał półgłosem oficer.

- Notatki księżniczki.

- No i cóż się dowiedziałas?

- Klucznik tysiąc peso, strażnik przy bramie pięćset, czterej wartownicy po dwieście pięćdziesiąt.

- Co to ma znaczyć? Nic nie rozumiem!

- To znaczy, że księżniczka przygotowuje czyjaś ucieczkę z więzienia.

Zdumienie pojawiło się na twarzy don Alvareza.

- Przygotowuje czyjaś ucieczkę z więzienia? Dziwne! Nie mogę pojąć, kogo chce oswobodzić!

Nagle uderzył się dłonią w czoło. Przypomniał sobie święto ludowe w Huesco, Zorrę i Dolores tańczących bolero, upojenie Dolores i jej uległość wobec rozbójnika.

Zacisnął zęby z wściekłości i szepnął:

- Wiem, kogo chce uwolnić!

- Kogo? - zapytała ciekawie.

- Nie powinno cię to obchodzić, moja dziewczyno! Trzymaj, oto zapłata za usługę, jaką mi oddałaś!

Wyciągnął z kieszeni kilka monet, lecz Pepita schowała ręce za siebie.

- Cóż to? - zdziwił się don Alvarez. - Nie chcesz pieniędzy?

- Nie!

- Dlaczego? Zbyt mało dla ciebie?

- Nie chcę wcale twych pieniędzy, senior.

- Dlaczego nie chcesz, wytłumacz! Wyświadczyłaś mi przysługę, więc należy ci się wynagrodzenie! Tak się umówiliśmy przecież! - Zgodziłam się nie dla pieniędzy, lecz z innego powodu!

- Ciekaw jestem!

- Zgodziłam się... gdyż kocham cię, senior!

Don Alvarez spojrział zdumiony na śmiałą dziewczynę, która pierwsza wyznaje mu miłość.

Pepita mogła się podobać. Miała świeżą twarzyczkę o figlarnych, rzekłbyś nawet, przebiegłych oczach.

Uśmiechnął się i ujął dziewczynę za podbródek.

- Podobasz mi się, moja Pepito!

Dziewczyna pokraśniała z radości. Don Alvarez mówił dalej:

- Przyjdź do mnie jutro wieczorem. Nie wchodź jednak głównym wejściem, lecz bocznym...

Pepita zarzuciła mu ręce na szyję, szepcząc:

- Kochany mój! Jesteś dla mnie całym światem. Nie wzgardziłeś biedną dziewczyną, która cię ubóstwia.

Pocałowała go namiętnie i don Alvarez oddał pocałunek.

Zefirio skorzystał z tego, że byli zajęci sobą, wysunął się ostrożnie z niszy i znikł za załamaniem korytarza.

- Jestem w ostatnich czasach zupełnie sama - mówiła Pepita. - Od czasu, gdy przybyła Mercedes, przyjaciółka księżniczki, w pokojach tych zapanowała pustka. Obie są dziwnie zadumane, lecz żadna z nich nie wyjawia drugiej powodu swej troski. Księżniczka ubiera się skromnie i wymyka się z pałacu zaraz po obiedzie. W kilka chwil później Mercedes również opuszcza apartament. Kryje się w tym jakaś tajemnica, której nie mogę zrozumieć.

- Nie potrzebujesz łamać swej główki nad tym, moja Pepito - odparł don Alvarez. - Pozostaw to mnie. Już ja rozwikłam tę zagadkę, a raczej na odwrót: tak ją zawikłam, że one obie jej nie rozwikłają.

Ucałował Pepitę i wyszedł śmiejąc się głośno z własnego dowcipu. Przed pałacem dosiadł konia, nie zwracając uwagi na powóz stojący w pewnej odległości. Na koźle siedział wysoki i bardzo chudy młodzieniec.

Don Alvarez puścił konia klusem. Powóz podążył za nim w pewnej odległości. Przecięli w ten sposób prawie całą Saragossę. Wreszcie don Alvarez zatrzymał konia i zeskoczył na ziemię. Znajdował się przed bramą fortecy. Trzymając jedną ręką cugle, drugą zastukał do bramy. Po chwili wszedł do środka.

Powóz stał ukryty za pobliskim budynkiem. Zefirio wychylił głowę przez okno powozu i zapytał Porfiria, który siedział na koźle:

- Wszedł do środka?

- Tak.

- Wszystko w porządku. Zawracaj do pałacu.

Niebawem karetą znów przystanęła w przyzwoitej odległości od rezydencji księżęcej.

Porfirio nie zapomniał swych zawziętych wrogów, strażników pałacowych, i wołał tym razem trzymać się przezornie dalej nieco od pałacu.

Zefirio wylazł z powozu.

- Zaczekajcie na mnie tutaj! - rzucił ku swym przyciaciom. - Słuchaj, Zefirio! -

zawołał w ślad za nim Malibran, wychylając się z okna. - Jak długo będziesz się kręcił tam i z powrotem? Nie zapominaj, że nie jedliśmy jeszcze obiadu.

- Wejdźcie do gospody i pożywcie się - odparł Zefirio. - Jadąc prosto przed siebie natraficie na gospodę "Pod białą czapą". Jest tam dobre wino... Tylko nie wszczynajcie żadnych bójek ani awantur. Mam tego dosyć.

- Możesz być spokojny, Zefirio - przyrzekł solennie Porfirio. - Będziemy się zachowywać jak nowo narodzone jagnięta.

- Przyrzekamy ci absolutną poprawność w stosunku do rodzaju ludzkiego - dodał Malibran.

Zefirio udał się do pałacu. Porfirio i Malibran ruszyli dalej powozem.

Nad wejściem do gospody wisiała biała czapa z blachy, przypominająca kształtem nakrycie głowy kucharzy. Przyjaciele weszli do środka. Usiedli skromnie przy stole w kącie. Po pewnym czasie stół był zastawiony mięsem, chlebem, czarną narodową polewką i winem. Porfirio i Malibran zabrali się do jedzenia. Gruby Malibran jadł niewiele, natomiast chudy Porfirio pożerał nieprawdopodobnie dużo. Wreszcie mieli dosyć. Odsunęli puste talerze, zapalili cigarille i zaczęli rozglądać się po sali. Na nieszczęście sąsiedni stół zajęty był przez dworzan książęcych. Ludzie ci pili dużo i zachowywali się nader hałaśliwie, śmiejąc się rozgłośnie i uderzając szklanicami o blat stołu.

Malibran spojrział na Porfirię, Porfirio na Malibrana.

- Przyrzekliśmy nie wszczynać bójek ani awantur - mruknął Malibran.

- A kto mówi o wszczynaniu bójek lub awantur? - odparł Porfirio. - Nigdy nie byłem tak pokojowo usposobiony jak dzisiaj. - Pomyślał chwilę, po czym trzasnął pięścią w stół i zawołał jak mógł najgłośniej: - Malibran, przyjacielu, powiedz mi, czy nie nachodzi cię nigdy chęć popełnienia samobójstwa?

- Nigdy! - odparł Malibran.

- A co byś uczynił, gdybyś miał paskudny, długi nos z brodawką na samym końcu?

- Popełniłbym samobójstwo!

- I dobrze byś zrobił! Człowiek z brodawką na nosie nie może chodzić po bożym świecie. Psuje krajobraz i odbiera ludziom apetyt.

Przy sąsiednim stole zrobiło się cicho. Jeden z dworzan miał długi, czerwony nos i na nim brodawkę.

- Masz rację - rzekł Malibran. - Pozwolę sobie jednak zapytać również ciebie, co byś uczynił, gdybyś miał zeza?

- Dałbym sobie wybić jedno oko. W ten sposób nikt by nie wiedział, że zezowałem.

Drugi dworzanin lekko zezował.

- Świetny pomysł! - zawołał Malibran w zachwycie. - Jesteś genialny, mój przyjacielu.

A co byś uczynił, gdyby cię natura obdarzyła długą, cienką szyją?

- Zawiązałbym ją sobie na węzeł.

Był to docinek do szyi trzeciego dworzanina.

Porfirio i Malibran, rozprawiając głośno z sobą, nie zwracali najmniejszej uwagi na sąsiedni stolik. Miało się wrażenie, że nie dostrzegali trzech par wściekłych oczu dworzan.

- Dość tego! - ryknął jeden z nich, odsuwając krzesło z taką gwałtownością, iż upadło z trzaskiem na ziemię.

- Hej, Passada i Molla, nie słyszycie, że ci dwaj kpią z nas.

Zbliżył się do stołu, przy którym siedzieli dwaj przyjaciele, i nachylając się nad nimi, zapytał groźnie:

- To wy do mych oczu tak się przymawiacie, señores?

Porfirio spojrzał nań, udając zdziwienie.

- Do oczu?.. Na Bachusa! Malibran, spójrz tylko. O wilku mowa, a wilk tu. Toż on zezuje okropnie, ten czcigodny senor.

Do stołu zbliżył się don Passada.

- Coście mówili o brodawce na nosie, senores?

Porfirio zaczął wołać:

- Malibran, to chyba jakiś cud... Mówiliśmy o zezowatym... - I zezowaty przyszedł - rzekł Malibran.

- Mówiliśmy o człowieku z brodawką na nosie...

- I brodawka przyszła.

- Mówiliśmy o cienkiej szyi...

- I szyja przyszła.

Dalsza rozmowa została brutalnie przerwana.

Rozległ się łoskot wywracanych stołów i krzesel, brzęk rozbitego szkła i wściekle okrzyki napastników.

Porfirio i Malibran nie wszczęli awantury zgodnie z przyrzeczeniem danym Zefirio, nie wszczynali też żadnej bójki, lecz zostali po prostu wciągnięci przez tamtych.

## Zmiana

Dolores szczerze otulona w czarną, koronkową mantylę zbliżyła się do bramy więzienia i zapukała. Czekala chwilę, wreszcie usłyszała ciężkie kroki. Zgrzytnął klucz i ciężka, żelazna brama uchyliła się. Księżniczka wślizgnęła się do środka i szepnęła do odzwierneego.

- Dziś o dziesiątej!

- Czego życzysz sobie, seniorito?

- Dziś o dziesiątej wypuścisz więźnia.

- He, dlaczego by nie! Mogę wypuścić nawet zaraz, przynieś mi tylko rozkaz podpisany przez prokuratora, sędziego śledczego i księcia pana!

Teraz dopiero Dolores przyjrzała się uważnie strażnikowi i cofnęła się przestraszona. Nie znała tego człowieka. Był to inny klucznik.

- Gdzie jest tamten? - zapytała.

- Który tamten?

- Klucznik!

- Mój poprzednik?.. Nie ma go. Ja teraz jestem klucznikiem. Ochłonęła z pierwszego wrażenia. Zmienili człowieka przy bramie - pomyślała - widać, że ten o niczym nie wie. Trzeba będzie również i tego przekupić.

Przybliżyła się do niego i szepnęła:

- Mam dla ciebie propozycję, strażniku!

- Nie wolno mi wysłuchiwać żadnych propozycji przy bramie! - Zarobisz pięćset peso!

- Piękna sumka! A co należy zrobić za te pieniądze?

- Otworzyć bramę o dziesiątej i wypuścić więźnia.

- Aha, wypuścić mam więźnia? Carramba! Niezły interes!

Pięćset peso za jedno przekręcenie kluczem. A w jaki sposób więzień opuści celę?

- Niech o to cię głowa nie boli! Wszystko zostało załatwione!

- To dziwne! - mruknął klucznik. - Musiałaś porozumieć się z dozorcą, seniorito. Nie rozumiem jednak, kiedy zdążyłaś z nim rozmawiać. Przecież objął swą funkcję po raz pierwszy dopiero przed godziną.

Zimny dreszcz wstrząsnął Dolores.

- Wartownicy również są inni?

- I wartownicy zostali zmienieni przed godziną!

Dolores westchnęła. Całą robotę należało zaczynać od początku. Postąpiła w głąb więziennego dziedzińca.

- Stój, seniorito! - zawołał klucznik. - Dokąd idziesz?

- Chcę porozumieć się z dozorcą!

- Wróć! Nie wolno rozmawiać z dozorcami!

Dolores wydobyła sakiewkę ze złotem.

- Dziękuję, seniorito! Nie wolno mi przyjmować pieniędzy. Dopiero teraz Dolores spostrzegła się, że klucznik z niej zakpił. Zbliżyła się ku bramie, mówiąc:

- Proszę mnie wypuścić!

- I tego mi nie wolno! Otrzymałem wyraźne polecenie wpuszczania każdego, lecz nie wypuszczania go bez zezwolenia naczelnika więzienia.

- Nie masz prawa mnie zatrzymywać! - zawołała Dolores z rozpaczą w głosie. - Wypuść mnie natychmiast!

- I pójde do celi na zgniłą słomę, seniorito. Zazwyczaj chętnie ustępuję pięknym senioritom, lecz w tym wypadku, niestety, nie mogę. Otrzymałem wyraźny rozkaz zatrzymania seniority, która zechce mnie przekupić.

Zdradzono mnie, pomyślała. Ktoś mnie musiał zdradzić!

Klucznik wezwał jednego z wartowników i rzekł doń:

- Oto seniorita, o której była mowa!

- Chodź, seniorito, za mną! - zwrócił się do niej żołnierz. - Zaprowadzę cię do naczelnika więzienia!

Dolores poszła nie opierając się. Znała naczelnika więzienia osobiście i wiedziała, że dyskretny ten człowiek nie rozgłosi tego, co zaszło. Zresztą będzie musiał się liczyć z siostrzenicą wszechwładnego księcia.

Wartownik zaprowadził ją do kancelarii więzienia.

Zaledwie otworzyła drzwi, zbladła i znieruchomiała z przerażenia. W fotelu naczelnika siedział szeroko rozparty i uśmiechnięty don Alvarez...

Tymczasem klucznik przy bramie nadal pełnił swą funkcję.

Zaledwie Dolores wraz z wartownikiem znikli z jego pola widzenia, do bramy znów ktoś cicho zapukał. Klucznik otworzył bramę. Do środka wsunęła się młoda kobieta otulona w czarną mantylę.

- Dziś o dziewiątej! - szepnęła i nagle cofnęła się przestraszona. Spostrzegła, że był to inny klucznik.

- Co o dziewiątej? - zapytał strażnik, siląc się na uprzejmy uśmiech.
- Gdzie jest tamten odźwierny? - zapytała Mercedes. - Dlaczego nie widzę go tutaj?
- Wyjechał, seniorito, do krewnych na wypoczynek. Biedak był przepracowany...

Otwierać ciężką furtę trzy czy cztery razy dziennie, to było zbyt wiele dla niego!

Nie zorientowała się, że strażnik drwił.

- Nic mi nie mówił, że wyjedzie! - rzekła zmieszana.
- Zapomniał widocznie, seniorito!

Mercedes zastanawiała się przez chwilę. Spojrzała badawczo w oczy strażnikowi, lecz nic w nich nie wyczytała. Zdobyła się wreszcie na odwagę:

- Słuchaj, senior, dam ci możliwość zarobienia dwustu peso. - Ładna sumka!
- Więc chcesz zarobić te pieniądze?
- Kto by nie chciał?
- Zarobisz je bez trudu. Otworzysz furtę o dziewiątej wieczór i nie będziesz się przyglądał zbytnio temu, kto opuści o tej porze mury więzienne!

- To nie będzie takie łatwe! Są dwaj wartownicy!

- Ci są z nami!

- Zmieniono ich przed godziną.

- Wszyscy czterej są z nami!

- Źle mnie zrozumiałaś, seniorito. Zmieniono wszystkich czterech. To są nowi ludzie. I dozorca celi również został zmieniony! Mercedes milczała. Ogarnął ją niepokój. Zrozumiała, że coś wisi w powietrzu.

Przysunęła się do furty.

- Proszę mnie wypuścić - rzekła.

- Niestety, nie mogę seniorito. Otrzymałem rozkaz niewypuszczania nikogo.

Powtórzyła się ta sama historia, co poprzednio. Klucznik wezwał wartownika i biedna Mercedes musiała pójść za nim do naczelnika więzienia.

- Carramba! - mruczał klucznik. - Siedemset peso mógłbym zarobić w ciągu pięciu minut. Gdyby nie ten przeklęty don Alvarez, który śledzi mnie przez okno, wypuściłbym za te pieniądze pół więzienia na wolność dziś wieczorem.



## Ten trzeci

Zefirio na próżno oczekiwał powrotu Dolores. Wreszcie znecierpliwiony opuścił pałac, kierując swe kroki ku gospodzie "Pod białą czapą".

W oddali stał powóz. Ulicę zalegał tłum, który się czemuś przyglądał.

- Do licha! - zaklął Zefirio. - Dam głowę, że moi przyjaciele są powodem tego zbiegowiska!

Puścił się biegiem i wpadł pomiędzy zebranych gapiów. Przecisnął się w ciągu jednej chwili i stanął w otwartych drzwiach.

Karczmarz schował się pod bufetem. Podłoga była zasłana odłamkami szkła i skorupami talerzy. Wszystkie stoły powywracane, a po sali uganiało się pięć demonów.

Zefirio ogarnął sytuację. Jacyś trzech szlachcice ze szpadami atakowali z furią jego przyjaciół, a Porfirio i Malibrán byli bezbronni. Jedyną ich osłoną były krzesła, które trzymali w ręku. Zasłaniaли się nimi dość zręcznie. Szpady cięły powietrze, ostrza zawsze napotykały na siedzenie krzeselka.

- Zapłacicie oberżycie za krzesła, senores! - mówił Porfirio. - Zrobiliście z każdego krzesła przetak.

- Zaraz z ciebie również zrobię sito! - ryknął szlachcic w odpowiedzi, podwajając zaciekłość ataku.

Zefirio wpadł pomiędzy walczących.

- Stój! - krzyknął. - W imieniu księcia rozkazuję wam zatrzymać się!

W podobnych wypadkach słowo "książę" działało jak kubeł zimnej wody wylanej na głowę. Zefirio wiedział o tym i nie odmawiał sobie tej przyjemności. Ułatwiało mu to znakomicie zadanie i nic nie kosztowało.

- Co się tu dzieje? - zapytał wodząc groźnie oczami.

- Kto jesteś, że występujesz w imieniu księcia? - zapytał zezowaty jegomość. - Jakim prawem wtrącasz się do spraw, które cię nie obchodzą?

- Dowiesz się, gdy noc spędzisz w twierdzy! - odparł Zefirio prostując się dumnie. - Jestem nowym adiutantem księcia!

- Tak, to adiutant księcia Ramida! - potwierdził Porfirio. - Sam widziałem, jak grał dziś z księciem w bilbokieta!

- Który z was zaczął? - zapytał surowo Zefirio. - Muszę wiedzieć, który z was zostanie ukarany!

- Siedzieliśmy spokojnie i rozmawialiśmy, senor - relacjonował Porfirio. - Rozmawialiśmy o tym i owym, nie zwracając najmniejszej uwagi na tych senorów... Nagle jeden z nich...

- Przepraszam... - przerwał dworzanin z czerwonym nosem.

- Milczeć! - huknął Zefirio. - Niech jeden mówi!

- Otóż jeden z nich - ciągnął dalej Porfirio - skoczył ku nam klnąc straszliwie, wyrzucił wszystkie butelki, po czym wszyscy trzej rzucili się na nas, nie podając powodu! Nie wiem, senor, co to są za ludzie, lecz sądzę, że to uciekinierzy z domu wariatów!

- Słyszysz, senor?! - wrzasnął dworzanin z czerwonym nosem, chwytając za szpadę. - Słyszysz? Znów nas obraża!

- Żądam, byście się uspokoiли, senores! - zawołał Zefirio z godnością. - Teraz proszę, ten senor niech mówi!

Czerwononosy odkaszlnął i namiętnie gestykulując zaczął mówić:

- Wszystko to nieprawda, co ten oskubany powiedział...

- Co, oskubany? - wrzasnął z kolei Porfirio. - Słyszysz senor? Ubliża mi ten szlachetka z piwonią pośrodku twarzy!

- Cicho! - zawołał Zefirio. - Nie przerywać mu, niech mówi!

- Ja mu tego nie daruję! - ryknął szlachcic, wyciągając szpadę z pochwy. - Niech zginę w podziemiach twierdzy, lecz tej piwonii nie puszczę płazem... Do mnie, towarzysze!...

Zefirio wyciągnął pistolet z kieszeni.

- Nie ruszać się z miejsca! - zawołał. - Ja tu jestem sędzią i ten, który zacznie, dostanie kulę w łeb! Schowaj szpadę i opowiadaj dalej... Za owe obelgi zostanie odpowiednio ukarany, możesz być spokojny, senor.

Dworzanin schował szpadę i opowiadał.

- Siedzimy spokojnie, aż tu słyszę, jak ten chudy drwi z mego nosa.

- W jaki sposób? - zapytał Zefirio.

- Człowiek z czerwonym nosem, powiada, nie powinien żyć na świecie. Powinien popełnić samobójstwo.

- Tak powiedział? - zdziwił się Zefirio.

- Dosłownie.

Zefirio zmarszczył surowo brwi i zwrócił się do Porfiria.

- Przesadzasz, senor. Ten człowiek ma rację. Nie popełnia się samobójstwa z powodu zbyt jaskrawego koloru jakiejś części twarzy. Co najwyżej nie powinno się wychodzić z domu.

- Przyznaję ci słusność, senor - odpowiedział ze skruczą Porfirio.

- Zostaniesz ukarany za to, że przesadzasz. Jedna sprawa załatwiona! Zwrócił się do zezowatego:

- Teraz ty opowiadaj, senor.

- Było to tak... Siedzieliśmy spokojnie...

- Słyszałem, że siedzieliście spokojnie. Do rzeczy, w jaki sposób ci ubliżył?

- Powiedział, że powinienem dać sobie wybić jedno oko, by nikt nie poznał, że zezuję.

- Jesteś niepoprawny, senor! - zawołał surowo Zefirio, zwracając się do Porfiria. - Czy nie wystarczy, gdy jedno oko przewiąże się kawałkiem materiału?

- Zupełnie wystarczy, senor - przyznał z pokorą Porfirio. - Wina twoja się zwiększa...

Następny niech opowiada.

- O mnie powiedział, że mam zbyt długą szyję i powinienem ją sobie związać na węzeł.

- Co? Na węzeł?! - zawołał Zefirio oburzony. - To zgroza... W jaki sposób połykałbyś wino i inne napoje? Ten człowiek, jak widzę, to niebezpieczny przestępca, swymi radami nie dopomaga bliźnim, lecz raczej im szkodzi!

- Wybacz mi, senor! - odezwał się Porfirio. - Nie wiem, jak powinienem inaczej poradzić człowiekowi, który ma głowę osadzoną zbyt daleko od ramion.

- Żyrafa ma głowę jeszcze wyżej, a jednak nie widziałem, by sobie szyję wiązała na węzeł. Wystarczy, jeśli człowiek ramiona uniesie jak najwyżej i już wszystko w najlepszym porządku. Ale dosyć tego... Marsz za mną do twierdzy.

Wyszedł, a za nim podążyli Porfirio i Malibrán.

Trzej dworzanie pozostali na swych miejscach, spoglądając na siebie wzrokiem pełnym przykrego zdumienia. Nic a nic nie zrozumieli z tego wszystkiego.

Gdy powóz już był daleko, odezwał się wreszcie mężczyzna o czerwonym nosie.

- Hę, coś mi się wydaje, że ten sędzia również z nas zakpił.

## Niespodziewane spotkanie

Kiedy Mercedes, w towarzystwie wartownika, weszła do kancelarii naczelnika więzienia, wzrok jej padł na dwie siedzące postacie. Poznała mężczyznę. Zatrzęsła się przerażona. Nigdy by nie przypuszczała, że zobaczy go w tym miejscu. A gdy kobieta w czarnej mantyli odwróciła się do niej profilem, Mercedes poznała siostrzenicę księcia Ramida.

- Co ty tu robisz, Dolores? - zawołała Mercedes przerażona.

- A co ty tu robisz? - przestraszyła się również Dolores.

Don Alvarez siedział w fotelu naczelnika więzienia i uśmiechał się ironicznie.

- Dlaczego nie zapytacie, moje piękne seniority, co ja tu robię? - rzekł z sarkazmem.

Obie milczały przygnębione, nie wiedząc co odpowiedzieć.

Don Alvarez wstał, uklonił się wytwornie i ciągnął dalej:

- Co do mej osoby, łatwo mi będzie się wytłumaczyć. Dobiegła mnie wieść, że ktoś przekupił straż więzienną. W jakim celu?... Proste! By ułatwić ucieczkę jednemu z więźniów. Miała to być jakaś kobieta. Jako dowódca wojskowy Aragonii nie mogłem przecież zezwolić, by więzień uciekł, choćby nawet przez wzgląd na szacunek dla płci pięknej. Zastąpiłem więc chwilowo naczelnika więzienia, wydając jednocześnie rozkaz, by mi przyprowadzono ową senioritę, gdy się zjawi w bramie. Czekałem niecierpliwie i cóż widzę? Zamiast jednej aż dwie przedstawicielki pierwszych rodów starej Hiszpanii!...

Odetchnął, po czym zapytał znienacka:

- A więc, która z was chciała uwolnić Zorrę?

Dolores i Mercedes spojrzały sobie w oczy.

- Milczycie? - rzekł don Alvarez, wstając. - Ha, trudno, widocznie dozorca się omylił! Nie będę was zatrzymywał, moje seniority!... Pozwólcie zatem, że was odprowadzę! Wystarczy mi, że wiem wszystko.

Wyszli z kancelarii i przeszli przez dziedziniec. Po drodze don Alvarez mówił z uśmiechem, który nie schodził z jego suchej twarzy:

- Rozumiecie chyba, moje urocze seniority, że gdybym chciał, mógłbym zgubić was obie. Przekupstwo strażników więziennych, ho, ho, to jest przestępstwo nie lada i zwykły śmiertelnik nie wykpiłby się tak łatwo z tej sprawy... Ale seniorita Dolores nie jest zwykłą śmiertelniczką, podobnie jak seniorita Mercedes, córka generała Borrage... Oczywiście nie bardzo mi się uśmiecha skandal towarzyski, jaki mógłbym wywołać wśród najwyższych sfer

Hiszpanii. Toteż będę milczał, ale... - tutaj urwał i spojrzał znacząco na Dolores - ... ale nie za darmo...

Dolores wzruszyła ramionami. Odzyskała już swą zimną krew.

- Jakiej zapłaty żądasz za milczenie, senor? - zapytała zwracając się doń.

Pułkownik nie odpowiedział. Udał, że nie słyszał pytania.

Zbliżył się do odźwiernego i wydał rozkaz cichym głosem.

Klucznik otworzył furtę i przepuścił obie dziewczyny, którym towarzyszył don Alvarez.

- A teraz pozwólcie, moje panienki, że je pożegnam! Mam wiele spraw do załatwienia! Księżniczko! - zwrócił się do Dolores. - Ośmielę się złożyć ci wizytę jutro przed południem. Sądzę, że zostanę przyjęty!

Skłonił się z ugrzecznieniem i oddalił się. W swym roztargnieniu zapomniał, że zostawił swego wierzchowca w stajni więziennej. Powrócił więc i zapukał do bramy.

Klucznik otworzył i don Alvarez wszedł z powrotem do więzienia.

Niebawem do bramy znów zapukano.

- Czwarta wizyta w ciągu godziny - mruknął klucznik. - Jeśli tak dalej pójdzie, trzeba będzie zmienić zawiasy.

Uchylił drzwi i rzucił opryskliwie:

- Do kogo i po co?

## Skok w przepaść

Przed bramą więzienia stał Zefirio.

- Najgłębszy szacunek składam u twych stóp, ideale wzorowych kluczników więziennych!... - zaczął.

Klucznik mruknął coś wściekle i zatrzasnął furtę.

Rozległo się pukanie, tym razem silniejsze.

Klucznik znów uchylił drzwi i rzucił:

- Do kogo i po co?

- Wybacz mi, czcigodny cerberze...

- Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć - warknął klucznik. - Nie nazywam się Cerber. Myślisz zapewne o poprzednim kluczniku... Ja go zastępuję.

- Mniejsza o to, czcigodny panie! Jak się nazywasz, tak się nazywasz! Nie imię zdoła człowieka, lecz człowiek swe imię...

Nie skończył, albowiem klucznik z hukiem zatrzasnął furtę po raz drugi.

- Ograniczony człowiek - wzruszył ramionami Zefirio. - Nie zna się wcale na grzeczności!

Chciał zapukać po raz trzeci, gdy wtem rozległ się łoskot odsuwanych rygli. Brama otworzyła się szeroko, przepuszczając jeźdźca.

- Senor Alvarez! - zawołał radośnie Zefirio. - Ogromnie się cieszę, że cię widzę! Szukałem cię po całym mieście i nigdzie nie mogłem znaleźć. Kto by przypuszczał, że znajdujesz się w więzieniu?.. Świetnie się składa, że się spotkaliśmy akurat w tym miejscu!

- Witaj mi, Zefirio! Chciałeś mówić ze mną?

Zefirio zbliżył się do konia i wspinając się na palce, szepnął tajemniczo:

- Nie oddalaj się stąd, senor! Pozostań w więzieniu.

- Dlaczego?

- Dowiedziałem się, że Zorro ma uciec. Straż została przekupiona!

- Tak? - udał zdziwienie don Alvarez. - A kto się tego dopuścił?

- Pewna senorita! Nazwiska nie mogę wyjawić! Nie wymagaj tego od mnie. Honor caballera mi nie pozwala.

- Nie nalegam, mój drogi Zefirio!

- A więc wracaj do więzienia!

- Nie obawiaj się, senor, Zorro nie ucieknie. Jest dobrze pilnowany!

Słyszając to Zefirio nie krył swego oburzenia:

- Jak to? - zawołał. - Ja cię uprzedzam, że straż została przekupiona, a ty wzruszasz ramionami? Tak nie uchodzi, senior! Lekceważysz niebezpieczeństwo, gdyż nie twoja skóra jest na szwank narażona! Kto go wydał w ręce władzy?.. Ja! Dzięki komu zdarto z niego maskę i poznano jego prawdziwe oblicze?.. Dzięki mnie!... Na kim zemści się Zorro, gdy uda mu się uciec?.. Na mnie! Uśmiechasz się, senior, a ja nocami nie sypiam z obawy, że wymknie się ze swej celi. Tak dalej być nie może!...

- Więc o co ci chodzi, senior Zefirio? - zapytał Alvarez szczerze ubawiony.

- Wydaj rozporządzenie, by mnie wpuszczano do więzienia, ile razy zechcę tam wejść, i by mi nie broniono dostępu do więźnia! - Chcesz sprawdzić, czy nie zdjął kajdan z siebie?

- Właśnie!

- Dobrze! Chodź ze mną. Polecę cię naczelnikowi więzienia.

Zsiadł z konia, uwiązał go przy murze i zapukał do furty. Furta uchyliła się i don Alvarez wszedł do środka. Zefirio postępował tuż za nim.

- Ozdobna mumio odźwierzy piekielnych - rzucił klucznikowi przechodząc obok. - Przyjm pozdrowienie od pokornego sługi twego, który cię czci na równi z Belfegorem!

- Nie znam takiego! - mruknął dozorca.

- To go poznasz... Miejmy nadzieję!

- Słuchaj, senior, czyś zawsze taki gadatliwy?

- Zawsze gdy wchodzę do więzienia, gdy zaś z niego wychodzę, nic nie mówię! Ani jednego słowa nie usłyszysz ode mnie. Zapamiętaj więc sobie, Kaligulo, że wychodząc nic a nic nie mówię. Jeśli więc chcesz uniknąć reprimendy...

- Czego? - zapytał klucznik. - Reprimendy!...

- Co to jest?

- Wszystko jedno!... Jeśli więc chcesz uniknąć reprimendy, zastosuj się do tego, co ci mówię. Nic nie mów do mnie, gdy wychodzę, natomiast pozwalam ci rozmawiać, gdy wchodzę. A więc pozwól teraz, że pożegnaj cię uroczyście i pójdę w ślad za mym dobroczyńcą, pułkownikiem don Alvarezem, który w obecnej chwili oddala się ode mnie.

Zefirio rzucił się w ślad za Alvarezem, który go znacznie wyprzedził.

Don Alvarez wszedł do gabinetu naczelnika i rzekł wskazując Zefiria:

- Oto młodzieniec, który wydał nam Zorrę. Don Guardano, polecisz klucznikom, by go wpuszczano do więzienia, ilekroć zażąda. Będziemy z niego mieli świetnego dozorcę!

Zefirio skłonił się nisko i obaj wyszli.

Na dziedzińcu pożegnali się. Don Alvarez skierował się ku bramie, Zefirio zawrócił

do więzienia, kierując swe kroki w stronę wejścia do lochów.

Jose leżał na barłogu i rozmyślał. Nie mógł zrozumieć, co miała oznaczać to nagła zmiana. Zamiast wykwintnego obiadu, dozorca, którego widział po raz pierwszy, przyniósł mu wstrętną lurę i kawałek czarnego chleba. Kolacji nie otrzymał o zwykłej porze.

Leżał więc i mrucał:

- I wierz kobietom! Przysięgły mi wolność, a nie przysyłają nawet jedzenia! Szkoda, że odrzuciłem usługi Motela.

Nagle ponure rozważania zostały przerwane odgłosem kroków.

- Nareszcie kolacja! - rzekł półgłosem i westchnął z ulgą.

Lecz zamiast kolacji ujrzał w swej celi jakiegoś nieznanego młodzieńca, któremu towarzyszył klucznik.

- Dzień dobry, Zorro! - rzekł Zefirio. - Jak się czujemy w tej dziurze? Nieszczególnie, co?

- Hm! - mruknął Jose.

- Przynoszę ci wiadomość, mój zuchu, piękną wiadomość!

Egzekucja została zatwierdzona. Zostaniesz powieszony!

- Bez sądu?! - krzyknął Jose, zrywając się z posłania.

- Bez sądu! Wina twoja została przecież udowodniona - mówił Zefirio, cofając się przezornie ku drzwiom. - Sąd w danym wypadku jest zbyteczny! Zorro musi zawisnąć!

- Nie zgadzam się! - krzyczał Jose. - Nie chcę odpowiadać za kogo innego!

- Jeśli masz mi coś do zakomunikowania, mogę powtórzyć twe słowa księciu.

- Tak, chcę wyjawić pewną tajemnicę!

- Chcesz mówić przy kluczniku, czy też wolisz, by wyszedł?

Jose zastanowił się w ciągu sekundy. Zefirio czekał w napięciu. Od odpowiedzi tej zależało wszystko.

- Wolę, by wyszedł - odpowiedział Jose. - Nie chcę nikomu wyjawić tej tajemnicy, tylko tobie, gdyż powtórzysz to, co powiem, księciu.

- Ha, trudno! Jeśli nie chcesz mówić przy dozorczy, będzie musiał wyjść!

Dozorca wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

- Rozmyśliłem się - odezwał się Jose. - Nic nie powiem! - Jeśli liczysz na pomoc seniorit, to się srodze zawiedziesz. - Jak to? - zapytał Jose przestraszony.

- Wszystko się wydało! Straż więzienia została zmieniona i nie możesz na nią liczyć!

- Widzę, że nie ma innego wyjścia! - rzekł Jose z przygnębieniem. - Wszystko powiem, otóż...



- Nie jesteś Zorzą! To chciałeś powiedzieć, nieprawdaż?

- Taak!...

- Wiem o tym tak samo dobrze jak ty!

Zdumienie pojawiło się na twarzy więźnia. Zefirio zaś mówił dalej:

- Dlatego pragnę cię uwolnić! Ale stawiam jeden warunek: musisz opuścić Saragossę, i to natychmiast.

- To jest niemożliwe... Nie mogę zostawić Frasquity!

- Frasquita opuściła miasto. Jest w drodze do Lizbony!

- Carramba! Zabrała moje pieniądze!

- Mylisz się... To ja jej dałem na podróż! Więc zgadzasz się uciec do Portugalii?

- Zgadzam się!

- Więc przystępujemy do dzieła.

Zefirio wyciągnął z kieszeni sznury oraz mały kluczyk.

- Uważaj, Jose - rzekł przystępując do niego. - Zdejmę ci kajdany, natomiast ty musisz mnie związać i zakneblować. Weźmiesz mój płaszcz i sombrero, po czym zapukasz na dozorcę. Gdyby o coś się pytał, mrukniesz: Idę do księcia! Na zewnątrz jest już ciemno... Przechodząc obok strażnika przy bramie, rzuć mu: "otwórz bramę!" Gdyby coś do ciebie mówił, nie odzywaj się ani słowem!

- Dobrze!... Będę pamiętał!

Kajdany opadły na ziemię. Jose związał i zakneblował Zefiria, otulił się w jego płaszcz, nacisnął sombrero na oczy i zapukał do drzwi. Rozległy się kroki dozorca, który czuwał w pobliżu i drzwi otworzyły się. Jose wyszedł i poszedł wzdłuż korytarza.

- No i cóż? - zapytał dozorca. - Wyjawił ci tajemnicę, senor? - Idę do księcia! - mruknął Jose, przyspieszając kroku.

- Ciekaw jestem, czy to wpłynie na decyzję książęcą! Oni wszyscy są tacy, ci skazańcy. Pragną za wszelką cenę odwlec egzekucję, a więc wynajdują różne tajemnice i inne wykręty.

Jose miał chęć zdzielić przez łeb gadatliwego dozorcę, lecz się powstrzymał wielkim wysiłkiem woli. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło!

- Otwórz bramę! - rzucił zbliżając się ku odźwiernemu.

Klucz zgrzytnął w zamku.

- Kto to jest Belfegor, senor? - zapytał klucznik, któremu ciekawość nie dawała spokoju.

Jose milczał.

- Coś nie bardzo jesteś rozmowny teraz, senor! Mógłbyś mi jednak wytłumaczyć...

Lecz Jose wysunął się przez otwartą furtę i znikł w ciemnościach.

Klucznik puknął się w czoło.

- Biedny człowiek, z głową ma nie w porządku! To prawda, co mi powiedział, że gdy wchodzi do więzienia gada zbyt wiele, natomiast nic nie mówi wychodząc! Gdy powróci nazajutrz, musi mi koniecznie powiedzieć, kto to jest ten Belfegor!

Zaledwie Jose przeszedł przez most, jakaś postać wyłoniła się z ciemności i zbliżyła się ku niemu.

- A więc udało się, Jose! Pozwól, że cię odprowadzę do domu.

- To ty, Motelo? - zapytał Jose.

- Tak, to ja! - Skąd wiedziałeś, że wyjdę?

- Odrzuciłeś mą pomoc, licząc na różne księżne, hrabiny i królowny. Ja jednak wiedziałem, że wszystko zawiedzie w ostatniej chwili!

Jose szedł w milczeniu. Nie starał się zgłębiać tajemnicy swej ucieczki, myślał teraz o Frasquicie oraz o pieniądzach schowanych w mieszkaniu.

Wkroczyli w ciasne uliczki biednej dzielnicy i niebawem dotarli do celu. Po drodze Jose nie zwrócił uwagi na powóz stojący w poprzecznej ulicy. Powóz ten stał samotnie w ciemności. Od czasu do czasu końskie prychnanie oraz niecierpliwe grzebanie kopytem zdradzało czyjąś obecność.

- Żegnaj, Motelo! - rzekł. - Idę na górę. Położę się spać! - Oszalałeś? Przecież będą cię szukać! Musisz natychmiast uciekać z miasta! Weź tylko potrzebne rzeczy i w drogę.

- Ani mi się śni! Muszę najpierw złożyć wizytę mej księżniczce! Nie mogę wyjechać bez pożegnania.

Motelo był wściekły. Klął i wymyślał, lecz to nic nie pomogło. Jose zostawił go na ulicy i sam udał się do swego mieszkania.

Zaledwie przekroczył próg, rzucił się na podłogę w kącie i zaczął odrywać deski. Po chwili westchnienie ulgi wyrwało się z jego piersi. Pieniądze don Sebastiana leżały nietknięte. Wpakował je do kieszeni i zdjął sombrero z głowy, zamierzając położyć się w ubraniu do łóżka. Wtem na ulicy rozległ się cichy świst. (W ten sposób męty Saragossy uprzedzają się nawzajem o grożącym niebezpieczeństwie). W kilku susach zbiegł po schodach i wypadł na ulicę. W tej samej chwili trzy pary rąk ujęły go za ręce i nogi. Zanim zdążył pomyśleć o obronie, został powalony na ziemię i solidnie skrupowany. W ciemności nie mógł odróżnić swych napastników, którzy działali szybko, sprawnie i w milczeniu. Poczul, że go podnoszą z ziemi i niosą w niewiadomym kierunku. Nie zanesiono go jednak zbyt daleko. Usłyszał, że

otwierają jakieś drzwiczki i pakują go do środka. Opadł na miękkie siedzenie. Dopiero teraz zrozumiał, że znajduje się w powozie.

Jeden z napastników dostał garść złota. Jose usłyszał słowa: W porządku, senores, i dziękuję! Głos ten nie był mu nieznajomy.

To Motelo! pomyślał. Poczekaj, zdrajco, już ja się z tobą policzę, gdy wydostanę się z tej opresji!

Jakiś człowiek wlaźł do karety i usiadł obok niego. Drugi siedział na koźle. Rozległ się trzask bata i konie ruszyły.

Jak długo jechali, nie miał pojęcia, gdyż znużony przeżyciami ostatnich kilku godzin, zasnął, pomimo więzów, które go krępowały. Gdy się obudził, kareta sunęła drogą po zboczu góry.

Jose poruszył swobodnie ręką. Był wolny. Więzy zdjęto z niego podczas snu. Spojrzał w bok i spostrzegł grubego młodzieńca, który - wciśnięty w kąt powozu - spał spokojnie.

Jose otworzył ostrożnie drzwiczki i zmierzył odległość oczami. Już miał skoczyć, gdy potężna ręka schwyciła go z tyłu za kołnierz i rzuciła na siedzenie w powozie.

- Nie opuszcza się przyjaciół bez pożegnania lub bez słowa podziękowania - rzekł gruby młodzieniec, a był to Malibran. - Dobrze, że się w porę obudziłem. Roztrzaskałbyś głowę o skały, mój Jose.

- Dlaczego mnie więzicie? - zapytał ponuro Jose, rozglądając się jednocześnie za jakąkolwiek bronią.

- Kto cię więzi? - zdumiał się Malibran. - Co ci się przywidziało?

- A więc co ma znaczyć ten napad w nocy, te sznury, którymi skrępowaliście mnie całego, ten powóz, który wiezie mnie nie wiadomo dokąd?

- Trochę cierpliwości, mój Jose, zaraz ci wszystko wytłumaczę. Przede wszystkim muszę zaznaczyć, że nie spodziewaliśmy się po tobie takiej czarnej niewdzięczności. Jeden z mych przyjaciół poświęcił się dla ciebie i gnije teraz w lochu, ty zaś ściskasz rękojeść noża w kieszeni, gotów przebić mnie w momencie, gdy się odwrócę...

Jose wypuścił nóż z ręki. Malibran mówił dalej:

- Przyrzekłeś memu przyjacielowi, że opuścisz Saragossę natychmiast po dokonanej ucieczce z więzienia. Zamiast tego udałeś się do domu na spoczynek, by nazajutrz złożyć wizytę księżniczce. Czy mój przyjaciel po to się poświęcił, byś mógł swobodnie składać wizyty senioritom? Nie, mój spryciarzu. Tam w Lizbonie czeka na ciebie Frasquita. Należy dochować jej wierności. Zapomnij o arystokratkach, które dbają o ciebie dopóty, dopóki sądzą, że jesteś prawdziwym Zorrą. Nie powinieneś jednak zapominać, że jesteś zwykłym

opryszkiem i rzezimieszkiem, któremu przewróciło się w głowie, z chwilą gdy go wzięto za kogoś innego!

- Wracajmy do Saragossy! - mruknął Jose.

- Nie zapominaj, że w Lizbonie będziesz prowadził spokojne życie wraz z Frasquitą!

Lecz Jose nie chciał nic słyszeć o spokojnym życiu. Tam, w Saragossie, polowano zapewne na niego, naznaczono cenę za jego głowę. Jose kochał się jednak w niebezpieczeństwie. Zapomniał o swym wyroku śmierci, zapomniał o zgniłej słomie, o lochu bez światła i powietrza, zapomniał o wszystkim i tylko powtarzał uparcie:

- Wracajmy do Saragossy!

Malibran wyczerpał wszystkie argumenty i stracił wreszcie cierpliwość:

- Możesz pożegnać się z Saragossą, nicponiu! Prędzej kark skrećisz, niż do niej powrócisz...

Nie dokończył, gdyż został gwałtownie odepchnięty i upadł na poduszki.

Jose otworzył drzwiczki i wyskoczył z toczącego się powozu.

Powóz, kierowany przez Porfiria, sunął powoli drogą prowadzącą przez góry. Z jednej strony karety wznosiła się stroma, skalna ściana, z drugiej zaś znajdowała się głęboka przepaść. Odległość pomiędzy kołami pojazdu a krawędzią przepaści wynosiła trzy, cztery kroki. Jose spodziewał się, że zdoła utrzymać się na tej piędzi ziemi i skoczył.

Niestety, skok był źle obliczony, gdyż nie wziął pod uwagę otwartych drzwiczek powozu. Został nimi uderzony i runął prosto w przepaść.

- Stój, Porfirio, stój! - ryknął Malibran. - Jose wyskoczył z karety!

Porfirio ściągnął lejce i zeskoczył z kozła. Malibran klęczał nad krawędzią i patrzył w dół.

- Stoczył się po zboczu góry.

- Musimy zejść! - odparł Porfirio. - Przekonamy się, czy żyje!

Pozostawili powóz na drodze, a sami, czepiając się wystających kamieni i nierówności zbocza, zsunęli się na dół.

Jose leżał twarzą do ziemi.

Porfirio odwrócił go na plecy. Bandyta nie żył.

- Jakie życie, taka śmierć! - rzekł sentencjonalnie Malibran. - Przedwczesny zgon był mu sądzony.

- Musimy go jednak pochować po chrześcijańsku - zdecydował Porfirio.

## Domek don Antonia

Zmierzch zapadł. Don Antonio stał oparty o drzewo i paląc cigarillo, oddychał świeżym, wieczornym powietrzem.

Uważniej mu się przyglądając, można było dostrzec, że błędzący wzrok jego spoczywał od czasu do czasu na oddalonym domu Anzelma Cortiego, w którym paliły się światła w oknach.

- Jeszcze dwie, trzy godziny, a zabieramy się do dzieła - szepnął don Antonio. - Zaczniemy, gdy pogasną światła.

Powolnym krokiem udał się z powrotem do domu don Sebastiana.

Wszedł do pokoju przeznaczonego dla jego ludzi. Siedzieli przy stole i grali w karty.

- Don Antonio, przyłącz się do nas! - zawołał jeden z nich. - Brak nam czwartego partnera.

- Grajcie beze mnie. Głowę mam zaprzątniętą czym innym! - Będziemy mogli przystąpić do roboty?

- Należy poczekać! Jeszcze nie czas!

Don Antonio poprawił knot w świecy i usiadł w milczeniu.

Przesiedział w ten sposób około godziny, przyglądając się grającym. Zabrakło mu jednak cierpliwości. Wstał i wyszedł powtórnie na dwór. Przebył szybko odległość dzielącą go od posiadłości Cortiego i rzucił wzrokiem w kierunku jego domu. Wszystkie światła pogasły. Tylko w jednym oknie świeciło się jeszcze.

- Wszyscy prawie śpią! - mruknął don Antonio. - Zdaje się, że będziemy mogli zacząć. Należy się jeszcze upewnić, czy don Sebastiano nie złoży nam niespodziewanej wizyty, by się przekonać, co robimy!

Zawrócił ku domowi i udał się prosto do pokoi zajmowanych przez don Sebastiana.

Zastał go przy sprawdzaniu rachunków gospodarskich.

- No i cóż powiesz, senor? - zapytał don Sebastiano, unosząc głowę. - Nie rozmyśliłeś się jeszcze? Wciąż chcesz budować domek na kamieniach?

- Pragnę tego bardziej niż kiedykolwiek! Krajobraz jest wspaniały!

- Nie wiem doprawdy, co widzisz tam pięknego. Łąki i pola ciągną się aż do zabudowań Anzelma Cortiego. Z przeciwnej zaś strony widok na lasy należące do mnie. Nie ma tu nic oryginalnego!

- Spędziłeś tutaj wiele lat, don Sebastiano - odparł don Antonio i ziewnął. - Nic więc

dziwnego, że nie znajdujesz w tej okolicy żadnego uroku. Dla nowo przybyłego okolica ta jest piękna!

- Możliwe! - zgodził się don Sebastiano. - Z tego punktu widzenia może masz rację!

- Tymczasem pozwolisz, że cię pożegnam. Ja i moi ludzie znużeni jesteśmy podróżą. Należy nam się wypoczynek, wobec tego idziemy wszyscy spać!

Pożegnali się i don Antonio wyszedł. Myliłby się, jeśliby sądził, że don Sebastiano siedział w dalszym ciągu przy stole, pogrążony w kolumnach cyfr.

Zaledwie don Antonio zamknął drzwi za sobą, don Sebastiano odsunął papiery od siebie i szepnął:

- Chytry lis! Ziewa ostentacyjnie i myśli, iż mu wierzę, że idzie spać. Ta jego bajeczka o domku dla córki coś w sobie kryje. Ale co?

Wstał i zbliżył się ku drzwiom, mówiąc:

- Ciekaw jestem, czy rzeczywiście poszli spać!

Wyszedł z domu i po cichu go okrążył.

W tej samej chwili skoczył na bok, kryjąc się za załamem muru. W migotliwym blasku gwiazd dojrzał cztery cienie ostrożnie oddalające się od domu. Skradając się jak kot, don Sebastiano poszedł za nimi.

Ludzie przekroczyli granicę posiadłości Anzelma Cortiego i sunęli naprzód bezszelestnie. Po pewnym czasie padł cichy rozkaz:

- Stój!! Muszę poczynić wymiary!

Don Antonio coś mierzył pochylając się ku ziemi. Odmierzył przestrzeń krokami, zawrócił, coś wyliczał półgłosem, wreszcie rzekł:

- Musimy iść dalej!

Poszli naprzód. Gdy znaleźli się nie opodal zabudowań Cortiego, don Antonio zatrzymał ich i ta sama scena powtórzyła się. Na koniec kiwnął na swych ludzi i rzekł półgłosem:

- Skarb powinien być tutaj.

Don Sebastiano, który korzystając z ciemności, nie odstępował ich na krok, drgnął słysząc te słowa. I zaczął pojmować w czym rzecz.

Aha, ty lisie! Ładny domek chciałeś budować! Co za bezczelność! Korzystać z mych gruntów, ażeby wygrzebywać dla siebie zakopane skarby! Ale przeliczył się. Zapomniał, kochany don Antonio, że ma do czynienia ze swym starym przyjacielem Sebastianem! Chciał mnie ominąć przy podziale, mimo że korzysta z mej gościny!... Zobaczymy, kto będzie się śmiał ostatni!

Podczas gdy tak rozmyślał leżąc brzuchem na ziemi, ludzie w odległości dwudziestu pięciu kroków kopali zawzięcie.

Praca ta trwała około trzech godzin. Rozkopali grunt, lecz nic nie znaleźli. Don Sebastiano słyszał wyraźnie ciche przekleństwa i złorzeczenia.

- Dosyć na dzisiaj! - rozkazał don Antonio. - Nic nie znaleźliśmy teraz, to prawda, lecz znajdziemy następnej nocy. Plan zawiera wskazówki, które można dwojako zrozumieć. Skoro przekonałem się, że tutaj nie ma, przysięgnę, że skarb znajduje się w drugim miejscu zaznaczonym na planie. Następnej nocy wydobędziemy go i niezwłocznie ruszymy z powrotem do Saragossy!

- Jeśli ci wcześniej łba nie ukrećę! - szepnął don Sebastiano, wycofując się ostrożnie.

## Radosna nowina

Mercedes i Dolores siedziały na sofie, jedna obok drugiej, i rzewnie płakały. Od czasu do czasu przestawały płakać, wycierały oczy koronkowymi chusteczkami i spoglądały na siebie wzrokiem pełnym żalu i bóleści.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że również go kochasz? - łkała Mercedes.

Działo się to wczesnym rankiem w pokoju Dolores, nazajutrz po wstrząsającej scenie z don Alvarezem.

Tak były zaprzątnięte swą rozpaczą, że nie słyszały pukania do drzwi oraz nie widziały pokojówki Pepity, która wślizgnęła się do pokoju. Nie zwróciły również uwagi na dziwny ruch, jaki panował za oknami.

Oficerowie i żołnierze biegali tam i z powrotem. Rozlegały się zmieszane głosy, padały urywane rozkazy i przekleństwa.

Pepita wchodząc dostrzegła zaczerwienione oczy obu seniorit i uśmiechnęła się leciutko. Przebiegła dziewczyna znała przyczynę tej rozpacz. Zaczęła się kręcić po pokoju, niby to ścierając kurz i porządkując różne drobiazgi.

Wreszcie obecność jej zwróciła uwagę Dolores.

- Możesz wyjść, Pepito - rzekła do niej z niezadowoleniem w głosie. - Przeszkadzasz nam w rozmowie!

Pepita wiedziała dobrze, co to była za rozmowa.

- Księżniczko! - rzekła. - Chciałam przekazać ci straszną wiadomość...

Obie drgnęły i spojrzały przestraszone na pokojówkę.

Jedna i ta sama okropna myśl przyszła im do głowy: Zorro został stracony!

Dolores wyciągnęła rękę i wyszeptwała słabym głosem:

- Nie, nie, daj spokój... Nie jestem ciekawa, Pepito!

- Szkoda, księżniczko - rzekła pokojówka, uchylając drzwi. - Szkoda, że nie chcesz wiedzieć... Księżę jest w strasznym humorze, wszyscy potracili głowy... Ta ucieczka Zorry...

Była już za progiem, gdy wymawiała ostatnie słowa. Zamknęła drzwi za sobą.

Dolores i Mercedes zerwały się na równe nogi. Jakby pchnięte niewidzialną sprężyną, rzuciły się obie do drzwi i otworzyły je gwałtownie.

- Pepito, Pepito! - zawołała rozdzierającym głosem Dolores. - Wróć!...

Pepita była już w sąsiedniej sali. Weszła z powrotem i zbliżyła się ku senioritom.

- Co rozkażesz, księżniczko? - zapytała na pozór obojętnie.



- Mówiłaś coś o ucieczce Zorry! - zawołały Dolores i Mercedes jednocześnie, przerywanym ze wzruszenia głosem.

- Zorro uciekł ubiegłej nocy!

- W jaki sposób?

- Odwiedził go w celi senor Zefirio. Nie wiadomo jakim cudem Zorro pozbył się łańcuchów, rzucił się na senora Zefiria, związał go, zakneblował, włożył jego płaszcz oraz kapelusz, po czym wyszedł spokojnie z więzienia, nie zatrzymywany przez nikogo...

Dolores i Mercedes dyszały ciężko, słysząc opowieść pokojówki. Dolores chwiała się na nogach. Mercedes nie mogła powstrzymać się od radosnego uśmiechu.

- Książę Ramido szaleje - ciągnęła dalej Pepita. - Wysła oddział za oddziałem, cała okolica została przetrząśnięta, wszystko na próżno, Zorro znikł bez śladu...

- Idę do księcia! - szepnęła Dolores do Mercedes.

- Idę z tobą!

Pobiegły do apartamentów książęcych.

Już z dala słychać było gniewny głos księcia Ramida. Dworacy chodzili na palcach. Wszyscy mieli przerażone miny. Z gabinetu wybiegali co chwila adiutanci, niosąc rozkazy.

Dolores weszła do gabinetu, Mercedes pozostała za drzwiami. W szerokim fotelu siedział don Alvarez. Oblicze jego było nachmurzone. A książę biegał po pokoju jak dziki zwierz. Wściekłość jego była nieopisana. Grzmiał na cały pałac:

- Ten kretyń, ten bałwan zgnije w więzieniu... Dość mam tego Zefiria!... To niesłychane... Dać się powalić skutemu bandycie...

- Odpokutuje za to! - potwierdził ponuro don Alvarez.

W głębi duszy cieszył się, iż Zefirio zostanie ukarany. Nie mógł wybaczyć głupiemu razów, jakie mimo woli otrzymał podczas sławetnego popisu z jabłkiem. Nie zapomniał również dawnych drwin Zefiria na temat jego i Zorry, nie mógł mu wybaczyć ostatnio, że sława pojmania nieuchwytnego bandyty przypadła nie jemu, walecznemu don Alvarezowi.

- Nie wyjdzie z więzienia - dodał po chwili. - Okolice odetchnie pozbywając się tego bałwana!

Dolores żał się zrobiło tego chłopca pokutującego w celi, jako ofiara własnej niezaradności.

- Wybacz, książę - rzekła stanowczym głosem - lecz nie mogę oprzeć się chęci powiedzenia prawdy. Krzywdzicie biednego chłopca...

- Jak śmiesz! - ryknął książę.

- Jak śmiem? - odparła Dolores wcale nie przestraszona wściekłą miną księcia. -

Poczucie sprawiedliwości dodaje mi odwagi. O co go obwiniacie? Czy umyślnie ułatwił ucieczkę Zorry? Stało się nieszczęście i Zefirio pierwszy padł ofiarą...

- Po co laź do celi?

- Dlaczego wpuszczono go? Odpowiadać powinien ten, kto go wpuścił!

Don Alvarez zagryzł wargi z hamowanej wściekłości. Chętnie rozszarpałby Dolores w kawałki. Oczywiście, że winę ponosił on sam, polecając komendantowi więzienia, by wpuszczano Zefiria o każdej porze dnia i nocy.

- To prawda. Dolores ma rację! - zawołał książę. - Winę ponosi ten, kto zezwolił na wypuszczenie głupca do celi. Była to karygodna nieostrożność!

Don Alvarez siedział jak na rozżarzonych węglach. W tej chwili chętnie udusiłby księcia i księżniczkę, gdyby to było w jego mocy.

- Don Alvarez! - zwrócił się książę do pułkownika. - Dowiedz się, kto wpuścił Zefiria do celi!

- Nie potrzebuję się dowiadywać! - odparł don Alvarez ponuro.

-Jak to?

- Niestety, dobrze wiem, kto to uczynił.

- Kto? Mów!

- Ja!

- Ty, pułkowniku? - zdumiał się książę.

- Tak!

- Dlaczego uczyniłeś to, senor Alvarez? - zapytał z powstrzymanym gniewem książę.

Był rad, iż znalazł jakiś pretekst przeciwko don Alvarezowi, temu intrygantowi, który z rozkazu królowej Izabelli II odebrał mu zwierzchnictwo wojskowe.

Lecz oficer zwęszył niebezpieczeństwo, wskutek czego, chcąc się obronić, zmuszony był bronić Zefiria.

- Dlaczego zezwoliłem, by Zefirio wszedł do celi? Bardzo proste! Przecież to Zefirio wydał w nasze ręce Zorrę! Gdyby nie Zefirio, nie znalazłbyśmy nawet prawdziwego oblicza tego bandyty. Więc nie miałem prawa mu odmówić, by go pilnował w jego celi. Zefirio trzął się ze strachu, że Zorro ucieknie z lochu i pomści na nim swe uwięzienie...

- Hm! - mruknął książę w zadumie.

- A więc czyż mogłem odmówić chłopcu, któremu zawdzięczaliśmy unieszkodliwienie Zorry?

- Don Alvarez ma rację, wujku! - zawołała Dolores. - Zefirio miał prawo czuwać nad

więźniem. To że stało się nieszczęście, nie jest jego winą.

- Więc co mam uczynić według ciebie? - zapytał księżę.

- Wypuścić go natychmiast na wolność! W Aragonii oraz w Kastylii zapanowały nudy bez Zefiria. Wszyscy ziewają aż do zwichnięcia szczęk...

## Uwolnienie Zefiria

Mercedes okazała przepustkę klucznikowi i udała się do kancelarii więzienia.

Komendant więzienia przyjął ją z wielce ponurą miną.

W chwili gdy Mercedes weszła, przed nim stał strażnik więzienia i z bolesnym wyrazem twarzy coś mu przedkładał.

- Seniorita? - zapytał komendant.

- Przychodzę w sprawie Zefiria Cortiego.

- Niech go pioruny utłuką! - wrzasnął naczelnik więzienia, zrywając się z miejsca. - Nie chcę nic słyszeć o nim!

- Dlaczego? - zapytała zdumiona.

- Carramba, maładetta i milion piorunów siarczystych, seniorito! Najgorsi wariaci, zbrodniarze, mordercy i złodzieje wysiadali tutaj za kratami, ale czegoś podobnego nie widziałem, póki żyję. Żaden z kluczników nie chce dyżurować w korytarzu, gdzie znajduje się jego cela. Pół godziny nie można wytrzymać. Więźniowie w celach więziennych szaleją.

- Co się stało, mój Boże? - zawołała Mercedes wystraszona. - Co się stało? Żałuję tylko, że nie mogę tego przeklętego Zefiria wpakować do najgłębszego lochu... Gdyby choć krzyczał lub wył całymi dniami i nocami, to jeszcze pół biedy. Do wycia i krzyków jesteśmy przyzwyczajeni! Ale on, czy wiesz, seniorito, co on robi?

- Skąd mogę wiedzieć? Przecież mi nie powiedziałeś jeszcze, komendancie!

- On tworzy! - ryknął dygnitarz więzienny. - Tworzy wiersze!...

- Tylko to? - roześmiała się Mercedes. - Nie widzę w tym nic złego, że Zefirio z nudów stał się poetą.

- Nic złego?... Ha, ona mówi, że to nic złego!

Paroksyzm wściekłości minął i naczelnik zapytał spokojnym tonem:

- W jakiej sprawie przychodzisz, seniorito?

- Przynoszę uwolnienie Zefiria Cortiego podpisane przez księcia wielkorządcę.

- Cooo? - zerwał się na równe nogi naczelnik więzienia, a na twarzy jego odbiły się radość i niedowierzenie.

Mercedes podała mu papier.

- Bądź błogosławiona, seniorito! - zawołał po przeczytaniu papieru. - Spadasz mi jak z nieba. Już trzeci klucznik chciał podać się do dymisji. Czy chcesz asystować przy jego uwolnieniu?

- Owszem!

- Chodźmy zatem! - zwrócił się do niej oraz do uradowanego klucznika. - Mieliśmy właśnie zamiar, wbrew regulaminowi więziennemu, włożyć mu knebel w usta. Obecnie jest to zbyt bezczelne!

Wybiegł z pośpiechem. Za nim podążył strażnik, dzwoniąc kluczami, pochód zamykała Mercedes.

Niebawem znaleźli się na korytarzu. Panował tutaj hałas i wrzask nie do opisania. We wszystkich celach rozlegały się dzikie okrzyki i przekleństwa. Nad tym piekielnym hałasem górował jednak donośny głos męski, skandujący wiersze.

- Prawdziwa trąba Sądu Ostatecznego! - krzyknął dyrektor do ucha Mercedes. - Skąd się u tego chlerlaka bierze taka siła w płucach? To jest zagadka, której nie mogę zrozumieć!...

- I to trwa prawie dwadzieścia cztery godziny bez przerwy! - dodał pobladły nadzorca, dzwoniąc kluczami.

Stanęli wreszcie przed drzwiami celi.

I podczas gdy klucznik zmagał się z zamkiem, Mercedes słyszała wyraźnie słowa wiersza:

Swój miecz płomiennolśniący zawiesił nad cną Hermenestrą,

Rzekł: nędzna istoto, niewierność przypłacisz konaniem, Kochanek twój zginął i śmierci jam dzisiaj maestro, Śmierć wczoraj, śmierć dziś i śmierć jutro,

Nie skończę tak prędko z karaniem.

Skaranie boskie z nim! - ryknął naczelnik więzienia. - Otwieraj, do licha, czym prędzej! Czego stoisz?

Drzwi otwarły się ze zgrzytem i światło latarni padło na barłóg, gdzie leżał Zefirio ze skutymi rękami i nogami i deklamował grzmiącym głosem:

Cna białogłowa, padając przed nim na kolana,

O Sinobrody, jęknęła, niesłusznie mnie krzywdzisz swym gniewem, Kochałam cię, kocham, do grobu ci będę oddana,

Mej krwi niewinnej, swe dłonie poplamisz, wylewem!

- Krwi twojej, krwi pragnę! - ryknął naczelnik więzienia. - Prędzej, rozkuć go!

Klucznik pośpiesznie rozkuł więźnia.

Zefirio wstał, przeciągnął się, ziewnął i teraz dopiero raczył dostrzec Mercedes.

- A, Mercedes! - zawołał uradowany. - Cieszę się, że cię widzę!

- Jesteś wolny, Zefirio!

- Naprawdę? ... Ach, to dobrze się składa. Wyobraź sobie, że w gardle mi już zaschło

od tych przeklętych wierszy, a w głowie od tworzenia huczy niby w ulu!

Wyszli na korytarz.

Cisza panowała teraz kompletna. Więźniowie, nie słysząc deklamacji, uspokoili się i przycichli.

- Dlaczego wyprawiasz takie brewerie, Zefirio? – zapytała Mercedes, gdy znaleźli się na ulicy.

-Jakie brewerie?

- Te bezustanne krzyki w celi.

- Masz na myśli mą twórczość poetycką?

- Tak!

- Tworzyłem, by zabić nudy; deklamowałem, by wystraszyć szczury!

-Wystraszyć szczury?

- Wyobraź sobie, kuzynko, że szczury boją się głosu ludzkiego! Skuty nie mogłem się bronić w inny sposób! Dobry pomysł, co?

- Kto by pomyślał!

- To mój wynalazek! O, co do pomysłów, jestem niedościgniony, kuzynko!...

Szli pewien czas w milczeniu. Zefirio myślał chwilę, wreszcie się odezwał:

- Dokąd idziemy?

- Powóz czeka nie opodal! Wracamy do domu!

- Jestem głodny po tym wszystkim!

- Prowiant jest w powozie!

- Czy nie widziałaś przypadkiem mych przyjaciół, Porfiria i Malibrana?

- Nie, nie widziałam!

- Hm!... A czy Zorro został ujęty?

- Nie!

- To świetnie!

Mercedes spojrzała zdumiona na Zefiria.

- Sądziłam - rzekła - że zależy ci na schwytaniu Zorry! - Nigdy w życiu! - zaprzeczył Zefirio. - Nie mogło mi zależeć na schwytaniu Zorry, gdyż sam go uwolniłem.

- Cooo? - zdumiała się Mercedes.

- Mówię ci to w zaufaniu, rozumie się. To ja własnoręcznie go uwolniłem!

Lecz na obliczu Mercedes odbiło się niedowierzenie.

- Dlaczego to uczyniłeś? - zapytała.

- Bo to nie był Zorro! - oświadczył spokojnie Zefirio.

- Nie rozumiem...

- To był zwykły opryszek, który podszywał się pod osobę Zorry, by bezkarnie, jak sądził, łupić podróżnych.

Mercedes stanęła spoglądając na mówiącego rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

- Dlaczego nie zastanowiłaś się nad pewną okolicznością? - ciągnął dalej Zefirio. - Znalazłem domniemanego Zorrę leżącego bez przytomności w lesie, prawda?

- Tak!

- Kto go tak urządził? Kto zwyciężył go w pojedynku? Przecież nie ja!

- Więc kto?

- Prawdziwy Zorro! - zakończył z triumfem Zefirio. - Tylko ja się tego domyśliłem. Wiesz kiedy? Gdy leżąc w celi tworzyłem poemat o Sinobrodym i jego ośmiu zamordowanych żonach.

## Skarb

Noc zapadła, ciemna i pochmurna. Wicher dął, chmury przesłoniły gwiazdy i mżył drobny deszcz. Głucha cisza panowała dookoła, przerywana tylko poszumem wiatru.

Z hacjendy don Sebastiana wyłoniła się postać ludzka. Za nią podążyły inne. Zachowując największą ostrożność, grupa ta posuwała się naprzód. Pozostawiła za sobą dobra, z których wyruszyła, i teraz posuwała się po gruntach don Anzelma Cortiego. '

W pewnym oddaleniu za tą grupą podążała inna, zachowując nie mniejszą ostrożność. Widoczne było, iż zależało im na tym, by ludzie idący w pierwszej grupie nie zauważyli ich.

Po pewnej chwili ludzie idący przodem zatrzymali się. Błysnęło nagle światło latarki, z której zdjęto osłaniający ją płaszcz, i jakiś człowiek pochylił się nad papierem. Był to don Antonio, który sprawdzał plan.

- Jest rozdwojone drzewo i ugor na lewo - szepnął. - Za ugiem ciągnie się na pewnej przestrzeni pas kamieni.

Latarka została osłonięta i ludzie ruszyli dalej. Szli dość długo. Wreszcie niewielki, kamienny budynek zarysował się przed nimi.

- Kapliczka! - szepnął don Antonio. - Teraz rozumiem: krzyżyk na planie oznacza kaplicę! Ten drugi krzyżyk nie miał żadnego znaczenia!...

- Kapliczka to mało! - odparł również szeptem drugi mężczyzna. - Nie możemy przecież wysadzić jej w powietrze, by szukać ukrytego skarbu!

- Bądź spokojny, nie będziemy szukać na ślepo. Na planie poza krzyżykiem umieszczona jest mała kropka. Czy wiesz, co ona oznacza?

- Skarb?

- No tak! Skarb ukryty za kaplicą! Za mną!

Zbliżył się do małego budynku, okrążył go i zatrzymał się szepcząc:

- Na lewo mamy cmentarzyk rodu Cortich, tutaj zaś, pod samą ścianą, spoczywa wielka płyta kamienna...

- Pod tą płytą jest skarb?

- Zgadłeś synu!

- A więc zwawo do roboty!

Zabrali się energicznie do kopania. Don Antonio przyświecał im latarnią, rozpościerając jednocześnie swój szeroki płaszcz, by światło latarni nie rozpraszało się zbyt daleko.



Pochłonięci swą czynnością, nie dostrzegli drugiej liczniejszej grupy ludzi.

Grupa ta zbliżyła się dość blisko. Przewodził im otyły hacjendero don Sebastiano.

A łajdak, a nicpoń! - szeptał ledwie dosłyszalnie. - Skarbu ci się zachciało! Korzystasz z mej gościny, by mnie ograbić z należnej mi części?.. Czekaj, don Antonio, przyjacielu najwierniejszy! Pokażę ci, co potrafi don Sebastiano!

Ludzie don Antonia unieśli wreszcie kamienną płytę.

- Senor! - Odezwał się jeden z ludzi, zwracając się do don Antonia. - Pod płytą znajduje się głęboki otwór!

Don Antonio zbliżył się i oświetlił latarnią otwór - okrągły i głęboki jak studnia.

- Kto ma sznury? - zapytał półgłosem.

- Ja! - rozległ się głos.

Rzucono sznur i jeden z ludzi zsunął się do otworu. Pozostali czekali w napięciu, nachyleni nad otworem.

Nie mniej podniecony był don Sebastiano, który z odległości dwudziestu zaledwie kroków widział wszystko jak na dłoni. Upłynęła długa chwila.

Nagle rozległ się głos w głębi otworu:

- Chłopcy, namacałem ciężki kuferek... Nie dam rady sam jeden!

- Przywiąż doń koniec sznura! - zawołał don Antonio. - Wyciągniemy wspólnie!

- Dobrze! - zabrzmiała odpowiedź.

Ludzie zaczęli ciągnąć. Nie szło to zbyt łatwo, póki kuferek był w ziemi. Gdy jednak znalazł się tuż pod otworem, wyciągnięto go na powierzchnię błyskawicznie.

Don Sebastiano szepnął do swych ludzi:

- Szykujcie się! Odbierzemy im kuferek!

Wszyscy ci ludzie, zarówno don Antonia, jak i don Sebastiana, nie zauważyli, że zbliżał się ktoś nowy. Gibkie ciało sunęło bezszelestnie przez sąsiedni zagajnik, gdy wtem zatrzymało się raptownie w swym biegu. Uwagę samotnego wędrowca przykuło światelko, które błysnęło obok kaplicy. Zatrzymał się w biegu, widocznie zdumiony tym niezwykłym zjawiskiem. Wahanie trwało ułamek sekundy, po czym człowiek zmienił pierwotny kierunek swego biegu i sunął w stronę kaplicy. Gdy tak biegł bezszelestnie, nachylony ku ziemi, podobny był bardziej do nocnego, drapieżnego zwierzęcia niż do człowieka.

Wreszcie zatrzymał się.

Przed oczami miał dziwne widowisko. Przy świetle latarki jacyś ludzie wyciągnęli z ziemi niewielki, lecz ciężki kuferek.

W tej samej chwili inni ludzie wyłonili się z ciemności i zaatakowali ludzi przy

kufierku.

Zawrzała walka na noże, walka bez pardonu i w najgłębszym milczeniu.

Przyczajony człowiek obserwował tę scenę. Rzekłbyś, że nie człowiek to, lecz tygrys lub pantera. Podobieństwo stało się tym bardziej ludzące, gdy po ziemi, jak ogon drapieznika przyczajonego do skoku, wił się koniec bata.

Latarnia zgasła, ludzie zaś bili się nadal w ciemnościach. Wtem rozległ się rozpaczliwy okrzyk:

- Nie ma kufierka!... Kuferek zginął!

W odpowiedzi rozległy się dzikie przekleństwa. Przerwano walkę, lecz w tej samej sekundzie spadła na nich druga, daleko przykrzejsza niespodzianka w postaci świszczącego bicia z bawolej skóry.

- Aje... aje!... - rozległy się wycia bólu.

- Zorro... Zorro! - rozległ się głos don Sebastiana. Pomimo ciemności poznał z samego dotknięcia, że smagający bicz należał do Zorry.

Panika ogarnęła ludzi. Próbowali uciekać, każdy w inną stronę, lecz Zorro miał chyba oczy rysia, skoro widział doskonale, pomimo głębokich ciemności.

Każdego z uciekinierów dosięgał koniec bicia, owijał się jak wąż dookoła szyi lub korpusu i gwałtownym szarpnięciem. ściągał z powrotem do kupy.

Scena ta, rozgrywająca się wśród ciemnej nocy, była wręcz niesamowita, a zarazem komiczna w swym wyrazie.

Jak owczarek, spędzający razem rozpierzchłe stado, tak Zorro spędził do kupy dziesięciu ludzi i siekł, i smagał bez najmniejszego miłosierdzia.

- Litości, Zorro! - rozległ się ryk.

- Litości... Litości! - zawtórowały inne zbolące głosy.

- Dobrze! - odpowiedział im dźwięczny, młodzieńczy głos. - Daruję wam resztę batów, lecz uwaga, uwaga, nie ruszać mi się z miejsca, póki was nie puszcę!

Bicz leżał na ziemi, a Zorro ciągnął dalej:

- To tak się robi?.. Zakradacie się na chłopaczkowie? Nie ma dla was świętego cudze grunty, mili miejsca? Rabujecie i urządzaście bójki tuż obok świątyni bożej?.. Do kogo należy ten skarb?,

- Do mnie! - rozległ się głos don Antonia.

- Zbliź się, to ci pokażę, jaki on twój, ten skarb! Na czyich dobrach znajdujecie się? Czy ta ziemia nie należy przypadkiem do senora Cortiego?

Milczenie było odpowiedzią.

Ludzie stali pocierając obolałe miejsca.

- A więc i skarb znaleziony na jego ziemi należy do niego! - Ja go odkryłem! - jęknął don Antonio. - Czy nic mi się nie należy?

- Owszem, należy ci się porządna porcja batów! Dlaczego nie zgłosiłeś się do właściciela tych gruntów? Czy sądzisz, że nie podzieliłby się z tobą jako z odkrywcą skarbu? Lecz to było zbyt ucziwe dla ciebie, wolałeś jak złodziej zakradać się pod dom boży i kraść. Dlatego też zostałeś ukarany. Nie wiem, kto jesteś, nie znam twego nazwiska, dziękuj Bogu, że nie chcę znać! A teraz jazda, uciekać mi stąd wszyscy. Daję wam pięć sekund...

Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej ludzie znikli.

Co tchu w piersiach uciekali w kierunku hacjendy don Sebastiana. Gdy wreszcie dopadli do niej, rozdzielili się na dwie grupy: jedna grupa znikła w głównym wejściu, druga zaś na tyłach budynku.

Reszta nocy upłynęła spokojnie.

Nad ranem don Sebastiano, z głową w okładach, przywołał jednego ze swych ludzi.

- Idź do don Antonia i powiedz mu, że proszę go do siebie.

Człowiek wyszedł i wkrótce powrócił.

- Senor - rzekł. - Nikogo tam nie ma. Don Antonio znikł wraz ze swymi murarzami.

## Książę w niebezpieczeństwie

Kareta zatrzymała się przed domem Anzelma Cortiego. Drzwiczki otworzyły się i wysiadł chudy jak tyka Porfirio. Gruby Malibran zszedł z kozła.

Zefirio wyszedł z domu i zawołał wyciągając ręce ku przybyłym:

- Witajcie mi, drodzy przyjaciele! Nie spodziewałem się was tak prędko z powrotem!

Porfirio mrugnął okiem na znak, że chce mu coś powiedzieć w sekrecie.

Służba zajęła się kareta, trójka przyjaciół udała się do pokoju Zefiria. Malibran zamknął drzwi starannie. Porfirio zaś opowiedział przyjacielowi szczegóły śmierci Josego Cardilli.

- Hm! - mruknął Zefirio. - Szkoda chłopca. Choć był bandytą, jednak należał do odważnych i zręcznych...

- Ha, trudno - odparł Malibran, rzucając się w ubraniu na łóżko Zefiria. - Po co laż, gdzie nie trzeba?

- Mam dla was nowinę! - rzekł Zefirio. - Jadę do Madrytu! Malibran usiadł od razu, Porfirio spojrzał uważnie na Zefiria. - Do Madrytu? - zapytali obaj jednocześnie.

- Tak! Ojciec zlecił mi transport trzydziestu premiovanych byków. Kuzynka Mercedes wraz z generałem jadą również. Prócz tego ciągnie do Madrytu prawie cała śmietanka Saragossy z księciem Ramido na czele.

- Książę Ramido jedzie również? - zapytał Porfirio.

- Tak! Chce popatrzeć na doroczną walkę byków.

- A więc i my również wracamy do Madrytu! - rzekł Porfirio.

- Nie, ty zostaniesz! - odparł Zefirio.

- Mam zostać? Dlaczego?

Lecz Zefirio popatrzył nań i Porfirio uśmiechnął się.

- Dobrze, zostanę, lecz nie na długo!

- Nie! Tylko trzy, cztery dni zaczekasz tutaj, a potem przyłączysz się do nas!

- Znajdziesz nas w pałacyku moich rodziców! - dodał Malibran.

- A czy Malibran nie mógłby mnie tutaj zastąpić? - zapytał Porfirio.

- Nie, zbyt gruby! - odparł Zefirio zagadkowo.

Malibran uśmiechnął się zadowolony.

- Widzisz, Porfirciu, czasem i tusza się na coś przyda!

- Nie ciesz się - rzekł Zefirio. - Zostaniesz również!

- Ja? - podskoczył Malibran. - A to po co?

- Może się coś przytrafić Porfirio, a wówczas twym zadaniem będzie uprzedzić mnie natychmiast. Prócz tego będziesz mu pomagał. Malibran skrzywił się płacząco.

- Moja walka byków!...

- Zdążysz zobaczyć! Przecież najwyżej cztery dni tutaj zabawisz... Nie zapominaj, że dałeś mi swą rękę i przyrzekłeś posłuszeństwo!

- Toteż nic nie mówię! - westchnął Malibran. - Jedź z Bogiem!

Porfirio i Malibran pozostali w pokoju, Zefirio zaś udał się do zabudowań gospodarczych.

Już z oddali dochodził ryk bydła.

Ludzie uwijali się z powrozami pomiędzy kilkudziesięciu sztukami krów i byków i oddzielali naznaczone zwierzęta. W tej samej chwili na drodze uniósł się duży słup kurzu.

- Jacyś goście! - zawołał jeden z parobków. - Widzę kilka karet!

Zefirio nie zwrócił na powozy najmniejszej uwagi. Oparty o ogrodzenie pochłonięty był obserwowaniem ryczących zwierząt.

Anzelmo Corti wyszedł na spotkanie przybywającym. Gdy karety zbliżyły się, Anzelmo rozpoznał książęce herby. Z karety pierwszy wyskoczył don Alvarez. Pomógł wsiąść Dolores. Na ostatku ukazał się książę Ramido. Z innych karet wysypali się oficerowie świty i dworzanie. Przybyły również i damy z pierwszych domów Saragossy.

Anzelmo Corti nie wierzył własnym oczom.

- Książę, jakież to zaszczyt dla mnie! - wybąknął kłaniając się nisko. - Pozwól w me ubogie progi.

- Wybacz nam, szlachetny Anzelmo Corti - odparł książę, wyciągając doń rękę - że nie przyjmujemy twej gościny. Jesteśmy bowiem tutaj tylko przejazdem. Za kilka minut wyruszymy w dalszą drogę do Madrytu. Jeśli zboczyliśmy z drogi, to tylko dlatego, że sława tych byków przeznaczonych dla areny madryckiej, rozniosła się po całej okolicy. Chciałbym je obejrzeć.

- Wasza książęca mość! - uklonił się powtórnie Anzelmo Corti - życzenie twe jest dla mnie rozkazem. Co prawda, czuję się głęboko nieszczęśliwy, że nie możesz zaszczyścić mej ubogiej siedziby. swą szlachetną osobą, lecz jeśli inaczej być nie może, muszę się pogodzić z koniecznością...

- Byki, byki chcę obejrzeć! - przerwał mu brutalnie zniecierpliwiony książę. - Dosyć gadania na dzisiaj.

Anzelmo Corti nic nie odpowiedział i poszedł przodem, całe towarzystwo udało się za

nim.

Zbliżyli się do ogrodzenia, gdzie mieściło się bydło.

Zefirio rozpląnął się w szerokim uśmiechu, gdy ujrzał księcia, Don Alvareza oraz dystyngowane towarzystwo.

- Aa! - zawołał. - Jego książęca mość oraz don Alvarez, czy mnie oczy nie mylą? Hrabina d' Alrado, markiz d'Izrra, hrabia de Costa, księżniczka Dolores, ach, co za wizyta.

Lecz obecni nie zwrócili najmniejszej uwagi na młodego Cortiego. Cała uwaga wszystkich skierowana została na bydło przewijające się przez barierkę. Premiowane byki nosiły kwiaty osadzone na rogach.

Zefirio gdzieś znikł, lecz niebawem powrócił wołając:

- Wasza książęca mość! Z tej strony ogrodzenia nie zobaczysz naszego Czarnego Diega!

- Co to za Czarny Diego? - zapytał książę.

- Ozdoba naszej hodowli! Byk, który zanim zostanie pokonany, nadzieje na rogi co najmniej trzech torreadorów. .

- Czyżby taki okaz?

- Ogień i płomień! Czarny jak smoła, o krwawym oku i buchających ogniem nozdrzach.

- Hm, chciałbym zobaczyć ten unikat.

- Nic łatwiejszego! Wasza książęca mość raczy pójść ze mną. Z drugiej strony bariery dojrzymy go z łatwością, gdyż trzyma się tamtej strony.

- Dobrze, chodźmy! - rzekł książę.

Reszta chciała ruszyć za nim, lecz Zefirio powstrzymał ich ruchem ręki:

- Senores e senioritas! - zawołał. - Proszę was, pozostaniecie tutaj, naszego Diega denerwuje większe skupisko ludzi.

Wszyscy zatrzymali się w miejscu.

Zefirio zaprowadził księcia do ogrodzenia z drugiej strony. Don Alvarez przyłączył się do nich.

- Bariera w tym miejscu jest słaba - rzekł Zefirio. - Dlatego radzę zachowywać się spokojnie, by płot nie poszedł w drzazgi pod naporem rozszalałych byków.

- Nie obawiaj się, Zefirio - odparł don Alvarez. - Nic ci się nie stanie w naszej obecności. Mamy przecież pistolety i szable.

- Daj spokój, pułkowniku! - zawołał książę, spoglądając z niepokojem na mniejsze ogrodzenie, gdzie spacerowało kilka tylko byków.

- Oto Czarny Diego! - rzekł Zefirio, wskazując olbrzymiego byka o krwią nalanych białkach.

Książę i Don Alvarez spojrzeli z zaciekawieniem. Zefirio, który stał nieco w tyle, kichnął i wyciągnął z kieszeni olbrzymią chustkę, by sobie nos obetrzeć. Chustka była jaskrawoczerwonego koloru.

Zwierzęta zaniepokoiły się. Byki ustawiły się frontem do trzech widzów.

- Co się z nimi dzieje? - zagadnął don Alvarez niespokojnie.

- Przysięgnę, że ogarnia je wściekłość! - dodał książę.

Wtem wzrok don Alvareza padł na Zefiria, który zapamiętale wycierał nos jaskrawoczerwoną chustką. Błąd z przerażenia wydarł chustkę z ręki młodzieńca, by ją ukryć przed bykami. Lecz było już za późno. Jak huragan runęły byki na słabe ogrodzenie. Deski padły w drzazgi. Książę wydał przeraźliwy okrzyk i rzucił się do ucieczki. Nogi jego migały jak u spłoszonej gazeli, pomimo że książę nie był pierwszej młodości. Don Alvarez nie pozostawał w tyle. Lecz w popłochu wypuścił z ręki czerwoną chustkę. Nie wiadomo jakim cudem chustka ta uczepiła się wyszywanego złotem pasa na plecach księcia.

Przeraźliwe wrzaski rozległy się dookoła.

Najgłośniejszym jednak krzyczeli książę i Zefirio. Ten ostatni siedział okrakiem na czarnym byczku, który oszalał na widok czerwonej chusty na plecach człowieka i nie myślał nawet o strząśnięciu z siebie niepożądanego jeźdźca, lecz pędził za uciekającym księciem.

Inne bydło zostało schwytane przez parobków.

Don Alvareza wydobyto spod racic jednego z byków. Nie odniósł żadnej rany, był tylko mocno potłuczony i dworski strój wisiał na nim w strzępach.

Tymczasem czarny byk dogonił księcia. Schylił potężny łeb i mierząc w czerwoną chustkę, podrzucił księcia rogami w powietrze.

Książę nie spadł na ziemię, lecz prosto na ręce Zefiria i to uratowało go od niechybnej śmierci pod racicami i rogami bydlęcia.

Czarny Diego uprzytomnił sobie nagle, że niesie na sobie podwójny ciężar. Zaczął więc odbijać się od ziemi czterema racicami i miotać się jak opętany, usiłując zrzucić Zefiria i księcia. Udało mu się to prawie natychmiast. Obaj spadli z grzbietu byka na ziemię. Byk skierował rogi w stronę księcia. Zefirio wrzasnął jak zarzynana kura i skoczył z powrotem na grzbiet bydlęcia. To oderwało jego uwagę od leżącego na ziemi. Znow zaczął się rzucać jak szalony, chcąc pozbyć się ciężaru z grzbietu. W dzikich podskokach oddalił się od księcia leżącego bez ruchu na ziemi.

Zefirio krzyczał przeraźliwie, lecz trzymał się wciąż na grzbiecie byka. W pewnej

chwili zeskoczył, stanął przed bykiem i chwycił go za rogi. Czarny Diego potrząsnął swym potężnym łbem. Zefirio poleciał w górę i znów spadł na grzbiet zwierzęcia. W następnej sekundzie zsunął się po grzbiecie do tyłu i chwycił bydlę za ogon. Byk zaczął się kręcić w kółko. Zefirio upadł na ziemię, lecz nie wypuszczał ogona ze swej ręki. Oszołomiony byk stanął na chwilę, jakby namyślał się, co robić. I w tej chwili stała się rzecz dziwna. Zefirio spokojnie powstał i popędził buhaja. Niebezpieczne bydlę, kierowane okrzykami i klapsami, posłusznie, jak małe cielętko, skierowało się w stronę ogrodzenia.

Przez cały czas trwania tej sceny, żywej duszy nie było na placu prócz kilku parobków, którzy pękali ze śmiechu, trzymając się za boki.

Księcia podniesiono, jeszcze na początku harców Zefiria, i umieszczono w bezpiecznym miejscu.

Świta i dworzanie, którzy uciekali w pierwszej chwili, wołając o pomoc w najwyższym przerażeniu, gdy znaleźli się w znacznej odległości, zatrzymali się i z oddali przyglądali się całej tej scenie. Widzieli, jak byk miotał Zefiriem niby marionetką. Dlaczego nie ucieka ten osioł? Przyszła prawie wszystkim ta sama myśl do głowy. I dlaczego parobcy po uratowaniu księcia nie przyjdą głupiemu Zefirio na pomoc?

Zakończenie tej sceny było dla wszystkich niespodzianką. - Co to? Czy mnie oczy nie mylą? - pytał siebie samego don Alvarez. - Toż Zefirio pędzi buhaja przed sobą... Byk idzie posłusznie do ogrodzenia... To chyba jakieś czary...

Zefirio zamknął Czarnego Diega w zagrodzie i rzucił przechodząc obok parobków:

- Czego rozdziawiacie gęby, głuptasy, zamiast ratować mnie od niechybnej śmierci?

Śmiech podwoił się.

- O, senor Zefirio! - zawołał jeden z parobków. - My dobrze wiemy, że Czarny Diego nie uczyni wam najmniejszej krzywdy. Przecież chowałeś go od małego cielęcia. Jest zaprawiony do tych harców z tobą, senor.

Zefirio położył palec na ustach:

- Tss, głupcy! Nie rozpowiadajcie tego obcym. Gdyby was pytano, powiecie, że to był cud.

Starszy parobek podrapał się w głowę i wskazując ludzi, którzy biegli w ich stronę, zapytał:

- A co mamy powiedzieć, gdy nas zapytają, dlaczego śmieliśmy się na całe gardło, zamiast wybawić cię z niebezpieczeństwa, senor?

- Oświadczycie, że cieszyliście się na myśl, iż mnie wreszcie szlag trafi.



## Walka byków

Od dwóch dni niezliczone tłumy, żądne widoku krwi, napływały do olbrzymiego, okrągłego gmachu.

Arena zalana była słońcem.

Już wyprowadzono trzeciego byka pod grzmot okrzyków i oklasków. Pikadorzy, banderillerzy i matadorzy uwijali się po arenie. W królewskiej łoży siedziała majestatyczna kobieta przystrojona brylantami. Była to królowa Izabella II.. Otaczał ją wspianiały dwór.

Pomiędzy dworzanami brakowało jednak księcia Ramida. Był jeszcze chory po strasznych przejściach z czarnym bykiem i leżał w łóżku w swej rezydencji madryckiej. Królowa słyszała o jego przygodzie i wyraziła życzenie ujrzenia Zefiria, wybawcy księcia. Usłudni dworzanie odnaleźli młodzieńca tegoż samego dnia, w tylnych zabudowaniach cyrku. Odbierał właśnie należność za dostarczone byki.

- Senor Corti - zwrócił się doń marszałek dworu. - Najjaśniejsza, miłościwie nam panująca królowa pragnie cię widzieć. Drogą wyjątku dozwolono ci stanąć przed jej obliczem, pomijając etykietę i ceremoniał audiencjonalny.

Słowa te wywarły widocznie na młodym Cortim wstrząsające wrażenie, gdyż wydał z siebie okrzyk przestachu i zachwytu zarazem, po czym zachwiał się tak mocno na nogach, że dworzanie musieli go podtrzymać, by nie upadł na ziemię.

- Trzymajcie mnie, bo zemdleję! - wołał Zefirio. - Nie, to niemożliwe, ja snię chyba! Sama królowa we własnej osobie? Trzymajcie mnie mocno!

A więc dworzanie trzymali go mocno i w ten sposób prowadzili go do monarchini. Wyglądało to jak gdyby wiedli jeńca lub skazańca na szafot.

Weszli do łoży królowej. Zefirio z taką siłą padł na kolana, że aż deski zahuczały i królowa drgnęła przestraszona. Dworzanie podnieśli Zefiria z kolan i schylili go w głębokim ukłonie.

- Pocałuj królową w rękę, senor! - szepnął jeden z dworzan do ucha Zefiria.

Młodzieniec się doń odwrócił i zapytał tak głośnym szeptem, że aż królowa dosłyszała:

- Carramba, w którą rękę mam całować?

- W prawą! - odpowiedział dworzanin.

Królowa Izabella podała mu swą małą rączkę. Zefirio pochwycił królewską rękę i zaczął gorliwie okrywać ją pocałunkami.

Otoczenie królowej osłupiało. Postępowanie Zefiria było niesłychane.

- Co też on wyprawia z ręką królowej? - zadawali sobie pełne oburzenia pytanie.

Królowa prawie siłą wyrwała swą rękę z uścisków przerażonego młodzieńca. Nie rozgniewała się jednak na niego, bo już słyszała o tym młodzieńcu nie grzeszącym zbytnim rozumem.

- Witam cię, senor Zefirio Corti - rzekła doń łaskawie. - Doszły nas wieści o twym bohaterskim czynie!

- O jakim czynie, najmiłościszka królowo? - zapytał Zefirio, czyniąc ruch, jakby chciał znowu paść na kolana. - Bohaterskich czynów dokonałem bardzo wiele i nie wiem, o którym z nich mowa!

Królowa uśmiechnęła się i wskazała mu miejsce na krzeselku w obawie, by znów nie padł na kolana.

- U ratowałeś księcia Ramida y Carvalha!

- Oddałbym życie w każdej chwili z rozkoszą za największego nawet bandytę, gdyby sprawiło ci to przyjemność, o najmiłościszka pani!

- Jak? Co? - zapytała królowa, nie dowierzając własnym uszom. - Za jakiego bandytę? Czyżbyś śmiał mówić w ten sposób o księciu wielkorządcy?

- O, wasza królewska mość! - zawołał Zefirio, składając ręce jak do modlitwy. - Narazenie życia dla dostojnego i wspaniałego męża, jakim jest książę, nie było żadną zasługą. Na twój rozkaz, najmiłościszka pani, poświęciłbym się dla ostatniego nawet opryszka!

- Idiota! - rozległ się szept dworzan poza jego plecami. - Niebiosa, co za dureń!...

Dalsza rozmowa Zefiria z królową została przerwana, bo pojawił się pierwszy byk na arenie.

Zefirio chciał się usunąć, lecz królowa zatrzymała go ruchem ręki. - Zostań, senor - rzekła. - Porozmawiamy podczas przerwy! Spodobał jej się ten piękny, młody szlachcic, pomimo jego skrajnej głupoty.

- Wybacz mi, wasza królewska mość - rzekł nieśmiało Zefirio - ale podczas walki byków nie umiem powstrzymać swego zachwyty i uniesienia. Jest to silniejsze ode mnie!

- Nie szkodzi! Nie krępuj się zbytnio, senor - odparła królowa uśmiechając się, gdyż bawił ją ten młodzieniec.

Zefirio dość długo tłumił w sobie wybuchy entuzjazmu przez wzgląd na królową, osoba której, sądząc z jego postawy, napawała go zabobonnym lękiem. Wreszcie nie wytrzymał. Podczas gdy pikadorzy na koniach atakowali byka, zerwał się z miejsca i wrzasnął z całych sił: .

- Olle... Olle! Świetnie!... Znakomicie!... Wal z lewej strony, Fernando!... Uwaga! Uwaga Lorez, zajeżdżaj od tyłu!

Wołając w ten sposób, przechylił się niebacznie przez barierę... W następnej sekundzie stracił równowagę. Wypadł poza barierę. i padł jak długi na piasek.

Stało się to w tej samej chwili, gdy rozjuszony, krwawiący byk znajdował się w odległości dziesięciu najwyżej kroków od niego.

Tłumy, kołem otaczające arenę, zamarły w bezruchu. Ogłuszające krzyki i wiwatowania ustały. Nastąpiła cisza, jakby makiem zasiał. Sto tysięcy oczu skierowało się ku miejscu, gdzie leżał Zefirio.

Buhaj pomknął ku leżącemu, z nisko opuszczonymi rogami.

Zefirio ukląkł i powstał. W tej samej sekundzie byk dopadł go i Zefirio uchwycił go za rogi rękami. Jedno szarpnięcie w górę i młodzieniec, jak wystrzelony z procy, wyleciał w powietrze.

- Kot rzucony wzwyż staje zawsze na czterech łapach, podobnie. Zefirio opadając stanął na nogach i w tej samej sekundzie uskoczył w bok.

To co się stało podczas tego krótkiego czasu, zanim skoczyli na pomoc matadorzy z czerwonymi płachtami, wyglądało na coś niesamowitego i komicznego zarazem.

Zefirio krzyczał przeraźliwie i gdyby nie okropny krzyk śmiertelnego przerażenia, można by przypuścić, że człowiek ten igrał z bykiem, igrał ze śmiercią.

Byk miotał się jak szalony. Człowiek latał jak ptak w powietrzu, przeskakiwał przez byka jak przez drewnianego kozła, siadał na jego grzbiecie, zeskakiwał zeń, chwycił go za ogon i w szalonym tempie kręcił się z nim w kółko.

Straszliwa ta zabawa trwała dobre dwadzieścia sekund. Matadorzy usiłowali odciągnąć byka czerwonymi płachtami i wreszcie im się to udało.

Zefirio stanął patrząc przed siebie jak ogłupiały. Jakieś silne ręce chwyciły go z dwóch stron i przerzuciły przez barierkę.

Cała widownia szalała. Hiszpanie nigdy jeszcze nie mieli takiego widowiska, jakie im dał Zefirio.

- Olle, olle! - ryczeli mężczyźni, a kobiety wtórowały im z całych sił.

Wszystkie spojrzenia skierowane były w stronę młodzieńca z trudem torującego sobie drogę do łoża królewskiej. W jego kierunku leciały zewsząd kwiaty, kapelusze, torebki damskie i inne drobiazgi. W ten sposób publiczność manifestowała swój entuzjizm dla Zefiria. Ani jedno spojrzenie nie skierowało się w stronę banderillerów wbijających małe chorągiewki w grzbiet byka.

A Zefirio, jakby nie rozumiejąc, iż stał się obiektem manifestacji, wszedł do królewskiej loży i uklonił się nisko królowej, mówiąc:

- Przebacz mi, wasza królewska mość, że zachowałem się tak niewłaściwie w jej obecności. Jestem w rozpacz i nie śmiem...

- Przestań, senior! - odparła żywo królowa, jeszcze blada na twarzy z emocji. - Podziękuj Bogu za cud, gdyż naprawdę cudem tylko ocalałeś...

Urwała i zdumionym spojrzeniem obrzuciła całą postać Zefiria. Nie mogła dostrzec na jego odzieniu najmniejszego choćby rozdarcia, a na rękach i twarzy najmniejszego zadrażnienia. Przez chwilę jeszcze przyglądała się młodzieńcowi stojącemu przed nią w pokornej postawie. Milczała. Jakaś uparta myśl nie opuszczała jej teraz.

- Siądź tutaj przy mnie, senior! - rzekła cicho. Zefirio usiadł posłusznie na złoconym krześle, tuż przy królowej. - Senior - zwróciła się doń półgłosem, patrząc przenikliwym wzrokiem. - Pragnę, byś był szczery w tej chwili.

- Najjaśniejsza pani! - zawołał Zefirio.

- Cicho! Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. Wypadłeś na arenę umyślnie, nieprawdaż?

- O, najjaśniejsza pani...

- Cała ta homerycka walka z bykiem była tylko igraszką, grałeś komedię przestachu...

- O, pani...

- Nie przerywaj, senior! Nie był to wcale cud, żeś uszedł z życiem... Dałam się zwieść na początku, jak pięćdziesiąt tysięcy ludzi, którzy tutaj się znajdują... Dałam się zwieść, to prawda, lecz zdradziło cię twe nienaruszone odzienie i ciało bez najmniejszego zadrażnienia... Jesteś zręczny, senior, bardzo zręczny i szalenie odważny. Ponadto celujesz w udawaniu.

Zefirio milczał i patrzył na królową. Miał przy tym tak głupi wyraz twarzy, w oczach jego malowała się taka tępota, że królowa za wahala się.

- Najjaśniejsza pani! - odezwał się wreszcie. - Przyznaję się ze skruchą, że udawałem. Rzeczywiście wypadłem umyślnie, gdyż przypadkowo nigdy bym nie wypadł, zbyt jestem zręczny na to. Prócz tego, jeśli krzychałem z przestachu i wołałem o pomoc, to również umyślnie, by wprowadzić ludzi w błąd. - Wypiął dumnie piersi i dodał:

- Człowiek, który dokonał tylu bohaterskich czynów, nigdy nie wzywa pomocy ze strachu, lecz zawsze umyślnie. Tak, najjaśniejsza pani, nie omyliłaś się, jestem szalenie odważny i zręczny, a wyczyn mój na arenie był dla mnie tylko igraszką, pokazem moich zdolności. Królowa machnęła ręką, zniechęcona.

Omyliłam się! - pomyślała. To jest głupiec, który ma niezwykle szczęście. Tak, to

prawda co powiada ludowe przysłowie, że głupcy mają szczęście i z każdej opresji wychodzą zwycięsko.

## Znajomy królowej

Po pamiętnym występie Zefiria na korridzie cały Madryt znał już tego osobliwego młodzieńca. Przechodnie na ulicy zaczepiali go żarcikiem, gazety pisały o nim humorystyczne artykuły i biedny Zefirio nie mógł niepostrzeżenie przystąpić do kasy celem wykupienia biletu wejścia, by ktoś nie podbiegł doń wołając:

- Senor Zefirio, jak tam dzisiaj z popisem? Z którym bykiem walczysz?

Na początku Zefirio chodził napuszony jak paw w blasku swej sławy, lecz z biegiem czasu chmurzył się i posepniał.

- Zdaje się, że wy kpicie ze mnie, senores! - zapytał pewnego razu, marszcząc brwi.

Ludzie wybuchnęli śmiechem.

- Nie radzę wam śmiać się z bohatera, jakim jestem - rzekł Zefirio. - Może się to źle dla was skończyć.

- Weźmiesz nas na rogi, Zefirio?

- Nie, poskarżę się królowej!

Śmiech wówczas wzmagął się w dwójnasób. Pewnego dnia Zefirio miał tego dość.

Przed pałacem królewskim Eskurialu<sup>1</sup> przechadzali się miarowym krokiem wartownicy przyodziani we wspaniałe mundury. Do jednego z nich podszedł wysoki, przystojny młody człowiek o smętnym spojrzeniu. Towarzyszyło mu kilku roześmianych młodzieńców należących do złotej młodzieży Madrytu.

- Senor - zwrócił się do wartownika Zefirio, gdyż on był owym młodzieńcem o smętnym obliczu - jestem Zefirio Corti!

- Jestem zaszczycony, senor Zefirio Corti - odpowiedział z przesadną uprzejmością wartownik.

- Jestem Zefirio Corti - podjął na nowo młodzieniec - i pragnę widzieć się z królową!

- Tylko tyle, senor Zefirio Corti? - zakpił wartownik. - To nie jest takie trudne! Chodzi tylko o to, czy najjaśniejsza pani zechce widzieć się z tobą, szanowny senor Zefirio Corti.

- Zechce na pewno! Idź do niej, senor, i powiedz, że przyszedł jej znajomy!

Wartownik otworzył szeroko oczy, nie wiedząc na razie, czy ma do czynienia z kpiarzem czy z wariatem.

Młodzieńcy, którzy towarzyszyli Zefirio, pokładali się ze śmiechu.

- Znajomy najjaśniejszej pani? - zapytał wartownik, chmurząc się. - Ale skąd senior

---

<sup>1</sup> Rezydencja królewska

zna królową, jeśli łaska?

- Z walki byków.

- Co takiego? Skąd?

- Corrida de toros! Walka byków.

Wartownik miał dosyć tej rozmowy. Chwytał za kołnierz Zefiria i pociągnął go za sztachety.

- Czekaj, nędzniku! - wołał wściekle, wlokąc go na odwach. - Zwierzysz się przed oficerem ze swej znajomości z królową!

Wciągnął go do zadymionej sali, gdzie przy długim stole siedzieli żołnierze, i stamtąd wepchnął go do pokoju naczelnika odwachu.

- Co się stało? - zapytał oficer siedzący za szerokim stołem. Co to za człowiek?.

- Kapitanie - zaraportował wartownik. - Ten oto jegomość zbliżył się do mnie w towarzystwie innych osobników i zaczął ubliżać królowej.

Oficer zerwał się ze swego miejsca i spojrzał groźnie na biednego Zefiria.

- Gdzie są inni? - zawołał. - Dlaczego tutaj nie widzę tych, którzy mu towarzyszyli?

- Stoją przed sztachetami.

. - Chwytać, łapać ich! - krzyknął oficer i skoczył do sali wartowniczej. .

Kilkunastu żołnierzy chwyciło za karabiny i wybiegło z sali na dziedziniec pałacowy. Nie upłynęły nawet. dwie minuty, gdy byli z powrotem, prowadząc siedmiu wystraszonych młodych ludzi.

- Ahaa! - zjadliwie zawołał oficer. - To wy ptaszki naigrawaliście się z majestatu naszej królowej. Doskonale, przyjrzymy się tej sprawie.

Główny winowajca zbliżył się do stołu.

Oficer usiadł, położył czysty arkusz papieru i umaczał pióro w inkauscie.

- Wszczynam śledztwo pierwiastkowe - rozpoczął. - Senior, twe imię i nazwisko?

Wartownik zań odpowiedział:

- Zefirio Corti. -A ty skąd wiesz?

- Tak mi się przedstawił. przed wejściem.

Oficer zaczął pocierać czoło.

- Czekaj, czekaj, Zefirio Corti? Skąd ja to nazwisko znam? - Z gazet! - odpowiedział .Zefirio obojętnie.

- Z gazet... Tak jest, do licha! - huknął pięścią o stół oficer. - To jest jakiś anarchista, przypominam sobie. Podrzucał bomby, czy coś w tym rodzaju.

- W rodzaju corrida de toros, walki byków - rzekł Zefirio.

- Walki byków?

- Tak jest, senor! Walczyłem ze zgrają byków, gdy królowa przyglądała mi się i nawet oklaskiwała mnie swymi królewskimi rączkami.

- Co mi, senor, tutaj pleciesz?

- Czystą prawdę mówię! Gazety o tym pisały, cały Madryt ba, nawet cała Hiszpania mnie podziwiała. Sama najjaśniejsza pani zaprosiła mnie do Eskurialu i oto jestem!

- Czekaj, czekaj, coś przypominam sobie! Nie była to historia z bombami...

- Lecz z bykami!

- Tak, tak przypominam sobie! I zdaje się, że siedziałeś, senor, w jednej...

- ... łoży z królową miłościwie nam panującą, tak jest! Oficer zwrócił się do wartownika:

- W jakich słowach ten, senor ubliżył królowej? - zapytał. - Podobnie... jak teraz! - jękał się wartownik, czując, że sprawa zaczyna przybierać niespodziewanie inny obrót.

- To znaczy jak? - nalegał komendant odwachu.

- Mówił, że jest znajomym królowej z korridy! .

Oficer pokręcił głową i napisał kilka słów na kawałku papieru, następnie przywołał jednego z żołnierzy i polecił mu zanieść papier do kancelarii pałacowej.

Czekali na odpowiedź dość długo.

Wartownik przestępował z nogi na nogę.

Młodzi żartownisie, towarzyszący Cortiemu, z niepokojem spoglądali na siebie, nie wiedząc, w jaki sposób zakończy się cała sprawa.

Zefirio tylko zachował zwykłą obojętność i przyglądał się uważnie podkręconym w górę wąsom oficera.

- Przepraszam cię, senor - rzekł wreszcie. - Czy mógłbym cię o coś zapytać?

- Słucham! - odrzekł oficer.

- Miałem niegdyś zamiar zapuścić sobie wąsy, gdyż szlachetna to ozdoba nadaje niezwyklej męskości obliczu. Niestety, musiałem zaniechać tego zamiaru, bowiem nie znam maści, która by pozwoliła podkręcać wąs do góry.

- He, co? - nie zrozumiał na razie oficer.

- A więc, - czy mógłbyś, senor, powiedzieć mi, jakiej maści! używasz? Tak bym chciał również upodobnić się do chrabąszcza!

Oficer zbladł i skoczył na równe nogi.

W tej samej chwili wszedł żołnierz niosąc papier. Oficer wziął zapisany świstek do ręki i przeczytał go.



- Senor - rzekł kłaniając się. - Najjaśniejsza pani łaskawie zezwoliła, byś stanął przed jej królewskim obliczem, pomijając wszelką procedurę audiencjonalną. Jest to zaszczyt nie lada.

- A więc mogę iść? - zapytał Zefirio.

- Tak jest, choć klnę się, że gdyby nie wola najjaśniejszej pani, nie puściłbym ci płazem, senor, owego porównania mnie do chrabąszcza!

Niepokój znikł z twarzy młodych ludzi otaczających Zefiria.

Sprawa wyjaśniła się i teraz mogli odejść.

- Hola, hola, stójcie! - zawołał oficer. - Nie śpieszcie się zbytnio, moi senores!

A gdy stanęli zdziwieni i zaniepokojeni zarazem, dodał:

- Senor Corti uzyskał audiencję, a więc sprawa załatwiona, lecz wy, młodzi panowie? Skąd się tutaj- wzięliście? Co za interes was tutaj sprowadził? Czy również jesteście znajomymi królowej?

- Nnie... nie! - zabrzmiała ogólna odpowiedź.

Oficer zwrócił się do wartownika:

- Czy ci senores nie mówili nic takiego, co mogłoby uchybić najjaśniejszej pani?

- Nie, lecz śmieli się głośno za każdym razem, gdy królową wymieniano w rozmowie!

- Taak? - ucieszył się oficer i zwrócił się do Zefiria:

- To są pańscy przyjaciele, nieprawdaż? - zapytał chytrze.

- Moi przyjaciele? - wzruszył ramionami Zefirio. - Ależ uchowaj mnie Boże od takich przyjaciół. To są po prostu przygodni znajomi. Przyplątali się do mnie z chwilą, gdy się dowiedzieli o moim spotkaniu z królową. Nie zdziwiłbym się, gdyby znaleziono przy nich bomby lub sztylety. Czy nie widzisz, senor, jak im źle z oczu patrzy?

Z tymi słowami Zefirio odwrócił się i wyszedł rzucając triumfujące spojrzenie na przerażonych kpiarzy.

Za jego plecami wszczął się alarm.

- Żołnierze, zatrzymać ich! - ryczał komendant warty. - Senores, aresztuję was!...

## List Zorry

- Najjaśniejsza pani! Przychodzę do ciebie z sercem przepelnionym goryczą. Pamiętne me zapasy z bykami, których byłaś świadkiem, przyniosły mi niezwykłą sławę w całej Hiszpanii. Cóż, kiedy moi wrogowie, ludzie zawistni, zazdroszczą mi tego uznania, prześladują mnie swymi uszczypliwymi uwagami i docinkami. Życie stało się niemożliwe i spokój mej duszy został naruszony. Błagam cię, o najmiłociwsza monarchini, połącz kres złościwościom, wszak leży to w twej mocy!

Mówiąc to Zefirio przykląkł na jednym kolanie.

- Cóż mam uczynić, senor? - zapytała królowa, powstrzymując uśmiech. - W jaki sposób mam zapobiec tym przykrościom?

- Po prostu - odparł Zefirio, wzdychając - wystarczy, by ukazało się na murach Madrytu obwieszczenie królewskie zabraniające ublżania, pod karą śmierci lub długoletniego więzienia, szlachetnie urodzonemu senorowi Zefirio Cortiemu.

Królowa nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Wtórowali jej dworzanie.

- O, senor Zefirio! - zawołała. - Żądasz ode mnie rzeczy niemożliwych. Żadna ustawa ani też żadne prawo nie przewiduje kary śmierci za zwykły żart lub docinek!

- Więc cóż mam robić? Nie mogę pokazać się w Madrycie. Chyba że zezwolisz, najjaśniejsza pani, bym obrał sobie twój pałac jako tymczasowe schronienie. Mieszkańcy Madrytu zapomną o mnie i wówczas będę mógł opuścić Eskurial, unosząc głęboką wdzięczność dla najjaśniejszej pani.

Propozycja ta została wypowiedziana tonem tak naiwnym, że dworzanie nie wiedzieli, czy królowa wpadnie w gniew, czy też się roześmieje.

Królowa jednak zachowała całą swą powagę. Przyszło jej do głowy, że ten naiwny młodzieniec rozproszyłby nudy dworskie.

Pomyślała, że przydałby się nadworny błazen, toteż po chwili namysłu odpowiedziała:

- Senor Zefirio, nie mogę odrzucić prośby o schronienie jednego z mych wiernych poddanych. Pozostaniesz tutaj tak długo, jak ci się spodoba, pod jednym tylko warunkiem.

- Zgadzam się z góry na wszystkie warunki, o łaskawa królowo! - zawołał uradowanym tonem Zefirio, padając powtórnie na kolana i czyniąc gest, jakby chciał ucałować królewską rękę.

Królowa przezornie schowała swą rękę w obawie, by nie powtórzyła się owa pamiętna scena z korridy, gdy Zefirio okrywał jej rękę pocałunkami prawie przez pięć minut.

- Jest to warunek łatwy do spełnienia - rzekła. - Chodzi o to, byś znajdował się jak najczęściej w naszym otoczeniu. Od tej chwili należysz, senor, do mej przybocznej świty. Szambelan wskaże ci apartament, gdzie będziesz mógł się rozgościć.

Zefirio złożył głęboki ukłon, omal się nie przewrócił, i wyszedł z sali.

Prowadził go wysoki, biały jak gołąb, starzec przyodziany w suto złotem wyszywany strój.

- Senor - zwrócił się doń Zefirio - przepraszam...

- Książę Almagro jestem! - rzekł sucho starzec.

- Książę Almagro? - powtórzył Zefirio. - Hm, to drugi książę, którego znam!

- Kto jest ten pierwszy? - zapytał szambelan z ciekawością.

- Książę wielkorządcy Aragonii, don Ramiro y Carvalho! O, ale tamten wcale nie jest podobny do księcia Almagro. Księcia Ramiro y Carvalho nazwałbym księciem zoologicznym!...

- Księciem zoologicznym? - zdziwił się książę szambelan.

- No tak! Podobny do kozła, pije krew z biedaków jak pijawka, tchórzliwy jak zając, a umyka przed nieszkodliwym byczkiem jak gazela. Cały zwierzynek w jednej osobie.

- Senor Zefirio! - Oburzył się szambelan, ledwie powstrzymując się od śmiechu. - Nie godzi się w ten sposób mówić o księciu wielkorządcy, tym bardziej że jest to mój kuzyn!

- Ubolewam! - rzekł Zefirio.

- Właśnie, ubolewam młodzieńcze, że w ten sposób odezwałeś się w mej obecności o osobie księcia Ramiro!

- Nie; ubolewam książę, że masz takiego kuzyna! Szambelan wzruszył ramionami i polecił jednemu z napotkanych odprowadzić Zefirio do przydzielonego mu apartamentu, sam zaś pobiegł do królowej, by powtórzyć jej słowa młodzieńca.

Zefirio rozgościł się na dobre w pałacu. Od chwili jego przybycia bezustanny śmiech rozlegał się we wspaniałych salach pałacowych, mitygowany tylko obecnością królowej. Dawno już dwór nie bawił się jak teraz.

Śmiech ten jednak zamarł na wszystkich ustach, gdy pewnego dnia przed pałac zajeżdżała karoca ministra policji, otoczona liczną eskortą.

Don Alonso, wszechwładny minister, stanął przed obliczem królowej, błądzący ze wzruszenia.

- Najjaśniejsza pani - rzekł chyląc się w głębokim ukłonie nad wyciągniętą ręką Izabelli II. - Od dzisiaj racz zezwolić, bym potroił straż dookoła pałacu oraz porozstawiał wartowników we wszystkich salach i przejściach!

- Co się stało, don Alonzo? - zapytała królowa zaniepokojona. - Czyżby wybuchła rewolucja na ulicach Madrytu?

- Nie, najjaśniejsza pani, niebezpieczeństwo jest innego rodzaju. Przed trzema dniami jakiś zamaskowany osobnik zatrzymał w okolicy Huesco konwój rządowy, zrabował pieniądze, rozpędził żołnierzy na cztery wiatry, zatrzymując tylko woźnicę. Temu zaś włożył list w zęby, owiązał silnie szczęki rzemieniem i popędził go przed siebie, mówiąc: "Pamiętaj, trutniu, nie wolno ci wypuścić tego listu z zębów aż do Madrytu. Zawieziesz go samej królowej!"

Oddech zamarł w piersiach całego dworu.

- Co się dalej działo? - zapytała królowa zaciekawiona.

- Woźnica zemdlął po drodze. Nie opodal Saragossy znaleźli go żandarmi, leżącego na przedniej ławce furgonu, z listem w zębach. List ten przywieziono do Madrytu i mnie doręczono.

Tutaj urwał zmieszany.

- Ten list! - zawołała królowa. - Ten list, proszę!

- Najjaśniejsza pani! - rzekł minister, chyląc się w ukłonie. Jest to zwykły list z pogroźkami, toteż uważam za zbyteczne...

- Proszę pokazać mi ten list! - zawołała królowa niecierpliwie. Don Alonzo westchnął i wyciągnął list z kieszeni.

Królowa rozwinęła papier i zaczęła czytać:

Miłościwie nam panująca, Najjaśniejsza Pani! Niniejszym kwituję odbiór dwustu siedemdziesięciu tysięcy peso w złocie i serdecznie dziękuję za wspaniałomyślny Jej dar dla biednej ludności Aragonii. Wobec Jej łaskawego zainteresowania się swym ludem powzięłem postanowienie odwiedzenia Jej Królewskiej Mości celem bliższego omówienia z Jej Królewską Mością spraw finansowo-

podatkowych prowincji Aragonii. Sądzę, iż Jej Królewska Mość nie będzie miała nic przeciwko temu, by konferencja odbyła się w Jej rezydencji w tym tygodniu.

Składam u królewskich stóp wyrazy najwyższego hołdu i uczuć wiernopoddańczych.

Z

- Podpisano literą. "Z" - rzekła królowa. - Co to ma znaczyć?

Don Alonzo milczał..

- Litera "Z"? - rozległ się nagle głos Zefiria znajdującego się w tłumie dworzan. - Ależ to jest Zorro, mój dobry znajomy i największy wróg jednocześnie.

- Zorro! Zorro! - rozległy się zewsząd wystraszone szepty. - Zorro zapowiedział swą

wizytę!

- Senores! - zawołał Zefirio. - Radzę założyć pancerze, one nas uchronią przed jego biczem. Co do mnie, uzbroję się należycie. Znam tego gagatka, nieraz już miałem z nim do czynienia. Raz nawet oddałem go władzy, lecz niestety uciekł.

- Senor Zefirio, zamilknij proszę! - zawołała królowa zirytowana. - Nie zapominaj, że dwór mój nie składa się z tchórzy, że przyboczni moi to szlachta zahartowana w bojach.

- Tak - mruknął Zefirio - lecz w bojach nikt nie używa bata! Pomimo wszystko królowa nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, słysząc te słowa.

Zefirio zaś wychodząc z sali, szepnął cicho, zupełnie cicho:

- Brawo, Porfirio...

## Odwiedziny

Potrójny kordon uzbrojonych żołnierzy otaczał olbrzymi pałac królewski.

Zatrzymywano przechodniów przed pałacem i rewidowano ich. Zapanował prawdziwy stan oblężenia.

W przejściach i korytarzach pałacowych kręcili się żandarmi, wojskowi i policjanci w cywilu.

Legendy o zamaskowanym Zorro obiegały dwór, przybierając niemal fantastyczne kształty.

Opowiadano, iż Zorro jest przede wszystkim zaciętym wrogiem dworzan obławiających się przy boku królowej, opowiadano również, iż nieuchwytny ten człowiek zdolny jest do niewiarygodnie szaleńczych wyczynów.

Królową Izabellą miotały sprzeczne uczucia. Z jednej strony ogarniał ją gniew na tego zuchwalca, dla którego nie istniały żadne przeszkody ani też żaden szacunek należny randze lub majestatowi. Z drugiej zaś strony zapanowała w jej umyśle ciekawość czysto kobieca. Odczuwała nieodpartą chęć ujżenia na własne oczy tego legendarnego rabusia.

Wśród chaosu i ogólnego zamieszania Zefirio przechadzał się uzbrojony od stóp do głowy. Po obu stronach jego szerokiego pasa widniały dwa olbrzymie pistolety. Po dywanach pałacu włókł się u jego boku długi pałasz. W jednym ręku trzymał obnażony sztylet, który bardziej podobny był do kuchennego noża niż do sztyletu, w drugim zaś ręku długi, zwinięty bicz o krótkiej rękojeści.

- Władam biczem nie gorzej od Zorry! - opowiadał. - Niech się tylko pokaże ze swym biczem, a wówczas zobaczymy, kto zwycięży!

I oto pewnego wieczoru, pomimo potrójnej straży, mimo wszelkich środków ostrożności, Zorro zjawił się w pałacu królewskim. Stało się to o godzinie jedenastej wieczór, gdy królowa udała się do swych pokoi na spoczynek. Siedziała właśnie przed olbrzymim lustrem w swym buduarze i dwie frejliny rozczesywały jej włosy.

- Składam hołd do królewskich stóp - rozległ się nagle poza jej plecami głęboki, męski głos.

Królowa i dwie jej pokojówki odwróciły się przestraszone. Na środku pokoju, pochylony w postawie pełnej szacunku, trzymając rękę na sercu, stał wysmukły, zamaskowany mężczyzna.

Włosy jego okrywała czarna, jedwabna chusta spięta z tyłu. Połowę twarzy opasywała

czarna, atlasowa maska. Poprzez otwory jej świeciły wielkie, błyszczące oczy. Śnieżnobiałe, równe zęby lśniły w szerokim uśmiechu. U boku jego wisiał zwinięty bicz, stanowiący całe jego uzbrojenie. Był to Zorro we własnej osobie.

Trzy kobiety spoglądały nań nieruchomo.

- Za pozwoleniem waszej królewskiej mości, otwieram posiedzenie! – rzekł Zorro, prostując się. - Zaczynamy od omawiania sposobu ściągania podatków przez jego księżęcą mość, wielkorządcę Aragonii. Postąpił krok. - Czy waszej królewskiej mości wiadomo, w jaki sposób książę Ramido y Carvalho ściągają podatki z prowincji Aragonii? Nie, prawda? A więc pozwolę sobie w krótkich słowach przedstawić tę sprawę. Wielkorządca ściągają rokrocznie około osiemnastu milionów peso w złocie, przy czym cztery miliony idą na koszty administracji i inne wydatki. Z tego do Madrytu płynie pozostałe złoto dwiema strugami, a mianowicie: dziewięć milionów do królewskiego skarbcza, reszta zaś, to jest pięć milionów, do kasy prywatnej księcia Ramida y Carvalha.

- Jakim prawem... wybuchnęła królowa.

- Jakim prawem uważam księcia za złodzieja? To proste, wystarczy wysłać do Aragonii zaufanych kontrolerów i wówczas okaże się, że mówię prawdę, że ani o jedno peso nie powiększyłem sumy pieniędzy skradzionych przez księcia.

- Senor..

-Komisarze podatkowi przebiegają całą prowincję, eskortowani przez oddziały wojskowe. Ściągają się podatki z włościan z niesłychaną brutalnością. Zabiera się ostatnią krowę lub poduszkę, a gdy wieśniak rozpacza, otrzymuje porcję batów. Czasami, gdy dłużnik jest zbyt oporny, puszcza się z dymem jego chatę. Kwitnąca ongiś prowincja powoli zamienia się w krainę. nędzy i rozpaczy. A Madryt milczy. Eskurial nic nie wie o tym. Wielkorządca opłaca liczną armię szpiegów i donosicieli i w ten sposób zamyka usta każdemu, kto by miał zamiar zbyt głośno krzyknąć.

- To niesłychane!

- A jednak uprzedzono o tym twych ministrów, królowo! - Senor! - zawołała królowa, zapominając o niezwykłości tej sceny. - Nie mogę uwierzyć w to, co mówisz!

- Zorro nigdy nie kłamie - odparł zamaskowany mężczyzna, prostując się dumnie. - Wierz mi, najjaśniejsza pani, że mówię czystą prawdę. Zresztą mam już dość tych łez zrozpaczonych kobiet i wołań wygłodniałych dzieci... Cierpliwość się wyczerpała. Najjaśniejsza pani, uprzedzam, że jeśli w najbliższych dniach nie zostaną poczynione zmiany, zgładzę księcia wielkorządcę.

- Czy mnie pozostawisz przy życiu? - zapytała ironicznie królowa Izabella,

odzyskując panowanie nad sobą.

- Nie tykam kobiet, najjaśniejsza pani - odparł Zorro. - Uważam, iż mężczyzna, który dla najwznioślejszej nawet idei czyni najłżejszą choćby krzywdę kobiecie należącej do wrogiego obozu, mężczyzna taki nie jest człowiekiem, lecz gadem, płazem i najpodlejszym tchórzem, który niewart nawet kopnięcia.

- Bardzo pięknie, senor Zorro! - rzekła królowa, wyciągając nieznacznie rękę do dzwonka. - Piękne zasady wygłaszasz. Co do mnie, postaram się zastosować do wskazówek, jakich mi udzieliłeś, pod warunkiem, że zdejmiesz maskę i dasz się poznać. Ciekawa jestem ujrzeć oblicze wiernego obrońcy biednego ludu.

- To jest na razie niemożliwe, najjaśniejsza pani. - Zdejmę publicznie maskę, gdy sam uznam to za stosowne, lecz nie przedziej. Nie pomoże nawet to, że sięgasz po dzwonek.

Królowa chwyciła za jedwabny sznur wiszący obok lustra i pociągnęła silnie. W sąsiedniej sali rozbrzmiał się dzwon. W ślad za tym dzwonem rozległy się odgłosy kroków biegnących ludzi. Słyszać było wyraźne nawoływania i szczęk broni. Odezwały się liczne dzwonki alarmowe w różnych częściach pałacu.

Przed pałacem, na dziedzińcu, ktoś strzelił. To alarmowano żołnierzy na wartowni

Zorro uśmiechnął się spokojnie. Odczepił niedbałym ruchem bicz i zwinęty ujął prawą ręką. Królowa z zapartym oddechem śledziła jego ruchy. Zorro zbliżył się do drzwi i czekał. Scena ta trwała zaledwie chwilę. Wtem podwoje zostały gwałtownie szarpnięte i w szeroko otwartym wejściu ukazał się tłum uzbrojonych ludzi. Ci co stali w pierwszym szeregu, trzymali wycelowane pistolety.

Bicz świsnął - dwa krótkie pociągnięcia i pistolety wyleciały w powietrze. W następnej sekundzie Zorro skoczył jak pantera. Gibkie jego ciało opisało łuk w powietrzu. Spadł na barki jednego z żołnierzy i zanim ten zdążył upaść pod ciężarem, Zorro odepchnął się od niego, wykonał kozła ponad tłumem i opadł na posadzkę, stojąc na nogach.

Ludzie odwrócili się ku niemu.

Rozpoczęła zaciekle gonitwa.

Wszystkie prawie sale były jaskrawo oświetlone olbrzymimi żyrandolami.

Zorro dopadł barierki balkonika wiszącego nad olbrzymią salą balową. Z balkonika skoczył na żyrandol. Rozległ się brzęk szkła. To kryształki stanowiące ozdobę żyrandola posypały się na dół. Mężczyzna w masce puścił kołyszący się żyrandol, opisał łuk w powietrzu, opadł na drugi balkonik po przeciwległej stronie, otworzył jeden z pokoi i znikł za drzwiami.

Pogoń trwała dość długo. Zorro gdzieś wreszcie znikł.



Wtem rozległ się huk wystrzału i oczom wszystkich zebranych w sali koronacyjnej ukazał się wystraszony Zefirio w nocnym negliżu, trzymając dymiący pistolet w ręku:

- Zdaje się, że go postrzeliłem! - rzekł. - Lecz zdołał mi uciec!

## Plany zamachu

Za gmachem uniwersytetu w Madrycie bieżą wąskie i poplątane uliczki, w których gnieździ się biedota. Jedna z tych uliczek, szczególnie ciasna i ciemna, nie nęciła zbyt przechoźniów. Dlatego prócz rzadkich mieszkańców na pół rozwalonych domostw, nikt prawie tędy nie przechodził.

Pewnego pochmurnego poranka w uliczkę tę zagłębili się dwaj mężczyźni otuleni w długie, czarne płaszcze. Jeden z nich, wyższy, zbliżył się do wąskich drzwi niepozornej kamienicy, ujął kołatkę i trzykrotnie zapukał. Drzwi zostały uchylone i dwaj mężczyźni zniknęli w ciemnym wejściu.

- Czy junta<sup>2</sup> zebranie, związek lub grupa dyktatorska) jest w komplecie? - zapytał ten, który wszedł pierwszy.

- Tak jest, senor Fernando! - odpowiedział człowiek przy drzwiach. - A kto jest ten senor, który ci towarzyszy?

- Don Antonio jest nowym członkiem związku!

Obaj przybyli udali się stromymi schodkami na pierwsze piętro. Tutaj powtórzyła się ta sama operacja; don Fernando zapukał trzykrotnie, drzwi się uchylły i przybysze znaleźli się w przestronnym pokoju.

- Witajcie, bracia! - rzekł Fernando, schylając się w głębokim ukłonie. Towarzysz jego, don Antonio, poszedł za jego przykładem.

Dookoła długiego stołu siedzieli ludzie w liczbie dwudziestu dwóch. W milczeniu odpowiedzieli ukłonem na ukłon, po czym jeden z nich, siwy jak gołąb, widocznie przewodniczący posiedzenia, wskazał ręką na puste krzesła na końcu stołu. Fernando oraz don Antonio w milczeniu zajęli wskazane miejsca. Przewodniczący ciągnął dalej swą przemowę, przerywaną przez nowo przybyłych.

- A więc, bracia - mówił - postanowiliśmy jednomyślnie, że królowa musi zginąć z naszej ręki. Wyrok śmierci został wydany. Niech żyje anarchia!

- Niech żyje anarchia! - zawołali obecni, podnosząc się ze swych miejsc i wyciągając ręce jak do przysięgi.

- Bracia! - zawołał przewodniczący. - Mam jeszcze coś do zakomunikowania!

Anarchiści umilkli i usiedli na swych miejscach.

- Pierwotny plan wysadzenia zamku królowej został zaniechany. Jest to sprawa zbyt

---

<sup>2</sup> (Junta - (hiszp.)

niebezpieczna i kłopotliwa. Obecny tutaj brat Fernando podjął się zgładzenia królowej.

Szmer uznania przebiegł wszystkich zebranych. .

- Brat Fernando bierze do pomocy nowego członka naszego stronnictwa, don Antonia.

Obaj zakradną się do pałacu i wykonają wyrok!

- Cześć- bohaterom! - rozległ się gromki okrzyk.

Fernando oraz don Antonio wstali i ukłonili się.

- Bracia! - zawołał Fernando. - Postanowiliśmy, ja i don Antonio, sprzedać życie dla idei, dla naszej wspólnej idei!

Tutaj uderzył się pięścią w piersi i zawołał podnosząc głos:

- Możliwe, że zginiemy przy tym, lecz chętnie zgodzimy się na śmierć, gdyż ożywia nas jedna myśl: Precz z tyranią, precz z władzą, ładem i porządkiem!...

- Preecz! - wtórował im okrzyk zebranych.

- Lecz od was również oczekuję pomocy - ciągnął dalej Fernando. - Zadanie nasze wykonamy, jeśli zdołamy dostać się do pałacu. Jest on niestety pilnie strzeżony przez liczny oddział policji i wojska!...

Przewodniczący uniósł rękę do góry, by nakazać ciszę.

- Bracie Fernando! - zawołał. - Jeżeli o to chodzi, możesz być spokojny! Uczynimy wszystko, co będzie w naszej mocy, by ułatwić ci przedostanie się do pałacu. Dziś jeszcze zabierzemy się do dzieła. Wśród służby pałacowej oraz wśród wartowników mamy zaufanych ludzi. Nie wątpię, iż uda nam się załatwić wszystko pomyślnie!

- A więc kiedy dowiemy się, iż można zacząć?

- Bądźcie jutro przed północą nie opodal głównego wejścia do ogrodów Eskurialu. Tam zbliży się do was jeden z braci. On wam wskaże plan działania i poda wszystkie szczegóły.

- A więc jutro przed północą.

- Tak jest! I nie zapomnijcie zaopatrzyć się w sztylety!

- Ze sztyletami nigdy się nie rozstajemy - wtrącił milcząco dotąd don Antonio. - Możesz liczyć na nas, senor, ciosy nasze nie chybią!

Z tymi słowami anarchiści pożegnali się i pojedynczo wyszli z sali posiedzeń.

Fernando i don Antonio znaleźli się na ulicy. Po pewnym czasie, gdy oddalili się dostatecznie, don Antonio nachylił się do ucha swego towarzysza i szepnął:

- Głupcy, myślą, że wyłącznie dla idei narażamy nasze skóry!

- Tss! - szepnął Fernando i obejrzał się. - Mogą nas usłyszeć!

- Nikt nie idzie za nami! Możemy rozmawiać spokojnie!...

Otóż Fernando, czy jesteś pewny co do miejsca, w którym ukryta jest szkatułka z klejnotami królowej?

- A co z królową? Pozostawimy ją?

- Oszalałeś? Żeby nam cały związek anarchistów wsiadł na kark? Nie, mój kochany, musimy wykonać polecenie junty co do joty, w przeciwnym bowiem wypadku nie ujdziemy zbyt daleko ze szkatułką! .

Don Antonio westchnął.

- Ano, trudno! Dla milionów trzeba się narazić! Mimo woli staniemy się oswobodzicielami ludu, choć tyle to nas obchodzi, co śnieg na Pirenejach!

## Błazen nadworny

Po ostatniej nocnej wizycie Zorry dworzanie uspokoili się. Nikomu nie uczynił krzywdy ani też, jak mówiła królowa, nie myślał wcale garbować skóry dworskiej szlachcie. Monarchini dała do zrozumienia, że te odwiedziny miały podłoże czysto polityczne. Mimo to wartownicy pałacowi zostali ukarani, po czym wartę zaciągnęli inni policjanci i żołnierze.

Następny dzień był dniem dworskich przyjęć.

Wspaniała gwardia dworska tworzyła długi szpaler w olbrzymiej, złotej sali.

Do pałacu wchodzili dostojnicy oraz pierwsza szlachta Hiszpanii. Szambelan, uzbrojony w długą laskę, prowadził każdego z nich z osobna do sali przyjęć i donośnym głosem wymieniał tytuły, rangę, orderzy oraz nazwisko przybywającego.

Królowa siedziała w złotym fotelu, zwanym małym tronem. Za nią stali ministrowie i przybocznicy. Zefirio znajdował się między nimi. Zaskarbił sobie przychyłność królowej i został nieoficjalnym błaznem dworskim. I co szczególne, wszyscy prócz Zefiria wiedzieli dobrze, w jakim charakterze znajdował się młody Corti przy boku monarchini.

Szambelan, księżę Almagro, ukazał się w wejściu i oznajmił przybycie księcia Ramida y Carvalha.

- Uwaga, wasza królewska mość! - szepnął Zefirio.

Królowa spojrzała nań zdziwiona.

- Co ty pleciesz, senor? - zapytała. - Dlaczego mam uważać?

- Uwaga na kieszenie i diamentowe ozdoby! Księżę jest wielce łasy na drogocenne drobiazgi!

Królowa nachmurzyła się, lecz w tej samej chwili wszedł do sali księżę Ramido i pewnym krokiem zbliżył się ku królowej. Zatrzymał się przed nią, ukląkł na jedno kolano i złożył pełen szacunku pocałunek na królewskiej rączce.

- Witaj mi, szlachetny księżę - rzekła łaskawie królowa. - Co przynosisz nam nowego?

- Miłościwa pani! - odpowiedział księżę, podnosząc się. Nie mogłem złożyć ci wcześniej wizyty, gdyż leżałem złożony niemocą.

- Wiem, wiem! Słyszałam o tym! Sądzę, iż czujesz się obecnie lepiej, mości księżę?

Lecz księżę- Ramido nie odpowiedział. Zdumiony wzrok jego padł na głupkowato uśmiechnięte oblicze Zefiria, który stał obok tronu, oparty z niedbałą nonszalancją o boczną poręcz.

Księżę nie wiedział w jakim charakterze Zefirio tutaj się znalazł. Dlatego zdumienie

jego graniczyło nieomal z przestrachem, gdy spostrzegł młodego Cortiego poufale opierającego się o królewski tron.

Królowa powtórzyła pytanie, lecz książę na razie zapomniał języka w gębie. Już miała powtórzyć je po raz trzeci, gdy odezwał się Zefirio:

- Mości książę - rzekł doń wyniośle - stwierdzam oburzający fakt, iż królowa dwa razy zadała ci to samo pytanie, ty zaś nie raczyłeś odpowiedzieć!

Dworzanie zagryźli wargi, szambelan spojrział nań ze zgrozą pomieszaną z zachwytem, królowa uśmiechnęła się lekko.

- Senor Zefirio - rzekła półgłosem - zamilcz!

- Nie mogę milczeć, najjaśniejsza pani, nie umiem milczeć... - Rozległ się zewsząd stłumiony śmiech. - W takich wypadkach - dodał Zefirio. - Książę patrzył nic nie rozumiejąc. - Wasza. książęca wysokość - ciągnął dalej niepoprawny Zefirio - nie jestem zawzięty, więc puszczam nietakt twój w niepamięć! Pozwól jednak, że ci powtórzę pytanie najjaśniejszej pani! Jej królewska mość raczyła zapytać o stan twoich nóg!

- O stan mych nóg?

- No tak! Po owej karkołomnej ucieczce przed rozbrykanym cielęciem!

Królowa spojrzała na Zefiria z udanym oburzeniem.

- Senor Corti! - rzekła doń z naciskiem. - Rozkazuję ci, zamilcz! Uwłączasz księciu i doprawdy zachowujesz się niesłychanie w mej obecności.

- Już milczę, najjaśniejsza pani!

Książę był blady jak płótno.

Przykrą dlań scenę przerwał szambelan, wołając:

- Markiz Rerrero Mondevi de Malibrán, wicegubernator Majorki, komandor orderów, z synem.

W sali zjawili się dwaj mężczyźni we wspaniałych strojach dworskich. Obaj byli nadmiernie otyli, podobni do siebie jak dwie krople wody, szeroko uśmiechnięci i dobroduszni z wyglądu. Dzielili ich jednak znaczna różnica wieku. Jeden z nich wyglądał na lat czterdzieści pięć, drugi zaś najwyżej na lat dwadzieścia. Zaledwie zbliżyli się do tronu, rozległ się radosny okrzyk Zefiria:

- Malibrán, przyjacielu! Cieszę się, że cię widzę, chodź w me objęcia!

I nie czekając odpowiedzi rzucił się ku niemu. I

Powstało małe zamieszanie. Zefirio psuł bowiem sztywną etykietę dworu hiszpańskiego.

Na znak dany przez królową, szambelan dyskretnie zbliżył się do Zefiria i kładąc mu

rękę na ramieniu, rzekł doń półgłosem:

- Senor Corti! Królowa rozkazuje, byś opuścił salę przyjęć!

- Dobrze - odparł Zefirio. - Chylę czoło wobec rozkazu najjaśniejszej pani. - Proszę jednak, księżę Almagro, byś szepnął jej królewskiej mości, że szlachetny Roldan Mondevi de Malibran jako wielkorządca Aragonii miałby jedną jedyną zaletę!

- Jaką? - zapytał szambelan.

- Nie kradłby!

Rozmowę tę, prowadzoną półgłosem, dosłyszeli prawie wszyscy, nie wyłączając księcia Ramiro i królowej.

Księżę Ramiro zbladł i zagryzł wargi. W jego pełnym nienawiści spojrzeniu, jakiego rzucił w stronę Zefirio, można było wyczytać, iż poprzysiągł zemstę nierozważnemu młodzieńcowi. Lecz ten nic nie dostrzegł. Ujął swego przyjaciela pod ramię i wyprowadził go z sali.

## Przebaczenie królowej

- Jej królewska mość wzywa senora Cortiego do siebie! Przyboczny dworzanin wypowiedział te słowa i uklonił się ceremonialnie.

Zefirio z uśmiechem spojrzał na Malibrana.

- Czy wiesz, po co wzywa mnie królowa?

- Domyślam się! Prawdopodobnie, by cię odznaczyć orderem. - Lepiej! .

- Lepiej.?.

- Wypędza mnie z pałacu!

- Czyżby? - zdziwił się Malibran.

- Przeciągnąłem strunę w czasie audiencji.

- A więc będziesz mi towarzyszył, gdy opuszczę pałac.

- Nie. Pozostanę tutaj!

- Jak to? Wbrew woli królowej?

- Z wolą królowej.

- Teraz już nic nie rozumiem!

- Chodź ze mną, to zrozumiesz.

- Sądzę, że królowa zechce rozmawiać bez świadków.

- Toteż pozostawię cię za uchylonymi drzwiami.

- A więc chodźmy.

Wzięli się pod rękę i poszli rozmawiając wesoło.

Przed drzwiami prowadzącymi do prywatnych apartamentów królowej stali dwaj gwardziści pełniący służbę.

- Królowa mnie wzywała - rzekł Zefirio. - Zameldujcie mnie, proszę!

Jeden z oficerów gwardii pałacowej wszedł do komnat królowej.

- Senor kapitan - zwrócił się Zefirio do drugiego. - Ten oto mój przyjaciel założył się ze mną przed chwilą...

- Nic mnie nie obchodzi wasze zakłady! - mruknął gwardzista. ,

- Owszem obchodzą, bardzo obchodzą. Założyliśmy się o to, czy gwardia pałacowa składa się z żołnierzy wojowników czy też kamerdynerów królewskich.

Oficer zbłądł i strasznym wzrokiem spojrzał na Zefiria, ten zaś ciągnął dalej:

- Ja utrzymuję, że gwardia to żołnierze, mój zaś przyjaciel twierdzi...

- Nie chcę wiedzieć, co twierdzi twój przyjaciel, senor! - przerwał oficer brutalnie. -



Już ja go sam pouczę, co ma myśleć o gwardii.

Drugi oficer wrócił i rzekł do Zefiria.

- Jej królewska mość wzywa senora Cortiego.

- Wytlumacz memu przyjacielowi, co to jest gwardia, kapitanie - rzekł Zefirio i znikł za drzwiami.

Królowa czekała na niego, chodząc po puszystym dywanie salonu. .

- Senor Zefirio! - zawołała bez żadnego wstępu. - Zachowałeś się okropnie podczas audiencji i dowiodłeś, że miejsce twe nie jest przy dworze, wobec czego będziemy musieli się rozstać.

- Ha, trudno! - westchnął Zefirio. - Opuść ten pałac i pójdę w świat, unosząc w moim sercu po wieczne czasy obraz mej królowej: .

Królowa była nieco zdziwiona, spodziewała się bowiem, że Zefirio będzie ją błagał o przebaczenie.

- Najjaśniejsza pani, ciągnął dalej Zefirio. - Nie wiem, co prawda, czemu mam przypisać tak nagłą niełaskę, lecz jako wierny poddany muszę słuchać bez dyskusji, toteż bez szemrania usunę się jeszcze dziś. Bardzo jednak żałuję, że mnie właśnie to spotyka, właśnie mnie! Od chwili gdy tu jestem, stałem się najwierniejszym, najczujniejszym strażnikiem królewskiej osoby.

- Mam dosyć straży i bez ciebie, senor.

- Nie ufaj jej zbyt, najjaśniejsza pani. Nawet twoi najbliżsi gwardziści zamiast czuwać nad osobą królowej, zajęci są czymś innym.

- Senor, co za insynuacje?

- Prawdę mówię, wasza królewska mość. Wierny Zefirio, czuwający nieustannie nad osobą swej monarchini, wart jest więcej niż wartownicy porozstawiani w każdym kątku i przed każdymi drzwiami. Oto przykład, najjaśniejsza pani! Przed drzwiami prowadzącymi do twych apartamentów winni czuwać dwaj zaufani oficerowie gwardii. Założę się, że w tej chwili do komnat tych mógłby zakraść się najpospolitszy rzezimieszek, nie mówiąc już o rewolucjonistach.

- Senor! - zawołała królowa gniewnie. - Doprawdy zbyt wiele sobie pozwalasz!

- A więc jeśli zezwolisz, najjaśniejsza pani, pójdę sprawdzić, co robią teraz wartownicy przed twymi drzwiami. Przekonam się o ich czujności i wówczas spokojnie będę mógł odejść.

I nie czekając na odpowiedź, zawrócił ku drzwiom, wyminął dwie komnaty i otworzył drzwi na korytarz.

Oficerów nie było przed drzwiami.

- Ach! - rozległ się cichy okrzyk nad uchem Zefiria.

To królowa wiedzona ciekawością poszła za Zefiriami i naocznie przekonała się, że drzwi wejściowe do jej apartamentów nie były wcale strzeżone.

- Najjaśniejsza pani pozwoli, że poszukam tych oficerów! Odnalezienie ich nie było rzeczą trudną. Na końcu korytarza drzwi były nieco uchylone i z sąsiedniej sali dochodziły szczęk oręża oraz przytłumione przekleństwa.

- Oni są tam! - rzekł Zefirio. - Biją się, zamiast spełniać swój najświętszy obowiązek!

Królowa śpiesznym krokiem podążyła w kierunku uchylonych drzwi. Zefirio nie pozostał w tyle. Gdy oboje stanęli w drzwiach, niezwykły widok ukazał się ich oczom. Malibran walczył na szpady z oficerem gwardii. Drugi oficer był sekundantem pojedynku.

- A więc jestem żołnierzem czy kamerdynerem? - syczał gwardzista. - Jeszcze nie wiem! - odpowiedział Malibran, oddając ciosy. - Machasz szpadą, senor, jak szczotką do odkurzania!

Oficer ryknął wściekle i natarł ze zdwojoną furią.

- Jeśli wyjdiesz cało z tego pojedynku - zawołał drugi oficer - będziesz miał ze mną do czynienia!

Królowa przypatrywała się z oburzeniem tej scenie, wreszcie zawołała:

- Senores, co to ma znaczyć?

Szpady opadły jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej.

- Królowa! - wydarł się okrzyk pełen przestachu z ust trzech mężczyzn.

A ona odwróciła się w stronę Zefiria i ujęła go pod ramię:

- Chodźmy, senor Zefirio, mój najwierniejszy sługo!

Odchodząc Zefirio rzucił triumfujące spojrzenie w stronę Malibrana.

W odpowiedzi ten uśmiechnął się, zrozumiał bowiem, iż Zefirio posłużył się jego osobą, by zaskarbić sobie na powrót łaskę królowej.

## Udaremniiony zamach

Królowa przebaczyła młodemu Cortiemu jego przewinienie i pozostawiła go w pałacu, zlecając mu nadzór nad wartą pałacową. Od tej chwili Zefirio stał się ważną osobistością na dworze. Przywdział jakiś fantastyczny strój, cały obszyty złotymi i srebrnymi galonami, u boku jego dzwoniła długa szabla: Wszędzie go było pełno, węszył i tropił niewidzialnych wrogów w każdym zakątku. W swej skrupulatności stał się natrętny i przesadny.

Pewnego wieczoru, gdy królowa miała właśnie zamiar udać się na spoczynek, bez meldowania się wbiegł do sypialni Zefirio, zajrzał pod królewskie łożo, fotele i wybiegł nie mówiąc ani słowa. Królowa wzruszyła ramionami. Zefirio doprawdy zbyt przejmując się swą rolą, pomyślała, szuka zbrodniarzy pod mym łożem.

Nad ranem otwierając oczy Izabella II ze zdumieniem spostrzegła mężczyznę siedzącego w fotelu nie opodal jej łoża. Był to Zefirio, który z obnażoną szpadą czuwał nad jej bezpieczeństwem, chrapiąc w najlepsze.

- Senor Zefirio! - zawołała królowa, przykrywając się kołdrą aż do podbródka. - Wypraszam sobie, byś narzucał mi swe towarzystwo nawet w sypialni. Doprawdy za wiele tego!

Na dźwięk głosu królowej, Zefirio obudził się, schował szablę do pochwy, przeżegnał się, po czym wyniósł się w milczeniu. Gdy znikł za drzwiami, Izabella uśmiechnęła się pobłaźliwie. Doprawdy, pomyślała, zaczynam lubić tego głuptasa. Czuję, że nudziłabym się, gdyby nie było go w pałacu.

Tego dnia wszędzie było pełno Zefiria. Wartownicy oraz służba pałacowa ciskali przekleństwa w ślad za nim, gdy przechodził. Toteż gdy nastał wieczór, wszyscy odetchnęli z ulgą.

Noc zapadła.

Wartownicy sennie przechadzali się po licznych korytarzach. Pomimo że Zefirio czuwał przez cały dzień i osobiście porozstawiał liczną straż - przed północą jakiś cień przesunął się bezszelestnie przez sale, znikł za jednym zakrętem i zjawił się za drugim. Był to Zorro, który mimo wszystko wślizgnął się do pałacu i wędrował przed samym nosem warty.

W kilku zegarach pałacowych wydzwoniła północ.

Gdzieś w oddalonej części pałacu zgrzytnęły drzwi. Nastąpiła chwila kompletnej ciszy, po czym rozległo się w jednej z sal skrzypnięcie podłogi.

Zorro zamarł w bezruchu, nad słuchując. Oczy jego, przyzwyczajone do ciemności, dostrzegły po pewnym czasie trzy postacie ludzkie, które posuwały się ostrożnie. Jedna z nich szła przodem i prowadziła dwie pozostałe. Zamaskowany obserwator wyteżył wzrok i raczej domyślił się, niż dojrzał, że ten, który prowadził, należał do warty pałacowej. A więc wśród strażników był zdrajca.

Tajemniczy nocni goście przesunęli się przez salę. Zdrajca-wartownik ostrożnie uchylił drzwi na korytarz. Nastąpiła chwila ciszy, po czym rozległy się dwa tępe uderzenia. Dwaj wartownicy ogłuszeni legli na posadzce, zaciągnięto ich do Sali, w której znajdował się Zorro.

Zdrajca-wartownik zatrzymał się przed drzwiami sypialni królowej, dwaj inni uchylili lekko drzwi i wślizgnęli się do środka.

- Uwaga, Fernando - szepnął jeden. - Królowa śpi po prawej stronie.

- Nie obawiaj się, Antonio - odpowiedział również szeptem drugi. - Załatwię przede wszystkim tamtą sprawę...

- Uważam, że należałoby najpierw wykonać polecenie junty.

- Masz rację, najmniejszy szelest i królowa się obudzi, a wówczas jesteśmy zgubieni.

Ostrożnie posuwali się w stronę łóżka śpiącej Izabelli II.

Pochłonięci swą myślą, nie dosłyszeli tępego uderzenia na korytarzu oraz stuku padającego ciała. Nie dostrzegli też cienia, który przesunął się za nimi.

- Fernando, czy widzisz w ciemności? - szepnął don Antonio.

- Jak kot! Oto królowa.

Uniósł sztylet, lecz w tej samej chwili coś świsnęło w powietrzu i owinęło się dookoła jego szyi, wrzynając się boleśnie w skórę i odciągając z gwałtowną siłą w tył.

Był to bat Zorry.

Świsł rzemienia rozległ się po raz drugi, trzeci i czwarty. Zbrodniarze znaleźli się na podłodze, wijąc się pod razami bicia i jęcząc.

Królowa zerwała się ze swego łóżka.

- Boże! - zawołała. - Co się tu dzieje?

- Nie obawiaj się niczego, najjaśniejsza pani, to ja, Zorro, karzę zbrodniarzy, którzy wtargnęli do twojej sypialni, by cię zamordować.

W korytarzu rozległ się dzwon alarmowy. To królowa pociągnęła za jedwabny sznur wiszący koło jej łóżka.

Po chwili zbiegli się ludzie ze światłem.

Przy świetle lamp i latarni ujrzano na podłodze dwóch obcych ludzi leżących bez

przytomności.

Obok leżały na podłodze dwa sztylety.

Zorro gdzieś znikł.

## Posiedzenie rady ministrów

Don Alonzo, pierwszy minister, wstał i kłaniając się nisko królowej Izabelli II, rzekł donośnym głosem:

- Posiedzenie rady ministrów otwarte, wasza królewska mość!

Ludzie w szamerowanych złotem strojach, siedzący dookoła stołu pochylili głowy.

- Przedmiotem naszej dzisiejszej debaty - kontynuował don Alonzo - jest zmiana na stanowisku gubernatora Aragonii. Z woli jej królewskiej mości, księżę don Ramido y Carvalho ustępuje. Objęcie opuszczonego przezeń stanowiska jest przedmiotem obecnej konferencji. Jej królewska mość w tej sprawie wyraziła życzenie wypowiedzenia własnego zdania.

Głowy obecnych skierowały się w stronę królowej.

- Senores - rzekła królowa. - Usunęłam księcia Ramida y Carvalha, gdyż doszły mych uszu wieści o wadliwej administracji sprawowanej przez księcia. Lecz na tym nie koniec, moim zamiarem jest postawienie księcia w stan oskarżenia za nadużycia i malwersacje przezeń popełnione.

Rozległ się szmer na sali i ministrowie poruszyli się niespokojnie na swych miejscach.

Don Alonzo wstał i rzekł kłaniając się królowej.

- Jej królewska mość wyraziła życzenie, by postawić księcia Ramida w stan oskarżenia. Z punktu widzenia sprawiedliwości należałoby tak uczynić bezwzględnie. Niestety, racja stanu zabrania nam to uczynić!

- Dlaczego? - zapytała królowa zdziwiona. - Księżę kradł i gnębił ludność, a nam nie wolno go oskarżyć i ukarać?

- Nam tego nie wolno uczynić - odpowiedział don Alonso stanowczo. - Nie wolno nam wywlekać na światło dzienne tej sprawy, gdyż rząd oraz osoba waszej królewskiej mości na tym również ucierpią.

- Wytłumacz się jaśniej, don Alonzo!

- To jasne-Jak słońce, że w umyśle ludu ministrowie, wielkorządca oraz jej królewska mość to jedno, czyli klasa rządząca. Wywlekanie sprawy don Ramida rozwiąże różnym agitatorom języki. Patrzcie - rzekną - jaka tam panuje zgnilizna i korupcja wśród rządzących. Niby są to ludzie pracujący dla dobra Hiszpanii, a w rzeczywistości chodzi im o zwykły zarobek, o zdobycie grosza. Skoro nawet przedstawiciel szlacheckiego rodu nie cofa się przed

zwykłą kradzieżą, to znaczy, że ci, którzy do tego dopuścili i przez tyle lat oczy mieli zamknięte, a więc ministrowie, czyli cały rząd z jej królewską mością na czele...

- Dość, don Alonzo! - zawołała królowa. - Rozumiem cię dobrze, powiedzą, że cały rząd nie jest uczciwy!

- Tak jest! Wasza królewska mość raczy mi wybaczyć, lecz w historii mieliśmy już podobny przypadek wykorzystania przez agitatorów rewolucyjnych najdrobniejszej sprawy.

- Jaki to był przypadek? - zapytała królowa zainteresowana. - Była to sprawa naszyjnika królowej francuskiej Marii Antoniny. Z błahej sprawy wywiązała się nieco później rewolucja, która zmiotła króla i królową!

- Czy nie przesadzasz, senior Alonzo?

- Nie przesadzam! Radzę całą sprawę zatuszować!

- A więc niech tak będzie! - rzekła królowa przekonana. - Teraz przejdziemy do drugiej sprawy. Na stanowisko wielkorządcy Aragonii proponuję don Herrera Mondevi de Malibrana, byłego wicegubernatora Majorki. Według mnie jest to człowiek prawy oraz najbardziej odpowiedni.

Ministrowie zaczęli się naradzać szeptem.

Narada trwała dość długo, wreszcie don Alonzo wstał:

- Wasza królewska mość - rzekł. - Życzenie jej, jest dla nas rozkazem. W myśl jednak polecenia mego rządu zechce jej królewska mość wysłuchać naszych uwag.

- Słucham!

- Aragonia, wyniszczona przez nieudolną gospodarkę księcia Ramida, potrzebuje człowieka energicznego i przedsiębiorczego zarazem. Markiz de Malibran nie jest tym człowiekiem, jest zbyt miękki, ma chwiejny charakter i jest ustępliwy. Zdemoralizowana Aragonia potrzebuje innego człowieka: energicznego, nieustępliwego, słowem, żołnierza, który by potrafił utrzymać w ryzach ludność, a jednocześnie byłby sprawiedliwy!

- Taki człowiek?

- To don Alvarez y Gonzano, pułkownik jej królewskiej mości. Zna dobrze Aragonię, umie obchodzić się z ludnością, poskramiać buntowników i nie popełnił nic takiego co by pozwalało podejrzewać jego uczciwość.

Królowa wahała się. Tajemniczy Zorro uratował ją przed zamachem anarchistów.

Królowa chciała mu się wywdzięczyć, usuwając znenawidzonego don Ramida. Również Zefiria chciała zadowolić, wysuwając kandydaturę ojca jego przyjaciela..

Lecz ministrowie byli zdania, iż na to stanowisko daleko odpowiedniejszy jest don Alvarez.

- Zgadza się! - rzekła królowa z westchnieniem. - Niech będzie don Alvarez, przekonał mnie!...



## Gniew Zefiria

Gdy wiadomość o mianowaniu don Alvareza gubernatorem Aragonii rozeszła się po Madrycie, pierwszy, który pognał do królowej, by złożyć jej najuniżeńsze dziękczynienia był sam don Alvarez.

Oficer nie posiadał się z radości. Co prawda nominacja ta nie była dlań niespodzianką, bo dużo wcześniej karierowicz odbył tajemną naradę z ministrem don Alonzem, a jednak gdy zawiadomiono go o tym, iż został wielkorządcą, duma i radość poniosły go jak na skrzydłach do Eskurialu.

Jeden tylko człowiek chodził po komnatach pałacowych zasępiony.

- Złodziej na złodzieju siedzi i złodziejem pogania - mruczał. - Biedna Aragonia...

Wtem pewna myśl przysła mu do głowy. Uśmiechnął się. Twarz jego rozjaśniła się i machnął ręką.

Udał się na poszukiwanie królowej.

Wszedł do sali posiedzeń w chwili, gdy wycofał się z niej uszczęśliwiony don Alvarez.

- Ach, kogo widzę? - zawołał Zefirio z szerokim uśmiechem, wyciągając rękę. - Senor Alvarez, wielkorządcą Aragonii! Winszuję, winszuję z całej duszy.

Lecz don Alvarez zmierzył go dumnym spojrzeniem i nie wiedząc, co Zefirio robi w pałacu królewskim, wyminął go skinąwszy mu lekko głową.

Zefirio pozostał na progu, żałośnie oglądając swą wyciągniętą dłoń.

- Taki gbur! - wyrzekł kiwając głową. - Nawet nie raczył się ze mną przywitać. I to jest gubernator? Do licha, wyobrażam sobie, jak ci, biedni Aragończycy będą skakali przed jego gubernatorską wysokością! .

Mówił tak głośno, że wszyscy obecni w sali, nie wyłączając królowej, słyszeli każde jego słowo.

Zefirio zbliżył się do królowej.

- W złym humorze jesteś, senor Zefirio! - rzekła doń Izabella II.

- Jestem wściekły, wasza królewska mość. Biedna Aragonia dostaje zarządcę gbura!

- Cicho, Zefirio, jest to człowiek uczciwy, choć nieco szorstki. - I dodała ciszej: - Wolalabym co prawda markiza Mondevi de Malibrana, lecz kandydaturę don Alvareza wysunął sam don Alonzo i poparli go wszyscy ministrowie. Zgodziłam się na don Alvareza, gdyż nie mam żadnych powodów do odrzucenia nieposzlakowanego człowieka!

- Hm - mruknął Zefirio. - I ja nie mogę nic mu zarzucić prócz tego, że jest gburem. Nawet bicz Zorry nie zdołał nauczyć go skromności.

- Bicz Zorry? - powtórzyła królowa. - Czyżby dał się osmagać?

- Nie wiem, czy dał się, lecz fakt pozostaje faktem, że przez dwa przeszło miesiące obnosił na policzku znak "Z".

Na tym rozmowa Zefiria z królową zakończyła się.

W balowych salach pałacu wrzały przygotowania do mającego nastąpić w przyszły czwartek wspaniałego balu dworskiego.

Zefirio natychmiast po rozstaniu się z królową udał się w kierunku sal, z których dochodził stuk młotków.

Z żywym zainteresowaniem przyglądał się przez pewien czas pracy robotników. Wreszcie znudził go ten widok, ziewnął potężnie i powlókł się do swego pokoju w odległym skrzydle pałacu.

Tego wieczora Zefirio nie ukazał się więcej.

Noc zapadła. Wartownicy porozstawiani wszędzie, czuwali.

A jednak gdy królowa obudziła się nad ranem, znalazła kopertę przypiętą zwykłą szpilką do kołdry. Na kopercie widniał znak "Z" nakreślony czerwoną kredką.

Izabella II sięgnęła po kopertę, rozerwała ją i wewnątrz znalazła kawałek papieru. Zaczęła czytać i stopniowo oblicze jej chmurzyło się coraz bardziej.

Zobowiązuję się - czytała - wypłacić don Alvarezowi jeden milion peso z chwilą nabycia przeze mnie gruntów i posiadłości na zachód od Huesco, należących do pana Anzelma Cortiego.

Podpisano: Pablo Ravales.

Królowa zamyśliła się. Za co miano wypłacić don Alvarezowi tyle pieniędzy?.. Widocznie don Alvarez zobowiązał się usunąć dotychczasowego właściciela posiadłości ziemskich za wynagrodzeniem...

Rozmyślenia na ten temat zajęły jej całe przedpołudnie. Po południu kazała przywołać do siebie don Alonza, pierwszego ministra.

Przybył uśmiechnięty, układny, zgięty w przesadnie uniżonym ukłonie.

- Senor Alonzo - zwróciła się doń królowa z niezadowoleniem w głosie - Mianowałam don Alvarza wielkorządcą Aragonii, gdyż poleciłeś mi go ustnie jako człowieka czystego.

- I nadal utrzymuję to samo, wasza królewska mość! Królowa wzięła do ręki kartkę papieru i podała ministrowi. - Proszę, don Alonzo - rzekła. - Weź i czytaj!

Ani jeden muskuł nie drgnął na twarzy przebiegłego dyplomaty, gdy odczytywał tę kartkę. Tylko oczy jego nieco rozblęły i lekko zagryzł wargi.

- Czy mogę wiedzieć, wasza królewska mość, w jaki sposób ten papier dostał się w twoje ręce?

- Czy nie wszystko jedno, mości Alonzo - żywo odparła królowa. - Nie chodzi nam tutaj o pochodzenie tego papieru, lecz o jego treść!

- Słuszna uwaga, najjaśniejsza pani - zgiął się w dworskim ukłonie don Alonzo. - Toteż proszę cię o jedno, daj mi ten papier, bym mógł zgłębić całą tajemniczą sprawę.

- Czy dokument ten potrzebny ci jest koniecznie, senor?

- Tak jest, koniecznie! Mam zamiar rozpocząć śledztwo. Nazwisko Pabla Ravalesa obito mi się niejednokrotnie o uszy.

- Czy długo trzeba będzie czekać na wynik?

- O nie, najjaśniejsza pani - pośpieszył z odpowiedzią don Alonzo. - Jutro lub najwyżej pojutrze sprawa się wyjaśni. Jeśli wina don Alvareza zostanie udowodniona, poniesie odpowiednią karę.

Don Alonzo złożył świstek pieszczotliwie w cztery i schował do swego portfela. W tej samej chwili portiera przy oknie drgnęła. Ktoś ukryty za nią widocznie podsłuchiwał. Ani królowa, ani minister, zajęci rozmową, nie zauważyli nic podejrzanego..

Po chwili don Alonzo pożegnał się z królową i opuścił gabinet. Królowa również powstała ze swego miejsca i zamyślona wyszła.

Portiera poruszyła się i ukazał się Zefirio..

- Do licha! - szepnął. - Zdaje mi się, że ten don Alonzo nie mniejszym jest łajdakiem od don Ramida i don Alvareza. Dobrana paczka. Nic dziwnego, że księżę Ramido tak długo siedział na swym stanowisku. Miał dobre plecy!

## Dobrani przyjaciele

Gdy don Alonzo powrócił do siebie, zastał w salonie uśmiechniętego don Alvareza..

- Witaj, don Alonzo! - rzekł wyciągając dłoń. - Otrzymałem zaproszenie na bal dworski, po czym wyruszam do Saragossy, by objąć stanowisko, które tobie zawdzięczam, ministrze!

- Złe nowiny, don Alvarez! - rzekł krzywiąc się. - Bardzo złe nowiny dotyczące ciebie, mój pułkowniku!

- Co się stało? - zaniepokoił się oficer. - Czyżby nastąpiło odwołanie? .

- Nie, jeszcze nie, dzięki Bogu, lecz gdyby nie ja, musiałbyś się podać do dymisji, zrzucić mundur i powrócić do stanu cywilnego!

Mówiąc to don Alonzo wydobył kartkę z kieszeni i pokazał ją don Alvarezowi.

- Poznajesz to, senor? - zapytał.

Don Alvarez zbladł i wyciągnął rękę, by pochwycić kompromitujący dokument. Don Alonzo cofnął rękę i schował papierek do kieszeni.

- O nie, senor! - rzekł mrużąc oczy. - Nie mogę ci dać tego papieru, królowa mi go dała, jestem więc odpowiedzialny za całość tego świstka!

- Podrzyj go, senor! - zawołał don Alvarez w podnieceniu, podrzyj go natychmiast... Ten dokument nie jest prawdziwy, sfalszowano go...

- Sfalszowano? - zapytał don Alonzo ironicznie. - Ciekawe, a więc dlaczego żądasz, bym go podał?..

Wtem urwał, zamyślił się i oczy jego zabłysły. Wpadł na genialny pomysł.

- Słuchaj, senor Alvarez! - zawołał. - Mam świetną myśl, sam mi ją poddałeś. Jesteś uratowany, jak mi Bóg miły! Doprawdy wart jestem tych dziesięciu milionów rocznie, które masz mi wypłacać ze swych dochodów!

Don Alvarez pytającym wzrokiem spojrzał na rozradowane oblicze don Alvareza.

- Mów prędzej, senor! - zawołał niecierpliwie. - Jaki ratunek obmyśliłeś .

- Bardzo prosty! Mówiąc, że dokument ten został sfalszowany, co oczywiście nie jest prawdą, poddałeś mi myśl, że można go przecież sfalszować!

- Nie rozumiem!

- Napisze się identyczną kartkę, a podpis Pabla Ravalesa nie będzie autentyczny tym razem, za to rękę, rozumiesz senor? Jutro królowa dowie się, że ją oszukano, a don Alvarez jest uczciwym człowiekiem.

- Ach, jakież to wspaniałe pomysły! - zawołał don Alvarez z zachwytem. - Uf, odetchnąłem. Myślałem, że jestem zgubiony...

- Powrócę do królowej - ciągnął dalej don Alonzo - i oświadczę, że poleciłem policji stwierdzić prawdziwość podpisu Ravalesa i okazało się, że podpis został sfalszowany.

- A prawdziwa kartka?

- Zamknę ją w kasie ogniotrwałej, w najgłębszym schowku!

Don Alvarez skrzywił się:

- Po co ci to, senor? - zapytał. - Czy chcesz mieć broń przeciwko mnie?

- Ale uchowaj Bóg, co znowu! - zaprotestował don Alonzo. - Czyż nie jesteśmy szlachcicami?

- Więc po co zatrzymujesz tę kartkę, jeśli nie będzie ci potrzebna, senor?

- Czy ja wiem? Ot, po prostu ostrożność! Nie jest się wiecznie potężnym ministrem królowej. Może przyjsć dzień, gdy tracąc łaskę zostanę odsunięty od władzy, a wówczas ta kartka zapewni mi stały odbiór dywidendy!

- Ach, tak! - mruknął don Alvarez. - Chcesz się zabezpieczyć, senor, na wszelki wypadek. Liczysz, że będę regularnie wypłacał ci pensję!,

- Tak, tak, przyjacielu! - potwierdził don Alonzo. - Ten papierek to jakby renta państwowa albo dożywocie!

- Możesz trzymać ten świstek, senor Alonzo! Nie przypuszczam, byś miał kiedykolwiek użyć tego dokumentu jako broni przeciwko mnie. Jeśli chciałem, byś podarł, to tylko dlatego, że obawiam się, by nie dostał się w niepowołane ręce.

- O, nie ma obawy! W moim opancerzonym skarbcu...

- Nie mów tak, senor! - przerwał mu żywo don Alvarez. - Ten dokument leżał w moim schowku ukryty bardzo starannie, a jednak wydobyto go i wręczono królowej.

- Ten, który zrabował ci ten papierek - roześmiał się szyderczo don Alonzo - nie przyjdzie szukać go u mnie...

- Nie mów tak, senor. Ten człowiek, jeśli się dowie, że przedstawiłeś królowej kopię, odbierze ci oryginał przemocą lub podstępem. .

- Taki człowiek jeszcze się nie narodził! - oświadczył zimno don Alonzo. .

- Taki człowiek istnieje. Jeśli potrafił przedostać się do mej kwatery otoczonej wojskiem i zabrać z mego biurka ten oto świstek, przysięgnę, że potrafi również dobrać się i do ciebie, senor, człowiek ten nazywa się...

- Nazywa się ... - powtórzył don Alonzo ironicznie. - Zorro!...

- O do licha! ...

## Bal dworski

Salę pałacu królewskiego oświetlone były rzęsiście. Orkiestra przygrywała rażno, a pary krążyły po pałacowej posadzce.

Szamerowane mundury, wysadzone diamentami orderzy dyplomatów, fraki o różnych kolorach, panie niezwykle piękne i wydekoltowane - dyplomatyczny ten tłum przewijał się różnobarwną i mieniącą się szeroką wstęgą po wszystkich salach i pomiędzy kolumnami.

Bal królewski miał charakter nader dostojny i nie różnił się wcale od innych oficjalnych uroczystości.

W jednym tylko rogu sali, za dwiema marmurowymi kolumnami, rozlegały się kaskady śmiechu. (Niejednokrotnie zdziwione lub zgorzone spojrzenia dostojnych gości kierowały się ku miejscu, gdzie rozlegał się ów rozgłośny śmiech zakłócający ogólną powagę). Zebrane tu liczne towarzystwo, złożone prawie z samych młodych kobiet, bawiło się znakomicie.

-Co się tam dzieje? - zapytała królowa ministra. - Po raz pierwszy słyszę w czasie balu tak wesoły śmiech!

- Pójdę przekonać się, co ich tak śmieszy, wasza królewska mość - rzekł don Alonzo.

- Dobrze, lecz wracaj niebawem.

Don Alonzo przeszedł olbrzymią salę i przystanął pomiędzy śmiejącymi się niewiastami.

Pośrodku stał Zefirio i snuł opowieść, uśmiechając się przy tym, jak zazwyczaj, bezradnie. i głupekowato.

Don Alonzo przysłuchiwał się przez chwilę jego opowiadaniu, lecz powolna mowa i nosowy głos Zefiria zaczęły mu działać na nerwy. Miał już zamiar oddalić się, gdy wtem zatrzymał się, zainteresowany opowiadaniem głuptaka:

- A więc moje piękne seniority - mówił Zefirio - błąkam się w lesie z mą skrzynką botaniczną, aż tu patrzę, coś takiego rośnie pod drzewem, ni to kwiat, ni to grzyb... Zaczynam ciągnąć. Ciągnę, ciągnę, ani rusz, siedzi mocno. Wreszcie straciłem cierpliwość, jak nie szarpnę ten diabelski grzyb... Urwał się, a ja rozciągnąłem się jak długi na ziemi... Leżę chwilę wypoczywając i rozmyślając nad tym dziwnym grzybem. Zabieram się wreszcie do wstawiania, a nade mną jacyś dwaj jegomoście o bandyckich obliczach... Byli to dwaj złodzieje. Hej, lalusz, woła jeden z nich, dawaj, co masz. Przestraszyłem się. Miałem akurat przy sobie dziesięć peso. Oddałem. Wziął ten pierwszy złodziej i chowa do kieszeni. Nie

spodobało się to drugiemu. Wyciągnął mu cichaczem papieraek i włożył do swej kieszeni. Senor! - zawołałem - zabraliście mi ostatni grosz, pomóżcie mi choćby wstać z ziemi, potłukłem się bowiem okrutnie. Złodziej był uczynnym człowiekiem. Pomógł mi wstać, a ja z kolei wyciągnąłem mu banknot z kieszeni... I przyjrzałem mu się dobrze. Mówię wam, moje drogie, jak żywy stoi przede mną. Bardziej złodziejskiej twarzy nie widziałem. Jak wam to opisać? Oczy miał takie... no takie...

Zefirio nie umiał określić twarzy złodzieja. Wtem jego głupkowaty wzrok zatrzymał się na obliczu don Alonza.

- Mam, mam! - zawołał uradowany. - Czy chcecie mieć wyobrażenie o twarzy tego rzezimieszka? Patrzcie na tego jegomościa, podobieństwo uderzające. - Wskazał przy tym palcem na don Alonza.

Ów zbladł jak chusta i zatrzęsł się z oburzenia, nie mogąc słowa wymówić. Głupiec porównał jego dostojne oblicze z twarzą złodzieja!

Przerażone spojrzenia skierowały się na potężnego ministra królowej. Grobowa cisza zaległa wśród zebranych. Nikt nie śmiał odetchnąć. Zefirio śmiertelnie obraził najpotężniejszego człowieka w państwie.

Jeden tylko Zefirio, nic nie rozumiejąc, wybuchnął głupkowatym śmiechem.

- To ci heca!... To ci heca! - powtarzał. - Jakie uderzające podobieństwo. Wykapany złodziej, którego okradłem!

- Zefirio! - rozległ się trwożny szept tuż obok niego. - Szaleńcze, zastanów się, przecież to jest don Alonzo!

- Don Alonzo? - zdziwił się Zefirio. - Ach, prawda! Gdzież ja mam pamięć? Rzeczywiście don Alonzo, pierwszy minister królowej! - Wyciągnął pojednawczo dłoń ku stojącemu nieruchomo dygnitarzowi: - Wybacz mi, błagam cię, to niefortunne porównanie. Rzeczywiście, gdzież ja miałem oczy? Ekscelencjo, zapewniam cię, wcale nie jesteś podobny z rysów do owego złodzieja, jeśli nie brać pod uwagę podobieństwa wyrazu twarzy".

Czym by się skończyła ta scena - nie wiadomo, wątpliwe czy nawet sama królowa zdołałaby go ocalić, gdyby szczęśliwy traf nie przyszedł mu z pomocą.

Pomiędzy tłumem przepychał się osobisty sekretarz ministra, blady jak płótno. Gdy dotarł do don Alonza, nachylił się do jego ucha i szepnął:

- Ekscelencjo, dokonano włamania do twojej kasy pancernej! Wszystkie papiery rozrzucone. Złodziej pozostawił swój znak: „literę Z”.

## Pieśń grozy

Nowy wielkorządca Aragonii, don Alvarez y Gonzano, rozpoczął swe rządy..

Gdy ustąpił stary książę Ramido, Aragończycy odetchnęli. Zanieśli dziękczynne modły do Najwyższego, we wszystkich kościołach ukwiecili wizerunki i posągi Matki Boskiej, spalili mnóstwo świec ofiarnych i uznali, że nastąpiła lepsza dla nich era. Niestety, przekonali się rychło, że to jeszcze nie jest okres wytchnienia i sprawiedliwości.

Don Alvarez utrzymał wszystkie podatki ustanowione przez byłego wielkorządcę. Mało tego, wyznaczył dodatkowe od każdego komina i nowo narodzonego cielęcia, podwyższył opłatę za przejazd przez każdy most, a nawet przejście przez kładkę na najmniejszej rzeczce.

Odczuł więc biedny lud Aragonii twardą rękę byłego pułkownika, a obecnego wielkorządcy. Poprzedni był nie sumiennym i złym tyranem, lecz jego następca przewyższał go swą bezwzględnością.

Doprowadzona do ostateczności ludność zaczęła się burzyć. Nie na wiele to się zdało. Don Alvarez miał wprawę w uśmierzaniu buntów i powstań. Połała się krew, kilkanaście chałup poszło. z dymem i wszystko wróciło do dawnego stanu. Zrozpaczony lud przypomniał sobie wówczas tajemniczego Zorro, który tak dzielnie mścił się za nich na tyranach.

- Zorro, gdzie jesteś? '- wołali z rozpaczą. - Dlaczego nie ujmujesz się za nami?

Lecz Zorro nie ukazywał się.

Na próżno wypatrywano go na drodze transportów rządowego złota, na próżno zawieszano na drzewach dróg rozstajnych sążniste skargi do niego.

Żandarmi zdzierali papier z drzew i kpili:

- Ho, ho, minęły czasy waszego obrońcy. Obecnie rządzi nie Ramido, zniedołężniały starzec, lecz don Alvarez, dzielny pułkownik, który już raz trzymał Zorro w swej garści! Wasz bohater siedział już raz za kratami i nie śpieszy mu się zadzierać z gubernatorem.

Ludzie jednak wiedzieli, że nie był to wówczas Zorro, lecz Jose Cardilla, desperado z Saragossy.

Zorro, pomimo gwałtów wołających o pomstę do nieba, nie zjawił się. Komisarze królewscy, eskortowani przez silne oddziały wojsk, ściągali podatki z niezwykłym pośpiechem i z żelazną bezwzględnością.

Zabrane za zaległe podatki rzeczy i bydło szły różnymi drogami do Saragossy. Tam na specjalnym targowisku czyhały na transport rządowy bandy przekupniów, chciwych



rekinów.

Zarekwirowane bydło i rzeczy don Alvarez wymieniał na złoto, które chował do skarbcza. Zapasy złota rosły i wielkorządca zacierał ręce. Dla niego, biednego dotychczas oficera, rozpoczynał się okres dobrobytu.

Pewnego upalnego poranka po piaszczystej drodze wśród dzikich pustkowi usianych skałami, pokrytych jarami i dolinami galopował zakurzony jeździec. Był znużony, koń zaś wypoczęty. Jasne, iż człowiek ten odbył dłuższą podróż i ostatnio zmienił konia. Ubrany był po cywilnemu, lecz postawa jego oraz sposób trzymania się na koniu zdradzały wojskowego. Jadąc rozglądał się dookoła i mruzczał:

- Jeszcze piętnaście mil do Saragossy. Per Dios, na Boga, wszystkie kości mnie bolą. To ci diabelska jazda! - Wyciągnął pistolet i sprawdził, czy jest nabity. - Jego ekscelencja don Alvarez nakazał mi ostrożność w tych okolicach. Nie widzę żywej duszy, lecz jako oficer znający dyscyplinę, muszę być posłuszny! - mruzczał do siebie.

Skały stawały się coraz wyższe. Obecnie posuwał się dnem wąwozu. Słońce tutaj nie dochodziło. Panowały przyjemna świeżość i półmrok. Jeździec odetchnął, wierzchem dłoni ocierając zroszone czoło. Niestety, wąwóz niebawem się skończy i za chwilę znów rozpoczną się spalone żarem piaski i znów słońce zacznie niemiłosiernie prażyć. Lecz nie zdążył wydostać się z wąwozu.

- Stój, bo strzelał! - rozległ się okrzyk zza załamu skały. - Ha, bandyto, mam cię nareszcie!... Ręce do góry:

Napadnięty nie śpieszył się. Spiął konia, który stanął dęba i wyciągnął błyskawicznie pistolet. Strzelił w kierunku głosu, lecz kula odłupała tylko kawałek skały.

- Stój, stój, na miłość boską, nie strzelaj! - rozległ się rozpaczliwy, podobny do kwiku okrzyk. - Omyliłem się, senor, nie na ciebie czatowałem! Schowaj pistolet, to wyjdę z ukrycia!

- Wyjdź najpierw! - zawołał jeździec -niecierpliwie. - Niech ci się przyjrzę coś za jeden!

- Zdaję się na twą wspaniałomyślność i poczucie honoru - rozległ się ponownie głos z ukrycia. - Wobec tego wychodzę!

I z zagłębienia wylazł Zefirio.

- Maladetta, senor Zefirio Corti! - wybuchając głośnym śmiechem zawołał. - Kto by się spodziewał, iż głupi Zefirio napadnie na mnie z bronią w ręku?

- Senor! - wrzasnął oburzony Zefirio. - Jak powiedziałaś? Powtórz tylko, a końcem mej szpady wepchnę ci obelgę z powrotem do gardła. Jak ośmieliłeś się mnie nazwać?

- Powiedziałem: głupi Zefirio! - powtórzył spokojnie jeździec. - Cóż mi zrobisz?

- Niestety, nic! - westchnął Zefirio. - Nie mam przy sobie szpady. Proszę cię jednak, nie znieważaj mnie w ten sposób, przecież nie dałem ci żadnego powodu do ubliżania mi!

- Owszem, dałeś w Madrycie! - odparł jeździec. - To ja pełniłem wówczas wartę przed pokojami królowej. Przez twoją głupotę dałem się wciągnąć w pojedynek z młodym Mondevi de Malibranem i zostałem wydalony z gwardii pałacowej. Przekonałem się więc na własnej skórze, że słusznie uważają Cię wszyscy za szkodliwego osła.

Zefirio westchnął żałośnie.

- Senor! - rzekł. - Rozumiem twą boleść i dlatego puszczam wszystkie obelgi mimo uszu!

- Obecnie jestem na służbie u jego ekscelencji ministra skarbu, podążam w sprawie urzędowej do Saragossy, dlatego pytam cię, po co zatrzymałeś mnie w drodze, z pistoletem w ręku?

Oblicze Zefiria przybrało wyraz tajemniczy:

- Tss - szepnął oglądając się ostrożnie dookoła. - Mówmy nieco ciszej. Licho nie śpi!...

- Co za licho?..

- Ten bandyta, rabuś, zbój i opryszek!...

- Jak? Co? Co ty wygadujesz, senor?

- Prawdę mówię! Zaczaiłem się w tym wąwozie na Zorrę!

Jeździec zbladł i pochylił się nad Zefiriem.

- Coś powiedział? - zapytał prawie szeptem. - Zorro? Czekales na Zorrę? Czyś go widział?

Zefirio odpowiedział również szeptem:

- Tak! Przed dwiema zaledwie godzinami! Gdy wyruszysz z tego wąwozu, w odległości pięciu minut jazdy, uważaj na prawo! Tam między skałami go widziałem! .

- To niemożliwe! - odparł szeptem jeździec, kurczowo ściskając w ręku pistolet. - Zorro znikł bez śladu! Od czasu ustąpienia księcia Ramida ze stanowiska wielkorządcy nie pokazuje się.

- Możliwe! Lecz fakt pozostanie faktem. Widziałem go w pobliżu. Zdawał się czekać na kogoś!

- Carramba! - syknął jeździec, chwytając się za kieszeń na piersiach. - Oby nie na mnie! Zbliży się do mnie tylko po moim trupie!

Chwyił Zefiria za ramię:.

- Senor Zefirio, czy nie ma innej drogi do Saragossy?

- O, senor, żadna droga nie uratuje cię przed Zorzą! - zawołał Zefirio, chwytając konia za uzdę. - Błagam cię, senor, dbaj o swoje życie! Ty nie pojedziesz, ty nie możesz jechać! Wracaj tam, skąd przybyłeś. Ani kroku dalej.

- Puść mego konia, senor Zefirio! - zawołał śmiało jeździec, choć mu włosy stanęły na głowie..- Wdzięczny ci jestem, że dbasz o moje życie. Lecz doprawdy nie mogę zawrócić! Zresztą oficer hiszpański nie może tchórzostwem splamić swego honoru.

- Senor, nie jedź, proszę cię! Ii

..- Honor oficera...

- Senor, co cię obchodzi honor oficera, przecież jesteś tylko gwardzistą pałacowym...

- Precz, puść uzdę!... - wrzasnął wściekle jeździec.

- Zorro cię osмага jak psa!... - jęczał Zefirio. - Wypruje ci flaki... Rozbierze do naga i popędzi do miasta!

Tego już było za wiele dla dumnego jeźdźca. Pchnął Zefiria z taką siłą, że ten zatoczył się i upadł.

- Masz, skończony głupcze! - zawołał uderzając konia ostrogami. - To cię nauczy trzymać język na uwięzi!

Pogalopował dalej i wkrótce znalazł się poza wąwozem. Zefirio pozostał na ziemi.

Ledwie jeździec znikł mu z oczu, młodzieniec podniósł się i otrzepał odzienie. Następnie udał się do groty, skąd wydobyło się nagle końskie rzenie.

Jeździec w masce wyśpiewywał głośno smętne strofy, strzelając jednocześnie z długiego bata z bawolej skóry. Czarny jak smoła rumak sunął pomiędzy głazami, wyciągnięty jak struna.

Księżyc skrył się za chmurami Łka tak smutno ma gitara

I z melodią echo gra mi Słucha pieśń mą Alcantara.

W Alcantarze na balkonie

Stoi cudna senorita

Ogniem liczko donny płonie Kto to gra tak pięknie? - pyta.

Stał w strzemionach, śpiewał na całe gardło, strzelał z bicia, a jednocześnie rozglądał się czujnie dookoła. Podobny był w tej chwili do jastrzębia wypatrującego zdobyczy. Smętna ta pieśń nie licowała ze śpiewakiem. Szeroki, drapieżny uśmiech, odsłaniał białe, równe zęby. Z postaci jeźdźca biła młodość i radość życia. Koń sunął jak strzała, wiatr rozwiewał końce jedwabnego zawoju, a jeździec śpiewał ciągle, wybijając rytm strzelaniem z bicia.

Pieśń tę dosłyszał drugi jeździec galopujący inną drogą i przedzielony od pierwszego

jeźdźca pasmem głazów i skał.

Gdy pierwsze strofy obity się o jego uszy, jeździec ten zbladł, zatrzymał konia i obejrzał się trwożnie dookoła. Nikogo jednak nie spostrzegł, pomimo że słyszał wyraźnie słowa pieśni. Popędził skręcając w' prawo. Zaczął smagać konia jak szalony. Rzekłbyś, przestraszył się pieśni. A przecież uzbrojony był od stóp do głowy. Pieśń zamiast słabnąć, stawała się coraz głośniejsza. Jeździec kluczył, zdierał konia, skręcał w prawo i lewo, wszystko na próżno. Pieśń rozbrzmiewała coraz bliżej, trzaskanie z bicia rozlegało się coraz głośniej.

Na chwilę niewidzialny śpiewak umilkł. Uciekający jeździec tłukł swego rumaka, który wydobywał z siebie wszystkie siły. Pot lał się z czoła wystraszonego człowieka.

Wtem pieśń znów rozbrzmiała, lecz teraz z innej strony. Słowa piosenki dobiegły go z przodu:

Rywal donnie odpowiada: To wilk wyje nocną porą! Biada ci, kanalio, biada,  
To nie wilk, to śpiewa Zorro!

Ledwie jeździec dosłyszał ostatnie słowa, dostał jak gdyby paroksyzmu szału. Zawrócił konia i uciekał z powrotem, klując i bodąc z całej siły ostrogami boki zwierzęcia. Lecz po chwili znów usłyszał przed sobą przekłętą pieśń. Zawrócił znów i uciekał w prawo. Po kilku chwilach śpiewanie rozległo się przed nim.

- Carramba! - zaklął jeździec, przesuując dłonią po oczach i po spotniałym czole. - Czy ja śnię? Ta przekłeta piosenka... Słyszę ją wszędzie! A może to jest echo? Nie, nie, słyszałem wyraźnie, to Zorro!

Nerwy osaczonego jeźdźca nie wytrzymały. Wydobył pistolet i strzelił w stronę skał, skąd dochodził śpiew przed chwilą.

- Świetna zabawa, senor! - rozległ się młodzieńczy głos poza jego plecami. - Doskonały cel ta wielka skała! Ani rusz nie możesz chybić!

Jeździec znieruchomiał i odruchowo uniósł ręce do góry.

- O, senor - ciągnął dalej Zorro. Ublizas mi! Czyżbyś uważał mnie za opryszka czyhającego na twą sakiewkę? Opuść ręce, kochany caballero! Odwróć się do mnie twarzą i pogadamy jak dwaj caballeros z dobrej rodziny!.

Jeździec stanął twarzą w twarz z Zorrrą.

- Nie jesteś melomanem, jak widzę! - rzekł zamaskowany jeździec, kłaniając się z dystynkcją. - Śpiewam chcąc rozweselić ową samotność, a ty strzelasz w skały. A może uważasz, senor, że huk wystrzałów zastępuje akompaniament bębna?

- Skończ, senor! - wyjąkał jeździec. - Czego chcesz ode mnie? Nie mam przy sobie

pieniędzy!

- O, señor! - skrzywił się Zorro, zawieszając bicz u siodła i oglądając paznokcie swych białych, wypielęgnowanych rąk. - Kto ci powiedział, że Zorro czyha na sakiewki? Nie, caballero! Nie potrzebuję twej sakiewki!

- A więc dlaczego zatrzymujesz mnie w tym pustkowiu, señor? - wybuchnął jeździec.

- Ja cię zatrzymuję? - zdziwił się Zorro. - O, dobre nieba, señor, jak Widzę, słońce uderzyło ci do mózgu! Czy przysięgłbyś, że cię zatrzymałem?

Jeździec opuścił głowę. Rzeczywiście, Zorro wcale go nie zatrzymywał. Zorro tylko śpiewał, nic więcej. To on sam wstrzymał swego konia i strzelił do skał. Odetchnął uradowany, uklonił się i uderzył konia ostrogą. Koń ruszył, lecz w tej samej chwili rozległ się za nim donośny głos Zorry:

- Hola, caballero, jedną chwilkę! Właściwie nic nie mam do ciebie, lecz chciałbym wiedzieć, dlaczego przstraszyła cię ma pieśń o zdradzieckiej senoricie i szczęśliwym rywalu? - Spojrzał mu podejrzliwie w oczy. - A może ty jesteś wysłannikiem mego rywala i wiesz list miłosny do niewiernej?!

- Señor - jęknął przerażony jeździec. - Przysięgam...

- Nie wierzę ci! Muszę sprawdzić, czy nie wiesz listu do Carmency!

- Klnę się, że nie znam takiej!

- Dawaj list, señor!

- Señor, błagam cię, pozwól mi jechać dalej! Mam pismo ministra... don... - Tutaj ugryzł się w język, lecz było już za późno. - Aha! - zawołał Zorro. - Zgadłem jednak, nędzny wysłannik mego rywala! Dawaj list!

Zorro nie był uzbrojony. W rękach nic nie trzymał.

Rozpacзлиwa myśl strzeliła do głowy posiadaczowi listu. Jeszcze trzymał w ręku pistolet, natomiast Zorro ręce miał puste. Postanowił spróbować szczęścia, nie wiedząc, iż Zorro jak drapieżnik instynktownie wyczuwa niebezpieczeństwo.

Jeździec szybko uniósł pistolet, lecz jeszcze szybciej uniósł się bicz. Koniec rzemienia owinał się dookoła szyi tamtego i w ciągu ułamka sekundy człowiek został ściągnięty z siodła. Pistolet wystrzelił, kula przeleciała pomiędzy nogami Zorry, który stał odwrócony bokiem.

Zamaskowany mężczyzna z uśmiechem przyglądał się przeciwnikowi rozciągniętemu na piasku.

- List! - rzekł krótko.

Tamten uznał się za pokonanego i wydobył list z zanadza. Zorro ostrożnie odkleił

kopertę i przeczytał:

Kochany przyjacielu! Nadeszły wieści, iż nader energicznie zabrałeś się do ściągania podatków, tak energicznie, że musiałem dołożyć wszelkich starań, by królowa nie dowiedziała się o tej energii.

Sądzę, iż zdołałeś uzbierać sumę dostatecznie wielką, by ją przysłać do Madrytu. Ufam, kochany przyjacielu, że nie zapomnisz swego protektora i przyjaciela. Pieniądze wyślij jeszcze w tym miesiącu. Dla rządu możesz przysłać później, grunt, byś nie zapomniał o twym wiernym

A.

- O, do licha! - zawołał Zorro. - To nie jest wcale list miłosny, jak sądziłem. Tysiącrotnie cię przepraszam, senor, że otworzyłem list, który wcale mnie nie obchodzi. Patrz, zaklejam kopertę i zwracam ci ją. Ach, Carmencita, co ja przechodzę przez ciebie, okrutna!... Zawieź list adresatowi, senor, i błagam cię, nie mów, że go przeczytałem. Powiedzą ludzie, że Zorro jest źle wychowany, że brak mu delikatności i dyskrecji, skoro czyta cudze listy!

## Olle, olle, Zorro wrócił!

Radosna wieść gruchnęła po Aragonii: Zorro wrócił! Zorro znów się ukazał, napadł wśród nocy na rządowy transport pieniędzy, narobił piekielnego hałasu, zwabił żołnierzy za sobą, a gdy ci potracili głowy i rozpoczęli bezładną strzelaninę, zakradł się jak wąż do wozu, ogłuszył dwóch strażników i zabrał kuferek ze skarbem.

Po dwóch dniach biedni wieśniacy otrzymali z powrotem swe pieniądze.

Lud Aragonii odetchnął. Dziewczęta znów zaczęły marzyć i wzdychać do zamaskowanego jeźdźcy, mężczyźni zbierali się grupami i półgłosem rozprawiali z ożywieniem.

- Olle, olle, Zorro znów się ukazał! Zorro powrócił!

Z tym okrzykiem służący wpadł pewnego pięknego poranka do domu Anzelma Cortiego.

- Tss, cicho! - odezwał się stary Corti. - Pobudzisz wszystkich swym wrzaskiem. Cóż cię obchodzi Zorro? Przecież nie płacisz podatków, nic więc od niego nie otrzymasz!

Lecz domownicy już się obudzili.

Pierwsza wybiegła Mercedes. Nie zdążyła nawet przyczesać włosów.

- Kto wołał, że Zorro się ukazał? - zapytała drżącym ze wzruszenia głosem.

- O, Mercedes - zdziwił się Anzelmo Corti. - Nie przypuszczałem, że tak dalece intryguje cię ten bandyta! Spójrz w lustro; jak ty wyglądasz, moje dziecko! Dobrze, że mój syn nie widzi swej narzeczonej w takim stanie!

Mercedes spłoniona cofnęła się do swego pokoju.

Pragnąc pozostać w Aragonii, zgodziła się zostać żoną Zefiria, odwlekała jednak dzień ślubu w nieskończoność. Serce jej było zajęte, myśl ciągle krążyła dookoła Zorry. Zefirio zaś budził w niej politowanie i niechęć zarazem. Sama myśl, iż miałyby wyjść za mąż za głupka, przejmowała ją zgrozą.

Zefirio, owszem, przystojny młodzieniec, nawet zbyt przystojny jak na mężczyznę przystało. Lecz cóż to znaczy wobec jego bezdennej głupoty, samochwalstwa i tchórzostwa?

Był pośmiewiskiem całej Hiszpanii. Stając się jego żoną, stałaby się podobnie śmieszna! Nie, przenigdy, lepiej umrzeć! - powtarzała ciągle Mercedes, przyglądając się nieraz, gdy wykonywał swe idiotyczne sztuczki magiczne.

Czasami jednak, wbrew woli, przenikał ją dziwny prąd niewytłumaczalnej sympatii do głupca. Lecz prędko odpędzała od siebie to uczucie.

A Zefirio nie zdawał sobie sprawy, jakie uczucie żywi wobec niego piękna kuzynka. Dreptał koło niej nadęty jak paw, ogłuszał ją śmiechem podobnym do końskiego rżenia i próbował olśnić swymi magicznymi sztuczkami.

Tego dnia Mercedes chodziła jak we śnie. W uszach jej dźwięczał ciągle okrzyk: Zorro wrócił po długiej nieobecności!

W ciągu całego dnia widziano oddziały wojska i żandarmerii przebiegające okolice we wszystkich kierunkach. Większym oddziałem dowodził sam wielkorządca don Alvarez.

Zefirio stał przed hacjendą i ospałym wzrokiem przyglądał się przeciągającym jeźdźcom.

- Don Alvarez osobiście dowodzi żołnierzami - rzekła Mercedes, która stanęła obok niego. - Coś musiało się stać!

- Zależy mu bardzo na schwytaniu Zorry - odparł Zefirio. - Nic jednak nie wskóra, dopóki ja sam nie zabiorę się do dzieła. Tylko Zefirio może schwytać bandytę, nikt więcej!

- O, kuzynie! - zawołała Mercedes. - Dałbyś spokój przechwałkom, doprawdy uszy bolą od słuchania tych bzdur. - Podniosła głos i mówiła dalej zdenerwowanym tonem: - I proszę cię, Zefirio, zaprzestań raz na zawsze tych fanfaronad. Jeśli chcesz znać prawdę, to ja wolę Zorrę niż ciebie. Gdyby nie był ścigany przez prawo, gdyby mógł stać się wolnym człowiekiem, pierwsza rzuciłabym mu się na szyję i błagała, by zechciał pojąć mnie za żonę!

- Mercedes! - zawołał Zefirio, otwierając szeroko oczy. - Co ja słyszę? Czyżbyś kochała tego zbójcę? Ależ zastanów się, kuzynko, przecież nie znasz nawet rysów jego twarzy!

- . Nie obchodzą mnie jego rysy! - wołała Mercedes. - Czyż może być coś piękniejszego ,od jego czynów? Czy najpiękniejszy w świecie mężczyzna może się równać z bohaterskim i szlachetnym Zorrą, rycerzem bez oblicza? Czy pamiętasz, jak wyciął w pień całą bandę desperadosów, sam jeden, uzbrojony tylko w nóż i szpadę? Czyż zdajesz sobie sprawę, ile złota odebrał królewskim komisarzom i rozdał wśród ludu? Słuchaj Zefirio, słuchaj dobrze, co ci powiem: kocham Zorrę, kocham tylko jego!...

- A mnie? - zapytał Zefirio żałośnie. - Czy mnie nie kochasz? - Nie, Zefirio!

Po tych słowach Mercedes odwróciła się i wbiegła do domu.

- Nierozsądna dziewczyna! .- mruknął Zefirio z uśmiechem. - I wytłumacz tej gąsce!...

Wtem urwał. W obłokach kurzu zbliżał się do hacjendy liczny oddział jeźdźców.

- Mój Boże, co za zaszczyt! - zawołał Zefirio, kłaniając się nisko. - Senor gubernator we własnej osobie. Zaraz zawołam ojca!

Don Alvarez, pochmurny, zsiadł z konia i nie czekając na zaproszenie, wszedł do



środka. Za nim weszli, dzwoniąc ostrogami, oficerowie świty.

Na spotkanie wyszedł Anzelmo Corti, uprzedzony przez syna, wyszła również Mercedes oraz jej ojciec, stary generał. Zamienili niezwykle uprzejme powitania z wielkorządcą i don Alvarez przystąpił do rzeczy.

- Senor Corti! - rzekł. - Nie dziw się, iż znów zatrzymam się wraz z moimi żołnierzami w twojej hacjendzie. Rozumiem dobrze, iż sprawi ci to wiele kłopotu, niestety, nie mam innej rady. Twe posiadłości leżą w strategicznym punkcie.. Przebywając tutaj, trzymam w ręku całą okolicę. Dlatego też poproszę cię o gościnę na dwa dni.

- Senor Alvarez! - zawołał Anzelmo z udaną satysfakcją. - Przecież to największy zaszczyt dla mnie gościć samego wielkorządcę. Ależ proszę, uważaj ten dom za swój własny!

- Dziękuję ci, senor Corti! Stąd łatwo mi będzie lustrować okolicę!

I wyszedł dźwigając pod pachą pakuneczek.

Szczególną pieczę wielkorządcę otaczała mała, lecz ciężką szkatułkę. Był to osobisty majątek don Alvareza. Nie dowierzając nikomu, w obawie przed Zorro, wioził szkatułkę wszędzie z sobą.

Po wspólnej kolacji oficerowie i domownicy udali się na spoczynek.

Dookoła hacjendy pełnili wartę liczni żołnierze.

W pewnym momencie księżyc ukrył się za chmurami. I w tej samej chwili w pokoju wielkorządcy rozległ się dziki ryk. Powstał nieopisany hałas, rozległy się wystrzały. Biedni wartownicy nie wiedzieli wśród ciemności, co się właściwie stało.

- Zorro... Zorro! - rozległ się dziki wrzask. - Ratunku!...

A gdy księżyc ukazał się spoza chmur, rozbudzeni domownicy i żołnierze ujrzeli na gałęzi pobliskiego drzewa jakąś postać w białym... Był to wielkorządcę zawieszony na gałęzi.

- O senor Alvarez! - zawołał rozespany Zefirio. - Czyżbyś sobie obrał gałąź za punkt obserwacyjny i stąd lustrował okolicę?

- Moja szkatułka! - ryczał wielkorządcę. - Trutnie, łajdaki, tak pilnujecie domu?.. Ten bandyta zrabował mi szkatułkę!...

- Czego stoicie? - zawołał z kolei Zefirio. - Czy nie widzicie, iż szlachetny don Alvarez, wielkorządcę Aragonii, trzepie się w białym na gałęzi? Boże, co za niedorajdy ci ludzie!

Lecz don Alvarez nie czekał, aż żołnierze przyjdą mu z pomocą. Odczepił tę część białizny, która zawadziła o konar i zeskoczył na ziemię. Jak burza wyminął skrzydło domu, wbiegł do swego pokoju i rzucił się do stołu. Pistolet leżał na swym miejscu, lecz szkatułka,

jak don Alvarez przypuszczał, rzeczywiście zniknęła.

- Zapaloną lampę, prędko! - ryknął don Alvarez.

Nie wystarczyło mu światło księżyca, musiał się upewnić o swej stracie.

Lampę przyniósł mu Zefirio.

Oficerowie zatrzymali się na progu pokoju.

Przy świetle lampy don Alvarez ujrzał na stole list.

Na nim widniał wielki znak „Z”. Don Alvarez otworzył kopertę i gorączkowo przebiegał oczami ćwiartkę papieru:

Senor don Alvarez y Gonzano, szlachetny gubernator Aragonii! Jeśli oszczędzałem księcia Ramida y Carvalha ze względu na jego wiek, nie zamierzam postępować równie łagodnie z jego następcą.

Don Alvarez! Jako pułkownik otrzymałeś ode mnie niejedną już lekcję. Oświadczam ci, obecnie jako gubernator otrzymasz taką nauczkę, że odechce ci się raz na zawsze opłacać ministra protektora z kieszeni pracującego ludu. Sądziłeś, iż zrobisz majątek na swym nowym stanowisku. Głupcze, zapomniałeś, że istnieje jeszcze i czuwa

Twój sługa i przyjaciel

Zorro.

## Cztery pręgi

Don Gracia Prento to wysoki i gibki młodzieniec o wytwornych manierach, pogardliwie wykrzywionych ustach i zielonych oczach, w których tliło się zimne okrucieństwo.

Nie znajdował równego sobie w szpadzie, mógł więc bezkarnie dawać upust swym krwiożerczym instyngtom. Lada błahostka wystarczała mu jako pretekst do pojedynku. Nie było dnia, by nie przysłał komukolwiek swych sekundantów, a wyzwany nieszczęśnik wiedział z góry, że nie obejdzie się bez utraty ucha lub kawałka nosa. Toteż w Madrycie unikano go jak zarazy.

Tak się rzeczy miały, gdy do Madrytu przybył wraz z posłem Niemiec, Ottonem von Wizenfelsem, jego syn Waldemar, student uniwersytetu w Heidelbergu. Młodzieniec ten wsławił się w swej ojczyźnie jako szermierz nie lada. Jego liczni przeciwnicy nosili dotkliwe ślady rapiera. Pogruchothane nosy, przecięte policzki, obcięte uszy lub rozplątane - czoła - wszystko to było dziełem Waldemara.

Jasne, że tacy dwaj rębacze, jak don Garcia oraz Waldemar von Wizenfels musieli się wreszcie spotkać o szóstej rano, w zacisznym gaju oliwnym.

Była to isticie homerycka walka. Pojedynek przeciągał się, rapiery furczały w powietrzu i migotały, a jednak żaden z nich nie zdołał choćby zadrasnąć swego przeciwnika.

Szpady opuściły się jednocześnie ku dołowi. Niemiec i Hiszpan podali sobie ręce.

- Jesteśmy równi sobie! - rzekł don Garcia.

- Niestety! - mruknął Waldemar.

- Proponuję przyjaźń!...

- Nie przyjaźnię się z nikim! - burknął Waldemar.

A jednak odtąd rozpoczęła się przyjaźń tych dwóch okrutników. Madryt zadrzał.

A ci dwaj rębacze, którzy uważali się dotychczas za niepokonanych, natrafili z kolei na dwóch awanturników i zawadiaków świeżo przybyłych z Barcelony. Byli to sławetny markiz Gontano de Cabrera oraz don Jose Murcia - wytrawni strzelcy i szermierze. Wszyscy czterej zaprzyjaźnili się z sobą i od tego czasu nazywano ich czterema muszkietierami.

Czas upływał im na burdach i bijatykach. Szlachta Madrytu, nauczona gorzkim doświadczeniem, zaczęła ich unikać.

Czterej towarzysze, nie mając okazji do pojedynków, daremnie wysilali umysły w poszukiwaniu jakiegokolwiek rozrywki.

Pewnego parnego wieczoru siedzieli przy stole w gwarnej bodedze, gdzie zbierały się wszystkie warstwy społeczne Madrytu. W pewnej chwili don Garcia zaczął opowiadać o wyczynach tajemniczego Zorry, mistrza szpady, bicia i pistoletu.

- Kto to jest ten Zorro? - zapytał ciekawie Waldemar.

- Nikt go nie zna - odparł don Garcia. - Ale wszyscy drżą na sam dźwięk jego nazwiska. Ten zamaskowany jeździec spada sam jeden na oddział żołnierzy lub żandarmów i zabiera złoto miłościwie nam panującej królowej Izabelli.

Waldemar ożywił się. Opowieść o zamaskowanym obrońcy biednego ludu Aragonii niezwykle mu się spodobała.

- Nie wiem, co bym dał - rzekł w rozmarzeniu - by mieć w mojej kolekcji uszy tego zamaskowanego jeźdźca!...

- Uważaj, by Zorro nie wypisał na twoim policzku trzech pręg w kształcie litery „Z” - roześmiał się Jose Murcia. - I wierz mi, że robi to bardzo zręcznie.

Niemiec popatrzył nań w milczeniu.

- Trzy pręgi? - powtórzył po chwili, cedząc słowa. - Jeśli Zorro wypisuje na twarzach swych ofiar trzy pręgi, to ja, Waldemar von Wizenfels, podejmuję się wypisać na jego twarzy aż cztery pręgi.

- Cha, cha, cha! - rozległ się głośny śmiech jego towarzyszy. - Rzeczywiście, kapitalny pomysł!

- Szkoda, że nam to wcześniej nie wpadło do głowy! - ryknął don Garcia, waląc pięścią w stół. - Brawo Waldemar!...

Markiz Gontano nie mówił nic. Coś medytował. Po chwili odezwał się:

- Proponuję maleńką zmianę! Jest nas czterech, wobec tego wystarczy, by każdy z nas wypisał po jednej tylko prędze na obliczu Zorry! ...

- A razem będą cztery! - zawołał Jose Murcia. - Cudownie, doskonale! Cała Hiszpania zanieś się od śmiechu, kiedy dowie się, jak oporzędziliśmy jeźdźca w masce!...

Don Murcia westchnął:

- Szkoda tylko, że on nie słyszy naszego wyzwania! - rzekł. Ledwie wymówił te słowa, gdy tuż nad nim rozległ się spokojny głos:

- Już my postaramy się, by Zorro usłyszał to wyzwanie!... Czterej mistrzowie szpady spojrzeli na obcego, który do nich przemówił.

- Nazywam się Malibran - ciągnął dalej grubas. - Hektor Mondevi de Malibran, a mój towarzysz, który wygląda na głodomora, pomimo że je za trzech, nazywa się Porfirio!

To mówiąc wskazał na chudego jak tyczka młodzieńca, który siedział przy sąsiednim

stoliku i sennie kiwał głową osadzoną na długiej, cienkiej szyi!

- Hej, Porfirio! - zawołał. - Powiedz, jak brzmi twe rodowe nazwisko?

Chudy młodzieniec spojrzał nań.

- Na co ci to? - zapytał ziewając.

- Chcę cię przedstawić tym seniorom!...

- A po co? - uniósł brwi Porfirio.

- To cię nie powinno obchodzić!... A więc mów, do licha!...

- O czym mam mówić?.

- Carramba! - ryknął tłścioch. - Co za tępą głowa! - Muszę cię przecież przedstawić tym czcigodnym seniorom, gdyż będziemy im służyć jako przewodnicy po Aragonii!...

- A po co?

- Po to, by ci czcigodni senores odnaleźli Zorrę i wypisali cztery pręgi na, jego twarzy!...

- Cztery pręgi? - zapytał Porfirio, otwierając szerzej senne oczy. - Cztery pręgi?

Powstał leniwie ze swego miejsca i zbliżył się do ich stołu.

- Pozwólcie, senores, że złożę hołd ich dzielności oraz uściskę ich prawice!

Jego wyciągnięta dłoń zawisła w powietrzu. Ani jeden z całej czwórki nie podał mu ręki. Don Garcia widząc jego zdumienie, wybuchnął głośnym śmiechem, a Jose Murcia zapytał:

- Senor Porfirio, zanim uściśniemy twą dłoń, pozwól, że zapytam: wielu wrogów uśmierciłeś w pojedynkach, jakimi wyczynami możesz się poszczycić?

- Żadnymi! - przyznał się chudy młodzieniec, opuszczając oczy z zażenowaniem. - Przyznaję się ze skruchą, że dotychczas nie zabiłem nawet muchy... Co najwyżej ogłuszyłem ją, gdy stawała się zbyt natrętna.

- Nie możemy więc traktować ciebie jako równego sobie - oświadczył don Garcia. - Czy wiesz, kto ja jestem?

- Przypuszczam!...

-Kto więc?

- Kartusz!<sup>3</sup>

- Mylisz się, przyjacielu! Nazywam się don Garcia Prento!...

- Król szpady? - zawołał Porfirio.

- We własnej osobie! - potwierdził zabijaka i dodał wskazując kolejno na swych

---

<sup>3</sup> (Krwawy bandyta francuski)

towarzyszy: - A to jest Jose Murcia...

- Niepokonany mistrz rapiera - jęknął Porfirio.

- Markiz Gontano de Cabrera...

- Zwycięzca czterdziestu przeciwników!...

- Oraz Waldemar von Wizenfels!...

- Nie znam tego - westchnął Porfirio - ale przypuszczam, że jegomość ten nie ustępuje wam, senores, w sztuce fabrykowania nieboszczyków...

- Ręczę za niego! - oświadczył don Garcia. - A teraz rozumiesz, młodzieńcze, dlaczego możemy się podjąć wypisania czterech pręg na obliczu Zorry?

- Rozumiem - wtrącił się do rozmowy Malibran. - Chcecie wszyscy czterej napaść na Zorrę jednocześnie i posiekać go wspólnymi siłami...

Słowa te podziały na czterech przyjaciół jak iskra w beczce prochu... Zerwali się ze swych miejsc i chwycili za szpady.

- Nie igraj ze śmiercią, senor Malibran - ryknął don Garcia. - Jeszcze jedno nieogłędne słowo, a będziesz gryzł ziemię. Każdy z nas podejmie się pokonać dziesięciu takich jak Zorro w walce na szpady!

Porfirio i Malibran pochylili się jednocześnie w niemym ukłonie: - A więc wyprawa do Aragonii została postanowiona? - zapytał tłusciuch.

- Tak jest, senor! - odpowiedział za wszystkich Garcia. - Jedziemy do Aragonii, by odznaczyć senora Zorrę czterema pręgami. Każdy z nas pozostawi piękną szramę na jego obliczu!

- Ale ja muszę mieć jego uszy! - odezwał się po raz pierwszy Waldemar von Wizenfels. - Nie zaznam nigdy spokoju bez uszu Zorry!

## Wyzwanie przyjęte

Wiść o przybyciu czterech mistrzów szpady rozniosła się lotem błyskawicy po Aragonii. Od dwóch dni nie mówiono o niczym innym jak o wyzwaniu rzuconym jeźdźcy w masce.

Przyjmie czy nie przyjmie? Oto pytanie, które zadawali sobie mieszkańcy Leridy, Huesco, Tudeli, Saragossy i wielu innych miast i miasteczek.

Czterej młodzieńcy znajdowali się w Saragossie, podczas gdy Porfirio i Malibran wyruszyli w głąb prowincji, w poszukiwaniu Zorry.

Gubernator don Alvarez zawiadzał całą czwórkę do swego pałacu i przyjął ich we wspaniałym salonie.

- Słyszałem, iż pragniecie zmierzyć się z Zorrą - to były jego pierwsze słowa. - Szczytny i piękny zamiar, doprawdy! Pomimo że wasze nazwiska obieżyły prawie całą Europę, wątpię, czy uda się wam dotrzeć do niego!...

- Czyżby miał stchórzyć? - zapytał don Garcia.

- Ten piekielnik nie wie, co to znaczy obawa! - odparł don Alvarez. - Nie, Zorro nie stchórzy, lecz w grę wchodzi tutaj lud Aragonii, który uważa go za swego obrońcę. Ta hołota burzy się i jak mi donoszą moi ludzie, liczni ochotnicy zamierzają spuścić wam tęgie lanie z chwilą gdy opuścicie Saragossę!

Awanturnicy milczeli, a don Alvarez ciągnął dalej, nie przestając jednocześnie obserwować ich.

- Radzę wam zawrócić! Nie dacie rady dziesiątkom i setkom kłonic, kijów i orczyków. Poza tym należycie, senores, do najprzedniejszych rodzin szlacheckich, wobec tego nie wypada wdawać się w rozprawę orężną ze zwykłym rabusiem!...

- Muszę mieć jego uszy! - mruknął Waldemar von Wizenfels. -Przyrzekliśmy napiętnować go czterema pręgami! - dodał don Garcia...

Wielkorządca rozłożył ręce z udaną rezygnacją, w duszy bowiem był rad nadarzającej się okazji upolowania Zorry przez czterech najlepszych myśliwych. Ani przez chwilę nie wątpił, że Zorro przyjmie wyzwanie.

- Jadę z wami - rzekł po chwili namysłu. - Nie mogę przecież pozwolić, by lud połamał wam kości. Sądzę, że zanim przybędziecie na wyznaczone miejsce spotkania, przyda się wam wojskowa eskorta!

Wszyscy czterej zgodzili się. Postanowiono tylko poczekać, aż powrócą Porfirio i

Malibran z odpowiedzią Zorry.

Nie czekali zbyt długo. Wkrótce dwaj przyjaciele powrócili z pomyslną wieścią.

- W jaki sposób udało się wam widzieć z Zorrą i rozmawiać z nim? - zapytał don Alvarez, który znajdował się w towarzystwie czterech szermierzy.

- To bardzo proste - odpowiedział Malibran. - Zawiesiliśmy na kilku przydrożnych drzewach wezwanie do Zorry, a nazajutrz znaleźliśmy na każdym wezwaniu trzy cięcia spadają, w kształcie litery „Z”.

Malibran, Porfirio oraz czterej awanturnicy jechali przodem. Za nimi, w pewnym oddaleniu, podążał don Alvarez ze swym oddziałem.

Wyminęli łańcuch niewysokich skał i dotarli do lasu. Słońce przyświecało tego dnia łagodnie, a liczne motyle polatywały w powietrzu. Wtem w głębi lasu rozległ się niesamowity krzyk:

- Być albo nie być! Być albo nie być!...

Cały oddział zatrzymał się.

- Co się tam dzieje? - zapytał don Alvarez i zwrócił się do swych dwóch żołnierzy:

- Zobaczcie no, kto tam ryczy!

Ale żołnierze nie mieli potrzeby zagłębiać się w las, gdyż nagle spośród drzew wyłonił się Zefirio z siatką na motyle w jednej ręce i otwartą książką w drugiej.

- Zefirio! - wykrzyknęli jednocześnie Porfirio i Malibran, rzucając się ku niemu. - Dobre nieba, co cię tu sprowadza?

- Motyle, drodzy moi przyjaciele. - Łapię motylki i uczę się na pamięć Szekspira... Właśnie doszedłem do tego miejsca, gdzie Hamlet woła: „Być albo nie być”

Uniósł oczy w zachwycie.

- To jest wspaniale, rozumiecie moi drodzy? Hamlet woła: „Być albo nie być”, gdyż trzeciego wyjścia nie widzi. Jakże genialnie Szekspir to opisał „Być” to jedno wyjście, „nie być” to drugie; gdzie jest trzecie? Ani ja, ani Hamlet, ani ty Porfirio, ani nawet don Alvarez, którego widzę tam na koniu, tego nie wiedzą. I wątpię, czy nawet sam Szekspir wiedział.

Mętą tę filozofię przerwał don Alvarez, zbliżając się doń:

- Bardzo dobrze, senor Zefirio! - zawołał. - Tak pięknie mówisz, że mógłbym cię słuchać całymi godzinami, ale do licha, nie zatrzymuj swych przyjaciół, Porfiria i Malibrana... Czy nie widzisz, że nam śpieszno?.

- Mamy spotkanie z Zorrą - wyjaśnił Porfirio. - Ci oto czterej senores wyzwali go na pojedynek...

Zefirio skrzywił pogardliwie usta i rzekł wyniośle:



- Próżna fatyga... Nikt nie da mu rady prócz mnie, Zefiria Cortiego.

Czterej szermierze sięgnęli do szpad, bladzi z wściekłości. Nie znali Zefiria i brali go poważnie.

- Aj, aj! - krzyknął młody Corti, cofając się. - Co to za napaść.

Don Garcia zsiadł z konia, zbliżył się do Zefiria i rzekł mrużąc złośliwie oczy:

- A więc uważasz się za lepszego od każdego z nas, senior?

- Nie uważam się wcale! - odparł Zefirio, cofając się z wystraszonym wyrazem twarzy.

- Ach, więc nie uważasz się? - roześmiał się don Garcia.

- Nie! Nie uważam się, lecz wiem, że jestem lepszy od was! Trzej pozostali szermierze odpowiedzieli na to zuchwalstwo głuchym pomrukiem gniewu. Don Alvarez trzymał się za boki. Nie mógł się powstrzymać od śmiechu, a żołnierze zadawali sobie wiele trudu, by nie śmiać się w obecności gubernatora.

- Będziemy walczyć o to, kto lepszy! - warknął don Garcia. - Daję ci wybór broni, co wolisz: szpady czy pistolety na odległość dwudziestu kroków?

Zefirio spojrział nań przestraszony.

- Mam się pojedynkować? - wyjąkał. - Ależ ja cię wcale nie znam, senior! Jakże mam pojedynkować się z zupełnie mi obcym człowiekiem. Przecież to nie wypada!

- Kpiny na bok! - wrzasnął don Garcia. - Wybieraj rodzaj broni! ...

- Ależ ja nie mam sekundantów - próbował wykręcić się biedny młodzieniec.

Don Alvarez wtrącił się do rozmowy:

- Są twoi przyjaciele, Porfirio i Malibran!... - zwrócił się do nich. - Czy zgadzacie się być sekundantami senora Cortiego?

- Zgadzamy się! - odpowiedzieli obaj zgodnie.

- Zdrajcy! - jęknął Zefirio. - Tak mi się odwdzięczacie za moje dobre serce?

- Dostyc tej gadaniny - niecierpliwił się don Garcia. - Nie mamy zbyt wiele czasu do stracenia. A więc decyduj się, senior, co wybierasz, szpady czy pistolety na dwadzieścia kroków!...

- Czy to nieodwoalnie?

- Nieodwoalnie!...

- Dobrze - westchnął Zefirio. - Widzę, że nie mam innego wyjścia, wybieram zatem szpady na odległość dwudziestu kroków!...

Wszyscy obecni wybuchnęli nie powstrzymany śmiechem a don Alvarez omal nie spadł z konia.

Don Garcia był blady jak płótno.

- Kpisz sobie chyba ze mnie, senor - zasyczał. - Jakże to możliwe? Przecież z tej odległości niepodobna walczyć na szpady.

- Niepodobna! - zgodził się Zefirio. - Zaznaczam przy tym, że nie wolno ciskać szpadą w przeciwnika...

Don Garcia zacisnął pięści:

- Senor! - wybuchnął. - Ty nie masz honoru!

- Wolę być żywy bez honoru niż honorowym nieboszczykiem! - oświadczył głupi Zefirio i zniknął w lesie wraz ze swym Szekspirem oraz siatką na motyle.

A po chwili znów rozległ się jego ryk:

- Być albo nie być... Być albo nie być!...

## Cztery pojedynki

Na przełaj przez oazę bujnej zieleni sunął zamaskowany jeździec ze zwiniętym biczem u siodła.

Łagodny wietrzyk rozwiewał końce czarnej chusty na jego głowie. Dzień miał się ku końcowi. Jeździec stanął w strzemionach i baczny wzrokiem, poprzez otwory w masce, lustrował okolicę. I śpiewał wesołą piosenkę.

Czterech zuchów chodziło po świecie

Niszczyli młode drzewka, deptali wonne kwiecie Jeden miał tęgi trzos

Drugi miał krzywy nos

Trzeci dumny byk jak bies

Czwarty to wściekły, rudy pies.

Nagle osadził konia w miejscu i wpatrzył się w pewien punkt na widnokręgu. W oddali sunęło sześciu jeźdźców. Jechali bez pośpiechu, CO pewien czas oglądając się jak gdyby na kogoś czekali.

A w odległości pół mili za nimi posuwał się regularny oddział kawalerii.

- Eskorta - rzekł z uśmiechem. - Jak widzę, zarozumiałcy nie ruszają się bez świty

Cofnął konia i ukrył się za pagórkiem porośniętym zielenią. Sześciu jeźdźców zbliżało się powoli. Nie podejrzewali niczyjej obecności w pobliżu.

W chwili jednak gdy zrównali się z pagórkiem, Zorro zastąpił im drogę, wołając:

- Witajcie, senores!... Czekam, jak widzicie, ale szczerze mówiąc, nie spodziewałem się wojskowej asysty! Czy to pułapka?

Cała szóstka osadziła konie. Przez chwilę milczeli, przyglądali się zamaskowanemu jeźdźcy z nie ukrywaną ciekawością.

Zorro ciągnął dalej, opierając niedbale rękę na rapierze zawieszonym u siodła:

- Jestem amatorem spokojnych rozrywek i nie mam nic przeciwko temu, by próbować się z wami wszystkimi jednocześnie lub po kolei, jak wolicie! Niestety, zabawę tę zakłóca obecność sprowadzonego przez was wojska... Zatem będę zmuszony dokonać pewnego manewru.

Czarny rumak dał szczupaka w powietrze i otarł się o wierzchowca don Josego Murci. Jednocześnie błyskawicznym ruchem Zorro schwycił jeźdźca za kołnierz, wyciągnął z siodła i przerzucił w poprzek swego konia.

Stało się to tak błyskawicznie, że zanim inni zdolali ochłonąć ze zdumienia, Zorro był

już daleko ze swym jeńcem.

Rozległy się dzikie okrzyki wściekłości i rzucono się w pościg za jeźdźcem w masce. Niebawem zaniechano gonitwy, gdyż Zorro zniknął bez śladu.

Drugi akt tej tragikomedii rozgrywał się tymczasem w głębi lasu na obszernej polance.

Zorro zсадził swego jeńca i rzekł wręczając mu szpadę:

- Wybacz mi, senor, że postąpiłem z tobą nieco obcesowo, ale doprawdy nie miałem na to innej rady. A więc przystąpmy do akcji. Pokaż mi, senor, jak się robi pręgi na twarzy.

Jose Murcia natarł jak szalony, ale walka trwała niezbyt długo. Już po czwartym skrzyżowaniu szpad, jego broń wyleciała wysoko w powietrze, a jednocześnie ostrze Zorry wyżłobiło niezbyt głęboką, ale za to widoczną pręgę na ukos przez lewy policzek.

- Zadowolę się tym razem tylko jedną pręgą - rzekł Zorro. - Gdyż doprawdy prócz samochwalstwa niczym wobec mnie nie zawiniłeś! ...

Po chwili pędził już co koń wyskoczy z powrotem. Dogał drugiego jeźdźca w pełnym galopie. Błysnęły szpady, uniosły się lufy pistoletów, ale Zorro nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Jak wicher przemknął obok Waldemara von Wizenfelsa i porwał go z siodła, tak jak jastrząb porywa zającą na polu.

Huknęły wystrzały. Kule zaczęły gwizdać, ale rumak Zorry ledwie dotykał ziemi kopytami i niebawem pozostawił daleko w tyle swych prześladowców.

Niemiec próbował się bronić, otrzymał jednak cios pięścią w ciemię i się uspokoił.

Jazda trwała blisko piętnaście minut. Koń zatrzymał się w niewielkiej dolinie, po czym Zorro i Waldemar von Wizenfels stanęli naprzeciw siebie ze szpadami w ręku. Zorro swym zwyczajem wygłosił krótką przemowę:

- Dzielny synu Germanii, wybacz mi, że porwałem cię tak niespodzianie spośród grona twych przyjaciół, ale powodowała mną troska natury czysto estetycznej. Oto nigdy, póki żyję, nie miałem sposobności oglądać swych uszu. Widziałem je w lustrze oraz w zwierciadle wody i wydało mi się, że jedno ucho większe jest od drugiego. Zrozum moją rozpacz, senior. Przedtem uważałem się za przystojnego mężczyznę, a tu nagle taka szpetota. - Odetchnął, sprawdził ostrze rapiera palcem i dokończył swe przemówienie: - Tylko ty jeden, senor, możesz rozwiązać me zmartwienie. Obetnij mi, proszę, moje uszy, bym mógł, kładąc jedno obok drugiego, przekonać się, czy są jednakowej wielkości! Powietrze przeciął zgrzyt skrzyżowanych szpad. Niemiec natarł spokojnie i metodycznie. Był to świetny szermierz. Na nieszczęście wszystkie jego najlepsze cięcia i sztylety trafiały w próżnię. Pot wystąpił na jego płaskiej twarzy, zaczął sapać jak miech, usiłując przygwoździć swego diabelnie zręcznego i sprężystego przeciwnika.

Po pewnym czasie Zorro rzekł:

- Dosyć tej zabawy... Czas nagli, gdyż mam jeszcze dwa porachunki do załatwienia.

I znów szpada Waldemara wyleciała w powietrze, a jego lewy policzek przecięła czerwona pręga.

- Sądzę, że to wystarczy - oświadczył Zorro.

Zwinnie skoczył na siodło i pognął z powrotem. Zadanie było jednak tym razem trudniejsze, albowiem oddział don Alvareza trzymał się zbyt blisko dwóch pozostałych szermierzy.

Jeździec w masce cofnął się niezauważony, zakreślił wielki łuk i w ten sposób znalazł się na tyłach oddziału. Zatrzymał konia, przyłożył dłonie w kształcie trąbki do ust i krzyknął z całej siły:

- Zorro! Zorro! Zorro!

Don Alvarez odwrócił się na siodle, jakby pchnięty niewidzialną sprężyną, i ujrzał swego śmiertelnego wroga.

- Za nim! - ryknął. - Gońcie go! ... Nie wolno wam wypuścić go żywego.

Żołnierze rzucili się w stronę Zorry, który na to tylko czekał. Zawrócił konia i umykał, nie śpiesząc się jednak zbytnio.

Kołując, skręcając to w prawo, to w lewo, zdołał odciągnąć oddział na przyzwoitą odległość od Porfiria, Malibrana i dwóch pozostałych szermierzy.

Co prawda, don Garcia oraz markiz Gontano mieli zamiar puścić się wraz z oddziałem w ślad za Zorram, ale Malibran powstrzymał ich mówiąc:

- Nie czyńcie tego, senores! Nie jesteście policjantami ani też żandarmami, nie przystoi więc szlachcie uganiać się po okolicy za uciekającym przeciwnikiem.

- Słusznie! - rozległ się nagle dźwięczny głos w pobliżu. - Dobrze mówisz, grubasku!

I Zorro wyjechał z zarośli na drogę.

- Śpieszmy się, senores! - zawołał zeskakując na ziemię. - Zanim dzielny gubernator powróci ze swymi żołnierzami, my musimy już być gotowi!...

Rozpoczął walkę z don Garcia, a wynik był ten sam, co poprzednio. Czerwona pręga zryła ukośnie jego twarz. Podobny los spotkał i markiza Gontano.

- Dziękuję, senores! - rzekł Zorro, ocierając rapier. - Chodziło wam o te cztery pręgi, więc macie je! Na przyszłość jednak radzę nie szafować dla błahostek zdrowiem i życiem spokojnych obywateli, którzy o nic więcej nie proszą, jak o trochę miejsca pod słońcem!

Dosiadł konia i odjechał nie oglądając się. Zmrok zapadał, a lekki wietrzyk niósł słowa piosenki śpiewanej przez jeźdźca w masce: I nie zaznam ja spokoju Bez mej lubej

Carmencity... Cóż mi rany i śmierć w boju Cóż mi złoto i zaszczyty...

Zmierzch już zapadł, gdy czterej szermierze odnaleźli się wreszcie. A gdy don Alvarez natrafił na nich, otworzył szeroko usta ze zdumienia i ściągnął mocno swego wierzchowca.

- Cztery pręgi - szepnął patrząc na ich twarze. - Niech mnie diabli porwą, jeśli to nie są cztery pręgi, ale nie te, o których myślałem!

- Chciałeś powiedzieć, wasza wielmożność - odezwał się Porfirio - że spodziewałeś się ujrzeć cztery pręgi na jednej twarzy zresztą tutaj nieobecnej.

Waldemar podbiegł do gubernatora:

- Ekscelencjo! - zawołał wściekle. - Przysięgam, że ten rabuś nie ujdzie mi żywcem.

- I mnie również - powtórzył jak echo Jose Murcia.

- I mnie!...

- I mnie!...

Don Alvarez milczał przez dłuższą chwilę.

- W jaki sposób zabierzecie się do niego?

Don Jose Murcia zbliżył się doń i szepnął tajemniczo:

- Szukając się nawzajem, natrafiliśmy na jego kryjówkę w lesie. Jest to niewielki barak, gdzie ukrywa swego konia! Don Alvarez wyprostował się w swym siodle, a w jego oczach zabłyśła nadzieja.

- Znacie jego kryjówkę? - zawołał. - Jazda więc! Okrążymy ją! Nie zwlekajmy ani sekundy!

Dyszący zemstą zawadiacy poprowadzili oddział do lasu.

Po krótkiej wędrówce między drzewami wyjechali na polankę. Oddział otoczył niewielką chatę i zaatakował ją ze wszystkich stron jednocześnie. Nikogo jednak nie znaleziono. Natomiast do framugi drzwi przygwożdżony był sztyletem niewielki skrawek papieru.

Don Alvarez przeczytał następujące słowa:

Czcigodny don Garcia, Murcia, Gontano i Waldemar! Uważałem was dotychczas za niedowarzonych samochwalców, ale teraz widzę, że jesteście również. mściwymi nicponiami. Należy się wam pogładowa lekcja lojalności.

Z.

- Nie macie tutaj nic więcej do roboty - rzekł do nich Malibran. - Radzę wam, zmiatajcie stąd jak najprędzej, gdyż, jak widzę, Zorro wpadł w gniew...

Czterej przyjaciele usłuchali rady Malibrana. W Huesco wsiedli do dylizansu

pocztowego udającego się do Madrytu.

W drodze przez wąwóz, obok dyliżansu, rozległ się dźwięczny głos: .

- Hej, woźnica, zatrzymaj swój wehikuł!

Dyliżans zatrzymał się.

Zza skały wyjechał na czarnym rumaku Zorro. Nie miał absolutnie żadnej broni przy sobie prócz bicia zwiniętego u siodła.

Jakaś podstarzała seniorita zaczęła krzyczeć jak zarzynane jagnię.

Czterej szermierze spojrzeli na siebie.

- On nie ma broni - szepnął Murcia. - A nas jest czterech!...

Zorro nachylił się nad oknem karocy:

- Szukam seniority Carmencity - rzekł i zapytał zwracając się

do wrzaskliwej kobiety: - Czy ty jesteś Carmencita?

- Nie, nie, nie! - krzyczała przerażona.

- Jeśli nie, więc czemu dajesz znać o sobie?.. O, seniorito, nic ci nie pomogą twe wołania, gdyż ja się nie dam skusić!...

Don Garcia krzyknął:

- Na niego!...

I wszyscy czterej wypadli przez tylne drzwi dyliżansu, trzymając obnażone szpady w rękach.

Wówczas przemówił bicz Zorry. Rzemień świstał, ciał i owijał się dookoła głów i ciał napastników. Po krótkiej chwili rozległy się okrzyki bólu i przeraźliwe jęki. Wymachując bezużytecznymi szpadami, wstając i padając wyglądali jak czterej ślepcy. A na policzku każdego oprócz ukośnej pręgi widniała dodatkowo litera „Z”.

## Błękitny caballero

Don Alonzo, pierwszy minister królowej Izabelli, po raz trzeci przebiegł oczami list doręczony mu przed chwilą przez umyślnego kuriera.

List był następującej treści:

Ekscelencjo!

W odpowiedzi na pismo donoszę uniżenie, że pomimo mych usilnych starań, nie wszystko idzie po myśli. Aragończycy, podburzani przez Zorrę, coraz śmielej podnoszą głowę... Trzymam ich w żelaznych ryzach, ale to niewiele pomaga. Podatków wpływa coraz mniej, a każdemu komisarzowi musi towarzyszyć silna eskorta wojskowa. Nikt z urzędników nie jest pewny swego życia, a choć więzienia są przepelnione, terror Zorry nie ustaje.

Przypisuję ten stan rzeczy temu, że pełniąc liczne obowiązki gubernatora, nie mam czasu ani możliwości sprawować osobiście kontroli nad moją prowincją. Brak mi dzielnego pułkownika, dowódcy żandarmerii i policji, który by żelazną dłońią tłumił w zarodku najmniejszy objaw rewolty.

Proszę więc, by Jego Ekscelencja zechciał przysłać mi człowieka nie ustępującego pod względem energii i stanowczości dawnemu pułkownikowi Alvarezowi y Gonzano.

Don Alvarez y Gonzano gubernator Aragonii

Minister zmiął list i zamyślił się.

- Skąd wziąć takiego człowieka? - wyszeptał. - Prawda, że don Alvarez nie może podolać dwom funkcjom naraz, ale nie wiem doprawdy, kogo mu posłać?..

Wtem jego sucha i pomarszczona twarz rozjaśniła się.

- Mam, mam! - zawołał zrywając się z fotela. - Do licha, czemu od razu nie pomyślałem o pułkowniku don Carlo Cevennie?

Zatarł ręce.

Carlo Cevenna to w sam raz człowiek dla don Alvareza... Srogi, okrutny, bezwzględny, a zarazem diabelnie ograniczony... cha, cha, dobrana z nich będzie para!...

Zasiadł przy biurku i napisał:

Drogi gubernatorze!...

List Twój, w którym donosisz mi o trudnościach, z jakimi musisz się borykać, znalazł u mnie pełne zrozumienie. Owszem, senor Alvarez, taki człowiek istnieje i cieszę się niezmiernie, że będę mógł Ci się przysłużyć. Czy słyszałeś o pułkowniku żandarmerii don Carlo Cevennie? Do dziś dnia nie nazywają go w Istrii inaczej jak „Krwawy Cevenna”... On



to bowiem zdusił w potokach krwi rewoltę Istryjczyków. Najmiłościwiej nam panująca królowa Izabella jemu właśnie zawdzięcza trwałą pokój w Istrii. Sądzę, że lepszego człowieka nie mogłem Ci znaleźć. Jedna tylko uwaga: jest to człowiek niezwykle zarozumiały na punkcie swego szlacheckiego pochodzenia. Uważa, iż ma najbardziej błękitną krew w całej Hiszpanii. Wystrzegaj się więc, drogi gubernatorze, konfliktów oraz uprzedź o tym Twoje otoczenie...

Don Alonzo Estabarra  
minister królowej Hiszpanii

Po napisaniu tego listu zadzwonił na sekretarza i wręczając mu zalakowaną kopertę przeznaczoną dla don Alvareza, polecił wezwać do siebie don Carla Cevennę.

Sekretarz wyszedł, by spełnić polecenie. Specjalny goniec wyruszył do pułkownika.

Carlo Cevenna był to wysoki, barczysty Andaluzyjczyk, o czarnych, zrośniętych brwiach, potężnej klatce piersiowej i strasznym wprost spojrzeniu szarzielonych oczu.

Już samo to spojrzenie było odpychające. Wrażliwsze kobiety nie mogły znieść jego wzroku, a mężczyźni wprost obawiali się go.

Królowa Izabella nie znosiła pułkownika, ale monarchia potrzebowała tego okrutnego i bezwzględnego uśmierzyciela.

Carlo Cevenna ostatnio był bez zajęcia. Toteż uradował się niezmiernie na widok wysłannika ministra Alonza.

Nie zwlekając kazał zaprzęgać karocę i niebawem siedział już w gabinecie don Alonza, wpatrując się weń swym strasznym wzrokiem, który nawet wszechwładnego ministra przejmował dreszczem zgrozy.

- Don Carlo - rzekł - zamiast wyjaśnień na temat twojej misji, pozwól, że dam ci do przeczytania list gubernatora Aragonii!

Pułkownik przebiegł list oczami. Na jego okrutnej twarzy przewiął się grymas zadowolenia.

- Podejmuję się zamienić Aragończyków w jagnięta - odezwał się unosząc głowę. - Nie mogłeś uczynić lepiej, ekscelencjo, zwracając się do mnie!...

- Kiedyż więc wyruszysz, pułkowniku?..

- Jeśli mam już rozpocząć taniec, to im prędzej, tym lepiej!... - Dobrze! Wyruszysz więc jutro. Dam ci listy uwierzytelniające ... Uprzedzam jednak, że sprawa nie będzie łatwa ...

- Lubię trudne sprawy!...-

- Grasuje tam Zorro, o którym zapewne już słyszałeś ... To diabeł, a nie człowiek!...

Don Carlo uniósł dumnie głowę i wydał pogardliwie wargi.

- Ekscelencjo - wyrzekł tonem, który był tym straszniejszy, że zupełnie na pozór spokojny. - Nie uznaję diabłów ani ludzi. Dla mnie istnieją tylko wierni i posłuszni poddani jej królewskiej mości...

- Ale Zorro ...

- Zorro jest tylko jednym z tej hołoty, pomimo że nosi maskę i zręcznie posługuje się bronią... I nikt nie powie, że don Carlo Cevenna - szlachcic najczystszej wody, potomek starożytnego rodu hidalgów i konkwistadorów, człowiek w żyłach którego płynie najbłękitniejsza w świecie krew - lęka się rabusia podłego pochodzenia... Odwrotnie, tajemniczy Zorro będzie drżał na sam dźwięk mego imienia i moja w tym głowa, by jak najszybciej zawisnął na szubienicy!...

- Brawo! - zawołał minister. - Pułkowniku, widzę, że jesteś nieocenionym sługą tronu... Przysięgam, że o tym nie zapomnę i w najbliższej przyszłości będziesz miał dowody łaski monarszej... Pułkownik powstał.

- A więc jutro wyruszam w drogę do Aragonii. Zabieram z sobą kilku wypróbowanych oficerów żandarmerii, którym ufam i których jestem pewny!...

I dodał z okrutną ironią..

- Nie wątpię, że poczciwi Aragończycy powitają nas z radością

## Zorro na trasie

Ledwie słońce ukazało się na widnokręgu, a ptaki na gałęziach drzew zaczęły wywodzić swe trele, z lasu wyjechał galopem Zorro.

Pędził na zachód. Jak zwykle był w doskonałym humorze, oczy mu świeciły poprzez otwory w masce. Zdawał się napawać pięknem budzącego się dnia i swoim zwyczajem śpiewał tęskną piosenkę lub też wesoło pokrzykiwał na swego konia.

Czarny rumak strzygł uszami i ledwie dotykając ziemi kopytami sunął w zawrotnym galopie.

Na zachód od Saragossy piętrzyły się nagie, o fantastycznych kształtach skały. Wijąca się wężowo droga biegła u zbocza gór i nad przepaściami. Miejscami stawała się tak wąska, że karoca zaledwie mogłaby przejechać. I właśnie w tym najwęższym miejscu nastąpiło niespodziewane spotkanie Zorrry z jeźdźcem w mundurze kuriera rządowego, zdążającego w przeciwnym kierunku.

Kurier wyłonił się nagle spoza zakrętu i przeraził się niezmiernie, widząc tuż przed sobą jeźdźca w masce. Instynktownie sięgnął po broń, ale w następnej sekundzie cofnął rękę, uznał bowiem, że przeciwko jeźdźcy w masce nic nie wskóra.

Zorro ukazał w szerokim uśmiechu dwa rzędy śnieżnobiałych zębów.

- Zupełnie słusznie, mój oficerze - odezwał się zastępując mu drogę. - Nie ma sensu strzelać do człowieka, który nie wyrządza ci przecież najmniejszej krzywdy!

- Czegoż więc chcesz ode mnie, senor? - zapytał kurier drżącym głosem. - Czemu zagradzasz mi drogę? Przecież nie mam przy sobie złota?

- Wierzę ci, że nie złoto wiesz do Saragossy - odparł Zorro. - Złoto bowiem nigdy nie idzie z Madrytu do Saragossy, lecz odwrotnie, z Saragossy do Madrytu... Natomiast ze stolicy do Saragossy idą listy, które mają wartość złota dla pewnych ludzi... - Nie wiozę żadnego listu - bronił się wysłannik don Alonza. - Wierz mi, senor...

Zorro pokiwał głową.

- Drogi młodzieńcze - rzekł, aczkolwiek kurier miał już ponad czterdziestkę. - Zrobimy mały układ. Poddam cię rewizji i jeśli nic nie znajdę, puszcę cię wolno, jeśli zaś znajdę jakieś urzędowe pismo, wówczas zrzucę cię w tę oto przepaść! Czy zgadzasz się?

Kurier zastanowił się przez chwilę. Szybkim spojrzeniem ogarnął Zorrrę, zauważył, że bicz wisiał zwinięty u siodła, a pistolety tkwiły w futerałach.

Powziął niebezpieczną decyzję, westchnął z rezygnacją i rzekł: - Zgadzam się!

- Dobrze!

Zorro skierował konia w jego stronę.

- Unieś ręce do góry, młodzieńcze! - rzekł uśmiechając się ciągle.

Kurier posłusznie uniół ręce. Zorro nachylił się i zaczął obmacywać kieszenie na jego piersiach. W tej samej chwili kurier opuścił ręce i chwycił Zorrę za barki. Naprężył wszystkie siły i szarpnął gwałtownie, usiłując wyrzucić Zorrę z siodła. Lecz mu się to nie udało. Jego ruch był szybki, ale jeszcze szybsza była odpowiedź Zorry. Kurier otrzymał silny cios w żołądek i z jękiem opuścił ręce.

- Wybacz mi, senor - oświadczył spokojnie Zorro - ale jestem szalenie łaskotliwy i nie lubię, gdy mnie dotykają.

Wyciągnął zalakowaną kopertę z kieszeni kuriera i ostrożnie rozciął brzeg. Wyjął list i przebiegł go oczami.

- Jestem zgubiony - jęczał kurier, trzymając się za żołądek. - Minister nigdy mi tego nie daruje, że pozwoliłem odebrać sobie jego pismo...

Zorro włożył list z powrotem do koperty i wręczył ją kurierowi.

- Zaklej rozcięty brzeg, senor - rzekł. - Ręczę, że gubernator nic nie dostrzeże, nie widzi bowiem dalej od swego nosa. Nie potrzebujesz się chwalić przed nikim, że dałeś mi list do przeczytania... i podziękuj Bogu, że nie leżysz obecnie na dnie przepaści... Spiął konia i po chwili zniknął z oczu oszołomionego kuriera, który bezmyślnie obracał kopertę w rękę.

Zorro gnał na zachód, przynaglając swego konia do szybszego biegu. Przygotowywał się widocznie do jakiegoś spotkania, gdyż poprawił pistolety w olstrach i ujął bicz w rękę.

Niebawem ujrzał na drodze karocę urzędową otoczoną zbrojnymi żołnierzami. Jechała w tym samym kierunku co on, ale wyprzedzała go o ćwierć mili. Uniósł się zatem w strzemionach. Czarny rumak po prostu pożerał przestrzeń i wkrótce zrównał się z karocą.

- Stać! - rozległ się okrzyk Zorry.

Gdyby na drodze zjawił się regiment nieprzyjacielskiego wojska, żołnierze eskortujący pojazd rządowy na pewno broniliby go do upadłego przed licznymi wrogami. Ale okrzyk ten wydał Zorro. To wystarczyło, by żołnierze uznali z góry, że wszelki opór jest daremny.

Nawet nie próbowali się bronić. Było ich czternastu wraz z sierżantem. Czternaście par rąk uniosło się w powietrze.

- Wielmożny senor Zorro - odezwał się podoficer proszącym tonem. - Nie wieziemy złota, lecz tylko papiery do archiwum w Madrycie. Nie czyn nam nic złego, przecież widzisz, że nie podnosimy broni przeciwko tobie...

Żołnierze nie byli tchórzami. Zнали jednak dobrze legendę o jeźdźcu w masce i jeśli odczuwali kiedykolwiek zabobonną trwogę, to chyba tylko przed Zorzą.

- Wiem, że nie wieciecie złota - odparł Zorro - ale nie o to mi chodzi. Rzućcie broń na ziemię!...

- Senor! - zaczął błagalnie sierżant.

Oczy Zorry błysnęły..

- Słyszałeś, co mówiłem? - zapytał bawiąc się niedbale biczem. Po chwili czternaście strzelb, szabel i ładownic leżało na piasku. - A teraz rzućcie wasze nakrycia głowy!... - padł rozkaz. Czternaście czapek poleciało w ślad za bronią.

- Zdejmujcie buty!...

Konwojenci. nic nie rozumieli z tego wszystkiego, usłuchali jednak rozkazu bez szemrania.

Teraz oddział przedstawiał niezwykle, a zarazem żalosny widok. Żołnierze królowej Izabelli siedzieli na swych koniach boso, bez broni i bez czapek.

- Możecie jechać dalej - oświadczył Zorro - a gdy spotkacie na drodze karocę, zapytajcie o senora Carla Cevennę ... Powiedzcie mu, że Zorro śle pozdrowienie dla niego oraz dla całej rodziny, nie wyłączając prababki z pięciopalkową koroną hrabiowską oraz pradziadka z ośmiopalkową koroną książęcą...

## Powitanie na drodze

Podróż Carla Cevenny, wbrew jego oczekiwaniom, obfitowała w liczne niespodzianki.

Na początku wszystko układało się jak najpomyślniej. Jego piękna, młoda żona, kapryśna Anita, zgodziła się bez długiego namysłu na wyjazd do Saragossy.

A trzeba wiedzieć, że jeśli wszyscy odczuwali lęk przed groźnym pułkownikiem, to sam pułkownik lękał się swej uroczej Anity. Kochał ją szalenie i był okropnie zazdrosny.

Mówiono, że gdyby senora Anita zainteresowała się działalnością swego męża, wiele zaoszczędziłoby się przelanej krwi w Istrii. Ale piękna pułkownikowa czytała całymi dniami francuskie romanse albo siedziała przed lustrem. Nie wiadomo dlaczego Saragossa wydała się jej nagle romantycznym miastem...

Podróż zapowiadała się dobrze. Niestety, dobry humor don Carla popsuł się rychło. Stało się to po południu. Naprzeciw karocy toczył się pojazd rządowy, obok którego galopowali żołnierze. Jakież było zdumienie srogiego służbisty, gdy spostrzegł, że dzielni żołnierze galopowali boso, bez broni i bez czapek. Czyżby w Aragonii już tak źle z podatkami, że gubernator nie ma za co ubierać swych żołnierzy? pomyślał Carlo Cevenna, nie mogąc ochłonąć ze zdumienia.

- Hola, sierżancie! - zawołał głośno, wychylając się z karocy. - Do mnie, tutaj! ...

Sierżant ujrzał pułkownikowski mundur oraz liczne gwiazdy i orderzy zdobiące jego pierś, skierował więc konia w stronę karocy, salutując służbiście.

- Co oznacza ten strój?! - ryknął don Carlo. - Czy mam do czynienia z żołnierzami czy włóczęgami, carramba?..

- To Zorro! - wyjąkał sierżant, drżąc pod wpływem straszliwych szarozielonych oczu.

- To ten przeklęty Zorro rozebrał nas, rozbroił i kazał zanieść ukłon dla senora Carla Cavenny!...

Don Carlo osłupiał.

- Zorro? - zapytał ochryple. - To Zorro was urządził w ten sposób? I kazał mi się kłaniać?

- Tak jest, senor!...

Don Carlo zazgrzytał zębami.

- Jak liczna była jego banda? - zapytał. - I czy broniliście się?

Sierżant opuścił głowę.

- Zorro był sam! - odpowiedział zmieszany.

-Inie broniliście się?

Sierżant milczał.

- Dobrze - rzekł don Carlo. - Jedź dalej. Oddam was wszystkich pod sąd wojenny!

Karoca ruszyła w dalszą drogę. Srogi pułkownik trzął się cały z wściekłości i oburzenia.

- Ja tu zaprowadzę porządek - mrucał. - Do licha, ten don Alvarez nic nie jest wart! ... A miał niegdyś opinię dzielnego żandarma... Uważano go nawet za lepszego ode mnie... Cha, cha, cha!...

- Cha, cha, cha! - zawtórował srebrzysty śmiech obok niego. - Ten Zorro doprawdy jest niezwykły... Co za pomysły ma ten człowiek. Ach, gdybym nie była twoją żoną, sądzę, że zakochałabym się w nim na zabój... Podobno wszystkie okoliczne seniority potraciły dla niego głowy!... - mówiła piękna Anita z zapalem. A don Carlo uczył nagle, że w jego sercu wzbiera śmiertelna nienawiść dla jeźdźca w masce.

Ale na tym nie skończyły się niespodzianki podróży.

Przejeżdżali właśnie przez las, gdy doszły go nagle przeraźliwe krzyki u skraju drogi.

- Na pomoc, na pomoc!...

- Co tam znowu? - zapytał don Carlo jednego ze swych oficerów galopujących obok karocy.

Nie potrzebował jednak odpowiedzi, gdyż na własne oczy ujrzał dwóch mężczyzn, w mundurach komisarzy królewskich, zawieszonych na konarach drzew za dolną część ubrania. Wisząc między niebem a ziemią rozpaczliwie machali rękami i nogami, usiłując zmienić wielce niewygodną pozycję. Spodnie na siedzeniu trzeszczały, ale materiał zaczepiony o dolne konary drzewa był mocny i nie puszczał.

- Odczepić ich! - rozkazał Carlo.

Po chwili komisarze królewscy znaleźli się na ziemi. Obaj mieli przerażone twarze i drżeli mocno...

- Zorro... Przeklęty Zorro - jęczał jeden z nich, a drugi wtórował mu, pocierając obolałe ciało.

- Jedźmy dalej! - ryknął don Carlo, a oczy jego miały pioruny. - Jedźmy dalej, bo czuję, że trafi mnie apopleksja na miejscu.

Karoca ruszyła. Anita zanosila się od śmiechu, aż łzy stanęły jej w oczach. Don Carlo żuł ponure myśli. Nagle, gdy karoca znajdowała się u skraju lasu, z zamyślenia obudził go głośny okrzyk jednego z oficerów:

- Trzech ludzi przy drodze!...

Pułkownik wyjrzał przez okno. W odległości kilkuset kroków od karocy wznosiła się niemal pionowo niewysoka skała o gładkim zboczu. Pod nią stali rzędem trzech mężczyźni ze wzniesionymi do góry rękami. Stali odwrócenii twarzą do skały, a nad ich głowami czernił się wielki napis wykonany węglem na skale:

Witaj, dzielny don Carlo Cevenna!

Mieli na sobie piękne, czerwone kurtki żandarmów, ale był to cały ich ubiór. Poniżej bieleły się rąbki koszul. Ludzie ci nie mieli spodni, natomiast świecili czterema parami owłosionych łydek.

- Anito! - ryknął don Carlo rozpaczliwie. - Odwróć się, nie patrz, to nie jest widok dla ciebie!...

Gdyby jednak piękna Anita miała zamiar patrzeć, to i wówczas nie byłaby w stanie uczynić tego, gdyż wiła się po prostu ze śmiechu, oczy jej zaszyły łzami, a usta wołały:

- Ach... ten Zorro ... ten Zorro ... Cha, cha, cha!... Doprawdy, sądzę, że się w nim zakocham!...

Don Carlo wyskoczył z karocy i pobiegł w stronę ludzi nieruchomo stojących pod skałą.

- Senor Zorro - usłyszał błagalne wołanie jednego z nich, który tkwił nosem w szczelinie skalnej - doprawdy dosyć tych żartów... Ręce nam cierpną od ustawicznego trzymania w górze!... Jak długo jeszcze mamy tak stać pod groźbą twego pistoletu?..

- Ładne powitanie! - ryknął don Carlo, zadając potężny cios butem poniżej pleców jednego z tych ludzi. - Ładnie mnie witacie, nędznicy!...

Zacisnął pięści i zgrzytnął zębami:

- Ale Zorro za wszystko mi zapłaci... Przysięgam, że zapłaci!...



## Zazdrosny małżonek

- Hej, senor Zefirio! - zawołał don Alvarez, wychylając głowę ze swej wspaniałej, gubernatorskiej karety. - A dokąd to pędzi tak chyżo twój szlachetny rumak?

Zefirio osadził swego muła.

- We wsi Merrado u Sanchy Glana krowa urodziła cielę o dwóch głowach... Biegnę więc, by wziąć jedną głowę na pamiątkę...

- Na pamiątkę czego? - zapytał gubernator, a towarzysząca mu świta wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Jak to czego? - zdziwił się Zefirio. - Na pamiątkę dwóch cielęcych głów, oczywiście!...

- A więc znów będą dwie głowy u jednego cielęcia! – zauważył don Alvarez.

Głupi Zefirio nie zrozumiał przycinka. Otworzył szeroko swe baranie oczy i zapytał:

- Jak to?.. Nie rozumiem!...

- Zrozumiesz, gdy weźmiesz tę cielęcą głowę do ręki i spojrzysz w lustro!...

Teraz dopiero młody Corti pojął złośliwość i obraził się.

- Ublizasz mi, senor gubernator - oświadczył oburzony. - Ublizasz mi czyniąc niesprawiedliwe porównanie mej głowy do cielęcej. Na szczęście nie ma tutaj obcych ludzi, a ci którzy mnie znają, wiedzą dobrze, iż Zefirio Corti jest jednym z najmądrzejszych szlachciców Aragonii!

- Wcale temu nie przeczę - oświadczył don Alvarez z udaną powagą. - To był tylko żart!...

Oblicze młodzieńca rozjaśniło się.

- Wiedziałem, że to był żart! - zawołał. - I wybaczam ci chętnie!... Czy chciałbyś, senor, udać się wraz ze mną do wsi Merrado, by obejrzyć to cielę?

- Nie mam czasu, drogi Zefirio. Muszę śpieszyć na spotkanie z pułkownikiem don Carlem Cevenną, który przybywa do Aragonii z polecenia królowej... Zachowaj tę głowę, obejrzę ją innym razem!...

Ale w umyśle Zefiria postanowienia zmieniały się jak obrazy w kalejdoskopie.

- Cielę może zaczekać - oświadczył nagle. - Don Carlo Cevenna ma u mnie pierwszeństwo!... Jadę z tobą, gubernatorze, gdyż pragnę poznać tego słynnego bohatera, zwycięzcę zbuntowanych nikkzemników Istrii....

Zrównał swego muła z kareta i razem ruszyli w dalszą drogę. Spotkanie gubernatora z

pułkownikiem nastąpiło w odległości jedenastu mil od Saragossy.

Wysiedli ze swych karet i podali sobie ręce. Spojrzenia ich skrzyżowały się i nagły dreszcz po ciele don Alvaraza. Co za wzrok, pomyślał. Moi Aragończycy będą się mieli ciepło.

Zefirio przyjrzał mu się również, ale widocznie nie znalazł w nim nic godnego uwagi, odwrócił się bowiem w stronę karety i wzrok jego padł na twarzyczkę pięknej Anity.

Nie namyślając się ani chwili, pośpieszył do karocy, otworzył drzwiczki i bez ceregieli usadowił się obok niej.

- Wybacz mi, o piękna senorito, moją śmiałość – zaczął ujmując jej rączkę - ale twoja olśniewająca uroda działa jak magnes, i pokonuje wszelką nieśmiałość!

- Mów dalej, senor Zefirio Corti - roześmiała się małżonka don Carla. - Z przyjemnością cię słucham!...

- Znasz mnie, o nieznanoma bogini? - zdziwił się Zefirio.

- Czyż nie byłeś ulubieńcem naszej królowej? - zapytała przechylając zalotnie główkę.

- My, damy dworu, przepadałyśmy za tobą!... - Nie powiedziała oczywiście, że wszystkie konały wówczas ze śmiechu.

- Jakże się cieszę! - zawołał młodzieniec, obsypując jej rączkę żarliwymi pocałunkami. - Jakże się cieszę, że spotykam tak piękną znajomą, której dotychczas nie znałem!...

- Nie zjedz mych rąk, drogi senor! - broniła się piękna Anita. - Zaraz mój małżonek powróci do karocy... Cóż powie, gdy ujrzy ciebie u mego boku? Czy wiesz, że zająłeś jego miejsce?

- O bogini mego spragnionego miłości serca! - ryknął Zefirio, klękając przed nią. - Gdy cię ujrzałem, poczułem nagle, że moje męzne serce bije na alarm, a dzielna dusza ucieka w pięty... Co mi tam wszyscy mężowie na świecie, skoro cię kocham i pragnę bronić cię przed przeciwnościami losu ceną mego życia, krwi i potu... Mówisz, że zająłem jego miejsce?... Ach, pozwól, bym zajął je na zawsze!... Błagam cię, spotkajmy się dziś wieczorem, wówczas...

Nagle urwał, ponieważ tuż przed nim, w oknie karocy, zajaśniały dwie szarozielone latarnie. A właściwie szeroko otwarte oczy don Carla, który przyglądał mu się wzrokiem wygłodniałego tygrysa szykującego się do skoku na tłustego królika...

- He! - wyrzekł wreszcie, wpatrując się w obcego młodzieńca straszliwym wzrokiem.

- He? - powtórzył Zefirio, kurcząc się cały i odsuwając od seniority Anity.

Srogi pułkownik żandarmerii wsadził ramię przez okno karocy i położył ciężką dłoń

na karku intruza.

- Co tutaj robisz, senor? - zapytał głosem nie wróżącym nic dobrego.

Zefirio spojrzał nań z przestraczem.

- Co robię? - powtórzył drżącym głosem. - Oczywiście, że siedzę, senor!...

Don Carlo ukazał kły w okropnym grymasie. W tej chwili podobny był do rozjuszzonego tygrysa.

- Pytam, co robisz w mej karocy?! - wrzasnął.

- Czekam, aż konie ruszą, senor!...

- Aa, czekasz w mej karocy, przy boku mojej żony, aż moje konie ruszą?

Zefirio udał zdziwienie.

- Przy boku twojej żony, senor? - zapytał. - Carramba, niech mnie chronią wszyscy święci pańscy, jeśli wiedziałem, że to jest twoja żona, senor? To niewinne, piękne stworzenie miałoby być twoją żoną? Wybacz mi, senor, ale nawet teraz nie może mi się to pomieścić w głowie!...

Tego było już za wiele dla don Cana, Chwycił młodzieńca za kołnierz i gwałtownie pociągnął, otwierając jednocześnie drzwiczki karocy.

- Czekaj, młodziku, już ja cię nauczę zalecać się do cudzych żon...

Na szczęście senora Anita, która dotychczas milczała; krztusząc się ze śmiechu, odezwała się wreszcie.

- Zostaw go w spokoju, Carlo ... Przecież to jest sławetny Zefirio Corti, o którym tyle ci opowiadałam!...

- Zefirio Corti? - powtórzył srogi żandarm. - Więc to jest Zefirio Corti?

- Tak, tak - potwierdził skwapliwie wystraszony młodzieniec. - Całe życie byłem, jestem i będę Zefiriem Cortim. Przysięgam, że nie ma na świecie innego Zefiria Cortiego prócz mnie! Zefirio Corti to ja i tylko ja!... A gdyby ktoś inny podał się za Zefiria Cortiego...

- Dosyć - huknął pułkownik, puszczając jego kołnierz. - Wystarczy, że wiem, iż jesteś owym głupim Zefiriem, z którego śmieje się cała Hiszpania. Twoja sława ratuje ci skórę, gdyż don Carlo Cevenna nie bije półgłówków... Ale uprzedzam cię...

- Carlo - rozległ się powtórnie srebrzysty głos pięknej Anity. - Drogi mój małżonku, proszę cię, nie przesadzaj ... Przecież dobrze wiesz, że senor Zefirio jest nieszkodliwy. Podaj mu rękę i zaproś do nas na kolację!

- Ja mam podać rękę temu idiocie? - warknął srogi żandarm. - Nigdy!

- Carlo!...

Głosik nadobnej senory przybrał groźny ton.

- No dobrze, dobrze - ustępował małżonek. - Podam rękę temu bałwanowi, ale nie zaproszę go za żadne skarby na kolację...

- Carlo!...

- Dobrze już, dobrze!...

Na twarzy ujarzmionego Carla Cevenny zjawił się uśmiech podobny do grymasu.

- Zapraszam cię na kolację, senor - powiedział zgrzytając zębami. - Będzie mi bardzo miło widzieć cię przy mym stole!

Don Alvarez oraz liczni oficerowie, którzy dyskretnie obserwowali tę scenę, czynili nadludzkie wysiłki, by nie dać upustu swej wesołości. Tręcali się łokciami, a gubernator, siedząc w swej karocy, uśmiechał się pod wąsem.

- Dziękuję ci, senor, za łaskawe zaproszenie - Zefirio pochylił się w głębokim ukłonie. Odzyskał już cały swój tupet i fantazję. - Niestety, nie mogę skorzystać z gościny człowieka, który publicznie nazwał mnie idiotą i półgłówkiem.

- Odwołaj swoje słowa, Carlo! - padł rozkaz z głębi karety. - Odwołaj obelgę i przeproś senora Zefiria Cortiego.

- Dobrze, Anito - mruknął pułkownik i zwrócił się do młodzieńca. - Odwołuję to, co powiedziałem i przepraszam cię, senor.

- Wobec tego przyjdę na kolację! - rzekł łaskawie Zefirio. - Przyjdę i zademonstruję kilka nowych sztuczek magicznych... Poza tym poczyniłem niezwykle doniosły wynalazek, który, jestem pewny, dokona przewrotu na całym świecie!...

Wypowiedział te słowa z taką pewnością siebie, że wywarły one pewne wrażenie na zebranych.

Cóż ten głupiec wymyślił nowego? pomyślał don Alvarez, a głośno zapytał na czym polega ten niezwykle doniosły wynalazek.

Młodzieniec oparł się plecami o karocę don Carla. Twarz jego wyrażała bezdenne zadowolenie i niezmierną dumę.

- Odkryłem to, o czym marzyli przez wieki alchemicy całego świata, a mianowicie stworzyłem kamień filozoficzny!

Jedno głębokie ooo! wydarło się ze wszystkich piersi. W ciągu krótkiej chwili zapanowała głucha cisza, po czym rozległy się kaskady śmiechu.

Zefirio wynalazł kamień filozoficzny!... Było z czego boki zrywać. Daremnie kusili się najwięksi uczeni średniowiecza, by stworzyć kamień, który zamienia wszelki metal w czyste złoto. Królowie wszystkich epok i krajów łożyli olbrzymie fortuny na poszukiwanie tego kamienia, by wreszcie dojść do wniosku, że kamień filozoficzny jest utopią. I nagle nikt

inny tylko głupi Zefirio stwarza ten cudowny kamień! ..

- Cha, cha, cha! - śmiał się don Alvarez. - Czy dużo złota sfabrykowałeś? ...

Zefirio odpowiedział spokojnym tonem:

- Możecie się śmiać do woli, czcigodni senores, a jednak ujrzycie mnie niebawem jadącego w karocy ze szczerego złota ... Kamień ten sfabrykowałem dopiero przedwczoraj, a już zdążyłem zamienić kilkaset monet miedzianych w złoto!... Jeśli mi nie wierzycie, proszę, oto jest ten czarodziejski kamień!...

To mówiąc wy dobył z kieszeni swego surduta niewielki kawałek kwarcu.

- Jeśli ktoś z obecnych ma przy sobie srebrne lub miedziane monety - zawołał - proszę, dajcie mi je, to was przekonam, o niewierni Tomasze ...

Dworacy sięgnęli do sakiewek.

- Uprzedzam was - ciągnął dalej Zefirio - że monety te staną się złote, ale rysunek na nich będzie zatarty!...

- Dobrze, dobrze! - rozległy się dokoła niecierpliwe okrzyki. - Pokaż prędzej, jak to się robi!...

Zefirio ujął jedną monetę i zaczął z całych sił trzeć kamieniem filozoficznym. Po chwili w ręku jego błysnęła szczerozłota moneta. Obecni wydarli mu ją z rąk i oglądali z podziwem. Zefirio uczynił podobnie z drugą, trzecią, czwartą i dwudziestą monetą. Za każdym razem zamiast srebra lub miedzi ukazywało się czyste złoto.

## Konstantynopol

Nikt oczywiście nie domyślił się, że była to jedna ze sztuczek magicznych Zefiria. A nawet sam Zefirio nie przypuszczał, że obecni potraktują ją zupełnie serio.

W drodze do Saragossy don Alvarez siedział z zamkniętymi oczyma i medytował. Wszystko jest możliwe, myślał, to co się nie udało najmądrzejszym ludziom, mogło udać się głupcowi... Zresztą Zefirio Corti jest dość wykształcony, ukończył podobno uniwersytet w Madrycie. Tak, tak, zupełnie prawdopodobne, że uczynił epokowe odkrycie, sam sobie nie zdając z tego dokładnie sprawy... Za wszelką cenę muszę z niego wydobyć sekret robienia złota. ..

Mniej więcej w ten sam sposób rozmyślał don Carlo Cevenna. A Zefirio galopował na swym mule, nie podejrzewając, że umysły obydwu mężczyzn były zajęte jego osobą.

Po przybyciu do Saragossy obaj dygnitarze wysiedli ze swych powozów.

- Senor Zefirio - zwrócił się do gubernatora - czekam na ciebie wieczorem w moich prywatnych apartamentach!...

- O, przepraszam - wtrącił don Carlo. - Przepraszam cię, gubernatorze, ale ja właśnie miałem pierwszy ten zaszczyt, aby zaprosić senora Zefiria na kolację!

- Która oczywiście odbędzie się w mojej siedzibie, pułkownika. Przecież; nie masz jeszcze, jako nowo przybyły, apartamentu!...

Przez krótką chwilę mierzyli się oczami, starając przeniknąć się nawzajem.

Wreszcie don Carlo dał za wygraną.

- Nie, śmiem przeciwstawić się tobie, gubernatorze - rzekł z ukłonem. - Ale sądzę, że można będzie pogodzić nasze zamiary! Senor Zefirio będzie moim gościem, a zarazem twoim, gubernatorze!...

Znów popatrzyli sobie głęboko w oczy.

- Dobrze - odezwał się don Alvarez z westchnieniem. - Niech i tak będzie!

Po czym Zefirio pożegnał obydwu i pogalopował na swym mule ulicami Saragossy. Niebawem zatrzymał swego wierzchowca przed sklepem wyrobów farbiarskich i mydlarskich. Tutaj nabył pewną ilość sproszkowanego kwarcu, talku, kitu i oliwy. Schował torebki do troków i skierował muła do zajazdu.

W sali było rojno i gwarno. Zefirio usiadł przy jednym ze stolików i zamówił kolację. Spożył ją z całym spokojem, po czym wyciągnął ze swej przepaścistej kieszeni ciężki woreczek i wysypał całą jego zawartość na stół. W sali nastąpiła cisza. Oczywiście oberżysty

rozszerzyły się ze zdumienia na widok stosu złotych krążków.

- Oj, señor Zefirio - rzekł. - Nie wiedziałem, że jesteś takim bogaczem.

- To nie jest wcale tak trudno zostać bogaczem, trzeba tylko znać pewien sekret!

Przy sąsiednich stolikach siedzieli zakurzeni żołnierze i oficerowie don Alvarosa, ci sami, którzy stanowili jego eskortę i byli świadkami sceny zamiany miedzianych i srebrnych monet na złoto!

- Zdradź mi ten sekret! - zawołał oberżysta, a oczy jego zabłyśły chciwością. - W zamian gotów jestem podarować ci cały mój zajazd wraz z oberżą!...

Ale Zefirio potrząsnął przecząco głową:

- Ślina zaschła mi w gardle od ciągłego mówienia - rzekł umyślnie głośno. - I nie zamierzam bynajmniej powtarzać mej tajemnicy każdemu z osobna. Gdybyś należał do straży pałacowej, señor, wówczas mógłbyś skorzystać podsłuchując dziś wieczorem pod drzwiami, podczas gdy ja nauczę jego ekscelencję gubernatora Aragonii sztuki wytwarzania złota. To nie jest takie trudne, należy tylko mieć dobrą pamięć i broń Boże, nie myśleć o Konstantynopolu! ...

- O Konstantynopolu? - zdumiał się oberżysta. - Nie rozumiem!

- I ja również nie rozumiem - oświadczył z zimną krwią młodzieniec, zgarniając złoto z powrotem do woreczka. - Nie rozumiem, ale wiem, że tak być powinno!

Po wypowiedzeniu tych zagadkowych słów wstał od stołu, rzucił oberżystę złoty krążek i wyszedł odprowadzany spojrzeniami wszystkich obecnych.

Zmierzchało, gdy zjawił się w pałacu.

Don Alvarez oraz don Carlo powitali go z nadskakującą uprzejmością.

Posadzono go przy stole zastawionym najlepszym jadłem i winem. Piękna senora Anita siedziała obok niego. Posyłał więc jej spojrzenia pełne uwielbienia. Spozrzegł to zazdrosny małżonek. Targnął nim szalony gniew, ale zduł go w sobie na myśl o złocie. Po kolacji senora Anita pożegnała się i wyszła udając się do swych apartamentów.

- No, a teraz, señor Zefirio - zagadnął don Alvarez - pokaż, na czym polega ta sztuka robienia złota!

Zefirio wyłożył na stół papierowe torebki. Za drzwiami rozległ się podejrzany szmer. Podsłuchują - pomyślał - tym lepiej, niech również i biedni żołnierze don Alvarosa skorzystają z nadarzającej się okazji stania się bogaczami.

Głośno zaś rzekł:

- Tutaj znajduje się sproszkowany kwarc, w tej drugiej torebce jest talk, w trzeciej zwykły kit, a w tej butelce oliwa!...

- I z tego składa się kamień filozoficzny? - zapytał nieufnie don Carlo.

- Tak jest! - oświadczył Zefirio stanowczym tonem. - Z tych właśnie składników fabrykuję kamień filozoficzny...

Don Alvarez wyśmiałyby głupca, gdyby sam nie był naocznym świadkiem cudownego przemieniania przezeń różnych metali w złoto.

- Chętnie ci wierzę, czcigodny senor Zefirio, że można zrobić kamień filozoficzny z talku, kwarcu i kitu z oliwą - oświadczył. A ponieważ nie lubię, gdy mnie ktoś okłamuje, pozwolisz więc, że sprawdzę osobiście, czy rzeczywiście jest tak, jak mówisz!...

- Dlatego - wtrącił śpiesznie don Carlo - musisz nam powiedzieć, w jaki sposób to się robi!

- To proste - oświadczył Zefirio z całą powagą. - Urabia się te wszystkie składniki w móżdżerzu tak długo, aż powstanie jednolity, błyszczący kamień!...

- To wszystko? - zdziwił się don Alvarez.

- Nie!... Należy podczas tej czynności liczyć do dziesięciu tysięcy, przy czym nie wolno omylić się... Jeśli zajdzie omyłka w liczeniu, należy zaczynać od początku ... Poza tym nie wolno pracować w ciągu dnia. Z nastaniem świtu trzeba zaniechać tej pracy...

- A więc tylko podczas nocy?..

- Nie inaczej!...

- To wszystko?

- Nie!...

- Więc co jeszcze?

- Nie wolno myśleć o Konstantynopolu!...

Obaj dygnitarze otworzyli szeroko usta ze zdumienia.

- O Konstantynopolu?! - zawołali obaj jednocześnie.

- O Konstantynopolu! - potwierdził Zefirio stanowczym tonem. - W chwili gdy pomyśli się o Konstantynopolu, należy rozpoczynać liczenie od początku!

Don Carlo wyrznął pięścią w stół i ryknął:

- Do diabła!... To chyba jakieś kpiny!... Należy liczyć do dziesięciu tysięcy i nie wiadomo dlaczego nie wolno pracować w ciągu dnia... Wszystko to jeszcze od biedy rozumiem, ale dlaczego nie wolno myśleć o Konstantynopolu? Niech mnie licho porwie, jeśli ja wiem, co to słowo oznacza?.. Słyszę je po raz pierwszy w życiu!

- Konstantynopol jest to stolica Turcji - tłumaczył cierpliwie Zefirio. - Mnóstwo tam alchemików, którzy za pomocą magicznych zaklęć usiłują stworzyć złoto, toteż nie wolno myśleć o tym. mieście, gdyż wpływa to ujemnie na chemiczny skład kamienia filozoficznego!



...

Don Alvarez położył rękę na jego ramieniu.

- W porządku, señor Zefirio - rzekł zimnym tonem. - Spełnimy wszystkie przez ciebie podane warunki, ale biada ci, jeśli się nie uda! ...

- Musi się udać, jeśli tylko nie złamiecie żadnego warunku! - Zefirio zmierzał ku drzwiom. - Tymczasem dobranoc, señores, przyjdę po nowiny nad ranem, ale nie zapomnijcie, proszę, jednego: nie wolno pod żadnym pozorem myśleć o Konstantynopolu!

I zniknął za drzwiami.

## Zjawa w pałacu

Jeden z wartowników pałacowych stał obok swej budki, wsparty o karabin, i sennie kiwał głową. Noc była ciepła i przepojona wonią kwiatów z pałacowego ogrodu.

Jeszcze pół godziny - myślał - po czym Bolata zmieni mnie na warcie. ...

W kilku oknach świeciło się światło.

Senora Anita Cevenna nie śpi jeszcze - rozmyślał sennie wartownik. Piękna to kobieta, dziwi mnie tylko, że wyszła za męża za tego potwora...

Nagle otworzył szeroko oczy. Na balkonie pierwszego piętra ukazała się postać niewieścia otulona jasnym szalem. Była to senora Anita.

Podczas gdy pułkownik zajęty był fabrykowaniem złota w gabinecie gubernatora, piękna Anita nie mogła zasnąć. Wyszła więc na balkon, by odetchnąć świeżym powietrzem. W tym samym czasie pod murem przemknęła wysmukła postać. Z kocią zręcznością wspięła się po murze i po chwili dostała się na balkon.

Donna Anita krzyknęła i cofnęła się przestraszona.

- Kto to? - zawołała.

- Tss, precudna senoro - rozległ się szept nocnego intruza. - To ja, Zorro!... Chciałem pomówić z tobą bez świadków!... - Zorro!... - piękna Anita zadrżała. - Zorro? ...

- Wybacz mi moją śmiałość, senora - mówił zamaskowany gość i postąpił krok naprzód.

Żona pułkownika cofnęła się do swego pokoju i Zorro wszedł w ślad za nią.

A choć piękna kobieta drżała na całym ciele, to jednak z zachwytem obserwowała jego wysmukłą, sprężystą postać, oczy płonące poprzez otwory w masce oraz dwa rzędy śnieżnobiałych zębów lśniących w szerokim uśmiechu.

- Czego chcesz ode mnie, senor? - wyszeptwała. - Nie mam przecież ani złota, ani drogocennych kamieni ...

Zorro roześmiał się wesoło.

- Piękna senoro - odparł - nie przyszedłem zabierać ci czegokolwiek... Zupełnie inny powód sprowadza mnie do ciebie o tak niezwyklej godzinie... Wiem, że jesteś żoną pułkownika Carla Cevenny, który przybył tutaj na specjalne życzenie don Alvareza... Przybył, by gnębić biedaków i nędzarzy, by pogrążyć ich w jeszcze większej nędzy i rozpacz... Otóż zwracam się do ciebie, gdyż wiem, że ty jedna masz wpływ na niego...

- Więc czego żadasz, senor?

- Żądam, byś nie pozwoliła mu popełniać okrucieństw wobec Aragończyków ...

- Nie wtrącam się do spraw mego męża - wyszeptała przyciskając silnie bijące serce. -  
Doprawdy nie znam się na tym!...

- Ale obecnie powinnaś się wtrącać, senora. - Zorro ujął jej drżącą rękę i podniósł do ust. - Sądzę, że nie jest tu potrzebna zbyt wielka umiejętność, by współczuć biedakom i nieszczęśnikom. Liczę więc na ciebie, piękna Anito, nie chciałbym bowiem osobiście wywierać presji na twego małżonka...

Donna Anita nie odczuwała obecnie najmniejszego strachu. Odwrotnie, jakaś tajemnicza siła pociągała ją jak magnes ku niemu.

- Postąpię, jak każeś, senor Zorro - rzekła cichym głosem i zbliżyła się ku niemu. -  
Ale pod jednym warunkiem!...

-Jaki to warunek?

- Że zdejmiesz maskę na chwilę i ukazesz mi swe prawdziwe oblicze... Przysięgam, że pozostanie to moją tajemnicą, którą zachowam do grobu!

Wartownik poznał zwinną postać Zorry. Wiedział jednak, że ani on, ani też jego towarzyszy nie zdołają nigdy schwytać go, jeśli obudzą jego czujność! Dlatego też cicho pobiegł do wejścia i wbiegł na górę, kierując się w stronę gabinetu gubernatora.

Zawahał się, ale jednak zaraz zdecydowanie zapukał do drzwi. Nikt mu nie odpowiadał. Żołnierz widział światło sączące się przez dziurkę od klucza i był przekonany, że don Alvarez znajduje się w swym gabinecie. Schylił się i zajrzał przez dziurkę od klucza. Oczom jego ukazała się dziwna scena. Na biurku stały dwa móździerze. Don Alvarez oraz don Carlo, obaj bez kurtek, mieszały coś zawzięcie, a pot obfity ściekał po ich twarzach.

Wartownik przyłożył ucho do drzwi i usłyszał:

- Sześć tysięcy siedemset trzydzieści cztery, sześć tysięcy siedemset trzydzieści pięć -  
liczył don Alvarez, a don Carlo wtórował.

- Carramba! - ryknął nagle don Alvarez, ciskając tłuczek w najwyższej pasji. - Znów ten przeklęty Konstantynopol... ani rusz nie mogę przestać o nim myśleć... Znów muszę zaczynać liczenie od początku...

Don Carlo jęknął:

- Gubernatorze, po co mi przypomniałeś o Konstantynopolu...

Cała moja praca na nic...

- I pomyśleć, że wczoraj jeszcze nie wiedziałem o istnieniu takiego miasta - pinił się don Alvarez. - Ten przeklęty Zefirio wbił mi klina w głowę...

- I mnie również... Turcja, haremy oraz to miasto nie wychodzą mi po prostu z

głowy...

Zaczęli liczyć od początku.

Wartownik podrapał się w głowę.

- Carramba! - mruknął. - Całkiem powariowali ci obaj! Pchnął drzwi i wpadł jak bomba, wołając:

- Zorro jest w pałacu, gubernatorze!...

Don Alvarez zadrżał, ale nie przestawał liczyć.

- Włazł przez balkon do pokoju senory Cevenny! - wołał dalej żołnierz.

Don Carlo zatrząsł się cały, ale i on również nie przestał ani na chwilę mieszać w mózdzierzu, wymawiając jednocześnie liczby.

Wartownik widząc, że nic tutaj nie wskóra, pobiegł do dyżurnego oficera. Ale i ten również tłukł zapamiętałe w mózdzierzu, wymawiając głośno liczby.

Ta sama scena powtórzyła się u wszystkich oficerów don Alvareza.

Wszyscy poszaleli w ciągu jednej nocy - jęczał biedak. – Czary czy co do licha?

Pobiegł z kolei do sierżanta, który nic nie wiedział o sekrecie kamienia filozoficznego, bo był tego dnia pijany i teraz spał. Lecz na wieść o obecności Zorry w pałacu, zerwał się jak oparzony i przypinając w pośpiechu szablę oraz pistolet, pognął do wartowni. Ogłoszono alarm: Sześćdziesięciu żołnierzy otoczyło pałac, zachowując największą ostrożność. Ale sierżant zbyt dobrze wiedział, kto to jest Zorro, by miał się tym zadowolić. Posłał więc gońca do pobliskich koszar. Niebawem przybyły posiłki w liczbie trzystu żołnierzy. Zapalono kilkadziesiąt pochodni. Obecnie pałac zdawał się być otoczony płomiennym kołem.

Kilku odważniejszych żołnierzy zaczęło wspinać się na balkon, podczas gdy inni pobiegli w stronę wejścia do apartamentów senory Anity. Ale Zorry nie było w jej pokoju. Opuścił go udając się prosto do skarbcza gubernatora. Co chwila przystawał po drodze i nadsluchiwał pod drzwiami.

- Trzy tysiące pięćset dwa... trzy tysiące pięćset trzy... Carramba, ten przeklęty Konstantynopol! - dolatywały go różne głosy.

- Robią złoto - wyszeptał uśmiechając się wśród ciemności. - Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak uczynić to samo!...

Wślizgnął się do pokoju, gdzie znajdowała się pancerna kasa don Alvareza. Wyjął klucze i zaczął manipulować przy zamku. Nagle na korytarzu rozległy się podniecone głosy oraz tupot biegnących ludzi.

- Czyżby piękna Anita zdradziła mnie? - zdziwił się Zorro. - Nie, ona na pewno mnie nie zdradzi... Jeden z wartowników musiał mnie dostrzec!...

Otworzył drzwi kasy i po omacku odnalazł ciężką szkatułkę.

- Mam skarb pocziwego don Alvareza! - zawołał półgłosem. - Teraz może mnie ścigać choćby cała armia królowej!...

Podbiegł do okna, ale cofnął się na widok migotliwego światła pochodni.

- Regularne oblężenie! - śmiał się. - Zmobilizowano chyba z pół tysiąca ludzi dla mej skromnej osoby... Sądzę, że nawet mysz nie zdołałaby się wymknąć...

Pałac był otoczony wojskiem, a oficerowie pałacowi oraz żandarmi przebiegali sale i korytarze we wszystkich kierunkach.

Od pochodni i latarni zrobiło się jasno jak w biały dzień. - Nie ma. go tutaj! - rozlegały się okrzyki w sąsiednich salach. - Szukajcie dalej!...

- Trzymajcie pistolety i szpady w pogotowiu! - nawoływali oficerowie - Strzelać, gdy tylko go ujrzyjecie!...

Zorro skoczył ku drzwiom wychodzącym na korytarz. Ale i tutaj byli żołnierze. Cofnął się więc i w kilku susach dopadł do drzwi z lewej strony sali. Lecz i za tymi drzwiami rozlegały się podniecone głosy jego prześladowców. Zrozumiał, że wpadł w potrzask. Gdyby nie zapalone pochodnie, otaczające zewsząd pałac morzem światła, z łatwością by się wymknął, korzystając z nocnych ciemności. Cóż jednak mógł działać przeciwko setkom gotowych do strzału strzelb i pistoletów oraz przeciwko dziesiątkom szabel wzniesionych do ciosu? A jednak pomimo śmiertelnego niebezpieczeństwa Zorro nie przestawał się śmiać. Podobała mu się mimo wszystko ta niebezpieczna sytuacja, w jakiej znalazł się po raz pierwszy w życiu. Dostarczała mu sporo emocji. Był gotów podjąć walkę sam jeden przeciwko tym setkom uzbrojonych ludzi. .

Pancerna kasa don Alvareza znajdowała się w wielkiej sali. Zorro uniósł głowę i dostrzegł w górze rzeźbioną galeryjkę biegnącą wzdłuż ścian. Tak, ale w jaki sposób tam się dostać? Ciężka szkatuła była mu zawadą; Nie miał jednak zamiaru jej się pozbywać.

Galeryjka spoczywała na wysmukłych kolumnkach. Zorro jednym skokiem dopadł kolumny i zaczął się wspinać. Było to trudne niezmiernie, ponieważ w jednej ręce trzymał ciężką szkatułkę. Na szczęście drewniana kolumnka nie była gładka, lecz misternie rzeźbiona, na sposób mauretański, w różne esy i floresy. To ułatwiło mu wspinanie się. Niebawem stał na galeryjce. Był już najwyższy czas, gdyż wszystkie drzwi otworzyły się i do sali wdarł się tłum uzbrojonych ludzi. Zrobiło się jasno od niesionych latarni i pochodni.

- Skarbiec otwarty! - ryknął jeden z żandarmów. - Zorro był tutaj przed chwilą!

- Szukajcie go! - rozległ się okrzyk jednego z oficerów. - Musi być tutaj!...

Ledwie wypowiedział te słowa, gdy nagle w górze rozległ się dźwięczny, młodzieńczy

śmiej. Wszystkie głowy, jakby pociągnięte niewidzialnym sznurkiem, uniosły się w górę. Zorro stał oparty niedbale o rzeźbioną barierę galeryjki i śmiał się beztrosko.

- Jestem tutaj! - zawołał. - Chwytajcie mnie, jeśli potraficie. ...

Kilkanaście łuf uniosło się w górę. Zanim jednak zagrzmiały wystrzały, Zorro cofnął się, przebiegł kilka kroków i zatrzymał się przed niewielkimi drzwiami. Były zamknięte na klucz.

- Strzelajcie! - rozległ się rozkaz. - A celujcie dobrze!... Nie ujdzie nam teraz!...

Rozległy się wystrzały. Ale żołnierze byli silnie podnieceni, a bariera, przesłaniając częściowo postać człowieka w masce, utrudniała im celowanie, tak więc ani jedna kula nie trafiła.

A tymczasem Zorro nie próżnował... Z całej siły wyrznął ciężką szkatułą w drzwi, posługując się nią jak taranem. Drzwi ustąpiły. Jednym susem znalazł się w wąskim korytarzu. Lecz z lewej strony pędzili już ludzie. Pobiegł więc na prawo. Nie uszedł jednak daleko, gdyż u wylotu korytarza z prawej strony również ukazali się żołnierze z pistoletami i szablami. Wzięty w dwa ognie zatrzymał się przed drugimi drzwiami na korytarzu i powtórzył tę samą operację. Trzasnął z całych sił stalową szkatułą. Rozległ się trask łamanego drewna. Przejście było wolne. Zorro znalazł się w ciemnym, podłużnym pokoju. Przebiegł przezeń, zmierzając w stronę przeciwnych drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Otworzył je i wypadł na galeryjkę biegnącą dookoła jasno oświetlonej sali. Przechylił się przez barierę i ujrzał dwóch ludzi na dole. Stali przy wielkim biurku i zawzięcie mieszały w mózdzierzach. Byli to gubernator don Alvarez oraz pułkownik don Carlo Cevenna.

- Trzysta sześćdziesiąt dwa - mamrotał don Alvarez, ledwie trzymając się na nogach. - Carramba, nie tak łatwo robić złoto... Trzysta sześćdziesiąt trzy...

- Dwa tysiące sto dwanaście - liczył przy swoim mózdzierzu don Carlo, a pot strugami spływał po jego twarzy. - Dwa tysiące sto trzynaście...

- Dwa tysiące sto czternaście... - zawołał Zorro. - Dwa tysiące sto piętnaście... Pozwól, poczywi mój pułkownik, że pomogę, ci w liczeniu!...

Dwie pary błędnych oczu spojrzały w górę na niego. Zorro nie miał jednak czasu do stracenia. Tuż za nim rozlegał się tupot biegnących ludzi. Spojrzał na dół. Z galeryjki zwieszała się ciężka, długa draperia. Decyzja jego była szybka jak piorun. Przełożył nogę przez barierę, następnie wyciągnął zza pasa szeroki nóż, wbił go w draperię i skoczył. Zawisł w powietrzu, trzymając się lewą ręką noża wbitego w draperię. Ostrze pod naciskiem ciężaru ciała zaczęło pruć grubą materię. I w ten sposób, rozcinając ją od góry do dołu, Zorro najspokojniej w świecie zjechał na dół. Gubernator pozieleniał i zatrzęsł się cały, don Carlo

wpił w zamaskowanego intruza straszliwe swe spojrzenie, lecz żądza złota była ponad strach i obowiązek.

- Trzysta osiemdziesiąt pięć - wymawiał ochryplym głosem don Alvarez.

- Trzysta osiemdziesiąt sześć - pomógł mu usłuźnie Zorro. - A teraz, dzielny mój gubernatorze, weź, proszę cię, w rękę moździerz, gdyż odbędziesz wraz ze mną wędrówkę poprzez zastępy wrogów! - Chwycił go za kołnierz. Zgrzytając zębami don Alvarez ujął moździerz, nie przestając mamrotać liczb. - A ty pułkowniku - zwrócił się do Carla Cevenny - będziesz osłaniał moje tyły... Prędeż, śpiesz się, jeśli nie chcesz, bym ci wpakował pół stopy stali pod piątę żebro!...

Skutek tych słów był zdumiewający. Straszliwe oczy don Carla miały pioruny gniewu; pomimo to ujął swój moździerz i nie przestając mieszać, posłusznie stanął obok Zorry.

I w ten sposób rozpoczął się najdziwniejszy w świecie pochód. Człowiek w masce szedł pomiędzy dwoma dygnitarzami nie przestającymi mieszać w moździerzach. A dookoła uzbrojeni ludzie w uniformach miotali się w paroksyzmie wściekłości. Mieli przed sobą znieawidzonego Zorrę, a nie mogli doń strzelać w obawie, że trafią w don Alvareza, który kroczył przed Zorrrą, albo w don Carla, idącego tuż za nim. A Zorro szedł śmiejąc się głośno, w prawej ręce trzymał ciężką, stalo.wą szkatułę, a w lewej ostry, błyszczący nóż.

- Jeśli ktokolwiek zbliży się do mnie - mówił - wyda tym samym wyrok śmierci na gubernatora o..

Mijali właśnie apartamenty przeznaczone dla don Carla. Piękna Anita stała w otwartych drzwiach i okrągłymi ze zdumienia oczami spoglądała na ten fantastyczny orszak rozwijający się przed nią. Ujrzała gubernatora oraz swego męża, białych, znużonych, o przekrzywionych strachem i wściekłością twarzach, kroczących środkiem korytarza, z moździerzami w rękach. Ujrzała również tajemniczego Zorrę, kroczącego pomiędzy nimi, z wesołym uśmiechem na ustach.. A za nimi postępował, w przyzwoitej odległości, tłum pieniających się żandarmów i strażników pałacowych.

Mijając pułkownikową, Zorro skierował w jej stronę oczy, błyszczące poprzez otwory w masce, i zawołał:

- Adios, senora Anita!... Opuszczam cię z prawdziwym żalem, lecz jeśli chcesz mnie jeszcze zobaczyć, to przyjdź w najbliższą niedzielę na główny plac Saragossy... Przynies z sobą kastaniety, gdyż zatańczymy fandango... I wierz mi, że będzie to najbardziej płomienne fandango, jakie kiedykolwiek w życiu tańczyłaś! ...

Donna Anita nie ruszyła się z miejsca. Zorro dawno już oddalił się wraz ze swoją

dziwną świtą, a ona stała wciąż jak zaczarowana. Niebawem do uszu jej doszedł donośny okrzyk Zorry, który szczęśliwie przebył potrójny kordon żołnierzy otaczających pałac..

- Żegnajcie, drodzy moi przyjaciele! - wołał znikając w ciemnościach nocy. - Niestety, muszę już was opuścić. Gdybyście chcieli jednak mnie odnaleźć, to chyba tylko w ... Konstantynopolu!...

- Carramba! - rozległ się w odpowiedzi podwójny ryk wściekłości. -Przeklęty Konstantynopol... Musimy znów rozpocząć liczenie od początku!



## Katusze zazdrośnika

W drugą niedzielę lipca przypadała trzydziesta trzecia rocznica panowania królowej Izabelli, a jednocześnie trzydziesta szósta rocznica jej urodzin. Podwójną tę uroczystość rząd postanowił obchodzić w całej Hiszpanii z niebywałym rozmachem.

Wielkorządcy poszczególnych prowincji otrzymali polecenie przyozdobienia miast girlandami. Poza tym włożono na nich obowiązek dostarczenia bezpłatnie wina dla ludzi. Rozkaz brzmiał wyraźnie: "Nie żałować napojów - wino powinno lać się strumieniami. Beczki z winem mają być ustawione na placach i skrzyżowaniach ulic, ale przy każdej beczce musi być strażnik, który będzie pilnować, by mieszkańcy nie zabierali wina do domu, lecz pili na miejscu".

Don Alvarez przyjął ten rozkaz ze ściśniętym sercem, ponieważ wszelkie koszty uroczystości musieli pokrywać wielkorządcy z własnej kieszeni.

Zorro zabrał mu owej pamiętnej nocy sporo złota, co stanowiło dlań dotkliwą stratę; sfabrykowanie sztucznego złota nie udało się, ale don Alvarez nie miał o to pretensji do Zefiria, gdyż sam ponosił całkowitą winę, nie mógł bowiem pozbyć się natrętnej myśli o Konstantynopolu, podczas gdy ucierał substancję w mózdzierzu. A teraz jeszcze należało dostarczyć wina hałastrze, którą chętnie powywieszałby co do ostatniego, gdyby nie potrzebni mu byli płatnicy podatków.

Uroczystość zapowiadała się okazale. Co prawda lud nie lubił królowej ani jej ministrów, natomiast lubił wino, szczególnie bezpłatne.

W niedzielę, z samego rana, zaczęli się zjeżdżać do Saragossy okoliczni mieszkańcy, na osłach, koniach, mułach i na wozach. Nie brakowało również Zefiria, Porfiria i Malibrana, którzy czuli się wśród rozbawionego tłumu jak ryby w wodzie.

Żadna uroczystość hiszpańska nie może się obejść bez tańców. Toteż na ulicach i placach potworzyły się koła, jakby spod ziemi wyrosli gitarzyści oraz zjawiły się kastaniety w rączkach czarnookich seniorit. Tańczono z zapalem ogniste bolero, zawrotne fandango oraz inne nie mniej porywające ludowe tańce hiszpańskie.

A tymczasem w koszarach garnizonu Saragossy odbywały się gorączkowe przygotowania. Żołnierze i żandarmi sprawdzali broń. Don Alvarez wydawał śpieszne rozkazy, a don Carlo grupował żołnierzy i małymi oddziałami wysyłał ich na miasto.

Miało się odbyć polowanie na Zorrę; spodziewano się bowiem, że zgodnie z jego zapowiedzią zjawi się na rynku, by zatańczyć fandango z donną Anitą.

Wreszcie przygotowania zostały ukończone i don Carlo pośpieszył do swej żony. Nie zastał jej jednak w domu. Udała się na umówione spotkanie z Zorzą - przemknęło mu przez głowę!

Pogalopował z powrotem do koszar.

- Ona już tam jest! - zawołał zwracając się do don Alvareza. - Tylko patrzeć, jak Zorro zjawi się również!...

- Naprzód więc! - wrzasnął gubernator. - Tym razem musimy go zdybać! ...

Zastano piękną Anitę na głównym placu. Tańczyła bolero z Zefirio, który - wpatrzony w nią czule - potykał się co chwila, deptał jej po nogach i w ogóle jako tancerz nie spisywał się dobrze. Toteż dookoła rozlegały się wybuchy głośnego śmiechu. Raz po raz jakiś tancerz poklepywał go po ramieniu, wołając:

- Brawo, Zefirio!...

- Staraj się, chłopczel!...

- Naucz nas tańczyć równie pięknie, przyjacielu!...

Zefirio uśmiechał się z zadowoleniem, kłaniał się wdzięcznie swym admiratorom i pragnąc się popisać, ze zwiększonym zapałem podwajał swe dzikie skoki.

- Czy nie dosyć tej zabawy? - zapytała wreszcie Anita. - Doprawdy jestem śmiertelnie znużona! ...

- O, cudna senoro... - zaczął Zefirio, ale urwał nagle, poczuł bowiem na swym ramieniu czyjąś ciężką dłoń.

Obejrzał się i odskoczył jak oparzony. Przed nim stał mężczyzna w masce, głowę miał owiniętą czarną chustą. - Ja zatańczę z senorą - oświadczył głuchym głosem. - Zmiataj stąd, senor!...

Śmiechy umilkły. Tańczące pary zatrzymały się.

- Zorro! ... Zorro! - rozległy się szept. - Zorro się zjawił!... Senora Anita drżała na całym ciele. W głowie jej się kręciło.

Podła rękę zamaskowanemu mężczyźnie. Gitarzyści uderzyli w struny, zaterkotały w takt kastaniety; fandango się rozpoczęło. A gdy przestraszony Zefirio wycofał się przezornie z tłumu, don Carlo dał znak swym ludziom.

- Senora Anita znajduje widocznie przyjemność tańcząc z tym bandytą - oświadczył zjadliwie don Alvarez. - I niech mnie kartacze rozniosą, jeśli on pozwoli się schwytać... Znam jego piekielne zamiary!...

- Naprzód! - wrzasnął don Carlo. - Brać go!...

Żołnierze rzucili się naprzód jak jeden mąż. Kilkanaście par rąk uczepiło się

człowieka w masce.

- Mamy go! - zagrział don Carlo z dzikim triumfem. - Zerwać mu maskę! ...

Zdarto maskę z twarzy schwytanego. Ukazała się tępa, płaska twarz wieśniaka.

- Toż to jest La Huerta, woziwoda! - rozległy się okrzyki widzów. - Cha, cha, cha, ładny z niego Zorro!...

Piana wystąpiła na ustach don Alvarza.

- Nędzniku! - wrzasnął przyskakując doń z zaciśniętymi pięściami. - Będziesz dyndał u mnie na szubienicy... Co za głupie żarty trzymają się ciebie?

Woziwoda padł na kolana i wyciągając błagalnie ręce, zawołał płaczliwym głosem:

- Litości, senor!... Przysięgam, że jestem niewinny... Zorro schwytał mnie na drodze i kazał udawać siebie... Bałem się, że utnie mi głowę, jeśli nie wykonam jego rozkazu...

- Zabrać go do twierdzy - rozkazał don Carlo. - Zobaczymy, czy mówi prawdę!... - Cicho zaś dodał, zwracając się do gubernatora: - Możliwe, że jest to podstęp Zorry, by uspić naszą czujność!... Anito - rzekł do swej żony - proszę cię, nie psuj sobie zabawy... Zorro został schwyty, wobec tego możesz nadal bawić się spokojnie, podczas gdy ja będę czuwać nad twoim bezpieczeństwem.

Cofnął się nieco, mieszając się z tłumem, by nie być widziany.

Podobnie uczynił don Alvarez okrążony swymi żołnierzami.

Donna Anita była w okropnym humorze. Incydent z fałszywym Zorram zgasił całą jej radość. Zakpił sobie ze mnie! - pomyślała z goryczą.

Zbliżył się do niej gruby Malibran i zaprosił do tańca. Ledwie jednak wykonali kilka kroków, gdy serce jej zaczęło bić gwałtownie w piersi, ujrzała bowiem człowieka w masce, przedzierającego się przez tłum w jej stronę... Ubrany był nieco inaczej niż jego poprzednik, ale czarna maska zasłaniała górną połowę twarzy, a czarna chusta otulała głowę.

Don Alvarez chwycił rękę don Carla i ścisnął ją mocno.

- Ten to na pewno Zorro! - wyszeptał. - Pułkowniku, uważaj!

Człowiek w masce odepchnął bezceremonialnie Malibrana i objął wpół senorę Anitę. W tej samej sekundzie na dany rozkaz żołnierze rzucili się nań, schwyтали go za ręce i nogi, wyrócili wspólnym wysiłkiem na ziemię i zdarli maskę...

- Cha, cha, cha! - rozległy się wybuchy śmiechu. - Toż to jest Pablo Lajardo, oberżysta z Leridy!...

- Sangre de Dios! - zawył don Carlo. - Zorro zakpił z nas powtórnie! ... Do twierdzy!...

- Jestem niewinny - jęczał biedny oberżysta. - Przysięgam, że jestem niewinny. Zorro schwytał mnie na drodze i...

Ale żołnierze powlekli go z sobą i dalsze jego słowa zginęły w ogólnym tumulcie.

- Chodźmy stąd - rzekł posepnie don Alvarez. - Nic tu po nas!... Zorro jest zbyt sprytny, by przybyć tutaj osobiście!...

- Chodźmy do domu, Anito - rzekł don Carlo, dygocąc z hamowanej wściekłości. - Ten przeklęty rabuś popsuł ci, jak widzę, całą zabawę!...

Na ulicy przylegającej do pałacu również było pełno ludzi. Anita szła przodem. Nagle ktoś chwycił ją za rękę. Obok niej wyłonił się mężczyzna w masce, który rzekł krótko:

- Zatańczmy fandango, piękna senoro!...

Ale żona pułkownika miała już dość tej zabawy. Wyrwała swoją rękę i zawołała gniewnie:

- Zostaw mnie w spokoju, senor! Już na sam widok maski dostaję mdłości!

W tej samej sekundzie don Carlo, rycząc jak zraniony tygrys, podbiegł doń i zerwał mu maskę z twarzy. Spojrzały nań wylęknione oczy ospowatego mężczyzny, który nie miał w sobie nic z bandyty.

- :Do twierdzy z nim! - krzyknął don Carlo, zwracając się do swych ludzi. - Ja was wszystkich nauczę, wy kiepscy żartownisie...

Donna Anita biegła naprzód, jakby ją goniło sto diabłów, a don Carlo oraz don Alvarez ledwie mogli nadążyć za nią.

Następny zamaskowany mężczyzna, który ją zaczepił, otrzymał siarczysty policzek i od razu powędrował do celi, pod eskortą sześciu żołnierzy.

Obecnie wojskowa eskorta zmalała do niewielkiej liczby ludzi.

- Nienawidzę go, nienawidzę - szeptała rozgoryczona niewiasta, podążając w stronę pałacu.

Mijała niewielki plac. I tutaj również wino lało się strumieniami, rozlegały się dźwięki gitar i kastanietów, a ludzie tańczyli. Była koło rusztowań nowo budującego się domu, gdy wtem coś czarnego mignęło przed nią w powietrzu. Z góry zwieszała się gruba lina służąca zazwyczaj murarzom do wciągania cegieł i wapna na górę. Wysmukła postać w czarnym, obcisłym ubiorze zsunęła się po niej i stanęła przed pułkownikową..

- Hola, donna Anita! - zawołał zamaskowany, ukazując śnieżnobiałe zęby w szerokim uśmiechu. - Wybacz mi, proszę, że tak długo kazałem ci czekać na siebie... Nie mogłem jednak postąpić inaczej, bowiem towarzyszyło ci zbyt wielu uzbrojonych wojowników... Pocięsam się jednak myślą, że nie chcąc byś się nudziła, posłałem ci tymczasem kilku swych zastępców!...

Piękna Anita zadrżała. Obecnie nie miała najmniejszej wątpliwości, że tym razem stał

przed nią prawdziwy Zorro.

- Czy gniewasz się, o piękna Anito? - Zorro ujął jej drżącą rękę i wciągnął ją pomiędzy tańczące pary. .

- Nie, nie gniewam się - wyszeptała - ale błagam cię, uciekaj, gdyż mój mąż oraz don Alvare- podążają za mną!...

- Wiem o tym! - odparł Zorro. - Ale bądź spokojna, nic złego mi się nie stanie!....

Zaczęli tańczyć fandango. A choć piękna Anita tańczyła je setki razy, to jednak nigdy jeszcze nie odczuwała takiej rozkoszy w tańcu.

- Cudnie tańczysz, Zorro! - wyszeptała przytykając oczy. - W głowie mi się kręci... Jestem pijana. A przecież nie piłam...

- To fandango upaja cię, senora! - rzekł Zorro.

Wtem nad uchem Zorry rozległ się gniewny okrzyk:

- Do twierdzy jego również! - wołał don Carlo. - Już ja cię nauczę udawać Zorrę, ty głupi błaznie! ...

I jego chude, zakrzywione jak szpony palce, sięgnęły po maskę, by ją zedrzeć... Nie zdążył jednak dokonać tego, w tej samej bowiem sekundzie żalazna dłoń wpiła się w przegub jego ręki, wykręciła ją i odepchnęła z taką siłą, że pułkownik wyrznął głową o pierś don Alvareza, po czym don Carlo padł ogłuszony. Obaj zatoczyli się jak pijani.

- Żołnierze, do mnie ... do mnie!... - wył gubernator. - Prędko, do tysiąca piorunów!... Chwytać go... łapać!...

Żołnierze pędzili na pomoc. Wystraszony tłum rozproszył się. Muzykanci nie zdążyli jednak uciec tak szybko. W chwili gdy jeden z nich przebiegał obok Zorry, ten wydarł mu gitarę z ręki i rąbnął nią w głowę Alvareza. Dzielny dygnitarz zamilkł wreszcie i miękko usiadł na ziemi, z trudem chwyając oddech.

- Senora - zwrócił się Zorro do swej uroczej partnerki - nie dokończyliśmy naszego fandanga!...

- I wątpię czy dokończymy - odpowiedziała Anita, wskazując nadbiegających żołnierzy. - Sądzę, że oni nam nie pozwolą...

- To zależy tylko od ciebie, senoroL..

- Chciałabym - uśmiechnęła się rozbawiona - choćby przez wzgląd na mego czcigodnego małżonka... O patrz, już podnosi się.

Rzeczywiście, don Carlo oszołomiony na chwilę, podnosił się z trudem.

- Nic nie szkodzi, senora! - odparł Zorro beztróska, nie racząc nawet rzucić okiem w stronę nadbiegających żołnierzy. - Jeśli tylko życzysz sobie, damy jakoś radę!...

- Jestem ciekawa!...

- To proste, lecz musisz udawać zemdloną!...

- Dobrze! - zgodziła się ochoczo, po czym jak najwytrawniejsza aktorka wydała przeraźliwy okrzyk, zatrzepotała rękami w powietrzu i zachwiała się, bliska upadku.

Zorro chwycił ją wpół, zarzucił jak piórko na ramię i w kilku susach dopadł rusztowania budującego się domu. Dalszy ciąg był dlań fraszką. Zaczął wspinać się zwinnie w górę, tuż przed nosem uzbrojonych ludzi don Alvarosa.

Gubernator widząc, że zdobycz wymyka mu się chyba po raz setny, odchodził po prostu od zmysłów.

- Strzelajcie do niego! - wrzasnął purpurowy z gniewu. - Na co czekacie, tchórze, nędznicy?

Wołania te podziały na don Carla jak iskra w beczce prochu. Ryknął jak zraniony lew i skoczył ku żołnierzom, którzy brali na cel pnącą się po rusztowaniu zwinną postać Zorrego.

- Łotry, kanalie! - pinił się. - Temu, kto pierwszy wystrzeli, łeb roztrzaskam!... Chcicie zastrzelić moją żonę?.. Ja was tu zaraz wszystkich powystrzelam jak kaczki! ...

- Rozkaz gubernatora! - mruknął jeden z żołnierzy, podczas gdy inni spoglądali nań niezdecydowanie.

- Rozkaz gubernatora? - don Carlo nie panował już nad sobą. - Taki gubernator, co dybie na życie mojej żony, niech mnie ...

- Pułkowniku! - don Alvarez był błądzący z wściekłości. - Uważaj na swoje słowa! ... Nie zapominaj, że wypowiadasz je w obecności żołnierzy...

Ale don Carlo był już przy rusztowaniu i zaczął wspinać się z istic małpią zręcznością. Wściekłość i zazdrość dodawały mu nadludzkiej niemal siły. Tam na górze Zorro uprowadzał jego uroczą Anitę... Gdyby w tej chwili don Carlo dopadł go, czuł, że rozszarpałby bezczelnego uwodziciela na drobne kawałki.

Ale z każdą sekundą krwiożercze zamiary stawały się coraz bardziej niewykonalne.

Zorro znikł we wnętrzu domu.

- Otoczyć dom! - krzyknął don Alvarez.

Nie było to jednak takie łatwe, albowiem nowo budujące się domostwo sąsiadowało z szeregiem innych domów.

W ślad za don Carlem pięli się inni żołnierze.

Gdy dotarli do miejsca, gdzie znikł Zorro, ujrzeli nagie mury związane pośrodku belkami. Belki te biegingy od muru do przeciwległego muru. Miały służyć jako wiązadło do

przyszłego dachu.

Zorro szedł po wąskiej belce ze swym ciężarem na ramieniu. Szedł spokojnie, jak gdyby poruszał się po ziemi, zachowując niezachwianą równowagę.

- Łotrze! - krzyczał don Carlo, zatrzymując się przed belką. - Wróc natychmiast... Runiesz i zabijesz moją żonę!...

Zorro docierał już do przeciwległego muru.

- Jeśli zależy ci tak bardzo na niej, więc przyjdź po nią tutaj! - zawołał w odpowiedzi.

Don Carlo postawił nogę na wąskiej belce. Spojrzał jednak w dół i czym prędzej cofnął nogę, w głowie mu się zakręciło.

Zorro dostał się na szczyt muru.

- Zwrócę ci donnę Anitę, jeśli mi przyrzekniesz, że natychmiast powrócisz do Madrytu i zapomnisz na zawsze o Aragonii!...

- Nigdy, przenigdy! - wrzasnął don Carlo. - Wolę już zostać wdowcem! ...

Anita poruszyła się i otworzyła oczy.

- Ach, to niegodziwiec! - szepnęła oburzona. - Czekaj, drogi Carlo, już ja ci się odplacę!... Wdowcem jak wdowcem, ale rogi to już będziesz miał na pewno, mój ty kochający małżonku!...

## Wizyta ministra

Wiść o uprowadzeniu żony don Carla rozniosła się po Aragonii lotem błyskawicy. Zwolennicy Zorry śmieli się po cichu, a jego przeciwnicy głośno się oburzali.,

Don Carlo szalał. Na czele silnego oddziału przebiegał okolicę we wszystkich kierunkach. Więzienia zaczęły się zapełniać. Nie mogąc wyładować swej wściekłości na tajemniczym rabusiu, mścił się na bezbronnych biedakach. Najmniejsza denuncjacja lub rzucona potwarz o współnictwo lub sprzyjanie jeźdźcy w masce wystarczały, by don Carlo potłukł dotkliwie Bogu ducha winnego człowieka i wtrącił go do więzienia.

A tymczasem po uroczej Anicie wszelki ślad zaginął. Opowiadano sobie na ucho, że w dniu porwania Zorro wy dostał się z nie wykończonego domu na sąsiednie dachy kamienic, przy czym sunął po nich prędzej niż żołnierze ścigający go ulicami miasta. Opowiadano również, iż w jednej z cichych, bezludnych uliczek miał przygotowanego konia. Zdążył go dopaść i smagając wszystkich po drodze swym straszliwym biczem z bawolej skóry, bezkarnie opuścił miasto, po czym znikł wśród skał.

Odtąd wszelki ślad po nim zaginął.

Don Carlo poprzysiął mu straszliwą zemstę, lecz tymczasem mścił się na Aragończykach.

Tak się rzeczy miały, gdy don Alvarez otrzymał wiadomość, że sam wszechwładny minister królowej, don Alonzo Estebarra przybywa do Saragossy.

Gubernator postanowił godnie przyjąć dostojnika, choć niezbyt był zadowolony z tej wizyty. Domyślał się jej przyczyny, toteż pierwszą jego czynnością było uporządkowanie skarbcza. Usunął wszelkie kompromitujące ślady nadużyć, spalił kwity, pochował te księgi rachunkowe, które mogłyby go zdradzić, potem wydał polecenie, by reprezentacyjny teatr Saragossy wystawił na cześć dostojnika jakąś piękną operę.

Dyrekcja teatru umieściła na afiszu operę Rossiniego, przyozdobiła sufit widowni olbrzymimi girlandami i festonami, po czym spokojnie oczekiwała wizyty ministra.

Don Alonzo przybył otoczony liczną świtą. Cała śmietanka Aragonii wyległa mu naprzeciw. Płatni manifestanci ustawili się wzdłuż przyozdobionych ulic, wznosząc gromkie okrzyki na jego cześć.

Świetny orszak zatrzymał się przed rezydencją gubernatora i don Alonzo wysiadł z karety.

Gdy minister wszedł do pałacu, spojrzenie jego zatrzymało się na ponurej twarzy don



Carla, który skłonił się nisko przed nim.

Don Alonzo poklepał go łaskawie po ramieniu.

- No i cóż, mój dzielny pułkowniku - zapytał ze współczuciem. - Żona się odnalazła?

- Nie! - mruknął don Carlo i westchnął.

- Żał mi ciebie, przyjacielu! ... Czyż nie masz żadnej nadziei, że ją odnajdziesz?

Don Carlo zacisnął pięści.

- Ach, zemsta... zemsta, senior! - warknął. - Ta jedyna nadzieja mi pozostała!...

Minister pokiwał głową.

- To mało - odparł ujmując go pod rękę. - Chodź ze mną, senior, może coś poradzimy!

Po chwili wszyscy trzej, czyli don Alonzo, don Carlo oraz don Alvarez prowadzili ożywioną rozmowę.

- Rozgłosisz, że wraz ze mną zamierzasz opuścić Aragonię - mówił minister. - Nikt nie powinien wiedzieć, mój biedny pułkowniku, że nie masz bynajmniej tego zamiaru...

- Rozumiem! Chodzi z pewnością o to, by Zorro dowiedział się i zwrócił mi Anitę, tak jak przyrzekł!...

- Właśnie!... Będzie to podstęp... I kto wie, może donna Anita wskaże nam kryjówkę tego opryszka!...

Gubernator don Alvarez pokiwał sceptycznie głową i rzekł jedno tylko słowo:

- Wątpię!...

- W co wątpisz, gubernatorze? - zapytał don Alonzo.

- Wątpię, czy donna Anita zechce zdradzić Zorrę!...

Słowa te podziały jak roztopiony ołów na rany serca don Carla. Zgrzytnął zębami, a srogie źrenice ciskały pioruny gniewu. Nie ośmielił się jednak zadzierać z okrutnym don Alvarezem.

Tegoż samego dnia rozniosła się lotem ptaka wieść, że don Carlo zamierza opuścić Saragossę. Skutek tej wieści był wprost magiczny. Uroczystość powitalna na cześć don Alonza zamieniła się w radosne święto z okazji bliskiego odjazdu don Carla Cevenny.

Obecnie lud wiwatował zupełnie szczerze.

- Niech żyje don Alonzo! - wiwatowały tłumy przed pałacem. - Niech żyje ten, który zabiera nam pułkownika żandarmerii! - dodawali ciszej manifestanci, albowiem przez krótki czas swego pobytu don Carlo zdążył już porządnie zalać ludziom sadła za skórę.

Don Alonzo wyszedł na balkon, uśmiechając się uprzejmie i kłaniając się na wszystkie strony.

- Poczciwy ludek Saragossy! - oświadczył zadowolony, cofając się do salonu. -

Widziałem niekłamana radość na ich twarzach!... .

- Nie miałbym nic przeciwko nim - odparł przebiegle don Alvarez - gdyby płacili podatki bez oporu!...

Minister rzucił nań szybkie, świdrujące spojrzenie.

- Właśnie w sprawie tych podatków przyjechałem - rzekł suchym tonem. - Słyszałem, że nie jest znów tak źle jak mówisz, drogi don Alvarezie.

- Pozwolisz, ekscelencjo - przerwał mu śpiesznie gubernator. - Pozwolisz, jeśli łaska, że pomówimy o tym nazajutrz po przedstawieniu. Sądzę bowiem, że obecnie zbyt jesteś znużony podróżą! ...

- Dobrze! - zgodził się don Alonzo. - Pomówimy o tym jutro!

## Tajemnica zasłoniętej łoży

Teatr oświetlony był a giorno. Po obu stronach wejścia stali przybrani paradnie żandarmi oraz policja.

Arystokracja tudzież cała śmietanka Saragossy zaczęła się już zjeżdżać. Długi sznur luksusowych powozów zatarasował ulicę. Między innymi przybyła kurzem okryta dziwna karoca. Na koźle siedział gruby młodzieniec, który wywijał batem. A gdy karetka zatrzymała się przed teatrem, młodzieniec ten nachylił się do okienka i zawołał:

- Hej, Zefirio i Porfirio, jesteśmy na miejscu, śpieszcie się, bo przedstawienie zaraz się rozpocznie!

Odpowiedziało mu potężne ziewnięcie. Zefirio wychylił głowę, rozejrzał się dookoła sennym wzrokiem i gwizdnął z podziwem:

- Fiu, a to się zebrało tutaj tych nosicieli pałaszy! Pilnują, jak widzę, drogocennej osoby ministra! ... Carramba, nawet mała pchełka nie przemknęłaby się bez kontroli...

- Dobrze, że mam bilety przy sobie - odezwał się z kozła gruby Malibran. - Zdobyłem je z wielkim trudem...

- Dosyć! - przeciął ostry głos Porfiria. - Grubasku, nie chwal się!... Każdy na twym miejscu dostałby te bilety...

- A nieprawda! - zaperzył się Malibran. - Nigdy! Bilety do łoży znajdującej się akurat naprzeciw łoży ministra... M usiałem wyłożyć dyrektorowi na talerz, że jestem nieodrodnym synem mego ojca, przy czym skłamałem, że były gubernator Majorki przybędzie osobiście do jego wstrętnej budy.

W czasie gdy dwaj, przyjaciele sprzeczali się przed teatrem, don Alonzo siedział w reprezentacyjnej łoży i kłaniał się wiwatującej na jego cześć publiczności. A publiczność na ten wieczór była dobierana z niezwykłą starannością przez samego gubernatora.

Wszystkie łoża były już zajęte prócz jednej na pierwszym piętrze, która pozostawała przesłonięta purpurową kotarą, co oznaczało, że wewnątrz nikogo nie ma.

- Kto zajmuje tę łożę naprzeciw mnie? - zapytał don Alonzo. - Zaraz się dowiem! - odpowiedział don -arlo i udał się do dyrektora teatru.

Niebawem powrócił oznajmiając:

- Łożę naprzeciwko wykupił Hektor Mondevi de Malibran!...

- Jak to? - zdziwił się minister. - Były gubernator Majorki znajduje się w Saragossie, a ja nic o tym nie wiem?

- To jego syn! - oświadczył don Alyarez. - I właśnie oto on w towarzystwie dwóch przyjaciół... Do licha, głupi Zefirio też jest tutaj... .

- Zefirio Corti? - podchwycił minister. - Od kiedyż to zaczął interesować się operą?

I w oczekiwaniu na początek przedstawienia, przewidując wesołą rozrywkę, minister polecił, by wezwano doń Zefiria. Po chwili młodzieniec stał w pełnej szacunku postawie przed wszechwładnym ministrem.

- Najjaśniejsza pani przesyła ci królewskie pozdrowienie, senor Zefirio - rzekł łaskawie don Alonzo. - Gdy opuściłeś Madryt, nudno zrobiło się w Eskurialu!...

- Wcale w to nie wątpię - Zefirio uśmiechnął się zrozumiale. - Rzeczywiście, nikt tak jak ja nie potrafi być interesujący....

- Toteż większość dam dworu wypłakuje sobie oczy za tobą, senor - oświadczył minister z całą powagą. - Doprawdy, me wiedziałem, że jesteś takim zjadaczem serc niewieścich!...

- I ja też o tym dotąd nie wiedziałem - wyrwało się młodemu Cortiemu, ale szybko poprawił: - Nie wiedziałem, że pozostawiłem tyle zranionych serduszek... - Westchnął z udanym smutkiem, poprzez który przebijała pycha. - Zresztą wcale się temu nie dziwię, ekscelencjo - oświadczył przybierając wdzięczną pozę - bowiem na próżno byś szukał po całej Hiszpanii równego mnie caballero... Wszystkie piękne seniority wiedzą dobrze, że nikt prócz mnie nie ma tylu szlachetnych zalet.

Don Alonzo zagryzł wargi, a don Alvatez roześmiał się. Tylko don Carlo mierzył zrozumiałca posępnym spojrzeniem. Ale myśl jego błędziła gdzie indziej. Sercem jego targała dzika rozpacz po stracie Anity, nie okazywał jednak tego po sobie.

- Czemu mam przypisać to - zapytał don Alonzo - że zaszczyciłeś swą obecnością operę Rossiniego?

Zefirio uklonił się po raz trzeci i odrzekł skromnie:

- Stałem się kompozytorem i poszukuję natchnienia! ...

- Stałeś się kompozytorem?

- Tak jest, ekscelencjo!...

- Tworzysz muzykę?

Zefirio uklonił się po raz czwarty.

- Tworzę operę, ekscelencjo!...

Minister zatarł ręce z nie ukrywanym zadowoleniem.

- Ach, tworzysz operę? - zawołał. - To ciekawe! ...

- Bardzo ciekawe - potwierdził Zefirio. - Sam byłem zdumiony, gdy odkryłem w sobie

talent muzyczny, dotychczas bowiem uważałem, że jestem genialnym poetą. Ale potrzeba jest matką wynalazków. Niektóre moje wiersze są tak piękne, że wymagają muzycznego akompaniamentu... Przybyłem więc tutaj ...

- By szukać natchnienia, wiem o tym - dopowiedział don Alonzo. - Czy znajdziesz jednak to natchnienie?

- Już je znalazłem! - Zefirio uklonił się po raz piąty. - Sam widok przepelnionej wytworną publicznością widowni dodał bodźca mej fantazji twórczej... W ciągu pięciu minut skomponowałem precudną pieśń o Almanzorze, bohaterskim wodzu walecznych Maurów.

- Chciałbym jej kiedyś posłuchać - wyrwało się niebacznie ministrowi. W następnej jednak chwili pożałował swych słów, gdyż Zefirio wyprostował się, oczy jego zalśniły natchnieniem, a lewą rękę położył na sercu.

- Dobrze - odpowiedział. - Zaśpiewam ci ją, nie zwlekając...

Don Alonzo nie spodziewał się takiej reakcji na swoją przychylność. W obecności przepelnionej widowni nie chciał czynić widowiska w swej łoży. Niestety, było już za późno...

Pod sklepienie teatru wzbił się głos przypominający beczenie kozy. Głos ten stawał się coraz bardziej przenikliwy, gwar i rozmowy ucichły i zdumione spojrzenia ludzi skierowały się na łożę ministra.

A Zefirio śpiewał:

Dzielny wódz Maurów, Almanzor wspaniały  
Od głowy do pięty bohaterem był cały  
Kochały się w nim piękne kobiety

Lecz on nie kochał żadnej, niestety...

Żadnej, niestety (bis)

Eja ha, hej ha! ...

Kochała go Gryzelda, nadobna senora

I z tej miłości całkiem była chora

Chudła nieszczęsna, bo wcale nie jadła

Nie znalazłbyś na niej ani łuta sadła

Ani łuta sadła (bis)

Eja ha, hej ha! ...

I zrozumiała senora, że już dalej nie może  
Jakby jej kto w serce wbijał cztery noże  
Pobiegła więc do Almanzora i rzuciła otwarcie  
Jam piękna Gryzelda i kocham cię zażarcie

Kocham zażarcie (bis)

Eja ha, hej ha!...

Urwał nagle, gdyż na sali rozległ się szalony wybuch śmiechu. Zagrzmiąły szalone brawa.

- Brawo Zefirio... Brawo... Brawo!...

Młodzieniec jaśniał zadowoleniem. Kłaniał się nieprzerwanie rozentuzjasmowanej publiczności, dziękując radośnie za uznanie.

Ale orkiestra i aktorzy pozazdrościli mu widocznie powodzenia, gdyż nagle dyrygent machnął pałeczką i rozległa się uwertura do opery. ,

- Dokończę moją pieśń po pierwszym akcie - oświadczył Zefirio.

Złożył głęboki ukłon i wycofał się z łoży.

Kurtyna poszła w górę. Przedstawienie się rozpoczęło. W pewnej chwili don Alonzo oderwał wzrok od sceny i spojrzał w kierunku łoży zajmowanej przez Malibrana, Porfiria i Zefiria.

- To dziwne - rzekł. - Łoża przesłonięta jest kotarą!...

Don Alvarez oraz don Carlo spojrzeli również. Purpurowa kotara była zaciągnięta.

- Co tam się dzieje? - zdziwił się don Alvarez. - Czemu łoża jest zasłonięta? Czyżby trzech przyjaciół nie interesowała opera?

Po chwili jednak, gdy akt się skończył, don Alvarez otrzymał odpowiedź, której ani on, ani też nikt w teatrze się nie spodziewał.

Purpurowa kotara rozchyliła się gwałtownie i w łoży ukazał się... Zorro! . Tak, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, to był Zorro we własnej osobie.

Widzowie zamarli.

A tymczasem Zorro skoczył na parapet łoży, podtrzymując lewą ręką postać związanej kobiety.

- Moja żona! - ryknął don Carlo.

- Tak, twoja żona! - rozległ się dźwięczny głos Zorry. - Zwracam ci ją, jak przyrzekłem, masz bowiem zamiar uwolnić Aragonię od swej osoby!...

Sala teatru była, jak mówiliśmy, cała przyozdobiona girlandami i festonami na cześć potężnego ministra. Festony to były mocne sznury okryte różnokolorowym kwieciami, górnym końcem uwiązane pod kopułą u nasady olbrzymiego żyrandola. Dolne końce umocowano przy parapetach łoż oraz li kinkietów wzdłuż ścian. Koniec jednego z festonów znajdował się tuż obok Zorry, który wy dobył nóż, przeciął węzeł, następnie chwycił się prawą ręką ukwieconej liny i wraz z swym ciężarem odbił się nogami od parapetu łoży. Jego sprężyste ciało, zawieszane na linie, opisało olbrzymi łuk w powietrzu, ponad głowami zdrętwiałych widzów.

Stał już na parapecie łoża ministra Alonzo i rzucił związaną Anitę prosto w ramiona don Carla.

- Bierz twój skarb z powrotem - rzekł uśmiechając się szeroko. W następnej sekundzie lina wahadłowym ruchem uniosła go z powrotem do przeciwległej łoża.

Zorro zeskoczył z bariery, znikając we wnętrzu łoża. Jednym szarpnięciem zasunął purpurową kotarę.

- Gwardia, policja! - ryknął don Alvarez. - Chwytać go. Rzucono się do łoża Malibrana.

Na podłodze pomiędzy fotelami leżały trzy nieruchome ciała.

Podniesione je i zaczęto cucić. Byli to: Zefirio, Porfirio i Malibran.

- Ogluszył nas z tyłu podstępny ciosem w głowę - jęknął Zefirio, otwierając oczy. - Aj, aj, nieszczęście, ten zbój jednym uderzeniem wybił mi z głowy moją przepiękną pieśń o Almanzorze...

- Jest to jedyny szlachetny uczynek tego bandyty – szepnął minister. - Wcale mu nie mam tego za złe!..

A tymczasem don. Carlo czynił gorzkie wyrzuty swej płoczej żonie.

- Zdradziłaś mnie - miotał się. - Nie uwierzę, iż byłaś aniołem, przebywając w jego towarzystwie... Nie uwierzę, iż mnie nie zdradziłaś!...

- Głupcze - odparła ze złością dumna Anita. - Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby tak się stało, gdyż jesteś tego wart... Niestety, nie mogę mu nic zarzucić, gdyż był wobec mnie aż nazbyt rycerski. - I powtórzyła z żalnym westchnieniem: - Niestety, aż nazbyt rycerski!...

## Z ręki do ręki

- Jest jeszcze jeden powód mojego przyjazdu do Saragossy - mówił don Alonzo. - Otóż wbrew umowie zawartej między nami, nie wypłacasz mi należnej części, senior Alvarez. Czemu to przypisać? - Nie moja w tym wina, ekscelencjo - tłumaczył się don Alvarez. - Trzykrotnie wysyłałem pieniądze do Madrytu, lecz za każdym razem ten przeklęty Zorro przejmował transport!

Rozmowa powyższa była prowadzona półgłosem we wspaniałym gabinecie, w którym rozgościł się na czas swojej wizyty don Alonzo. Na zegarach pałacowych wybiła północ, a świece dopalały się w kandelabrach.

Przekupny faworyt królowej Izabelli uśmiechnął się przebiegle.

- Szukasz wybiegów, don Alvarez -. odparł. - Nie myśl jednak, że nie wiem o niczym... Mam w Saragossie zaufanych ludzi, którzy donoszą mi o każdym twym kroku... Wiem doskonale, że pomimo szkód, jakie wyrządził ci Zorro, zdołałeś uzbierać przez tak krótki czas pokaźną kwotę peso w złocie. Poza tym wiem, że prócz pierwszej przesyłki nie myślałeś wypłacać mi kolejnych sum.

- To nieprawda - zaoponował don Alvarez. - Twoi ludzie wprowadzili cię w błąd, ekscelencjo!...

- Czy jest to również nieprawdą, że przed moim przyjazdem usunąłeś księgi rachunkowe i spaliłeś kwity?... Czy nieprawdą jest również i to, że zabrałeś złoto ze skarbca i schowałeś w bezpiecznym miejscu?

Don Alvarez zagryzł wargi. Był wściekły i zmieszany zarazem, bowiem don Alonzo był niezwykle dokładnie poinformowany.

Nie poddawał się jednak.

- Przysięgam, że to wszystko nie jest zgodne z prawdą! - zawołał z udaną szczerością. - Aragończycy nie płacą podatków, koszty są olbrzymie, a na domiar wszystkiego ten Zorro...

Lecz don Alonzo machnął niecierpliwie ręką, a w jego stalowych oczach zamigotał gniew.

- Zostaw tę wieczną piosenkę o jeźdźcu w masce, senior - oświadczył zimnym jak lód tonem. Twoje słowo, granda Hiszpanii, najzupełniej mi wystarczy.

Przebiegła twarz don Alvareza rozjaśniła się.

- Skarbiec jest pusty, ekscelencjo! - zawołał niemal radośnie. - Ale postaram się zapłacić go jak najprędzej i wyślę wówczas należną ci część!...



Don Alonzo bawił się niedbale nożem do rozcinania kartek książki.

- Nie mam ochoty czekać tak długo - oświadczył obojętnym tonem. - Zresztą rad jestem, że nie otrzymałem od ciebie pieniędzy, senor, bowiem narażałem się na kompromitację i niełaskę królowej, gdyby się wykryło, iż biorę łapówkę... - Odłożył nóż i zatarł swe białe, wypielęgnowane ręce. - Tak, tak - mruzczał. - Nawet lepiej, że tak się stało ... Przynajmniej pozostałem czystym i nie przekupionym sługą naszej monarchii...

Don Alvarez śledził grę jego twarzy niespokojnym wzrokiem. Co ma na myśli ten kuty lis? myślał. I do czego zdąża?..

Don Alonzo powstał i ziewnął ostentacyjnie.

- Północ wybiła - rzekł. - Sądzę, że czas już iść spać, tym bardziej że jutro rano opuszczam Saragossę...

Don Alvarez powstał również i ujął kandelabr, by poświecić dygnitarzowi.

- Zapomniałem przekazać ci pewną radosną nowinę, senor Alvarez - odezwał się nagle don Alonzo, poklepując go przyjaźnie po ramieniu. - Otóż, najmiłościwiej nam panująca królowa w uznaniu twych zasług postanowiła cię wyróżnić... Od przyszłego tygodnia będziesz piastował godność wiceszambelana jej dworu.

Królowa czeka tylko na moje zdanie w tej sprawie...

Don Alvarez zbladł i zadrżał.

- To znaczy?.. wyjąkał.

- To znaczy, że w przyszły poniedziałek przekażesz swą godność gubernatorską jednemu z zaufanych dworzan naszej monarchii, a sam wyruszysz do Madrytu. No i cóż, nie cieszysz się przyjacielu na myśl, że dostąpisz nie lada zaszczytu przebywania w przedpokojach pałacu królewskiego?

Don Alvarez nie był w stanie wymówić jednego słowa. Był to dlań druzgoczący cios, który niweczył za jednym zamachem wszystkie jego sny o bogactwie.

Bez wątpienia zaszczyt był to wielki, ale godność wiceszambelana, czysto honorowa i nie przynosząca najmniejszego dochodu, nie uśmiechała mu się, bynajmniej. Odwrotnie, jako wiceszambelan będzie musiał pokrywać z własnej kieszeni dość znaczne koszty wspaniałych ubiorów, będzie musiał utrzymywać liczną służbę w swym domu oraz urządzać kosztowne przyjęcia... Na myśl o tym włosy zjeżyły mu się na głowie. Widział już siebie u progu ruiny, bez zyskownego urzędu i bez pieniędzy: W duchu pieniał się i przeklinał zbyt usłużnego don Alonza. Nagle rozjaśniło mu się w głowie... Zrozumiał, że był to tylko wybieg ze strony tego lisa zmierzającego do usunięcia go ze stanowiska. Zrozumiał, że był to celny cios wymierzony w jego chciwość, skąpstwo i kieszeń.

Don Alonzo obserwował go z uśmiechem na wąskich ustach. - No i cóż? - zapytał. - Czemu zaniemówiłeś, senior? Pot wystąpił na czoło don Alvareza. Uznał się za pokonanego i zapytał ochrypłym głosem:

- Wiele?

- Co wiele? - udał zdziwienie don Alonzo.

- Wiele żądasz za to, senior, by pozostawić mnie w Aragonii? Don Alonzo zatarł ręce.

- Ach, więc o to ci chodzi, czcigodny don Alvarezie?

- Tak!... - rzekł krótko. - Więc ile żądasz?

- Wszystko!... - rzucił twardo faworyt królowej.

Don Alvarez zatrzęsł się cały.

- Wszystko? - wyjąkał z trudem. - To... to niemożliwe!...

- Zupełnie możliwe - zaśmiał się don Alonzo. - Oddasz mi wszystko, co uzbierałeś na boku, natomiast ja nie zażadam od ciebie nic w ciągu sześciu miesięcy!

Don Alvarez odetchnął i otarł pot z czoła. Nie miał innego wyboru, zresztą propozycja była dość ponętna. W ciągu pół roku mógłby sobie powetować stratę.

Zdecydował się wreszcie.

- Dobrze - rzekł. - Niech i tak będzie... A więc chodź ze mną, ekscelencjo. - Oddam ci wszystko, co mam!...

Słowa te nie były zgodne z prawdą, ponieważ don Alvarez miał daleko więcej, niż postanowił oddać.

Poszedł przodem i drzwi zamknęły się za nimi.

Ledwie jednak opuścili gabinet, gdy ciężka portiera, zasłaniająca okno, uchyliła się i do pokoju wślizgnął się Zorro.

- Już ja was pogodzę, moi wy poczciwi ludzie interesu - szepnął. - Ciekaw jestem, komu przypadnie to złoto w udziale!

Na wszystkich zegarach pałacowych wybiła godzina pierwsza po północy, gdy don Alonzo, promieniejący zadowoleniem, powrócił do gabinetu.

Trzymał oburącz wielką, żelazną szkatułę. Przydźwigał ją z wysiłkiem i męczył się przez kilka chwil, zanim wwindował ją na biurko.

- Uff - odetchnął. - Ten don Alvarez wcale nie jest uprzejmy... Mógłby przynajmniej mi pomóc w dźwiganiu!...

Usiadł przy biurku i otworzył szkatułę. Błysnęło złoto. Szkatułka była wypełniona złotymi monetami aż po sam wierzch.

Don Alonzo pokiwał głową z niezadowoleniem i mruzczał:

- Co za nieporządki panują u tego Alvareza. Złote monety zwalone w jedną kupę... Kto to widział coś podobnego?.. Złoto należy szanować. Układać w rulony i owijać papierem! Ach, ten gubernator doprawdy jest niepoprawny... Wcale nie szanuje pieniędzy!...

Z tymi słowami wyjął garść monet i zaczął układać je w stosy. Pomimo że starał się być spokojny i opanowany, ręce mu drżały, a nieposkromiona chciwość malowała się w jego spojrzeniu.

Przez dłuższą chwilę zaden odgłos prócz dźwięku złota nie mącił ciszy gabinetu. Nagle za plecami don Alonza rozległy się ciche kroki.

Wierny sługa królowej tak dalece był pochłonięty układaniem złotych monet, że nie zwrócił zbyt wiele uwagi na ten szelest.

- Nie śpisz jeszcze, don Alvarzie? - zapytał nie odwracając głowy.

- Nie! - zabrzmiała odpowiedź.

- Chcesz mi pomóc w liczeniu?

- Tak!...

- A więc układaj, senior, złoto w stosy i zawijaj w papier!...

- Dobrze!...

I męska ręka sięgnęła po złoto.

- Co czynisz, senior? - zawołał don Alonzo. - Nie ruszaj tych rulonów, one są już policzone... Bierz ze szkatuły. I nie przeszkadzaj mi!...

- Zgoda! ...

Męska ręka ujęła garść złota ze szkatuły, następnie drugą i trzecią, a don Alonzo zajęty swoją robotą, nie zwracał na tę czynność żadnej uwagi. Po chwili jednak coś go tknęło, złoto bowiem nie wędrowało na biurko, by ułożyć się w kolumny, lecz garść za garścią znikało za jego plecami. Temu znikaniu złota towarzyszył charakterystyczny dźwięk monet zsypywanych do worka. Ogarnęło go niemiłe przecucie. Spojrzał na rękę czerpiącą złoto i teraz dopiero zauważył, że ręka ta miała czarny, obcisły rękaw.

Don Alvarez nie nosi podobnych rękawów - strzeliła jak błyskawica myśl do głowy. To nie jest jego ręka!...

Wzrok jego powędrował do łokcia, następnie do ramienia minister omal nie skręcił szyi, wykręcając głowę do tyłu - i zatrzymał się na uśmiechniętej twarzy w masce...

Za jego plecami stał Zorro i spokojnie ładował złoto do niewielkiego worka.

Don Alonzo zatrzęsł się cały. Chciał zerwać się, lecz strach skuł wszystkie jego członki. Chciał coś powiedzieć, lecz zamiast słów wydarło się z jego gardła coś w rodzaju beczenia barana:

- Beee!

- Nie rozumiem - rzekł Zorro, nie przestając ładować do worka. - Co chciałeś powiedzieć, senor? Mów jaśniej!...

- Bee! ... bee! ...

- Bee... bee to chyba nie w hiszpańskim języku - oświadczył Zorro. - A ja niestety, rozumiem tylko po hiszpańsku...

- Bee... zczelność!... - wykrztusił wreszcie don Alonzo siny na twarzy. - J... jak śmiesz, jak... śmiesz...

- Byłem zawsze odważny - odrzekł Zorro spokojnie, zgarniając złoto z biurka. - Od urodzenia byłem odważny, a wiadomo, że odważny człowiek jest śmiały... Dlatego też śmiem!...

Cała zawartość szkatuły znalazła się wreszcie w worku. Zorro związał go i zarzucił na plecy z taką łatwością, jak gdyby to było piórko.

- Żegnaj mi, czcigodny don Alonzo - rzekł kierując się ku drzwiom. - A gdy powrócisz do Madrytu, zanieś królowej pozdrowienie od Zorry...

- Rabuś... bandyta... ta - wykrztusił ograbiony dygnitarz.

Zorro zatrzymał się u progu i rzekł z wyrzutem w głosie:

- Czemu używasz tak mocnych określeń, senor? Z nas dwóch, sądzę, że właśnie ty masz większe prawo do tych nazw... Rabuś?.. Bandyta? ... Czyż możesz nazywać w ten sposób mnie, który nie zatrzymuje ani jednej monety dla siebie, lecz zwraca tym, których ograbiono?...

Podczas gdy przemawiał w ten sposób, ucho jego nadśluchiwało bacznie. Wydało; mu się, że słyszy podejrzany szelest na korytarzu.

Co to było?... Zorro ostrożnie uchylił drzwi i poprzez utworzoną w ten sposób szparę, ujrzał don Alvareza, który zachowując niezwykłą ostrożność, ustawiał żandarmów na korytarzu, po prawej i po lewej stronie od drzwi. Szeptem dawał im instrukcje. Żandarmi kiwali głowami ze zrozumieniem, wyciągali szable z pochew, odwodzili kurki pistoletów i dawali w ten sposób do zrozumienia, że przygotowują się do walki.

Ale z kim? Czyżby z donem Alonzo?.. Zorro doszedł do wniosku, że don Alvarez musiał zajrzeć przedtem do gabinetu i z pewnością go dostrzegł.

Korytarz, w którym ustawiali się uzbrojeni ludzie, był dość szeroki. Zorro odczepił swój bicz od pasa i rozwinął go.

Następnie szeroko otworzył drzwi, odstąpił nieco do tyłu i zamachnął się biczem. Koniec rzemienia owinął się dookoła szyi don Alvareza. Krótkie, lecz silne szarpnięcie i

gubernator został wciąż-

nięty do gabinetu. Podobny był w tej sekundzie do ryby, którą rybak wyciąga wędką na brzeg.

Drzwi zatrzasnęły się przed nosem zdumionych i przerażonych żandarmów. Don Alvarez znalazł się oko w oko z Zorzą. Jednocześnie don Alonzo odzyskał zdolność ruchów i mowy. Skoczył jak zraniony jeleń i zaczął nawoływać.

- Ratunku, pomocy... Rabują!...

- Obudził się z letargu - rzekł Zorro i zwinął bicz - Jeśli nie przestaniesz nadużywać swych strun głosowych, będę musiał uśpić cię na nowo, ekscelencjo!

Don Alonzo zamilkł, natomiast don Alvarez odezwał się pocierając jednocześnie obolałą szyję: .

- Tym razem nie wymkniesz się, Zorro. Ustawiłem uzbrojonych ludzi dookoła całego gmachu, we wszystkich przejściach znajdują się moi ludzie, a na domiar wszystkiego już świta... Nie wiem, co uczynisz skoro nawet twoja sojuszniczka, noc, zawiodła. Uprzedzam cię jednak, Zorro, że twój stary kawał, zasłanianie się jeńcami, tym razem nie uda ci się. Kazałem bowiem moim ludziom, by zaatakowali cię bez względu na to, czy zasłonisz się moją osobą czy też osobą jego ekscelencji!...

Tyle było zawziętości w głosie gubernatora, że Zorro zrozumiał iż ten nie kłamie.

W odpowiedzi roześmiał się beztrąsko i rzekł:

- Tym razem dałeś mi nie lada orzech do zgryzienia, don Alvarez! - Pomyślał chwilę i dodał: - Ale ja go zgryzę, senor...

Drzwi, zamknięte na klucz, zatrzęsły się od wściekłych uderzeń żandarmów.

- Jeśli zasłonisz się twoją osobą, senor - ciągnął dalej Zorro - to nawet jako nieboszczyk posłużysz mi za osłonę przed ciosami. Ale ja spróbuję innego sposobu. Oczywiście zadanie byłoby daleko łatwiejsze, gdybym nie miał przy sobie tego worka ze złotem! ... Ponieważ jednak znajduję się w pułapce, nie będę bawić się w sentymenty. Najmniejsze nieposłuszeństwo przypłaci każdy z was śmiercią...

Zwrócił się do don Alonza:

- Stań twarzą do ściany, ekscelencjo - rozkazał wskazując na przeciwległą ścianę. - I ty również, don Alvarez! Prędko, śpieszcie się!... - Znacząco dotknął noża tkwiącego za pasem.

Obaj stanęli obok siebie, zwróceniem twarzą do ściany.

- Próżny zachód, Zorro - mruczał don Alvarez. - Nic ci to nie pomoże. ...

Zobaczmy! ...

Zorro wziął rozpęd i zwinnie jak kot wspiął się na ich barki.

W jedną rękę ujął płótno ciężkiego worka. Drugą rękę miał wolną. Uczeplił się barierki drewnianej galeryjki biegnącej wzdłuż ściany gabinetu. Ale nie był w stanie wciągnąć się na rękach, gdyż przeszkadzał mu worek ze złotem. Nadał więc swym nogom wahadłowy ruch zegara i zarzucił jedną nogę na wystającą podstawę galeryjki. Potem przerzucił prawą rękę wyżej i chwycił za poręcz. Trzymając się poręczy zaczął wciągać się powoli, lecz pewnie do góry. Po chwili ujął lewą ręką worek, zamachnął się i wrzucił go na galeryjkę. W następnej sekundzie stał już obok worka.

- Nic ci to nie pomoże, Zorro! - wołał szydyczko don Alvarez, unosząc głowę do góry.  
- Wyjście z galeryjki również jest strzeżone!...

Zorro otworzył ostrożnie niskie drzwiczki i ujrzał kilka postaci czuwających w półmroku. Atak Zorrego na ludzi czuwających na górze obok galeryjki był równie szybki jak niespodziewany. Świsnął bicz kilkakrotnie. Zorro wpadł pomiędzy nich i rozdawał bolesne uderzenia. Rozległy się jęki i okrzyki bólu. Zanim strażnicy opamiętali się, Zorro był już przy schodach i biegł na górę. Na następnym piętrze zastąpili mu drogę czterej strażnicy pałacowi. Znow bicz świsnął, smagając tych ludzi po głowach i po twarzach, kłując jak wściekły wąż, oplatając i wywracając przeciwników.

Droga została utorowana i Zorro pognał dalej. Niebawem jednak schody skończyły się. Zorro wydostał się na dach pałacu.

Na dole, dookoła gmachu, stały zwarte masy uzbrojonych ludzi. Szary świt oświetlał blade twarze zadarte do góry i obserwujące z napięciem zwinną postać w czerni sunącą na szczycie pałacu.

Za pałacem mieściły się niskie budynki. Były to stajnie don Alvaraza.

Zorro cofnął się, nabrał rozpędu i jednym potężnym skokiem przesadził przestrzeń dzielącą dach pałacu od dachu stajni.

Żandarmi i strażnicy rzucili się w stronę stajen i otoczyli je w okamgnieniu. Błysnęły lufy strzelb i pistoletów. Rozległy się dzikie okrzyki triumfu. Zorro znajdował się prawie w ich rękach.

Najgłośniej jednak ryczał Carlo Cevenna. Drąc się niemiłosiernie, obsypywał Zorrego obelgami, a jednocześnie wydawał rozkazy swym ludziom.

- Poddaj się, nędzniku, łotrze, łajdaku! Hej, żołnierze, mierzcie dobrze, by nie chybić... Cel!... Pal!...

Zorro nie czekał jednak, aż rozlegną się pierwsze wystrzały. Naprzeciwko wznosiło się zabudowanie przeznaczone dla karoc gubernatora. Przestrzeń pomiędzy dachami była tak

wielka, że po prostu nie do pomyślenia, by istota ludzka mogła ją przesadzić, tym bardziej że ze znacznym ciężarem w ręku. A jednak Zorro dokazał tej niezwyklej sztuki. Zmierzył oczyma przestrzeń, którą miał pokonać, następnie cofnął się o trzy, cztery kroki, dla nabrania rozpędu, i rzucił się naprzód. Ciało jego opisało klasyczny łuk w powietrzu, tuż nad głowami strażników, i opadło na przeciwny dach wozowni.

Ludzie osłupieli w pierwszej sekundzie, lecz wnet opamiętali się i otoczyli budyneczek. Ale obok wozowni ciągnął się mur okalający zabudowania pałacowe. Zorro skoczył na ten mur i ujrzał silny oddział strażników pełniących wartę po tamtej stronie.

Strażnicy również ujrzeli Zorrę.

- To Zorro!... Zorro!... - zabrzmiały ich okrzyki. - Tym razem mamy go!...

A po wewnętrznej stronie muru odpowiedziały im okrzyki Carla Cevenny:

- Nie pozwólcie mu zeskoczyć na ziemię... Chwytajcie go!...

Zorro biegł po wąskim szczycie, a strażnicy towarzyszyli mu po obu stronach.

- Żywcem go, żywcem! - ryczeli. - Teraz nie ujdzie nam... Hurra, mamy go!..

Lecz okrzyki te były przedczesne. Pomimo że sytuacja wydawała się dla Zorry zupełnie beznadziejna, ani myślał pozbywać się swego uciążliwego ładunku złota, chociaż ułatwiłoby mu to znacznie swobodę ruchów.

Biegąc po murze, Zorro nie próżnował. Bicz jego świszczwał bez przerwy, rozdając bolesne razy na prawo i na lewo.

Każda rzecz na świecie ma swój koniec, toteż mur skończył się wreszcie i Zorro zatrzymał się przed otwartymi wrotami.

Pod jego nogami kłębiło się mrowie ludzkie.

Gorliwi strażnicy podskakiwali do góry, usiłując strącić go z muru kolbą strzelby lub lufą. Za każdym jednak razem śmiałek otrzymywał bolesne upomnienie biczem z bawolej skóry.

Dalsza droga była naprawdę odcięta i wszelki ratunek wydawał się niemożliwy.

Żandarmi byli tak pewni siebie, że nawet nie pomyśleli o użyciu strzelb lub pistoletów. Każdy z nich pałał żądzą ujęcia Zorry żywcem, każdy z nich marzył o tej chwili, gdy maska tajemniczego rabusia zostanie wreszcie zdarta.

Zorro rozejrzał się dookoła jak tygrys w potrzasku. Wtem oczy jego rozbłysły poprzez otwory w masce. W odległości mniej więcej ośmiu kroków od muru siedział na koniu don Alvarez.

Gubernator dosiadł konia, by móc kierować akcją z większą sprężystością. Wydawał energicznie rozkazy, a żandarmi tłoczyli się pomiędzy nim a Zorrą.

Decyzja Zorry zrodziła się w ułamku sekundy.

Oparł stopę na głowie niczego nie spodziewającego się żandarma, który stał najbliżej muru, i odepchnął się lekko. Żandarm runął, ale Zorro przeniósł się na ułamek sekundy na barki następnego. W ten sposób w czterech błyskawicznych susach dotarł do konia i skoczył na siodło, nie dotykając ziemi. Znalazł się na jednym siodle z don Alvarezem.

- Jeden najmniejszy ruch, a zginiesz - szepnął mu do ucha. Przycisnął go lewą ręką do siebie. W tej ręce trzymał cugle. Prawą ręką zadawał uderzenia biczem, by nieco oczyścić miejsce dookoła siebie. A gdy atakujący rozstąpili się z wrzaskiem, smagnął konia i zmusił go do skoku ponad głowami ludzi zagrządzających drogę.

Wśród nieopisanego tumultu i wrzasku pogalopował środkiem ulicy.

Don Alvarez nie śmiał poruszać się ani odetchnąć. Wydawało mu się, że złowrogie ostrze noża lada sekunda wbije się pomiędzy jego zębra.

- Zorro... Zorro... Zorro!... - rozległ się tuż nad nimi triumfalny okrzyk.

Był to bojowy zew jeźdźca w masce. W ten sposób wyzywał sam jeden cały świat do walki. Był to radosny okrzyk zwycięstwa, było to hasło nieustającej walki na śmierć i życie z tysiąckrotnie przewyższającym go liczebnie przeciwnikiem.

Okrzyk ten, słyszany tyle razy z oddali, a obecnie rozlegający się tuż za jego plecami, przejął don Alvareza lodowatym dreszczem zgrozy.

Rumak gnał jak wichra.

To dziwne, pomyślał gubernator, to mój wierzchowiec, a nigdy jeszcze nie zdobył się na taką szybkość... Wcale nie poznaję mego konia... Pędzi, jakby miał skrzydła, pomimo podwójnego ciężaru. Moi ludzie nigdy nie zdołają nas dognać!...

Wkrótce znaleźli się w szczerym polu. Przed nimi rysowały się góry i, skały o szczytach zabarwionych na kolor złota w blaskach zachodzącego słońca.

Zorro milczał i bezustannie poganiał konia, a don Alvarez nie ośmielił się odezwać ani słowem.

Wreszcie dotarli do skał. Zorro wjechał na stromą ścieżkę i tylko sobie znanymi drogami dotarł do grotty.

W głębi dało się słyszeć niecierpliwe końskie rżenie.

- Spokojnie, spokojnie - odezwał się mężczyzna w masce. - Chodź tutaj, przyjacielu!

Z grotty wychylił swój mądry łeb czarny rumak. Rozejrzał się bacznie dokoła, jakby badając, czy nie ma w pobliżu wrogów, po czym wybiegł z grotty i zaczął ocierać łeb o Zorrę...

Carramba! zaklął w duchu don Alvarez. Nawet koń tego bandyty ostrożny i przeczorny



jest jak prawdziwy desperado...

Bieg jego myśli przerwał nagle Zorro, który zwrócił się doń w te słowa:

- Mógłbym cię zabić, gubernatorze, i pozbyć się zarazem wroga oraz gnębiiciela Aragonii. Nie czynię jednak tego, gdyż wiem: niestety, aż zanedo dobrze, iż na miejsce jednego łotra, Madryt przyśle dwóch innych... Jeśli usunę don Alonza, wówczas na jego miejscu siądzie don Pedro, który będzie stokroć gorszy... Kontentuję się więc na razie tym, że odbieram to, co zostało zgrabione...

- Bzdury - mruknął don Alvarez, odzyskując odwagę. - Państwo nie może istnieć bez podatków... Grabiąc państwowe złoto, niszczysz Hiszpanię..

- Milcz, nędzniku! - zawołał Zorro. - Gdyby podatki szły na wzmocnienie Hiszpanii, na uzbrojenie wojska, na wzmoczenie potęgi państwa, na budowę dróg i mostów, wówczas sam dopomógłbym odebrać na ten cel ostatnią krowę biedakowi... Ale Hiszpania nie ma dróg, mosty się wałają, żołnierze chodzą bez butów, a broń ich nic nie jest warta!... Cha, cha! I pomyśleć tylko, że Hiszpania była niegdyś najpotężniejszym państwem świata... Coście z nią zrobili, łajdacy?

- Próżna twoja walka. - warknął don Alvarez. - Nie wiadomo dla kogo i po co walczysz?

- Walczę dla don Carlosa<sup>4</sup> - oświadczył Zorro. - Jestem bowiem przekonany, że don Carlos uczyni Hiszpanię tym, czym była niegdyś!... Doprawdy szczęśliwe są kraje rządzone przez ludzi, którzy dbają o ich potęgę, nienaruszalność granic, o całe spodnie dla żołnierzy, o dobre strzelby i o to, by ludzie nie padali jak muchy z głodu i chorób!...

To mówiąc smagnął konia, na którym siedział don Alvarez. Koń stanął dęba, po czym pogalopował z powrotem do miasta.

---

<sup>4</sup> Don Carlos - syn Karola IV, pretendent do tronu Hiszpanii

## Powrót Frasquity

Dylizans zatrzymał się na głównym rynku Saragossy. Pasażerowie wysiedli i rozpoczęły się hałaśliwe powitania z tłumem krewnych i znajomych, którzy oczekiwali podróźnych.

Wysiadła również młoda kobieta, ubrana jaskrawo i z przesadną elegancją. Rozejrzała się wokoło, jakby szukając wzrokiem kogoś z krewnych lub znajomych. Lecz nikt nie czekał na nią. Wzruszyła ramionami, po czym ujęła niewielki tobolek i szybkim, zdecydowanym krokiem zagłębiła się w krętą uliczkę wiodącą prosto do dzielnicy nędzy.

Wymijała gmatwaninę brudnych uliczek z pewnością osoby, która doskonale zna te strony. Z lubością wdychała zapach mokrej bielizny rozwieszanej na sznurach, tuż nad głowami przechodniów, przyjaznym spojrzeniem obrzucała gromady rozwrzeszczanych, obdartych dzieciaków, a podejrzanym osobnikom, którzy leniwie oparli o lepkie mury domostw spoglądali na nią ze zdziwieniem, rzucała wesoło: dzień dobry!...

Zagłębiła się w ponurej, ciemnej uliczce i zatrzymała się przed wąską, obdrapaną kamienicą. Spojrzała w górę, jakby chcąc sprawdzić, czy nie dojrzy jakiejś znajomej twarzy w oknie, następnie weszła do sieni i udała się wąskimi, stromymi schodami na górę. Na drugim piętrze odetchnęła z ulgą, po czym wyjęła klucz z torebki i otworzyła drzwi. Powonienie jej podrażnił ostry zapach olla potridy<sup>5</sup>.

- Carramba! - mruknęła. - Kto to gotuje w moim mieszkaniu?

W następnej chwili ujrzała sprawczynię. Była to młoda kobieta, brudna i rozczochrana, paradująca w zatłuszczonym szlafroku, która ze zdziwieniem spojrzała na przybyłą.

- Kto jesteś? - zapytała ostro. - I skąd masz klucz do tych drzwi?

- A kto ty jesteś? - nowo przybyła odstawiła tobolek i ujęła się pod boki. - Jakim prawem nosisz mój szlafrok i rządysz się jak szara gęś w moim mieszkaniu?

- W twoim mieszkaniu?.. Oszalałaś, senora?

- Tak, w moim mieszkaniu, bezwstydney brudasie i obdarcuchu!... Jeśli mi natychmiast nie odpowiesz, złapię cię za te rozczochrane kłaki i wytrzęsę z ciebie całą duszę!...

To energiczne przemówienie zaimponowało widocznie kobiecie w szlafroku, gdyż spuściła z tonu i odpowiedziała spokojnie:

---

<sup>5</sup> Rodzaj bigosu z mięsa, kapusty i korzeni; ulubiona potrawa Hiszpanów

- Jestem tutaj gospodynią!...

- Od jak dawna?

- Od trzech miesięcy!...

- Od trzech miesięcy, czyli zaraz po moim wyjeździe z Saragossy... Ha, ciekawa jestem, w jaki sposób ten koczkodan dostał się tutaj?

Ale kobieta w szlafroku miała już dość tego.

- Tylko nie koczkodan, ty pstrokata papugo! - wrzasnęła. - Co to za maniery? Włazisz do mego mieszkania i wymyślasz mi nie wiadomo dlaczego?.. Wynoś się stąd natychmiast, bo zawołam mego męża, a wtedy będzie źle z tobą!...

- Zawołaj, choćby diabła z piekła! Ale jeśli natychmiast nie znikniesz mi z oczu...

Tamta nie słuchała do końca. Przyskoczyła do Frasquity i chwyciła ją za bluzkę.

- Precz stąd, ty wariatko!... Na pomoc... Obłąkana wdarła się do mego mieszkania!...

Na pomoc!...

Przybyła nie pozostała dłużna. Wczepiła się w jej włosy i obie zaczęły się kotłować w kuchni jak dwie furie.

Wrzask, hałas oraz brzęk tłuczonych naczyń obudził wreszcie mężczyznę śpiącego w przyległym pokoju. Rozległo się głośne ziewnięcie, następnie łóżko zatrzeszczało i na progu ukazał się mężczyzna, który przeciągając się i przecierając oczy zapytał:

- He, co się tam dzieje, poredi vaco?.. Angelica, co to znaczy?

Walczące kobiety zatrzymały się. Nieznajoma spojrzała na mężczyznę.

- Motelo!.., - zawołała cofając się zdumiona.

- Frasquita! - zawołał Motelo.

- Co ty tutaj robisz?

- Co robię? - Mężczyzna był zmieszany. - Przecież widzisz !. ..

Frasquita zaśmiała się drwiąco.

- Widzę bardzo dobrze, że zamieszkałeś tutaj wraz z tym obdrapańcem!...

- Tylko nie obdrapańcem! - wybuchnęła Angelica. - Tylko nie obdrapańcem, ty malowana lalo!...

Frasquita nachmurzyła się wściekle.

- Słuchaj, Motelo - rzekła przystępując do mężczyzny. - Wytłumaczysz mi się kiedy indziej, a tymczasem zabieraj ją z sobą do wszystkich diabłów... Ja nie chcę widzieć was ani chwili dłużej!...

- A jak nie? - zapytał Motelo bezczelnie. - Jeśli pozostaniemy, to co nam zrobisz?

Frasquita zdawała się być zaskoczona.

- Dobrze - rzekła po chwili namysłu. - Jeśli nie chcesz, możesz nie wychodzić... Za chwilę przyjdzie Jose... On się z tobą rozmówi!

Na dźwięk tego imienia Motelo zadrzał i stracił cały swój tupet.

- Jose Cardilla? - zapytał z drzeniem w głosie.

- A któż by inny? - roześmiała się swobodnie Frasquita. - Nie znam przecież innego Josego prócz Josego Cardilli, zwanego Postrachem Aragonii!...

Motelo uznał, iż należy załagodzić sytuację.

- Ja tylko tak żartowałem, Frasquito - rzekł pojednawczym tonem. - Nie miej do mnie urazy, że zamieszkałem tutaj wraz z Angelicą, ale uczyniłem to z dwóch powodów... Po pierwsze, nie miałem dotychczas stałego miejsca zamieszkania, a po drugie, skądże mogłem wiedzieć, że powrócicie oboje z Lizbony, dokąd wysłał was szlachetny Zefirio Corti?... Przecież zobowiązałaś się, że nigdy już nie powrócisz do Saragossy, Frasquito!...

- Nie będę ci się tłumaczyć - odrzekła chłodno. - Powróciłam, bo tak mi się podobało, rozumiesz?

- Słyszałem, że Jose zginął...

- Okłamano cię! - odparła spokojnie. - Jeśli zaczekasz jeszcze kilka minut, to zobaczysz go na własne oczy, ale przysięgam, że już nigdy nie ujrzysz słońca ani gwiazd!...

Motelo zbladł.

- Już odchodzę - zawołał śpiesznie. - Angelico, zbierz swoje rzeczy... Wracamy do twojej matki!...

- Możesz sobie zabrać mój szlafrok- oświadczyła Frasquita wspaniałomyślnie. - Jest zbyt brudny dla mnie!...

Drzwi zamknęły się za odchodzącą parą. Frasquita odprowadziła ich ironicznym spojrzeniem.

- Tyle wiem o mym biednym Jose co i oni - szepnęła. - Ale sądzę, że senor Zefirio Corti powie mi, co zrobił z moim drogim chłopcem!...

Myśli jej przybrały inny kierunek..

- Jestem słabą kobietą i sama nic nie wskóram. Motelo to zdrajca i nie można liczyć na niego... Muszę mieć kogoś bardzo odważnego i obrotnego zarazem... Ale kogo wybrać?

Przebiegła myślą wszystkich znanych sobie opryszków, ale żaden z nich nie nadawał się do misji, którą chciała mu powierzyć. Wreszcie po dłuższym wysiłku pamięciowym twarz jej się rozjaśniła.

- Tak, tak - wyszeptwała. - Tylko Gardenio nadawałby się do tej roboty!....

Poczuła głód. W garnku gotowała się jeszcze olla potrida pozostawiona przez

Angelicę. Zjadła talerz tej potrawy, po czym wyszła z mieszkania, udając się do Gardenia.

Drzwi otworzyła staruszka o kołtuniastych, siwych włosach, jastrzębim nosie i żywych, biegających oczkach.

- Kto jesteś; - zapytała mierzając ją nieufnym spojrzeniem. - Jestem Frasquita! Czy nie poznajesz mnie, matko Mehul? - Frasquita?

- Tak! Żona Josego Cardilli!..

- Ach, to ty? - wyrzekła obojętnie staruszka. - Nigdy bym cię nie poznała w tym wytwornym przebraniu... Gdzie przebywałeś?

- W Lizbonie, matko Mehul!...

- Hm!... A teraz, co cię tutaj sprowadza?

- Chciałabym zobaczyć się z Gardeniem.

Staruszka machnęła ręką.

- Nie ma go w domu - odrzekła. - Śpi jak zwykle gdzieś na śmietniku lub pod schodami... Musisz go poszukać!...

Frasquita zeszła ze schodów, zaglądając po drodze do każdego zakamarka. Wreszcie znalazła śpiącego młodzieńca pod schodami.

Dziwny był to typ ten Gardenio, nazwany śpiącym. Jedyłą jego przyjemnością było spanie. Nie kosztowało to zbyt drogo, toteż młodzieniec nie odmawiał sobie tej przyjemności i spał o każdej porze dnia i nocy oraz przy każdej okazji. Budził się tylko wówczas, kiedy głód skręcał jego wnętrzności, a matka Mehul nie dawała mu nic do zjedzenia, tłumacząc się brakiem pieniędzy. W takich chwilach Gardenio stawał się najniebezpieczniejszym desperadosem Saragossy.

Sprężysty jak pantera, krwiożerczy jak ryś, wychodził na polowanie.

- Gardenio się obudził - mawiano w dzielnicy nędzy. Ustępowano mu z drogi, najgroźniejsi nawet zbójcy zmykali przed nim, nie ważąc się na zaczepkę. Ongiś sam Jose Cardilla unikał go w chwili, gdy tamten wychodził na łowy.

Gardenio potrafił zastrzelić muchę z odległości piętnastu kroków, nie otwierając prawie oczu, a jego skok na upatrzoną ofiarę przypominał skok tygrysa w dżungli. Prócz tego był arcymistrzem we władaniu wszelaką bronią i giął żelazne podkowy w rękę.

Na szczęście niebezpieczny ten osobnik przeważnie spał, pozostawiając Cardilli zaszczyt uchodzenia za najniebezpieczniejszego opryszka Saragossy.

Frasquita nachyliła się i potrząsnęła nim mocno.

Gardenio otworzył jedno oko.

- Frasquita? - zapytał sennym głosem. - Skąd się tutaj wzięłaś?

- Wróciłam z Lizbony! - odpowiedziała. - I chciałabym z tobą pomówić w pewnej sprawie!...

- A! - westchnął Gardenio i zamknął oko.

Ale Frasquita postanowiła, że nie pozwoli mu popaść z powrotem w objęcia Morfeusza. Zaczęła potrząsać nim silnie, wołając jednocześnie:

- Słuchaj, Gardenio, wyspać się zdążysz i później... Teraz musisz mnie wysłuchać...

Śpioch otworzył jedno oko, następnie drugie.

- Nie trząś mną - wymamrotał. - I mów, o co ci chodzi!... - Gardenio - zaczęła - nadarza ci się okazja zarobienia grubszej forsy...

- Nie potrzebuję pieniędzy - mruknął. - I szkoda fatygi!... - Ależ zrozum, głupcze, iż nie będziesz potrzebował na przyszłość przerywać sobie drzemki... Mając pieniądze, będziesz mógł spać nieprzerwanie przez rok, dwa lata i jak długo zechcesz. Głód nie zmusi cię do nocnej wędrówki po mieście. Złoto umożliwi ci beztrudny żywot na dłuższy czas...

- To ciekawe - mruknął. - Nie pomyślałem nigdy o tym... Mów dalej!...

- Opowiem ci całą historię od początku. - Frasquita obejrzała się przezornie i zniżyła głos. - Było to przed czterema miesiącami. Pewnego pięknego dnia do Josego przyszli dwaj bogaci senores i dali mu moc pieniędzy, żądając w zamian, by Jose udawał Zorrę! ...

- Zorrę? - zapytał Gardenio, który o niczym nie wiedział. - Kto to taki?

- Jest to zamaskowany jeździec, legendarny bohater Aragonii. Nikt go nie zna, a ludzie czczą go jak jakieś bożyszcze.

- Kogo? - zapytał Gardenio?

- Bożyszcze!...

- Kto to taki?

- Wszystko jedno - odparła niecierpliwie. - I tak nie zrozumiesz. Ale słuchaj dalej...

- Kiedy spać mi się chce! - bronił się Gardenio. - Co mnie ta cała historia obchodzi?

- Posłuchaj, to się przekonasz... Otóż Jose zgodził się. Kupił sobie konia, sporządził maskę i czarny zawój na głowę i zaczął napadać na transporty złota w Aragonii; podobnie jak to czynił prawdziwy Zorro... Udawało mu się to dość długo, aż wreszcie trafił, na prawdziwego Zorrę, który osmagał go do utraty przytomności, biczem z bawolej skóry...

- Zorro osmagał Josego? - zdziwił się Gardenio. - A co robił Jose?.. Czy nie bronił się?

- Owszem, ale to mu nic nie pomogło. Zorro okazał się daleko mocniejszy...

Teraz Gardenio otworzył oczy zupełnie szeroko.

- Mów dalej - rzekł. - Naprawdę to ciekawa historia... - A widzisz!... Nieprzytomnego znalazł w lesie Zefirio Corti i wydał władzom... .

Gardenio zaczął się śmiać.

- Zefirio Corti? - zawołał. - Ach, to ten pajac z korydy... Widziałem na własne oczy, jak byk miotał nim po arenie... Można było skonać ze śmiechu... Przysięgam, że wówczas wszelki sen mnie odleciał...

- Wydał władzom - ciągnęła dalej Frasquita. - Ale gdy Jose znalazł się w więzieniu, Corti pożałował widocznie swego czynu, gdyż przyszedł do mnie, dał mi pieniądze na wyjazd do Lizbony i obiecał uwolnić Josego... Opuściłam więc Saragossę, błogosławiąc w duchu swego dobroczyńcę. Po przybyciu do Portugalii na próżno jednak czekałam na mego ukochanego. Nie przyjechał. Napisałam do Saragossy, prosząc przyjaciół, by mi donieśli, czemu Jose nie przyjechał do Lizbony. Odpowiedzieli mi, że wszelki ślad po nim zaginął, od chwili gdy Motelo razem z dwoma przyjaciółmi Zefiria wsadzili go do karocy...

- Ciekawe - mruknął Gardenio. - Ale cóż ja mam w tym do roboty?

Frasquita zaczęła mówić mu coś do ucha, a w miarę tego, jak mówiła, zaspasane oblicze rzezimieszka rozciągało się w uśmiechu zadowolenia.

- To mi się podoba - mruknął. - Będę miał nie lada rozrywkę, zarobię kupę pieniędzy, po czym będę mógł wypoczywać przez całe życie...

I oto mieszkańcy dzielnicy nędzy ujrzeli coś nowego: Gardenio szedł w towarzystwie Frasquity, a wyraz jego twarzy nie wskazywał wcale na to, by był głodny albo spragniony krwi ludzkiej.

## Porwanie Zefiria

Carlo Cevenna jechał - na czele swego oddziału i groźnym wzrokiem lustrował okolicę. Słońce chyliło się ku zachodowi. Z lewej strony na widnokręgu wznosiły się poszarpane skały, natomiast po prawej rosła bujna roślinność oraz czernił się las. Był to kontrast znamieny dla krajobrazu Hiszpanii i don Carlo nie zwracał na to uwagi. Teraz miał ważniejsze problemy, a mianowicie, nieuchwytny Zorro znów złupił większą sumę złota i wszystkie ślady wskazywały na to, iż jeździec w masce ukrywał się w okolicy Huesco.

Droga skręcała w stronę lasu i szła jego brzegiem. Ledwie jednak oddział minął pierwszą grupę drzew, gdy wtem oczom wszystkich ukazał się widok niezwykle w tych okolicach. Na skraju drogi stały sztalugi malarskie, a przed nimi siedział człowiek i malował. Sztalugi zasłaniały twarz malarza, natomiast ruchy długiego pędzla wskazywały na jego obecność.

Dziwny był to malarz. Musiał pracować bardzo energicznie, skoro sztalugi chwiały się na wszystkie strony, bliskie upadku. Jednocześnie mistrz palety śpiewał, gwizdał i wybijał takt nogami. Widać było, iż ogarnęło go natchnienie.

Carlo Cevenna popędził konia, a jego oddział uczynił to samo. - Hej, senior! - zawołał.

Spoza sztalugi wyrzała twarz młodego Cortiego.

- Senior Zefirio? - zdziwił się don Carlo.

- Do usług, senior Carlo - odpowiedział uprzejmie Zefirio - a właściwie dzień dobry!...

Carlo Cevenna osadził konia.

- Nie wiedziałem, że jesteś malarzem, senior - rzekł.

- Jestem nim - oświadczył Zefirio. - Moja skromna osoba jest siedliskiem wszelkich genialnych umiejętności. Jestem śpiewakiem, poetą, archeologiem, botanikiem, paleontologiem...

- Czym? - zapytał zdumiony pułkownik.

- Paleontologiem!...

- Co to za zwierzę?

- Żadne zwierzę - odparł urażony Zefirio. - To nauka o skamieniałościach istot przedhistorycznych, dzieląca się na paleozoologię oraz paleofitologię...

Carlo Cevenna był oszołomiony tym ogromem wiedzy.

- Paleo... jak? - zapytał.

- Paleofitologia - powtórzył cierpliwie Zefirio.



- Carramba!... - zaklął don Carlo. - Ty chyba kpisz sobie ze mnie, senior. - Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym... Zwichnąłbym sobie język, wymawiając to słowo!

- Paleofitologia to wiedza o skamieniałościach roślinnych, senior Carlo. - Zajmuje się badaniem śladów okresu paleozoicznego...

Don Carlo spał konia ostrogami.

- Wystarczy! - zawołał śpiesznie. - Dopowiesz resztę kiedy indziej, senior. A teraz chciałbym obejrzeć twe arcydzieło malarskie.

- Bardzo chętnie - rzekł usłużnie Zefirio. - Maluję Niezwyciężoną Armadę króla Filipa.

- Ach, przypominam sobie. Tak nazywano, zdaje się, potężną flotę Filipa II, wysłaną przeciwko Anglii...

- W roku tysiąc pięćset osiemdziesiątym ósmym król Filip wysłał ją przeciwko Anglii, niestety, po drodze zaskoczyła ją straszliwa burza na oceanie i zniszczyła do szczytu... Jestem również historykiem - dokończył skromnie.

- Tak, tak, oczywiście - bąknął don Carlo. - Nie rozumiem tylko, czemu malujesz flotę hiszpańską siedząc na skraju lasu!

- To proste, senior... Zieleń drzew przypomina mi zielone odmęty fal...

- Hm - mruknął pułkownik. - Nie wiedziałem dotychczas, że fale oceanu są zielone...

Okrażył sztalugę. Oczom jego ukazały się nieforemne zielone plamy pokrywające gęsto całe płótno...

- Nie żałowałeś, jak widzę, zielonej farby - zawołał zdumiony pułkownik. - Ale co to właściwie przedstawia?

- Wzburzone fale oceanu - oświadczył Zefirio z niezachwianą pewnością siebie..

- Dobrze, a gdzież jest Niezwyciężona Armada?

- Zatonęła!...

Pułkownik chwycił się za głowę.

- Człowieku, .co to znaczy?! - krzyknął. - W głowie mi się kręci...

- Wcale się temu nie dziwię... - oświadczył z dumą. Moje obrazy wywierają zazwyczaj wstrząsające wrażenie na widzach... Jest to wpływ mego geniuszu malarskiego...

Carlo Cevenna wybuchnął niepomowanym śmiechem, a żandarmi zawtórowali mu. Zefirio spoglądał przez chwilę na śmiejących się, po czym potrząsnął głową z niezadowolaniem:

- Nie widzę najmniejszego powodu do śmiechu, senior! - rzekł tonem urażonej godności.

-Ale ja widzę, senor - odpowiedział don Carlo, uspokajając się powoli.- Widzę, senor... Muszę ci przyznać, że dokazałeś sztuki nie lada, ponieważ już dawno zapomniałem, co to jest śmiech!...

A widząc, że Zefirio nic nie rozumiejąc spogląda nań głupkowato, dodał: .

- Rozśmieszyły mnie te genialne, zielone plamy bez formy, które według ciebie, senor, mają wyobrażać wzburzone fale oceanu wraz z Niezwyciężoną Armadą w odmętach...

- Ha! - zawołał Zefirio. - Więc rozśmiesza cię historyczny fakt, który unieszczęśliwił Hiszpanię, pozbawiając ją floty?

- Nie, senor, lecz myśl, że i ja również mogę być genialnym malarzem, wystarczy bowiem, że nasmaruję kilkadziesiąt takich plam...

- Na próżno, senor Carlo - odparł Zefirio. - Zmarnowałbyś tylko farbę... Ręczę ci, że twoje plamy nie byłyby podobne do moich ani pod względem kształtu, ani też potęgi wyrazu - pokręcił głową. - Nie, nie, senor Carlo, pozostaw swe ambicje malarskie w spokoju... By cię przekonać, jak bardzo wszechstronny jest mój talent, pokażę ci inne moje arcydzieło!...

Z tymi słowami ujął rolkę płótna spoczywającą na trawie i rozwinął ją.

Don Carlo ujrzał niewyraźne czarne smugi i plamy.

- Co to oznacza? - zapytał.

- Czy nie widzisz, senor?

- Przyznam się, że nie!...

- Jest to zgraja dzikich Murzynów, tańcząca swój święty taniec nad brzegiem Nilu!...

- Carramba! - zaklął don Carlo. - Niech mnie diabli porwą, jeśli widzę choćby jednego Murzyna!...

- Oczywiście, że trudno ich zobaczyć - zgodził się Zefirio. - Uroczystość ta odbywa się wśród czarnej jak atrament, bezgwiazdnej nocy egipskiej...

Tego było już za wiele dla don Carla. Zaciął konia i ruszył galopem, nie oglądając się za siebie.

Oddział ruszył w ślad za nim.

- Senor Cevenna! - rozległo się wołanie Zefiria, Senor Cevenna, zaczekaj chwilę... Jeszcze przecież nie skończyłem... Jestem również ornitologiem, botanikiem i ...

- Idź do wszystkich diabłów! - warknął wściekle dowódca żandarmerii i wbił ostrogi w bok swego wierzchowca...

Nie ujechał jednak zbyt daleko, gdy nagle do uszu jego doleciał rozpaczliwy krzyk:

- Na pomoc!... Ratunku!... Ratunku!...

Don Carlo odwrócił głowę. Widok jaki ukazał się niespodziewanie jego oczom,

zmusił go do gwałtownego ściągnięcia cugli.

Sztaluga była wywrócona, Zefirio zaś wydzierał się rozpaczliwie jeźdźcy w masce i w czarnym zawoju na głowie.

Walka była krótka. Zamaskowany jeździec porwał biednego malarza i przerzucił go przez siodło. Następnie smagnął konia i ruszył galopem. w stronę skał.

- Zorro porwał Zefiria! - ryknął Carlo Cevenna. – Naprzód żołnierze... Musimy go schwytać!...

Oddział zawrócił i ruszył z kopyta z ślad za umykającym jeźdźcem w masce.

## Odszkodowanie

Rumak gnał jak wichra, pomimo podwójnego ciężaru.

- Jeden najmniejszy ruch - syczał przez zęby zamaskowany jeździec - a już będzie po tobie, senor!...

- A czy mogę mówić? - zapytał pokornie Zefirio.

- Ile ci się żywnie podoba!...

- Czy mogę również zadać ci pytanie, senor?

- Nawet dziesięć!....

- Nie, wystarczy tylko jedno, a mianowicie, kto jesteś, senor? - Czy nie poznajesz?

- Nie!...

- Jestem Zorro!...

- Zorro?

- Tak!...

- We własnej osobie?

- Chyba że nie w obcej - zaśmiał się jeździec w masce.

- Och! - jęknął młody Corti. W takim razie źle ze mną... - Bardzo źle! - zgodził się tajemniczy jeździec, oglądając się za siebie, by się przekonać, czy ścigający go oddział żandarmów pozostał daleko w tyle.

- Co chcesz uczynić? - pytał dalej Zefirio, wzdychając żałośnie. - Obedrę cię ze skóry i osmagam biczem!...

- Aj, aj! - jęknął biedny młodzieniec. - Już czuję, jak to boli... Nie rozumiem jednak, szlachetny senor Zorro, co ci z tego przyjdzie?... Jaką korzyść będziesz miał z mej skóry?... Co ona jest warta?

- Dla mnie ani ćwierć peso - przyznał jeździec w masce. - Ale pewna senora, imieniem Frasquita, zapewnia, że widok senora Zefiria odartego ze skóry sprawi jej niewypowiedzianą przyjemność...

- Frasquita? - zadziwił się Zefirio. - Jaka Frasquita? - Żona Josego Cardilli!...

- Ach! - wyrzekł Zefirio i zamilkł.

Rumak gnał pomiędzy nagimi skałami. Jeździec kluczył, zawracał w prawo i w lewo, starając się umknąć przed ścigającym go oddziałem don Carla Cevenny. Wreszcie mu się to udało. Żandarmi pozostali daleko w tyle. Stracili go z oczu i podążyli w fałszywym kierunku. Zamaskowany jeździec odetchnął z ulgą, po czym zawrócił i wyjechał z powrotem na drogę.

Przeciął ją na ukos, zmierzając w stronę lasu, a gdy znalazł się pomiędzy drzewami, pognął na zachód.

Drzewa rzedyły w miarę tego, jak koń posuwał się naprzód i wreszcie oczom jeźdźca ukazał się bezbrzeżny step. Tuż obok lasu stał niewielki, otwarty powóz. Siedziała w nim kobieta.

Jeździec pogalopował w stronę powozu i zatrzymał się przed drzwiczkami.

Zefirio poznał Frasquitę.

- Dziękuję ci, Gardenio, to jest chciałam powiedzieć, senor Zorro - odezwała się Frasquita, wysiadając. - Dziękuję ci, że swym zwyczajem ująłeś się za biedną wdowę, pokrzywdzoną przez tego gagatka...

- Hm - mruknął Zefirio.- Sądziłem, że przebywasz w Lizbonie, senoro Frasquito...

Zamaskowany jeździec strącił go z siodła. Zefirio upadł na ziemię.

- Wstawaj, senor - rozległ się groźny głos jeźdźca, który ujął w ręce długi bicz z bawolej skóry. - Pogadamy!

Zefirio nie podnosił się z ziemi, zrzucony brutalnie z siodła.

- Wstawaj, senor! - zabrzmiał powtórnie ochryply głos zamaskowanego jeźdźca. - Wstawaj, pogadamy!...

A gdy Zefirio nie spieszył się, Frasquita trąciła go z całej siły nogą, wołając:

- Wstawaj, nędzniku, i spójrz prosto w oczy nieszczęsnej wdowie!...

Zefirio dźwignął się.

- Czego chcesz ode mnie, senora?: zapytał pocierając boki. - Co uczyniłem ci złego, że mnie maltretujesz?

- Muszę znać prawdę, całą prawdę - Frasquita przystąpiła doń z zaciśniętymi pięściami. - Co się stało z Josem! ...

Młody Corti wzruszył ramionami.

- Skoro nazywasz siebie nieszczęsną wdową, to chyba dobrze wiesz, że Jose nie żyje!...

- Nie żyje!... Nie żyje! - wrzasnęła kobieta. - Tyś go zabił, łotrze!... Tyś wszystkiemu winien, bowiem wydałeś go w ręce don Alvareza, wysłałeś mnie do Lizbony, po czym zamordowałeś mego biednego Josego.

- Nie mogłem go zamordować - zaprzeczył młodzieniec. I nie zamordowałem go z tej prostej przyczyny, że gdy Jose wymknął się z więzienia, ja pozostałem na jego miejscu w celi...

Frasquita nie spodziewała się tej odpowiedzi. Na chwilę zabrakło jej słów. Dopiero

śmiej jeźdźca w masce przywrócił jej przytomność umysłu.

- Nie zabiłeś go własnoręcznie - krzyknęła ze złością - ale wydałeś odpowiednie polecenie swym przyjaciołom! To oni go zabili, za twoją namową...

- Ani ja, ani moi przyjaciele - odparł Zefirio. - Jose zginął z własnej winy... Ubrdał sobie, że pewna hrabianka oraz księżniczka są w nim zakochane bez pamięci... Za żadne skarby świata nie chciał opuścić Saragossy... Oczywiście, ani mu się śniło jechać do ciebie. „Moje arystokratki!” - wołał. „Ja muszę zobaczyć się z mymi arystokratkami!”... Całkiem mu się przekreśliło w głowie... Dopiero Motelo zwabił go do karocy, w której znajdowali się moi dwaj przyjaciele, obezwładniono go i karoca ruszyła do Lizbony. - Westchnął. - Lecz Jose stracił zupełnie rozum - ciągnął dalej. - Nie bacząc na to, że w Saragossie groziła mu gorota<sup>6</sup>, koniecznie chciał powrócić... Otóż nad ranem, korzystając z chwili nieuwagi swych strażników, wyskoczył z powozu... Na nieszczęście karoca toczyła się nad przepaścią i Jose runął na dół...

- Łzesz, łzesz! - wrzasnęła Frasquita. - Nie wierzę ani jednemu twemu słowu... Tyś kazał strącić go w przepaść!...

- Dlaczego miałbym to uczynić? - zapytał Zefirio.

- Ja ci powiem dlaczego!... Bałeś się jego zemsty... Drżałeś ze strachu, iż mój biedny Jose ucieknie z więzienia i zemści się na tobie!... Lecz zamaskowany jeździec miał już dość tej sprzeczki.

- Hola, Frasquito! - zawołał niecierpliwie. - Dość tej gadaniny... Zabił czy nie zabił, mało mnie to obchodzi... Grunt, by zapłacił, co się należy i niech sobie idzie do diabła... Nie zapominaj, że czatuję nań od wczesnego ranka i jakem Zorro, spać mi się chce diabelnie... Po prostu oczy mi się kleją... Załatw czym prędzej sprawy finansowe i wracajmy do Saragossy...

- Chwilkę cierpliwości, Gardenio... chciałam powiedzieć Zorro - rzekła Frasquita. - Zaraz dojdziemy do sedna sprawy.

- Dojdziemy do sedna sprawy - powtórzył jak echo Zefirio. - Mianowicie, puścisz mnie Frasquito, a ja powrócę do mych sztalug!...

Frasquita roześmiała się szyderczo.

- Owszem, puszcę cię, senor - rzekła - ale pod warunkiem, że zapłacisz mi odszkodowanie za śmierć mego biednego Josego.

- Odszkodowanie? - zapytał Zefirio. - Jakie odszkodowanie? -Sto tysięcy peso!

Z ust jeźdźca w masce wydarło się jakby końskie rzenie. Gardenio był zachwycony.

---

<sup>6</sup> Kara śmierci

Zefirio podrapał się w głowę.

- Sto tysięcy peso? - jęknął.- Ładna sumka, ale ja jej nie mam, niestety!...

- Nie masz? - zawołała kobieta z groźbą w głosie. - Dobrze, w takim razie tutaj obecny Zorro obedrze cię żywcem ze skóry i osmaga biczem.

Młody Corti złożył błagalnie ręce:

- Aj, aj, senor Zorro - jęknął. - Chyba tego nie uczynisz!... - Uczynię! - odpowiedział rzekomy Zorro grubym głosem. - Obedrę ze skóry, pokroję w drobne kawałki i osmagam każdy kawałek z osobna, a potem zaleję wrzącą oliwą!...

- Litości - jęczał Zefirio. - Chyba nie zrobisz tego, wielmożny senor Zorro!...

- Zrobię!...

- Nie zrobisz, bo skąd weźmiesz wrzącą oliwę na tym pustkowiu?..

Uwaga ta zastanowiła Gardenia.

- Racja - mruknął. - Nie mam, niestety, wrzącej oliwy... Więc co zrobić, Frasquito?..  
Może puścimy go wolno?

- Niedoczekanie! - wrzasnęła żona Cardilli. - Muszę mieć te sto tysięcy... Daj mu nauczki biczem, Gard... Zorro!...

- Nie, nie, senor Gard... Zorro!... - zawołał jękliwie Zefirio. - Nie bij mnie, proszę cię... Nie mam pieniędzy, natomiast ofiaruję ci rzecz wielokrotnie wartościowszą niż sto tysięcy peso.

- Ciekaw jestem! - mruknął Gardenio. - Jaką to rzecz możesz mi ofiarować?.. Czy ona jest ze szczerego złota?

- Lepiej, wielmożny senor!

- A więc wysadzana diamentami?

- Tak, senor! - potwierdził skwapliwie Zefirio. - Wysadzana diamentami mego geniuszu...

- Co to takiego?

- Obraz namalowany przed chwilą. Przedstawia burzę na morzu oraz zatoniętą armadę króla Filipa!...

- Daj mu nauczki, Gardenio - wrzeszczała megiera. - Czy nie widzisz, że kpi z nas?

Gardenio ujął bicz, ale w tej samej chwili Zefirio był już przy nim... Błagając go o litość, przerażony młodzieniec wczepił się weń tak mocno, że jeździec nie był w stanie zamachnąć się biczem.

- Zlituj się nade mną, wielmożny senor Zorro - jęczał Zefirio, czepiając go się rozpaczliwie. Nie bij mnie!...

- Puść, łajdaku! - ryczał Gardenio. - Czy nie widzisz, że drzesz na mnie odzież?..

Ale przerażony młodzieniec ani myślał ustępować. Czepiając się z rozpaczą ubrania jeźdźca, ściągnął go z konia na ziemię. Nie przestawał przy tym, jęcząc i zawodząc, błagać go o litość.

- Carramba! - ryczał Gardenio. - Dobrze już, dobrze, daruję ci życie... Przysięgam, że nie osmagam cię biczem, przeklęty tchórze, ale puść mnie wreszcie!...

Zefirio dostał paroksyzmu strachu. Nie bacząc, że jego prześladowca obecnie znalazł się sam w złej sytuacji, czepiał się go oburącz w dalszym ciągu, jęcząc, zawodząc i skamłając o zmiłowanie.

W tych homeryckich zmaganiach całe ubranie Gardenia poszło w strzępy. Maski i zawój dawno już były zdarte, a bicz leżał daleko. Nieszczęsny rabuś przedstawiał opłakany widok, ale sytuacja była tym dziwniejsza, że Zefirio ciągle jeszcze jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z tej nowej sytuacji.

- Czcigodny, dobry, szlachetny senor Zorro - zawodził drżącym głosem, nie przestając jednocześnie zdzierać zeń resztki odzieży. - O, błagam cię na wszystko, nie czyni mi krzywdy... Wysłuchaj mnie, o senor, wysłuchaj mego błagania... Czemu mi nie odpowiadasz?.. Miej litość nade mną!...

A Gardenio aż ochrypl od krzyku:

- Łotrze, łajdaku, przecież nic ci złego nie robię!... Patrz, coś mi narobił?.. Rozebrałeś mnie do naga i całego poraniłeś... Puśćże mnie wreszcie, przeklęty tchórze, bodaj cię ziemia pochłoneła!...

Frasquita jak skamieniała przypatrywała się tej dziwnej scenie, nie wierząc własnym oczom. Sądząc według rozpaczliwych krzyków młodego Cortiego, nieszczęśnik ten był nieludzko katowany. A przecież rzecz miała się wręcz odwrotnie. Co prawda Zefirio padał na kolana, ryczał i wił się ze strachu, a jednak nie on, tylko właśnie Gardenio był tym uszkodzonym. Ubranie jego dawno zostało podarte na strzępy, krew sączyła się z licznych zadrapań i okaleczeń, a przestraszony Zefirio miotał nim jak marionetką, nie przestając ryczeć:

- Ratunku, litości senor Zorro!... Oszczędź mnie... Oszczędź jedyne dziecko mego ojca oraz przysłego ojca moich dzieci!...

Po prostu było nie do uwierzenia, że siłacz Gardenio, który podobno gwałcił żelazne podkowy, dał się w ten sposób urządzić przez skamlącego o litość tchórze.

Opryszek przeklinał i ryczał nie mniej głośno od Zefiria, ale ten był głuchy i ślepy na wszystko. Wreszcie Gardenio wydarł się z rozpaczliwych objęć młodzieńca i pognął jak



szalony w stronę lasu.

Zefirio zamarł w bezruchu, spoglądając w ślad za uciekającym.

A gdy naga postać skryła się pomiędzy drzewami, Zefirio zawrócił i biegnąc ku Frasquicie, wołał:

- Senora, senora, on zwariował, zupełnie zwariował!... O Boże wielki, miej go w swej opiece... tego grzesznika!... Przewidywałem, że konne harce w masce w końcu padną mu na umysł... Wielkie nieba kto by pomyślał, że Zorro, ten odważny Zorro, rozbierze się ni stąd, ni zowąd do naga i rycząc pobiegnie do lasu!...

Lecz Frasquitę ogarnęło przerażenie na widok biegnącego w jej stronę Zefiria. Pozostawiając swój powóz na łasce losu, zaczęła uciekać wydając przeraźliwe okrzyki.

- O matko! - jęknął Zefirio. - I ona również postradała rozum!... Muszę ją ratować.

Rzucił się w pościg za nią i niebawem dogonił na skraju lasu.

- Senoro Frasquito! - zawołał chwytając ją wpół. - Na wszystkich świętych, co się z tobą dzieje?.. Czemu uciekasz?.. - Przecież nikt nie zamierza wyrządzić ci najmniejszej krzywdy!.. Nie obawiaj się, ten szaleniec nie wyjdzie z lasu... A jeżeli nawet, to mam przy sobie pistolet!...

Zaprowadził ją siłą do powozu, posadził na przednie siedzenie, sam ulokował się obok niej i ujął lejce. Uprzednio jednak przywiązał konia Gardenia.

Powóz ruszył kierując się w stronę drogi. Ledwie jednak minął pierwszą grupę drzew, gdy nagle z gąszczu wyskoczyła naga postać, wołając:

- Łotrze, łajdaku; nędzniku!... Zatrzymaj się... zaczekaj na mnie... Nie pozostawisz mnie chyba wśród lasu w tym stanie!...

- Senora, zamknij oczy! - ryknął Zefirio. - Zamknij oczy i odwróć głowę... Ten nieszczęsny obłąkaniec biegnie za nami.

- Zatrzymaj się, senior! - zawołała Frasquita, chwytając go za rękę. - Musimy go zabrać z sobą!...

Ale Zefirio zaciął konie i powóz pomknął podskakując na każdym kamieniu przydrożnym.

- Zatrzymaj konie! - wołała Frasquita.

- Żeby mi szaleniec głowę ukreślił?..

- On nie jest szalony!...

- Jak to! Czyś nie widziała na własne oczy, co się z nim działo? Powóz toczył się coraz szybciej. Zefirio skręcił w pewnej chwili w lewo i zetknął się z oddziałem żandarmerii.

Carlo Cevenna osadził konia, nie wierząc własnym oczom.

- Czy mnie wzrok nie myli? - zawołał zdumiony. - Czy to senor Zefirio we własnej osobie?.. I do tego w powozie, w towarzystwie kobiety?..

- Tak, don Carlo - odpowiedział Zefirio, zatrzymując powóz. - To ja we własnej osobie!...

- Przecież widziałem, jak porwał cię Zorro! Czyżby zwrócił ci wolność?

Zefirio machnął ręką.

- Zorro postradał zmysły - oświadczył krótko. - Zrzucił z siebie odzież i w podskokach pobiegł do lasu.

- Cooo? - pułkownik nie wierzył własnym uszom.- Co ty wygadujesz, młodzieńcze?

- Mówię czystą prawdę - odparł Zefirio. - Ta senora może poświadczyć, że nie kłamię, była bowiem świadkiem tej sceny!...

Frasquita bladła i czerwieniła się na przemian. Ogarnął ją paniczny lęk. Jedno słowo Zefiria o tym, że do spółki z Gardeniem chciała wymusić na nim okup, wystarczy, by powędrować do więzienia.

- Czy to prawda, senora? - zapytał don Carlo.

Zadrzała, gdyż wzrok don Carla, nawet wówczas gdy był spokojny, przypominał spojrzenie rozwścieczonego tygrysa.

- T... tak!.. - wyjąkała..

- Zrzucił z siebie odzież?

- T... tak!...

- I uciekł do lasu?

Kiwnęła głową, nie była bowiem w stanie odezwać się ani słowem.

- Czy jesteś pewna, że był to Zorro we własnej osobie? – badał dalej don Carlo..

Zefirio odpowiedział za nią:

- Ależ tak, pułkowniku - zapewnił. - Jakże senora może w to wątpić, skoro zatrzymał jej karocę i. zażądał pieniędzy. Całe szczęście, że dostał nagłego obłądu, inaczej bowiem nie wyobrażam sobie, jakby się to wszystko skończyło!

- Naprzód!.- ryknął don Carlo, zwracając się do swego oddziału. - Co koń wyskoczy, do lasu... Musimy go mieć!

Ruszyli galopem we wskazanym przez Zefiria kierunku i niebawem natrafili na nieruchomą postać leżącą pod drzewem.

- Nie żyje! - zawołał don Carlo zeskakując z konia. - Carram ba, a to pech!

Ale postać poruszyła się.

W mgnieniu oka żandarmi otoczyli ją ze wszystkich stron. Trzydzieści par rąk

wyciągnęło się ku niej. Chwycono ją za ręce i nogi.

Śpiący człowiek otworzył jedno oko i wymamrotał sennym głosem:

- Do tysiąca diabłów, czy pozwolicie mi nareszcie wyspać się jak należy?.. Od wczesnego rana nie zmrużyłem oka...

Don Carlo zaklął siarczyście...

- Zefirio mówił prawdę - wołał. - Zorro rzeczywiście stracił rozum!...

Śpiącego bez przerwy Gardenia przywieziono w triumfie do Saragossy. Po drodze śpioch ani przez chwilę nie raczył przerwać swej drzemki.

Ledwie ujrzano jego bezmyślną fizjonomię, a jeden wielki wybuch śmiechu wstrząsnął murami Saragossy..

- Cha, cha! - śmieli się ci, co znali dzielnicę nędzy. - Ależ to jest Gardenio, śpiący Gardenio!... Jakże to możliwe, by ten nicpoń był Zorzą, skoro prawie zawsze można go znaleźć śpiącego pod schodami u matki Mehul...

Niewinność jego była tak oczywista, że gubernator nie chciał nazajutrz nawet słyszeć o nim.

Przepędzono go więc celnym kopnięciem z więzienia. Od tego kopniaka Gardenio zupełnie wytrzeźwiał i udał się prosto do mieszkania Frasquity.

Megiera przyjęła go niezbyt życzliwie. W jej oczach Gardenio okrył się śmiesznością.

- Jesteś zdolny tylko do czatowania na przechodniów w zaułku - oświadczyła z pogardą. - Nie mogę zapomnieć tej sceny, gdy uciekałeś jak szalony przed tym tchórzem, który błagał cię o litość...

- Bodaj go piekło pochłonęło! - mruknął zawstydzony opryszek. - Póki żyję, nie miałem do czynienia z podobnie stalowymi kleszczami... Słyszałem, iż strach ma wielkie oczy albo że dodaje skrzydeł, nigdy jednak nie słyszałem, by pomnażał stokrotnie siły... - Co ty wygadujesz?

- Przysięgam, że nie kłamię! Podobno nie jestem cherlakiem, a jednak muszę przyznać, że ten trzęsący się ze strachu Zefirio miał w sobie siłę olbrzyma... Miałem wrażenie, że jakaś wielka maszyna porwała mnie w swe tryby; miota na wszystkie strony... Gdyby nie skomlał czepiając się mnie rozpaczliwie, przysięgłbym, że czyni sobie ze mnie igraszkę... Czulem, iż życie ze mnie uchodzi, ten przeklęty tchórz gotów był ze strachu wytrząść ze mnie duszę!...

Tępe zdumienie malowało się na jego zbójeckiej twarzy, gdy zakończył:

- Póki żyję, nie przytrafiło mi się coś podobnego!... Frasquita medytowała nad czymś.

- Kto wie - odezwała się po chwili - może ten Zefirio wcale nie jest takim tchórzem,

na jakiego wygląda? Prawdę mówiąc, cała ta scena wydała mi się mocno podejrzana... Wyglądało jak gdyby odgrywał komedię strachu i przerażenia...

- Czołgał się przecież na kolanach przede mną - zauważył Gardenio.

- To nic nie znaczy!... - odparła. - Czołgał się i wołał o litość, a jednocześnie zamieniał twój ubiór w strzępy i ciskał tobą jak piłką... Nie, nie - potrząsnęła głową - to mi się nie podoba, to...

- I mnie również! - przyznał. - Jeśli twoje przypuszczenie byłoby prawdą, wówczas ten Zefirio jest bardziej niebezpieczny niż na to wygląda!

- I ja tak sądzę. Dlatego też należy na przyszłość przedsięwziąć pewne środki ostrożności!...

Gardenio drgnął.

- He? - zapytał niepewnym tonem. - Chcesz, bym powrócił jeszcze do tej sprawy?.

- Oczywiście! - rzekła stanowczo. - Ani mi się śni pozostawić senora Zefiria w spokoju. Nie zapominaj, że chodzi tutaj o całe sto tysięcy... Czy wyobrażasz sobie, jaki to majątek?

- Wyobrażam sobie - mruknął. - Ale nie mam najmniejszej chęci gnać powtórnie w adamowym stroju do lasu. Pod schodami u matki Mehul jest mi dużo wygodniej i bezpieczniej!

- Głupcze! - wybuchnęła zrywając się ze swego miejsca. - Czy i ciebie również tchórz obleciał? Cha, cha, to dobre - roześmiała się szyderczo. - Tego jeszcze nie było: tchórz boi się tchórza!

- Wcale się nie boję - zaprzeczył opryszek. - Ale nie chcę się przeziębic, wolę uniknąć kataru...

Kobieta spojrzała nań z miażdżącą pogardą.

- Nie obawiaj się - syknęła. - Teraz on ci nie zedrze ubrania. Pojedziesz nie sam... Jest jeszcze ktoś, kto będzie ci towarzyszył!...

- Nie potrzebuję niańki! Nie pojedę i basta.

- Ale z Galeną chyba pojedziesz!

- Z Galeną? - twarz Gardenia ożywiła się. - Galena pojedzie z mną?

- Tak!

- Przecież opuścił podobno Aragonię!

- Powrócił!

Gardenio odetchnął z ulgą i zatarł ręce.

- Tak, to co innego! - rzekł. - Skoro Galena jedzie ze mną, to nie pozostaje mi nic

innego, jak jechać z Galeną!

- A więc zgadzasz się?

- Oczywiście! Z Galeną pójdę choćby do piekła... Czy nie wiesz, że jest to mój były profesor, który nauczył mnie uczciwego rzemiosła? Gdyby nie jego nauka, zszedłbym dzisiaj na psy... I kto wie, może nawet musiałbym pracować!

## Za jednym zamachem

Drogą wiodącą do Leridy podążali dwaj jeźdźcy w pełnym uzbrojeniu. Dzikie ich twarze miały wyraz skupionego napięcia. Oczy niespokojnie biegały we wszystkich kierunkach, bacznie czegoś wypatrując.

- Trudno go znaleźć - odezwał się Gardenio. - Dwa dni tłuczemy się na siodłach... Jak uważasz, Galena, czy dostaniemy go w swe ręce?

Galena mruknął coś niewyraźnego w odpowiedzi.

Wtem żelazną garścią chwycił ramię Gardenia.

- Prędko w zarośla - szepnął. - Słyszę tętent większego oddziału galopującego w naszym kierunku! Śpiochowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Skręcił konia w lewo i ukrył się w gąszczu, a Galena poszedł w jego ślady.

Drogą galopował oddział wojska z gubernatorem i dowódcą żandarmerii na czele.

Bandyci, sami nie będąc widzialni, przyglądali się uważnie przejeżdżającym, a gdy wreszcie oddział minął ich, powrócili na drogę i ruszyli w przeciwnym kierunku.

- Mam przecucie, że niebawem natrafimy na czcigodnego senora Zefiria - odezwał się Gardenio. - Pijawka ta kręci się zawsze w pobliżu uzbrojonych oddziałów!

Od owej pamiętnej sceny na skraju lasu, Gardenio nie nazywał Zefiria inaczej niż pijawką.

Podążali w kierunku Leridy.

- Jacyś dwaj jeźdźcy na trakcie! - zawołał Gardenio, wpatrując się w dwie ruchome postacie.

- Masz dobry wzrok, chłopcze - rzekł Galena. - Lepszy od mojego. Powiedz, czy są to wojskowi czy cywilni?

- Cywilni!...

Galena roześmiał się krótkim, chrapliwym śmiechem. Staremu rycerzowi szerokich dróg aż zaświeciły się oczy do łatwej zdobyczy.

- Cywilni?.. Hej, a co powiesz, synu, gdyby ich tak podskubać odrobinę, zanim nie schwytamy Zefiria.

- Nie miałbym nic przeciwko temu. Wyglądają mi na zasobnych jegomości. Szczególnie ten tłuścioch musi mieć dobrze wypchaną kiesę, bo ten chudy wygląda na nędzarza. To jacyś spokojni obywatele! ...

- A więc naprzód! - zawołał Galena, spinając konia ostrogami. - Musimy się uwijać, z

jednej bowiem strony gubernator oraz pułkownik krążą w pobliżu, a po drugie, Zorro nie lubi, gdy się poluje na jego terenach!...

Pognali prosto na spokojnie jadących obywateli.

Jeden z nich dosłyszał tętent i odwrócił głowę. Dosłyszał pędzących desperadosów i zawołał:

- Spójrz, Porfirio, zdaje się, że ci dwaj mają do nas jakiś nagły interes!...

- Rzeczywiście, Malibran!... Ale gęby tych ludzi wcale mi się nie podobają...

- Bo też są to desperadosi - zauważył tłusciuch flegmatycznie. - Patrz, sięgają po pistolety!...

- Czy stawimy im czoło?

- Na razie pobawimy się z nimi nieco, a później zobaczymy!... - Uciekajmy więc!...

Zawrócili konie i zaczęli umykać w kierunku doliny.

- Uciekają! - krzyknął Galena. - Naprzód za nimi!

Zaczęli okładać swe konie, Porfirio i Malibran byli od nich oddaleni o jakieś pięćset kroków, ale przestrzeń dzieląca ich od prześladowców zmniejszała się szybko.

Gnali polem. Galena i Gardenio minęli ostatnie głązy przydrożne. - Stać! - ryknął Galena. - Zatrzymajcie się, bo strzelamy!... W chwili jednak gdy minęli głązy, wysunęła się spoza nich postać jeźdźca w masce.

Był to Zorro.

Nie dotknął swego rumaka ostrogami ani biczem. Wydał tylko krótkie cmoknięcie i szlachetne zwierzę pomknęło jak wichur za desperadosami. .

Scena przedstawiała się następująco. Na przedzie sunęli Porfirio i Malibran. Za nimi gnali dwaj desperadosi, którzy nie przeczuwali, że z kolei ścigani są przez Zorrę.

Przestrzeń między bandytami a ściganymi zmniejszała się szybko, ale jeszcze szybciej zmniejszała się przestrzeń pomiędzy bandytami i Zorrą..

- Mamy ich! - ryczał Galena. - Ha, łotry, czekajcie, zadamy wam bobu!...

Desperadosi pędzili obok siebie. Wpatrzni w swe ofiary, nie dosłyszeli tętentu pędzącego tuż za nimi rumaka Zorry.

- Strzelaj Gardenio! - wołał stary zbój. - Strzelaj mierząc w konie!....

Unieśli jednocześnie pistolety, ale w tej samej chwili stał się nieprzewidziany wypadek. Czarny rumak wpadł jak burza między ich wierzchowce. Zorro znalazł się pomiędzy desperadosami, rozkrzyżował ramiona, a gdy je zgiął, pod pachami trzymał już dwie głowy zbójców..

Siedział w siodle jak wrośnięty. Uderzył swego rumaka ostrogami. Koń szarpnął się

do przodu. Zorro pognął naprzód, trzymając wciąż głowy desperadosów..

Galena i Gardenio zostali wywleczeni z siodeł. Żelazne ramiona dusiły ich. Daremnie wywijali konwulsyjnie rękami i nogami. Zorro ani drgnął. Pędził na zachód, powtarzając od czasu do czasu:

- Spokojnie, moje rybki, spokojnie!...

Niebawem znalazł się u skraju przepaści i krótkim uściskiem kolan zatrzymał swego rumaka.

- Uprzedziłem ciebie, Galena, oraz innych desperadosów, by nie odważyli się powracać do Aragonii - rzekł. - Jesteście zbrodniarzami i nic z was dobrego nie wyrosnie... Hiszpania zbyt cierpi, by mogła tolerować bandytów!...

Z tymi słowami rozluźnił żelazny ucisk ramion i obaj na pół uduszeni desperadosi polecili w przepaść. Zorro popatrzył w ślad za nimi, po czym zawrócił konia i odjechał..

Śpiący Gardenio zasnął tym razem na zawsze.



## Linia Madryt - Saragossa

Dziwna wieść obiegła całą okolicę, a mianowicie, że niebawem rozpocznie się budowa drogi dla żelaznego potwora - kolei żelaznej. Już od pewnego czasu opowiadano sobie cuda o tej kolei. Że podobno pędzi bez znużenia wiele dziesiątków mil, a żaden najszybszy rumak nie prześcignie jej.

Największe jednak cuda rozpowiadał o niej Zefirio, gdyż podobno widział, a nawet odbył krótką podróż koleją z Madrytu do jakiejś podstołecznej miejsciny.

- Jedzie się w takim małym pudle - opowiadał przygodnym słuchaczom na rynku w Huesco - a na samym przedzie, dymi taka dziwna machina....

- Jakże ona się porusza? - zapytał jeden z nieufnych słuchaczy. - Musi przecież mieć potworną siłę, by udźwignąć szanownego Zefiria wraz z jego całą mądrością ...

Inni słuchacze wybuchnęli głośnym śmiechem, a Zefirio obraził się:

- Jeśli mi nie wierzycie, możecie zapytać moich, tutaj obecnych przyjaciół, Porfiria i Malibrana - rzekł.

Porfirio coś żuł. Wszystkie spojrzenia skierowały się ku niemu. Wypluł więc kawałek żółtego papieru i odpowiedział:

- On mówi prawdę. Możecie mu wierzyć. Ta maszyna ciągnie wiele karet uczepionych jedna do drugiej. A chcecie wiedzieć, skąd bierze się w niej taka siła?.. Malibran poświadczy, że i ja również mówię prawdę... czystą prawdę. Otóż we wnętrzu tej maszyny siedzi diabeł...

- Diabeł? - Oczy obecnych rozszerzyły się. ze zdumienia i przestachu. - Diabeł ciągnie te karety?

Porfirio skinął poważnie głową:

- Tak, najprawdziwszy w świecie diabeł. Siedzi w środku maszyny i kręci koła... Ale to jest praca szalenie nużąca, nawet dla takiego diabła... Toteż dymem i ogniem pluje, sapie i zgrzyta zębami z wściekłości.

Słuchacze kiwali z niedowierzaniem głowami. Szczególnie jeden z nich, Pobello, wysoki i barczysty drab o chytrej twarzy, skórnik z zawodu, uśmiechał się szyderczo i spoglądał z ironią na trzech przyjaciół. Cieszył się opinią bardzo mądrego człowieka i zawsze pierwszy prześladował Zefiria swymi kpinami, ilekroć młodzieniec ukazał się w mieście.

- Dobrze - odezwał się. - Przypuścmy, że mówisz prawdę, senior. Chętnie ci uwierzę, jeśli powiesz mi, w jaki sposób zmuszono diabła do przebywania w tej maszynie?.. Co mu nie

pozwała wyjść z niej i zabrać wszystkich pasażerów z sobą do piekła?

Głos zabrał gruby Malibran:.

- Zaraz ci wytłumaczę, przyjacielu! Historia jest bardzo prosta.

Otóż było to tak: pewien Anglik, nazwiskiem Stephenson czy White, dobrze nie pamiętam, wynalazł magiczne zaklęcie na diabła, po czym zbudował podłużny, zielony kocioł na kołach i zamknął w nim tego gościa z piekła. No i obecnie biedak zmuszony jest pracować za sto koni, co mu się wcale, oczywiście, nie podoba. Ale cóż ma robić, skoro nad nim stoi poganiacz...

- Poganiacz? - słuchacze otworzyli usta ze zdumienia.

- Tak, poganiacz. Nie powiedziałem wam jeszcze, że nad tym kotłem jest mała platforma, a na niej stoi człowiek, którego' jedynym obowiązkiem jest szeptać od czasu do czasu zaklęcia, kiedy diabeł ustaje w swej pracy.

- Ten poganiacz sam jest nieco podobny do diabła. Czarny, umazany sadzami - wtrącił Porfirio. - Aż strach patrzeć, mówię wam!

- Od czasu do czasu poganiacz poi znużonego diabła wodą - ciągnął dalej Malibran. - I trzeba wam wiedzieć, ile kubłów zimnej wody wypija ten nieczysty...

Słuchacze mimowolnie przeżegnali się. Nawet mądry i wszechwiedzący Pobello spuścił z tonu.

- Jakoś nie chce mi się w to wierzyć - rzekł z wahaniem. - Przecież to grzech śmiertelny wdawać się w konszachty z diabłem...

- Tak - potwierdził Zefirio. - Ale cóż robić? Takie już czasy nastały, że nawet sam diabeł musi pracować dla rządu!

Pobello ostatecznie przekonany potrząsnął głową w zadumie.

- Mają podobno budować tutaj drogę dla kolei - mruknął. - Ale te konszachty z nieczystym to nie dla nas!... Nie możemy przecież pozwolić, by pudło z diabłem w środku przejeżdżało przez naszą okolicę... Jestem przekonany, że to ściągnie na nas wszystkich wielkie nieszczęście.

- Bez wątplenia - mruknął Porfirio i zerknął przy tym nieznacznie w stronę Malibrana i Zefiria. - Nie powinniście za żadną cenę dopuścić do tego!

- Przyjaciele i rodacy! - krzyknął Pobello grzmiącym głosem.- Słuchajcie mnie. Dotychczas jeździliśmy konno, na mułach, w karetach i dylizansach... Ale teraz przyszły takie czasy, że wozic ma nas sam diabeł... Czy możemy dopuścić do tego?.. Powiedzcież przyjaciele, czy możemy dopuścić do tego, aby piekielny orszak gnał przez naszą okolicę?..

- Nie możemy! - rozległy się okrzyki dookoła. - Raczej śmierć niż obecność diabła w

naszych stronach!...

- Precz z orszakiem diabelskim!...

Pobello uśmiechnął się z zadowoleniem. Za jednym bowiem zamachem stał się jakoby wodzem tych ludzi. Uważając, że spośród trójki przyjaciół Porfirio jest najmądrzejszy, zwrócił się wprost do niego:

- Poradź mi, senor, jak mam się do tego zabrać! Widzisz przecież, że moi ziomkowie gotowi są pójść ślepo za mną, cóż więc radzisz?...

Porfirio podrapał się w głowę.

- Hm - mruknął w zadumie. - Jest to sprawa zbyt poważna, bym mógł cokolwiek postanowić, nie radząc się mych przyjaciół.

Trzej przyjaciele odeszli na stronę i zaczęli naradzać się szeptem. Narada trwała dość długo, a obecni śledzili jej przebieg z zapartym tchem, choć nie mieli pojęcia o czym Zefirio, Porfirio i Malibran mówili z sobą.

Wreszcie narada się skończyła i Porfirio rzekł do Pobella: - Słuchaj, senor. Ja i moi przyjaciele obmyśliliśmy następujący sposób działania: w przyszłym miesiącu ma się rozpocząć budowa następnego odcinka toru kolejowego. Ale zanim do tego dojdzie, musicie wypuścić diabła na Wolność z jego żelaznego więzienia. Gdy bowiem wypuścicie go, dalsza budowa toru stanie się bezcelowa. Czy zrozumiałeś, senor?

- Zrozumiałem. A więc kiedy? gdzie? i jak należy to uczynić? - Zaraz ci powiem. Od Saragossy na południe wybudowano kilka mil toru. Otóż za kilka dni pierwsza maszyna diabelska ma wyruszyć z Saragossy. Naszym zadaniem jest przybyć do Saragossy i wytłumaczyć mieszkańcom tego miasta, w jaki sposób parowóz, to jest chciałem powiedzieć diabelska maszyna, porusza się.

- Ale jak wypędzimy diabła? - upierał się Pobello. - Przecież nie wystarczy, że ludzie dowiedzą się prawdy!

- Słusznie!... Ale teraz jeszcze nie wyjawię ci sposobu, gdyż wśród mieszkańców Saragossy wielu jest szpiegów don Alvareza i cała sprawa się wyda... Otwarcie linii kolejowej odbędzie się w przyszły piątek!...

- Dobrze - zgodził się Pobello. - W czwartek będziemy wszyscy w Saragossie, a w piątek stawimy się nie opodal diabelskiej maszyny, czekając na twe dalsze rozkazy, senor Porfirio. Jesteś człowiekiem uczonym, toteż nie wątpię wcale, że dobrze nam doradzisz!

- Jak najlepiej, możesz być przekonany - zapewnił go solennie Porfirio. - Zobaczysz, drogi Pobello, że odechce im się, tym przemądrzałym inżynierom, budować tor w okolicy Huesco!...

## Za przykładem królowej

W przeddzień uroczystości otwarcia linii kolejowej, do Saragossy ściągęły liczne rzesze mieszkańców okolicznych miast. Przybyły również gromady ludzi o posępnych obliczach. Byli to mieszkańcy Huesco, Leridy i różnych wiosek i osad. Na ich terenach miał w niedalekiej przyszłości zostać zbudowany tor kolejowy, tym czasem zaś przybyli do Saragossy, by ujrzeć z bliska, po raz pierwszy w życiu, pędzący pociąg...

Zefirio, Porfirio i Malibrán zjawili się również. Ściągnęła ich tutaj wieść, że na otwarciu linii mają być obecni wszyscy dygnitarze Aragonii, nie wyłączając wszechmocnego gubernatora don Alvaręza oraz strasznego pułkownika don Carla Cevenny.

Zefirio i Malibrán zjawili się w pałacu gubernatora. Don Alvarez był tego dnia w niezłym humorze, toteż przyjął obydwu przyjaciół z łaskawym uśmiechem na ustach.

- Witaj, Zefirio Corti! - zawołał zagryzając wargi, za każdym bowiem razem, gdy widział młodzieńca, odczuwał nieodpartą chęć do śmiechu. - Witaj mi, młody bohaterze i ozdobo wszelkiego rycerstwa!...

- Witaj, drogi gubernatorze! - Zefirio postąpił naprzód. - Sądzę, że jutro będzie najpiękniejszy dzień twego życia. - Najpiękniejszy dzień? - zdumiał się. - Czemu to, senor Zefirio?

- Poprowadzić masz przecież ukwiecony. pociąg! Ach, jakże ci zazdroścę tego zaszczytu, gubernatorze!...

Ale don Alvarez nic nie rozumiał. Spoglądał przez chwilę w milczeniu na głupiego Zefiria, po czym zapytał:

- O czym właściwie mówisz? Kto ci powiedział, że mam zamiar poprowadzić pociąg?

- Mój przyjaciel, tutaj obecny Malibrán!

Don Alvarez skierował nań wzrok.

- Tyś mówił, senor?

- Tak! - potwierdził dobrodusznie tłuszcioch. - W Madrycie o niczym innym przecież nie mówią!

- Tak?.. - gubernator zdawał się namyślać. - A co właściwie mówią w Madrycie?

- Mówią na ulicy, w salonach i na dworze, iż wasza ekscelencja dostąpi tego zaszczytu...

- Jakiego zaszczytu, do licha? - zniecierpliwiał się wielkowiedca. - Mówże wreszcie, o co chodzi?

- Jak to? - zawołał tłusciuch. - Czyżbyś nie wiedział, ekscelencjo, że w całej Hiszpanii dotychczas tylko jedna, miłościwie nam panująca królowa Izabella miała sposobność prowadzić lokomotywę?

Don Alvarez otworzył szeroko usta.

- Królowa prowadziła lokomotywę? - wyjąkał..

- Tak, w dniu otwarcia pierwszego odcinka toru kolei madryckiej... Czyż nie wiesz, ekscelencjo, że prowadzenie lokomotywy to największy zaszczyt, o który dobijają się najwięksi ludzie Hiszpanii..,

Don Alvarez potarł czoło:

- Tak, tak - mruknął. - Oczywiście, że wiem o tym, oczywiście... oczywiście...

Malibran w uniesieniu złożył tłuste ręce.

- Ach, gdy sobie przypomnę ten entuzjazm, kiedy lokomotywa ruszyła po raz pierwszy, kierowana białymi rączkami naszej królowej... Ileż było wiewatów, podrzucano kapelusze w powietrze, tłumy ryczały: „Olle, olle, nasza królowa!” A monarchini stała na platformie maszyny, piękna jak bogini, i uśmiechając się bosko, manewrowała różnymi ryglami... To było piękne, to było cudowne!...

- To było cudowne! - potwierdził jak echo Zefirio. - To było piękne!.. .

- Oczywiście... oczywiście - mruczał don Alvarez w rozterce. - To było przepiękne!...

- I od tego czasu najwyższa nasza arystokracja po prostu poluje na podobną okazję... Każdy z nich chciałby choć raz w życiu pójść w ślady naszej królowej... .

- Oczywiście... oczywiście - powtarzał don Alvarez. - Pójść w ślady królowej... To przepiękna tradycja!...

- Niestety, inauguracje kolejowe nie zdarzają się codziennie - westchnął grubas ze smutkiem. - A tak bym chciał, ażeby nasza królowa dowiedziała się pewnego dnia, że Hektor Mondevi de Malibran własnoręcznie poprowadził lokomotywę w dniu otwarcia kolei saragoskiej....

Nagle przypadł do nóg don Alvareza, wołając:

- Miłościwy gubernatorze, gotów jestem ofiarować milion peso za ten zaszczyt... Błagam cię, przyjmij ode mnie te pieniądze...

Przeznaczysz je dla biednych albo ufundujesz klasztor lub kościół...

Don Alvarez odepchnął od siebie kusiciela:

- Czyż oszalałeś, don Hektor!... Ja miałbym zrezygnować z tej jedynej okazji? Czyś zapomniał, że ciążą na mnie święte obowiązki; wielkorządcy?...

- Dwa miliony! - zawołał grubas rozpaczliwym głosem. Mógł śmiało ofiarować setki

milionów, nie miał bowiem dziesięciu peso w kieszeni. - Trzy miliony!...

Gubernator zawahał się. Chciwość walczyła w jego sercu z ambicją.

-Nie, nie! - krzyknął wreszcie. - Za żadne skarby świata!...

Malibran odetchnął z ulgą, w ciągu bowiem ułamka sekundy ogarnął go strach, że don Alvarez zgodzi się jednak, a wówczas sytuacja Malibrana byłaby niezmiernie kłopotliwa.

Udał bezdenny smutek. Odwrócił głowę i rzekł do Zefiria:

- Nic z tego, drogi mój przyjacielu - westchnął ciężko. - Jedyna sposobność wymyka mi się z rąk Nie pozostaje więc nam nic innego, jak pożegnać gubernatora.

Młodzieńcy pochylili się przed don Alvarezem i opuścili komnatę. Ledwie jednak znaleźli się w wielkiej sali recepcyjnej, spojrzeli na siebie i parsknęli śmiechem, ku wielkiemu zgorszeniu obecnych dworzan.

Lecz don Alvarez nie dosłyszał tego wybuchu wesołości, miał bowiem poważniejsze kłopoty na głowie.

- Santa Madonna - jęknął nagle. - Przecież nie potrafię prowadzić lokomotywy...

Podbiegł do ściany i pociągnął z całej siły za sznur od dzwonka. Do komnaty wszedł przyboczny adiutant. Don Alvarez rzucił się ku niemu:.

- Natychmiast sprowadzić mi tutaj maszynistę kolejowego... Sprowadzić mi go tutaj żywego lub umarłego!...

Urwał nagle i zamyślił się na chwilę:

- Zresztą nie... nie... nie trzeba go sprowadzać!... Ja sam udam się do niego. Zaprzęgać konie do karety!...

## Wypędzanie diabła

Tego dnia od samego rana grały fanfary wojskowe. Saragossanie śpieszyli za miasto, gdzie miało się odbyć niezwykle widowisko puszczania w ruch parowozu. Zamiast jednak radosnych lub chociażby zaciekawionych twarzy, widziało się zaciśnięte usta i posępne oblicza. Kobiety, szczególnie starsze, szeptały pacierze, a mężczyźni zgrzytali zębami i zaciskali pięści.

Wśród tłumów krążyli ludzie z Huesco, Leridy, Tudeli, Logrono i okolic, coś szeptali każdemu na ucho i coś tłumaczyli. A każdy z nich patrzył jak w obraz na senora Pobella, który z kolei szukał wszędzie wzrokiem senora Porfiria.

Wreszcie znalazł go nie opodal ogrodzonego miejsca, gdzie brały początek długie i błyszczące szyny kolejowe. Znajdował się tutaj wielki hangar, we wnętrzu którego mieścił się pociąg.

Tłumy skupiły się dokoła ogrodzenia, a Pobello zbliżył się do Porfiria.

- W porządku, senior - szepnął. - Jesteśmy gotowi do dzieła, tylko że nie wiemy, co właściwie mamy czynić, by wypędzić diabła z jego żelaznego pudła na kołach!... Miałeś mi powiedzieć, gdy spotkamy się w Saragossie?

- Dobrze - odpowiedział Porfirio. - Powiem ci. Otóż chcąc wypędzić diabła, należy przede wszystkim zabrać się do samego zaklinacza.

- Zaklinacza?

- No tak, tego, który stojąc nad diabłem, przynagla go do pracy swymi zaklęciami. W chwili gdy poganiacz zostanie unieszkodliwiony, diabeł sam przez dziurę w ziemi ucieknie do piekła.

- Rozumiem, rozumiem - wyszeptał Pobello z zachwytem. - Maszyna ukazuje się, my ściągamy z niej poganiacza, zabijamy go...

- Hop, stój! - zawołał Porfirio. - 'Nie potrzebujecie pozbawiać go życia. Wystarczy, gdy objecie go porządnie i zedrzenie z niego mundur...

- Mundur?

- Oczywiście! Zaklinacz założy lśniący mundur jakiegoś dygnitarza!...

- Czemu to?

- Żeby wzbudzić w diablu większy szacunek. Przecież nawet sam czart nie chciałby słuchać byle kogo!...

- Tak, to prawda!...

- A więc czekajcie na mój sygnał - szeptał Porfirio. - W chwili gdy zawołam: „Olle, gubernator!” ty odpowiesz mi: „Vade retro satanas!”

- Co to jest?

- Precz diable!

- Wolę zawołać precz diable po hiszpańsku, tak będzie łatwiej! - Dobrze. Więc krzykniesz: precz diable! Twoi ludzie rzucą się, naprzód, zwałą bariery, a dalszy ciąg to już do ciebie należy!... Pobello wypiął pierś:

- Wiem, co należy uczynić, senor. Czekam więc na sygnał: Olle, gubernator!...

Porfirio zajął swój posterunek obserwacyjny, a Pobello powrócił do swych ludzi i coś im wyjaśniał szeptem.

Zbliżało się południe. Punktualnie o dwunastej podwoje hangaru otworzyły się szeroko i na światło dzienne wyjechał pociąg ciągnięty i popychany przez żołnierzy. Wagony niewiele większe były od karet, a parowóz wyglądał jak dziecinna zabawka.

- Aaaa!... - rozległo się z tysięcy piersi. Ludzie nie wiedzieli co wpierv podziwiać: czy pociąg, czy też maszynistę w książęcym ubiorze kapiącym od złota.

Don Alvarez stał na małej platformie, a maszynista tłumaczył mu działanie rygli i rygielków. Gubernator słuchał uważnie i w myśli powtarzał wskazania maszynisty.

W kotle buchał ogień, a palacz z niezwykłym zapalem dokładał do ognia. Palacz ten miał dziwnie znajomą twarz, był to bowiem don Carlo Cevenna we własnej osobie.

Nie mogąc dostąpić tego zaszczytu, by poprowadzić pierwszy pociąg jako maszynista, wyjednał sobie funkcję palacza, ubiegając w tej roli don Casarra, starego arystokratę z Saragossy, który ofiarował sto tysięcy peso.

Nawiasem mówiąc, don Casarro, podagryczny starzec, nie miał najmniejszego o tym pojęcia, wcale bowiem nie zamierzał ubiegać się o miejsce na lokomotywie, ale nie na darmo Zefirio miał bujną wyobraźnię.

Spotkał niby przypadkiem dzielnego pułkownika i zapytał go naiwnym tonem:

- Senor Carlo, czy to prawda, że don Casarro ofiarowuje sto tysięcy peso na ten wielki, ogromny zaszczyt?

- Jaki zaszczyt?

- Zaszczyt podsycania ognia w parowozie!...

Don Carlo Cevenna roześmiał się:

- Mogę mu to wyjednać! - zawołał. - Ten stary głupiec sam nie wie, czego chce... Cha, cha, cha, też mi zaszczyt!...

- Cha, cha, cha! - głupkowato zawtórował Zefirio. - I ja też nie mogę zrozumieć, na



czym polega ten zaszczyt! Don Casarro to głupi pyszałek. Sądzi, że skoro królowa Izabella pierwsza poprowadziła pociąg madrycki, a księżę d'Avila bił się z arcyksięciem Aranjuezu o miejsce palacza...

Don Carlo chwycił za rękę mówiącego.

- Czekaj, czekaj, senor Zefirio! - zawołał. - Więc powiadasz, że księżę d'Avila oraz arcyksiężę...

- Bili się o miejsce palacza - powtórzył Zefirio. - Jeden drugiemu przebił szpadą ramię czy nogę, dobrze już nie pamiętam...

- Cóż to za zaszczyt?

- Żaden zaszczyt... Co prawda nasza miłościwa monarchini bardzo lubi, gdy ktoś idzie za jej przykładem...

- Ach, królowa to lubi?..

- Podobno!... Wynagrodziła księcia d'Avila iście po królewsku i rzekła przed całym dworem: Szczególnie drodzy mi są ci dworzanie, którzy biorą ze mnie przykład!...

- Tak powiedziała?

- Tak... Toteż sądzę, że na stanowisko palacza pretenduje w Saragossie co najmniej dziesięciu hrabiów i pięciu markizów. Zefirio mówił w pustkę, gdyż don Carlo zniknął mu nagle sprzed oczu.

I w ten sposób dzielny pułkownik stał się palaczem na parowozie prowadzonym przez don Alvareza.

Porfirio. dostrzegł go w ostatniej chwili. Szybko zbliżył się do Pobella i szepnął mu do ucha:

- Uważaj, senor, czy widzisz tego człowieka pokrytego sadzami i zlanego potem?

- Widzę. Zdaje się, że dokłada drewna do paleniska...

- By diabłu przyzwyczajonemu do skwaru piekielnego nie było zbyt zimno, inaczej nie mógłby pracować!...

- Dobrze! Czy mamy również rozprawić się z tym drugim?

- Tak!

Pobello pobiegł do swych ziomków.

Wojskowa fanfara przestała grać, po czym nastąpiła głucha cisza. Zebrane tłumy czekały w napięciu.

Rozległo się dzwonienie. Był to sygnał, że pociąg rusza. Gubernator przesunął rygiel. Konna eskorta wojskowa uszykowała się po obu stronach lokomotywy.

Pociąg ruszył ze skrzypieniem i łoskotem zderzających się wagoników. I oto nagle

rozbrzmiał głośny okrzyk, podchwycony skwapliwie przez usłużnych dworaków:

- Olle, gubernator! - ryczał Porfirio. - Niech żyje don Alvarez!...

- Precz z diabłem! - odpowiedział jeszcze głośniejszy ryk Pobella, dla którego poprzedni okrzyk był hasłem do rozpoczęcia akcji. - Precz z diabłem!... Wypędzajmy go, chłopcy!...

Ludzka fala zdruzgotała bariery, przerwała kordon eskorty i oblepiła toczący się niezbyt prędko parowozik.

Oddział wojska i policji, aczkolwiek dość silny, nie mógł sobie jednak poradzić ze wzburzonym tłumem, tym bardziej że atak był nieprzewidziany.

Nawet szpiedzy i donosiciele, gęsto rozsiani w tłumie, nie przewidzieli takiego obrotu sprawy.

Ryczący i wyjący tłum otoczył lokomotywę. Don Alvarez znalazł się nagle pośród samych wrogich twarzy, pozbawiony swej wojskowej eskorty.

- Precz! - ryknął. - Jak śmiecie napadać na gubernatora Aragonii?... Precz stąd, kanalie!...

Ale głos jego zginął wśród ogólnego hałasu. Trudno by było poznać wspaniałego gubernatora w tym spoconym i okrytym sadzami mężczyźnie... Dziesiątki par rąk chwyciły go za nogi, co widząc pułkownik Carlo Cevenna wyciągnął pistolet i wrzasnął: - Łotry! Kto pierwszy dotknie gubernatora, łeb mu roztrzaskam! ...

Wołanie to było spóźnione, gdyż nie jeden, lecz dwudziestu ludzi wczepiło się w wielkorządę.

Don Carlo uniósł pistolet. W tej samej sekundzie przyskoczył Pobello, wydarł mu broń z ręki i wyrzucił go z parowozu prosto w ramiona zgromadzonych ludzi.

- Jestem waszym gubernatorem! - grzmiał don Alvarez, błądy śmiertelnie. - Precz stąd, hałastro!...

- Uuu! - wył tłum. - Wypędzić diabła... Precz z zaklinaczem! ...

Okrzyki te były zupełnie niezrozumiałe dla don Alvareza. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tym, gdyż w tej samej chwili został brutalnie ściągnięty z parowozu.

Przy tej czynności poruszono zapewne jakiś rygiel, ponieważ parowóz drgnął jak smagnięty koń i ruszył naprzód.

- Diabeł ucieka! - rozległy się wołania. - Patrzcie, jak diabeł ucieka! ...

A parowóz pędził coraz szybciej, pozostawiając daleko za sobą roznamiętniony tłum. Potem, z braku paliwa, zatrzymał się w szczerym polu.

Fanatyczny tłum zdarł wspaniałe mundury don Alvareza i Carla Cevenny. Gęste razy padały na plecy i głowy obu nieszczęśliwców i nie wiadomo czym by się skończyła ta

opłakana przygoda, gdyby nie nagłe wstawiennictwo Zefiria, Porfiria i Malibrana. .

- Dosyć, dosyć! - wołał Malibran. - Ludzie cofnijcie się!... Zefirio przepychał się, a Porfirio wezwał Pobella na pomoc. Dopiero wstawiennictwo tego ostatniego odniosło pożądany skutek...

- Uciekajcie! - ryczał olbrzym. - Zaraz przybędą posiłki wojskowe i wszystkich was wtrąca do więzienia!...

Tłum rozpierchnął się na wszystkie strony.

A gdy don Alvarez i don Carlo otworzyli wreszcie oczy, ujrzeli nad sobą współczujące oblicza Zefiria, Porfiria i Malibrana.

- Co się stało! - wyszeptał don Alvarez boleśnie, obmacując guzy i stłuczenia na ciele.  
- Stała się katastrofa?..

- O, nie, gubernatorze - wyjaśnił Zefirio. - Nie stało się nic strasznego... Po prostu ciemny lud, który nigdy nie widział pociągu, sądził, że to sprawka diabelska i wpadł w szalony gniew....

- Poranili mnie - jęknął. - Te łotry!...

- Przepraszam - wtrącił Porfirio. - Nie poranili, lecz tylko potłukli! ...

- Wszystko jedno, odpowiedzą za to!...

- Trudno będzie odnaleźć winnych - zauważył Zefirio. - Tłum rozbiegł się na wszystkie strony!...

Cała ta powyższa scena trwała zaledwie chwilę. Tymczasem konny oddział wojska uporał się z tłumem... Policja również nie pozostawała w tyle i wreszcie cały plac został oczyszczony.

Jednocześnie podniesiono potłuczonych dygnitarzy i zaniesiono do powozów. ..

Pułkownikowi zdawało się w ostatniej chwili przed odjazdem, że na twarzach trzech przyjaciół, Porfiria, Zefiria i Malibrana, dostrzegł lekki uśmiech. Ale po chwili dzielny pułkownik doszedł do wniosku, że mu się zapewne tylko tak wydawało...

## Rycerski Malibran

Don Sebastiano Hioro, właściciel dóbr na zachód od Huesco, nie zrezygnował ze swej miłości do Marquity, córki rządcy. Nie pomogło mu to, że wypędził rządcę z majątku i zabrał mu młyn. Zorro, ten przeklęty Zorro, ujął się za pokrzywdzonym, obdarzył go hojnie, a jego, don Sebastiana, jednego z najbardziej poważanych hacjenderów, osmagał biczem jak zwykłego parobka.

Nie pomogło wynajęcie straszliwego Josego Cardilli, który założył maskę i udawał Zorrę. Cardilla został ujęty i zniknął gdzieś bez śladu, a Zorro jak zwykle triumfował.

Tymczasem zaś Marquita kwitła i z dnia na dzień stawała się piękniejsza. Już okoliczni caballeros zwrócili na nią uwagę. Pod jej oknem coraz częściej rozlegały się wśród nocy tęskne dźwięki serenad. Seniorita nie obdarzała jednak nikogo swoją sympatią, a tym bardziej czcigodnego Sebastiana, który ustawicznie kręcił się w pobliżu. Nie poskutkowało widocznie nauczka, jaką otrzymał od Zorry, nie wpływały nań również wstręt i pogarda okazywane mu przez Marquitę oraz jawna nienawiść Juana Rodrigueza, jej ojca. Miłość była silniejsza od ambicji.

Hacjendero żałował, iż przepędził Rodrigueza ze swej siedziby. Doszedł do wniosku, że postąpił zbyt pochopnie, gdyż w ten sposób wykopał pomiędzy sobą a Marquitą przepaść nie do przebycia.

Krążąc w pobliżu młyna Rodrigueza, wzdychał tak mocno, że westchnienia jego słyszeli ludzie w odległości ćwierć mili.

Pewnej nocy posunął swą bezczelność tak dalece, że zakradł się pod okno seniority z gitarą w ręku i zawodził ochryłym od przepicia głosem namiętą serenadę. Skutek tego popisu śpiewaczego nie dał na siebie zbyt długo czekać. Kubel zimnej wody, wylany z okna na jego głowę, orzeźwił go znakomicie, ale nie ostudził bynajmniej miłosnego zapału.

W miarę tego jak czas upływał, ogarniała go coraz większa wściekłość. W całej okolicy ludzie śmiali się z niego, a młodzież ułożyła nawet specjalną piosenkę opiewającą jego miłość do Marquity.

W dzień, wieczorem, czy też rano Zakochany Sebastiano

Z głową łysą jak kolano

Do Marquity mówi tak:

Mam miłości twej dowody Tęgie kije, kubel wody Brak mi tylko tej nagrody Ciebie mi, Marquito, brak...

Pewnego pięknego poranka Marquita wybrała się do Huesco lekkim wózkiem zaprzęgniętym w dwa muły. Piękna senorita jechała sama. Nie śpieszyła się zbytnio.

Oddaliła się już kawałek drogi od ojcowskiego młyna, gdy wtem obok jej pojazdu wyrósł jakby spod ziemi otyły jeździec na olbrzymiej kobyle.

- Witaj, senorito Marquito! - zawołał kładąc jedną rękę na sercu, a drugą zdzierając kapelusz z głowy. - Ach, co za niewysłowione szczęście spotyka mnie dzisiaj... Dzień dzisiejszy zaliczę do najszczęśliwszych w moim życiu!

Marquita drgnęła i smagnęła muły, bowiem jeźdźcem tym był nie kto inny, tylko jej prześladowca, don Sebastiano Hioro.

Nie odpowiedziała ani jednym słowem na zaczepkę, a muły jak na złość, absolutnie nieczułe na smagnięcia batem, zamiast przyśpieszyć, zwolniły.

- Senorito - zaczął z emfazą don Sebastiano, przysuwając się do wozu - czemu unikasz mnie? Czemu jesteś zimna i nieczuła na błagalne jęki mojej duszy? Czyż moja wierna i niezachwiana miłość nie zdoła wzruszyć twego serca, czy nie zdoła stopić lodowego pancerza na twojej piersi?

Marquita odpowiedziała mu z gniewną ironią:

- Unikam cię, senor, gdyż twoja powierzchowność wywołuje we mnie mdłości. Tak, jestem zimna i nieczuła na jęki twojej duszy i nic mnie nie obchodzi twoja wierna i niezachwiana miłość... Przyjmij do wiadomości, że moje serce pozostanie niewzruszone, a lodowaty pancerz na piersi nie stopnieje... A teraz gdy odpowiedziałam już na wszystkie twoje pytania, racz senor uwolnić mnie od obecności twojej osoby!

Pijacka twarz hacjendera posiniała z wściekłości. Szczęki zawarły się kurczowo, a na skroniach wystąpiły fioletowe żyły.

- Szydźisz ze mnie, Marquito? - warknął. - Naigrawasz się z najbardziej wpływowego obywatela okolicy?

- Znam bardziej wpływowego od ciebie, senor! - odparła zimno.

- Kto taki? Kogo masz na myśli?

- Zorrę!...

- Zorrę?..

- Tak, gdyż tylko on potrafił odpowiednio wpłynąć na ciebie za pomocą swego bicza!

Tego było już za wiele dla don Sebastiana. Wydał głuchy pomruk i wyciągnął ramię.

Chwycił Marquitę wpół, szarpnął usiłując wciągnąć ją na swoje siodło.

- Będziesz moja, chcesz czy nie chcesz! - wrzeszczał. - Zamknę cię w swej hacjendzie aż do chwili, gdy kapłan udzieli nam ślubu!...

Marquita zaczęła wydierać się przeraźliwie, wzywając ratunku. - Jesteśmy na pustkowiach - triumfował don Sebastiano, przerzucając ją przez swoje siodło. - Nikt nie dosłyszy twoich krzyków, moja dzika kózko!...

Wtem, tuż za nimi, rozległ się spokojny głos:

- Ale ja dosłyszałem, señor! Dosłyszałem i biegnę na pomoc!

Don Sebastiano odwrócił głowę, z przekleństwem na ustach. Ujrzał otyłego młodzieńca, który świdrował go małymi, żywymi oczkami. W prawym ręku trzymał zwykły kij służący do podpierania się podczas uciążliwego marszu.

- Kto jesteś? - warknął hacjendero. - I jakim prawem wtrącasz się do spraw, które cię nie dotyczą?

- Nazywam się Hektor Mondevi de Malibran - odpowiedział tłuścioch. - A jako hidalgo poczuwam się do obowiązku bronięcia słabej płci.

- Precz! - ryknął don Sebastiano. - Nie radzę ci się wtrącać, młodzieńcze... To jest moja narzeczona!....

- Kłamstwo! - krzyknęła Marquita, wydierając się rozpaczliwie. - Ratunku! Przysięgam, że nic mnie nie wiąże z tym człowiekiem...

- To mi wystarczy - oświadczył Malibran. - Zaraz uwolnię cię, señorito!

Don Sebastiano wbił ostrogi w bok konia, lecz Malibran z żywością, której by nikt w nim nie podejrzewał ze względu na jego tuszę, skoczył naprzód i chwycił za cugle.

- Ani kroku naprzód, kobyłko - zawołał do konia. - Pozwól, że wpięrow porozumiem się z twym panem!

Hacjendero chwycił za pistolet. W tejże samej sekundzie na jego rękę spadł kij Malibrana.

- Aj, aj! - wrzasnął don Sebastiano, wypuszczając broń z ręki. - Bodaj cię piekło pochłonęło... Złamałeś mi rękę!...

- Ty zaś zdręczasz tę biedną senioritę! - odparł tłuścioch i zadał drugi, nie mniej potężny cios kijem.

Don Sebastian o zachwiał się na siodle.

- Trzymaj się mocno łęku siodła, señorito! - zawołał Malibran, okładając gęstymi rękami don Sebastiana. - Nie chciałbym, ażebyś spadła razem z nim na ziemię!...

Przestraszony wierzchowiec miotał się na wszystkie strony, stając dęba i przysiadając na zadzie.

- Spokojnie, spokojnie, Rosynancie <sup>7</sup>- przemawiał łagodnie Malibran. - Nie przeszkadzaj nam w rozmowie!...

Nie przestawał jednocześnie okładać kijem don Sebastiana, który daremnie usiłował zasłonić się przed bolesnymi razami. Wreszcie celny cios w głowę zwałił go z konia na ziemię.

- Gdybyś się wcześniej zgodził opuścić senioritę, nasza rozmowa byłaby zupełnie zbyteczna.

To mówiąc, pomógł Marquicie zsiąść z siodła. Na pięknej twarzy dziewczyny nie było widać ani śladu lęku. Odwrotnie, czyniła największy wysiłek, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

- Uśmiechasz się, piękna seniorito? - zdumiał się tłusciuch. - Cóż widzisz w tym śmiesznego? Marquita wybuchnęła srebrzystym śmiechem.

- Jesteś nadzwyczajny, senior! - zawołała. - Masz niezwykły dar wymowy, skoro potrafiłeś przekonać don Sebastiana w tak krótkim czasie!...

- Zawsze mi mówiono, że urodziłem się na wybitnego mówcę - zauważył skromnie i dodał: - Tak, tak, właśnie na wybitnego, to chyba najwłaściwsze określenie!

---

<sup>7</sup> Imię szkapę Don Kichota. Tu ironicznie.

## Zakochany tłuścioch

Malibran towarzyszył Marquicie aż do Huesco, a gdy - dziewczyna załatwiła wszystkie sprawunki, powrócił z nią do domu. Przed młynem pożegnał się i w zadumie skierował się do hacjendy Anzelma Cortiego.

Zefirio siedział w patiu i ziewał potężnie. Nudził się. Znużenie emanowało z jego twarzy i z całej postaci.

Naprzeciw siedział generał Borrigo d'Artad i głośno czytał „Żywoty sławnych ludzi” Plutarcha.

Malibran wszedł do patia i usiadł w kącie pod kolumnką. W ślad za nim wsunął się Porfirio. Miał widocznie coś ważnego do zakomunikowania młodemu Cortiemu, gdyż stanął za plecami generała i dawał mu jakieś tajemnicze znaki porozumiewawcze, wskazując jednocześnie na Malibrana.

Zefirio odwrócił głowę i spojrzał na swego grubego przyjaciela. Okrągłe oblicze Malibrana miało wyraz niezwykle przygnębiony.

Od czasu do czasu potężna jego pierś wydawała ciężkie westchnienie.

Zefirio zdziwił się.

- Co mu się stało? - rzekł głośno.

Generał uniósł głowę znad książki.

- Komu? - zapytał sądząc, iż pytanie zostało doń skierowane. - Aleksandrowi Macedońskiemu?

Zefirio powstał i zbliżył się do Malibrana.

- Czy jesteś chory, przyjacielu? - zapytał troskliwie, kładąc mu rękę na ramieniu.

Malibran westchnął, ale nie odpowiedział.

Zefirio przyłożył dłoń do jego czoła.

- Nie masz gorączki - orzekł. - Puls również bije równomiernie... - wzruszył ramionami. - Nic nie rozumiem!...

- Melancholia - podpowiedział Porfirio. - Malibran popadł w czarną melancholię!....

- Ha! - rzekł Zefirio. - Wobec tego należy go rozerwać nieco...

- Ale jak? - zapytał Porfirio.

- Mam kilka nowych sztuczek magicznych, które powinny wprawić go w zachwyty!...

- W takim razie śpiesz się - rzekł Porfirio. - Pokaż mu czym prędzej te sztuczki, zanim popełni samobójstwo!



Ledwie Zefirio wyszedł z patia, gdy na zewnątrz dał się słyszeć tętent koni. I po chwili przed hacjendą rozległy się męskie głosy.

Zefirio powrócił trzymając kilka świec. Ustawił je na stole rzędem i zapalił pierwszą z brzegu.

- Uwważaj, Malibran! - zawołał wyjmując pistolet zza pasa i odchodząc na kilka kroków. - Pokażę ci niezwykłą sztukę magiczną...

Malibran podniósł osowiałe oczy i tępo wpatrzył się w rozpaloną świecę.

- Raz, dwa, trzy! - zawołał Zefirio i wystrzelił.

Kula zgasła zapaloną świecę, lecz w chwili gdy pierwsza świeca zgasła od wystrzału, stała się rzecz niezwykła. Sąsiednia świeca zapłonęła jasnym płomieniem, choć nikt jej nie dotykał.

Zefirio strzelił po raz drugi. Również i druga świeca zgasła, natomiast zapaliła się trzecia. I w ten sposób za każdym razem, gdy Zefirio gasił wystrzałem świecę, jakimś cudem zapalała się następna. W reszcie ostatnia świeca została zgaszona.

- Brawo, brawissimo! - rozległ się w drzwiach okrzyk, po czym nastąpiły rześiste oklaski.

Do patia wszedł, brzęcząc ostrogami, pułkownik żandarmerii, prawa ręka don Alvareza, dzielny don Carlo Cevenna.

Czoło i nos miał zalepione plastrami. Były to jeszcze blady po owym niefortunnym występie na parowozie.

- To jest prawdziwy cud! - wołał. - Senior Zefirio, moje uznanie...

- Dziękuję - młody Corti pochylił się w ukłonie. - Posiadam wiele innych sztuk na składzie!

Zwrócił się do Malibrana:

- No i cóż? Jakże ci się podobała ta sztuczka?

- Stary kawał! - mruknął tłuścioch ponuro. - Nieco angielskiego fosforu włożyć w rozszczerzone knoty świec i oto cała sztuka!...

- Nie rozumiem - przyznał się Carlo Cevenna. - Cóż ma wspólnego? "

- Angielski fosfor zapala się przy najlżejszym nagraniu - tłumaczył posepnie Malibran. - Wystarczy ciepło innej zapalanej świecy lub wstrząs od wystrzału!...

- Jak widzę, trudno cię rozerwać - oświadczył Zefirio. - Ale to nie szkodzi. Pokażę ci następną sztuczkę!

Wyszedł i niebawem powrócił niosąc zwykłą, pustą szklanekę oraz spodeczek. Postawił szklanekę na stole i przykrył ją szczelnie spodeczkiem. Następnie oddalił się na trzy

kroki i zapalił cigarillo. Pałac wypuszczał w stronę przykrytej spodeczkiem szklanki kłęby dymu. I o dziwo. Pomimo że szklanka była szczelnie przykryta, zaczęła wypełniać się dymem. W końcu dymu nabrało się tak wiele, że zaczął się wymykać unosząc spodeczek.

- Niezwykłe, nadzwyczajne! - wołał don Carlo, aż oczy mu wyłaziły z zachwytu. - Doprawdy, to jakieś czary!...

Lecz niewdzięczny Malibran mruknął niechętnie:

- Stary kawał! Kilka kropel kwasu siarczanego w szklance oraz spodeczek zwilżony amoniakiem wystarczą, by wytworzyć kłęby gęstego dymu!....

Zefirio nie zrażał się niepowodzeniem.

- Zaczekaj - rzekł. - Coś jeszcze ci pokażę!...

Wybiegł i po chwili powrócił niosąc w szczypcach kawałek rozżarzonego węgla.

- Uwważaj, Malibran! - zawołał i położył rozżarzony węgiel na gołej dłoni. - Widzisz, wcale mnie nie parzy!...

Don Carlo łykał ślinę. Po prostu zaniemówił.

- Stary kawał - mruknął niepoprawny tłścioch. - Wysmarowałeś sobie dłoń gumą arabską, oto cała sztuka!... Guma arabska jest złym przewodnikiem ciepła!...

- Niech cię лихо! - zaklął Porfirio, a Zefirio pokiwał głową:

- Biedny mój przyjacielu... Jeśli teraz nie rozruszam cię, wówczas będziesz zgubiony aż do Sądu Ostatecznego!...

- Nie rozumiesz mnie! - westchnął Malibran i wskazał na lewą pierś. - Ból, który siedzi tutaj, czyni mnie nieczułym na wszelkie rozrywki!...

- Zobaczymy!...

Wziął zwykły spodek i nalał doń czystej wody, po czym zwrócił się do Porfiria, mówiąc:

- Umaczaj palec w tej wodzie i przeciągnij zwilżonym palcem po mojej twarzy.

Porfirio usłuchał.

- A teraz ja uczynię to samo! - rzekł Zefirio. - Umaczał palec i zaczął zwilżać wodą twarz Porfiria.

Po chwili jednak potrząsnął głową i rzekł:

- Nie, Porfirio, ty nie nadajesz się do eksperymentu... Jesteś zbyt brzydki... Do tej sztuki potrzebny mi jest przystojny mężczyzna!...

Wzrok jego padł na pułkownika.

- Senor Carlo! - zawołał. - Pozwól, że zwilżę twoje szlachetne oblicze odrobiną tej czystej wody!...

I zanim don Carlo zdążył coś odpowiedzieć, Zefirio umaczał palec w spodeczku i przeciągnął nim po jego twarzy. Na obliczu srogiego żandarma ukazały się czarne smugi. Zefirio narysował mu czarne jak węgiel wąsy, fantazyjnie zakręcone do góry, następnie namalował olbrzymie kręgi wokół oczu oraz dziwaczne zygzaki na czole i policzkach.

Don Carlo miał teraz niesamowity wygląd; przypominał jakiegoś dzikiego Papuasa lub Indianina na ścieżce wojennej.

Oczywiście, że biedny don Carlo ani podejrzewał, iż woda ta pozostawia ślady niczym czarny tusz chiński.

- No i cóż? - zapytał. - Czy eksperyment się udał?

- Nie - odparł Zefirio. - Nie mam dzisiaj szczęścia do sztuczek.

- Bardzo żałuję - oświadczył don Carlo - ale sądzę, iż uda się następnym razem!...

- I ja również tak sądzę! - A czy można wiedzieć, co cię tutaj sprowadza, pułkowniku?

Carlo Cevenna odchrząknął:

- Otrzymałem skargę od jednego z najznakomitszych obywateli Aragonii - rzekł. - Skargę o napad i pobicie kijem...

- Aa - rzekł Zefirio. - A kogóż to napadnięto i pobito? - Don Sebastiana Hioro!...

- Don Sebastiana Hioro? - zdziwił się Zefirio. - A któż go pobił?

- Twój przyjaciel!

- Mój przyjaciel? To chyba jakaś pomyłka, senor! Ja nie mam takich przyjaciół, którzy napadają i biją spokojnych i czcigodnych obywateli!...

- A jednak don Malibran to uczynił! - upierał się pułkownik. - Zaatakował spokojnego obywatela i obił go kijem!...

Zefirio otworzył usta ze zdumienia i spojrzał na Malibrana.

Tłuścioch, który siedział dotychczas z posepnie zwieszoną głową, ocknął się i skierował wzrok na pułkownika.

Ledwie jednak spojrzenie jego spoczęło na wąsikach fantazyjnie narysowanych na twarzy don Carla oraz innych dziwacznych kołach i kreskach zdobiących to srogie oblicze - po szerokiej twarzy Malibrana przebiegł kurczowy grymas. Wybuchnął niepowstrzymaną kaskadą śmiechu...

- Carramba, Zefirio! - ryczał trzymając się za boki. - Bodaj cię pioruny spaliły, coś ty mu zrobił? O Boże, co za maskarada! W jaki sposób tego dokonałeś?

- Pod talerzykiem znajduje się sadza - odpowiedział Zefirio. - Umaczałem jeden palec w wodzie w talerzyku, a drugi palec w sadzy pod talerzykiem. Cieszę się, że wreszcie spędziłem chmury smutku z twego oblicza!

Don Carlo niewiele zrozumiał z całej tej konwersacji. Ogarnęła go wściekłość na Malibrana, który wyraźnie śmiał mu się w nos.

- Mam nakaz aresztowania cię, senior Malibran - rzekł ostrym głosem. - Za pobicie don Sebastiana Hiora!...

- Dobrze - rzekł Malibran wstając. - Ale uprzedzam cię, senior, że postępujesz zbyt pochopnie z osobą markiza Mondevi de Malibrana, syna gubernatora Majorki!...

Don Carlo zmieszał się nieco, a Malibran ciągnął dalej:

- Obiłem don Sebastiana, stając w obronie donny Marquity Rodriguez, którą ów don Sebastian zamierzał porwać... Uratowałem ją niemal w ostatniej chwili, gdy łotr już przerzucił ją przez siodło. Zaresztuj mnie, a ja natomiast złożę na ręce królowej skargę na ciebie o sprzyjanie porywaczom kobiet!...

Don Carlo zawahał się. Osoba syna gubernatora Majorki to przecież nie byle kto. Należało się zastanowić.

- Przeprowadzę śledztwo - mruknął. - Powiadasz więc, iż Marquita Rodriguez...

- Była mimowolnym świadkiem tej sceny! - rzekł Malibran. - Dobrze!

Odwrócił się i wyszedł wściekły. W ślad za nim poleciał śmiech trzech przyjaciół.

Ledwie wyszedł z hacjendy i zbliżył się do swego oddziału, gdy nagle jego ludzie wybuchnęli równie gwałtownym śmiechem.

Don Carlo zatrzymał się, zgrzytając zębami i zaciskając pięści. Czy oni wszyscy poszaleli? pomyślał. Co ma znaczyć ten obłąkany śmiech?

- P... pułkow... niku - wyjąkał podoficer, „stłumiwszy atak wesołości. - Cała... twarz... umalowana... w niez... niezwykły... sposo... sadzami....

Don Carlo zdrętwiał.

- Zefirio Corti! - wyrzucił z siebie ochryplym z wściekłości głosem. - Ha, łotrze, czekaj, ja ci się już odwdzięczę!...

## Człowiek z płachtą

- Malibran. jest zakochany - szepnął tajemniczo Porfirio do ucha Zefiria. - Nie mam najmniejszej wątpliwości, co do stanu jego serca...

- Kogo mógłby kochać? - głowił się Zefirio. – Czyżby kuzynkę Mercedes?

- Nie! - zaprzeczył Porfirio. - Malibran zakochał się w Marquicie Rodriguez....

- W córce młynarza?.. Ha, wobec tego nie dziwię się wcale, że chodzi jak struty... Marquita jest piękna, lecz nieczuła na męskie wdzięki.. .

- Biedak chudnie!...

- O, to gorzej!... A Marquita znajduje się w niebezpieczeństwie, gdyż don Sebastiano nie zrezygnuje tak łatwo z pięknej dziewczyny!...

O tej samej porze Marquita miała rozmowę z don Carlem Cevenną. Opowiedziała pułkownikowi żandarmerii całe zdarzenie z don Sebastianem oraz Malibranem.

Don Carlo wysłuchał uważnie opowiadania, nie odzywając się ani słowem, choć serce jego wrzało wściekłością. Słuszność postępku Malibrana była oczywista, a na niego, don Carla, spadłaby cała odpowiedzialność, gdyby go aresztował. Toteż szybko pożegnał się i opuścił dom Rodrigueza.

Marquita stanęła przy oknie i w zadumie oparła się o framugę. W myślach odtworzyła jeszcze raz całą scenę z don Sebastianem i wesoły uśmiech znów ukazał się na jej ustach. Ten tłuścioch jest dzielniejszy niż na to wygląda, pomyślała. I nie tylko dzielny, lecz również dowcipny i niezwykle sympatyczny...

I przyłapała się na tym, iż zbyt wiele zajmuje się osobą Malibrana. Wieczór zapadł.

Dziewczyna udała się do jadalni, spożyła z ojcem kolację, po czym zapaliła świece w lichtarzu i powróciła do swego pokoju.

Pokój ten, jak wszystkie prawie pokoje w starych domach hiszpańskich w stylu mauretańskim, był wysoki i otoczony pod sufitem drewnianą galeryjką na kolumnkach.

Światło świec nie docierało do wszystkich zakątków. Oświetlało tylko środek pokoju oraz piękną twarz zadumanej Marquity, W pewnej chwili płomień zadrgał poruszony pędem powietrza, jak gdyby ktoś otwierał drzwi. Dziewczyna nie zwróciła na to uwagi. Nie usłyszała szelestu poza sobą oraz nie dostrzegła postaci mężczyzny, który skradał się ku niej na czubkach palców, trzymając w rękach jakiś materiał. Powstrzymując oddech, niebawem znalazł się tuż za plecami Marquity. Uniósł płachtę nad jej głowę. W tej samej sekundzie u góry na galeryjce rozległ się drwiący głos:

- Śmiało, senior! Śmiało i odważnie... Zarzućże wreszcie tę materię na głowę seniority, by nie mogła krzyczeć ani wzywać pomocy!...

Nocny napastnik znieruchomiał.

Głos z galeryjki należał do Zorry, który siedział spokojnie na poręczy i z uśmiechem patrzył na dół, jakby oglądał niezwykle ciekawą sztukę w teatrze.

- Ciekaw jestem, senior - mówił dalej Zorro, bawiąc się biczem. - Ciekaw jestem, czy twoje zmysły są w porządku. Wymachujesz czerwoną płachtą, choć masz przed sobą piękną senioritę, a nie żadnego byka z korridy!

Głos ten, acz miękki i pieszczotliwy, podziałał na skradającego się mężczyznę jak grom z jasnego nieba. Zdrętwiał, a czerwona płachta falowała w jego drżących rękach.

Marquita odwróciła się raptownie na dźwięk głosu Zorry...

Oczom jej ukazała się dziwna scena.

Ujrzała nieznanego mężczyznę, który stał tuż za nią z czerwoną chustą w rękach. Człowiek ten dygotał i był śmiertelnie blady.

Unosząc wzrok do góry, Marquita ujrzała siedzącego na barierce Zorrę, który uśmiechał się mówiąc:

- A więc do dzieła, senior... Nie przeszkadzaj sobie, proszę cię. Skoro trzymasz w rękach płachtę torreadora, pokażże wdzięcznej publiczności, w jaki sposób odbywa się walka byków w buduarze pięknej seniority!...'

Drwiący ton Zorry przywrócił intruzowi przytomność umysłu. Rzucił materiał, skoczył jednym susem do okna i przełożył nogę na zewnątrz. W tej sekundzie rozległ się głuchy trzask bicia. Długi rzemień jak wąż oplótł się wokoło jego szyi i pociągnął gwałtownie do tyłu. Człowiek wywrócił się, ale w następnej chwili zerwał się na nogi i znów rzucił się do okna. Bicz świsnął po raz drugi. Koniec' rzemienia owinął się powtórnie dokoła jego szyi i znów wywrócił go na posadzkę.

- Do trzech razy sztuka - rzekł Zorro. - Możesz więc spróbować szczęścia po raz trzeci, senior..

Nocny intruz jęknął i dźwignął się z podłogi. Na jego szyi widniały dwie grube, czerwone pręgi.

Był to uparty człowiek, któremu widocznie nie wystarczała nauczka. Błyskawicznym ruchem sięgnął do kieszeni i wydobyl pistolet. Nie zdążył jednak wystrzelić. Czarodziejski bicz owinął się końcem dokoła broni i wydarł mu ją z ręki, odrzucając jednocześnie w odległy kąt pokoju.

Nieznanomy syknął z bólu i zaczął ssać obolałe palce. - Poddaję się - jęknął. - Mam

już dosyć!...

- Ale ja nie mam dosyć - odparł Zorro. - Wdarłeś się do obcego domu jak złodziej, chciałeś porwać senoritę jak pospolity zbój, usiłowałeś uciec jak zając, wreszcie zamierzałeś zastrzelić mnie znieczeka jak zdrajca... Za to wszystko razem należy ci się odpowiednia zapłata!

Po tych słowach bicz Zorry świsnął w powietrzu, smagając nędznika po całym ciele. Wreszcie smagany wyrzucił się na ziemię, wijąc się jak robak i wzywając wszystkich świętych, i błagając o przebaczenie.

Marquita zakryła oczy dłońmi.

- Dosyć, dosyć! - zawołała drżącym głosem. - Senor Zorro, błagam cię, zaprzestań tych tortur.

- Dobrze! - zgodził się Zorro. - Ze względu na ciebie daruję mu resztę batów, senorito, choć Bóg mi świadkiem, iż rzetelnie na nie zasłużył...

- Powstań, mój zuchu - zwrócił się do leżącego. - Chcę ci zadać kilka niedyskretnych pytań... Jeśli odpowiesz szczerze i uczciwie, puszcze cię wolno, nie chciałbym jednak znaleźć się w twojej skórze, gdybyś spróbował mnie okłamać lub cokolwiek zataić... Nocny intruz dźwignął się z trudem na nogi i stanął w pokornej postawie.

- Pytaj, senor! - wyjąkał zerkając lękliwie na długi ramię bicia.

- Jak się nazywasz?

- Pedro Malfare!...

- Piękne nazwisko, w sam raz dla ciebie!

- Tak, senor...

- Skąd jesteś?

- Z Leridy, senor...

- Skąd wziąłeś się w tych stronach?

- Pracuję w hacjendzie, senor!...

- W pobliżu?

- Si, senor...

- U don Sebastiana Hiora?

- Si...

- To on cię przysłał?

- Si...

- Poleciał ci porwać senoritę?

- Si...

- O demonio... Co za uparty łajdak z tego don Sebastiana!..

Ani baty, ani prośby i groźby, nic go nie odstręcza od wytkniętego celu.

Zwrócił się do Marquity:

- Patrz, seniorita, co znaczy wielka miłość!... Ten podstarzały hacjendero nie cofa się przed żadnym łajdactwem, byle cię pojąć... Marquita zaczerwieniła się gwałtownie i opuściła oczy.

- Nie moja w tym wina - wyszeptła. - Osoba don Sebastiana przejmuje mnie wstrętem i obrzydzeniem.

Zorro się roześmiał.

- A więc miłość bez wzajemności! - zawołał. - Biedny hacjendero, doprawdy zaczynam odczuwać dlań litość. Skoro jednak nie chcesz nic o nim słyszeć, nie pozostaje mi więc nic innego, jak zastąpić cię inną jakąś osobą, która odwzajemni mi miłość...

Cha, cha, cha! Sądzę, że don Sebastiano prędko się pocieszy!... Zwrócił się do zbira, który stał z opuszczoną głową:

- Zmykaj stąd, mój ty bohaterze z czerwoną płachtą. I pamiętaj, że nie wolno ci się nigdzie zatrzymywać w drodze do Leridy!...

- Dziękuję, senior! - wybełkotał Pedro Malfare. Śpiesznie podbiegł do okna i po chwili go nie było.

Marquita popatrzyła za nim, a gdy przeniosła wzrok na galeryjkę, na której siedział Zorro, z ust jej wyrwał się cichy okrzyk.

Zorro znikł jak cień.



## Zbawienna rada Zefiria

Gdyby ktoś zajrzał na małą polankę nie opodał gościa prowadzącego do hacjendy don Sebastiana, ujrzałby kilku śmiejących się młodzieńców, którzy otaczali kołem Zefiria Cortiego.

- A więc teraz, gdy nauczyliście się na pamięć lekcji, powrócicie do Huesco i będziecie oczekiwać tego jegomościa! Pamiętajcie, że każdemu z was wypłacę po dwadzieścia pięć peso, jeśli zdacie dobrze egzamin!

To powiedziawszy pożegnał się z nimi, po czym udał się wprost do siedziby czcigodnego don Sebastiana.

Zastał go siedzącego na werandzie w towarzystwie kilku zbirów o odrażających fizjonomiach. Widocznie planowali jakiś nowy sposób porwania seniority Marquity.

- Witaj! - zawołał Zefirio. - Jak tve zdrowie, senor?..

- Doskonale! - mruknął hacjendero. - A teraz gdy już wiesz wszystko, nie zawracaj mi głowy, młodzieńcze, i wynoś się do wszystkich diabłów!...

Zefirio nie zraził się jednak tym niezbyt zachęcającym przyjęciem. Rozsiadł się wygodnie w wyplatany fotelu i zapytał ni w pięć, ni w dziesięć.

- Czy wiesz, kto ja jestem, senor?

- Błazen, kretyn i idiota! - ryknął don Sebastiano, wściekły, że głupiec mu przeszkadza. - Matoł, osioł, dureń i bałwan!... Zefirio potrząsnął głową ze zgorzaniem.

- Ublizas mi zupełnie bez powodu, senor. Wybaczam ci jednak, gdyż wiem, że jesteś w złym humorze... Poprawię ci go natychmiast oświadczeniem, że przyszedłem do ciebie po dziesięć tysięcy peso!

Don Sebastian o zaniemówił w pierwszej chwili.

- Hę? - odezwał się wreszcie, nie wierząc własnym uszom. - Coś powiedział?

- Powiedziałem, że zarobię u ciebie dziesięć tysięcy peso! - powtórzył spokojnie Zefirio.

Hacjendero posiniał z wściekłości. Zerwał się ze swego miejsca i przystąpił z zaciśniętymi pięściami.

- Słuchaj, Zefirio! - warknął. - Jeśli przyplątałeś się tutaj, by stroić swe kretyńskie żarty, to uprzedzam cię, że natrafiłeś na bardzo złą chwilę!...

Zefirio nie zmieszał się bynajmniej.

- Wysłuchaj mnie najpierw, senor - rzekł - a później możesz czynić, co ci się żywnie

spodoba. Jak ci wiadomo, studiowałem niegdyś na uniwersytecie w Madrycie. Otóż tam zdobyłem gruntowną wiedzę wszelkiego rodzaju. Jestem więc chemikiem, biologiem, miazmatą, kanalizatorem, antropofagiem, antysemitą, kalejdoskopem, kannibalem...

- Dosyć, dosyć, wystarczy! - ryknął don Sebastiano wstrząśnięty tym nawalem wiedzy. - Wiem, że jesteś uczony i że nauka popsowała ci maszynkę w głowie. Ale co to ma do rzeczy?

- Uzbrój się w cierpliwość, senor - ciągnął dalej Zefirio. - Otóż prócz tych wszystkich powyższych specjalności jestem również namiętym odkrywcą i genialnym wynalazcą... Jeszcze na długo przed Kopernikiem odkryłem, że Słońce kręci się dokoła Księżyca, a Ziemia kręci się dokoła planety Wenus. To mnie właśnie zawdzięcza ludzkość epokowy wynalazek kompasu, za pomocą którego każdy śmiertelnik może trafić nocą do swego łóżka, nie uciekając się do zapalanej świecy... - urwał i zniżył tajemniczo głos: Odeślij tych ludzi, a powiem ci na czym polega mój ostatni wynalazek wywołujący wzajemność w miłości!

Don Sebastiano zdrzął. Co prawda, zdrowy rozsądek mówił mu, że nie należy przywiązywać wagi do słów głupca, ale jak wiadomo, miłość jest ślepa, tym bardziej zaś miłość nieodwzajemniona. Zefirio poruszył czułą strunę jego duszy i don Sebastiano uchwycił się tej deski ratunku. Kazał więc oddalić się swym ludziom, po czym zapytał z lekka drżącym głosem:

- Na czym polega ten wynalazek, senor Zefirio?

- Zanim znalazłem środek przeciwko nie odwzajemnionej miłości - mówił nie śpiesząc się młody Corti - zbadałem jej przyczynę. Otóż miłość nie jest wzajemna wówczas, gdy różnica wieku jest zbyt znaczna albo gdy mężczyzna jest zbyt mało przystojny. Wynalazłem więc środek „Amorom”, który odmładza, a jednocześnie upiększa pacjenta...

Don Sebastiano ochłonął.

- To są bzdury - rzekł. - Mam pięćdziesiąt sześć lat i żadne lekarstwo nie uczyni mnie osiemnastolatkiem!...

- Uczyni! - zawołał z mocą Zefirio. - Mój „Amorom” uczyni cię młodzieńcem pełnym wigoru i temperamentu...

- Nie wierzę - wciąż powątpiewał hacjendero. - Dowiedz mi tego, a otrzymasz nie dziesięć tysięcy, lecz całe pięćdziesiąt! Zefirio wstał ze swego miejsca.

- Wypróbowałem mój „Amorom” - rzekł uroczyście. - Wypróbowałem go na kilku zgrzybiałych starcach. Rezultat był wprost zadziwiający. Obecnie obawiam się po prostu jechać do Huesco w obawie, że zabobonna ludność zatłucze mnie na śmierć jako czarownika!...

- A więc wypróbowałaś ten cudowny środek w Huesco? - zapytał don Sebastiano, wciąż jeszcze nie dowierzając.

- Tak!...

- Chciałbym zobaczyć tych odmłodzonych starców!...

- Nic łatwiejszego! Każ, senor, zaprząć powóz!

Niewielki, otwarty pojazd wtaczał się do Huesco, gdy siedzący w nim obok don Sebastiana Zefirio ujrzał swego przyjaciela, chudego Porfiria, jadącego melancholijnie na mule. Długie jego nogi zwisały prawie do ziemi, a głowa osadzona na cienkiej szyi chwiała się sennie w takt kroków muła.

- Witaj, Porfirio!...

Porfirio ocknął się z drzemki.

- Gdzie jedziesz, Zefirio? - zapytał.

- Jadę przekonać czcigodnego senora o skuteczności mego „Amorolu” !

Porfirio zdziwiony uniósł brwi.

- „Amorolu”? - zapytał, ale w tej samej chwili wzrok jego napotkał spojrzenie Zefiria.

- Ach tak - poprawił się Porfirio. – „Amorolu”, oczywiście „Amorolu” ... Gdzie moja pamięć?

Ożywił się i zawrócił muła.

- Jadę z wami, senores - oświadczył. - Chcę być obecny przy wypróbowaniu: „Amorolu”!...

Pojazd toczył się po wyboistych ulicach miasteczka. W pewnym miejscu Zefirio zatrzymał powóz i zapytał młodzieńca, który stał przed niewielkim domkiem i leniwie wygrzewał się na słońcu:

- Czy szanowny senor Amadeo Scapado jest w domu?

Młodzieniec ożywił się. Zbliżył się do powozu i rzekł z tajemniczą miną:

- Na co wam senor Scapado? - zapytał. - Co do mnie, radzę wam zawrócić z miejsca i zaniechać tej wizyty.

- Czemu? - zapytał Porfirio.

Młodzieniec zniżył głos do szeptu.

- Dzieją się tutaj jakieś sztuczki diabelskie. Przysięgam, że nie poznacie senora Scapado, który miał siedemdziesiąt lat, a teraz ma ich tylko dwadzieścia!

- Co ty wygadujesz, młodzieńcze? - zawołał Porfirio, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

- Mówię szczerą prawdę, senores! Senor Scapado był zgrzybiałym staruszkiem jeszcze

w ubiegłym tygodniu, a obecnie nic innego nie robi, tylko ugania się za spódniczkami! - Na twarzy opowiadającego pojawiło się szczere oburzenie. - I co najdziwniejsze - zawołał - ten stary łotr, wyglądający na młodzika, ma obecnie szalone szczęście u wszystkich okolicznych dziewcząt!

- Gdzie jest teraz? - zapytał Zefirio.

- Śpi, senor! Wypoczywa. po jakiejś nocnej wycieczce pod balkon donny!...

Zefirio wysiadł.

- Chodźmy, senor Sebastiano! - rzekł do hacjendera. Weszli do ciemnej izdebki.

Leżąca na łóżku postać poruszyła się i śpiący otworzył oczy. Wzrok jego spoczął na wchodzących. Zerwał się z łóżka i padł przed Zefiriem na kolana, wołając drżącym głosem:

- O dzięki ci, dzięki mój dobroczyńco najdroższy!... Tobie zawdzięczam, że spełnił się cud, który zwrócił mi stracone lata!... Ach senor, czuję obecnie, że żyję... Tyś swym „Amorolem” wlał młodość w moje starcze żyły... Dzięki ci, o dzięki!... stokrotnie!

Don Sebastiano oraz Porfirio skamieniali przyglądając się mężczyźnie, który mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Wreszcie don Sebastiano nie wytrzymał. Dotknął ramienia klęczącego przed Zefiriem człowieka i zapytał drżącym ze wzruszenia głosem:

- Przepraszam, senor...Mówisz o przywróconej młodości, choć jesteś młody!...

- Młody?- mężczyzna zarżał jak koń. - Cha, cha, cha, młodzieńcze, ja mam siedemdziesiąt osiem lat z okładem!...

Don Sebastiano osłupiał.

- Siedemdziesiąt osiem? - powtórzył niedowierzająco. - To nie do wiary....

- Nie do wiary? - ryknął Amadeo Scapado, zrywając się na równe nogi. - A więc senor Corti i ja jesteśmy oszustami? Czekaj, senor, zaraz cię przekonam!...

Podbiegł do drzwi i zaczął wołać:

- Hej, ludzie, do mnie, do mnie!....

Kilku niby przypadkowych przechodniów wypełniło izbę.

- Dobrzy ludzie! - zawołał mężczyzna. - Czy znacie mnie? - Znamy!... Ty jesteś Amadeo Scapado!... - brzmiała zgodna odpowiedź. .

- Dobrze! A teraz powiedzcie tym senorom, ile ja właściwie mam lat?

- Siedemdziesiąt osiem! - poświadczyli ludzie, a jeden z nich dodał: - Jesteś stary, a wyglądasz na młodego, ty pacholku diabła... Nie wiem, co nas powstrzymuje, by nie spalić cię na stosie jako czarnoksiężnika!...

- Ale przecież nie ja jeden stałem się młody - bronił się Amadeo Scapado. -

Jednocześnie ze mną odmłodnieli Gasparado, Bauelio, Mortella, Figgi...

Zefirio pociągnął za rękaw don Sebastiana.

- Chodźmy - szepnął. - Pozostawmy ich,. Amadeo Scapado jest obecnie dość mocny, by dać sobie radę z nimi wszystkimi... Czy chcesz obejrzeć również innych odmłodzonych starców?

- Nie, nie, wystarczy! - wyjąkał don Sebastiano. - Przekonałeś mnie, senor Zefirio!...

Powrócili do powozu. Porfirio włókł się za nimi. Twarz jego nieco ożywiła się. W oczach zabłysnął ognik wesołości.

Don Sebastiano wręczył młodemu Cortiemu dziesięć banknotów po tysiąc peso.

- Oto mój „Amorom” - rzekł Zefirio, wydobywając z przepaścistej kieszeni wielką butelkę wypełnioną gęstą, żółtą cieczą. - Położysz się do łóżka, senor, najlepiej w dzień, i zażyjesz łyżkę tego eliksiru...

- Wygląda jak olej rycynowy! - zauważył Porfirio.

- W twych oczach chyba! - odparł Zefirio. - Jest to ten sam eliksir, który przywrócił młodość zgrzybiałemu starcowi z Huesco.

- Tak, tak, oczywiście - don Sebastiano skwapliwie chwycił butelkę. - A więc leżąc w łóżku mam wypić jedną tylko łyżkę tego eliksiru młodości?..

- Jedną łyżkę, lecz musisz przy tym powtarzać w kółko zaklęcie magiczne: - Habakuk, kubahuk, hukabuk!...

- To nie jest trudne do powtórzenia - oświadczył don Sebastiano. - Wszystkiego trzy słowa!...

- Powtórz więc, senor!...

- Habakuk... buka... huka... - jąkał się hacjendero - kuba... buka... kuka...

- Habakuk, kubahuk, hukabuk!... - poprawił Zefirio.

- Habakuk, kubahuk, hukabuk!...

- Doskonale! Otóż połkniesz jedną łyżkę i będziesz powtarzał zaklęcie... Za każdym jednak razem, gdy popłączesz wyrazy zaklęcia, wypijesz nową łyżkę tego eliksiru!...

-Dobrze!...

- Pamiętaj więc, senor, że nie wolno ci się omylić nie połykając przy, tym łyżki tego cudownego środka!

- Rozumiem i zastosuję się!...

Zefirio pożegnał się, ale coś sobie przypomniał i powrócił mówiąc:

- Pamiętaj jeszcze o jednej rzeczy, senor... Podczas tej kuracji odmładzającej powinni być liczni świadkowie!...

- A to na co?

- Jak to na co?... Przecież gdy staniesz się młodzikiem, nikt cię nie pozna, a twoi bliźsi i dalsi krewni skorzystają z okazji, by cię wyrzucić z majątku pod pozorem, że nie jesteś wcale don Sebastianem Hioro, lecz jakimś samozwańczym oszustem!

- Rzeczywiście! - przyznał hacjendero. - Wcale nie pomyślałem o tym. ,

- Wezwiesz więc kilku okolicznych dygnitarzy, mogą być obecne również i niewiasty, które zazwyczaj interesują się wszystkim, co tylko dotyczy odmłodzenia. W razie czego będziesz miał wielu świadków, którzy poświadczą, że jesteś autentycznym don Sebastianem!

- Senorita Marquita dowie się o tym?

- Oczywiście!... I z miejsca zapłonie ku tobie wielką miłością. Mój „Amorom” jest niezawodny, senior!

Rozmowa powyższa została nagle przerwana dziwnym odgłosem, podobnym do bulgotania płynu w butelce. Obaj obejrżeli się i spostrzegli Porfiria, który stał na uboczu; młodzieniec miał błędny wyraz oczu, z jego gardła dobywało się to dziwne bulgotanie, a grdyka latała mu przy tym do góry i na dół.

- Co mu się stało? - zapytał zdziwiony don Sebastiano. Zefirio westchnął.

- Biedny mój przyjaciel, Porfirio, jest nieco zwichnięty na umyśle - rzekł półgłosem. - A oto, chwycił go jeden z jego napadów szaleństwa... Żegnaj więc drogi don Sebastiano, muszę odprowadzić czym prędzej mego biednego przyjaciela do domu...

Ujął Porfiria pod ramię i posadził troskliwie na grzbiecie muła. A gdy znaleźli się w przyzwoitej odległości od don Sebastiana, bulgotanie w gardle Porfiria zamieniło się w kaskadę śmiechu.

- Carramba! - wołał krztusząc się. - Niech cię diabli porwą, Zefirio, co ty wyprawiasz z tym nieszczęsnym don Sebastianem... Myślałem, że skonam, dławiąc się ze śmiechu... To była rycyna, prawda?

- Olej rycynowy! - potwierdził Zefirio. - Świetny środek na wypędzenie niewczesnych amorów!.

- A ten Amadeo Scapado oraz zwołani przezeń przechodnie?

- Zostali pouczeni przeze mnie. Każdy z nich otrzymał kilkanaście peso!

- Cha, cha, cha! Niech cię lichy! - śmiał się Porfirio. - Muszę być obecny podczas tej operacji!

- Powstrzymaj się jednak od głośnych objawów wesołości - odparł Zefirio. - W przeciwnym bowiem razie będę zmuszony ogłosić cię wariatem.

## Atak szalu Porfiria

Don Sebastiano leżał w łóżku i miał niezwykle uroczystą minę. Dookoła usadowili się liczni świadkowie mającej się odbyć cudownej operacji. Porfirio i Zefirio stali skromnie u wezglowia łoża. Wśród obecnych znajdowali się najznakomitsi przedstawiciele okolicznej szlachty. Przybyli więc liczni hacjenderos, był również obecny pułkownik Carlo Cevenna, zwabiony dziwną wieścią o cudownym eliksirze młodości.

- Zaczynaj, senior Sebastiano - rzekł niecierpliwie pułkownik. Hacjendero wypił łyżkę płynu.

- Habakuk, kubahuk, hukabuk - wyrzekł krzywiąc się niemiłosiernie. - Habakuk, bukahuk...

- Kubahuk - odezwał się Zefirio. - Omyliłeś się, senior!... Don Sebastiano wypił następną łyżkę i znów rozpoczął swą litanię magicznych zaklęć. Mylił się jednak często, wobec tego zawartość butelki z eliksirem zmniejszała się szybko...

W kącie rozległo się dziwne bulgotanie. Porfirio znów miał błędny wyraz oczu, a Zefirio usprawiedliwiał się przed zebranymi:

- Wybaczcie mi proszę, senores, że sprowadziłem z sobą szaleńca!..., Biedny Porfirio znów dostał ataku zwanego w języku fachowym lekarzy: „crisis bulgotensis”.

- Hubakuk, kubakuk, hubakuk - mówił monotonnym głosem don Sebastiano i z obrzydzeniem popijał gęstą, mdlącą ciecz. - Wielkie nieba, kiedyż to się skończy?!...

Wtem jego oczy rozszerzyły się nadmiernie, a twarz pozieleniała. Wypuścił flaszkę z ręki i wyszeptał zbielełymi ustami:

- Czuję... czuję...

Wszystkie głowy zbliżyły się do łoża.

- Co czujesz? - zapytał jeden z obecnych, powstrzymując oddech...

- Czuję, że cudowny eliksir zaczął działać - wyszeptał don Sebastiano. - Młody człowiek budzi się we mnie!... Aj... aj!...

- Co się -stało? - rozległy się trwożne pytania.

Don Sebastiano kręcił się w łóżku jak piskorz.

- Aj, aj, moi drodzy! - jęczał. - Jakież straszliwy temperament ma ta młoda jaźń, która budzi się we mnie!... Po prostu czuję, jak odradzająca się młodość przewraca się z boku na bok w moim wnętrzu, niecierpliwa, by ujrzeć światłoienne!...

Jękom tym towarzyszyło wzmagające się bulgotanie Porfiria. - Ratunku! - wołał

Zefirio, wywijając chustką przed jego nosem. - Porfirio oszalał z wrażenia...

- Aj, aj! - ryczał don Sebastiano, wijąc się. - Trzymajcie ją... Burzliwa młodość skręca mi wnętrzności i chce wyrwać się na wolność...

Porfirio zsiniał i skręcił się jakby w ataku epilepsji. Z innymi świadkami działy się też dziwne rzeczy. Ludzie zaczęli zatykać sobie nosy, odwracać głowy i mimo woli odsuwali się od łoża.

Co się tyczy zaś don Sebastiana, to na jego obliczu pojawił się nagle wyraz niezmiernej ulgi.

- Zdaje się, że zbyt młodo się odmłodziłem - wyszeptał. - Stałem się bowiem całkiem małym dzieckiem!...

Porfirio nie mógł dłużej wytrzymać. Rzucił się do wyjścia, a w ślad za nim podążyli inni świadkowie.

- Och, Zefirio, Zefirio! - szeptał. - Półtorej kwarty rycyny, to doprawdy zbyt wiele jak na jednego człowieka...

- Na silną miłość potrzebne są odpowiednio mocne środki - odpowiedział Zefirio. - Czyś nie zauważył, że mu to pomogło?.. Całkiem odmłodził, pocziwy Sebastiano...

Westchnął.

- Żałuję tylko, że odmłodnienie nie udało się całkowicie. - Ale nie jestem temu winien! Don Sebastiano zbyt często mylił się wymawiając zaklęcia, poza tym nie wypił całej zawartości butelki.

Don Carlo Cevenna zmierzał wielkimi krokami do swego oddziału. Ujrzał go Zefirio.

- Dzień dobry, senior Carlo - zawołał uprzejmie. - No i cóż powiesz, pułkownik, na tę cudowną kurację?

Don Carlo zatrzymał się raptownie i zmierzył Zefiria swym straszliwym wzrokiem, od którego przechodziły ciarki po grzbiecie.

- Zakpiłeś sobie z senora Sebastiana, co? - syknął.

Zefirio cofnął się zdumiony w najwyższym stopniu.

- Zakpiłem sobie? - zapytał. - O senior, jak możesz posądzać mnie o coś podobnego?.. Czyś nie widział na własne oczy, jak don Sebastiano, ten niedołączny grubas, poruszał się w łóżku? Jak młodzieniaszek na sprężynach...

- Dałeś mu środek na przeczyszczenie!...

- Ja? - zawołał Zefirio najbezczelniej w świecie. - Jak możesz posądzać mnie o coś podobnego, senior!... Czyś widział don Sebastiana powstającego z łóżka?

- Przecież nie wstał jeszcze!...



- Ale wstanie jutro... I wówczas przekonasz się, pułkowniku, jaki będzie rzeński i odmłodzony! ...

- Hm! - mruknął don Carlo nieufnie.

- Tak, senior, zapewniam cię, że cudowny skutek mego środka widoczny będzie w najbliższych dniach. Jestem przekonany, że sam osobiście przeprosisz mnie za to podejrzenie.

- Hm! - mruknął don Carlo po raz drugi.

- Mam jedną propozycję dla ciebie, senior, a mianowicie ofiaruję ci pół litra środka „Amorom”, który zapewni ci kwitnącą młodość i miłość twojej małżonki...

Ten ostatni argument mocno zachwiał nieufność pułkownika. Zawahał się na chwilę, gdy wtem do uszu jego dobiegł jakiś dziwny bulgot... Obejrzał się i spostrzegł Porfiria, który wyczyniał jakieś dziwne łamańce.

- Co mu się stało? - zapytał.

- Atak choroby świętego Wita - objaśnił Zefirio. - A więc czy mam przyrzadzić dla ciebie pół litra „Amorolu”, pułkowniku?

- Dobrze, senior! Tylko uprzedzam cię, że operacja odbędzie się bez świadków.

- Przeciwnie, senior, możesz śmiało wezwać z pół setki twoich znajomych, tylko wybieraj zacnych i uczciwych hidalgów. Najważniejsze jednak, by wszyscy mieli katar!

## Nieustępliwy hacjendero

Don Sebastiano nie dał za wygraną, pomimo dotkliwej nauczki, jaką otrzymał ostatnio.

Pewnego dnia kazał zaprzęgać powóz i ruszył do Saragossy. Przez całą drogę obmyślał piekielny plan zemsty, a gdy przybył wreszcie do stolicy Aragonii, udał się prosto do pałacu gubernatora.

Don Alvarez przyjął go łaskawie. Don Sebastiano Hioro miał opinię bardzo bogatego człowieka, płacił podatki bez szemrania i nieraz przysłużył się gubernatorowi. .

- Jakiej szczęśliwej okoliczności zawdzięczam twoją wizytę, senior? - zapytał uprzejmie don Alvarez.

Hacjendero wyciągnął drogie hawajskie. cygaro, poczęstował gubernatora, po czym zapalił i zaczął bez ogródek:

- Nie wątpię, że znana ci jest moja historia, senior gubernator!...

- O jakiej historii mówisz? - zapytał Alvarez, uśmiechając się nieznacznie, wiedział już bowiem o jego przygodzie z eliksirem miłości. - Czy zamierzasz wnieść skargę przeciwko młodemu Cortiemu?

Don Sebastiano machnął lekceważąco ręką.

- Nie mam zwyczaju żywić urazy do półgłówków - odparł. - Nie, senior, nie o to mi chodzi. Sprawa jest daleko poważniejsza i jeśli nie uda mi się osiągnąć celu, przypłacę to chyba życiem!... Don Alvarez zaciągnął się dymem cygara.

- Nie jest chyba tak źle - rzekł. - Życie poważnego obywatela i szlachcica jest zbyt cenną rzeczą, by nim szafować!... Hacjendero westchnął ciężko i. uniósł wzrok ku niebu.

- A jednak jestem bliski samobójstwa - jęknął i wskazał na lewą stronę piersi. - Ból, jaki tutaj odczuwam, staje się nie do zniesienia ...

- Czyżby serce?

- Tak, senior!.. Serce i nic więcej... Don Alvarez popatrzył nań uważnie.

- Wiem - rzekł lakonicznie. - Marquita, piękna młynarzówna....

Don Sebastiano westchnął jeszcze głośniej.

- Zgadłeś, senior gubernator, to ona siedzi w moim sercu. Nie wiem po prostu, co się ze mną dzieje. Nie jem, nie piję, nie doglądam gospodarstwa, nie dbam o nic, słowem, jest bardzo źle ze mną... Jedyna moja nadzieja w tobie, senior gubernator!...

Don Alvarez rozłożył bezradnie ręce.

- Biedny mój senor Sebastiano - odparł. - Cóż ja mogę poradzić w tym wypadku?.. Co prawda jestem wielkorządcą Aragonii, mam władzę prawie nieograniczoną nad Aragończykami, ale władza moja nie sięga tak daleko, ażeby rozkazać sercu pięknej seniority, by cię kochała!...

Don Sebastiano potrząsnął przecząco głową.

- Nie o to chodzi - rzekł. - Nie wymagam od ciebie, senor, byś wywarł presję na Marquię. Chodzi mi zupełnie o co innego!... - Słucham...

- Potrafiłbym dawno przekonać ją o potędze mego uczucia, gdyby nie obecność jej ojca oraz tych przeklętych czeladników młynarskich, którzy złośliwie utrudniają mi dostęp do wybranki mego serca!

- Hm!.. - mruknął don Alvarez.

Don Sebastiano ciągnął dalej:

- Wiem dobrze, iż młynarz fałszuje czy też kradnie mąkę swych klientów...

- Wątpię! - odparł gubernator. - Mówią o nim, że to uczciwy człowiek!

- To jest obojętne, senor - zniecierpliwił się hacjendero. - Gdy się chce uderzyć psa, kij się znajdzie... Chodzi mi przede wszystkim o to, by usunąć młynarza i jego popleczników z młyna na kilka dni!

-Hm!

Don Sebastiano spojrział nań przenikliwym wzrokiem, jak gdyby chciał wświdrować się do jego duszy. Przez chwilę trwało milczenie, po czym hacjendero rzucił krótkie pytanie:

- He?

Don Alvarez podrapał się w podbródek, zastanawiając się nad odpowiedzią. Wreszcie rzekł:

- Dwadzieścia pięć tysięcy - wymówił wolno. - Dwadzieścia pięć tysięcy do skarbcza najmiłościwiej nam panującej królowej oraz dziesięć tysięcy dla pułkownika don Carla Cevenny, który podejmie się tego zadania!

- Dobrze! - rzekł don Sebastiano i wydobyl gruby portfel. - Płacę z góry!

Odliczył trzydzieści pięć tysięcy peso.

- Dla ubogich Saragossy piętnaście tysięcy - rzekł don Alvarez, który najmniej w obecnej chwili myślał o ubogich.

Don Sebastiano dołożył piętnaście tysięcy.

- Dla żandarmów dziesięć tysięcy!... - ciągnął dalej don Alvarez.

Don Sebastiano westchnął boleśnie i wyłożył żadaną sumę.

- No i dla ,mnie piętnaście tysięcy - zakończył don Alvarez. - Zdaje się, że to już

będzie wszystko!

Hacjendero jęknął, ale wydobyl z portfela żadaną sumę i położył ją na stosie innych banknotów.

- Sprawa zostanie załatwiona jeszcze jutro - oznajmił don Alvarez, zgarniając banknoty, po czym wyciągnął rękę i dodał żegnając się z nim:

- Wracaj do domu, senor, i bądź dobrej myśli!

A gdy don Sebastiano zniknął za drzwiami, don Alvarez zgarnął banknoty do szkatułki i szepnął:

- Pierwsze siedemdziesiąt pięć tysięcy, które zarobiłem uczciwie!

## Paradny strój Malibrana

Zapłakana Marquita wbiegła do siedziby Anzelma Cortiego i natknęła się na Zefiria, który ćwiczył w tej właśnie chwili jakąś nową sztukę magiczną.

- Co się stało, seniorito? - zapytał zdziwiony. - Nosek masz czerwony i oczy zapłakane!...

- Gdzie jest senior Malibran? - zapytała dziewczyna drżącym głosem. - Chciałabym z nim pomówić!...

- Z Malibranem? - zapytał Zefirio. - Nie wiem, czy wstał już z łóżka. - Spojrzał znacząco na Marquitę. - Ostatnio biedny mój przyjaciel źle sypia nocami... Podobno ma serce nie w porządku... Całymi nocami wzdycha i całuje poduszkę, zasypia dopiero nad ranem... Doprawdy nie rozumiem, co się z nim dzieje?

Marquita zarumieniła się gwałtownie. Wiedziała, że poczciwy grubasek często wygrywa serenady na gitarze, o zmroku pod jej oknami.

Zaczęła mówić szybko, by ukryć zmieszanie:

- Obudź go, senior Zefirio - prosiła. - Jeden tylko dzielny senior Malibran może mi pomóc w nieszczęściu!

Zefirio schował do kieszeni drewniane gałki służące mu do ćwiczeń magicznych i zapytał:

- A co się właściwie stało, Marquito? - Możesz mi śmiało powiedzieć, ja mu powtórzę!....

Dziewczyna załamała rękę, z oczu jej popłynęły łzy. .

- Zabrano mego ojca i wszystkich pracowników, a młyn zamknięto - wyjąkała.

- Któż to uczynił?

- Dowódca żandarmerii, don Carlo Cevenna!

- Kiedy to się stało?

- Dziś nad ranem!...

Zefirio skierował się ku drzwiom prowadzącym do sąsiednich komnat.

- Zaczekaj chwilkę, seniorito - rzekł odchodząc. - Powtórzę mu nowinę....

Nie czekała zbyt długo. Malibran wpadł jak burza i zaczął okrywać pocałunkami jej rączki, wołając zarazem:

- O seniorito, błagam cię, nie przejmuj się zbytnio... Ja, Hektor Mondevi de Malibran, zajmę się tym niezwłocznie. Przysięgam, że jeśli ojciec twój nie powróci dziś jeszcze do

domu, poruszę wówczas niebo i ziemię w Madrycie, by don Alvarez i jego pułkownik odpokutowali swój postępek.

- Dzięki ci, senor -, wyszeptała piękna dziewczyna. - Wiedziałam, że mogę liczyć na ciebie!...

- Jadę natychmiast do Saragossy - wołał Malibran z zapalem. - I niech mnie pioruny spalą, jeśli nie powrócę z młynarzem!

- Jadę z tobą, senor!... - zaproponowała dziewczyna.

- To jest zbyt bezpieczne - odparł zakochany grubas, pozerając piękną twarz Marquity płonąącym wzrokiem. - Wróć do domu, seniorito, i czekaj na swego ojca!...

Przyłgął ustami do jej ręki, po czym Marquita udała się w powrotną drogę do domu.

Malibran odszukał Zefiria.

- Czemu Carlo Cevenna to uczynił? - zapytał. - Co miał przeciwko ojcu Marquity?

Zefirio wzruszył ramionami.

- Podejrzewam tutaj rękę don Sebastiana - odrzekł. - Ale to nic pewnego....

- Jadę do Saragossy! Czy wybierasz się ze mną?

- Oczywiście!...

- Weźmiemy konie czy muły?

- Muły! Droga do Saragossy jest tego rodzaju, że muły prędzej przybędą do celu!...

- A może lepiej jechać karocą? Odwiedzając gubernatora, chciałbym wystąpić z całą okazałością!

Zefirio zgodził się i na to.

- Każę zaprzęgać paradny powóz - rzekł. - Rzeczywiście masz rację... Chcąc zaimponować don Alvarezowi, należy wystąpić godnie. Włóż strój dworski z orderami!...

Malibran rozłożył ręce.

- Kiedy nie mam takiego stroju - oświadczył. - Ojciec mój jako gubernator Majorki ma co prawda różne stroje galowe, ale niestety znajdują się one w Madrycie!...

- To nic - rzekł Zefirio. - Zdaje się, że znajdę coś dla ciebie!

I rzeczywiście wygrzebał skądś niezwykle bogaty, fantastyczny mundur, obficie przyozdobiony błyszczącymi orderami. Malibran sapał i wzdychał wciągając go na siebie. Materiał popękał tu i ówdzie, ale Zefirio uważał, że to nic nie szkodzi.

Niebawem ruszyli w drogę. Na koźle siedział Porfirio, a Zefirio i Malibran usadowili się w środku.

Do Saragossy przybyli późno po południu. Powóz zatrzymał się przed bramą wjazdową. Zefirio wyskoczył z pojazdu i krzyknął donośnie do straży pałacowej:

- Prezentuj broń przed wicegubernatorem Majorki!...

Straż zawahała się, lecz widok jegomościa okazałej tuszy, we wspaniałym mundurze, wyłającego z karocy, sprawił, że oddała honory wojskowe.

- Gdzie są trębacze! - krzyknął. - Gamonie, w jaki sposób witacie dostojną osobę?

Trębacze wybiegli z odwachu. Rozległ się donośny marsz powitalny.

Don Alvarez zajęty był właśnie rozmową z don Carlem Cevenną, gdy potężna muzyka wstrząsnęła szybami jego gabinetu. Obaj śmiertelnie pobledli i z przerażeniem spojrzeli na siebie.

- Królowa! - wyszeptali obaj jednocześnie.

Zerwali się ze swych miejsc i podbiegli do okna. Oczom ich ukazał się dziwny widok.

Cała straż pałacowa stała uszeregowana w szpaler i prezentowała broń, a trębacze dęli co sił w swe instrumenty. Środkiem kroczył tęgi młodzieniec w dziwacznym mundurze, obok zaś niego uwijał się Zefirio Corti.

- Wysłannik królowej - wyszeptał. don Carlo. - W ten sposób straż pałacowa wita tylko królową albo jej wysłannika.

Don Alvarez nie odzywał się na razie. W miarę jak okazały jegomość zbliżał się do pałacu, z oblicza gubernatora znikał wyraz przestachu, natomiast malowały się coraz większe oburzenie i wściekłość.

- Carramba! - syknął. - To nie jest wysłannik królowej. Poznają go, to Malibran, przyjaciel głupiego Zefiria.

Sprawa przybrała obrót niepomysłny. Na nic przydała się cała pompa, jaką otoczył się Malibran, nie odniosły żadnego skutku prośby ani groźby. Don Alvarez ufny w poparcie don Alonza, ministra królowej, nie zląkł się wstawiennictwa gubernatora Majorki.

Malibran oddalił się zgnębiony, a Zefirio próbował go pocieszać. Po wyjściu obu przyjaciół don Alvarez oraz don Carlo śmieli się przez czas dłuższy. Gdy uspokoili się wreszcie, don Alvarez zmierzył ku drzwiom.

- Chodźmy do sali audiencyjnej, pułkowniku. Czeka tam na mnie kilku interesantów.

Ledwie jednak wyszedł ze swego gabinetu, wzrok jego padł na kartkę papieru przybitą sztylblem do framugi drzwi. Tknęło go nie dobre przeczucie. Znał ten sposób korespondencji, wiedział z góry od kogo ten list.

I nie omylił się w swych przewidywaniach. List brzmiał następująco:

Senor Alvarez! Cierpliwość moja wystawiona jest na ciężką próbę. Znów popełniłeś wielką niesprawiedliwość. Daję ci jednak ostatnią szansę: jeśli wypuścisz dziś jeszcze

młynarza i jego ludzi, nic ci się nie stanie. W przeciwnym razie będziesz zmuszony wymienić twych więźniów na trzech moich zakładników.

Z.

Don Carlo przeczytał list za jego plecami. Don Alvarez zmiął wściekle kartkę i zawołał:

- W moim pałacu są zdrajcy, którzy porozumiewają się z Zorzą. Inaczej nie mogę wytłumaczyć sobie tej okoliczności, że znajduję jego list w biały dzień, tuż naprzeciw mego gabinetu!

- Rozkaż, gubernatorze, a zaaresztuję całą służbę pałacową!... - zaproponował gorliwy żandarm.

Don Alvarez potrząsnął przecząco głową:

- To nie zda się na nic! - rzekł. -- Zorro pozwala sobie zbyt wiele, ufny w swą zręczność, ale nigdy nie ośmieli się nastawać na moją osobę!...

W tym samym czasie Zefirio, Porfirio i Malibrán wracali do domu.

- Co ja jej powiem? - biadał grubas. - Ona straci szacunek dla mnie!...

Zjawili się w domu późną nocą i po spożyciu kolacji udali się do swych pokoi.

Księżyc w nowiu wyjrzał spoza chmur. Gdzieś w pobliżu zaszczekały psy, lecz wkrótce umilkły.

Przez otwartą równinę posuwał się szybko cień ludzki. Dopadł do lasu. Pomimo panujących ciemności gnał pomiędzy drzewami ze zręcznością kota, unikając przeszkód, przeskakując przez zwalone pnie drzew. Zdawało się, że nie zna zmęczenia. Biegł nie zatrzymując się ani na chwilę i wreszcie wyłonił się z przeciwległej strony lasu. Tutaj wznosiły się skały. Cień zginął pomiędzy nimi i sobie tylko znaną drogą zaczął się wspinać stromą ścieżką.

Dotarł wreszcie do grotty i cicho gwizdnął. W głębi pieczary coś się poruszyło. Rozległo się końskie rżenie, po czym w wejściu ukazał się siwowłosy starzec prowadzący czarnego rumaka.

- Witam cię, senior Zorro! - rzekł starzec. - Pistolety oczyszczone, szpada naostrzona, a bicz, jak zwykle, zwinięty u siodła.

- Dobrze! - odrzekł Zorro, wskakując na konia. - Przygotuj miejsce dla trzech jeńców!...

Z tymi słowami skierował konia na ścieżkę i zaczął zjeżdżać na dół.

Niebawem gnał przez las, kierując się na wschód. Wbrew swemu zwyczajowi nie śpiewał ani też nie pokrzykiwał wesoło. Milczał. Jego rumak, który mknął jak strzała, ledwie



dotykając ziemi kopytami, wyglądał wraz ze swym jeźdźcem jak jakaś nocna zjawia.

W oddali zarysowała się na tle ciemnego nieba sylwetka młyna. Zorro osadził konia i poklepał go po szyi. Zwierzę położyło się na trawie. A sam w kilku susach dopadł do młyna i obiegł go dokoła. W jednym z okien płonęło światło. Wspiął się zwinnie po ścianie i zajrzał do wnętrza. Ujrzał tam Marquitę, która modliła się przed obrazem Matki Boskiej.

Uspokojony tym widokiem ześlizgnął się na ziemię i powrócił do swego konia. A po chwili pędził w kierunku południowym.

Noc miała się ku końcowi. Brzeżek horyzontu na wschodzie zaczął się rozjaśniać...

Zorro galopował drogą biegnącą wśród lasu. W pewnym momencie droga zwężyła się na zakręcie. Koń stanął jak wryty. Jeździec w masce zeskoczył i zaprowadził swego rumaka w gęstwinę. Poklepał go po szyi. Wytresowane zwierzę położyło się na ziemi.

Jeździec w masce powrócił na drogę i wspiął się na przydrożne drzewo. Usiadł na grubym konarze. Gęste listowie zakrywało go zupełnie, tak że najwprawniejsze oko z trudem wykryłoby jego obecność.

Noc ustępowała. Wokół panowała niczym niezmacona cisza. Ale była to cisza pełna naprężonego wyczekiwania.

Wreszcie na widnokręgu wystrzeliły pierwsze, czerwone promienie wschodzącego słońca i jednocześnie w oddali dał się słyszeć tętent.

Zamaskowany mężczyzna sprężył się cały, podobny w tej chwili do rysia szykującego się do skoku z drzewa. Podobieństwo było tym większe, że poprzez otwory w masce świeciły się oczy jak dwa rozżarzone węgle.

Tętent kilku galopujących koni stawał się coraz wyraźniejszy. Zorro nie mógł na razie dojrzeć jeźdźców, gdyż drzewo, na którym się zaczął, znajdowało się tuż za zakrętem drogi.

Wreszcie wyłonił się pierwszy jeździec. Odwrócił się w tej samej chwili na siodle i zawołał niecierpliwie w stronę tych, którzy pozostali daleko w tyle:

- Śpieszcie się, niedołęgi!... W ten sposób nie zajdziemy do młyna i za tydzień!

Był to Sebastiano we własnej osobie. Poczciwy hacjendero prowadził swych zbirów do młyna, a cel tej porannej wyprawy był oczywisty. Chodziło mu o Marquitę, która po zaareztowaniu jej ojca, pozostała zupełnie sama w młynie.

- Prędejj, prędejj, carramba! - wołał do swych ludzi znajdujących się jeszcze poza zakrętem drogi.

Galopując znalazł się pod drzewem, na którym zaczął się zamaskowany mężczyzna.

Dalsza akcja potoczyła się z szybkością błyskawicy.

Zorro uczeplił się konarowi nogami i zwieszając się głową na dół, chwycił galopującego

pod nim Sebastiana. Jedno krótkie, lecz silne szarpnięcie, a koń pobiegł dalej bez jeźdźca. Zorro trzymał szlachcica w swych stalowych kleszczach. Po chwili rozbujał go i cisnął w głąb lasu. W następnej sekundzie zeskoczył z drzewa i był już przy nim.

- Ani słowa - syknął ściskając go za gardło. Porwał don Sebastiana z ziemi i zaniósł w stronę, gdzie znajdował się jego rumak.

Cała ta scena trwała zaledwie kilkanaście sekund i odbyła się w absolutnej ciszy, jeśli nie brać pod uwagę trzasku suchych gałęzi pod ciężarem hacjendera..

Nietrudno wyobrazić sobie zdumienie i przerażenie pozostałych konnych, kiedy wymijając zakręt, ujrzeli galopującego po drodze konia bez jeźdźca. Zaczęli nawoływać, szukając go jednocześnie w okolicznych zaroślach.

Ale don Sebastiano znikł bez śladu.

Jeźdźcy skupili się i odbyli naradę, po czym z minami obitych psów udali się w powrotną drogę.

## Drugi i trzeci jeniec

Wiść o zagadkowym zniknięciu don Sebastiana rozeszła się lotem błyskawicy.

Don Alvarez wezwał don Carla Cevennę do siebie.

- Zorro spełnił swoją groźbę - rzekł gryząc paznokcie z wściekłością. - Musimy zastosować jakiś odwet!...

- Wiem, co masz na myśli, gubernatorze - odparł żandarm. - Nie pozostaje nam nic innego, jak uwięzić również i córkę młynarza!...

- Właśnie! - przytaknął don Alvarez. - Pokażemy mu, że nie ulękliśmy się go! Liczę na ciebie, pułkowniku, że wykonasz swe zadanie jak należy.

Tego samego dnia don Carlo wyruszył w drogę na czele silnego oddziału.

Żandarmi przybyli do młyna o zmroku. Don Carlo rozstawił swych, ludzi dokoła, a sam zapukał do drzwi.

- Kto tam? - rozległ się głos Marquity.

- To ja, pułkownik don Carlo Cevenna. Otwórz seniorito...

Przybyłem w pewnej, bardzo ważnej sprawie.

- W tej chwili - odpowiedziała Marquita. - Tylko odsunę rygle.

Rozległ się zgrzyt odsuwanych żelaznych sztab. Drzwi uchyliły się.

- Zaczekajcie tutaj na mnie - zwrócił się don Carlo do swych ludzi. By uwięzić dziewczynę, nie potrzebował pomocy.

Ledwie jednak zagłębił się w ciemną czeluść przedsionka, gdy poczuł nagle parę silnych, męskich rąk, które ujęły go za szyję i zaczęły dusić.

Drzwi zamknęły się za nim. Po chwili jednak otworzyły się ponownie.

- Hej, tam, który! - rozległ się wśród ciemności głos przypominający do złudzenia głos don Carla. - Zbliź no się!...

Wachmistrz żandarmerii zbliżył się do drzwi, nie mógł jednak wśród ciemności widzieć wyraźnie don Carla.

- Nie jesteście mi na razie potrzebni - mówił domniemany pułkownik. - Postanowiłem pozostać tutaj na noc. Zawróćcie nie zwlekając do Saragossy i wręczcie tę kartkę gubernatorowi!

- Rozkaz, pułkowniku!

Wachmistrz zwołał ludzi i cały oddział pogalopował z powrotem do Saragossy. Ludzie uśmiechali się, a wachmistrz mruczał:

- No, no, ten pułkownik, kto by pomyślał... a przecież jego żona, donna Anita, jest wcale piękną kobietą!...

Podkręcił wąsa i pomyślał:

- Trzeba będzie kiedyś złożyć wizytę tej młynarzównie.

Don Alvarez zdumiał się niezmiernie, gdy przeczytał śpiesznie skreśloną kartkę następującej treści:

Drogi gubernatorze!... Spotkała mnie niezwykła przygoda. Nigdy bym się tego nie spodziewał. Nie jestem jednak egoistą i wiem, że należy dzielić dołę i niedołę ze swym zwierchnikiem. Toteż byłbym rad, gdybyś nie zwlekając przybył incognito do młyna. Najlepiej o zmroku. Poza tym proszę cię, gubernatorze, o zachowanie tajemnicy, szczególnie przed mą żoną.

Carlo Cevenna

Don Alvarez wezwał wachmistrza i kazał mu zrelacjonować okoliczności, w jakich otrzymał tę kartkę.

Wachmistrz wykonał rozkaz, nie przestając uśmiechać się pod wąsem, a gdy odszedł, don Alvarez uśmiechał się również i szeptał:

- No, no, nigdy bym się tego nie spodziewał po córce młynarza. Nie darmo przysłowie mówi, że w każdej kobiecie diabeł siedzi... Muszę jednak przekonać się naocznie, zanim uwierzę w powodzenie don Carla!...

Nie zwlekając wyruszył w drogę eskortowany przez żandarmów i zgodnie z poleceniem don Carla przybył do młyna o zmroku następnego dnia.

W oknie na pierwszym piętrze płonęło światło i rozległ się srebrzysty śpiew Marquity.

- He, he! - zaśmiał się don Alvarez. - Ten nicpoń wesoło spędza czas w młynie. Niech mnie pioruny biją, jeśli dziś jeszcze nie zajmę jego miejsca!...

Głównią szabli zastukał do drzwi. Śpiew umilkł i światło zgasło. Za drzwiami rozległ się tupot małych nóżek i srebrzysty głos zapytał:

- Kto tam?

- To ja, don Alvarez! Otwórz ślicznotko, chciałem pomówić z don Carlem Cevenną.

- W tej chwili! - rygle zazgrzytały i drzwi uchyliły się. - He, he! - śmiał się don Alvarez przestępując próg.

W następnej jednak sekundzie śmiech zamarł mu w gardle, zduszony stalowymi kleszczami.

- No i cóż, czy nie nadzwyczajna przygoda? - rozległ się nad jego uchem przyciszony głos Zorry. - Marquito, zamknij i zarygluj drzwi!

Żandarmi długo czekali na swego dowódcę, a gdy nie powracał, wachmistrz mruknął:

- Ta młynarzówna jest okropna. Każdy mężczyzna, który wszedł do młyna, to jakby wpadł w studnię bez dna!...

A tymczasem tylnym wyjściem Zorro wynosił cichaczem skrępowane ciało don Alvareza.

Grota w górach gościła trzech zakładników: Don Alvareza, don Carla i don Sebastiana.

Znajdowali się oni tak długo w gościnie u Zorry, aż wreszcie don Alvarez podpisał formalny rozkaz uwolnienia młynarza i jego ludzi oraz przyrzekł pozostawić ich w spokoju.

Don Alvarez i don Carlo zostali uwolnieni. Pozostał tylko don Sebastiano, któremu Zorro przez dłuższy czas sumiennie wybijał z głowy nieodpowiednią miłość do Marquity. Ale i tym razem postawionemu sobie zadaniu sprostał całkowicie: od chwili bowiem odzyskania wolności don Sebastiano unikał dziewczyny jak ognia.

## Królestwo Zorry

Marszałek Serrano, który po upadku Izabelli II miał się stać wszechwładnym regentem Hiszpanii, posiadał rozległe dobra w okolicy miasta Tudeli oraz słynął z nieugiętego charakteru, żelaznej energii, wielkich bogactw tudzież... pięknej córki Juany.

Piękna Juanita odziedziczyła wiele cech swego ojca. Była odważna, nieugięta, uparta, poza tym żywiła pogardę dla rodzaju męskiego.

Większą część roku Juana spędzała w Paryżu u swej ciotki, wielkiej dziwaczki, która nikogo nie uznawała poza swą siostrzenicą. Na zimę powracała do Madrytu i tutaj od razu wpadała w wir zabaw i uciech świątecznych.'

Krażyły legendy o tej pannie niezwyklej urody, dumnej, samowolnej i kapryśnej.

Podobno w Paryżu z jej powodu odbyło się kilka pojedynków i popełniono dwa samobójstwa. W Madrycie nie było młodzieńca z wyższej sfery, który by nie kochał się na zabój w przecudnej córce marszałka.

Gdziekolwiek się ruszyła, ciągnął się za nią sznur fanatycznych wielbicieli, gotowych uczynić wszystko na jedno jej skinienie, dla łaskawszego spojrzenia lub uśmiechu.

Lecz seniorita Juana, w odróżnieniu od innych pięknych kobiet adorowanych przez mężczyzn, nie odczuwała najmniejszej potrzeby obecności licznej świty wielbicieli. Dumna władczyni męskich serc nie chciała wcale mieć poddanych. Dawała im to odczuć na każdym kroku, lecz wszystkie uszczypliwe uwagi, wychodzące z pięknych, ukarminowanych usteczek, nabierały takiego wdzięku, że jej wierni rycerze wzdychali jeszcze mocniej do księżycy i struny gitar częściej pękały od namiętych akordów pod jej oknem.

W rozległych dobrach marszałka nigdy nie widziano Juany. Dzieląc swój czas pomiędzy Paryżem i Madrytem, seniorita nie pomyślała nigdy dotąd o posiadłościach wiejskich swego ojca. Toteż marszałek zdziwił się bardzo, gdy pewnego poranku córka oświadczyła mu, iż zmęczona życiem wielkoświatowym, pragnie wypoczynku w wiejskim zaciszu.

- Ależ, moje dziecko, pomyśl tylko, przy twych osiemnastu latach...

- Czuję się tak, jakbym miała pięćdziesiąt, ojczy! Ta zgraja błaznów, która mnie otacza, wywołuje we mnie mdłości. Bale, maskarady, kiermasze, tańce, wieczne tańce i flirt... Ach, nie! Mam tego dosyć. Jadę do Francji, zaszyję się w Normandii nad brzegiem morza, w jakiejś wiosce rybackiej!...

- Moje drogie dziecko, po co szukać zacisza aż w Normandii. Jedź do naszych

posiadłości pod Tudelą. Masz tam zamek, pałac, willę, gaje oliwne, palmy, rzeczkę, rozległy widok na góry i tysiące innych cudów...

- I wszystko to należy do nas?

- Wszystko prócz gór na widnokręgu. .

- Postanowione więc, padro!<sup>8</sup> Twoja córka wyrusza do Tudeli.

Tutaj Juana westchnęła:.

- Ach, żeby tak uciec, by żaden z mych znajomych ani przyjaciół nie wiedział, gdzie się podziałam!

Marszałek roześmiał się i położył rękę na ramieniu córki.

- Dziwna z ciebie dziewczyna - rzekł. - Nienawidzisz mężczyzn a pomyśl, że w końcu będziesz musiała któregoś pokochać, nie pozostaniesz przecież starą panną!

- Chciałabym nią zostać - odparła z westchnieniem Juana. - Ani w Paryżu, ani w Madrycie nie napotkałam mężczyzny, który by zmusił me serce do żywszego bicia... - Przerwała na sekundę. Jakieś wspomnienie ożyło w niej, gdyż zawołała: - Przepraszam, ojciec, skłamałam. Przed rokiem ujrzałam pewnego mężczyznę, którego gotowa byłam pokochać. Człowiek ten był wysoko postawiony, a gdy na niego patrzyłam, serce biło mi szybciej niż zazwyczaj.

- Tak? - zapytał marszałek i zdumiony spojrzał na córkę. - Czyżby istniał na świecie mężczyzna, który wzbudził w tobie żywsze zainteresowanie? Mężczyzna wysoko postawiony?

- Tak!

- Księżę panujący czy zgoła król?

- Nie! Kominiarz!

- Cooo?

- Obserwowałam go w Paryżu, gdy wędrował po skraju dachu! Serce mi żywiej zabiło, bo poślizgnął się i omal nie spadł!

Marszałek wybuchnął głośnym śmiechem. Juana mu wtórowała.

Nazajutrz wyruszyły do Tudeli cztery karoce. Pierwszą karocą jechała donna Juana z ojcem, w następnych zaś służba oraz bagaże. Nie zdążyli jednak zbyt daleko oddalić się od Madrytu, gdy doгнаła ich poszostna karoca.

Juana wyjrzała przez okno i rzuciła się z westchnieniem na poduszki powozu...

- Moi satelici - rzekła wzdychając. - Nie odczepię się od nich chyba nigdy!

---

<sup>8</sup> Ojciec!

- Wyjdiesz za mąż i będziesz miała spokój - odparł marszałek.

- O nie, co to, to nie! Już wolę mych wielbicieli!

Powozy marszałka Serrany mijały Saragossę.

- To dziwne! - odezwała się Juana. - W prowincji Saragossy i Huesco więcej napotyka się wojskowych i żandarmów niż cywilnych. Co się tu dzieje? Wygląda to na stan wojenny. Twarze żołnierzy są skupione, wymijając zaglądają do naszej karety z miną najgorszych zbrodniarzy.

Marszałek nie zdążył odpowiedzieć. Z zakrętu wyłonił się liczny oddział żandarmów. Oficer przygalopował do karety, zasalutował i zapytał:

- Czy jego ekscelencja, marszałek don Serrano?

- Tak, to ja!.

- Mam rozkaz gubernatora Aragonii, by towarzyszyć karetom aż do posiadłości marszałka!

- Jak to? Mam jechać pod eskortą żandarmów?

- Tak jest, ekscelencjo!

- To jest zupełnie zbyteczne! Czy nie widzisz, kapitanie, tych walecznych, młodych ludzi, którzy otaczają naszą karecę? Żaden bandycki napad nie grozi nam pod ich opieką!

- Mniejsza o bandytów, ekscelencjo! - zawołał oficer. - Chodzi o Zorrę!

- Ach tak, rzeczywiście! - szepnął marszałek, jakby na poły przekonany. - Zorro to co innego! Lecz nawet w wypadku, gdy zostaniemy napadnięci przez Zorrę, również i wasza eskorta niezbyt nam się przyda!

- Ekscelencjo!...

- Wiem dobrze, co mówię! - rzekł Serrano. - Nie potrzebujemy żadnej eskorty. Zaniesiesz, kapitanie, nasze podziękowanie gubernatorowi i powiesz, że marszałek Serrano nie życzył sobie strażników!

- Oficer zasalutował, z zalem spojrzął na piękną Juanę, po czym niechętnie i ociągając się znikł z oczu podróżnym wraz ze swymi żandarmami.

- Kto to jest ten Zorro? - zapytała Juana. - Szefer niebezpiecznych rozbójników?

- Nie, moje dziecko! Zorro to rabuś, który chadza własnymi drogami. Nigdy nie występuje w towarzystwie, zawsze działa sam jeden!

- Jak wygląda?

- -Licho go tam wie! Twarz ma zasłoniętą czarną maską, jest niesłychanie bezczelny, do tego stopnia, że aż pewnego razu poważył się zakraść do sypialni królowej!

- Ach!...



- Ma jedną szczególną manię. Nigdy nie tknie prywatnych pieniędzy. Zawsze napada na transporty rządowe lub na sekwestratorów podatkowych don Alvareza. O, z tymi, jeśli natrafią na Zorrę, to już zupełnie źle!

- Co z nimi robi? Zabija ich?

- Nie, moja Juano! Nie zabija: lecz zabiera im wszystko, smaga batem, wypisuje znak „Z” na policzku i puszcza wolno!

- To okropne! Wypisuje literę „Z”?

- Nie inaczej! Poprzedni wielkorządca, stary Carwalho, nie mógł podołać temu bandycie. Pułkownik don Alvarez miał być tym mężem opatrnościowym i unieszkodliwić go. Niestety i on również w ciągu kilku miesięcy obnosił na policzku literę „Z”!

- Czy ludność Aragonii nie mogłaby wydać Zorry, oczywiście za nagrodą?

- Aragończycy? - roześmiał się don Serrano. - Juano, czy ty wiesz, co mówisz? Oni mieliby wydać swego bohatera, który rozsypuje hojną garścią złoto pomiędzy biednymi? Ten zamaskowany rabuś nie zatrzymuje ani grosza dla siebie, wszystko rozdaje. Czyn piękny, lecz pachnie szubienicą, gdyż w ten sposób rodzi się anarchia. Jeden jedyny człowiek wystawia na pośmiewisko instytucje królewskie, przerywa dopływ pieniędzy do państwowego skarbcza, powoduje zamęt i chaos. Podoba mi się ten śmiały do szaleństwa junak, lecz ja sam powiesiłbym go na pierwszym drzewie, gdybym go dostał w swe ręce!...

Juana milczała. Po chwili odezwała się spokojnie, spoglądając przez okno karocy:

- I dobrze byś uczynił, ojcze! Patrz, tam w oddali na pagórku, zdaje się, iż ten właśnie Zorro, o którym mówiłeś, wypróżnia sakwy podróżnych!

Don Serrano zerwał się ze swego miejsca jak oparzony.

- Gdzie? Gdzie? - zawołał.

Jeden z urzędników siedział na ziemi, trzymając się za policzek, na którym wryte zostały trzy krwawiące pręgi w kształcie „Z”. Mundur wisiał na nim w strzępach. Trzej inni stali rzędem z rękami wzniesionymi do góry. Zorro stał przed nimi, oparty niedbale o siodło swego konia, i prawil kazanie:

- Rozumiem, gdy ktoś dla kawałka chleba zgadza się być katem, wykonawcą najwyższej kary. Kogo ścina taki kat, łamie kołem lub wiesza? Wielokrotnego mordercę i zbrodniarza, bez czci i wiary! Jak jednak nazwać takiego człowieka, który dla nędznego wynagrodzenia odbiera ostatni grosz biedakowi, skazując jego żonę i dzieci na śmierć głodową? Ja- nazwać takiego łajdaka, który zabiera ostatnie ciele, kozę żywicielkę lub narzędzie pracy? Komisarz królewski! Z czyjzego czyni to rozkazu? Z rozkazu gubernatora, który jest zwyczajnym złodziejem. I dobrze wie, że przesiąkłe krwią, potem i łzami pieniądze

nie dojdą w całości do królewskiego skarbcza. Dobrze wie, że te pieniądze są rozkradane w drodze do Madrytu. Pomimo to dla marnej pensji miesięcznej i błyszczącego munduru nie baczy na jęki, płacz i nędzę swych ofiar. Pod pokrywką obowiązku uprawia swój nieczny proceder...

Wtem urwał i spojrzął na drogę.

W odległości mniej więcej pięciuset kroków ciągnęły gościńcem cztery karoce podróżne. Obok galopowali eleganccy jeźdźcy. Następnie z zakrętu wyłoniły się znów karoce. Zorro naliczył ich jedenaście.

- A to co za orszak ślubny? - zdziwił się Zorro. - Co to za goście w tej bezludnej okolicy?

Jednym skokiem znalazł się w siodle, sprawdził, czy worek srebra, odebrany komisarzom, dobrze został przymocowany, zwinął bicz w kółko i skierował konia w stronę jadących. Milcząc przemknął obok powozów, uważnie wpatrując się w podróżnych. Gdy zrównał się z ostatnim pojazdem, zawrócił i pognął w stronę karocy jadącej na czele.

- Witam cię, senor Serrano! - rozległ się jego metaliczny głos. - Mam zaszczyt powitać cię w naszej prowincji!

- Znasz mnie, senor? - zapytał marszałek.

- Kto by nie znał najdzielniejszego człowieka Hiszpanii! - zawołał Zorro, posuwając się obok powozu. - Człowieka, który tyle dobrego zrobił dla ojczyzny!.

Don Serrano nie był pewny, czy w głosie Zorry brzmiało uznanie czy też ukryta ironia. Na wszelki wypadek rzekł z przekąsem:

- Tego nie mógłbym powiedzieć o tobie, senor Zorro!

- Każdy z nas wykonuje swój obowiązek, jak potrafi - odparł Zorro, odsłaniając białe zęby w beztróskim uśmiechu-

Podczas gdy obaj rozmawiali z sobą, senorita Juana z zaciekawieniem przyglądała się zamaskowanemu rycerzowi szerokich dróg: jedwabna maska, jedwabna materia otulająca głowę, długi bicz u siodła, rapier u boku i pistolet. Teatralny fanfaron, pomyślała. Stawia na efekt... Wszystko czarne: koń, maska, ubiór, a nawet zawój na głowie! Że też ludzie go się obawiają!...

Przyzwyczajona była do delikatnych postaci dworskich elegantów, toteż tajemniczy Zorro nie wywarł na niej najmniejszego wrażenia. Niedawno przybyła z Paryża i niewiele wiedziała o jego wyczynach. W jej oczach był to przeciętny awanturnik, który dzięki swemu tupetowi zyskał sławę niepokonanego i zawdzięcza swą bezkarność tchórzostwu, niezaradności miejscowych władz oraz współnictwu i sympatii ludności.

Korzystając, iż Zorro nie zwrócił na nią uwagi, wychyliła się przez drugie okno karocy. Ujrzała swych dwóch wielbicieli, którzy jechali konno, nieco w tyle. Przywołała ich nieznacznym ruchem ręki.

- Senores – szepnęła - czy wiecie, kto jest ten zamaskowany, który rozmawia z moim ojcem?

- Nie! - brzmiała odpowiedź. - Zastanawiamy się właśnie, co ma oznaczać ta maskarada?

- To jest Zorro! Słyszeliście o nim?

- Och!... - Jeźdźcy spięli swe konie, lecz ten odruch przestrachu uszedł uwagi seniority.

- Jest was tu ośmiu, najdzielniejszych caballeros Hiszpanii - rzekła. - Czy nie zajmiecie się nim?

Jedno słowo seniority wystarczyło. Zawrócili konie i przyłączyli się do reszty młodych ludzi.

Zorro spokojnie jechał obok karocy marszałka, prowadząc z nim rozmowę. Zdawałoby się, że wcale nie dostrzegł manewru ośmiu jeźdźców za jego plecami. Przyglądał się z zachwytem obliczu cudnej seniority. Juana widziała ciemne oczy wpatrzone w nią uporczywie i ogarnął ją niepokój.

To co się dalej działo, było zgoła nieprzewidziane. Huknął wystrzał. Zorro schylił się i chwycił bicz tak błyskawicznym ruchem, że zanim marszałek i Juana zdążyli cokolwiek zauważyć, rzemień przeciął powietrze i rozległy się jęki.

Ojciec i córka wyrzeli przez okno karocy. Zorro stał nie opodal w strzemionach i śmiał się. Juana po raz pierwszy w życiu słyszała taki śmiech. Brzmiało w nim tyle radości życia, tyle beztrudnej uciechy i rozkosz walki, że Juanę mimo woli przeszedł dziwny dreszcz.

A Zorro pracował swym biczem. Ten, który doń strzelił i chybił, leżał w piasku skręcając się z bólu. Do niego dołączyli dwaj inni, ściągnięci z siodła rzemieniem z bawolej skóry.

Pięciu jeźdźców uwijało się dookoła Zorry, który - podobny do rysia osaczonego przez ogarów - śmiał się głośno z ich wysiłków i rozdawał razy na prawo i na lewo.

- Dlaczego bronisz się biczem jak poganiacz wołów? - zawołał jeden z napastników. - Walcz tak jak my, szpadą!

Zorro mógł odpowiedzieć, iż mając sam jeden pięciu przeciwników, może bronić się, jak mu się podoba. Odpowiedział jednak krótko:

- Chciałem przedłużyć zabawę!

Wyciągnął swą szpadę, zawiesił bicz u siodła i po raz pierwszy zaatakował wołając:

- Trzymajcie się dobrze, senores! Chcieliście tego!

Marszałek i Juana zrozumieli teraz, iż dotychczas to była igraszka. Zdawało im się, że widzą samego szatana w ludzkim ciele.

Zorro i jego koń zdawali się potrajać. Koń rzucał się jak oszalały na wszystkie strony, a Zorro rozdawał sztychy i cięcia. Trudno było uchwycić okiem ruchy jego szpady, widziało się rezultat.

Caballeros krwawili. Czterej byli już naznaczeni szpadą Zorrry. Każdy z nich miał na policzku krwawiący znak „Z”.

Przyszła kolej na piątego jeźdźca. I on również otrzymał trzy szybkie cięcia końcem szpady i litera „Z” zaczęła krwawić na policzku.

- A teraz, moi senores, po naznaczeniu was wszystkich moim monogramem - zawołał donośnie Zorro - muszę was ukarać za to, iż w sposób niegodny postępujecie ze swymi przeciwnikami. Nie strzela się w plecy i nie atakuje się w osiem osób jednego przeciwnika.

Odczepił bicz i zaczął rozdawać razy na wszystkie strony. - Ojcze, ojcze! - jęknęła Juana drżąc cała. - Czy pozwolisz, by ten rozbójnik poniewierał kwiat szlachty hiszpańskiej?

- Cóż mam począć, moje dziecko? - zapytał don Serrano. - Czy mam wyleźć z karety i dać się osmagać?

- Zastrzel go, zastrzel, ojcze! - zawołała Juana.

Don Serrano wyciągnął pistolet z kieszeni i wycelował w Zorrę, który w tej samej chwili ściągnął ostatniego przeciwnika z siodła.

Marszałek nie zdążył jednak wystrzelić.

Niby rozpalone żelazo koniec rzemienia owinął się dookoła jego dłoni. Don Serrano syknął i wypuścił pistolet, który upadł poza karocą. Jednak błyskawicznie sięgnął po drugi, ale Zorro też nie próżnował. Jedno pociągnięcie - koń jego znalazł się obok karocy. Jeździec w masce nachylił się, wsadził ręce przez okno, ujął don Serrana za kołnierz, jednym mocnym szarpnięciem wywlókł go z karety i rzucił na ziemię, mówiąc:

- Racz mi wybaczyć, senor, że tak postąpiłem z tobą, nie bacząc na twe stanowisko i rangę. Niestety, swym postępowaniem zmusiłeś mnie do tego. Nie żywiłem złych zamiarów wobec ciebie, dlaczego chciałeś mnie zgładzić?

W tonie jego słów, zamiast zwykłej ironii, zabrzmiał gniew, gdy zawołał:

- A teraz na ciebie kolej, okrutna seniorito. Patrz na swe dzieło. Oto twoi hidalgowie tarzają się w piachu i krwi. Patrz na swego czcigodnego rodzica, którego poważam, a jednak zmuszony byłem rzucić go w pył przydrożny. Wszystko to twoja sprawa, piękna donno, która okazałaś się zwykłą, głupią gęsią! Wylaż z karety, żywo!

Juana, blada jak płótno, znieruchomiała i zaniemówiła. Po raz pierwszy w życiu zwracano się do niej w podobnie brutalny sposób. Wszystko co odbywało się przed chwilą przed jej oczami, było tak niewiarygodne, rozegrało się tak szybko, że zdawało się Juanie, iż jest to sen.

- Wychodź z karety, seniorito - rozległ się groźny okrzyk Zorry i Juana bezwiednie usłuchała.

Zaledwie postawiła nogę na ziemi, a już para silnych rąk uniosła ją w górę i posadziła na siodle.

Mężczyźni, pomimo swych ran, porwali za broń.

Don Serrano rzucił się w stronę konia Zorry. Lecz było już za późno. Porywacz, trzymając Juanę na siodle przed sobą, spiał konia ostrogami i pomknął naprzód.

Nagle kule zaczęły świstać koło uszu Zorry. Daleko w tyle niósł się potężny krzyk z licznych piersi. Za uciekającymi pędził oddział żandarmerii dowodzony przez kapitana, którego usługi odrzucił ze wzgardą don Serrano.

- Poddaj się, Zorro! - ryczei ludzie. - Mamy cię, nie wymkniesz się! Stój, stój... strzelamy.

Zorro nachylił się nieco i mruknął jakieś niezrozumiałe słowo do swego konia. Szlachetne zwierzę położyło uszy na karku i pomimo podwójnego ciężaru wyciągnęło się jak struna w galopie. Rumak po prostu pożerał przestrzeń, ledwie dotykając ziemi kopytami. .

Pagórki, krzaki, głązy, wszystko migalo przed oczami Juany. Powietrze świszczalo koło uszu i zapierało dech w piersiach. Dziewczyna ze zdumieniem stwierdziła, iż zamiast gniewu i przerażenia, doznaje dziwnego uczucia rozkoszy.

Prześladowcy maleli w oddaleniu. Rumak Zorry kluczył teraz pomiędzy skałami. Znajdowali się w okolicy piaszczystej, usianej głazami i spalonej żarem słonecznym.

Porywacz obejrzał się, skonstatował, iż pościg znikł z widnokręgu i puścił konia stępa. Niebawem zatrzymał się przed wejściem do wąwozu i zсадził senioritę z siodła.

- Co zamierzasz uczynić, senior? - zapytała Juana, stając na ziemi. - Czy chcesz mnie również osmagać?

Zorro nic nie odpowiedział, wskoczył na konia i pognął wzdłuż wąwozu, pozostawiając Juanę samą na tym pustkowiu. Po chwili znikł jej z oczu.

Łzy zabłysły w oczach dumnej panny, zacisnęła pięści ze złości. Taki straszny afront. Porwał ją ojcu, wywiózł na pustkowie i pozostawił nie obdarzając ani jednym słowem, ani najmniejszym spojrzaniem. Co za bezczelny opryszek.

Juana ruszyła z powrotem. Szła dość długo, męczona pragnieniem i znużona niezwykłym dla niej wysiłkiem. Po upływie niecałej godziny nogi ją bolały, w głowie huczało i przed oczami latały czarne płatki. Usiadła więc na przydrożnym kamieniu i w tej właśnie chwili natrafił na nią głupi Zefirio.

Jednocześnie w oddali ukazały się postacie jeźdźców. Był to oddział żandarmów, którzy stracili Zorrę z oczu i ciągnęli w kierunku północnym.

## Powodzenie Zefiria

Młodzieniec dźwigał drewnianą skrzynkę na rzemieniu przerzuconym przez ramię. Sądząc z jego wysiłku, skrzynka musiała być dość ciężka.

Zaledwie wyszedł zza skały, nachylił się, by podnieść z ziemi jakiś kamyczek. Wtem wzrok jego padł na Juanę. Z okrzykiem zdumienia wypuścił rzemień z ręki. Skrzynka upadła na ziemię i wysypały się z niej różnorodne kamienie. Rzucił się do zbierania swoich skarbów, zapominając o siedzącej nie opodal dziewczynie.

Juana ze zdziwieniem przyglądała się tej czynności. Dziwny młody mężczyzna, pomyślała. Bardziej obchodzą go jakieś kamuszki niż samotna kobieta na tym pustkowiu!

- Senor! - zwróciła się donna Juana do młodzieńca, który kończył zbierać kamyki. - Czy masz silne płuca?

- Czy mam silne płuca?.. Jak Ares, Stentor i Boreasz razem wzięci, seniorito!

- A więc wydobądź z siebie tak silny głos, senior, by ludzie jadący tam w oddali nas usłyszeli.

Młodzieniec powstał bez pośpiechu, otrzepał odzienie, po czym przyłożył dłonie do ust i zaczął wołać. Niestety, pomimo zapewnień, głos jego daleko był słabszy od głosu Aresa, Stentora i Boreasza.

Daremnie Juana dopomagała mu, wymachując rękami, by zwrócić na siebie uwagę jeźdźców. Oddział znikł za pasmem skał, nie dostrzegając sygnałów ani nie słysząc nawoływań,

- Bardzo mi przykro, seniorito - rzekł. - Pomimo że krzyczałem tak głośno, że aż skały się trzęsły, ludzie ci pozostali głusi i niemi na me rozpaczliwe wołania!

Juana zniechęcona usiadła z powrotem na kamieniu.

- I cóż ja teraz pocznę? - rzekła. - Nie mogę ruszyć się z miejsca, tak mnie nogi boją!

- Poniosę cię, seniorito! - zaproponował młodzieniec, lecz już w następnej chwili pożałował swej propozycji.

- Nie, to będzie niemożliwe - rzekł drapiąc się w głowę. - Mam skrzynię pełną cennych kamieni. Jestem co prawda silny fizycznie, lecz skrzynia jest niezwykle ciężka i nie uniósłbym dwóch ciężarów naraz.

Dziwny nieznajomy zaczął bawić Juanę. Zapomniała na chwilę o zmęczeniu i pragnieniu.

- Więc skrzynię pozostaw tutaj, senior! - zaproponowała Juana.

- O, seniorito, nie mówisz chyba tego poważnie - przestraszył się. - To są próbki geologiczne. Czy wiesz co znaczy dla ludzkości geotektonika?

- Nie wiem nawet, co oznaczają te słowa!

- Geologia to nauka o budowie i dziejach skorupy ziemskiej, geotektonika zaś zajmuje się badaniem rozkładu skał na naszej planecie! Zbierając kamyki to tu, to tam, nie szczędząc zdrowia ani czasu, przygotowuję naukową rozprawę pod tytułem „O rozkładzie skał, czyli geotektonika Aragonii poprzez epoki i ery geologiczne”. - Przybrał natchnioną pozę i mówił dalej: - Dzieło moje wywoła prawdziwą rewolucję w sferach naukowych. Udowodnię, że Hiszpania nie przechodziła epoki lodowej...

- To jest bardzo piękne - przerwała mu Juana. - Niestety, lód przywodzi mi na myśl orzeźwiająca, chłodną wodę. Od godziny dręczy mnie pragnienie, więc...

- Seniorito! - zawołał młody uczoney. - Masz prawo powiedzieć, iż jestem okrutnikiem i egoistą. Zaczekaj chwilę, a będziesz miała wody pod dostatkiem!

- Czyżbyś miał zamiar uderzyć różdżką czarodziejską w skały, podobnie jak uczynił Mojżesz na pustyni?

- Lepiej, seniorito, lepiej! Zaczekaj chwilkę i dopilnuj zarazem mej skrzyni, albowiem jakiś rywal, zazdrosny o me przyszłe wawrzyny, może mi zwędzić te drogocenne okruchy granitu, bazaltu i piaskowca! Zaraz wrócę!

Juana pozostała sama. Lekki uśmiezek zjawił się na jej ustach. Przystojny młodzieniec - pomyślała. Lecz jakież dziwne! Pomimo to szalenie sympatyczny, a nawet pociągający! Jeśli odrzucić wszystkie te bzdury geo... geoli... nozyjne... hm!... Ciekawa jestem, kto to jest? Sądząc po ubiorze, nie jest to przyjezdny, lecz rodowity Aragończyk!

Rozmyślenia jej przerwał okrzyk młodego geologa:

- Hop, ruszaj się, przekłete bydlę! Co za uparciuch! Hoo, hoo!...

Spoza skały ukazał się jej nowy znajomy, ciągnąc za sobą osiodłanego muła.

- Uff, uparte bydlę! - sapał mężczyzna. - Gdybym nie wiedział, że to muł, uwierzyłbym, że jest to osioł.

To mówiąc odczepił od siodła wielkie naczynie z czerwonej glinki.

- Pij, seniorito - rzekł. - Woda jest chłodna dzięki specjalnej, afrykańskiej glince, z której ta amfora jest zrobiona!

- Mój Boże, senior! - zawołała Juana. - Dręczysz mnie dobre pół godziny na tej pustyni, nie wspominając ani jednym słowem o tym, że masz muła!

- Wybacz mi, o piękna seniorito! - zawołał młodzieniec, klękając na jedno kolano i błagalnie wznosząc ręce. - Wybacz mi, że jak każdy prawdziwy uczoney jestem roztargniony!



Juana ugasiła pragnienie i wstała.

- Senor - rzekła. - Sądzę, iż odwieziesz mnie do domu! - Wszędzie, gdzie tylko zechcesz, seniorito! Choćby na antypody!

- To byłoby zbyt daleko! - roześmiała się Juana. - Na razie wystarczy, jeśli zawieziesz mnie do Chiarea!

- Zamek marszałka Serrano? - zawołał młodzieniec.

- Tak!

- Tam mieszkasz, seniorito?

- Tak!

- Dziwne! O ile mi wiadomo, nie mieszka tam żadna piękna kobieta! Co ty tam robisz, seniorito?

- Nie jestem piękną kobietą, więc mieszkam w Chiarea! - Żartujesz, seniorito! W życiu nie widziałem piękniejszej od ciebie kobiety!,

- Masz spaczony gust, senior! - odparła Juana, sadowiąc się w siodle. - Doprawdy, przesadzasz. To samo mogłabym o tobie powiedzieć, a mianowicie, że nie widziałam w życiu przystojniejszego od ciebie mężczyzny. Lecz tego nigdy nie powiem, gdyż stałbyś się zarozumiały.

Młodzieniec zmieszał się i westchnął:

- O, piękna seniorito! Przed rokiem padłbym do twych stóp, błagając o litość dla mego cierpiącego serca. Dziś, niestety, słowa twe nie wbijają mnie w dumę, gdyż serce moje zostało zajęte!

- Czyżby? - zapytała Juana, poganiając muła. - Któż to jest ta szczęśliwa wybranka twego serca?

Młodzieniec kroczył obok, trzymając rękę na łąku siodła. Skrzynię z kamieniami umocował u boku zwierzęcia..

- Czy słyszałaś, seniorito, o księciu Ramido y Carvalho?

- Nie tylko słyszałam, lecz nawet znam go bardzo dobrze! - Więc znasz zapewne i piękną Dolores, jego siostrzenicę! - Czy ją znam? Ależ to jest moja najlepsza przyjaciółka z lat dziecinnych!

- Dobrze nieba! Pani jest przyjaciółką Dolores? -zawołał młodzieniec. - Co za szczęście! Więc powie jej pani, gdy ją zobaczy, że pomimo wszystko kocham jeszcze i pragnę ją poślubić!

Juana zaczęła się śmiać:

- Założę się, iż zgadłam kto jesteś, senior! Czy nie nazywasz się przypadkiem Zefirio

Corti?

Młodzieniec stanął i szeroko otworzył usta ze zdumienia.

- Rzeczywiście - wyjąkał. - Skąd wiesz, seniorito?

- Jesteś ornitologiem, botanikiem i geologiem, a nazywają cię głupi Zefirio. Czy prawda?

- I to się zgadza, seniorito, choć zastrzegam się, że wbrew tej ostatniej nazwie, wcale nie jestem taki głupi!

- Nie miałam zamiaru cię obrazić, senor! Jestem zdania, że ci, co uważają cię za głupiego, są głupsi od ciebie!

Zefirio znów otworzył usta jak ryba łykająca wodę i z rosnącym zdumieniem przyglądał się pięknej senioricie. Podobnie pochlebne słowa słyszał po raz pierwszy w życiu.

- Hm... hm... Słusznie powiedziałaś, seniorito - rzekł po chwili milczenia. - Istotnie, uważam, iż jestem bardzo mądry, dowcipny, odważny i...

- I obrzydliwy komediant zarazem...

- Jak? Co? - nie zrozumiał Zefirio.

- Nic! Mów pan o Dolores!

Zefirio rzucił z ukosa spojrzenie na Juanę.

- Dobrze! - rzekł z westchnieniem. - Mówmy o Dolores. Kocham ją nad życie, niestety, okrutna seniorita kocha innego, kocha tego zbrodniarza, łotra spod ciemnej gwiazdy. Ona, księżęca siostrzenica i hrabiowska córka! Nie, to jest nie do pomyślenia! Kochać, się w człowieku wyjętym spod prawa, podczas gdy uczciwy, mądry, wykształcony caballero Zefirio Corti oddałby życie za jeden jej paluszek!

- Dziwne to co mówisz! Kto jest ów człowiek, którego pokochała ?

- Zorro!

- Co? Dolores kocha Zorrę? Czy widziała go bez maski? - Nie, lecz kocha go za jego rzekomą brawurę i niby niezwykłą odwagę...

Tutaj Zefirio wydał pogardliwie usta:

- Odważny człowiek!... A kto ujął go i oddał w ręce władzy? Kogo obawia się Zorro? Mnie, tylko mnie, Zefiria Cortiego. A więc kto ma większą wartość, ja czy on? Lecz okrutna Dolores nic nie chce wiedzieć, płacze za Zorrą, tęskni za nim i to nas rozdziela i mnie od niej oddala!

Juana śmiała się, podczas gdy Zefirio rozpaczał.

Położyła rękę na jego ramieniu i nachyliła się nad nim. Muł powoli i obojętnie kroczył po drodze wśród rozpoczynających się kęp zieleni.

- Senor Zefirio - rzekła miękko. - Dolores jest głupia, wierz mi! Gdybym miała do wyboru między tobą i Zorzą, wybrałabym ciebie!

- O, bo nie znasz Zorry, seniorito!

- Znam go! Nie zapytałeś nawet, skąd się wzięłam na tym pustkowiu, sama jedna, daleko od ludzi!

- Istotnie, nie pomyślałem!

- Porwał mnie Zorro, przywiózł i pozostawił tam, gdzie mnie znalazłeś. Sądził, że mnie w ten sposób ukarze za podburzanie ludzi do walki. Galopowałam długi czas na jego siodle i... - I co?

- To jest niezwykły człowiek, lecz ja wolałabym ciebie, senor Zefirio! ...

I zanim Zefirio zdążył odpowiedzieć, piękna Juana, pogardzająca rodzajem męskim, dumna i samowolna córka marszałka Serrany, pochyliła się i złożyła gorący pocałunek na ustach przerażonego młodzieńca.

## Liścik z zamku

W hacjendzie Anzelma Cortiego wszyscy już wiedzieli o przybyciu marszałka Serrany z córką do sąsiadującej z zachodniej strony posiadłości.

Wiedziała o tym okolica i cała okoliczna młodzież szlachecka zaczęła krążyć w pobliżu zamku Chiarea.

Wiedziano powszechnie o dumie i pysze donny Juany, lecz ta okoliczność jeszcze bardziej rozogniała wyobraźnię młodych, pełnych ognistej fantazji kawalerów.

Teraz, podobnie jak w Madrycie, ledwie księżyc ukazał się na firmamencie, okolice zamku zaczęły rozbrzmiewać dźwiękiem tęsknych serenad. Melancholijne postacie, owinięte w szerokie peleryny, wałęsały się z zapadnięciem nocy w pobliżu miejsca zamieszkania pięknej Juany.

Złe psy, spuszczone z łańcucha, krążyły dookoła wielkopańskiej siedziby i pod wpływem owych nocnych serenad wyły żałośnie do księżyca, nie dopuszczając jednak rozkochanych caballeros bliżej niż na pięćset kroków.

O tym mówiono pewnego pięknego popołudnia w patiu Anzelma Cortiego.

- Od czasu pojawienia się na zamku seniority Juany Serrano - mówił Anzelmo Corti - młodzieńcy okoliczni potracili głowy...

- Nic dziwnego - wtrąciła Mercedes - skoro się weźmie pod uwagę, iż Juanę poprzedziła opinia panny niezwykle bogatej, wykształconej, znanej na dworach Hiszpanii i Francji. Widziałam ją kiedyś w Madrycie, jest niebrzydka, lecz doprawdy, nie widzę w niej nic nadzwyczajnego.

Mercedes, jak każda piękna kobieta, nie bardzo lubiła, gdy w jej obecności rozmawiano z zajęciem o innej pięknej kobiecie. Prócz tego historia porwania Juany przez Zorrę, powtarzana w całej prowincji, napawała ją niepokojem. Zakochana w tajemniczym jeźdźcu, obawiała się rywalizacji Juany.

- Nie masz słuszności, moja droga narzeczono - odezwał się Zefirio. - Juana jest nie tylko piękną, lecz również niezwykłą kobietą!

- Cóż ty możesz o tym wiedzieć, biedny Zefirio! - zawołała Mercedes z przekąsem. - Nie chcę cię upokarzać, lecz doprawdy ze wszystkich caballeros, którzy ubiegają się o jej względy, ty będziesz miał najmniej szans oglądania na własne oczy dumnej córki marszałka!

- O, Mercedes! - jęknął biedny Zefirio. - Jakżeż jesteś wobec mnie okrutna! Więc uważasz, iż jestem tym ostatnim, który może się podobać? Zraniłaś serce me, kuzynko!

Rozmowę przerwało ukazanie się służącego:

- Senor Zefirio! - zawołał. - Przybył konny wysłannik z zamku Chiarea!

- Do mnie? - zapytał Zefirio.

- Tak! Przywiózł list od seniority Juany Serrano.

Gdyby grom strzelił w patio, nie uczyniłby większego wrażenia niż słowa służącego.

List donny Juany do Zefiria? Co to miało znaczyć? Zmieszany Zefirio rozerwał pachnącą kopertę i czytał.

Mercedes, najbardziej ze wszystkich zdumiona, siedząc obok niego, nie mogła powściągnąć swej ciekawości i przez ramię Zefiria zaczęła odczytywać pismo Juany. Oto czego się dowiedziała:

Kochany i niedobry chłopcze!

Sześć dni już minęło od naszego spotkania, a jednak ani razu nie ukazałeś się na zamku. Czyżbyś mnie unikał? Czy naprawdę tamta tak głęboko utkwiała w Twym sercu? Nie, ja w to nie wierzę! A może onieśmielają Cię ci wszyscy głupcy kręcący się dookoła zamku? Jeśli tak, to każę wyszczać ich psami. Pamiętaj, kochany głuptasku, jutro pragnę Cię widzieć! Jeśli nie przybędziesz, gotowa jestem popełnić szaleństwo, o którym będzie mówiła cała Hiszpania.

Twoja Juana Serrano

Ps. Już popełniłam nierozważny krok, pisząc list do Ciebie i przesyłając Ci go otwarcie w biały dzień. Ręczę, że jutro Aragonia o niczym innym nie będzie mówiła.

Ps. 2. Wyobraź sobie, ten zarozumialec Zorro krąży koło zamku. Wyśpiewywał pod moim balkonem serenadę tak piękną, że z pewnością zakochałabym się w śpiewaku, gdybym nie myślała tylko o Tobie. Chciałam wyszczać go brytanami, wysłałam więc służącego... Wyobraź sobie, służący znalazł w parku wszystkie brytany porżnięte jak króliki i ułożone szeregami. To jest naprawdę okropny człowiek, ten Zorro! Zefirio, oczekuję Cię!

Zefirio westchnął i włożył list do kieszeni.

Mercedes siedziała nieruchomo, zdumienie zamknęło jej usta. Pierwszy odezwał się Anzelmo Corti.

- Ho, ho, chłopcze! - zawołał śmiejąc się. - Kto by to przypuszczał, że otrzymasz list od seniority Juany. Ależ odważna to panna. Przesyłać wobec wszystkich list do młodego człowieka? No, no! Cóż pisze?

- Zaprasza mnie do zamku, ojcze!

- Pojedziesz?

- Nie pojadę!

- Jedź synku, ja ci każę! Gdyby marszałek dowiedział się, iż odrzuciłeś zaprosiny jego córki, mógłby rozgniewać się na mnie. A w marszałku Serrano nie chcę mieć wroga!

## Dwie serenady

*Senorito*

*Nadaremnie*

*Życ beze mnie*

*Chcesz okrutna Juanito*

*Ukochana*

*Wezmę siłą*

*Czy ci miło*

*Czy niemilo*

*O, Juano!*

Dźwięk gitary oraz słowa nabrzmiały namiętnością i czysto hiszpańskim smętkiem, ulatywały z zarośli okalających klomby pałacowe.

Juana stała na balkonie, zasluchana w tęskną, a zarazem dziką melodię. Wiedziała dobrze, kto to śpiewa. To był Zorro, postrach Aragonii.

W chwilach wolnych od rozbijania transportów złota, wyśpiewywał serenady pod balkonami pięknych senorit.

Juana dowiedziała się o tym nazajutrz, zaraz po pierwszym występie Zorrry pod jej balkonem, albowiem usłudźni Aragończycy zdążyli ją uprzedzić. Niejednej pięknej senoricie serenady Zorrry zabrały serduszko w niewolę.

Serenada umilkła i w poświęacie księżycy ukazał się Zorro. Spojrzał w górę, złożył głęboki ukłon, wyjął z zanadrza jakiś przedmiot, pocałował i rzucił na balkon.

Juana schyliła się i podniosła olbrzymią, pąsową różę o cudownym zapachu. Bezcelny! - pomyślała. Teraz przysyłasz mi różę, a przed tygodniem pozostawiłeś mnie na pastwę losu wśród skał!

Zorro znikł w zaroślach. Juana wróciła do pokoju, gdyż do uszu jej dobiegło dyskretne pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zapytała Juana.

- To ja, seniorito! - rozległ się nieśmiały głos za drzwiami. - Czy nie śpisz jeszcze?

- To ty, Zefirio?

- Tak, Juano! Przepraszam, iż niepokoję cię o tak późnej porze! Juana otworzyła drzwi:

- Nie jest wcale tak późno, Zefirio! Miałam zamiar ułożyć się do snu, lecz już mi się

odechciało.

- Rozumiem, serenada pod balkonem! - szepnął Zefirio. - Możliwe! Serenady pod oknami zaczęły mnie ostatnio denerwować! Nie znoszę serenad, chyba...

- Chyba?..

Juana spojrzała głęboko w oczy Zefiria i zbliżyła się ku niemu. Młodzieniec cofnął się z głupkowatym wyrazem twarzy.

- Seniorito! - rzekł. - Czy wiesz, po co przybyłem?

- Domyślam się!...

- Chcę ci również zaśpiewać serenadę, która cię do snu ukołysze!

- Powiedziałam, że nie znoszę serenad..., chyba że ty mi zaśpiewasz, Zefirio!

Młodzieniec wydobyl z za pazuchy gitarę...

- O, nie, nie tutaj! - zawołała Juana. - Nie masz chyba zamiaru śpiewać w moim pokoju?

- Mam zejść do parku? - zapytał Zefirio i twarz mu się wyciągnęła. - Teraz, w nocy?

- Obawiasz się przeziębienia? - zapytała Juana z pobłażliwym uśmiechem.

- Nie to... lecz... - jękał się Zefirio. - Lecz tyle się kręci pod zamkiem ciemnych osobistości, że...

- Czyżby odważny Zefirio obawiał się kogokolwiek?

- Ja mam się obawiać? - zawołał Zefirio, prostując się dumnie.

- Seniorito Juano, Zefirio nikogo się nie boi, słyszysz? Nikogo, nawet Zorry! Zaraz usłyszysz arcydzieło sztuki śpiewaczej.

Z tymi słowami wpakował gitarę pod pachę i wybiegł z pokoju. Juana z uśmiechem na ustach wzruszyła ramionami, zamknęła drzwi pokoju i wyszła na balkon.

Biedny Zefirio nie miał szczęścia. Księżyc skrył się za chmurami i zaległy kompletne ciemności.

- Seniorito, czy słuchasz? - rozległ się na dole drżący głos Zefiria.

- Słucham! - odpowiedziała Juana.

- Słucham! - odpowiedział jakiś gruby głos.

- Aj, aj, seniorito! - wrzasnął Zefirio. - Co to było? Czy to ty wołałaś po raz drugi?

- Nie, Zefirio! Przecież nie mam tak grubego głosu.

- Więc co to było?.. Kto to był?.. Jakże tu śpiewać serenadę w takich ciemnościach?

- Śpieewaaj... bałwanie! - rozległ się potężny ryk. - Śpieewaaj... bo cię ubiję!...

- Seniorito... Seniorito... Ratunku... Co to jest?

Głupi Zefirio wzywał kobietę, by go ratowała!...



- Śpieewaaj – dudnił bas... – Śpiewaj!....

Brzęknęła gitara i rozległ się przepojony najwyższą trwogą, głos biednego Zefiria:

Caballeros... drżą z... obawy... Seniority mnie... k... kochają... Jam... Zefirio... śmiały...  
prawy... Więc swe serca... mi oddają...

Zefirio zamilkł.

- Już? - rozległ się wściekły bas. - Tylko jedna strofka? Śpiewaj dalej, bo cię  
wypatroszę i usmażę na wolnym ogniu!

- Senor! - jęknął Zefirio. - Zapomniałem drugą strofę...

- Śpiewaj!... Kończ serenadę....

Brzęknęła gitara i Zefirio jękając się rozpoczął płaczliwym głosem:

Stoję... dumny... caballerrro Pod... twoim... balkonnem

Każdy wróg... to dla mnie... zerro

Bbo... je... jestem... dd... dzielnym donnem!

- Cha, cha, cha! - rozległ się głośny śmiech wśród ciemności. - Dzielny don! Cha, cha,  
cha!... A masz, a masz, bohaterze!.. .

- Aj, aj! - rozległ się kwik Zefiria. - Ratunku, zabije mnie!... Słysząc tylko trzask  
łamanych gałęzi, po czym zaległa głucha cisza. Widocznie Zefirio zdołał uciec swemu  
nieznajomemu prześladowcy.

Juana daremnie starała się przebić wzrokiem ciemności. Wtem przed nią rozległ się  
szelest. Ktoś po murze wdrapał się na balkon. Silna dłoń zacisnęła jej usta, a druga objęła  
wpół.

Księżyc rozświetlił okolicę.

Teraz Juana mogła rozpoznać niosącego ją mężczyznę. Ujrzała zamaskowaną twarz  
Zorry.

Nieopodal rozległo się końskie rzenie...

## Branka Zorry

Miejscowość pokryta jarami, usiana skałami, spalona, kamienista, bez śladu zieleni. Żadnej żywej istoty tylko czasem ponad ostrymi szczytami polatuje orzeł skalny. Głucha cisza dookoła, pustka, martwota. Osobliwość Półwyspu Iberyjskiego, przekleństwo Hiszpanii, tu martwa pustynia, tam, o pół dnia konnej jazdy, bujna roślinność, oazy wśród pustyni. Urodzajne okolice i nagie, skaliste przestrzenie, pasy zieloności, a dalej dziesiątki i setki kilometrów spalonej ziemi, kraina skał, piasku, śmierci i pragnienia.

Zdawałoby się, iż nie ma żywej duszy w miejscu, gdzie niezbyt wysokie skały o fantastycznych kształtach zakreślają półkole na południo-wschód. Najmniejszego śladu jakiegokolwiek zwierzęcia górskiego, ptaka lub nawet płaza. U podnóża skał wije się droga dla pojazdów. Podobnie jak skały, stanowiące ścianę dla tej drogi, droga wije się półkolem; prowadzi do Saragossy. Woźnice zazwyczaj poganiają konie w tym miejscu, po pierwsze dlatego, że zieloność, a co za tym idzie, cień i woda rozpoczynają się w odległości czterech mniej więcej mil, a po drugie, okolica ta nie cieszy się zbyt dobrą sławą.

Dawniej nad szczytami skał krążyły dumne orły. Od czasu gdy zaczął grasować tutaj Zorro, orły znikły z tej okolicy. Nie starczyło dla nich miejsca tam, gdzie rozpoczęło się panowanie Zorry.

Okolice ta pewnego upalnego poranka nie była bezludna. Gdyby ktoś obdarzony dobrym wzrokiem przyjrzał się szczytom skał sąsiadujących z drogą dla pojazdów, dostrzegłby na górze dwie ludzkie postacie oraz konia...

Na skale siedział mężczyzna, bacznie przyglądając się drodze, która biegła u podnóża skały. Mężczyzna był zamaskowany. Kobieta, młoda i piękna, siedziała w pobliżu na krawędzi. Koń szukał pożywienia, lecz nie mogąc znaleźć choćby najmniejszego ździebła trawy, dał wreszcie spokój i stał zrezygnowany z opuszczoną głową.

- Proszę cię, odpowiedz wreszcie, senior - rzekła kobieta - co to miało znaczyć? Dlaczego porwałeś mnie z zamku i wywiozłeś na pustynię? Po raz drugi czynisz to samo. Przed tygodniem porwałeś mnie z karety, ledwie przybyłam do Aragonii, tej nocy znów porwałeś mnie z balkonu. Dalibóg, to już staje się manią, u ciebie, senior Zorro! Nie posądziłabym cię o taki brak fantazji. Dwa razy ta sama sztuka, to staje się już nudne, doprawdy!

Zorro odstłonił zęby w szerokim uśmiechu.

- Seniorito! - odpowiedział. - Przed tygodniem była to kara, obecnie zaś ostrzeżenie!

- Ostrzeżenie! Nie rozumiem!

- Powinnaś się domyślić, seniorito! Nie można bezkarnie przesiadywać w jednym siodle z najpiękniejszą kobietą Hiszpanii i nie zakochać się. Jestem pomimo wszystko tylko mężczyzną, Juano. No i zakochałem się. A gdy Zorro się zakocha, wyśpiewuje serenady pod balkonem ukochanej. A gdy śpiewa śer-nady, nie pozwoli sobie sprzątnąć ukochanej sprzed nosa byle komu.

- Byle komu?

- No tak! Gorszego wyboru nie mogłaś dokonać, seniorito!

Wybrałaś młodzieńca, który jest pośmiewiskiem całej Aragonii, ba, całej Hiszpanii nawet! Wybrałaś Zefiria Cortiego, samochwałę, tchórza, durnia i patentowanego kretyna! Wolalaś ten okaz anizeli mnie! To jest potworne, ohydne i śmieszne zarazem!

- Nie masz prawa tak mówić o nim, senior Zorro! - zawołała oburzona Juanita. - Nic mnie jego wady ani zalety nie obchodzi! Kocham go, i to wszystko!

- Wywiozłem cię tutaj, seniorito, w nadziei, iż wśród tych pustkowi, wśród dzikiej i nagiej przyrody opamiętasz się i staniesz się rozsądniejsza!

- Możesz rozkazywać żandarmom i żołnierzom, senior Zorro! Memu sercu nie możesz rozkazać! Nawet bicz twój nic nie pomoże!

Zorro westchnął, poprawił maskę i zawój, po czym rzekł:

- Ostatecznie jeśli nie chcesz być moja, nic na to nie poradzę. Rzucę się w wir śmiertelnych niebezpieczeństw, stracę życie w walce, a zranione me serce rozszarpia sępy! Serce, które biło dla ciebie, uniosą sępy w swych skrwawionych dziobach i dadzą swym małym na pożarcie. I w ten sposób nikomu niepotrzebne serce przyda się tylko młodym sępom!

Po pięknym obliczu Juany przebiegł dziwny skurcz. Oczy zaszyły mgłą, zbladła, zagryzła wargi, lecz po chwili przemogła się.

- Senior Zorro! - rzekła cicho. - Na co to wszystko? Ta wieczna walka z rządem i władzą, to ciągle narażanie się na tysiączne niebezpieczeństwa... Czy to ci potrzebne do szczęścia? Zrzuć maskę i przyjdź do mnie z odkrytym czołem, a wówczas może...

Zorro roześmiał się głośnym, dźwięcznym śmiechem:

- Seniorito Juano! - zawołał. - Dotychczas ja prawilem kazania ludziom, teraz na mnie przyszła kolej wysłuchać twego przemówienia. Nie, kochana Juano, walka to mój żywioł, niebezpieczeństwo to moje codzienne pożywienie. Gdy walczę i zwyciężam - czuję, że żyję, ogień płynie w mych żyłach, mam chęć śpiewać, tańczyć i skakać jak małe dziecko. Czy wyobrazasz sobie Zorrę w domowych pantoflach? Cha, cha, cha! A jednak, Juano, proszę cię,

zostaw Zefiria, w przeciwnym bowiem razie, dni jego będą policzone!

- Przywiozłeś mnie tutaj, senor Zorro, by mi to powiedzieć? - Tak! Sądzę, iż tutaj zastanowisz się nad tym, iż nie chcę mieć rywala w osobie głupiego Zefiria. Nie zniosę tej myśli, że ośmieszasz się w oczach całej Aragonii. Zresztą Zefirio ma narzeczoną!

Juana zbladła. Zorro dostrzegł jej bladość.

- Ale Mercedes go nie kocha! - mruknął. - I wątpię, czy Zefirio, pomimo pozorów, szczerze kocha swą narzeczoną! Juana odetchnęła i rzekła po chwili milczenia:

- Pragnę wrócić do domu!

- Dobrze! Niebawem przejeżdżać będzie tędy omnibus podróżny. Pojazd ten mija posiadłość marszałka Serrany. Zatrzymam omnibus, który zawiezie cię na zamek!

- W oddali na drodze ukazał się omnibus zaprzęgnięty w osiem koni.

Kilku żandarmów eskortowało wehikuł.

- Na koń! - zawołał Zorro, chwycił w pół Juanę, złożył pocałunek na jej ustach, uniósł jak piórko i posadził na siodle, po czym skoczył również i skierował konia wąską dróżką biegnącą w dół skały.

Wierzchowiec, przyzwyczajony do wspinania się, gnał w dół pewny siebie, pomimo podwójnego ciężaru, i niebawem znalazł się u podnóża skały.

- Stój! - zawołał Zorro, zatrzymując konia w poprzek drogi. Lecz woźnica zaciął konie, a żandarmi przyłożyli broń do oka. Rozległy się wystrzały. Nawet podróżni strzelali z okien omnibusu.

Zorro począł umykać przed powozem.

Juana słyszała dzikie okrzyki za sobą oraz świst kul przelatujących nad głową.

- Uwaga, Juano! - zawołał Zorro. - Nie mogę rozpocząć walki, póki znajdujesz się na moim siodle... Droga rozszerza się przed nami, widzisz ten głaz po lewej stronie drogi? Postawię cię na ziemi obok tego kamienia, ukryjesz się za nim!

- Senor Zorro! - szepnęła Juana. Błagam cię... To są spokojni podróżni, więc co ci przyjdzie z walki bez zaszczytu?

Lecz Zorro nie słuchał. W galopie zsadził Juanę z siodła. Dziewczyna zachwiała się, lecz chwyciła się głazu, dzięki czemu zdołała utrzymać się na nogach.

Zorro zawrócił stojąc w strzemionach.

Był rozgniewany, nie miał bowiem złych zamiarów wobec jadących, przecież widzieli kobietę na jego siodle, dlaczego więc strzelali?

Odczepił od siodła swój straszliwy bicz i wywijając nim w powietrzu, zaczął wołać:

- Zorrą... Zorro... Zorro!...

W pełnym galopie rozminął się z pędzącym wehikułem.

Jedna sekunda: oknami omnibusu znów lunął ogień z pistoletów, lecz ta sekunda wystarczyła, by Zorro zdążył ściągnąć końcem bicia z siodła jednego z żandarmów. Człowiek grzmotnął o kamienistą ziemię i pozostał bez ruchu.

Zorro znów zawrócił konia, dognał omnibus i wymijając go, ściągnął drugiego żandarma, zanim ten zdołał wystrzelić.

Droga była wyboista, trudno więc było celować do zamaskowanego jeźdźca z wehikułu, który ciągle przechylał się i podskakiwał. '

I w ostatniej chwili, gdy omnibus mijał w szalonym pędzie Juanę, nastąpił kulminacyjny moment walki. Rzemień owinał się dokoła szyi woźnicy. Ostre szarpnięcie, powożący spadł ze swego wysokiego siedzenia na ziemię i legł nieruchomo z rozkrzyżowanymi rękami.

Zorro wykonał skok z siodła i znalazł się na grzbiecie jednego z koni zaprzężonych do omnibusu. Pochwycił lejce i konie zwolniły bieg, po czym stanęły, ciężko dysząc.

Ustał brzęk i grzechot żelastwa. Nastąpiła głucha, niesamowita cisza.

- W porządku! - rzekł spokojnie Zorro, złącząc z konia. - Proszę bardzo, kto ma jeszcze chęć strzelać?

- Ja! - odpowiedział spokojny głos z wehikułu. - Spróbuję wpakować ci kulę w głowę! Prawie jednocześnie rozległ się wystrzał i pistolet rozleciał się w kawałki.

To strzelił Zorro, który szybkim ruchem wyciągnął swój pistolet z kieszeni i celną kulą roztrzaskał broń przeciwnika.

- Może jeszcze raz, señor? - zapytał Zorro.,

- Wystarczy! - rozległ się flegmatyczny głos. - Na razie mam dosyć.

Człowiek siedzący w omnibusie, pomimo iż mówił płynnie po hiszpańsku, był cudzoziemcem, zdradzał go obcy akcent.

- Wychodzić z powozu, senioritas e senores, panowie i panie! - zawołał Zorro. - Pragnę się przyjrzeć dzielnym obrońcom twierdzy na kołach!

Mówiąc to, Zorro pilnie śledził ruchy żandarmów, którzy powstali z ziemi i kulejąc zbliżyli się do omnibusu.

Podróżni stanęli szeregiem. Były to cztery kobiety i jeden mężczyzna.

- Co? - zawołał Zorro zdumiony. - Jeden tylko mężczyzna? A ja spodziewałem się co najmniej całego oddziału strzelców alpejskich, sądząc po liczbie kul wystrzelonych z powozu w moim kierunku! Czy panie do mnie strzelały?

- Nie strzelałyśmy! - odpowiedziały chórem kobiety, a spojrzenia ich pełne zachwytu

świadczyły, iż nie kłamały.

- A więc to ty, senor - zwrócił się Zorro do cudzoziemca.

- Tak, to ja! - z zimną krwią odpowiedział wysmukły, młody człowiek o atletycznej budowie. - Wystrzeliłem wszystkie kule z trzech pistoletów. Ocalenie zawdzięczasz tylko wyboistej drodze. Powóz trząsał się i podskakiwał, nie mogłem dobrze celować!

- Dlaczego strzelałeś? Czy sądziłeś, iż Zorro dobierze się do twojej kieszeni?

- Nie obawiałem się tego, senor! - obojętnie odpowiedział młodzieniec. - Słyszałem o tobie w Anglii. Londyńskie gazety rozpisują się o twych wyczynach. Dlatego też porzuciłem Anglię, by zmierzyć się z tobą!

- Witam pana, panie Buffalo Bill vel czcigodny Lecoq<sup>9</sup>! - z ironią zawołał Zorro.

- Nie jestem wywiadowcą ani policjantem! Czy rozumiesz po angielsku, senor?

- Od biedy zrozumiem!

- A więc powiem ci po angielsku. To co ty robisz w Hiszpanii, senor, ja robię to samo w Anglii. Zabieram bogatym, a oddaję biednym. Lecz ja uprzedzam zawsze swe ofiary, kiedy i gdzie zabiorę im pieniądze, złoto i diamenty!...

- Rozdajesz pomiędzy biednych, lecz zatrzymujesz dla siebie odpowiedni procent, nieprawdaż?

- Mniejsza o to! Grunt, że opowiadają niestworzone rzeczy o mej brawurze, szalonej odwadze i tak dalej. Ostatnio policja następowała mi zbyt na pięty, postanowiłem więc zwiedzić Europę jako turysta. Przybyłem do Hiszpanii, no i zamierzam wyręczyć cię chwilowo w rozdawaniu złota.

- Strzelając do mnie....

- Wcale nie celowałem - przyznał się Anglik. - Chciałem tylko sprawdzić, czy rzeczywiście jesteś taki odważny!

Zorro roześmiał się. W oczach jego zabłyśły wesołe ogniki.

- A więc pojedynek? - zapytał.

- Tak, pojedynek zręczności, sprytu i odwagi!

- Szanse są nierówne - rzekł Zorro. - Jesteś obcy w tym kraju, nie znasz mego oblicza, ja zaś widzę cię doskonale.

- Mylisz się, Zorro, nie widzisz mej twarzy, gdyż jestem ucharakteryzowany. A co do kraju, ha, tym lepiej dla ciebie!

- Jeśli zostaniesz pokonany, mogę dać ci okazję do rewanżu. W przyszłym roku

---

<sup>9</sup> Słynny wywiadowca amerykański XIX stulecia oraz policjant francuski

zawitam do Anglii. Tam się zmierzmy powtórnie!

- Ba - wydał wargi Anglik. - Sądzę, iż nawet tutaj pokonam cię z łatwością... Czy nie słyszałeś przypadkiem o pewnym londyńskim dżentelmenie włamywaczu?

- Nie!

- Czy hiszpańskie gazety nie pisały o pewnym lordzie Listerze, zwanym powszechnie Raffles, mistrzu boksu, fechtunku i kradzieży?

- Nie!

- Tym lepiej!

Zorro zbliżył się ku niemu, poklepał go po ramieniu i rzekł: - Życzę szczęścia, lordzie! Po czym odwrócił się i zawołał:

- Juano, Juano!

- Jestem - odpowiedziała dziewczyna, zbliżając się do powozu. Zorro pomógł wsiąść kobietom, pożegnał się z lordem, po czym podszedł do woźnicy, który stękając usadowił się na koźle.

- Słuchaj, łajdaku! - rzekł doń groźnie. - Wybaczam ci, że pognałeś konie, gdy krzyknąłem stój! Jeśli nie chcesz, bym ci złożył skórę, gdy będziesz wracał, uczyn to, co ci rozkażę. Zboczysz z głównej drogi i zawieziesz senoritę Juanę Serrano aż pod bramę zamku Chiarea! Zrozumiano?

- O tak, senor! - A więc jazda!

Woźnica strzelił z bata i konie ruszyły. Zorro skoczył na siodło i skrył się w obłokach kurzu.

W ślad za nim patrzyli wszyscy podróżni. Anglik, z ironicznym uśmiechem na ustach, przyglądał się znikającej postaci Zorry i przeniósł wzrok na Juanę siedzącą w kącie omnibusu.

- Senorito! - rzekł do niej z ukłonem. - Jak widzę, jesteś dobrą znajomą senora Zorry!

- Mylisz się, senor - odpowiedziała Juana. - Nie jestem jego znajomą. Zostałam tej nocy porwana z zamku, w którym mieszkam.

- Porwana? O, zgrozo! Ten bandyta wiele sobie pozwala! Ale niedługo, senorito, niedługo! Nie jestem lordem Listerem, jeśli młodzik ten nie dostanie po nosie!

- Całą noc wiozł mnie z sobą. Nawet nie wiem, która teraz godzina?

- W tej chwili!

I dżentelmen włamywacz sięgnął do kieszeni kamizelki. Nie znalazł jednak zegarka i z rosnącą niecierpliwością zaczął przeszukiwać wszystkie swoje kieszenie. Błądł przy tym i czerwienił się na przemian.

- Tysiąc szatanów, dziesięć tysięcy kas ogniotrwałych i milion policjantów! - ryknął z wściekłością. - Okradziono mnie!... Zabrano mi zegarek oraz portfel z pieniędzmi i dokumentami... Urwał, wlepił oczy w okno, następnie zerwał się jak oparzony i stuknął się przy tym głową o sufit omnibusu.

- To Zorro... Nikt inny, tylko Zorro!

Wychylił się i zawołał na woźnicę:

- Stop, stop! Zatrzymać powóz... Wsiadam!

Woźnica dosłyszał wołanie i odwrócił się ku wołającemu: - Co się stało, senr? Dlaczego krzyczysz?

- Okradziono mnie, ograbiono! Muszę dogonić Zorrę!

- Co, na piechotę, w tym pustkowiu? A zresztą Zorro wręczył mi coś i kazał panu oddać, gdy pan się zacznie niepokoić.

To mówiąc, woźnica wyciągnął rękę do tyłu, trzymając jakiś kwadratowy, płaski przedmiot.

Był to portfel lorda Listera, lecz zegarka nie było!

- Mniejsza o zegarek wysadzany brylantami! -westchnął Anglik, sadowiąc się na swoim miejscu. - Ten Hiszpan dał mi jednak porządną nauczkę! Kiedy mi to ściągnął? Diabelnie zręczny!... Ale to nic, już ja go nauczę rozumu!...



## Zagadka zamku Chiarea

Radość mieszkańców zamku na widok Juany wysiadającej z omnibusu była nieopisana.

Spośród wszystkich młodych ludzi najbardziej cieszył się Zefirio.

- O, seniorito! - wołał. - Szukaliśmy ciebie po całej okolicy. Jesteśmy zmęczeni, rozbici!...

Juana opowiedziała ojcu oraz wszystkim obecnym o swej przygodzie z Zorzą.

- Jeden tylko spośród podróżnych - zakończyła swe opowiadanie - jeden tylko lord Lister stawiał czoło bandycie. Ojczy, nie masz chyba nic przeciwko temu, że zaprosiłam milorda do zamku!

Anglik uklonił się ceremonialnie, dłonie wszystkich obecnych wyciągnęły się ku niemu. Po czym wypytywano go o szczegóły walki z Zorzą.

W oczach Aragończyków człowiek, który ośmielił się stawić opór tajemniczemu jeźdźcy, był bohaterem.

Chcąc nie chcąc musiał Anglik opisać zebrany zajście, ze wszystkimi szczegółami. Gdy doszedł do sceny kradzieży, zaciął się na sekundę.

- Miałem zegarek w tej kieszonce - opowiadał. - I oto...

Opowiadając, machinalnie włożył palce w kieszonkę. Wtem zbladł i urwał swe opowiadanie, gdyż w tej właśnie chwili wyczuł zegarek w kieszeni kamizelki. Ktoś niepostrzeżenie włożył mu zegarek. Sięgnął do drugiej kieszeni, w której przechowywał portfel, i zadrzał. Portfel znikł bez śladu. Anglik zrozumiał, iż jest igraszką Zorzy.

Przedtem zginął zegarek, lecz zwrócono mu portfel, obecnie zaś skradziono portfel, lecz zwrócono zegarek.

- Senores! - zawołał lord Lister. - Zorro znajduje się pomiędzy wami. On to w tej chwili, podczas gdy rozmawiałem z wami, wsunął mi zegarek do kieszeni, lecz z powrotem odebrał portfel.

Obecni z przestachem spojrzeli po sobie. Czy to możliwe, by Zorro znajdował się pomiędzy tymi piętnastoma ludźmi, którzy otaczali Anglika?

- Zarządzam rewizję! - zawołał marszałek Serrano. - Niech nikt się nie oddala.

- Zgadzamy się! - zawołali chórem mężczyźni.

Marszałek najpierw skrupulatnie sprawdził wszystkie kieszenie lorda. I... znalazł ów portfel. Znajdował się w bocznej kieszeni surduta Anglika.

- Milordzie, co to znaczy? - zawołał marszałek zdumiony. - Przecież portfel znajduje się u pana.

- Senor, przysięgam, iż przed chwilą go nie było! Nie jestem wariatem...

- Nikt cię o to nie pomawia - rzekł don Serrano, poklepując go dobrodusznie po ramieniu. - Po prostu włożyłeś portfel do innej kieszeni, a że strach ma wielkie oczy...

Obecni wybuchnęli śmiechem, a lord zbladł. Przenosił kolejno badawczy wzrok z twarzy na twarz, lecz oprócz roześmianych oczu i błyszczących zębów młodych ludzi zgrupowanych dookoła, nic podejrzanego nie zauważył.

- Niech i tak będzie! - rzekł z westchnieniem. - Możliwe, że się .omyliłem... Zresztą można to przypisać znużeniu podróży!...

Włożył rękę do kieszeni surduta, chcąc się upewnić, iż portfel rzeczywiście się odnalazł i zimny pot zrosił jego czoło. Kieszeń była pusta, portfel znów znikł.

Anglik był bliski płaczu z bezsilnej wściekłości. To było niesłychane. Czy czasem nie ulega halucynacji? Przecież podczas rewizji portfel znalazł się W jego kieszeni, z chwilą zaś gdy rewizja została zakończona, znikł po raz piąty chyba. Lecz teraz lord nie powiedział o zniknięciu portfela. Nie miał żadnych złudzeń: gdyby oznajmił, że portfel znów zginął, wszyscy uważaliby go za skończonego obłąkańca. Rozejrzał się dookoła, by się przekonać, kto w obecnej chwili stał przy nim. Najbliżej znajdował się don Serrano. Czyżby on? - przemknęła myśl przez zgorączkowany mózg Anglika, lecz prawie natychmiast odrzucił ten niedorzeczny pomysł. Najznakomitsza persona w Hiszpanii, człowieka, którego uważano za najświetniejszego przywódcę opozycji politycznej i przyszłego dyktatora, don Serrano stał poza wszelkimi podejrzeniami. A więc kto? Który z tych młodych ludzi? Zorro znajduje się pomiędzy nimi, a może tylko jego niezwykle zręczny pomocnik?

Zagadka ta dręczyła lorda Listera cały wieczór, a nawet podczas snu w jednej z komnat zamkowych.

Nagle obudził się w nocy. Zdawało mu się, iż coś jakby szeleściło pod poduszką. Sięgnął ręką i pod poduszką znalazł... swój portfel.

Lister usiadł na łóżku. Sen go opuścił zupełnie.

- Pod pewnym względem mam uznanie dla Zorry - rzekł lord Lister, nakładając na talerz porcję indyka. - Odbiera pieniądze grabieżcy i rozdaje biednym.

- To jest anarchia! - zawołał marszałek Serrano. - Ładnie może wyglądać państwo, gdy każdy zechce rządzić się według własnego widzimisie!(

- To nie jest anarchia, skoro tego człowieka aprobują wszyscy biedacy Hiszpanii. A jednak Zorro nie spełnia należycie swego zadania.

- Dlaczego? - zapytał Zefirio, pakując do ust potężny kawał mięsa. - Dlaczego nie spełnia swego zadania?.

- W Londynie mieszka pewien tajemniczy osobnik. W aktach policji zapisany jest jako Raffles.

- Czytałem o nim - zawołał don Serrano. - Jest to pospolity włamywacz.

- Niepospolity, senor. Wcale niepospolity - zaprotestował lord Lister. - Zawsze uprzedza swe ofiary, że je ograbi, a następnie rozdaje pieniądze biednym...

- Zatrzymując okazałą część łupu dla siebie!

- Ha, cóż robić, musi przecież żyć! Otóż ten Raffles nie tylko walczy z rządem, lecz również zabiera majątek bogaczom i rozdaje biednym. Gdyby Raffles był tutaj, ręczę, że pierwszej nocy ograbiłby ciebie, senor Serrano, ciebie, który jesteś milionerem, i rozdałby pieniądze okolicznym wieśniakom!

- Dzięki Bogu, kochany lordzie, że Rafflesa nie ma w Hiszpanii! - zawołał ze śmiechem don Serrano. - Bo musiałbym pożegnać się z moją szkatułką zawierającą około dwustu tysięcy peso w złocie.

- Dwieście tysięcy peso to spory grosz! - rzekł lord w zamyśleniu, po czym dodał z dziwnym uśmiechem: - Ja na twym miejscu, senor, nie opowiadałbym nikomu, iż trzymam tyle pieniędzy w zamku. Tyle tutaj służby i biednych ludzi dookoła, o pokusę nietrudno! .

- Ludzie moi są uczciwi, milordzie - odparł don Serrano. - Zresztą jesteśmy wśród swoich..

- Przecież nie znasz mnie, senor - rzekł z uśmiechem lord Lister. - Gdybym był Rafflesem, wyobraź sobie, jaki byłby rezultat mych odwiedzin!

Zefirio wybuchnął głośnym śmiechem i omal nie udławił się kęsem pożywienia.

Zaczął się krztusić, dopiero uczynna senorita Juana, która siedziała obok niego, lekkim klepinięciem w plecy przywróciła mu oddech.

- Cóż cię tak rozśmieszyło, senor? - zapytał zdziwiony lord Lister.

- Cha, cha, cha! - śmiał się Zefirio. - Gdybyś był Rafflesem, milordzie, nie dałbyś się okraść z taką łatwością! Zorro zabrał ci portfel, a zwrócił zegarek i zwrócił portfel, po czym znów zabrał portfel... oj... oj... nie mogę, cha, cha, cha!...

I Zefirio znów się krztusił ze śmiechu. Wtórowała mu Juana; reszta biesiadników trwała w głębokim milczeniu.

Lord Lister zbladł, poczerwieniał i rzekł przez zaciśnięte zęby: - Jeśli się nie mylę, senor Zefirio, ty sobie kpisz ze mnie! - Broń Boże, milordzie! - zawołał młody Corti. - Ale te magiczne zniknięcia portfela i zegarka są doprawdy śmieszne...

Lord gwałtownie zerwał się ze swego miejsca i stał przez chwilę nieruchomy, nie mogąc wymówić słowa. Wreszcie pohamował gniew i odsuwając krzesło z hałasem, rzekł:

- Wybaczcie mi, senores e senioritas, że opuszczę już wasze towarzystwo, lecz jestem znużony i odczuwam potrzebę spoczynku.

Krzesła odsunęły się od stołu, wszyscy wstali i zaczęli żegnać się z Anglikiem. Gdy przyszła kolej na Zefiria, ów wyciągnął rękę, lecz dotknięty lord udał, że jej nie widzi.

Znikł za drzwiami, a Zefirio długo jeszcze oglądał swą dłoń wzgardzoną przez Anglika i z bolesnym zdziwieniem kiwał smutnie głową.

Wszyscy się rozeszli, Zefirio zaczął żegnać się na dobre z Juaną i jej ojcem.

- Kochany senior Corti - rzekł marszałek - czyżbyś nas już opuszczał?

- Tak jest, senior! Bawię tutaj od czterech przeszło dni, sądzę, iż nie należy nadużywać gościny. Zresztą w domu niepokoją się o mnie, muszę więc wracać! - Nie puścimy ciebie wśród nocy! - zawołał don Serrano. - Wyjedziesz jutro rano!

- Nie, senior - uparł się Zefirio. - Jedna godzina konnej jazdy to głupstwo dla mnie. Naprawdę, wierz mi, muszę dziś jeszcze powrócić do domu. Jutro przybywają do mnie w odwiedziny Porfirio i Malibrán, dwaj moi wierni przyjaciele i koledzy z uniwersytetu w Madrycie. W tych dniach będę miał zaszczyt przedstawić ci tych dwóch dzielnych chłopców, seniorito - rzekł zwracając się do Juany. - Ręczę, że będziesz zadowolona z tej znajomości; są to dwa wspaniałe zuchy!

Nic nie pomogły perswazje Juany i marszałka, Zefirio dosiadł swego muła i niebawem znikł w ciemnościach nocy.

Piękna Juana długo patrzyła za nim w ślad. Stała oparta o kamienną poręcz balkonu.

- To dziwne! - szepnęła rozmarzona. - Nigdy nie przypuszczałam, iż mogłabym pokochać... A jednak kocham go, nie wiem tylko, czy on mnie kocha... Jest taki dziwny! Głupi Zefirio, tak go nazywają... Głupi Zefirio... Mój Boże, jakie to śmieszne!

Z tymi słowami cofnęła się do pokoju i zamknęła drzwi balkonu. Odwróciła się i omal nie krzyknęła z przestachu: na jej panieńskim łóżku siedział Zorro.

- To jest bezczelność! - wykrztusiła. - Co tu robisz, senior? - O to samo mógłbym cię zapytać, piękna seniorito! - uśmiechnął się Zorro.

- Jak to! Przecież to jest moja sypialnia!

- Wcale nie wątpię, seniorito!

- Tu nie jest twoje miejsce, senior!

- Miejsce Zorroy jest wszędzie, gdzie mu się żywnie -spodoba! - Zawołam o pomoc!

- Żarty na bok! - zawołał Zorro, wstając. - Słyszałem, jak szeptałaś przed chwilą na

balkonie: kocham go, nie wiem tylko, czy on .mnie kocha, jest taki dziwny, ten głupi Zefirio!... - Pokiwał melancholijnie głową. Opowiadano mi niegdyś, iż istnieją piękne kobiety zakochane bez pamięci w potworach brzydoty, ułomnych, garbatych i tak dalej. Nie chciałem temu wierzyć. Teraz widzę, że to prawda. Jeśli taka piękna seniorita może stracić głowę dla skończonego kretyna, to już koniec świata!...

- Wychodź, senior! - rozkazała Juana.

- . Zaraz opuszczę ten pokój, lecz poproszę o jedną łaskę, seniorito!

- Słucham!

- Zaprowadzę cię do pewnej komnaty w zamku. Chcę ci pokazać coś ciekawego, dlatego właśnie tu przyszedłem! Zechciej zdjąć pantofelki, musimy bowiem uniknąć hałasu! Chodź ze mną!

Słowa te zabrzmiały władczo i Juana bez słowa protestu zdjęła buciki.

Zorro ujął jej rękę i położył palec na ustach:

- Tss! Zachowaj się jak najciszej!

Uchylił ostrożnie drzwi i wyprowadził ją na korytarz. Juana szła za nim bez oporu. Co miało znaczyć to zagadkowe zachowanie się zamaskowanego człowieka? Dokąd ją prowadził przez korytarz i komnaty pogrążone w ciemnościach?

Wreszcie Zorro zatrzymał się przed wielkimi, rzeźbionymi drzwiami. Ostrożnie nacisnął klamkę i powoli uchylił drzwi.

Juana ujrzała dziwny widok i omal nie krzyknęła. Silna dłoń Zorry zasłoniła jej usta.

- Tss! - szepnął jej do ucha. - Zachowaj spokój, seniorito! Patrz i nic nie mów!

W głębi obszernego gabinetu jej ojca migotał płomyk świecy. Jakiś człowiek, odwrócony do nich plecami, klęczał przed żelazną kasą i ostrożnie czymś manewrował. Po dźwięku Juana poznała, iż były to metalowe narzędzia. I zrozumiała, że do kasy jej ojca włamuje się złodziej. Już chciała wbiec do pokoju, lecz silna dłoń

Zorry zatrzymała ją w miejscu. Stała więc nieruchomo i patrzyła rozszerzonymi oczami.

Włamywacz otworzył kasę, wydobył szkatułkę i postawił obok siebie. Następnie wyciągnął z kieszeni ćwiartkę białego papieru, położył na podłodze i coś na niej nakreślił.

- Kładzie mój znak "Z"! - szepnął Zorro do ucha Juany. - A to łajdak! Kradnie i chce zwalić winę na mnie.

Pociągnął Juanę i ukrył się z nią przy drzwiach sąsiedniego pokoju.

Po chwili tajemniczy złodziej wyszedł z pokoju na korytarz i zgasił świecę.

Juana nic nie dostrzegła w otaczających ją ciemnościach, Zorro widział widocznie,

gdyż pociągnął Juanę za sobą. W ten' sposób, w ślad za złodziejem, wyszli z zamku i krętymi drogami dostali się do parku.

Oczy Juany przyzwyczyły się do ciemności. W świetle gwiazd dostrzegła włamywacza klęczącego pod rozłożystym dębem.

- Zakopuje szkatułkę - szepnął Zorro. - Czekajmy na ciąg dalszy!

Złodziej wstał wreszcie i skierował swe kroki z powrotem do pałacu.

- Wraca! - szepnęła Juana. - A więc to ktoś z zamku? - Tak!

- Senor, ty wiesz, kto to jest! Błagam cię, powiedz!

- Sama domyślisz się nazajutrz. Miej tylko oczy otwarte! - Jakże poznam? Przecież złodziej nie wyda się sam!

- Owszem! Pożegna się z wszystkimi i opuści jawnie zamek, lecz powróci niebawem pod błahym pozorem...

-Nocą?

- Nie, otwarcie w dzień!

- Po cóż miałby powracać?

- Przekona się, iż szkatułka pod dębem zniknęła, a że jest diabelnie uparty, powróci, by przekonać się, kto mu spletał figła! - Rozumiem! Wygrzebiemy szkatułkę z ziemi!

- Tak! I ty to uczynisz! Masz oto małe zawiniątko i połóż je zamiast szkatułki.

Juana wzięła zawiniątko i pobiegła pod dąb. Wygrzebała szkatułkę, wrzuciła do jamy zawiniątka i zasypała z powrotem, uklepując starannie ziemię.

- Mam szkatułkę! - szepnęła wracając do Zorry.

-Schowaj ją w bezpiecznym miejscu, lecz nie w kasie, i nic nie mów nikomu. Ani jednym spojrzeniem nie daj poznać po sobie, iż wiesz cokolwiek o nocnym włamaniu. Dopiero po odjeździe złodzieja szkatułkę zwrócisz ojcu i poprosisz, by ją dobrze ukrył. - Czy poznam złodzieja?

Lecz nie otrzymała odpowiedzi. Rozejrzała się dookoła. Zorro znikł.

Juana pobiegła do zamku, mocno przyciskając szkatułkę do piersi.

## Kłopoty Anglika

Nazajutrz wczesnym rankiem lord Lister opuścił zamek, wymawiając się pilną sprawą, i wyruszył do Saragossy. Nieco później kilku młodych gości marszałka również opuściło siedzibę wielkopańską, wyruszając do Madrytu.

Juana przypomniała sobie zagadkowe słowa Zorry i czekała na powrót nocnego włamywacza.

Podczas gdy młodzi ludzie ciągnęli w swych karocach do Madrytu, na drodze do Saragossy Anglik zatrzymał swego wierzchowca, skręcił do lasu, zsiadł, przywiązał konia do drzewa i ruszył piechotą z powrotem.

Zbliżając się do zamku, zwalniał kroku i ostrożnie rozglądał się dokoła. Wreszcie tuż przy ogrodzie położył się na ziemi i zaczął się czołgać. Przez otwór w żywopłocie przedostał się do parku i zatrzymał się obok rozłożystego dębu. Nie podnosząc się, gorączkowo rozgrzebywał rękami ziemię. Wtem na usta jego wybiegło przekleństwo. Rozgrzebał ziemię, lecz nie natrafił na szkatułkę, natomiast palce jego trafiły na zawiniątko. Wydobył je z ziemi i odwinął szmatę. W rękę trzymał swój własny portfel, ten sam, który mu Zorro zagrabiał poprzedniego dnia w zagadkowy sposób.

- Damned - zaklął. - Szkatułkę ukradł Zorro! Po raz trzeci jest górą. To nie do wiary!

Zaczął czołgać się z powrotem, wydostał się na gościniec i po wrócił do lasu, gdzie pozostawił konia.

- Zorro znajduje się pomiędzy domownikami - rozmyślał. Dziwna, ciekawa zagadka... muszę ją rozwiązać. Kto to jest Zorro? Skąd wiedział, że włamię się do kasy Serrana?

Odwiązał konia od drzewa.

- Muszę wrócić, lecz jaki powód podam? Aha, już wiem!

Wyszedł z koniem na drogę, podniósł ostry kamień i zaczął ścierać nim skórę na swoim czole. Po chwili skóra rozdarła się i ukazała się krew. Wyciągnął chustkę z kieszeni i owiązał nią głowę. Następnie wytarzał się w ubraniu w pyle przydrożnym, potem wsiadł na konia i ruszył z powrotem do zamku.

Niemale zdumienie ogarnęło służbę i domowników don Serrana, gdy ujrzeli powracającego Anglika, lecz w jakim stanie?

Resztkami sił szlachetny lord trzymał się w siodle, głowę miał owiniętą zakrwawioną chustką, całe odzienie było w kurzu.

- Co się stało, milordzie? - zawołano podbiegając ku niemu i ściągając go z konia.

- Koń... poniósł! - jęknął Anglik. - Poniósł i wyrzucił mnie z siodła... Zraniłem się w głowę!...

Zaniesiono go do jednej z komnat zamkowych i ułożono na łóżku.

Senorita Juana delikatnie zdjęła chustkę z głowy rannego, by zrobić okład.

- Rana niezbyt groźna! - roześmiała się Juana. - Życiu pańskiemu nie zagraża niebezpieczeństwo.

- Och, seniorito! - westchnął Anglik, wznosząc ku niej oczy. - Już czuję się daleko lepiej, twoje cudowne ręczki to zdziałały. Ogłuszył mnie upadek z konia, obecnie jednak czuję się zdrów i silny!

I łącząc czyn ze słowami, lord Lister powstał z łóżka.

- Lekkie zawroty głowy - rzekł - oraz pewne osłabienie, a za jakieś dwie, trzy godziny dosiędę konia i wyruszę w drogę. Jeśli pozwolisz, seniorito, wyjdę do parku, by zaczerpnąć nieco powietrza.

Wyszli razem i zaczęli spacerować alejami, gawędząc. Wtem Anglik zatrzymał się jak wryty:

- Patrz, seniorito, ślady kobiecych nówek... Jakaś kobieta szukała czegoś pod tym drzewem!

- O, milordzie - uśmiechnęła się Juana. - Zaprzątasz sobie głowę rzeczami bez najmniejszego znaczenia. Czy to mało kobiet przebiega tędy w ciągu całego dnia? Była to zapewne żona lub córka ogrodnika!

Anglik milcząc poszedł dalej. Nieco później opuścił pod błahym pretekstem towarzystwo Juany. Dziewczyna odczekała chwilę i pobiegła do swego pokoju, stąpając ostrożnie na korytarzu. Otworzyła drzwi jednym szarpnięciem i ujrzała mężczyznę na czworakach, zaglądnącego pod jej łóżko. Milcząc czekała, aż mężczyzna się wyprostuje. Wreszcie nieproszony gość powstał z podłogi, trzymając w rękach szkatułkę, którą wydobył spod łóżka.

Był to lord Lister.

- Zostaw pan tę szkatułkę w spokoju, panie Raffies – rozległ się głos Juany.

Anglik drgnął i stanął jak osłupiały.

- Domysły pańskie były słuszne - ciągnęła dalej Juana. - Tak, to ja odebrałam panu szkatułkę poprzedniej nocy. A teraz zechce pan łaskawie pozostawić ją w tym pokoju i opuścić zamek jak najprędzej.

Raffies uczynił krok w stronę okna, chcąc uciec przez balkon. - Wstydź się, senior! - rzekła pogardliwie Juana. – Chcesz uchodzić za dżentelmena, a okradasz kobietę.



Włamywacz zbladł, położył szkatułkę na stoliku i wyszedł z pokoju z opuszczoną głową. Powrócił jednak i zapytał pozornie obojętnym tonem:

- Jedno słowo, seniorito! Czy sama odkryłaś nocną kradzież, czy też uprzedzono cię?

- Uprzedzono mnie!

- Domyśliłem się tego! Wydał mnie Zorro!

- Domyślaj się czego chcesz, senior, lecz opuść czym prędzej zamek, którego gościnności nadużyłeś.

- Zorro zapłaci mi za to!

- W każdym razie nie z kasy mego ojca.

Anglik zgrzytnął zębami w bezsilnej wściekłości i znikł za drzwiami.

## Goście Cortich

Drogą włókł się zwykły wóz chłopski. Na podściółce ze słomy leżał tęgi młodzieniec i śpiewał przerywając sobie od czasu do czasu ziewaniem. Drugi młody człowiek, przeraźliwie chudy, o smętnym wyglądzie, kroczył obok wozu, by rozprostować zdrętwiałe członki. Woźnica leniwie poganiał zaspane konie, źle nasmarowane koła rozdzierały ciszę upalnego południa.

- Miewasz szczególne pomysły, Malibran! - odezwał się chudy. - Mogliśmy wygodnie jechać karocą, którą przysłał po nas Zefirio, lecz ty uparłeś się, by jechać zwykłym wozem, na podściółce ze zgniłej słomy!

- Wiesz dobrze, iż duszę się w karecie. Ani też nie mogę wygodnie się wyciągnąć - odparł grubas. - A słoma nie jest zgniła, woźnica dał świeżutką!

- Zaczęła gnić od chwili, gdy się na niej rozłożyłeś!

- Wiem, że chcesz mnie obrazić, Porfirio! - rzekł Malibran, przeciągając się. - Lecz ja nie dam się sprowokować. Założyłem pancierz obojętności i uzbroiłem się w nadmiar pobłażliwości dla ciebie.

- Jestem wściekły! Droga wlecze się w nieskończoność. Kiedyż dotrzemy wreszcie do hacjendy Cortich?

- Dzisiaj jeszcze!

- Bodajbyś szczęł! Dzisiaj jeszcze! To mi pociecha, gdy język przysycha do podniebienia od tej spiekoty!

Westchnął i rozejrzał się dookoła:

- Żeby choć jakakolwiek rozrywka! - rzekł. - Przydałaby się ofiara ludzka!

- Minęły czasy, gdy składano ofiary z ludzi. Abraham składający Izaaka w ofierze należy do błogiej przeszłości biblijnej!

- Nie myślę o składaniu ofiar z ludzi - mruknął Porfirio. - Słońce padło ci na mózg i gadasz od rzeczy!

W oddali ukazał się jeździec na koniu.

- Uwaga! - rzekł Porfirio. - Dobrotliwy stwórca zsyła mi rozrywkę. Oto ofiara!

Jeździec wyminął wóz i rzucił:

- Dzień dobry! Ładna pogoda, co?

- Jak dla kogo - odpowiedział leniwie Malibran, który poznał Anglika po akcencie. - Dla synów dżdżystego Albionu pogoda jest piękna, dla nas na odwrót.

Jeździec zatrzymał konia:

- Poznaliście we mnie Anglika, senores? - zapytał.

- Łatwo poznać ofermę w kratkę! - mruknął Porfirio.

- Co powiedziałeś, senor? - zapytał Anglik, ściągając brwi. - Nic strasznego, senor! - odpowiedział za Porfiria Malibrano - Wybacz mu, albowiem jest nieco ułomny na umyśle! Wyrzucono go z domu rodzicielskiego i z tego powodu jest w okropnym humorze!

Anglik machnął lekceważąco ręką i uderzył konia ostrogą. - Czy dobrze jadę do Saragossy? - zapytał oddalając się. - Do Saragossy? - udali zdumienie obaj przyjaciele jednocześnie. - Udajesz się do Saragossy, senor?

- Tak!

- A więc podążasz w złym kierunku, senor! - rzekł Malibran. - Wskazano mi tę drogę!

- Oszukano cię! My właśnie jedziemy do Saragossy! Anglik zawrócił konia i ruszył obok wozu.

- Pojadę z wami - rzekł krótko.

- Towarzystwo twoje witamy z radością! - odezwał się Porfirio. Pomilczał chwilę, po czym zapytał: - Wy Anglicy jesteście podobno mocni w Biblii! Powiedz, senor, czy od czasu Abrahama i Izaaka nie składano ofiar z ludzi?

Anglik spojrzał przenikliwym wzrokiem na obu przyjaciół, podejrzewając, iż kpią z niego.

- Nie znam się na tym - rzekł. - Zapytajcie mnie, jak należy rozbijać szczęki ludzkie, to wam powiem, gdyż ukończyłem akademię boksu i byłem kilkakrotnym czempionem świata!

Malibran zerwał się ze słomy:

- Och, jakże się cieszę! Witaj mi, kolego! -zawołał wyciągając doń rękę.

- Jak to, również jesteś czempionem? - zapytał Anglik. - Tak, kolego! Jestem kilkakrotnym czempionem świata! - Boksu!

- Prawie! Jestem czempionem gry w klipę!

- Klipa? - zdziwił się Anglik. - Co to za gra?

- Wytłumaczę ci innym razem! - udał zażenowanie Malibran. Lecz Anglik nalegał zaciekawiony tą nie znaną mu grą.

- Widzę, że ci bardzo na tym zależy, senor! - rzekł grubas. - Lecz obawiam się, iż twa duma narodowa ucierpi na tym. Wolę ci nie opisywać tej gry!

- Nie obawiaj się, senor! W sprawach gier i sportów nie uznaję obrazy!

- Naprawdę? Nie obrazisz się?

- Nie!

- W takim razie pozwolisz, że zagramy w nią przy sposobności! Do tej gry potrzebni są właśnie Anglicy, którzy nie obrażają się!

- Mówże do licha, senor, na czym ta gra polega! - zawołał zniecierpliwiony Anglik.

- Dobrze, powiem ci! A więc uważaj, senor! Klipa, zwana inaczej szachy angielskie, polega na tym, iż sześciu Hiszpanów rozciąga na ziemi prawdziwego Anglika, który nosi swój strój narodowy, czyli spodnie w kratkę. Kładzie się więc takiego pokratkowanego Anglika brzuchem do ziemi i numeruje się kratki na jego spodniach. Następnie każdy Hiszpan bierze do ręki długą szpilkę i kłuje. Sztuka polega na tym, iż Anglik musi odgadnąć numer kratki, w którą wsadzono szpilkę!...

Lister zacisnął zęby i zapytał:

- Jaką nagrodę otrzymuje, jeśli odgadnie numer? - Otrzymuje pudding z rodzynkami!

- A jeśli nie odgadnie?

- Jeśli nie odgadnie, otrzymuje bezpłatny bilet do Londynu. Lord Lister spostrzegł się, iż Malibran kpi z niego. Rozmowa z całą pewnością zakończyłaby się bójką, gdyby nie widok, który odwrócił uwagę Anglika. Droga zamiast do Saragossy prowadziła prosto do hacjendy Anzelma Cortiego. Naprzeciw biegł Zefirio, wołając:

- Witajcie mi, towarzysze najmilsi!

Ujrzał lorda i zapytał zdziwiony:

- Co ja widzę, milord?

- Przedstawiam ci ofiarę ludzkiej złośliwości! - oznajmił poważnie Malibran i zakończył okrzykiem: - Końcowa stacja Saragossa! Anglicy wysiadać!

A tego dnia w hacjendzie Anzelma Cortiego panowało niezwykle ożywienie. Wszyscy wybierali się do Tudeli na doroczną walkę byków i popisy nowych, młodych torreadorów. Walka byków połączona była z wielkim jarmarkiem i tańcami. Najście okolicznych sąsiadów wniosło w spokojną dotąd atmosferę domu starego Anzehna zgiełk, wrzawę i rozgwar.

- Zefirio, Zefirio! - wołano zewsząd. - Jeszcze się guzdrzesz? Prędko, maruderze, nie będziemy wiecznie na ciebie czekali!

- Jeszcze nie wiem, czy pojedą! - opierał się Zefirio. - Odwiedzili mnie dwaj moi przyjaciele, Porfirio i Malibran, oprócz tego mamy gościa, lorda Listera!

- Wszyscy pojedą! - zawołała piękna donna Klaryssa. - Ty i twoi goście! Cóżby to była za zabawa bez naszego Zefiria!

- Olle, Zefirio, niech żyje nasz niezrównany bohater i najdzielniejszy ze wszystkich miejscowych zuchów! - ryknęła młodzież, śmiejąc się rozgłośnie.

- Dziękuję wam z całego serca, senores e senioritas - odpowiedział Zefirio, przybierając skromną, lecz pełną godności postawę. - Jestem wzruszony do głębi serca waszą przyjaźnią i uznaniem dla mych męskich cnót!

- Wiwat ornitologia! - zawołał jakiś wesołek.

- Wiwat! - odpowiedziano chórem.

- Niech żyją geologia i botanika!

- Niech żyją!...

- Nasz genialny poeta, duma i ozdoba Aragonii, niech żyje! - Niech żyje i niech jedzie z nami!

Zefirio miał prawie łzy w oczach ze wzruszenia. Przyjmował te okrzyki widocznie za dobrą monetę.

Porfirio i Malibrán wznosili okrzyki w dobrej wierze, na równi z innymi.

Jeden tylko Anglik ironicznie obserwował młodego Cortiego. Nie łudził się ani przez chwilę. Zdawał sobie sprawę, iż wszyscy tutaj obecni kpili w żywe oczy z biednego głuptasa. By God, na Boga! Jak mogłem poczuć się dotknięty przez tego durnia - pomyślał ze wzgardą. Cała okolica stroi sobie z niego żarty, ja jeden uważałem go za normalnego człowieka!

Gdy okrzyki wreszcie przycichły, Zefirio wyciągnął rękę na znak, iż pragnie mówić.

- Moi drodzy przyjaciele! - zaczął. - Wzruszyliście mnie, a zarazem przekonaliście, że powinienem wyruszyć z wami. Nie stanie się to jednak prędzej, dopóki nie przekonacie mych czcigodnych gości, to jest senora Porfiria Carapacego, senora Hektara Mondevi de Malibrana oraz lorda Listera, iż powinni przyłączyć się do nas. Jeśli choć jeden z nich odmówi, wówczas oświadczam z bólem serca, że nie pojedę!

- Jedziemy z tobą! - zawołali Porfirio i Malibrán.

- Muszę być w Saragassie - rzekł lord Lister. - Niestety, nie mogę wam tuwarzyszyć, czcigodni państwa!

Lecz zewsząd rozległy się ogłuszające okrzyki i nalegania tak długo, aż Anglik musiał wreszcie ustąpić.

- Nie pożałujesz tego., milordzie! - odezwała się jedna z pięknych seniorit. - Jaka turysta ujrzy w Tudeli wiele ciekawych rzeczy!

- O, tak! - potwierdził skwapliwie Zefirio. - Nie tylko ujrzy, lecz przeżyjesz wiele emocjonujących chwil!

Mówiąc to zerknął na Porfiria i Malibrana. Przyjaciele odpowiedzieli mu nieznacznym mrugnięciem. Bystry Anglik dostrzegł jednak te mrugnięcia i zrozumiał ich znaczenie. Zechcą znów spłatać mi figła - pomyślał. Muszę się mieć na baczności. He, he, mai drodzy,

raz się wam udało i na tym koniec. Baczcie, bym ja wam nie zrobił jakiegoś kawału. Nie wiecie, mili chłopczkowie, na koga trafiliście. Nie darmo. cały Londyn wyprowadzam ad dwóch lat w pale, tym łatwiej mi ta pójdzie z kilkoma marnymi Hiszpanami!

W duchu obiecywał im odwet, nie wiedząc, iż będzie miał da czynienia z Hiszpanami szczególnie niebezpiecznego gatunku. Skąd by zresztą mógł się domyślić? Malibran o tłustej twarzy i małych wesołych oczkach, Porfiria wiecznie zaspany chudeusz a długiej, cienkiej szyi oraz Zefirio o bezdennie głupim wyrazie oblicza, nie wyglądali wcale na osobników, których należałoby się wystrzegać.

Lord Lister zaczął obmyślać plan postępowania. Nawiązał znajomość ze wszystkimi uczestnikami wyprawy, przy czym szczególną przyjaźnią obdarzył Porfiria i Malibrana.

Wyruszana w drogę na mułach, kanna i w powozach.

Po kilku godzinach jazdy mężczyźni uznali, że ten sposób podróżowania jest zbyt nudny. Zsiedli więc z kani i z mułów, seniority wysiadły z powozów i całe towarzystwa śmiejąc się; śpiewając i gawędząc odbywała dalszą drogę piechotą, trzymając się pad ręce.

- Caballeros! - zawałał Zefiria. - Prapanuję, by wypocząć nieco, w cieniu drzew, zanim wjedziemy pomiędzy skały!

Kobiety przystały z radością na tę propozycję i wkrótce orszak zatrzymał się na skraju lasu. Zwierzęta i powozy stanęły na szerokiej drodze.

- Hop, hop! - zawałał nagle Zefirio, sadowiac się wraz z innymi na murawie. - A gdzie się podział nasz Anglik w kratkę? Nie widzę go tutaj. Hej, dumny synu chmurnego Albianu, gdzie jesteś?

Wszyscy zaczęli rozglądać się za Anglikiem, który znikł bez śladu. - Pożegnał się po angielsku! - zaopiniował jeden z młodzieńców.

- Nie ma tak dobrze! - krzyknął Zefiria. - Porfirio, Malibran, biegnijcie do koni i sprowadźcie tutaj Anglika żywego. lub umarłego! ...

Dwaj przyjaciele pobiegli w stronę powozów.

Nie czekano zbyt długo na ich powrót. Po dziesięciu najwyżej minutach powrócili zdyszani, prowadząc zmieszanego lorda.

- Mamy naszego zbiega! - zawałał Malibran. - Uciekał konna i zagroził nam zboksowaniem!

- Doprawdy, senioritas e senores - próbował tłumaczyć się lord Lister. - Nie mogę wam towarzyszyć w podróży do Tudeli, mówiłem państwu, iż mam pilną sprawę da załatwienia w Saragossie!

- Bez wykrętów! - rzekł Zefirio - Jest pan naszym jeńcem. Saragossa nie spali się w

tym czasie i nie wyleci w powietrze!

Anglik, acz z wielką niechęcią, musiał jednak pozostać.

- Słuchaj, Zefirio! - zawołał Malibran. - Skoro tu jesteś, powinieneś zabawić nas wszystkich!

- W jaki sposób? - zapytał Zefiria.

- Pokaż kilka nowych sztuczek magicznych!

- Tak, tak, Zefirio! - rozległy się zewsząd ogłuszające okrzyki. - Żądamy magicznych popisów! Zefirio., pokaż, co umiesz!

Zefirio posłusznie powstał i zakasał rękawy, rad z nadarzającej się sposobności popisania się przed licznym towarzystwem.

- Moi drodzy! - zaczął. - Widzicie moje ręce, nieprawdaż? Umyślnie zakasałem rękawy, by nikt nie pomyślał, że coś w nich ukrywam. A więc zaczynam!

Rozejrzał się uważnie po wszystkich obecnych. Wzrok jego przypadkowo zatrzymał się na lordzie, obok którego stali Porfirio i Malibran. Porfirio mrugnął nań znacząco, Malibran zerknął na Zefiria i przeniósł wzrok na Anglika. Lekkim, niedostrzegalnym drgnięciem powiek Zefirio dał swym przyjaciołom do zrozumienia, iż wie, o co im chodzi.

- A więc, moi drodzy, uważajcie dobrze! - kontynuował Zefirio. - Do nikogo z was nie podchodzę, nikogo nie dotykam, nie mogę więc nic skraść żadnemu z was, czy prawda?

- Tak, Zefirio! - rozległy się głosy.

- Zgadza się, iż nie mogę was okraść? - Zgadza się!

- Doskonale!... Uwaga!... Wyciągnął kraciatą chustkę z kieszeni, machnął nią kilka razy w powietrzu, dmuchnął w nią, zwinął w kłębek i chusteczka znikła. Wszyscy przyglądali się tej operacji szeroko rozwartymi oczami. - Lafan... Hokus... Belzebub... Marokus! - rozległy się dziwne zaklęcia Zefiria. - Chusteczko, za sprawą duchów, diabłów, szatanów, upiorów i zmór wszelakiego rodzaju i gatunku odwiedź wszystkie kieszenie i zabierz, co ci się spodoba!

Machnął ręką i chustka ukazała się w jego dłoni.

- Gdzieś schowała skradzione rzeczy? - zapytał groźnie Zefirio i przyłożył zwiniętą chustkę do ucha. Nasłuchiwał uważnie przez chwilę. Usta jego rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

- Aha, to tak? - zawołał. - Ach ty, figlarko! Już teraz wiem, gdzie schowałeś swój łup!

Zwrócił się do obecnych:

- Senioritas e senores, panie i panowie! Mam zaszczyt oznajmić wam, iż moja magiczna chusteczka okradła was. Niech każdy sprawdzi u siebie, czy nic mu nie brakuje.

Wszyscy zajrzeli do swoich kieszeni. Lord Lister nieznacznie zaczął się wycofywać.

- Czekaj, milord! - szepnął Porfirio, chwytając go za rękę. - Nie uciekaj. To jest takie ciekawe! Zefirio jest świetnym magikiem. Wszyscy doskonale się ubawimy, zobaczysz!

- Mój naszyjnik z pereł! - krzyknęła rozpaczliwie Klaryssa, chwytając się za szyję. - Zginął mój naszyjnik!

- Mój woreczek z pieniędzmi! - rozległ się inny głos.

- I mnie zginęły pieniądze!...

- Moja kolia brylantowa!...

- Dziesięć tysięcy peso w banknotach!...

Powstała nieopisana wrzawa.

- Uspokójcie się! - zagrzmiął Zefirio. - Nic wam nie zginęło! Wiem, gdzie moja chusteczka schowała to wszystko!... Uwaga!...

Zapanowała głucha cisza.

- Hokus... Pokus... Magikus! - zaintonował Zefirio, zamknął oczy i wyciągnął rękę. Z wolna skierował się w stronę Anglika.

Z zapartym tchem przyglądali się wszyscy tej tajemniczej manipulacji.

Zefirio zatrzymał się przed lordem Listerem i zagłębił rękę w jego kieszeni z taką szybkością, iż ten nie zdążył zaprotestować, i wyciągnął z niej kolię z pereł.

- Czyj ten naszyjnik? - zapytał.

- Mój, mój! - krzyknęła Klaryssa, chwytając w locie rzucony jej naszyjnik.

- Czyja ta kolia? - zapytał znów Zefirio, wyciągając ją z kieszeni Anglika bladego jak płótno.

I w ten sposób wyjmował po kolei przeróżne cenne drobiazgi i pieniądze.

Lord Lister stał nieruchomy, nie śmiać odetchnąć, on to bowiem okradł wszystkich podczas podróży. I teraz ten przeklęty magik odbierał mu zdobycz.

- No i co, milordzie? - roześmiał się Zefirio, klepiąc go po ramieniu. - Wspaniała sztuczka, co?

- Przyznaję! - kwaśno uśmiechnął się Anglik. - Sztuczka rzeczywiście imponująca!

- Coś nie bardzo jesteś zachwycony, milordzie! Czyżbyś potrafił lepiej?

- Może!

- Zdaje ci się, senor! - rzekł poufnie Zefirio. - To żadna sztuka, by rzeczy znikwały, trudniej, by zjawiły się z powrotem!



## Detektyw z przypadku

W Tudeli wrzało jak w ulu. Uliczki miasta nie mogły pomieścić malowniczych tłumów.

Ludzie zjechali się z najdalszych okolic, by wziąć udział w dorocznym święcie. Młodzieńcy w grupach, po trzech i więcej, przebiegali ulicą z gitarami przystrojonymi różnokolorowymi wstążkami i medalikami. Gdziegdzie tańczono, rozlegał się suchy trask kastanietów, wiwatowano i flirtowano na zabój. Mężczyźni obdarzali piękne nieznajomekwiatami, kobiety obdarzały mężczyzn najmiłszymi uśmiechami.

Pod pałącym słońcem Hiszpanii wrzało życie i kipiała uciecha. Tłumy ciągnęły na korridę.

Zefirio, Porfirio, Malibrán i lord Lister stanowili nierozłączną czwórkę od chwili przybycia do Tudeli. Anglik pogodził się wreszcie z myślą, iż nie zobaczy tak prędko Saragossy i ciekawie rozglądał się dookoła, uderzony niezwykłym dlań, a tak pięknym widokiem rozbawionych Hiszpanów. Byli tu Baskowie w swych obszernych beretach, Kastylijczycy w szerokoskrzydłych sombreroach i Aragończycy w złocistych strojach. Nie brakło i dumnych hidalgów w łachmanach oraz ciemnych osobistości nieokreślonej kondycji.

Nasza czwórka przedostała się wreszcie do swego miejsca na trybunie. W przepychaniu się przez tłumy największej energii i zręczności wykazał Anglik. Ręce jego pracowały jak śmigła wiatraka, rozgarniając ludzi jak fale morskie.

- Uff! - westchnął ocierając pot z czoła i siadając na swym miejscu. - Ledwie się przecisnąłem!

- To było zbyt ciężkie! - rzekł Malibrán. - Nikt nie zająłby naszych miejsc, gdyż są ponumerowane!

Zefirio skierował swój wzrok w stronę łóż, gdzie usadowiła się śmietanka towarzyska.

- Aj, aj! - zawołał. - Co ja widzę, sami znajomi z Madrytu, księżę Mendoga z małżonką, hrabianki Orsea y Cerenna, markizowie de Tassina...

Zerwał się ze swego miejsca i chwycił lorda Listera za ramię:

- Milordzie, podziękuj opatrności, że przybyłeś ze mną do Tudeli. Poznasz najpierwsze rody i najbogatsze osobistości Hiszpanii. Takiego przepychu i bogactwa strojów, przysięgnę, że nie oglądałeś w Londynie!

Pociągnął go za sobą. Wydostali się z trybuny i przeszli do łóż. Tutaj mógł Anglik stwierdzić, jak popularny jest Zefirio. W każdej prawie łoży rozlegały się okrzyki powitania,

przerywane wesołym śmiechem.

- Ach, senor Zefirio Corti! - wołali hrabiowie, księżne i markizy. - Co za niespodzianka!

- Królowa często ciebie wspomina! - wołał książę Mendoga, witając ze śmiechem wchodzącego. - Powiada, że nigdy nie będzie miała takiego jak ty szambelana!

- Kiedy odwiedzisz dwór w Madrycie, senor Corti? - pytały urocze hrabianki Orsea, powstrzymując się, by nie parsknąć śmiechem na wspomnienie występów Zefiria w Eskurialu. - Tęsknimy wszystkie za tobą, nie wyłączając najjaśniejszej pani!

Zefirio kłaniał się na wszystkie strony, jaśniejący zadowoleniem, i przedstawiał Anglika swym arystokratycznym znajomym.

Lord Lister czuł się- jak u siebie w domu. Prawił damom komplementy, schlebiał panom, jednym słowem, dystygowane towarzystwo bawiło się doskonale. Zjawienie się Zefiria sprawiło wszystkich w dobry humor.

Wreszcie młodzieniec wycofał się z łóż, pociągając Anglika za sobą. - Jacy to mili ludzie, członkowie hiszpańskiej arystokracji! - odezwał się lord. - Nie mają tej sztywności, jaka cechuje naszych angielskich arystokratów.

Powrócili na trybunę, gdzie czekali na nich Porfirio i Malibran. - Przedstawienie niebawem się rozpocznie - rzekł Porfirio. - Lecz zdążymy jeszcze obejrzeć byczki w klatkach!

- Idziemy - rzekł Zefirio.

- Czy to konieczne? - zapytał lord Lister.

- Rozumie się! - zawołał Zefirio. - Znajduje się tam kilka byczków naszej hodowli!

Poszli w stronę klatek umieszczonych poza ogrodzeniem areny. Anglik nie spostrzegł szybkich spojrzeń, jakie zamienili z sobą trzej przyjaciele. Gdyby coś zauważył, z pewnością stałby się bardziej ostrożny. Lecz lord Lister podążał spokojnie w stronę młodych byków.

Pierwszy znikł Malibran. Udał się do łóż, śpiesznie przywitał się z członkami arystokracji madryckiej i zapytał:

- Czy paniom nic nie brakuje? Proszę sprawdzić, czy kolie i naszyjniki są na miejscach!

- Moja kolia! - krzyknęła hrabianka Orsea. - Ukradziono mi ją!

- Moje diamenty!...

- Mój diadem!

- Perły, skradziono mi perły!...

- Policja, gdzie jest policja?...

Podniósł się hałas i wrzawa. Po chwili cały amfiteatr huczał i grzmiał:

- Policja... Tutaj są złodzieje!... Łapać, trzymać!

Zefirio i lord Lister stali przed klatką, w której miotał się młody byk o krwawych ślepiach. (Klatka ta znajdowała się na wprost szerokich, zbitych z desek podwoi prowadzących na arenę.)

- Przyjrzyj się temu bydlęciu, milordzie! - mówił Zefirio. - Jest to młody, lecz obiecujący byczek Aga. Sam go chowałem, wspaniałe bydlętko, mówię ci, senor! Patrz na ten potężny kłęb! Czy widzisz, że wcale nie ma szyi? Łeb osadzony wprost na tułowiu. Za rok byczek ten stanie się postrachem torreadorów... Ale co się tam dzieje? Co to znaczy?

Lord Lister uniósł głowę. Ponad ogrodzeniem ujrzał tłumy na amfiteatrze. Głuchy szum, jakby pomruk burzy, przebiegał wśród publiczności. Kilkunastu policjantów biegło w stronę łóż.

- Łapać złodzieja! - ryczał tłum.

Porfirio stał za plecami Zefiria i lorda Listera. Gdy tłum zaczął ryczeć, cofnął się o dwa kroki i skinął na posługaczy stojących w pobliżu. Następnie wyjął z kieszeni ciężką sakiewkę i cisnął najbliższemu stojącemu. Brzęknęło złoto. Człowiek skwapliwie pochwycił sakiewkę i mrugnął na swych towarzyszy.

To co się dalej działo, odbyło się w okamgnieniu.

Zefirio wyjął z kieszeni czerwony kawałek materii i zaczepił na plecach nic nie podejrzewającego lorda.

Podwoje zgrzytnęły i otwarły się ukazując olbrzymią arenę wysypaną żółtym piaskiem.

Zefirio i Anglik stali pomiędzy klatką i areną.

Prawie jednocześnie z otwarciem podwoi, drzwiczki klatki poszły w górę.

- Uwaga! - wrzasnął Zefirio, chwycił Anglika za rękaw i pociągnął na arenę.

Z otwartej klatki wybiegł byk. Zawahał się sekundę. Ujrzał uykających dwóch ludzi, na plecach jednego z nich widniała czerwona plama. Czerwony kolor momentalnie sprawił byczka we wściekłość. Schylił rogi i rzucił się w ślad za lordem Listerem.

Głucha cisza zaległa na widowni. Tłum zamarł w bezruchu. - Milordzie! - wrzasnął rozpaczliwie Zefirio. - Ratuj się, byk cię goni!

Przerażenie dodało Anglikowi skrzydeł. Nie biegł, lecz po prostu fruwał.

Niestety, byk był szybszy. Dopadł lorda z tyłu i wywrócił na ziemię. Następnie zaczął ryc rogiem ciało leżącego, rozdzierając na nim ubranie w strzępy..

Anglik miał szczęście, iż nie był to dorosły byk, lecz młody byczek, który niedawno

był cielęciami, bowiem przypląciłyby śmiercią swą przygodę.

Zefirio uczeplił się ogona byczka i ciągnął go do tyłu, wrzeszcząc:

- Aga, daj spokój!... Puść go, Aga... To nie jest torreador... To jest Anglik... Lord!...

Aga, zostaw w spokoju lorda!...

Byczek usłyszał znajomy głos i poczuł, że ktoś ciągnie go za ogon. Wściekłość jego znikła bez śladu, możliwe, że nabrał szacunku dla angielskiego arystokraty, dość, że gdy nadbiegli posługacze, dał się spokojnie odprowadzić do klatki.

Lister leżał na piasku jęcząc. Nie odniósł żadnej rany, najwyżej kilka zadraśnięć, był jednak mocno poturbowany i poprzez rozdarte ubranie przezierało nagie ciało. A z rozdartych kieszeni wypadły na piasek areny jakieś błyszczące przedmioty.

Zefirio skoczył wraz z innymi ludźmi do leżącego, z zamiarem wymeslema go z areny.

- Co to jest? - zawołał zdziwiony Zefirio, biorąc do ręki jeden z błyszczących przedmiotów, które wypadły z -rozdartej kieszeni Anglika. Podniósł ten przedmiot w górę, by mu się lepiej przyjrzeć pod światło.

- Moja kolia! - rozległ się kobiecy okrzyk z łoża. - Moja skradziona kolia!

Wśród tłumu rozległ się groźny pomruk.

Zefirio rozglądał się dookoła, nic nie rozumiejąc. Podniósł następny przedmiot, potem drugi i trzeci. Za każdym razem rozlegał się krzyk:

- To są moje perły!

- To jest mój diadem!

- Mój woreczek!

Posługacze nie tknęli leżącego. Zdębieli i głupimi oczyma wpatrywali się w świecidełka, które Zefirio kolejno podnosił z piasku.

- To jest złodziej, ten co leży! - rozległy się wściekle okrzyki. - Bij, zabij!

Pierwsi oprzytomnieli policjanci pełniący służbę w przejściach. Rzucili się na arenę i dopadli leżącego Anglika. Chwycili go na ręce i rzucili się z nim do ucieczki, uprowadzając jednocześnie Zefiria, który trzymał ciągle w rękach wszystkie te cenne rzeczy znalezione przy lordzie. Był czas najwyższy, bowiem z trybun na arenę skoczyło kilkudziesięciu mężczyzn. Gdyby nie szybki refleks policjantów, Anglik zginąłby pod nożami rozwścieczonych caballeros.

A gdy lord Lister otworzył po kilku minutach oczy, zobaczył, że znajduje się w dużej sali, a dookoła niego stoją policjanci oraz Zefirio, Porfirio i Malibrán.

Zefirio był zakłopotany, Porfirio i Malibrán uśmiechali się, policjanci spoglądali nań

surowo.

Zrozumiał.

- Jak to się stało? - zapytał. - Kto odkrył?

- To ten byk! - rzekł Malibran.

- Magiczny, podobnie jak chustka! - dodał Zefirio.

- Nie, prędzej byk-detektyw z przypadku - poprawił Porfirio. Anglik zamknął oczy i westchnął, po chwili otworzył je i zapytał: - Co się ze mną stanie?

- Nic szczególnego - odpowiedział Zefirio. - Najwyżej kilka lat bezpłatnego mieszkania.

- Nie macie prawa! Jestem obywatelem angielskim. Te perły podłożono mi. Należę do londyńskiej arystokracji i nikt nie ma prawa posądzać mnie o kradzież.

- Czy w Londynie nie ma złodziei? - zapytał Porfirio. - I czy nie zdarza się czasem, że syn arystokratycznych rodziców pójdzie złą drogą?

Lord Lister nic nie odpowiedział.

## Ucieczka lorda

W dzień święta ludowego klucznik więzienia miejskiego w Tudeli zarobił wiele pieniędzy. Pochód ciekawych ujrzenia autentycznego lorda za kratami - nie ustawał.

Raffles w swej celi co chwila słyszał przyciszone szepty na korytarzu, po czym judasz w drzwiach uchylał się i do środka zaglądała coraz to inna twarz. Zniecierpliwion- Anglik ułożył się na posłaniu twarzą do zakratowanego okna. W ten sposób ciekawscy widzieli tylko włosy więźnia, plecy i podeszwy butów.

Największego rozczarowania doznawały kobiety. Była nawet jedna, która natarczywie domagała się od klucznika zwrotu pieniędzy. Anglik słyszał to zupełnie wyraźnie.

Po pewnym czasie klucznik otworzył drzwi i wszedł do celi. - Czego znowu? - zapytał Lister opryskliwie.

Klucznik chrząknął:

- Senor - rzekł przestępując z nogi na nogę. - Jestem biednym człowiekiem, mam pięcioro dzieci, a na żołdzie więziennym wyżyć trudno!...

- Zmień zajęcie!...

- Kiedy nic nie umiem robić prócz pilnowania więźniów... - Co mnie to wszystko obchodzi?

- Senor, mam do ciebie wielką prośbę!

-Słucham!

- Zmień pozycję, odwróć się twarzą do drzwi!

- Żądasz zbyt wiele, przyjacielu! - odparł Raffles, siadając. Nie leży to w moim interesie, by cała Tudela oglądała moje oblicze!

Klucznik złożył błagalnie ręce:

- Litości dla mych sześciorga dzieci, senor! - jęknął. - Mówiłeś, że masz pięcioro!

- Tak, ale szóste jest w drodze!... Senor, jest to dla mnie jedyna okazja zarobienia kilku dodatkowych peso. Odwiedzający są niezadowoleni, że kryjesz swą twarz i żądają pieniędzy z powrotem...

- Możesz nie zwracać!

- Niestety muszę, senor! W większości są to panie należące do dworskiej arystokracji. Jedno słówko takiej hrabiny lub markizy, a wylecę na zbity łeb z posady!

- Nie zrobi się dziura w niebie!

- Senor, senor! A co na to powie moich sześciorgo dzieci i siódme, które jest w drodze,

gdy nie będę miał za co kupić im mleka ?..

- Jak widzę, co chwila przybywa ci jedno dziecko – zauważył Raffles. - Dopiero co szóste było w drodze, a teraz siódme?

- Bo to będą bliźnięta! Zlituj się nad nimi, senior!

- Zaczekam, aż naliczysz do tuzina, a wówczas zaproponuję ci tysiąc peso za ułatwienie mi ucieczki!

Klucznik cofnął się przerażony i przeżegnał się:

- To jest niemożliwe, senior! Nie znasz widocznie dyrektora tego więzienia. Przed rokiem uciekł z sąsiedniej celi taki jak ty złodziejaski kieszonkowy i wiesz co się stało, senior? Mój poprzednik, klucznik tego więzienia, siedzi dotychczas w tej samej celi, z której uciekł ten złodziej!

- A więc nie mamy o czym mówić! - zakończył rozmowę Anglik, kładąc się z powrotem na swój barłóg.

- Co będzie z odwiedzającymi? Czy pokażesz im swe szlachetne oblicze, senior?

- Wynoś się! - ryknął wściekle Anglik i przestraszony klucznik wycofał się śpiesznie z celi. Zamknął starannie drzwi i odszedł mrużąc pod nosem jakieś przekleństwo.

Była godzina piąta po południu.

Anglik spoglądał przez okratowane okno na skrawek błękitnego nieba i nucił "It is a long way to Tipperary" i się nudził.

Wtem na korytarzu rozległy się kroki i judasz uchylił się tego dnia po raz dwudziesty.

- Płatna wizyta - mruknął Raffles przez zęby i odwrócił twarz ku oknu. Dwudziesta wizyta, all devils, niech wszyscy diabli porwą tych natrętów!

Za drzwiami rozległy się przyciszone głosy.

- Czy to jest ten lord schwyty na kradzieży?

- Tak jest, senior!

- Przecież nie widać jego twarzy! Skąd mam tę pewność? - Daję ci słowo honoru, senior! To jest on!

- Czy nie można wejść do celi, by mu się bliżej przyjrzeć? - Niemożliwe, senior!

- Dobrze zapłacę!

- Nawet za milion nie zrobię tego. Dyrektor więzienia nie żartuje. Zabronił mi wpuszczać kogokolwiek do celi, a ja jestem ojcem ośmiorga dzieci, senior!

Ostatnie słowa dosłyszał Anglik i krzyknął:

- Bardzo dobrze, mój strażniku! Przepędź tego intruza!

Prawie jednocześnie do uszu jego dobiegł cichy, ledwie dosłyszalny odgłos, jak gdyby

kulka papieru upadła na kamienną podłogę celi. Lord powoli uniósł głowę i tuż pod drzwiami zobaczył mały, podłużny zwitek papieru.

Judasz został zatrzaśnięty i kroki mężczyzn oddaliły się. Raffles ostrożnie powstał z posłania, zbliżył się do drzwi i podniósł zwitek. Po chwili ujrzał cienki pilniczek owinięty w papier, na którym napisano:

Milordzie! Nie było w naszej umowie, że dasz się schwytać, zanim odbędziemy pojedynek zręczności, sprytu i odwagi. To co Ci się przydarzyło, jest niezbitym dowodem, że nie jesteś godnym mnie przeciwnikiem. Nie wiem, kto Ci wyrobił reklamę w Anglii, przekonałem się jednak, że w rzeczywistości, pomimo wszystko co o Tobie mówią lub piszą, nie jesteś niczym więcej jak tylko zwykłym i to niezbyt zręcznym złodziejem, z tą tylko różnicą, że pochodzisz z lepszej rodziny. Dostałeś niegdyś tego zaszczytu, że podałem Ci nieopatrznie rękę. To wystarczy, że nie pozwolę, byś gnił w więzieniu. Uwolnię Cię. Uprzedzam jednak, że musisz czmychnąć jak najprędzej do swego kraju, gdzie nadal będziesz imponował głupcom. Dalszy pobyt tutaj narazić Cię może na zbyt poważne konsekwencje. Powietrze tutejsze jest niezdrowe dla Ciebie.

Zorro

Ps. O jedenastej w nocy, po przepiłowaniu kraty, wydostaniesz się przez okno. Dalszym Twym losem ja się zajmę!

Anglik zgrzytnął zębami z bezsilnej wściekłości. Po dłuższym jednak namyśle nabrał przekonania, iż najrozsądniej dla niego będzie zastosować się do wskazówek Zorry.

Zegar wieżowy powoli wybijał godziny. Więzień z niecierpliwością oczekiwał umówionej chwili. O dziesiątej wieczór zaczął przepiłowywać pręty. Pilnik, pomimo swej cienkości, był z wyśmienitej stali. O jedenastej, z zachowaniem wszelkich ostrożności, Anglik gotów był do opuszczenia celi.

Usunął kratę i w tej samej chwili coś przesunęło się w powietrzu i uderzyło go z lekka w twarz. Instynktownie chwycił tę rzecz. Była to linka rzucona z dołu. Umocował jej koniec u framugi okna i wysunął się na zewnątrz. Zawisł na sznurze i w słabej poświacie księżyca zaczął się zsuwać na dół. Niebawem nogi jego wyczuły ziemię i ktoś chwycił go za ramię. Zrozumiał, że to Zorro, choć widział tylko czarne kontury człowieka w długim płaszczu. Zamaskowany mężczyzna pociągnął go za sobą w kierunku wrót więzienia. Wydobył z kieszeni pęk kluczy i cicho podzwaniając dobierał odpowiedni do żelaznych podwoi. Wreszcie zamek szczęknął i wrota uchylły się ze zgrzytem.

Nagle w gmachu więzienia rozległ się okrzyk wściekłości i przestraszu. Zawtórowały mu inne głosy.



- Odkryli związanego przeze mnie klucznika pilnującego wrót - szepnął Zorro. -  
Śpieszmy się!

Rozległ się huk wystrzału. Był to alarm. Zaraz potem odezwał się dzwon więzienny i z bocznego skrzydła gmachu wysypali się uzbrojeni ludzie.

Zorro i Anglik dopadli koni, które spokojnie oczekiwały w sąsiedniej uliczce, uwiązane do sztachety.

Żandarmi, pilnujący więzienia, wybiegli za nimi. Inni, przytomniejsi, prowadzili konie.

- Trzymajcie się zdrowo, zuchy! - zawołał Zorro, odwracając się w ich stronę.

Rumak, przynaglony uderzeniem ostróg Zorrry, pognął wzdłuż uliczki. Anglik podążył za nim.

Żandarmi z największym pośpiechem dosiedli koni i pognali naprzód, bodąc z wściekłością ostrogami boki końskie.

A tymczasem w dół ulicy pędziły w huraganowym tempie dwa rumaki z jeźdźcami rozpląszczonymi na siodle.

Na skrzyżowaniu dwóch ulic pełnili nocną służbę dwaj strażnicy. Usłyszeli z oddali niezwykle hałas, tętent koni i strzelaninę. W następnej sekundzie dostrzegli wyłaniających się z mroków nocy i pędzących w ich kierunku zbiegów. Porwali za broń. Otwory luf uniosły się i zatrzymały na wysokości tułowia jeźdźców, bo w tym momencie rozległ się ostry świst rzemienia przecinającego powietrze. Strażnicy stali obok siebie i jednocześnie uczyli ostry ból na szyi, po czym jeden z nich, pociągnięty końcem bicia, zwałił się na drugiego i obaj z rykiem bólu i wściekłości runęli, zaś ich strzelby wypaliły jednocześnie, złościąc dwie dziury w ziemi.

Po pewnym czasie zbiegowie zniknęli z oczu ścigającym. Zorro popędzał konia milcząc. Anglik sunął za nim, trwożnie oglądając się poza siebie.

Wreszcie jeździec w masce zatrzymał konia na skrzyżowaniu dróg, daleko od miasta.

- Patrz, senor - rzekł ukazując ręką drogę ciągnącą na północ-zachód. - Oto droga do granicy. Radzę ci nie oglądać się poza siebie i wiać czym prędzej z Hiszpanii, jeśli chcesz ujrzeć Anglię za życia! Tutaj ludzie nie żartują z partaczami!

Anglik chciał coś odpowiedzieć, lecz zamilkł po pierwszym słowie, bo zauważył, że Zorro znikł jak duch wśród ciemnych drzew. Czuł, że słowa zamaskowanego mężczyzny nie zawierają ani odrobiny przesady. Opuściła go zwykła pewność siebie i znikła wszelka fanfaronada. Poczul się jak bezradne dziecko wśród obcych mu żywiołów. Smagnął konia i rzucił się do ucieczki.

Długo trwała jego podróż. Zgodnie z poleceniem Zorry nie zatrzymywał się nigdzie po drodze. Dopiero w Anglii.

Następstwem jego niefortunnej podróży było to, że ilekroć wymawiano przy nim słowo: Hiszpania, mieszał się, bladł i tracił natychmiast całą swą nonszalancję.

W okolicy zaś Huesco, Tudeli, Chiarea ze śmiechem wspomiano dystyngowanego Anglika, który co prawda miał długie ręce, lecz za to nie umiał trzymać tego, co brał.

## Gubernator ostrzega

Podłużną salę pałacu gubernatorskiego jaskrawo oświetlał olbrzymi żyrandol. Pośrodku stał długi stół nakryty zielonym suknem, przy nim siedzieli mężczyźni w mundurach i cywilnych ubraniach. Rozmawiali.

Główne miejsce przy stole, fotel gubernatora, nie było dotychczas zajęte. Wzrok zebranych spoczywał od czasu do czasu na tym fotelu. Wyczekiwano gubernatora z niecierpliwością.

Wreszcie drzwi otworzyły się z trzaskiem i wszedł don Alvarez. Obecni powstali ze swych miejsc i głowy pochyliły się z szacunkiem.

Wielkorządca był zaszępony. Szybko zbliżył się do stołu, niedbałym skinieniem głowy odpowiedział na ukłon zebranych i zasiadł w fotelu.

Zapanowała głucha cisza, oczekiwano przemowy gubernatora.

- Senores! - rozpoczął don Alvarez suchym głosem, wyraźnie wymawiając każde słowo. - Spodziewałem się po was wielkich rzeczy i zawiodłem się na was sromotnie. Ani wy panowie dyrektorzy policji miast Aragonii, ani też wy oficerowie żandarmerii, ani wy szefowie tajnej policji nie stanęliście na wysokości zadania. Skarb państwa wypłaca wam znaczne pieniądze w postaci pensji i gaż miesięcznych, lecz cóż w zamian otrzymujecie? Nic, absolutnie nic! Aragonia to kraj względnie spokojny, ludzie tutaj nie upijają się zanadto, nie kradną, nie mordują się nawzajem. Od pewnego czasu można by bez broni podróżować po Aragonii, gdyby nie jeden jedyny opryszek Zorro. Tak, jeden jedyny człowiek, któremu wy wszyscy tutaj zebrani, z całym swym aparatem szpiegów, wywiadowców, policjantów, donosicieli i innych, nie możecie sobie dać rady. To jest niesłychane! Był czas, kiedy nie sprawowałem jeszcze urzędu gubernatora i mogłem poświęcić się walce z tym człowiekiem! Udało mi się wówczas dostać go w swe ręce. Wymknął się, lecz do tej pory nikt nie natrafił na jego ślad. Senores, tak dalej być nie może! Osobiście nie mogę go już tropić, gdyż ciężą na mnie obowiązki związane z funkcją gubernatorską. I uprzedzam was, że nie ścierpię na mej służbie ludzi niedołącznych... - W tym miejscu twarz jego przybrała srogi wyraz i podniósł głos: - Oto ostatnie zlecenie, jakie wam daję, senores. Jeśli do dziesiątego lipca, czyli w ciągu siedmiu dni nie schwytaacie Zorry, będę zmuszony wydalic was ze służby, wszystkich co do jednego, senores, a na wasze miejsce przyjąć nowych, energicznych ludzi z Madrytu!

Słowa te były rzucone z taką brutalnością, że zebrani poruszyli się niespokojnie.

Don Alvarez wstał i rzekł odchodząc:

- To wszystko, co miałem do powiedzenia, senores. Naradźcie się, co do wspólnej akcji lub też czyńcie, co się wam żywnie podoba. Zaznaczam, że nie należy się cofać przed żadnym wydatkiem. Wszelkie koszty pokrywam!

Wyszedł trzaskając drzwiami.

Przemówienie jego podziało jak bat w rękach woźnicy. Zebrani ożywili się, jakby wyrwani z letargu. Postanowiono po długich sporach i naradach uciec się do ostatecznych środków.

Następnego dnia okolica Aragonii, stanowiąca trójkąt pomiędzy Saragossą, Huesco i Tudelą, przedstawiała niezwykły widok. Na każdym prawie zakręcie drogi, za każdym pagórkiem czy gładem siedział lub leżał człowiek. Z pozoru byli to leniwi wieśniacy lub włóczęgi, którzy zażywali wypoczynku i drzemali. Kto by jednak uważniej przyjrzał się tym ludziom, przekonałby się, iż ich oczy, czujne i rozbiegane, nie pomijały najmniejszego szczegółu w okolicy, ręce zaś trzymali w pobliżu pistoletów zatkniętych za pasem.

W ciągu dnia ludzi przybywało. Włóczyli się z obojętnymi minami dookoła każdej wioski, w miasteczkach zatrzymywali się na rynkach, zaglądali do każdej bodegi<sup>10</sup>, przystawali na skrzyżowaniach ulic. Aragończycy ze zdumieniem obserwowali to dziwne najście obcych. Nie było punktu strategicznego lub obserwacyjnego, którego by nie zajął ktoś z tych nowych. Z każdego zagajnika wyglądała podejrzana twarz lustrująca przechodzących drogą wieśniaków lub obserwująca podróżnych.

Policja i żandarmeria zatrzymywała podróżnych w karocach i sprawdzała dokumenty. Biada wieśniakowi, który by zabłąkał się w lesie. Aresztowano go i przyprowadzano do najbliższego posterunku. W każdym widziano sojusznika, poplecznika lub pomocnika Zorry.

Stan ten trwał cztery dni. Był to prawdziwy stan wojenny. Piątego dnia dyrektor policji okręgu Huesco zgłosił się do gubernatora i oświadczył z głębokim westchnieniem ulgi:

- Ekscelencjo! Zdaje się, iż trzymamy Zorrę w rękach! Don Alvarez podskoczył z wrażenia, lecz w następnej chwili usiadł zniechęcony i machnął ręką:

- Nikt mnie nie nabierze na ten kawał! Tysiące razy zapewniano mnie, iż Zorro już... już gotów. A on nadal spokojnie przebiega drogi i trakty i rabuje pieniądze państwowe!

Lecz urzędnik policji przybliżył usta do ucha gubernatora i długo szeptał.

Na obliczu don Alvareza odbiły się kolejno niedowierzanie, zwątpienie, następnie w oczach jego zajaśniał promyk nadziei. Zatarł ręce z widoczną satysfakcją:

- Jeśli przypuszczenia twe są słuszne - rzekł - to jak mi Bóg miły, trzymamy wreszcie

---

<sup>10</sup> Knajpa

tego ptaszka!

- I tak jest, ekscelencjo, trzymamy go! Jeśli nawet pierwszy atak zawiedzie, pozostaje jeszcze stary węglarz!

- Koniecznie muszę być przy tym! - zawołał don Alvarez, w którym odezwała się żyłka dawnego oficera żandarmerii. - Muszę wziąć udział w łowach! Zbyt mnie ta historia pasjonuje, bym spokojnie mógł siedzieć w domu, podczas gdy będziecie chwytać Zorrę!

## Obleżenie

Koło zamku Chiarea zaczęli krążyć jacyś ludzie. Ukryci za każdym prawie drzewem, w gęstwinie, na gałęziach, wzrok mieli zwrócony na zamek. Miało się wrażenie, że oczekiwali sygnału.

Marszałek Serrano ze zdumieniem zauważył, że służba zamkowa zwiększyła się w trójnasób. W ogrodzie zamiast jednego ogrodnika pracowało aż sześciu. Twarze tych ludzi były mu zupełnie nieznane.

Wezwał swego majordoma.

- Co tu się dzieje, mój wierny sługo? - zapytał. - Nie wiedziałem, że mamy tylu służących na zamku. Naliczyłem dobre trzy setki ludzi!

Zarządca zmrużył oczy i szepnął do ucha marszałka:

- To nie nasi ludzie, ekscelencjo!

- Co?...

- Policja, ekscelencjo!

Don Serrano zrobił wielkie oczy.

- Nic nie rozumiem! Co tu ma policja do czynienia?

- Zorro!...

- Słuchaj, Diego! - zawołał marszałek zniecierpliwiony. - Żądam wyjaśnień. Nic nie rozumiem z twych lakonicznych odpowiedzi!

- Bardzo przepraszam, ekscelencjo! Wy tłumaczę jaśniej. Podobno Zorro co noc przychodzi pod zamek i wyśpiewuje serenady!...

- Zorro wyśpiewuje serenady pod moim zamkiem? – zdumiał się don Serrano. -- Co za brednie?

- Ja go nie słyszałem ani nikt ze służby, śpiewa bowiem pod balkonem z zachodniej strony zamku. Tak twierdzi policja.

- Pod balkonem mojej córki Juany?

- Ano, tak wypada!

- Nie, to niemożliwe. Juana by mi powiedziała!...

Diego rozłożył ręce:

- Dostojny panie, nie ja to twierdzę, lecz policja...

- Muszę to wyjaśnić! Poproś tutaj donnę Juanę! Majordomus wyszedł i powrócił niebawem w towarzystwie Juany.

- Wzywałeś mnie, ojczy? - spytała.

- Tak, moje dziecko! Dziwne rzeczy dzieją się w tym zamku, a ja o niczym nie wiem!

Co to za nocne serenady pod twoim balkonem?

Juana roześmiała się wesoło:

- Ach, ojczy! - zawołała. - Niech się biedak wysila, pozwól mu!

- Jaki biedak? Co za biedak?

- Zorro, ojczy!

- Zorro? - zerwał się marszałek. - A więc to prawda, co twierdzi policja!

- Co? - zdziwiła się Juana. - Policja wie o wizytach Zorry pod moim balkonem?

- Tak, wyjrzyj oknem, a zobaczysz kilkunastu drwali, sześciu ogrodników, czterdziestu lokajów, służących i tak dalej bez liku. Ci wszyscy to policja. Zamek mój jest obleżony. I to wszystko przez te serenady, do licha! Co też mu przyszło do głowy, że akurat obrał sobie moją rezydencję dla swych muzycznych popisów?

- Czy ja wiem? - uśmiechnęła się lekko Juana. - Może zakochał się we mnie?

- Tego jeszcze brakowało do twojej kolekcji. Słuchaj, Juano, wieczorem przyjdę do twojego pokoju! Muszę przeszkodzić temu łotrowi.. .

- Przeszkodzić w czym?

- Jak to, nie rozumiesz? Osaczony w ogrodzie, może wdrapać się na balkon i ukryć w twoim pokoju. Stanę na straży ze szpadą w ręku!

- Jak sobie życzysz, ojczy! - wzruszyła ramionami Juana i wyszła z gabinetu.

Ledwie znalazła się za drzwiami, wyraz jej twarzy zmienił się zupełnie. Zagryzła wargi i zmarszczyła brwi.

Biedny chłopiec! myślała. Jak tu przeszkodzić policji? Nie mogę przecież pozwolić, by z mego powodu Zorro gnił w więzieniu. Boże, Boże, w jaki sposób mam go uprzedzić o grożącym mu niebezpieczeństwie?

Przeszła do swego buduaru, pogrążona w głębokiej zadumie.

Jeśli się wymkne, rozważała, policja będzie mnie śledzić. Zresztą gdzież ja go znajdę? Gdyby chociaż mój ojciec nie uparł się czuwać w moim pokoju! Nie mogę jednak zamknąć drzwi przed nosem mojego ojca!... Co robić, co robić...

Chodziła nerwowo tam i z powrotem, załamując ręce. Wreszcie jakaś idea zaświtała w jej głowie. Uśmiechnęła się i odetchnęła z ulgą.

- Tak, to pomysł - szepnęła. - Na pewno mnie zrozumie! A gdy noc zapadła, marszałek wysłał Juanę z jej pokoju i sam stanął uzbrojony w oknie.

Niesamowita cisza panowała dookoła, przepojona jakąś grozą. W ogrodzie

zamkowym, w parku, w lesie, przyczaili się ludzie. Nawet w zamku, tuż przy wejściu. Czteryście serc biło przyspieszonym tętnem, czteryście par oczu starało się przebić ciemności nocy. Osiemset rąk zaciskało strzelby, pistolety i szable. Pułapka była gęsto obstawiona. Tak gęsto, że pomimo ciemności przekradający się kot zostałby bez najmniejszego hałasu przebity szpadą.

Wtem ktoś wbiegł do pokoju Juany, ciężko dysząc. Był to urzędnik policji.

- Señor! - zawołał wzburzony. - Kto to podaje sygnał ostrzegawczy z pańskiego zamku?

- Sygnał z mojego zamku? Czyś oszalał, señor?

- Nie oszalałem, señor! Z pokoju nad nami ktoś przesłania świecę w miarowych odstępach! .

Marszałek jak oparzony pobiegł na górę.

W pokoju o nagich ścianach zastał córkę z zapaloną świecą w ręku..

- Co ty tu robisz! - krzyknął gniewnie. - Co to za zabawy ze świecą? - Nudzę się, ojcze! - odpowiedziała spokojnie Juana. – Bawię się ogniem!

- Uważaj, byś się nie sparzyła! - wybuchnął don Serrano - i wydarł jej świecę z ręki.

- Jesteś okrutny, mój ojcze! Czy mam pozostać w Ciemnościach?

- Pozostań, gdzie chcesz i jak chcesz, byle nie w tym pokoju!

- Oj, ojcze! - pogroziła paluszkami Juana. - Bo ja już czuję gniew wzbierający w moim sercu. Co to za tyrania?

Lecz don Serrano był dzisiaj w wyjątkowo wojowniczym nastroju. Wyciągnął córkę z pokoju, zamknął drzwi na klucz, zgasił świecę i rzekł:

- Masz natychmiast pójść do apartamentów we wschodnim skrzydle zamku. Zaczekaj na mnie w rycerskiej sali.

- Brr! Tam są szczury!

Don Serrano nie słuchał dalej. Pobiegł z powrotem do pokoju Juany i stanął w drzwiach prowadzących na balkon.

Ciągle panowała złowroga cisza.

Nagle gdzieś w oddali zawył pies. Lekki wiaterek szeleścił gałęziami drzew i ten szelest był denerwujący.

Oczy wpatrzone w ciemności bolały od napięcia. Słuch kilkuset zaczajonych ludzi chwycił najlżejszy szelest. Co chwila zdawało się, że Zorro jest tuż, tuż. Ale cisza panowała nadal.

Na kilku zegarach zamkowych zaczęła wydzwaniać północ. Nie przyjdzie tej nocy,



pomyślał don Serrano.

Ledwie przebrzmiało ostatnie uderzenie zegara, gdy na dole, pod balkonem, rozległy się dźwięki gitary i melodyjny głos zaczął śpiewać:

Czy nie widzisz, okrutnico, Bezlitosna ma Juano,

Że mi ból zasnuwa lico,

A w moim sercu krwawi rana?

Dookoła źli wrogowie Wyostrzone dzierżą szpady, Im zależy na mej głowie,

A mnie smutek dręczy blady.

Przyczajeni w tej gęstwinie

Są jak wilki krwi spragnione... Lecz do ciebie pieśń ma płynię I z miłości cały płonę!

Powiedz: kocham! - w zapomnieniu, Przytul skroń do mojej skroni,

A przepędzę w okamgnieniu

Pół tysiąca tych wałkoni!

Nagle rozległ się potężny okrzyk:

- Co, my jesteśmy wałkoni?... Naprzód chłopcy, to jest Zorro! Brać go! Strzelaj! Bij! Rąb! Naprzód! Otoczyć go!

- Naprzód! - rozległy się okrzyki z paruset piersi. - Zorro, poddaj się!... Chwytać go!... O, tam pod balkonem!... Czarny cień! Otoczyć go!... Trzymać się razem!... Szable do ciosu!... Broń do oka!... Nie ujdzie nam!...

Lecz zanim ludzie zdążyli go dopaść, czarny cień przesunął się po sznurze i skoczył na balkon. Tutaj czekał nań don Serrano ze szpadą w ręku. Chwytał Zorrę za rękę i wołając: na pomoc, on jest tutaj! - pociągnął go za sobą.

W pierwszej sekundzie, gdy Zorro skoczył na balkon i ujrzał przed sobą marszałka, miał zamiar obalić go jednym uderzeniem. Lecz don Serrano, pomimo swych nawoływań, nie okazywał żadnych wrogich zamiarów, toteż Zorro dał się spokojnie prowadzić.

Don Serrano, nawołując ciągle, wyciągnął go na korytarz i pobiegł pierwszy, szepcząc:

- Prędko za mną!

Znikli obaj za zakrętem korytarza, a z jednej z komnat wyjrzała Juana. Oblicze jej wyrażało głębokie zdumienie, widziała bowiem, jak ojciec jej ciągnął Zorrę za sobą i nie mogła zrozumieć tej sceny.

Tymczasem uzbrojeni ludzie wpadli do zamku i w przejściu rozległ się tupot licznych, biegnących nóg.

W tej samej chwili don Serrano powrócił, wołając:

- Tędy, tędy uciek!... Próbowałem go zatrzymać, ale wytrącił mi pistolet z ręki i

złamał szpadę. Prędko za mną, senores, może go jeszcze schwytamy!

Znów zawrócił, prowadząc tłum policjantów i żandarmów za sobą.

Przebiegli szereg komnat i don Serrano zatrzymał się jak wryty przed tajemniczymi drzwiczkami, które obecnie były otwarte na oścież.

- Ach, to łajdak! - krzyknął don Serrano. - Skąd znał to potajemne przejście?

Odwrócił się do ludzi, którzy zatrzymali się razem z nim:

- Senores, ten opryszek uciekł tym podziemnym korytarzem! Biegnijcie za nim, to może go jeszcze zdołacie schwycić!

Ludzie, przeklinając i złorzecząc, wpadli hurmem w tajemny korytarz i zaczęli schodkami zbiegać na dół.

Don Serrano uśmiechnął się, zatarł ręce i zadowolony z siebie powrócił do pokoju Juany.

Zastał swą córkę przy stole, na którym stała zapalona lampa. - No i cóż, ojczy? - zapytała Juana.

Don Serrano przybrał groźny i zawzięty wyraz twarzy:

- Wyobraź sobie, moja córko, że ten bandyta znał tajemne wyjście z zamku. Tym razem udało mu się uciec, lecz ja go złapię, daję ci słowo!

- Jak to, czy zamek ma tajemne wyjście?

- Tak! Podziemny korytarz biegnie daleko poza zamkiem i kończy się wśród lasu! Nie mogę sobie darować, że dałem się zwyciężyć przez tego rabusia!

Juana uśmiechnęła się i rzekła patrząc ojcu w oczy:

- Dziwna to była ucieczka! Wyglądało na to, że ty biegłeś pierwszy...

- Uciekałem przed nim, przyznaję się! - odparł don Serrano lekko zmieszany.

- Biegłeś pierwszy, mój ojczy, i ciągnąłeś go za sobą!

Po tych słowach zaległo dłuższe milczenie.

Wreszcie don Serrano roześmiał się i cicho zapytał:

- Widziałas?

- Widziałam, lecz nie pojmuję!...

- On tak pięknie śpiewa serenady! - westchnął marszałek. I jeszcze ciszej dodał: - Zresztą to dzielny chłopiec!

Wypowiadając te ostatnie słowa, nie dostrzegł wysokiej postaci, która stanęła w obramowaniu drzwi. Był to gubernator we własnej osobie.

- Wybacz mi, senior - rzekł don Alvarez, przestępując próg pokoju. - Słyszałem całą rozmowę. Jeśli się nie mylę, okazałeś pomoc w ucieczce temu bandycie!

Don Serrano drgnął na dźwięk głosu don Alvareza, lecz w następnej sekundzie zapanował nad sobą i odparł:

- Mylisz się, senior! Słowa, które podsłuchałeś...

- Nie podsłuchałem, senior, lecz usłyszałem zupełnie przypadkowo!

Gniew don Serrana zaczął wzbierać:

- Przekradł się przypadkowo usłyszałeś?! - krzyknął przystępując doń. - I równie przypadkowo stanąłeś przy tych drzwiach i bez zameldowania wszedłeś do sypialni mej córki? Czy wiesz, senior, która teraz godzina?

- Mam prawo, senior, ścigam bowiem niebezpiecznego bandytę...

- Który dawno uciekł z zamku!

Oblicze don Serrana przybrało groźny wyraz:

- Nie, mój gubernatorze, nic nie upoważniało cię do wkroczenia bez zezwolenia do mego zamku...

- Pięćdziesięciu ludzi wbiegło tutaj przede mną!

- To byli policjanci, którym ja nie wzbraniałem wstępu! Pierwszy raz jednak w moim życiu widzę, by wielkorządca we własnej osobie uganiał się po nocy za zbójcami jak zwykły żandarm! Gdzie tu godność osobista? To tak, senior, reprezentujesz w Aragonii majestat królowej?

- Senior!...

- Zapomniałeś widać, senior don Alvarez, z kim masz do czynienia! Ja jestem don Serrano, rozumiesz, marszałek don Serrano! Jeśli zapomniałeś, kto jest panem tego zamku, tym gorzej dla ciebie!

- Jestem gubernatorem Aragonii! - wrzasnął don Alvarez, blednąc.

- Niedługo nim będziesz, senior, jeśli ja się temu przeciwstawię! - zawołał don Serrano, wyciągając groźną rękę. - Jeśli liczysz na ministra don Alonza, mogę cię zapewnić, że wystarczy jedno me dmuchnięcie, a minister również poleci jak liść na wietrze.

Don Alvarez zadrżał. Dopiero teraz przypomniał sobie, jak potężną osobistością jest don Serrano. Nie mieszał się chwilowo do polityki, lecz gdy chciał, obalał ministerstwa jak domki z kart. Sama nawet królowa często nie śmiała mu się przeciwstawiać.

Don Alvarez zrozumiał, że zabrnął zbyt daleko, narażając się tak potężnemu człowiekowi. Postanowił więc wybrnąć czym prędzej z niebezpiecznej dlań sytuacji.

- Senior - rzekł kłaniając się - zbyt surowo mnie oceniasz. Wcale nie myślałem, że wywołam twój gniew, wchodząc do zamku w ślad za moimi ludźmi. Przecież nie wiedziałem, że Zorro uciekł z zamku. Sądziłem, że został schwytyany i wszedłem zaniepokojony tym, że

ludzie tak długo nie ukazują się z powrotem. Przechodząc tym korytarzem, usłyszałem czyjś głos wyrażający, jak mi się zdawało, sympatię dla bandyty. Byłem niezwykle podniecony i zdenerwowany, dlatego też nie zwróciłem uwagi, do jakiego pokoju wchodzę, za co najmocniej przepraszam senioritę i ciebie, senior. Nieporozumienie zechciej złożyć, senior, na karb zdenerwowania. Już sam fakt, że osobiście brałem udział w wyprawie, powinien cię przekonać, jak ważne dla nas jest schwytanie Zorry! Jest to sprawa wagi państwowej! Racz mi łaskawie wybaczyć, ekscelencjo!

Don Alvarez uznał, iż w ten sposób obronił się przed gniewem dygnitarza dworskiego. Rzeczywiście, wyraz twarzy don Serrana złagodniał:

- Wybaczam ci chętnie, senior Alvarez, i współczuję szczerze, że wyprawa się nie udała!

- Jeszcze nic nie wiadomo! - odparł don Alvarez. – Ludzie moi są na jego tropie. Może w obecnej chwili już go schwytali?

- Więc idź, senior, i przekonaj się naocznie, czy tak się stało!

A gdy don Alvarez wyszedł rozplywając się w ukłonach, don Serrano rzekł z pogardą:

- Płaszczący się gad!...

## Druga zasadzka

- Pościg za Zorzą spełził na niczym! - rzekł naczelnik policji. - Nie moja w tym wina, uczyniłem wszystko, co było w mej mocy!

- Nie wszystko! - odparł zgryźliwie don Alvarez. - Dlaczego nie ustawiłeś ludzi w komnatach zamku?

- Marszałek Serrano nie pozwolił!

- Czy podał jakiś powód?

- Nie podawał żadnego powodu. Po prostu zamknął dostęp do komnat, mówiąc: „Jeśli Zorro zechce przedostać się do zamku, ze mną będzie miał do czynienia i z moją szpadą!”

- Ten butny Serrano zbyt wiele sobie pozwala! - zgrzytnął zębami don Alvarez. - Uważa, że jego wpływy u dworu na wszystko mu pozwalają. Ja mu jednak obetnę skrzydła!

Dyrektor policji milczał. W duchu mocno wątpił, by don Alvarez faktycznie miał zamiar przeciwstawić się potężnemu marszałkowi.

Noc szarzała. Panował przenikliwy chłód poranny. Dokoła don Alvareza i naczelnika policji skupili się ludzie, w ponurym milczeniu czekając na rozkazy.

- Wspomniałeś o drugiej zasadzce na Zorrę, senor! - rzekł don Alvarez.

- Moi ludzie trafili na ślad starego węglarza...

- Pomocnika Zorry? - chwycił go za ramię don Alvarez. - Tego samego Baska, którego zdybaliśmy raz w lesie, a który wymknął się nam, odbity przez Zorrę. Znikł wówczas bez śladu.

Obecnie natrafiono na jego kryjówkę!

- Gdzie to jest? Mów prędzej!

- W skałach Sierra Madre!

- W odległości sześciu mil od Chiarea?

- Tak, tam wąska ścieżka prowadzi po zboczu stromej skały do pieczary dobrze ukrytej przed wzrokiem obcych ludzi.

- Jeśli to prawda, że węglarz się tam ukrywa, wówczas jestem pewny, że schwytny Zorrę!

- Nie może być inaczej, skoro węglarz ten opiekuje się koniem i bronią Zorry.

- Jestem pewny, że Zorro pognął prosto do tego węglarza, by pozostawić u niego konia i maskę!

- Jestem tego samego zdania!

- Jeśli więc nie zwlekając pognamy w stronę Sierra Madre, możemy go jeszcze schwycić!

- Otaczając pieczarę i ścieżkę na zboczu skały lub też zatrzymując go, kiedy będzie wracał pieszo i bez maski!

- Ba, czy go rozpoznamy?

- Zatrzymamy wszystkich ludzi napotkanych na naszej drodze! - Dobrze. Plan jest doskonały!

Don Alvarez zawołał podniesionym głosem, zwracając się do ludzi zbitych w gromadę:

- Ci, co mają konie, podążą z nami; reszta zaś, rozwinięta w długą linię, uda się pieszo do Sierra Madre. Pamiętajcie, że w odległości mniej więcej mili od grupy skał Sierra Madre nie wolno wam puścić ani jednej osoby. Wszystkich napotkanych zatrzymać, zrewidować, zakuć w kajdanki i nie tracić z oka aż do naszego powrotu. Staniecie u podnóża skał i zamkniecie wyjście z wąwozu.

Don Alvarez dosiadł konia i popędził na czele oddziału liczącego około dwustu jeźdźców.

Słońce ukazało swój rąbek na horyzoncie, gdy oddział znalazł się u podnóża skał przeciętych wąwozem. Kilkunastu jeźdźców pozostało na straży, reszta zagłębiła się w wąwozie, zachowując absolutną ciszę. Kopyta koni owinięto szmatami i sprawdzono, czy każdy szczegół uzbrojenia jest w porządku.

Oddział, któremu przewodził don Alvarez, wjechał do wąwozu, po dwa konie rzędem, gdyż szczelina była wąska. W połowie drogi jeden z ludzi, który wyszedł kryjówkę węglarza, zawołał przyciszonym głosem:

- To jest tutaj!... Ścieżka po lewej stronie.

W wąwozie panowały kompletne ciemności. Pomimo to don Alvarez, w którym obudziła się uśpiona dusza żandarma, prędzej wyczuł, niż dojrzał ścieżkę biegnącą zboczem skały ku górze. Padł cichy rozkaz i ludzie zsiadli z koni.

- Przygotować broń!

Rozległ się szcęk odwodzonych kurków.

- W razie ucieczki podejrzanych osobników lub próby oporu, strzelać bez pardonu!

Oddział zaczął milcząco wspinać się ścieżką ku górze. Przodem szedł przewodnik, tuż za nim podążał don Alvarez oraz naczelnik policji Pablo Cormona.

W ten sposób dobrnęli do miejsca, gdzie ścieżka skręcała w lewo, pod ostrym kątem. Z jednej strony ścieżki sterczała stromo skała, z drugiej zaś czerniła się przepaść, czyli dno

wąwozu.

Gubernator mimo woli podziwiał w duchu zręczność i odwagę Zorry, który wspinał się konno wśród ciemności nocnych tak niebezpieczną dróżką, na której nawet człowiek idący pieszo nie czuł się pewnie.

Tuż przy zakręcie przewodnik zatrzymał się i ścisnął dłoń Alvareza. Miało to oznaczać, iż znajdują się u celu wyprawy.

Pułkownik postąpił dwa kroki naprzód, wyminął zakręt i nagle cofnął się gwałtownie.

- Pieczara i ogień rozpalonego ogniska! - szepnął do Pabla Cormony. - Uwaga, musimy działać ostrożnie!

Świt stawał się coraz jaśniejszy. Don Alvarez obejrzał się poza siebie i ujrzał długą linię przyczajonych ludzi. Wykonał szeroki gest ręką. Stojący za nim zrozumieli, że zaraz rozegra się drugi akt dramatu. Drobnymi krokami, ostrożnie posuwali się ku pieczarze.

Don Alvarez stanął koło pieczary, przycisnął się do ściany skalnej i nadśluchiwał.

Odblask płonącego ogniska oświetlił twarz jego na czerwono, lecz dwaj mężczyźni siedzący w pieczarze przy ognisku, nie dostrzegli go. Jeden z nich mówił i don Alvarez poznał głęboki głos Zorry. Był więc w pieczarze, w odległości zaledwie dziesięciu, dwunastu kroków. Wystarczy ręką sięgnąć. Lecz gubernator nie chciał ryzykować. Nie odwracając się, uczynił kilkakrotny ruch ręką.

Żandarmi i policjanci zrozumieli. Zaczęli skupiać się koło niego, tuż obok wejścia do pieczary.

- Już świta! - mówił Zorro. - Muszę wracać do domu, mój stary przyjacielu. I nie zapomnij o mojej prośbie.

- Nie zapomnę, senor Zorro - odpowiedział starzec. - Mam wyszukać nową kryjówkę.

- Nie tylko to! Poprawisz siodło, dasz nieco mniej paszy koniowi, staje się bowiem nieco ociężały w biegu, i sprawdzisz zamek pistoletu bez muszki!

- Zacina się?

- Tak mi się zdaje!

- Czy znowu wyprawa?

- Dziś o piątej po południu ciągnie transport do Madrytu. Nie jestem pewny, czy wiozą złoto, nie zawadzi jednak przekonać się! - Czy to jest transport wysłany przez tego łajdaka?

- Don Alvareza? Rozumie się. Któż by inny wysyłał transporty do Madrytu?

- Czy nie czas skończyć z nim od razu, zamiast bawić się w ciuciubabkę?

Zorro roześmiał się głośno i dreszcz przeszedł przez ciało don Alvareza, który nie

uronił ani jednego słowa z tej rozmowy.

- Nie śpieszy mi się, przyjacielu! Pobawię się z nim jak kot z myszą, a gdy dostrzeżę, że włosy mu całkiem posiwiały ze zgryzoty, wówczas skończę z nim jednym zamachem, podobnie jak z jego protektorem, tym drugim łotrem, ministrem don Alonzem.

Don Alvarez zacisnął zęby i wyprężył się do skoku.

- Czas na mnie! - ziewnął Zorro. - Wracam do rodzinnych pieleszy!

Gubernator nie wytrzymał i ostrożnie wysunął głowę.

Tak był przekonany o nieuchwytności Zorry, że po prostu wierzyć mu się nie chciało, że straszliwy ten rabuś siedzi tutaj przed nim bez maski, całkowicie w jego, don Alvareza, mocy.

Wychylił więc ostrożnie głowę, by przyjrzeć się twarzy Zorry. Spotkał go jednak zawód. Zorro siedział przy ognisku, odwrócony doń plecami.

Grota była olbrzymia. Dwa siodła wisiały na jednej ze ścian. W głębi koń żuł owies.

Tańczący płomień dogasającego ogniska oświetlał pomarszczoną twarz towarzysza Zorry, starego węglarza, który siedział bokiem do zagląającego pułkownika.

W chwili gdy don Alvarez wychylił nieco głowę, by zbadać wnętrze groty oraz by przyjrzeć się rysom swego znenawidzonego przeciwnika, wzrok starego węglarza padł na otwór w pieczarze. Dostrzegł ludzką głowę, lecz ani jednym drgnięciem nie dał poznać po sobie, iż coś widział. Zrozumiał od razu, iż człowiek, którego dostrzegł w ułamku sekundy, nie przyszedł tu sam. Wyczuł, iż zbrojny atak nastąpi w następnej chwili. Pragnąc ją odwlec, odezwał się spokojnie:

- Zanim odejdiesz, Zorro, proszę cię, wyjaw mi tę tajemnicę, której nie. powinien znać don Alvarez!

- Tajemnicę? - zdziwił się Zorro, lecz z twarzy starca pojął w lot, iż za jego plecami dzieje się coś niedobrego.

- Tajemnicę, która dotyczy don Alvareza; czy zapomniałeś?

- Ach tak!... Wiem o jakiej tajemnicy mówisz! Wyjawię ci ją, lecz w najgłębszym sekrecie. Gdyby cię kiedyś schwytał ten. łotr Alvarez, nawet pod wpływem tortur nie wolno ci jej wyjawić, rozumiesz?...

- Rozumiem! Gdyby mnie żywcem krajał ten złodziej, nie wyjawię mu tajemnicy, która jego dotyczy!

- Nie tylko jemu, lecz nawet własnej żonie ani córce!

- Nie mam żony ani córki!

- W takim razie mogę ci zawierzyć tę straszliwą tajemnicę. Słuchaj więc...



- Zaraz, zaraz, chwileczkę. Czy ona jest rzeczywiście taka okropna, ta tajemnica?

- Sam osądzisz, gdy usłyszysz!

Don Alvarez, stojąc tuż obok pieczary, uniósł rękę, by dać sygnał do ataku. W chwili jednak gdy usłyszał, że mowa o jakiejś tajemnicy, której on nie powinien znać, ręka jego zawisła w powietrzu i cały zamienił się w słuch. Co to za tajemnica? myślał. Mam czas, zaczekam z atakiem. Zorro, tak czy owak, nie wymknie się z tej groty, a ja tymczasem dowiem się o co chodzi.

Zorro rozsiadł się wygodnie i zaczął:

- Wyobraź sobie, mój drogi przyjacielu, iż tak jak mnie tu widzisz, jestem ni mniej, ni więcej, tylko rodzonym wujkiem don Alvareza!

- Czyżby? - udał zdziwienie stary węglarz, powstrzymując jednocześnie szaloną chęć do śmiechu. - W jakież to sposób jesteś wujkiem gubernatora, jeśli łaska?

- Nikt nie powinien ó tym wiedzieć, gdyż byłoby to wielką hańbą dla mnie, gdyby dowiedziano się, iż w rodzinie mej znajdują się złodzieje. Prócz tego okoliczności naszego pokrewieństwa są tak niezwykle, że słuchaczom stygnie zazwyczaj krew w żyłach...

Zorro zamilkł i głośno westchnął.

- Miałem się dowiedzieć, w jaki sposób stałeś się rodzonym wujaszkiem gubernatora don Alvareza! - odezwał się węglarz. - Zaraz ci to wytłumaczę...

Don Alvarez pomyślał z wściekłością: „co za bzdury!” lecz cierpliwie słuchał dalej, Zorro zaś ciągnął z niezmaconą powagą:

- Zanim ci opowiem tę dziwną historię naszego fatalnego pokrewieństwa, zwracam twą uwagę, że zmarłem i nieco gorącej zupy przydałoby się, by rozgrzać me wnętrzności!

- Drzę z niecierpliwości, Zorro, a ty mi prawisz o wnętrznościach. Mówże nareszcie o tej historii pokrewieństwa!

- Nie potrafię opowiadać, gdy jestem głodny i zziębnięty. Cała moja opowieść wyda ci się zimna i bez smaku...

- Pozostało nieco zupy w kotle - rzekł węglarz, wstając ociężale. - Postawię ją na ognisku, ty jednak nie przerywaj opowieści.

- Dobrze! - rzekł Zorro, śledząc oczami węglarza, który oddalał się w głąb groty. - A więc to było tak. Trzeba ci wiedzieć, że jego matka, szlachetna senora y Gonzano, pochodziła z mieszczańskiej rodziny. Poczciwa była to kobieta i nie jej wina, że urodziła łajdaka...

- Gdy się urodził, nie był jeszcze łajdakiem - wtrącił węglarz. - Był przecież niemowlęciem...

- Nie, był już łajdakiem. Gdy się urodził, nie otworzył jeszcze oczu, a już chwycił w

rączkę złoty łańcuszek od zegarka przy kamizelce ojca i za nic w świecie nie chciał złota wypuścić. Musiano odcepić łańcuch od zegarka. Matka cierpiała nad tym niewymownie. Starła się bezskutecznie wyplenić w nim chorobliwy pociąg do złota...

- Biedna kobieta! - westchnął węglarz, zbliżając się do ogniska z kotłem w rękach. Jakże jej współczuję!...

I w tej samej chwili wylał cały kocioł wody na ognisko, które momentalnie zgasło.

Kompletne ciemności zaległy grocie.

- Za mną! - krzyknął rozpaczliwie don Alvarez. - Zorro nam się wymyka!

Zrozumiał poniewczasie, że Zorro i węglarz zakpili z niego. Cała ta bajeczka służyła po to, by zamydlić mu oczy i odwlec fatalny moment. Don Alvarez nie mógł zrzucić winy na nikogo. To był wyłącznie jego błąd. Policja zrobiła swoje: znalazła kryjówkę Zorri. On ponosił odpowiedzialność za to, co zaszło, gdyż: wstrzymał ludzi, by wysłuchać zmyślonej historii skomponowanej naprędce. - Za mną! - rozległ się okrzyk don Alvareza i uzbrojeni ludzie wpadli do groty.

- Nie robić tłoku! - wołał gubernator. - Część ludzi pozostanie przy wejściu! Zapalić pochodnie!

W grocie zajaśniało światło. Gorączkowe podniecenie ogarnęło ludzi.

Zorro nie mógł się wymknąć, Zorro musi gdzieś tu być. A jednak grota była pusta. Ani śladu konia, ani tych dwojga, pomimo że jedyne wyjście zamykał silny kordon policji i żandarmerii. Pieczara nie miała innego wyjścia. Gdzież podzieli się ludzie, którzy przed chwilą siedzieli przy ognisku?

Don Alvarez miał wrażenie, iż śni; że to co widział i słyszał przed chwilą, było po prostu halucynacją.

- To niemożliwe! - wyjąkał, rozglądając się po nagich ścianach groty, na których tańczył migotliwy odblask zapalonych pochodni, walczący z szarym światłem dnia.

- Obejrzyjcie jeszcze raz wszystkie zakamarki! - zawołał naczelnik policji, zmieszany nie mniej od swego zwierzchnika. - Zbadajcie dokładnie ślady.

Skrupulatne poszukiwania nie dały najmniejszego rezultatu.

Zorro, węglarz oraz koń znikli w niewytłumaczalny sposób, po prostu wyparowali.

Ludzie żegnali się, mrużąc:

- Czary, czy co do licha? Carramba!...

Niebawem policjanci stanęli bezradnie, oczekując dalszych rozkazów. Chropawe, nieforemne ściany pieczary zostały dokładnie P. przeszukane, opukane i zbadane. Uwierzono w cud. Nie pozostawało im nic innego, jak opuścić pieczarę.

W ponurym milczeniu ciągnął oddział ścieżką po zboczu Sierra Madre. Na dole, wśród posępnej ciszy, dosiedli koni i odjechali.

Po ich odejściu w pieczarze zapanowała cisza. Nagle jedna z nieforemnych ścian grotu jakby drgnęła. Cały blok skalny poruszył się bezszelestnie, odsłaniając wielki, czarny otwór. W otworze tym ukazał się Zorro. Wszedł do pieczary i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Cicho gwizdnął i z otworu wyłonił się stary węglarz ciągnący konia.

- Nie ma ich! - rzekł Zorro. - Droga jest wolna! No, bywaj, mój wierny przyjacielu, a nie zapomnij o nowej kryjówce!

- Dobrze, że mieliśmy zapasowy schowek! Wyszadliby całą pieczarę w powietrze, lecz nie znaleźliby nas za tym głazem!...

- Gdyby nawet ten schowek nie istniał, jak sądzisz, czy dałbym się schwytać?

- O, ja wiem, że nie, lecz zawsze szkoda konia. Zresztą i mnie nie uszłoby na sucho.

- Wydarłbym cię z ich niewoli. Zresztą dobrze się stało, jak się stało!

Zorro dosiadł konia i wyjechał z pieczary, wołając:

- Odnajdziesz mnie tam, gdzie zwykle. Pamiętaj o wyszukaniu nowej kryjówki!

Słońce ukazało się na horyzoncie, gdy koń Zorrego, ostrożnie stąpając, schodził ścieżką w dół. U podnóża skały jeździec uniósł się w strzemionach, strzelił z bicia, krzyknął swym zwyczajem raz i drugi: Zorro... Zorro... i pognął naprzód.

Pędził w tym kierunku, w którym oddalił się zbrojny oddział.

Niebawem zbrojne szeregi ukazały się jego oczom. Przynaglił więc swego wierzchowca do szybszego biegu.

- Zbierz wszystkie swe siły, koniku! - zawołał. - Będziemy zaraz mieli wyścig nie lada!

Kilku żandarmów, jadących na tyłach oddziału, odwróciło się słysząc tętent. Ujrzeni jeździeca pędzącego wprost na nich. W pierwszej chwili sądzili, że to jeden ze spóźnionych żandarmów dogania swój oddział. Lecz postać zbliżała się ciągle i gdy znalazła się w odległości mniej więcej piętnastu długości końskich, dostrzegli czarną maskę na twarzy mężczyzny..

- Zorro... Zorro! - rozległy się okrzyki, lecz w tej samej chwili zamaskowany jeździec wpadł pomiędzy nich. Zanim którykolwiek zdołał się zorientować, Zorro jak huragan wyminał ich i zrównał się z czołem oddziału. Świsnął bicz i swym końcem owinął się dookoła szyi gubernatora jadącego w pierwszym szeregu. Ułamek sekundy i don Alvarez, wyciągnięty jednym, silnym szarpnięciem z siodła, znalazł się na ziemi, na oczach całego oddziału. Rzemień powłókł go kilkanaście kroków po ziemi.

Don Alvarez, na wpół uduszony, pozostał nieruchomy na piasku i zanim otworzył oczy, Zorro był już daleko.

- Gonić go! - zawołał ochryple. - Nie gapić się na mnie! Gonić go!

Rozpoczął się pościg, lecz żandarmi gnali w ślad za Zorram bez wielkiego przekonania. Wiedzieli z góry, że w otwartym polu nie dogonią go.

## Obrończyni Zefiria

Na ganku pawilonu zamku Chiarea, wychodzącym na park, znajdowało się liczne towarzystwo złożone z samej młodzieży.

Juana siedziała na rzeźbionej ławie, tuż przy oszklonych drzwiach. Na innych ławach i krzesłach, nawet na stopniach ganku, siedzieli strojni, młodzi ludzie. Była to okoliczna młoda szlachta, która z okazji urodzin Juany zjechała się do zamku.

Wszyscy ci młodzi ludzie byli w mniejszym lub większym stopniu zakochani w pięknej Juanie. Każdy z nich przybył żywiąc w głębi serca nadzieję, że zdoła podbić kapryśną piękność swym osobistym czarem.

Dziwne to były konkury, na modłę starej Kastylii. Młodzieńcy wypalili mnóstwo długich cigarillos, rzucali wokoło zabójcze spojrzenia, jakby chcieli przebić niewidzialnego wroga swym wzrokiem, prężyli mięśnie ramion i wypinali bohaterstwo tors. Z rzadka tylko padało wśród ciszy jakieś zdawkowe, ogólnikowe zdanie.

- Piękna mamy pogodę, seniorito!

- Rzeczywiście! - zgadzała się znudzona córka marszałka Serrany.

Znów zapadła cisza. Kilka chrząknięć.

- Za trzy tygodnie będziemy mieli korridę, seniorito!

- Za trzy tygodnie? To prędko!

- Wystąpią najlepsze byki Aragonii!

Juana powstrzymywała się od ziewnięcia:

- Bardzo mnie to cieszy! - rzekła.

- Przyjedzie słynny torreador, Joaquin Jose Maria Vaspertella z Madrytu, seniorito!

- Widziałam go, to dobry torreador!

Rozmowa się urwała. Onieśmieleni młodzieńcy nie wiedzieli, o czym mają mówić z piękną Juaną, córką potężnego marszałka. Gdyby teraz była noc, każdy z tych małomównych, młodych caballeros, wziąłby gitarę do ręki, owinałby się w szeroki, czarny płaszcz i zaśpiewałby tęskną romanse do pięknej seniority. To by potrafił. Pod osłoną nocy, pod dźwięki gitary wypowiedziałby bez osłonek swą gorącą, wulkaniczną, żywiołową miłość. Lecz w biały dzień, bez gitary i bez płaszcza każdy z nich był po prostu nudny.

Właśnie gitara Juany stała oparta o ścianę. Młodzieńcy łakomym wzrokiem spoglądali na ten instrument muzyczny, lecz żaden z nich nie ośmielił się pierwszy sięgnąć po niego. Juana pochwyciła te spojrzenia i powiedziała:

- Opowiadano mi w Paryżu o małym piesku, który zdechł z nudów. Dopiero teraz zrozumiałam to biedne stworzenie.

Ujęła gitarę, wydobyła kilka akordów i zanuciła:

Stoję dumny caballero

Pod twoim balkonem

Każdy wróg to dla mnie zero Bo ja jestem dzielnym donem!

Obecni spojrzeli sobie w oczy. Romanza była dziwaczna, słowa beznadziejnie głupie.

Juana śpiewała dalej:

Caballeros drżą z obawy Seniority mnie kochają

Jam Zefirio, śmiały... prawy... Więc swe serca mi oddają!

Zrozumieli w okamgnieniu. Tylko Zefirio mógł zdobyć się na coś podobnie idiotycznego.

Rozległy się przyciszone śmiechy.

- Czy dobrze słyszałem, seniorito - zapytał jeden z wielbicieli - śpiewałaś romanzę Zefiria?

- Tak! - odpowiedziała Juana. - To była romanza ułożona przez Zefiria Cortiego! Czyż nie jest piękna?

Śmiechy się wzmogły. Imię Zefiria podziałało jak kamień rzucony do sadzawki. Wszyscy zaczęli mówić od razu, wybuchając niepowstrzymanym śmiechem.

- Zefirio, głupi Zefirio?

- Śmiały... dzielny Zefirio... Cha, cha, cha!...

- Każdy wróg dla niego zero!... Skonać można!...

- Zefirio!... Dumny caballero!...

- I seniority go kochają... To ci kawalarz. Cha, cha, cha!

Juana spokojnie przeczekała, aż burza minie, po czym zapytała spokojnie:

- Nie rozumiem, caballeros! Co was tak rozśmieszyło?

Młodzieńcy ucichli. Dostrzegli w oczach Juany gniewne błyski. - Nie gniewaj się, seniorito Juano! - odezwał się Pedrillo Cabanez y Pesar. - Przecież niedawno przybyłaś do Aragonii, więc nie wiesz jeszcze, kto to jest Zefirio Corti. Pozwól, że opowiem ci jedną historię o tym dumnym i walecznym kawalarze. Przed rokiem, dla żartów, udałem, że obraziłem się śmiertelnie. Wyzwałem go. Posłałem doń sekundantów, którzy dali mu do wyboru rapiery lub pistolety na odległość dwudziestu kroków. Czy wiesz, seniorito, co wybrał?.. Rapiery na odległość dwudziestu kroków. Więc jeden z mych sekundantów zwrócił mu uwagę, że niepodobna walczyć rapiery z takiej odległości. To nic - rzecze Zefirio -

będziemy ciskać rapierami!

- Cha, cha, cha! - rozległ się ogólny śmiech.

- Nie koniec na tym! - ciągnął dalej Cabanez. - Po kilku tygodniach spotkałem go w lesie. Hej, Zefirio! zawołałem nań groźnie. Chodź no tutaj, pogadamy! Rzucił się do ucieczki, a potem opowiadał, że pobiegł do domu po szpadę!

- To jeszcze nic! - zawołał mały Jaime Matteo. - Ja znam lepszą historię. Przed kilku miesiącami zauważyliśmy, ja i mój ojciec, że ktoś dobierał się do owoców w naszym sadzie. Sad jest olbrzymi, a posadzaliśmy naszych służących. Zwołałem znajomych i przyjaciół z okolicznych hacjend, by wspólnie urządzić obławę na złodziei. Ustawiliśmy się, z zapadnięciem nocy, uzbrojeni, dookoła sadu. Godzina płynęła za godziną i nic nie było słyhać. Wtem od strony przeciwległego gaju dobiegło sapanie i trzask gałęzi. Porzuciłem swe stanowisko przy ogrodzeniu i pobiegłem w stronę, skąd dolatywały te podejrzone dźwięki. Czy wiecie, co ujrzałem przy świetle gwiazd? Zefirio ugiął się pod ciężarem worka z owocami, a złodziej szedł tuż za nim i poganiał go kijem!

- Cha, cha, cha! - rozległy się kaskady śmiechu.

- Cha, cha, cha! - rozległ się głupekowaty śmiech pośród drzew i Zefirio we własnej osobie wystąpił na widownię.

- Olle, Zefirio! - ryknęli zgromadzeni radośnie. - O wilku mowa, a wilk tuż.

- Witaj nam, dumny, nie ustraszony caballero, dla którego każdy wróg to okrągłe zero!  
- zaintonował jeden z młodych mężczyzn.

Zefirio zbliżył się do Juany i złożył jej ukłon pełen godności.

Następnie odwrócił się do zebranych i rzekł:

- Słyszałem, jak mnie obgadujecie przed senioritą! Czy to ładnie?

- Czy skłamałem, kochany Zefirio? - zapytał złośliwie mały Jaime Matteo. - Czy możesz mi zarzucić, że przekręciłem choćby jedno słowo?

- Nie skłamałeś - odpowiedział Zefirio zmieszany. - Lecz przywidziało ci się. To nie ja dźwigałem ten wór, lecz złodziej. Ja go poganiałem kijem!

- Ach, ty kłamco! - wrzasnął Jaime Matteo i skoczył naprzód. Zefirio schował się za Juaną i zawołał płaczliwie:

- Seniorito, chyba nie pozwolisz, by ten źle wychowany młodzieniec napastował mnie w twojej obecności!

- Nie obawiaj się, najdroższy! - odpowiedziała z uśmiechem

Juana. - W mojej obecności nikt się nie ośmieli ruszyć cię.

Obecni znieruchomieli na widok takiego tchórzostwa. To było niesłychane. Zefirio

błagał kobietę, by go broniła! Zefirio krył się za spódnicę kobiety!

Caballeros przyglądali się nieszczęsnemu niedorajdzie z niewysłowioną pogardą. Lecz pewna okoliczność, dziwna, niewytłumaczalna, wprawiła ich w jeszcze głębsze osłupienie. Piękna Juana, śmiała, dumna, kapryśna Juana Serrano nie okazała najmniejszego rozczarowania, najmniejszej niechęci wobec śmiesznego tchórza. Przecież była naocznym świadkiem, jak bojaźliwie zachowywał się Zefirio. Czyż to nie wystarczyło, by nawet najmniej wybredna wieśniaczka odtrąciła go z pogardą od siebie? Tymczasem nie zaszło nic podobnego.

- Kochany Zefirio! - rzekła ujmując go pod ramię. - Nie wolno ci pozostawać dłużej z tymi gwałtownikami i plotkaczami. To nie dla ciebie towarzystwo. Chodź do komnat. Pogawędzimy sobie na osobności!

Pociągnęła go za sobą, oszklone drzwi zatrzasnęły się za nimi. Na ganku pozostali sami mężczyźni. Skamieniali, z otwartymi ustami jak ryby łaknące wody.

Jednak najbardziej zdumiony był Zefirio uprowadzony przez Juanę. Choć nie okazywał niczego po sobie, w duchu jednak musiał przyznać, że po raz pierwszy w życiu był zaskoczony postępowaniem seniority. Była to bowiem pierwsza Hiszpanka, która nie odtrąciła z pogardą i odrazą takiego jak on haniebnego tchórza.



## Wyzuty z majątku

Gubernator don Alvarez był człowiekiem upartym. Nie zapomniał o milionie peso obiecanych przez don Ravalesa za wydziedziczenie starego Anzelma Cortiego z jego posiadłości.

Przez dłuższy czas Ravales nie pokazywał się. Leżał śmiertelnie chory. Gdy jednak wyzdrowiał, wyglądał okropnie. Na nosie i czole pozostał trwały ślad po uderzeniu rączką pistoletu. Była to pamiątka po Mercedes, którą porwał ongiś.

Don Ravales przypomniał gubernatorowi Aragonii don Alvarezowi jego obietnicę. Ten wysłał naglące pismo do wszechmocnego ministra don Alonza, który z kolei podsunął królowej Izabelli odnośne postanowienie parlamentu, pomiędzy innymi papierami, i królowa podpisała nie patrząc nawet co podpisuje.

Dokument ten brzmiał następująco:

Po rozpatrzeniu dowodów złożonych przez szlachcica Pabla Enrique Battistę Josego Marię don Ravalesa de Calvę y Santana, ja Izabella II, królowa Hiszpanii... Istrii... Estramadury... itd. postanawiam:

1. Niezwłocznie odebrać posiadłości ziemskie leżące na wschód od Saragossy, a należące do szlachcica Anzelma Cortiego.
2. Zwrócić je szlachcicowi Pablo Ravalesowi, jako niesłusznie zagrabione jego pradziadowi przez pradziada Anzelma Córtego.
3. Wykonanie mego postanowienia poruczam gubernatorowi Aragonii, don Alvarezowi y Gonzano.

Królowa nie zdawała sobie sprawy, że podpisuje akt niesłychanego bezprawia, wydziedziczając ojca swego byłego faworyta Zefiria z ziemi, na której ród Cortich siedział od wieków.

Don Alvarez otrzymał ten dokument przez specjalnego kuriera. Natychmiast wezwał do siebie Pabla Ravalesa.

- Załatwione! - rzekł doń z triumfem. - Masz mi wypłacić milion peso, senior!

- Królowa podpisała? - zapytał Pablo Ravales z nie dowierzaniem.

-Oto akt wywłaszczenia!

Pablo Ravales przeczytał uważnie dokument. Na ohydnej, zeszpeconej twarzy odbiło się żywe zadowolenie.

- Dokonałeś cudu, gubernatorze! - rzekł. - Jesteś człowiekiem naprawdę

niebezpiecznym!

- Powiedz raczej, senor, że mam nieograniczone wpływy! Nie jestem niebezpieczny wobec ludzi, którzy są w stosunku do mnie w porządku. Kiedy otrzymam pieniądze?

- Z chwilą gdy Anzelmo Corti opuści hacjendę.

- Dobrze! Pieniądze jakbym miał w kieszeni. Dziś jeszcze jadę osobiście do niego.

Wtem nachmurzył się. Przypomniał sobie Zorrę.

- Zorro! - szepnął. - Ten bandyta ma kompromitujący dokument! Teraz gdy się dowie, że przepędziłem Cortiego, nie omieszka posłużyć się tym dowodem.

Pablo Ravales dosłyszał słowa gubernatora.

- O, senor gubernator! - zawołał. - Czyż to trudno udowodnić, mając za sobą wszystkich ministrów, że dowód ten został sfalszowany? Któż uwierzy bandycie?

- Masz słuszość, senor! - odetchnął z ulgą don Alvarez. - Zorro nie może mi zaszkodzić. Zbyt potężne mam plecy w Madrycie!

Nazajutrz gubernator ruszył w drogę na czele silnego oddziału wojska oraz żandarmerii i jeszcze przed zachodem słońca dotarł do hacjendy Anzelma Cortiego.

Właściciel wyszedł naprzeciw i kłaniając się uprzejmie gubernatorowi, zapytał o powód jego wizyty.

- Chodźmy do środka, czcigodny don Corti! - odpowiedział don Alvarez, z trudem powstrzymując uśmiech triumfu. - Mamy omówić pewną niezmiernie przykrą sprawę!

Anzelmo Corti poprowadził gościa do swego gabinetu. Jakieś niejasne uczucie nieszczęścia ścisnęło mu serce.

- Słucham, senor gubernator - rzekł, gdy gość usadowił się w fotelu. - O jakiej sprawie chciałeś ze mną pomówić?

Zamiast odpowiedzi don Alvarez wyciągnął fatalne pismo i podał je Cortiemu.

W miarę jak czytał, oblicze starca pokrywało się trupią bladością, ręce zaczęły drżeć, ledwie mógł utrzymać papier w palcach.

Oparł się o biurko, ciężko dysząc:

- Ależ to niemożliwe... niemożliwe... - wykrztusił z trudem. - Niemożliwe, by królowa podpisała podobną ohydę... Przecież my na tej ziemi żyjemy od czasu wygnania Maurów z Hiszpanii. Nie tylko mój pradziad, lecz prapradziad urodził się jako właściciel tych posiadłości. Przecież mamy wszelkie dowody, przecież istnieją pradawne rejestry ziemskie!...

- Rozumiem, senor, że to boli. Nie wątpię, że słuszość jest po twojej stronie. Sądzę nawet, że z łatwością udowodnisz, że ziemia jest twoja. Cóż jednak chcesz, rozkaz jest rozkazem! Królowa rozkazała, ja zaś muszę słuchać. To mój obowiązek żołnierza!

- Pablo Ravales! - dyszał Anzelmo Corti. - Pablo Ravales proponował mi miliony za moją posiadłość... To jest jego intryga... podła intryga!...

- Uspokój się, senior! - rzekł pojednawczo don Alvarez. Naprawdę mi przykro... Bardzo przykro... Niezmiernie przykro!... Dam ci przyjacielską radę. Jedź do Madrytu i dochodź swych praw u dworu!

- Tak zrobię! - szepnął starzec chwytając się za serce. - Udam się do królowej!

- Brawo! Lecz jednak musisz opuścić wraz z domownikami hacjendę, dopóki królowa nie odwoła swego postanowienia. Gdy wyjednasz u królowej cofnięcie tego rozkazu, wówczas będziesz mógł powrócić!

Don Alvarez mówił to w przekonaniu, że Anzelmo Corti nic nie uzyska, jak długo minister don Alonzo będzie sprawował swój urząd.

- Kiedy... muszę opuścić mój dom?- zapytał Anzelmo Corti, drżąc na całym ciele.

- Daję ci dwadzieścia cztery godziny, senior! - rzekł wspaniałomyślnie gubernator.

Lecz nerwy starego człowieka nie dopisały.

- To jest zbrodnia! - krzyknął rozpaczliwym głosem. - Ten dokument nie może być prawdziwy... Nie pytano mnie... Nie było żadnego sądu... Królowa nie mogła podpisać tego!...

Krzyki zwabiły Zefiria.

- Co się stało, ojczu? - zapytał wpadając do pokoju. - Czemu krzyczysz?

- Tu... tu... - wyjąkał Anzelmo Corti, chwiejąc się na nogach. - Zbrodniarze!...

Wskazał na papier leżący na biurku.

Młodzieniec wziął dokument. Podczas gdy czytał, don Alvarez przyglądał się ojcu i synowi z lekkim uśmiechem na ustach.

Na twarzy Zefiria, w miarę jak czytał, pojawiała się zdziwienie, oburzenie, gniew i wreszcie zaduma. Dokument ten nie wywarł jednak na nim tak silnego wrażenia jak na jego ojcu.

Starzec stał się żółty na twarzy i ręką przyciskał tłukące się w piersiach serce.

Wzrok don Alvareza przebiegł niby obojętnie z twarzy ojca na syna. Napawał się widokiem tych pokonanych ludzi przez niego.

Lecz dla starego szlachcica, który urodził się i całe życie spędził na ziemi, cios był niespodziewany i zbyt gwałtowny. Osunął się bezprzytomnie na podłogę. Zefirio rzucił się ku ojcu i zaczął go cucić, wołając:

- Ojczu, ojczu, wszystko będzie dobrze! Otwórz oczy... Nie martw się, drogi ojczu!

Lecz twarz Anzelma zasnuwała się coraz większą białością. Oczy stawały się szklane

i nieruchome.

Zefirio z przerażeniem wpatrywał się w stygnące oblicze ojca.

Don Alvarez ściągnął brwi i zagryzł wargi. Triumf jego był ponad miarę - nie zależało mu na śmierci starca.

Po chwili Zefirio podniósł głowę i patrząc dziwnym wzrokiem na don Alvara, rzekł powoli i wyraźnie:

- Ojciec umarł! Moja w tym wina! Żart trwał zbyt długo!...

## Rewolta

Zmrok zapadł. Równiną sunął zamaskowany jeździec. Tuż za nim gnali trzej konni o wyglądzie wieśniaków.

Dopadli do pierwszej z brzegu chaty w osadzie. Jeździec w masce uderzył kilkakrotnie ręką w okiennicę. Drzwi się otworzyły i na progu ukazał się chłop olbrzymiego wzrostu.

- Kto tam? - zapytał.

- To ja, Zorro! Sancho, bierz konia i broń. Zbierz wszystkich mężczyzn z wioski. Niech się stawią konno i zbrojnie. Czekam na głównym trakcie!

- Dobrze! - rzekł krótko wieśniak i cofnął się do izby.

Zorro smagnął konia i pognął przez wioskę. Jego trzej towarzysze podążyli za nim.

W pewnej chwili zatrzymali się na głównym trakcie na skraju lasu. Czekali niezbyt długo. Niebawem nadciągnęła większa grupa - ponad czterdziestu uzbrojonych jeźdźców.

Zorro przemówił do nich:

- Słuchajcie, chłopcy! Stawałem zawsze w waszej obronie, czyniłem, co mogłem, narażałem swoją skórę dla was. Przyszedł czas, że zwracam się do was, byście z kolei i wy mi pomogli w wykonaniu pewnego planu. Nie pytajcie, co zamierzam uczynić. Czyńcie to, co wam powiem. Jest was czterdziestu kilku. Każdy z was uda się do innej wioski i postawi na nogi wszystkich mężczyzn. Hasłem waszym będzie: Zorro czeka! Każdy zbierze uzbrojonych ludzi, jak najwięcej uzbrojonych ludzi. Czekam przy wielkim młynie na drodze do Saragossy!...

- Olle, Zorro! - rozległy się entuzjastyczne okrzyki.

- Pamiętajcie! - wołał zamaskowany jeździec. - Każdy powinien sprowadzić jak najwięcej ludzi. Minął czas wylegiwania się w łózkach. Ta noc stanie się najczynniejszym dniem. A więc jazda w drogę i niech Bóg was prowadzi!

Każdy jeździec, który ledwie dopadł chaty wieśniaczej, stukał w okiennicę i wołał:

- Na koń, chłopie, i broń do ręki! Zorro czeka przy wielkim młynie na drodze do Saragossy!

Imię Zorry działało jak iskra w prochu.

Ludzie porzucali swoje łóżka, ubierali się spieszenie, chwyтали strzelby i siadali na konie. Kto nie miał strzelby, chwytał kosę lub widły; jeżeli nie miał konia, siadał na muła swego sąsiada.

Nikt nie wiedział, co zamierza Zorro. Wystarczyło jednak, że wzywał do siebie, a każdy z obudzonych wieśniaków porzucał wszystko i spieszył na zew jeźdźca w masce.

Zorro stał oparty o drzewo, nieopodal młyna, i palił cigarillo. Nad ranem zaczęli nadciągać jeźdźcy. Gdy się dobrze rozwidniło, był to już wielki oddział złożony z siedmiuset ludzi. Zorro milczał. Ludzie również milczeli, czekając na rozkazy. Wreszcie mężczyzna w czarnej masce wsiadł na konia i zawołał:

- Ci wszyscy, których wysłałem tej nocy, niech wystąpią naprzód!

Zbliżyło się ku niemu czterdziestu trzech jeźdźców.

- W porządku! - rzekł Zorro. - Sprawiliście się świetnie. A teraz niech wystąpią ci, którzy mają najszybsze konie!

Wystąpiło około pięćdziesięciu jeźdźców.

- Aragończycy! - zawołał Zorro. - Nie pytajcie mnie, dokąd was prowadzę. Tych pięćdziesięciu jeźdźców pogna przodem oddziału. Każdy z nich zaalarmuje i obudzi wszystkich mężczyzn w wioskach na mojej drodze. Hasło będzie brzmiało: Zorro nadciąga! Za broń i na koń!

Pięćdziesięciu jeźdźców pognało przed siebie. Rozsypali się na prawo i lewo od traktu i po pewnym czasie zniknęli z oczu głównego oddziału.

Upłynęła godzina. Skutki zarządzenia Zorry zaczęły się pojawiać. Zewsząd nadciągali zbrojni jeźdźcy. Wyłaniali się z lasu, zza skał; wysypywali się na trakt z bocznych ścieżek.

Pewnego dnia do Zorry zgłosili się dwaj jeźdźcy, z których jeden był gruby i okrągły jak kula, a drugi chudy jak tyka. Ci dwaj jeźdźcy jechali na czele większego oddziału zwerbowanych przez siebie partyzantów. Na ich widok twarz Zorry rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

- Witam was, czcigodni senores, don Porfirio oraz don Malibran... Ale cóż to? Gdzież jest wasz trzeci przyjaciel, dzielny Zefirio Corti, chluba Hiszpanii i wszystkich rycerskich caballeros?

Porfirio i Malibran skłonili się z szacunkiem.

- Zefirio schował się do mysiej nory - odpowiedział Malibrano - Trudno go odnaleźć, senor Zorro!... Nie wątpimy w jego dzielność i odwagę, lecz...

- Lecz wołał widocznie pozostać skromnie w ukryciu, zanim sytuacja się nie wyklaruje!... - wtrącił Porfirio, kłaniając się powtórnie.

- Natomiast my ofiarujemy ci się z pomocą - ciągnął Malibran - i dlatego też oddajemy do twojej dyspozycji, senor Zorro, regiment całkowicie uzbrojony i wyekwipowany naszym kosztem!...

Zorro roześmiał się.

- Przyjmuję z radością, senores! - zawołał. - I z miejsca przydzielam wam stanowiska u mego boku. Będziecie należeli do mego sztabu.

W Hiszpanii pojawił się kolejny pretendent do tronu: don Carlos. Marszałek Serrano czynił nadludzkie starania w Saragossie, by przeszkodzić zbytniemu rozlewowi krwi. A Zorro ciągle wysyłał nowych gońców z niezmiennym hasłem: Do broni! Zorro nadciąga!

Jak lawina, która urasta z kilku grudek śniegu w olbrzymie zwały, tak oddział rósł z godziny na godzinę. Czwartego dnia, o jedenastej przed południem, nie był to już oddział, lecz cała armia złożona z kilku tysięcy ludzi. Zorro podzielił wszystkich na oddziały, wyznaczył dowódców i wydał odpowiednie rozkazy. Tymczasem w całej Aragonii gruchnęła wieść: rewolta wieśniaków! Kilka tysięcy uzbrojonych ludzi ciągnie pod dowództwem Zorrry na Saragossę!

Imię to wywierało magiczny skutek. Lud porzucał swoje zajęcia, chwycił co popadło i przyłączał się do pochodu zrewoltowanych.

Powstanie przeciwko znieprawionej władzy wybuchło w Huesco, Tudeli, Leridzie, Logrono i w wielu mniejszych miastach. W ślad za Aragonią powstała Stara Kastylia, Soria, Walencja. Tłumy miały już swoich przywódców, których imiona wykrzykiwano na traktach, w wioskach i na ulicach miast, lecz wszyscy myśleli tylko o człowieku, który powstanie wywołał.

Główną armią powstańczą dowodził Zorro. Armia ta maszerowała na Saragossę.

Na próżno ludzie prosili i błagali, by zdjął maskę z twarzy. Zorro potrząsał głową:

- Nie czas jeszcze! - mówił. - Zadanie nie zostało wykonane. Hiszpania znała mnie pod maską, nie będę jej teraz zdejmował. Ludzie nie poznaliby mnie.

Otaczano go czcią i podziwem. Zbliżano się doń z najwyższym szacunkiem. Ten wysmukły, sprężysty młodzieniec był w oczach tych tysięcznych tłumów postacią legendarną. Wprost wierzyć się im nie chciało, że znajduje się tutaj pomiędzy nimi, z krwi i kości, żywy i wesoły, że to on, a nie kto inny siedzi na koniu i spokojnym głosem wydaje rozkazy.

Żandarmów oraz wojska ani śladu. Uciekli w popłochu do Saragossy. Przeoczyli pierwszy moment rewolty - nie zdusili jej w zarodku, a teraz było już za późno. Zniknęli także komisarze królewskiego skarbu, skryli się poborcy podatkowi, a ci, którzy nie zdążyli uciec, zostali poddani chłóście i przepędzeni na cztery wiatry.

Don Alvarez wyruszył na czele wojska przeciwko rewolucjonistom. Spotkanie nastąpiło niedaleko Saragossy. Walka nie trwała zbyt długo. Żołnierze rozbici i rozproszeni cofnęli się w nieładzie do miasta.

Jak wiadomo Saragossa jest fortecą nie do zdobycia. Załoga jej spokojnie oczekiwała przybycia powstańców.

Buntownicy stanęli pod miastem... Z chwili na chwilę ściągali zewsząd nowe zastępy uzbrojonych wieśniaków, hacjenderów i służby dworskiej. Liczba oblegających powiększała się nieustannie. Lecz mury forteczne mogłyby się oprzeć dziesięciokrotnie większym zastępom.

I oto pewnego dnia, po południu, ukazał się na ulicach Saragossy jeździec w masce. Jak dostał się do miasta? Skąd się tu wziął? W jaki sposób przekradł się poprzez mury forteczne? Pozostało zagadką na zawsze.

Zorro pędził przez ulice ubogiej dzielnicy. Stał w strzemionach, w ręku trzymał nieodłączny bicz i wołał:

- Do broni, mieszkańcy Saragossy! Do broni! Precz ze złodziejami królowej Izabelli!  
Do broni!

Iskra w beczce prochu wywołałaby podobny efekt. Ulice zaległy tłumy, wyjące, złorzeczące, złowrogie. W Saragossie wybuchło powstanie. Wojsko nie mogło stawić czoła dwom frontom jednocześnie. Tego samego dnia po krwawej walce ulicznej Saragossa znalazła się w rękach ludu.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy samotny jeździec przeprowił się przez rzekę Ebro i pognął drogą wiodącą na południowy zachód, do Guadalajary...

Jeździec ten miał na ramionach zwykły płaszcz, bez żadnych ozdób, i zakrytą zupełnie twarz. Sądząc z pośpiechu, z jakim przynaglał swego konia oraz z tego, że co chwila trwożliwie oglądał się za siebie, można było wywnioskować, iż ucieka z miasta. Dreszcz trwogi przebiegał po plecach jeźdźcy, gdy po pewnym czasie dostrzegł obłok kurzawy daleko za sobą. Obłok zbliżał się coraz bardziej. Jeździec wbił ostrogi w boki konia, lecz nie na wiele mu się to przydało. Koń pędził, wyciągnięty jak struna, lecz obłok kurzu zbliżał się coraz szybciej. Z obłoku wyłonił się jeździec w masce. Był to Zorro, który ścigał człowieka w zwykłym płaszczu.

Pierwszy jeździec - widząc, że ścigający go zbliża się coraz bardziej - zaczął kluczyć. Zboczył z głównej drogi i wjechał pomiędzy skały. Gnany panicznym strachem nie zważał na to, gdzie się znajduje, główną jego myślą było bowiem ująć pogoni.

- Hej, don Alvarez! - rozległ się głośny okrzyk za nim. - Zatrzymaj się na chwilę, pogadamy! Stój, głupi człowieku, nie zrobię ci krzywdy!

Don Alvarez wyrzucił z siebie przekleństwo, wyciągnął pistolet, odwrócił się i strzelił.

Kula świsnęła obok głowy Zorry.



- Zatrzymaj się, szaleńcze! - krzyknął Zorro. - Patrz, dokąd jedziesz! ...

Ścieżka pomiędzy skałami szła zygzakowato w górę. Wreszcie skały po bokach zniknęły, a koń niósł Alvareza wysoko, do skraju przepaści.

- Zatrzymaj się! - wołał Zorro. - Zginiesz!... Uważaj !... Lecz Alvarez nie zważał na nic.

Wyciągnął drugi pistolet i odwrócił się, by strzelić do swego prześladowcy. W tej samej chwili Zorro ściągnął maskę z twarzy i don Alvarez ujrział prawdziwe oblicze jeźdźca w masce. Zdrętwiał na ułamek sekundy i nie zdążył już strzelić, gdyż droga na szczycie skały urwała się i wierzchołek nie mógł się już zatrzymać. Runął w przepaść wraz ze swym jeźdźcem. Ciało konia i człowieka kilkakrotnie odbiło się od występów skalnych i legło na dnie przepaści.

Zorro zatrzymał swego konia tuż nad krawędzią i spojrzał na dół. - Napuszony głupiec, tchórz i złodziej - szepnął. - Niech mu ziemia lekką będzie. Uprzedzę jednak ludzi, by go pochowali z honorami.

Zawrócił konia i powoli ruszył do Saragossy.

## Regent Hiszpanii

Był to pamiętny rok w dziejach Hiszpanii. Pożoga rewolucyjna ogarnęła cały kraj. W Madrycie powstanie było najkrwawsze. Ministrowie zbiegli. Don Alonzo jednak został schwytany. Królowa uciekła z Eskurialu, a regentem Hiszpanii został marszałek Serrano. I wówczas to Zorro dał sygnał i Hiszpanie spokojnie rozeszli się do domów.

Cały naród wiedział, że rewolucja, która zabrała królową Izabellę po trzydziestu trzech latach panowania, zawdzięczała swój początek i rozwój legendarnej postaci jeźdźca w masce.

Lecz Zorro znikł. Nikt nie napadał już na transporty rządowego złota, nikt nie smagał poborców podatkowych. Zresztą urząd poborcy został zniesiony. Podatki ściągał miejscowy sędzia ludowy i zarazem radny, wymierzano je sprawiedliwie; ustały szykany i lud odetchnął.

Nastał okres spokoju i pomyślności.

Pewnego pięknego poranka przed hacjendą Zefiria Cortiego zatrzymał się oddział żołnierzy.

- Gdzie jest pan domu? - zapytał sierżant.

Stary sługa podrapał się w głowę:

- Czy ja wiem, gdzie on się podziewa? Pewnie przy bykach na łące lub w stajni!

Żołnierze rozbiegli się po zabudowaniach w poszukiwaniu Zefiria.

Znaleziono go obok zagrody dla byków.

- Siadaj na koń, senior! - rzekł sierżant. - Jedziesz z nami! - Boże, wielki Boże! - zawołał Zefirio. - Czy jestem zaaresztowany?

- Taki mam rozkaz! Muszę dostarczyć cię żywego do Madrytu! Zamiast jednak dosiąść konia, udał się w drogę karocą zaprzęgniętą w cztery konie. Podróż była długa i uciążliwa. Wreszcie po wielu dniach jazdy karoca eskortowana przez żołnierzy dotarła do Madrytu. Sierżant przekazał ją policji, która skierowała pojazd wraz z pasażerem do pałacu regencji.

W mózgu Zefiria zaczęło się rozjaśniać, gdy w paradnym wejściu ugalonowani lokaje otworzyli przed nim szeroko podwoje, a po marmurowych schodach zbiegła seniorita Juana.

- Zefirio, kochany, drogi Zefirio! - wołała radośnie, wyciągając ręce ku niemu. - Nareszcie cię widzę. Przypomniałeś sobie wreszcie o mnie, niewierny!

Zefirio uśmiechnął się na widok Juany, lecz wnet twarz jego przybrała ponury wyraz.

- Dziękuję ci, seniorito! - mruknął. - Jeśli to miał być wjazd triumfalny do Madrytu, to

już nie wiem, jak wygląda odprowadzanie przestępców do więzienia!

- Wybacz mi, Zefirio! - szepnęła Juana, ujmując go pod ramię. - Tak się stęskniłam za tobą!

- I ja również! - mruknął zmieszany Zefirio. - Nie mogę jednak ochłonąć ze wstydu. Cały Madryt przypatrywał mi się, podczas gdy policja prowadziła mnie jak zwykłego przestępcę przez ulice miasta.

Juana puściła mimo uszu jego narzekania. Pociągnęła go do wspianego salonu i posadziła w fotelu.

- Przede wszystkim powiedz mi, co u ciebie słychać, Zefirio?

- Hoduję byki i doglądam gospodarstwa! Jeśli to ma być gościnne przyjęcie po tygodniowej podróży karocą, wolę udać się do zajazdu! Cały jestem złamany i jeść mi się chce.

Zefirio wstał z fotela, lecz Juana ujęła go znów pod ramię i poprowadziła do przyległego pokoju.

W jadalni olbrzymich rozmiarów siedziało już kilkanaście osób. Gdy Juana wprowadziła Zefiria, rozległy się głośne okrzyki:

- Zefirio... Zefirio tutaj! Witaj, Zefirio!

Młody Corti poznał Porfiria i Malibrana z ojcem. Dostrzegł również wiele znajomych senorit, a między nimi Dolores i Mercedes.

Na głównym miejscu przy stole siedział regent Hiszpanii, obecny jej władca, marszałek Serrano. Oblicze jego rozjaśniło się, gdy ujrzał Zefiria. Potrząsnął serdecznie jego ręką i posadził obok siebie.

Biesiadnicy prowadzili wesoło rozmowę.

Pod wpływem doskonałych potraw i napojów, Zefirio także poweselał.

- O czym rozmyślasz, senor? - zapytał marszałek Serrano.

- Znam świetną sztuczkę magiczną! - odpowiedział Zefirio. - Biorę zwykłą łyżkę i widelec...

- Daj spokój na razie sztuczkom magicznym, senor Zefirio - przerwał mu dobrodusznie marszałek. - Wszyscy mamy daleko ważniejszą sprawę do załatwienia.

Powstał ze swego miejsca i wszyscy zamilkli.

- Senioritas e senores! - zaczął marszałek. - Zebraliśmy się tutaj, by uczcić fakt zaręczyn mej córki Juany ze...

Tutaj zamilkł na chwilę, powiódł wzrokiem po obecnych i zakończył:

- Ze szlachetnie urodzonym senorem don Zefiriem Cortim! Wznoszę toast za zdrowie

i pomyślność narzeczonych.

Rozległy się okrzyki i wiwatowania.

Zefirio siedział przez dłuższy czas jak skamieniały, lecz wreszcie musiał zebrać się w sobie, powstać i odpowiedzieć ukłonem i uśmiechem.

Dolores i Mercedes były nie mniej od innych zadowolone z takiego obrotu sprawy. W duchu dziwiły się jednak niezwykłemu szczęściu Zefiria. Musiały przyznać, że Juana przewyższała je urodą, wdziękiem i umysłem.

- Co ona w nim widzi? - szepnęła Mercedes do ucha Dolores. - Tchórz, głupiec i fanfaron!

- Jestem zdumiona - odpowiedziała również szeptem Dolores. - Nie przeczę, że Zefirio jest bardzo przystojnym mężczyzną, lecz poza tym zero!... Czyżby Juana zakochała się w pięknym obliczu?

- Oświadczał się kilkakrotnie o moją rękę! Odrzuciłam go ze wzgardą. Nie mogłabym wytrzymać przez godzinę z takim mężem!

- Tss, cicho. Zefirio chce mówić!

Młodzieniec chrząknął, ukłonił się zebrany i przemówił:

- Jestem wzruszony waszą wobec mnie życzliwością, senioritas e senores! Szczęśliwy jestem, że tak się stało, że ta, którą kocham, została moją narzeczoną. Jest to jedyna kobieta, która mnie rozumie. Kocham ją, gdyż nie dała się zwieść pozorom, albowiem to co uważamy częstokroć za prawdziwe, jest tylko pozorem, a pozór nieraz okazuje się rzeczywistością, gdyż nie zawsze rzeczywistość wygląda na rzeczywistość, lecz...

Tutaj Zefirio zaplątał się w swych wywodach, głupkowato spojrzął po obecnych, chrząknął raz i drugi, wreszcie usiadł szepcząc: straciłem wątek!

- Brawo... Brawo! - rozległy się okrzyki wśród wybuchów śmiechu. Juana śmiała się wraz z innymi.

- Bodaj cię, Zefirio! - wołał śmiejąc się głośno marszałek Serrano i klepnął go po plecach. - Taka mowa. Nie każdy to potrafi. Powinieneś zostać premierem ministrów!

- Zawsze tak myślałem - rzekł skromnie Zefirio. - Premier ministrów to w sam raz dla mnie!

## Zorro bez maski

Wieść gruchnęła po Hiszpanii. Córka regenta wychodzi za mąż za głupiego Zefiria Cortiego.

Jeśli kiedykolwiek naród był naprawdę zaskoczony, to chyba teraz tą niezwykłą wiadomością. Arystokracja Madrytu nie mogła w to uwierzyć. Lud, który również znał młodego Cortiego, był zdumiony nie mniej niż wyższe sfery.

Zefiria traktowano niemal jak narodowego błazna. Wszystkie gazety umieściły jego karykatury, w teatrzykach i kabaretach kpiono z biednego młodzieńca.

Przyjaciółki Juany uważały ją za szaloną i niejednokrotnie dawały jej to do zrozumienia, lecz marszałkówna w odpowiedzi wzduszała ramionami i uśmiechała się.

Pewnego dnia wśród mieszkańców Madrytu rozeszła się niepokojąca wiadomość. Mówiono, że Juana dostała liścik następującej treści:

Póki żyję, Zefirio nie będzie Twym mężem.

Zorro

A więc Zorro kochał Juanę. Naród od razu opowiedział się za swym tajemniczym bohaterem. Ludzie zaczęli się oburzać i sarkać.

- Jak to? Juana przedkłada idiotę nad człowieka odważnego, zręcznego, szlachetnego, nad człowieka, któremu lud zawdzięcza swój spokój i sprawiedliwość. Czy marszałek Serrano nie zdaje sobie sprawy, że gdyby nie Zorro, nie byłby władcą Hiszpanii? Gdzież tu wdzięczność, gdzie sprawiedliwość?

Nadszedł dzień ślubu.

Długie sznury pojazdów zatrzymywały się przed pałacem regenta. Cała arystokracja Hiszpanii śpieszyła do sali kolumnowej pałacu, skąd orszak ślubny miał ruszyć do katedry.

Panna młoda, w ślubnym welonie, jaśniała niezmierną wprost pięknnością.

Dolores i Mercedes stały w tłumie z zapartym tchem, wyczekując przybycia pana młodego.

Na ustach tych pięknych seniorit przewijał się drwiący uśmieszek. Współczuły co prawda Juanie Serrano, że bierze ślub z młodzieńcem tylekroć ośmieszonym, z głupcem, którego zaloty obie odrzuciły bez namysłu, lecz jednocześnie odczuwały dziwne zadowolenie, że właśnie stało się tak, a nie inaczej. Słyszały, że Zorro kocha Juanę, wieść ta napelniała je wielkim niepokojem, niebawem jednak Juana przestanie być dla nich rywalką. Jako żona Zefiria nie będzie już niebezpieczna i w serduszkach Mercedes oraz Dolores znów

zakolatała nadzieja.

Mijała minuta za minutą, a Zefirio nie zjawiał się. Juana zaczęła się niepokoić, marszałek nerwowo przygryzał wargi.

- Nie przyjdzie! - rozległy się szept. - Ślub nie odbędzie się!

Wtem na zewnątrz, wśród zebranych przed pałacem tłumów, wszczął się dziwny hałas. Ludzie wiwatowali, ryczeli wściekle, rozbrzmiewały okrzyki:

- Olle; Zorro, nasz bohater w masce!... Precz z głupim Zefiriem!... Donna Juana powinna należeć do Zorry... Nie damy jej błaznowi!.. .

Poprzez tłum przedzierał się zamaskowany jeździec na koniu. - Drodzy przyjaciele! - wołał ze śmiechem. - Wiercie mi, że nie pozwolę wydrzeć sobie tej, którą ukochałem...

- Pomożemy ci, Zorro! - rozległy się okrzyki zapaleńców. - Nie dopuścimy do ślubu, choćbyśmy mieli roznieść pałac regenta w kawałki...

- Dziękuję - skinął głową Zorro. - Dziękuję wam z całego serca, senores, ale zdaje się, że nie będę potrzebował waszej pomocy...

To mówiąc uderzył swego konia ostrogami... Szlachetne zwierzę pogalopowało w kierunku szerokich marmurowych schodów prowadzących do głównego wejścia pałacowego.

Ale przed wspaniałym portalem czekała Zorrę niespodzianka. W wejściu stali murem żołnierze z pochyloną bronią, a marszałek Serrano wołał:

- Żołnierze, nie wolno wam przepuścić go, za żadną cenę... Głową mi odpowiecie, jeśli Zorro przedostanie się do środka!

Żołnierze wiernie wykonywali rozkaz marszałka-Serrany, lecz po wyrazie ich twarzy można było poznać, że wykonanie tego rozkazu było dla nich bardzo niewygodne. Jakże chętnie pozdrowiliby Zorrę głośnym „olle”, zamiast bronić mu wejścia do pałacu!... Ale rozkaz był rozkazem.

A poza ścianą straży spoglądały na Zorrę wystraszone twarze zaproszonych gości marszałka.

Czemu jednak regent Hiszpanii, wydając ten surowy zakaz, jaśniał zadowoleniem?.. Czemu nieznaczny uśmiech malował się na jego energicznym i mądrym obliczu?

Zorro zatrzymał się tuż przed murem piersi żołnierskich.

- Nie przepuście mnie? - zapytał. - Nie dacie mi wejść do środka?

- Niestety - westchnął stary wachmistrz, nie możemy, senor, choć nam się serce kraje!...

- Przejdę jednak!...

- Trudno - szepnął wojak. - Jesteśmy przygotowani na to, że otrzymamy porcję batów

od waszej wielmożności... Zaczynaj więc, senor Zorro, będziemy chociaż mieli wymówkę, że nie byliśmy w stanie stawić ci oporu!...

Zorro pokręcił głową przecząco:

- Nie używam bicia od czasu, gdy w Hiszpanii zapanowała sprawiedliwość! - odparł.

- Pałac ma boczne wejście pilnowane tylko przez jednego żołnierza - dodał wachmistrz szeptem.

- Dziękuję! - zawołał Zorro. - Dziękuję ci, wachmistrzu!... - I zawrócił konia.

Nie oddalił się jednak. Stał na siodle i jednym śmiałym skokiem znalazł się na cokole stojącym obok wejścia. Gibki jak pantera zaczął się wspinać po ścianie pałacu przed tysiącami par oczu. Był to nie lada popis szaleńczej akrobacji. Tłumy śledziły jego ruchy z zapartym tchem. Każdy miał wrażenie, iż Zorro lada sekunda runie w dół. Toteż jedno westchnienie ulgi wydarło się z tysiąca piersi, gdy jego gibka postać zniknęła w otworze otwartego okna.

Tłum gości zebranych w sali pałacowej zafalował.

- Zorro, Zorro przybył - szeptano z przejęciem. - Co to będzie?.. Nie pozwoli sobie wydrzeć Juany... Biedny Zefirio...

Dwaj młodzieńcy, z wydobytymi pistoletami, przycisnęli się do panny młodej i stanęli u jej boku. Byli to Porfirio i Malibrán. Obaj groźnie nachmurzeni, miny ich świadczyły, że zdecydowani są na wszystko.

- Nie pozwolimy skrzywdzić naszego przyjaciela Zefirio - mrucał Porfirio dość głośno, by wszyscy mogli go usłyszeć, a Malibrán potrząsnął groźnie pistoletem i dodał:

- Zefirio nie może pozostać bez narzeczonej... Zorro spotka się z murem naszych męźnych piersi!

- Amen! - wymówił Porfirio i obaj obrzucili zebranych tak dzikim wzrokiem, że najbliższy stojący ostrożnie wycofywali się z tego niebezpiecznego miejsca.

W sali kolumnowej zapanowała cisza, pełne napięcia oczekiwanie. Zefirio zląkł się swego rywala i dlatego nie zjawił się - było to jasne dla wszystkich.

Wtem pod sufitem rozległ się dźwięczny głos: - Póki żyję, Zefirio nie będzie mężem Juany!

Wszystkie głowy spojrzały w górę. Na balkonie stał Zorro. Spokojny, uśmiechnięty Zorro w obcisłym stroju, z szeroką, jedwabną maską na twarzy, ze swym nieodłącznym biczem z bawolej skóry w prawym ręku.

- Zorro!... Zorro!... - dały się słyszeć przyciszone okrzyki. Dolores i Mercedes doznały gwałtownego bicia serca i rozszerzonymi oczami wpatrywały się w postać ich marzeń.

Zorro przełożył nogi przez barierę balkonika i zsunął się po kolumnie na dół i w kilku susach dotarł do Juany. Chwycił ją lewą ręką za talię, uniósł w górę, a prawą ręką torował sobie drogę do wyjścia.

Tłum zamarł w bezruchu.

Zorro porywa Juanę! przemknęła jedna myśl przez wszystkie głowy. Lecz nikt nie śmiał stanąć na jego drodze. Odwrotnie rozsunięto się z szacunkiem i obawą, pozostawiając pośrodku sali szerokie przejście dla niego. I w tej samej chwili Juana, która nie straciła ani odrobiny przytomności umysłu, sięgnęła do twarzy Zorrry i zdarła z niej maskę.

Gdyby sufit sali kolumnowej zawalił się nagle, nikt nie byłby bardziej zdumiony niż w chwili, gdy Juana jednym, śmiałym ruchem odsłoniła prawdziwe oblicze Zorrry.

Tak! Bez wątplenia był to Zorro we własnej osobie... Któż nie znał tej gibkiej, sprężystej sylwetki, tego uśmiechu o dwóch rzędach śnieżnobiałych zębów?..

Potężne „ach!” wstrząsnęło murami pałacu. Wszyscy zebrani ujrzeli prawdziwe oblicze groźnego, odważnego, rycerskiego Zorrry. Był to wesoły, uśmiechnięty, rozradowany Zefirio. Zefirio taki, jakiego nikt dotychczas nie znał.

- Stało się! - roześmiał się Zefirio. - Juana zdemaskowała mnie. No tak, Zefirio i Zorro to jedna osoba. Trudno w to uwierzyć, prawda?

- Dawno wiedziałam o tym! - szepnęła Juana. - I ojciec mój też. Kochany ty mój rycerzu!

A tymczasem, jak sala długa i szeroka, panowała nadal grobowa cisza. Ludzie nie śmieli oddychać. Wpatrywali się w Zefiria, tego samego, którego uważali za głupca, a który wszystkich wyprowadził w pole. Patrzyli nań tak, jak gdyby odkryli zupełnie nowego, człowieka. Bo rzeczywiście przed nimi, przed żołnierzami, którzy zapomniawszy o swym obowiązku tłoczyli się przy wejściu, oraz przed ludźmi z ulicy, którzy wdzierali się teraz do pałacu, stał zupełnie inny Zefirio. Don Jose Maria Zefirio Corti, hidalgo z dziada pradiada, dumny potomek męznego rodu kastylijskiego, godny spadkobierca tyłu cnót żołnierskich, lecz który przewyższał swych przodków, walczył bowiem sam jeden przeciw wszystkim.

- No i cóż, senores? - zawołał nagle gruby Malibran, wybuchając głośnym śmiechem. - Śmiecie się, proszę!... Czyż nie widzicie, że stoi przed wami Zefirio?

Wtem na sali rozległy się przeraźliwe okrzyki i dwie kobiety zemdlały. Były to Mercedes i Dolores.